

Terry Pratchett

Piekło pocztowe

Przełożył

Piotr W. Cholewa



trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

Going Postal

Data wydania:

2004

Wydanie polskie

Data wydania:

2008

Ilustracja na okładce:

Paul Kidby

Przełożył

Piotr W. Cholewa

Wydawca:

Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

ISBN 978-83-7469-849-8

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

Prolog 9000-letni

Flotyle umarłych żeglowały dookoła świata z prądami podwodnych rzek.

Praktycznie nikt nie miał o nich pojęcia. Ale sama teoria jest łatwa do zrozumienia. Brzmi tak: morze jest w końcu, pod wieloma względami, tylko bardziej mokrą formą powietrza. Powszechnie wiadomo, że przy zejściu w dół powietrze robi się gęściejsze, a tym rzadsze, im wyżej się wzleci. Kiedy ciskany sztormem statek zanurza się i tonie, musi w końcu osiągnąć taką głębokość, na której woda pod nim jest dostatecznie gęsta, by powstrzymać dalsze opadanie.

Krótko mówiąc, przestaje tonąć i unosi się na podwodnej powierzchni, poniżej zasięgu sztormów, ale daleko ponad dnem oceanu.

Panuje tu cisza. Martwa cisza.

Niektóre z zatopionych statków mają olinowanie, niektóre mają nawet żagle. Wiele ma też załogę: marynarzy wplątanych w takielunek albo przywiązanych do koła sterowego.

Te rejsy wciąż trwają, bezcelowe, bez portu na horyzoncie – pod powierzchnią oceanu istnieją prądy, a więc martwe statki ze szkieletową załogą żeglują wokół świata, nad zatopionymi miastami, pomiędzy podwodnymi górami, aż zgnilizna i robaki przeżrą wszystko i kadłuby się rozpadną.

Czasami spadnie kotwica na samo dno, w ciemny, chłodny bezruch głębinowych równin, i zakłóci odwieczny spokój, wzbijając w górę obłok mułu.

Jedna z nich niemal trafiła w Anaghammarada, który obserwował przepływające wysoko ponad nim statki.

Zapamiętał to, ponieważ był to jedyny naprawdę ciekawy wypadek, jaki się zdarzył w ciągu dziewięciu tysięcy lat.

Prolog jednomiesięczny

Była taka... choroba, na którą zapadali sekarowcy. Była podobna do schorzenia znanego żeglarzom, którzy, po długich tygodniach ciszy pod palącym słońcem, nagle wierzą, że statek otaczają zielone pola... i wyskakują za burtę.

Sekarowcy wierzą czasem, że potrafią latać.

Mniej więcej osiem mil dzieliło od siebie wielkie wieże semaforowe, a kiedy człowiek stanął na szczycie którejś z nich, znajdował się około stu pięćdziesięciu stóp nad równiną. Wystarczyło, że popracował tam zbyt długo bez nakrycia głowy, a wieża, na której tkwił, stawała się coraz wyższa, sąsiednia wieża coraz bliższa... i może w końcu sądził, że zdoła przeskoczyć z jednej na drugą albo przefrunąć na niewidzialnych wiadomościach sunących między nimi. A może myślał, że sam jest wiadomością. Może, jak uważali niektórzy, było to tylko jakieś zakłócenie w mózgu, wywołane przez świst wiatru w olinowaniu. Nikt nie wiedział na pewno. Ludzie, którzy zstępują w powietrze na wysokości stu pięćdziesięciu stóp, rzadko kiedy mają potem wiele do powiedzenia.

Wieża kołysała się lekko na wietrze, ale to nic złego. W tę konkretną wbudowano sporo nowych konstrukcji. Magazynowała wiatr, by napędzać swe mechanizmy, uginała się raczej, niż łamała, zachowywała bardziej jak drzewo niż forteca. Większą jej część można było zmontować na ziemi, a potem w godzinę wynieść na odpowiednią wysokość. Była obiektem pełnym gracji i piękna. I mogła przysyłać wiadomości do czterech razy szybciej niż stare wieże – dzięki nowemu systemowi przesłoni i kolorowym światłom.

W każdym razie tak będzie, kiedy tylko rozwiążą kilka upartych problemów...

Młody człowiek wspiął się szybko na sam szczyt wieży. Przez większą część drogi przesuwiał się w lepkiej szarej mgle, a potem znalazł się w promieniach jasnego słońca. Mgła rozciągała się pod nim aż po horyzont, jak morze.

Nie zwracał uwagi na widoki. Nigdy nie marzył o lataniu. Śnił o mechanizmach, które działają lepiej niż kiedykolwiek przedtem. W tej chwili chciał odkryć, co sprawia, że nowa tablica przesłoni znów się zacięła. Naoliwił suwadła, sprawdził napięcie lin, a potem wysunął się nad pustą przestrzeń, by sprawdzić same przesłony. W zasadzie nie powinno się tego robić, ale każdy liniowiec wiedział, że to jedyny sposób, by osiągnąć skutek. Zresztą to całkiem bezpieczne, jeśli tylko...

Coś brzęknęło. Obejrzał się i zobaczył, że karabinek jego liny zabezpieczającej leży na podeście... Zauważył cień, poczuł straszny ból w palcach, usłyszał krzyk i runął...
...jak kotwica.

Rozdział pierwszy

Anioł

*W którym nasz bohater doświadcza Nadziei, Najwspanialszego Daru – Bekonowy sandwich
współczucia – Smutne refleksje kata na temat kary głównej – Słynne ostatnie słowa – Nasz
bohater umiera – Anioły (rozmowy na temat) – O niecelowości nietrafnych propozycji
dotyczącychmiotel – Zmiana koni – Świat wolny od ludzi uczciwych – Utykający człowiek –
Zawsze istnieje wybór*

Mówią, że perspektywa powieszenia o świcie wybitnie sprzyja koncentracji umysłu. Niestety, umysł wówczas nieodmiennie się koncentruje na fakcie, że znajduje się w ciele, które o świcie zostanie powieszono.

Człowiek, który miał zawisnąć, otrzymał od swych troskliwych, choć nierozsądnych rodziców imię Moist i nazwisko von Lipwig. Nie miał jednak zamiaru przynosić im wstydu – o ile było to jeszcze możliwe – dając się pod tym nazwiskiem powiesić. Dla świata w ogólności, a zwłaszcza tej jego części, która określana jest sentencją wyroku śmierci, pozostawał Albertem Spanglerem.

Prezentował również bardziej pozytywny stosunek do sytuacji i skoncentrował umysł na perspektywie niebycia powieszonym o świcie, a zwłaszcza na usunięciu łyżką pokruszonej zaprawy wokół kamienia w ścianie celi. Jak dotąd praca ta zajęła mu pięć tygodni i zredukowała łyżkę do czegoś przypominającego pilniczek do paznokci. Na szczęście nikt nie przychodził zmieniać mu pościeli – odkryłby bowiem najcięższy materac świata.

Obecnie uwagę Moista przyciągał duży i ciężki kamień, do którego w przeszłości ktoś wbił solidną klamrę jako mocowanie dla łańcuchów.

Moist usiadł twarzą do ściany, chwycił oburącz żelazny pierścień, zaparł się nogami o kamienie po obu stronach... i pociągnął. Mięśnie karku zapiekły boleśnie, czerwona mgła przesłoniła wzrok, ale głaz wysunął się ze ściany z delikatnym i niezbyt odpowiednim brzękiem. Moist odtoczył go od otworu i zajrzał do środka.

Na drugim końcu tkwił następny kamienny blok, a zaprawa wokół niego wyglądała na podejrzenie mocną i świeżą.

Przed tym kamieniem leżała nowa łyżka. Błyszczała.

A kiedy się jej przyglądał, usłyszał za sobą klaskanie. Odwrócił głowę – ścięgną zagrały mu krótki riff agonii – i zobaczył kilku dozorców przyglądających mu się przez kraty.

– Brawo, panie Spangler! – pochwalił jeden z nich. – Ten tutaj Ron jest mi winien pięć dolarów! Mówiłem mu, że twardy gość z pana. To twardy gość, tak powiedziałem!

– Zaplanowaliście to, panie Wilkinson? – zapytał słabym głosem Moist, zerkając na błysk światła na łyżce.

– Och, nie, nie my, drogi panie. To rozkaz lorda Vetinariego. Uważa, że wszystkim skazańcom należy zaoferować perspektywę wolności.

– Wolności? Przecież w tej dziurze tkwi demonicznie wielki kamień!

– No tak, rzeczywiście tam tkwi, drogi panie. Trudno zaprzeczyć – przyznał dozorca. – Bo to tylko perspektywa, rozumie pan. Nie prawdziwa wolna wolność jako taka. Hm, to byłoby raczej głupie, prawda?

– Chyba tak, w rzeczy samej – zgodził się Moist. Nie dodał „wy sukinsyny”. Przez minione sześć tygodni dozorczy traktowali go uprzejmie, a poza tym wyznawał zasadę, by utrzymywać z ludźmi dobre stosunki.

I naprawdę świetnie sobie z tym radził. Zdolności interpersonalne były częścią jego umiejętności zawodowych; właściwie były praktycznie całym zawodem.

Poza tym ci ludzie mieli grube kije. Dlatego dodał bardzo ostrożnie:

– Niektórzy mogliby uznać, że to okrucieństwo, panie Wilkinson.

– Owszem, drogi panie, spytaliśmy go o to, a on powiedział, że nie, wcale nie. Powiedział, że dostarcza... ter-rapii zajęciowej, zdrowych ćwiczeń fizycznych, chroni od przygnębienia, a także oferuje najwspanialszy ze wszystkich skarbów, jakim jest Nadzieja.

– Nadzieja – mruknął ponuro Moist.

– Nie złości się pan, prawda?

– Czemu miałbym się złościć, panie Wilkinson?

– Ostatni gość, którego mieliśmy w tej celi, zdołał wcisnąć się do tego ścieku, wie pan. Bardzo szczupły mężczyzna. Bardzo zwinny.

Moist spojrzał na niewielką kratkę w podłodze. Zrezygnował z niej od razu.

– Prowadzi do rzeki? – spytał.

Dozorca wyszczerzył zęby.

– Tak można by pomyśleć, prawda? Bardzo był zdenerwowany, kiedy go wyciągnęliśmy. Miło się przekonać, że wyczuwa pan ducha tej rozgrywki, drogi panie. Był pan przykładem dla nas wszystkich, kiedy pan nie rezygnował. Wcisnął pan cały pył do materaca? Bardzo sprytnie, bardzo porządnie. Elegancko. To była prawdziwa radość, mieć pana tutaj z nami. A

przy okazji, pani Wilkinson bardzo dziękuje za kosz owoców. Wytorny, nie ma co. Nawet kumkwaty w nim były!

– Nie ma o czym mówić, panie Wilkinson.

– Szef trochę się wkurzył o te kumkwaty, bo on w swoim miał tylko daktyle, ale wytłumaczyłem mu, że kosze z owocami są jak życie: dopóki nie zdejmie się z czubka ananasa, nigdy nie wiadomo, co się trafi. On też dziękuje.

– Cieszę się, że mu smakowały, panie Wilkinson – zapewnił odruchowo Moist.

Kilka jego byłych gospodyń przyniosło prezenty dla „tego biednego, zagubionego chłopca”, a Moist zawsze inwestował w szczodrość. W takiej karierze jak jego styl był najważniejszy.

– A trzymając się tego tematu, drogi panie... – ciągnął Wilkinson. – Zastanawialiśmy się z chłopcami, czy nie miałby pan ochoty, aby w tym momencie swego życia pozbyć się brzemienia wiedzy co do położenia miejsca, gdzie zlokalizowany jest punkt, w którym, żeby nie owijać w bawełnę, ukrył pan wszystkie te pieniądze, które pan ukradł...?

Więzienie zamilkło. Nawet karaluchy nasłuchiwały pilnie.

– Nie, nie mógłbym tego zrobić, panie Wilkinson – oznajmił głośno Moist po chwili niezbędnej dla efektu dramatycznego. Poklepał się po kieszeni kurtki, wystawił palec w górę i mrugnął.

Dozorcy się uśmiechnęli.

– Całkowicie zrozumiałem, drogi panie – zapewnił Wilkinson. – A teraz niech pan trochę odpocznie, bo wieszamy pana za pół godziny.

– Zaraz... Nie dostanę śniadania?

– Śniadanie podajemy dopiero o siódmej, drogi panie – z wyrzutem przypomniał dozorca.

– Ale wie pan co? Przygotuję sandwicza z bekonem. Robię to tylko dla pana, panie Spangler.

* * *

Pozostały już tylko minuty do świtu, a on był prowadzony krótkim korytarzem do niewielkiego pokoiku pod rusztowaniem. Uświadomił sobie, że patrzy na siebie z zewnątrz, jak gdyby część niego unosiła się obok ciała niczym dziecięcy balonik, gotów – tak trzeba to nazwać – zerwać się ze sznurka.

Pokoik rozjaśniało światło wpadające przez szczeliny w rusztowaniu nad głową, oraz – znacząco – wokół krawędzi dużej klapy w podłodze. Zawiasy tej klapy oliwił właśnie człowiek w kapturze. Przerwał pracę, kiedy zjawiała się grupa ze skazańcem.

– Dzień dobry, panie Spangler – powiedział. I grzecznie uniósł kaptur. – To ja, proszę pana, Daniel „Raz Spad” Trooper. Dzisiaj to ja będę pańskim katem. Proszę się niczym nie martwić, wieszalem już dziesiątki ludzi. Wyprawimy pana stąd raz-dwa.

– Czy to prawda, Dan, że kiedy człowieka trzy razy nie uda się powiesić, to zostaje ulaskawiony? – spytał Moist, gdy kat starannie wytarł ręce szmatą.

– Tak słyszałem, proszę pana, rzeczywiście tak słyszałem. Ale nie na darmo nazywają mnie Raz Spadem, wie pan... Czy życzy pan sobie czarny worek?

– A to pomaga?

– Niektórzy uważają, że wyglądają w nim bardziej stylowo. I wie pan, maskuje wytrzeszcz oczu. Właściwie to raczej taki rekwizyt dla widzów. A trzeba przyznać, że zebrał się dziś spory tłumek. W „Pulsie” puścili ładny kawałek o panu. Wielu ludzi opowiada, jakim pan był miłym młodym człowiekiem, i w ogóle. Ehm... Czy zechciałby pan z góry podpisać dla mnie powróż? Znaczy, potem już nie będę miał okazji, żeby pana poprosić, prawda?

– Podpisać powróż? – zdziwił się Moist.

– No tak – potwierdził kat. – Taka jakby tradycja. Wielu jest takich, którzy chętnie kupią używany powróż. Specyficzni kolekcjonerzy, można powiedzieć. Trochę to dziwaczne, ale każdy żyje po swojemu. Podpisany jest oczywiście wart o wiele więcej. – Szerokim gestem podsunął Moistowi zwój sztywnego powroza. – Mam specjalne pióro, które pisze po konopiach. Jeden podpis co parę cali, dobrze? Zwykły podpis, żadnych dedykacji. Dla mnie to sporo warte, wie pan... Bardzo będę wdzięczny.

– Czy aż tak wdzięczny, żeby mnie nie powiesić? – spytał Moist, sięgając po pióro.

Zyskał tym uprzejme śmieszki. Pan Trooper przyglądał się, jak stawia kolejne podpisy, i z zachwytem kiwał głową.

– Bardzo dobrze, proszę pana. Podpisuje pan mój program emerytalny. A teraz... wszyscy gotowi?

– Ja nie! – wykrzyknął pospiesznie Moist ku powszechnemu rozbawieniu.

– Prawdziwy z pana żartowniś, panie Spangler – stwierdził pan Wilkinson. – Bez pana nie będzie tu już tak samo, nie ma co.

– W każdym razie dla mnie na pewno nie – odparł Moist, co po raz kolejny uznano za znakomity żart. – Naprawdę sądzi pan, że to przeciwdziała przestępczości, panie Trooper?

– W ogólności... trudno powiedzieć, jako że trudno znaleźć dowody przestępstw niepopołnionych. – Kat jeszcze raz potrząsnął kłapą. – Ale w konkretach jest bardzo skuteczne.

– To znaczy?

– To znaczy, proszę pana, że jeszcze nikogo tu nie widziałem więcej niż raz. Pójdziemy już?

Kiedy wyszli na chłód poranka, nastąpiło niejaki poruszenie, rozległo się kilka „buu”, a nawet oklaski. Ludzie naprawdę dziwnie do tego podchodzili. Człowiek ukradł pięć dolarów i stawał się drobnym złodziejaskiem. Ale kiedy ukradł tysiąc dolarów, był albo rządem, albo bohaterem.

Moist patrzył przed siebie, słuchając odczytywanego spisu swoich występków. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że to straszna niesprawiedliwość. Nigdy przecież nawet nie puknął nikogo w głowę. Nawet drzwi nie wyłamał. Zdarzało się, że wytrychem otwierał zamki, ale zawsze je za sobą zamykał. A poza tym, że doprowadził do tych przejęć, bankructw i niewypłacalności, co tak naprawdę zrobił złego? Przesuwał tylko liczby...

– Niezły tłumek się zebrał – zauważył pan Trooper. Przerzucił powróz przez belkę i zajął się węzłami. – I sporo prasy. „Jaki Szafot?” oczywiście pisze o wszystkich egzekucjach, a tam jest „Puls” i „Herold Pseudopolis”, pewnie z powodu tego banku, co u nich upadł, a słyszałem też, że zjawił się ktoś z „Rynków Równin Sto”. Mają bardzo dobry dział finansowy, zawsze śledzę u nich ceny używanego powroza. Wygląda na to, proszę pana, że wielu ludzi chce pana zobaczyć martwego.

Moist zwrócił uwagę na czarny powóz, który zatrzymał się za grupą gapiów. Na drzwiach nie było herbu – chyba że ktoś znał pewien sekret lorda Vetinariego, ten mianowicie, że jego herbem była czarna tarcza. Czerń na czerni. Trzeba przyznać, że drań ma styl...

– He? – mruknął, czując szturchnięcie. – Co?

– Pytałem, czy chce pan wygłosić jakieś ostatnie słowa, panie Spangler – odparł kat. – Taki jest zwyczaj. Przygotował pan coś?

– Nie spodziewałem się śmierci – rzekł Moist.

To prawda. Nie spodziewał się aż do tej chwili. Był pewien, że coś się wydarzy.

– Niezła fraza, proszę pana – pochwalił Wilkinson. – Na tym skończymy, dobrze?

Moist zmrużył oczy. Zasłona w oknie powozu zakołysała się lekko. Drzwiczki się otworzyły. Nadzieja, ów najwspanialszy skarb, odważyła się błysnąć delikatnie.

– Nie, to nie są moje prawdziwe ostatnie słowa – powiedział. – Niech pomyślę...

Niewielka, urzędnicza postać wysiadała z powozu.

– Eee... Nie jest złą rzeczą to, co robię teraz... ehm...

Aha, teraz wszystko nabierało sensu. Vetinari postanowił go nastraszyć, to wszystko. To całkiem do niego podobne, sądząc z tego, co Moist o nim słyszał. A teraz nastąpi ułaskawienie!

– Ja... no bo... ja...

W dole urzędnik z trudem przeciskał się przez tłum.

– Czy mógłby pan się tak nie ociągać, panie Spangler? – odezwał się z wyrzutem kat. – Nie można przesadzać, prawda?

– Chcę, żeby dobrze zabrzmiały – odparł z godnością Moist, obserwując, jak niski człowiek próbuje okrążyć wielkiego trolla.

– No tak, proszę pana, ale są pewne granice – stwierdził kat, zirytowany tym naruszeniem etykiety. – W przeciwnym razie mógłby się pan tak zastanawiać, no... przez parę dni! Krótko i z wdziękiem, proszę pana, po tym się poznaje styl.

– Słusznie, słusznie – zgodził się Moist. – Eee... Ale widzisz tego człowieka na dole? Macha do ciebie.

Kat spojrział w dół. Urzędnik zdołał wreszcie przedostać się do pierwszego rzędu.

– Przynoszę wiadomość od lorda Vetinariego! – zawołał.

– Właśnie – mruknął Moist.

– Mówi, żeby brać się do roboty, słońce już dawno wzeszło! – oznajmił urzędnik.

– Och...

Moist popatrzył na czarny powóz. Ten przeklęty Vetinari miał też poczucie humoru godne dozorca.

– No dalej, panie Spangler, nie chce pan przecież, żebym miał kłopoty, prawda? – Kat poklepał go po ramieniu. – Tylko kilka słów, a potem możemy wracać do codziennego życia. Z wyjątkiem niektórych tu obecnych, naturalnie.

Czyli to koniec. W pewnym niezwykłym sensie niósł uwolnienie. Nie trzeba się więcej martwić o najgorsze, co może się zdarzyć, bo właśnie się zdarzyło i było już prawie załatwione. Dozorca miał rację. To, czego człowiek powinien w życiu dokonać, to przedostać się poza ananasa, tłumaczył sobie Moist. Ananas był duży, ostry i szorstki, ale pod spodem mogą czekać brzoskwinie... To był mit, dla którego można żyć – a zatem teraz całkowicie bezużyteczny.

– W takim razie – rzekł Moist von Lipwig – powierzam swą duszę dowolnemu bogu, który potrafi ją znaleźć.

– Ładne – uznał kat i pociągnął za dźwignię.

Albert Spangler umarł.

Wszyscy się zgodzili, że były to dobre ostatnie słowa.

* * *

– Ach, pan Lipwig – odezwał się daleki, lecz coraz bliższy głos. – Widzę, że jest pan przytomny. I nadal żywy, w chwili obecnej.

Lekki nacisk na ostatnią frazę zdradził Moistowi, że długość chwili obecnej jest całkowicie uzależniona od woli mówiącego.

Moist otworzył oczy. Siedział w fotelu. Przy biurku naprzeciwko niego, z dłońmi złożonymi refleksyjnie przed twarzą ze ściągniętymi wargami, siedział Havelock, lord Vetinari, pod którego idiosynkratycznie despotycznym panowaniem Ankh-Morpork stało się miastem, w którym – z jakiegoś powodu – wszyscy chcieli zamieszkać.

Pradawny zwierzęcy zmysł powiedział również Moistowi, że za jego wygodnym fotelem stoją ludzie, i że ów fotel może stać się całkiem niewygodny, gdyby Moist próbował jakichś gwałtownych ruchów. Ci ludzie jednak nie mogli być tak straszni, jak przyglądający mu się z

uwagą chudy mężczyzna w czarnej szacie, z pedantycznie przystrzyżoną brodą i dłońmi pianisty.

– Opowiedzieć panu o aniołach, panie Lipwig? – zaproponował uprzejmie Patrycjusz. – Znam dwa interesujące fakty na ich temat.

Moist stęknął. Przed sobą nie widział żadnych realnych możliwości ucieczki, a obejrzenie się za siebie nie wchodziło w grę – okropnie bolała go szyja.

– O tak. Został pan powieszony – oświadczył Vetinari. – Wieszanie to bardzo ścisła nauka, a pan Trooper jest mistrzem. Śliskość i grubość powrozu, czy węzeł umieszczony jest tutaj, zamiast tam, związek między ciężarem a odległością... Och, jestem pewien, że ten człowiek mógłby napisać książkę. Został pan powieszony i znalazł się pan o pół cala od śmierci. Tylko ekspert stojący tuż obok pana mógłby to stwierdzić, a tym ekspertem był nasz przyjaciel, pan Trooper. Nie, panie Lipwig, Albert Spangler nie żyje. Trzystu ludzi przysięgnie, że widziało, jak umiera. – Pochylił się. – A zatem, odpowiednio do sytuacji, chcę teraz z panem pomówić o aniołach.

Moist zdołał stęknąć.

– Pierwszy interesujący fakt dotyczący aniołów, panie Lipwig, jest taki, że czasami, bardzo rzadko, w takim punkcie kariery człowieka, który zmienił swoje życie w tak niesamowitą i skomplikowaną płataninę, że śmierć wydaje się jedynym rozwiązaniem, pojawia się przed nim... czy też, powinienem powiedzieć, jemu się pojawia... anioł. I daje mu szansę, by cofnąć się do chwili, gdy wszystko poszło nie tak, i tym razem zrobić to jak należy. Panie Lipwig, chciałbym, żeby uważał mnie pan... za anioła.

Moist wytrzeszczał oczy. Czuł przecież, jak napina się powróż, jak dusi go pętla... Widział, jak wzbiera ciemność... Przecież umarł!

– Proponuję panu pracę, panie Lipwig. Albert Spangler spoczął w grobie, ale pan Lipwig ma przed sobą przyszłość. Oczywiście może się okazać wyjątkowo krótka, to zależy od jego decyzji. No więc proponuję panu posadę, panie Lipwig. Pracę, za pensję. Domyślam się, że ta koncepcja nie jest panu znajoma...

Wyłącznie jako forma piekła, pomyślał Moist.

– Chodzi o posadę naczelnego poczmistrza w Urzędzie Pocztowym Ankh-Morpork.

Moist patrzył nieruchomo.

– Chcę też dodać, panie Lipwig, że za panem są drzwi. Jeśli w dowolnym momencie zechce pan przerwać naszą rozmowę, wystarczy, że wyjdzie pan tymi drzwiami, a już nigdy więcej nie pan ode mnie nie usłyszy.

Moist zanotował to w pamięci, w przegródce „bardzo podejrzane”.

– Wracając do rzeczy... Pańskie obowiązki, panie Lipwig, obejmują odtworzenie i prowadzenie służby pocztowej w mieście, przygotowanie przesyłek międzynarodowych, konserwacja własności Urzędu Pocztowego i tak dalej, i tym podobnie...

– A jeśli wetkniecie mi miotłę w tyłek, to mogę jeszcze zamiatać podłogę – wtrącił ktoś.

Moist uświadomił sobie, że sam to powiedział. W mózgu miał chaos. Szokiem okazało się odkrycie, że tak właśnie wygląda tamten świat.

Lord Vetinari przyglądał mu się długo i z uwagą.

– Jeśli pan sobie życzy... – mruknął. Zwrócił się do stojącego obok urzędnika. – Drumknott, czy gospoia ma na tym piętrze komórkę ze sprzętem?

– Tak jest, wasza lordowska mość – zapewnił urzędnik. – Czy mam...?

– To był żart! – wybuchnął Moist.

– Och, przepraszam... Nie zrozumiałem. – Vetinari znów na niego spojrział. – Proszę koniecznie uprzedzić, jeśli zechce pan rzucić kolejny. Będę wdzięczny.

– Proszę posłuchać, nie wiem, co się tu dzieje, ale zupełnie się nie znam na doręczaniu poczty!

– Panie Lipwig, dziś rano zupełnie się pan nie znał na byciu martwym, a jednak, gdyby nie moja interwencja, doskonale by pan sobie z tym poradził – przypomniał surowo lord Vetinari. – Z czego wynika, że człowiek nie wie, dopóki nie spróbuje.

– Ale kiedy mnie pan skazał...

Vetinari uniósł bladą dłoń.

– Och? – powiedział.

Mózg Moista, w końcu pojawiający, że musi trochę popracować, wtrącił się i poprawił:

– No... kiedy pan skazał... Alberta Spanglera...

– Brawo. Proszę dalej.

– ...mówił pan, że to urodzony przestępca, oszust z powołania, notoryczny kłamca, przewrotny geniusz i człowiek absolutnie niegodny zaufania.

– Czy przyjmuje pan moją propozycję, panie Lipwig? – spytał ostro Vetinari.

Moist spojrział na niego.

– Przepraszam – rzekł, wstając. – Chcę tylko coś sprawdzić.

Za jego fotelem stało dwóch ludzi w czerni. Nie była to szczególnie elegancka czerń, raczej taka noszona przez ludzi, którzy nie chcą, żeby na ubraniu było widać drobne ślady. Wyglądali na urzędników, dopóki człowiek nie spojrział im w oczy.

Odstąpili na bok, kiedy Moist ruszył w stronę drzwi, które istotnie – zgodnie z obietnicą – tam były. Otworzył je bardzo ostrożnie. Za nimi nie znalazł niczego, w tym również podłogi. Jak ktoś, kto chce wypróbować wszystkie możliwości, wyjął z kieszeni pozostałość po łyżce i upuścił ją. Minęła długa chwila, zanim usłyszał brzęk.

Wrócił i usiadł w fotelu.

– Perspektywa wolności? – zapytał.

– Właśnie – potwierdził Vetinari. – Zawsze jest wybór.

– To znaczy... mogłem wybrać pewną śmierć?

– Ale jednak wybór. Czy może alternatywa. Widzi pan, panie Lipwig, wierzę w wolność. Niewielu ludzi w nią wierzy, choć oczywiście wszyscy twierdzą, że tak. A żadna praktyczna

definicja wolności nie byłaby zupełna bez wolności przyjmowania konsekwencji. W rzeczy samej, jest to wolność, na której opierają się wszystkie pozostałe. A więc... bierze pan tę posadę? Jestem pewien, że nikt pana nie rozpozna. Nikt nigdy pana nie rozpoznaje, mam wrażenie.

Moist wzruszył ramionami.

– Och, niech będzie. Oczywiście, przyjmuję ją jako urodzony przestępca, oszust z powołania, notoryczny kłamca i absolutnie niegodny zaufania przewrotny geniusz.

– Wspaniale! Witam w służbie państwowej! – Vetinari wyciągnął rękę. – Szczycę się tym, że potrafię dobrać ludzi. Pensja dwadzieścia dolarów tygodniowo; o ile pamiętam, naczelny poczmistrz ma prawo korzystać z niewielkiego mieszkania w budynku poczty. Chyba przysługuje mu też kapelusz. Oczekuję regularnych raportów. Do widzenia.

Schylił głowę nad papierami. Uniósł głowę.

– Wydaje się, że wciąż pan tu jest, naczelny poczmistrzu.

– To wszystko? – spytał osłupiały Moist. – W jednym momencie mnie wieszają, a w następnym mnie pan zatrudnia?

– Niech pomyślę... Tak, chyba tak. Och, nie. Oczywiście. Drumknott, przekaz panu Lipwigowi klucze.

Urzędnik podszedł i wręczył Moistowi wielki zardzewiały pierścień pełen kluczy. Podsunął jakiś papier.

– Proszę tu popisać, naczelny poczmistrzu – poprosił.

Chwileczkę, pomyślał Moist. To przecież tylko jedno miasto. Ma bramy. Jest całkowicie otoczone innymi kierunkami ucieczki. Czy to ważne, co tutaj wpiszę? Nabazgrał swój podpis.

– Prawdziwym nazwiskiem, jeśli można – rzucił Vetinari, nie odrywając wzroku od papierów. – Jak się podpisał, Drumknott?

Urzędnik wyciągnął szyję.

– Ethel Snake, wasza lordowska mość, o ile dobrze odczytuję.

– Proszę się skoncentrować, panie Lipwig – powiedział znużony Vetinari, wciąż na pozór czytając dokumenty.

Moist podpisał jeszcze raz. W końcu jakie to ma znaczenie na dalszą metę? A jego meta z pewnością będzie bardzo daleko, zwłaszcza jeśli uda się zdobyć konia.

– To pozostawia jedynie kwestię pańskiego kuratora – dodał jeszcze lord Vetinari, nadal pochłonięty treścią leżącego przed nim dokumentu.

– Kuratora?

– Tak. Nie jestem zupełnie głupi, panie Lipwig. Za dziesięć minut spotka się z panem przed budynkiem Urzędu Poczтового. Życzę miłego dnia.

Kiedy Moist wyszedł, Drumknott odchrząknął grzecznie.

– Czy wasza lordowska mość sądzi, że on się tam pojawi?

– Zawsze należy uwzględniać psychologię danego osobnika – odparł Vetinari, poprawiając ortografię oficjalnego raportu. – To właśnie robię przez cały czas, a ubolewam nad tym, że ty, Drumknott, wcale nie zawsze. I właśnie dlatego on wyszedł z twoim ołówkiem.

* * *

Zawsze poruszaj się szybko. Nigdy nie wiesz, co cię dogania.

Dziesięć minut później Moist von Lipwig był już daleko poza miastem. Kupił konia, co było nieco kłopotliwe, ale szybkość uznał za kluczową, a miał czas wyjąć pieniądze z jednego tylko awaryjnego tajnego schowka. Dostał za nie chudą chabetę w Boksie Promocji w Stajni Hobsona. Przynajmniej miał pewność, że żaden rozwścieczony obywatel nie pobiegnie do Straży Miejskiej.

Nikt go nie zaczepiał. Nikt nawet nie spojrział na niego po raz drugi; nigdy nikt nie spoglądał. Bramy miejskie były rzeczywiście szeroko otwarte. Równiny rozciągały się przed nim pełne możliwości. A on miał wielką wprawę w zamianie niczego w coś. Na przykład w pierwszym miasteczku, do którego dotrze, zabierze się do pracy nad tą starą szkapą, z użyciem kilku prostych metod i składników, które podwoją jej wartość, przynajmniej na jakieś dwadzieścia minut albo dopóki nie zacznie padać. Dwadzieścia minut to dość czasu, by sprzedać zwierzę i przy odrobinie szczęścia kupić lepsze, warte trochę więcej niż żądana cena. Powtórzy ten zabieg w następnym miasteczku, a po trzech dniach, może czterech, będzie miał konia wartego zatrzymania przy sobie.

Ale to tylko uboczne zajęcie, żeby ręce nie próżnowały. Miał też trzy prawie diamentowe pierścienie pod podszewką płaszcza, jeden prawdziwy w kieszonce w rękawie i wszytego sprytnie w kołnierz prawie złotego dolara. Były dla niego tym, czym dla cieśli piła i młotek. Choć prymitywne, narzędzia te pozwalały mu wrócić do gry.

Jest takie powiedzenie: „Nie da się oszukać uczciwego człowieka”. Często cytują je ci, którzy wygodnie żyją z oszukiwania uczciwych ludzi. Moist nigdy tego świadomie nie próbował. Oszukany uczciwy człowiek miał skłonność do biegania na skargę do lokalnej straży, a strażnicy ostatnio byli trudniejsi do kupienia. Oszukiwanie człowieka nieuczciwego było o wiele bezpieczniejsze i w pewnym sensie bardziej sportowe. No i oczywiście takich ludzi było o wiele więcej. Nie musiał nawet specjalnie szukać...

Pół godziny po przybyciu do miejscowości Hapley, skąd wielkie miasto widoczne było tylko jako kolumna dymu na horyzoncie, siedział ze smętną miną, mając jedynie autentyczny pierścień z brylantem, wart sto dolarów, oraz gwałtowną potrzebę dotarcia do Genoi, gdzie jego biedna matka konała na gzy. Jedenaście minut później czekał cierpliwie przed warsztatem jubilerskim, w którym jubiler zapewniał współczującego obywatela, że pierścień, który ten obcy chce sprzedać za dwadzieścia dolarów, wart jest w rzeczywistości

siedemdziesiąt pięć (nawet jubilerzy muszą z czegoś żyć). A trzydzieści pięć minut później wyjeżdżał już na lepszym koniu, z pięcioma dolarami w kieszeni. Za sobą zostawił zadowolonego z siebie współczującego obywatela, który – mimo że miał dość rozumu, by pilnie obserwować ręce Moista – za chwilę wróci pewnie do jubilera i spróbuje sprzedać za siedemdziesiąt pięć dolarów błyszczący mosiężny pierścionek ze szkiełkiem, wart w najlepszym razie pięćdziesiąt pensów.

Świat był cudownie wolny od ludzi uczciwych, a wspaniale pełen takich, którzy wierzą, że potrafią odróżnić człowieka uczciwego od oszusta.

Moist poklepał się po kieszeni surduta. Dozorcy odebrali mu mapę, naturalnie, prawdopodobnie wtedy, kiedy zajmował się byciem martwym. To była dobra mapa i studiując ją, pan Wilkinson i jego koledzy wiele się dowiedzą o szyfrowaniu, geografii i zdradzieckiej kartografii. Nie znajdą na niej lokalizacji około 150 tysięcy dolarów w rozmaitych walutach, ponieważ mapa była całkowitą i wyrafinowaną fikcją. Jednakże Moista ogarniało przyjemne ciepło na myśl o tym, że na pewien czas posiadą oni największy ze wszystkich skarbów, jakim jest Nadzieja. Jego zdaniem każdy, kto nie potrafi normalnie zapamiętać, gdzie ukrył takie wielkie skarby, zasługuje na ich utratę. Na razie jednak powinien trzymać się od nich z daleka, jednocześnie mając do czego dążyć...

Nie zadał sobie nawet trudu, żeby poznać nazwę następnego miasteczka. Miało gospodę, to mu wystarczyło. Wynajął pokój z widokiem na pusty zaułek, sprawdził, czy okno łatwo się otwiera, zjadł porządną kolację i wcześniej położył się spać.

Całkiem nieźle, myślał. Rankiem stał na szafocie z prawdziwym stryczkiem na szyi, wieczorem wrócił do interesów. Teraz musi tylko znowu zapuścić brodę i przez sześć miesięcy trzymać się z daleka od Ankh-Morpork. A może wystarczą trzy.

Moist miał talent. Opanował też liczne umiejętności tak dogłębnie, że stały się jego drugą naturą. Nauczył się być sympatyczny, ale coś wynikającego z genów czyniło go niezapadającym w pamięć. Posiadał talent pozostawiania niezauważonym, bycia twarzą w tłumie. Ludzie mieli kłopoty, kiedy próbowali go opisać. Był... „mniej więcej”. W wieku mniej więcej dwudziestu lat, a może mniej więcej trzydziestu. W raportach straży na całym kontynencie miał wzrost praktycznie dowolny, od... och, mniej więcej sześciu stóp i dwóch cali do mniej więcej pięciu stóp i dziewięciu cali, z włosami we wszystkich odcieniach od brązowych do blond, a brak znaków szczególnych obejmował całą twarz. Był mniej więcej... przeciętny. Ludzie zapamiętywali dodatki, takie jak wąsy czy okulary, więc zawsze nosił spory zbiór jednych i drugich. Pamiętali też nazwiska i manieryzmy – tych miał setki.

Och, pamiętali również, że byli bogatsi, zanim go spotkali.

O trzeciej w nocy rozpadły się drzwi. To był prawdziwy wybuch, aż drzazgi stuknęły o ściany. Ale Moist wyskoczył z łóżka i skakał już przez okno, zanim jeszcze pierwsza drzazga spadła na podłogę. Była to reakcja automatyczna, całkowicie niezależna od myśli. Poza tym wieczorem sprawdził, że na dole stoi kadz z deszczówką, która wyhamuje upadek.

Teraz jej tam nie było.

Ktokolwiek jednak ją ukraść, pozostawił nienaruszony grunt, na którym stała. A grunt pewnie wyhamował upadek. Przy tym Moist skrzył nogę w kostce.

Wstał z trudem i pojękując cicho z bólu, opierając się o ścianę, pokuścił uliczką. Stajnia gospody była na tyłach, musiał tylko wciągnąć się na konia, dowolnego konia...

– Panie Lipwig! – zahuczał potężny, bardzo potężny głos.

O bogowie, to troll... na pewno troll, i to wielki, trudno pojąć, skąd się taki wziął na równinach, poza wielkimi miastami...

– Nie Może Pan Uciekać I Nie Może Się Pan Chować, Panie Lipwig!

Zaraz, zaraz, przecież nikomu tutaj nie podał swojego prawdziwego nazwiska, prawda? Ale wszystkie te myśli toczyły się gdzieś w tle. Ktoś go ścigał, a więc trzeba uciekać. A raczej odskakiwać.

Kiedy dotarł do tylnej bramy, prowadzącej do stajni, zaryzykował spojrzenie za siebie. W jego pokoju coś jarzyło się czerwienią. Przecież chyba nie chcą spalić tej gospody z powodu kilku dolarów? To głupie! Wszyscy wiedzą, że jeśli wciśnie się człowiekowi dobrą podróbkę, ten ktoś usiłuje ją jak najszybciej pchnąć innemu naiwniakowi, prawda? Ale niektórzy są odporni na wiedzę...

Jego koń był jedynym w stajni i przybycie właściciela nie zrobiło na nim wrażenia. Skacząc na jednej nodze, Moist założył mu uzdę. Nie warto było przejmować się siodłem. Potrafił jeździć bez siodła. Do licha, kiedyś jechał też bez spodni, ale na szczęście smoła i pierze pomogły utrzymać się na końskim grzbiecie. Był mistrzem w pospiesznym opuszczaniu miast.

Kiedy spróbował wyprowadzić zwierzę z boksu, usłyszał brzęk.

Spojrzał w dół i odgarnął trochę siana.

Zobaczył jaskrawożółty pręt łączący dwa krótkie kawałki łańcucha z żółtymi zamykanymi pierścieniami, po jednym na każdą przednią nogę. Koń, by się poruszać, musiałby podskakiwać – tak samo jak on.

Zaklamrowali go! Założyli blokadę, dranie!

– Och, Panie Lipppppwwig! – Głos odbił się echem na dziedzińcu przed stajnią. – Chce Pan Poznać Reguły, Panie Lipwig?

Moist rozejrzał się w desperacji. Nie zauważył tu nic, czego mógłby użyć jako broni, a zresztą broń budziła w nim zdenerwowanie – dlatego nigdy jej nie nosił. Broń zbyt wysoko podnosiła stawkę. O wiele lepiej polegać na umiejętności gładkiego gadania i mącenia sprawy, a jeśli to nie pomoże – na butach z dobrymi podeszwami i okrzyku „Patrzenie, co tam jest!”.

Teraz jednak miał silne przeczucie, że może sobie gadać, ile tylko zechce – nikt nie będzie go słuchał. Co do ucieczki, musiał polegać na podskakiwaniu.

Zauważył w kącie miotłę i drewniany cebrzyk do karmienia zwierząt. Koniec miotły wcisnął sobie pod pachę jak kulę, chwycił cebrzyk. Ciężkie kroki zbliżyły się do bramy stajni. A kiedy wrota się otworzyły, uderzył cebrzykiem jak najmocniej. Drzazgi pofrunęły na wszystkie strony. Chwilę później zabrzmiał głuchy łomot padającego na ziemię ciała.

Moist przeskoczył nad nim i niepewnie pokuśtykał w ciemność.

Coś twardego i mocnego jak pierścień blokady pochwyciło go nagle za zdrową kostkę. Przez chwilę trzymał się jeszcze miotły, ale w końcu upadł.

– Mam Dla Pana Uczucia Jedynie Sympatii, Panie Lipwig! – usłyszał huczący, uprzejmy głos.

Jęknął. Tę miotłę trzymali tu pewnie dla ozdoby, ponieważ z całą pewnością nie była często używana na osadach z nawierzchni dziedzińca. Zaletą tego był fakt, że upadł w coś miękkiego. Wadą – że upadł w coś miękkiego.

Ktoś złapał go za kłapy i uniósł z nawozu.

– No To Wstajemy, Panie Lipwig!

– To się wymawia Lipwig, ty durniu! – stęknął Moist. – Przez v, nie przez w!

– No To Vstajemy, Panie Lipwig! – poprawił się potężny głos.

Moist poczuł, że ktoś wciska mu miotłę pod pachę.

– Coś ty za jeden, u licha? – wykrztusił.

– Jestem Pańskim Kuratorem Sądowym, Panie Lipwig!

Moist zdołał się odwrócić i spojrział w górę, a potem jeszcze wyżej, na oblicze jak u piernikowego ludzika, z parą rozjarzonych czerwonych ślepi. Kiedy stwór mówił, usta pozwalały zajrzeć w ogniste piekło.

– Golem? Jesteś przeklętym golemem!

Stwór podniósł go jedną ręką i zarzucił sobie na ramię. Potem pochylił się we wrotach stajni i Moist, głową w dół, z nosem wciśniętym w terakotowy korpus, uświadomił sobie, że golem w drugą rękę chwytła konia. Usłyszał krótkie rzenie.

– Musimy Się Spieszyć, Panie Lipwig. Ma Pan Stanąć Przed Lordem Vetinarim O Ósmej! I Być V Pracy Na Dziewiątą.

Moist jęknął.

* * *

– Ach, panie Lipwig, niestety znów się spotykamy – powiedział lord Vetinari.

Minęła ósma rano. Moist chwiał się na nogach. Kostka była już w lepszym stanie, jako jedyna z części jego ciała.

– To szło przez całą noc! – oświadczył. – Całą nieszczęsną noc! I niosło też konia!

– Proszę usiąść, panie Lipwig. – Vetinari wyprostował się nad stolikiem i ze zmęczeniem wskazał krzesło. – Przy okazji, to nie jest „to”, ale „on”. Tytuł oczywiście czysto grzecznościowy, ale wiąże wielkie nadzieje z panem Pompą.

Moist zobaczył czerwony poblask na ścianach, gdy golem za jego plecami się uśmiechnął.

Vetinari znów popatrzył na stół i na chwilę jakby stracił zainteresowanie Moistem. Większą część blatu zajmowała kamienna płyta zastawiona figurkami trolli i krasnoludów. Wyglądało to na jakąś odmianę gry.

– Pan Pompa? – powtórzył Moist.

– Hmm? – wymruczał Vetinari.

Przesunął trochę głowę, by spojrzeć na planszę z innego punktu widzenia.

Moist pochylił się do Patrycjusza i wskazał kciukiem golema.

– To coś – spytał cicho – jest panem Pompą?

– Nie. – Vetinari także się pochylił i nagle, całkowicie i niepokojąco, skoncentrował uwagę na rozmówcy. – On... to pan Pompa. Pan Pompa jest urzędnikiem państwowym. Pan Pompa nie śpi. Pan Pompa nie je. I pan Pompa, panie naczelny poczmistrzu, nie da się zatrzymać.

– Co to znaczy, tak dokładnie?

– To znaczy, że jeśli myśli pan, powiedzmy, o znalezieniu statku, który płynie do Czteriksów, bo przecież pan Pompa jest wielki, ciężki i porusza się tylko powolnym krokiem, to pan Pompa ruszy za panem. Pan musi spać, on nie. Ani oddychać. Głębokie otchłanie oceanów nie są dla niego przeszkodą. Cztery mile na godzinę to sześćset siedemdziesiąt dwie mile tygodniowo. Wszystko się sumuje. A kiedy pan Pompa pana schwyta...

– Jedną chwilę. – Moist wystawił palec do góry. – Pozwoli pan, że w tym miejscu przerwę. Wiem, że goleom nie wolno krzywdzić ludzi.

Vetinari uniósł brwi.

– Wielkie nieba, gdzie pan coś takiego usłyszał?

– Mają to zapisane na... na tym czymś w głowach. Zwoju czy coś... Prawda? – Moist czuł się coraz bardziej niepewnie.

– Ojej... – Patrycjusz westchnął. – Panie Pompa, niech pan złamie panu Lipwigowi jeden palec. Czysto, jeśli można.

– Tak, wasza lordowska mość.

Golem ruszył naprzód.

– Zaraz! Nie! Co? – Moist zamachał gwałtownie rękami i strącił z planszy kilka figur. – Czekać! Czekać! Przecież jest taka reguła! Golem nie może skrzywdzić człowieka ani pozwolić, by człowiekowi stała się krzywda!

Lord Vetinari uniósł palec.

– Proszę chwilę zaczekać, panie Pompa. Bardzo dobrze, panie Lipwig. A pamięta pan następny fragment?

– Następny fragment? Jaki następny fragment? Przecież potem już nic nie ma!

Vetinari uniósł brew.

– Panie Pompa...

– „...Chyba Że Na Polecenie Prawowicie Ustanowionej Władzy” – dokończył golem.

– Nigdy tego wcześniej nie słyszałem! – zawołał Moist.

– Nie? – spytał pozornie zdziwiony Vetinari. – Trudno sobie wyobrazić, kto mógłby zapomnieć o dołączeniu tego warunku. Nie pozwalamy przecież młotkowi na odmowę uderzenia gwoźdźcia w główkę czy pile na dokonywanie ocen moralnych dotyczących natury drewna. Zresztą gdyby nawet, to zatrudniam przecież pana Troopera, kata, którego pan już poznał, naturalnie, Straż Miejską, regimenty, a niekiedy także... innych specjalistów, którzy są w pełni uprawnieni, by zabijać w obronie własnej oraz miasta i jego interesów. – Vetinari zaczął podnosić figury i starannie ustawiać je z powrotem na kamiennej płycie. – Czemuż pan Pompa miałby być inny tylko dlatego, że zbudowany jest z gliny? W ostatecznym rachunku my wszyscy jesteśmy z tej samej gliny. Pan Pompa będzie panu towarzyszył do miejsca pracy. Oficjalnie jest pana ochroną, należną urzędnikowi państwowemu wysokiej rangi. Tylko my będziemy wiedzieli, że odebrał również... dodatkowe instrukcje. Golemy są istotami z natury wysoce moralnymi, panie Lipwig, jednak może pan uznać ich moralność za odrobinę... staroświecką?

– Dodatkowe instrukcje? – spytał Moist. – A czy nie mógłby mi pan dokładniej wyjaśnić, czego te dodatkowe instrukcje dotyczą?

– Tak.

Patrycjusz zdmuchnął drobinę kurzu z małego kamiennego trolla i postawił go w odpowiednim kwadracie.

– I...? – odezwał się Moist po chwili milczenia.

– Tak, rzeczywiście nie mógłbym dokładniej wyjaśnić, czego te dodatkowe instrukcje dotyczą. W tej kwestii nie ma pan żadnych praw. Przy okazji, skonfiskowaliśmy pańskiego konia, ponieważ był używany jako narzędzie przestępstwa.

– To okrutna i niezwykła kara!

– Doprawdy? – zdziwił się Vetinari. – Proponuję panu lekką pracę za biurkiem, stosunkową swobodę ruchów, świeże powietrze... Owszem, moja oferta jest być może niezwykła, ale okrutna? Nie wydaje mi się. Jednakże, o ile pamiętam, mamy w piwnicach pewne dawne środki wymierzania kar, niezwykle wręcz okrutnych i w wielu przypadkach dość niezwykłych... Gdyby miał pan ochotę, może je pan wypróbować dla porównania. Oczywiście, zawsze pozostaje jeszcze możliwość zatańczenia sizalowej polki.

– Czego? – Moist nie zrozumiał.

Drumknott pochylił się i szepnął coś do ucha pracodawcy.

– Och, najmocniej przepraszam – powiedział Vetinari. – Chodziło mi o konopne fandango, oczywiście. Wybór należy do pana, panie Lipwig. Zawsze ma się jakiś wybór, panie Lipwig. Aha, przy okazji... Wie pan, jaki jest drugi interesujący fakt dotyczący aniołów?

– Jakich aniołów? – burknął Moist, zirytowany i oszołomiony.

– Coś takiego... Ludzie zwyczajnie nie słuchają – westchnął Vetinari. – Pamięta pan? Pierwszy interesujący fakt dotyczący aniołów? Mówiłem o nim wczoraj. Zapewne myślał pan wtedy o czymś innym. Otóż drugi interesujący fakt dotyczący aniołów, panie Lipwig, jest taki, że zjawiają się tylko raz.

Rozdział drugi

Urząd Pocztowy

*W którym spotykamy Personel – Ni ś ie , ni mrok – Dysertacja na temat slangu rymowego –
„Szkoa, że tam pana nie było!” – Martwe listy – Życie golema – Regulamin*

Zawsze jest jakieś wyjście. Zawsze jest jakaś cena. Zawsze jest jakiś sposób. Można spojrzeć na to tak, że pewna śmierć została zmieniona na niepewną śmierć, myślał Moist. A to o wiele lepsze, prawda? Mogę chodzić, dokąd zechcę... no, na razie tylko kuśtykać. I było przecież możliwe, że gdzieś w tym wszystkim kryje się zysk. To przecież niewykluczone. Moist potrafił dostrzec możliwości tam, gdzie inni widzieli tylko nagą ziemię. A więc na pewno nie zaszkodzi, jeśli przez parę dni będzie grał czysto, prawda? Da swojej kostce czas na wydobrzenie, rozejrzy się w sytuacji, ułoży jakieś plany. Może nawet się przekonać, jak bardzo niezniszczalne są golemy. W końcu są przecież zrobione z gliny. Mogą się rozbić – zapewne.

Moist von Lipwig uniósł głowę i przyjrzał się swojej przyszłości.

Centralny Urząd Pocztowy w Ankh-Morpork miał dość skromny fronton. Budynek został zaprojektowany do konkretnego celu. Był zatem, mniej więcej, wielkim klockiem, w którym mogli pracować ludzie, z dwoma skrzydłami na tyłach, okrążającymi wielki dziedziniec, stajnie i wozownie. Kilka tanich kolumn zostało rozciętych na połowy i przyklejonych do muru, wydłubano kilka nisz dla rozmaitych kamiennych nimf, kilka kamiennych urn rozstawiono wzdłuż krawędzi dachu – i w ten sposób została stworzona Architektura.

Oddając hołd idei, która temu przyświecała, dobrzy obywatele, czy też raczej ich dzieci, do wysokości sześciu stóp pokryli ściany graffiti w wielu ekscytujących kolorach.

Na wstędze biegnącej wzdłuż całego frontonu, urozmaicającej szarość kamieni brunatną i zieloną barwą, umieszczono słowa wypisane odlanymi z brązu literami.

– DESZCZ NI Ś IE , NI MROK NOCY N E PRZESZKODZĄ POSŁ ŃCOM W WYPEŁ
ENIU OBOWIĄZK – przeczytał głośno Moist. – Co to niby oznacza?

– Urząd Pocztowy Był Kiedyś Dumną Instytucją – odparł pan Pompa.

– A to wszystko? – Moist wskazał ręką.

Na panelu o wiele niżej, łuszczącą się farbą, wypisano mniej heroiczne słowa:

ALE LEPIEJ NIE PYTAJ O:

skąły

trolle z kijami

wszelkiego typu smoki

panią Cake

wjelkie zielone stwory z zembami

dowolne odmiany czarnych psów z pomarańczowymi brwiami

stada spanieli

mgłę

panią Cake

– Mówiłem, Że To Była Dumna Instytucja – zahuczał golem.

– Kto to jest pani Cake?

– Żałuję, Ale Nie Mogę Panu Pomóc, Panie Lipvig.

– Wydaje się, że bardzo się jej bali.

– Można Tak Sądzić, Panie Lipvig.

Moist rozejrzał się po tej ruchliwej okolicy ruchliwego miasta. Ludzie nie zwracali na niego uwagi, choć golem ścigał przelotne spojrzenia, które nie wydawały się przyjazne.

Wszystko to było dziwaczne. Miał – ile? – czternaście lat, kiedy ostatni raz użył swojego prawdziwego nazwiska. A niebiosa tylko pamiętają, ile lat minęło, odkąd ostami raz wyszedł na ulicę bez jakiegoś łatwo usuwalnego znaku szczególnego. Czuł się nagi. Nagi i niedostrzegany.

Nie budząc absolutnie niezłego zainteresowania, wspiał się na brudne stopnie i przekręcił klucz w zamku. Ku jego zaskoczeniu klucz obrócił się łatwo, a poplamione farbą drzwi otworzyły się bez zgrzytu.

Za Moistem rozległ się rytmiczny, głuchy dźwięk – pan Pompa klaskał w dłonie.

– Bravo, Panie Lipvig. Pański Pierwszy Krok V Karierze, Która Przyniesie Korzyść Panu I Całemu Miastu!

– Akurat... – mruknął Moist.

Wkroczył do wielkiego, mrocznego holu, dokąd światło wpadało jedynie przez dużą, ale brudną szklaną kopułę w suficie. W najlepszym razie panował tu tylko zmierzch, nawet w południe. Artyści graffiti pracowali również tutaj.

W półmroku widział długi, przełamany kontuar, a za nim drzwi i rzędy skrytek.

Dosłownie skrytek – skrywały się w nich gołębie. Powietrze wypełniał ostry, słony zapach starego guana. Kiedy pod stopami pana Pompy zadźwięczały marmurowe płyty

podłogi, kilkaset gołębi wleciało gorączkowo i spiralami wzniosło się ku wybitej szybie w dachu.

– Gówniana sytuacja – stwierdził Moist.

– Vulgarny Język Nie Jest Akceptowany, Panie Lipvig – upomniał go z tyłu pan Pompa.

– Czemu? Jest przecież wypisany na ścianach! Zresztą to ścisły opis, panie Pompa. Guano! Są go tutaj całe tony! – Moist usłyszał echo własnego głosu odbijającego się od dalekich murów. – Kiedy poczta była ostatnio otwarta?

– Dwadzieścia lat temu, poczmistrzu.

Moist obejrzał się nerwowo. Głos zdawał się dobiegać ze wszystkich stron.

– Kto to powiedział?

Rozległo się szuranie, zastukała laska na marmurze i w szarym, martwym, stęchłym powietrzu pojawiła się przygarbiona, wiekowa postać.

– Groat, sir – wyrzęziła. – Młodszy listonosz Groat, sir. Do usług. Wystarczy jedno słowo, sir, a skoczę, rzucę się do działania.

Postać przerwała i zaczęła kaszleć, długo i głośno, wydając dźwięki, jakby ktoś raz za razem uderzał w mur workiem pełnym kamieni. Moist zauważył, że staruszek ma brodę krótką i sterczącą, sugerującą, że jej właściciela oderwano właśnie od zjadania jeża.

– Młodszy listonosz Groat? – powtórzył.

– Rzeczywiście, sir. A to z takiego powodu, że nikt tu nie siedział dość długo, coby mi dać awans. Powinienem już być starszym listonoszem Groatem, sir – dodał znacząco staruszek i raz jeszcze zakaszlał wulkanicznie.

Raczej byłym listonoszem Groatem, pomyślał Moist.

– Pracujecie tutaj, tak?

– Tak, sir, to właśnie robimy. Teraz już tylko ja i chłopak, sir. Pracowity jest. Razem tu sprzątam, sir. Wszystko zgodnie z regulaminem.

Moist nie mógł oderwać od niego oczu. Pan Groat nosił tupecik. Może rzeczywiście istnieje gdzieś człowiek, któremu w tupeciku jest do twarzy, ale na pewno nie był nim pan Groat. Tupecik miał kolor kasztanowy, rozmiar niewłaściwy, kształt niewłaściwy, styl niewłaściwy i w ogóle był po prostu niewłaściwy.

– Aha, widzę, że pan podziwia moje włosy, sir – rzekł dumnie Groat, a tupecik przekreślił się nieco. – Wszystkie moje własne, wie pan, żadne śliwki.

– Śliwki? – zdziwił się Moist.

– Przepraszam, sir, nie powinienem mówić slangiem. Śliwki jak w „syropie ze śliwki”, sir. Taki slang z Przyćmionej*. Syrop ze śliwki: peruka. Niewielu ludzi w moim wieku ma

* Slang rymowy polega na zastępowaniu słów innymi, które się z nimi rymują. Istnieją różne jego odmiany, a świat zawdzięcza im takie terminy jak „ciasta i lody” (schody), „koniec już” (nóż) czy „rybie ości” (ogólna teoria względności). Arytmiczny slang rymowy z ulicy Przyćmionej jest prawdopodobnie wyjątkowy, albowiem nie używa rymów. Nikt nie wie dlaczego, ale jak dotąd wysunięto trzy teorie: 1) jest on mocno skomplikowany i w rzeczywistości podlega pewnym ukrytym regułom; 2) ulica Przyćmiona słusznie się tak nazywa; 3) powstał, aby denerwować obcych, co jest prawdą dla większości takich slangów.

jeszcze wszystkie włosy, tak pan pewnie myśli. To dzięki czystemu życiu, wewnątrz i na zewnątrz.

Moist się rozejrzył. Powietrze cuchnęło ponad ciągnącymi się w dal hałdami guana.

– Dobra robota – mruknął. – No więc, panie Groat, mam tu jakiś gabinet? Albo co?

Widoczna ponad splecioną brodą twarz przypominała przez moment pyszczek królika uchwyconego w światła.

– O tak, sir, w zasadzie – potwierdził szybko staruszek. – Ale już tam nie zaglądamy, sir, nic z tego, a to ze względu na podłogę, sir. Lada moment może się załamać. Używamy szatni dla personelu, sir. Jeśli pozwoli pan ze mną, sir...

Mało brakowało, a Moist wybuchnąłby śmiechem.

– Świetnie – zgodził się. Spojrzył na golema. – Ehm... panie Pompa?

– Słucham, Panie Lipvig.

– Czy wolno panu pomagać mi w jakikolwiek sposób, czy ma pan tylko czekać z boku, aż przyjdzie pora, żeby walnąć mnie w głowę?

– Takie Krzywdzące Uwagi Są Całkowicie Zbędne, Drogi Panie. Owszem, Jestem Upoważniony Do Udzielania Pomocy V Miarę Potrzeb.

– Czyli mógłby pan sprzątnąć to gołębie guano i wpuścić tu trochę światła?

– Oczywiście, Panie Lipvig.

– Naprawdę?

– Golem Nie Obawia Się Żadnej Pracy, Panie Lipvig. Udam Się Teraz Na Poszukivanje Łopaty.

Pan Pompa skierował się ciężko w stronę odległego kontuaru, a brodaty młodszy listonosz wpadł w panikę.

– Nie! – pisnął za człapiącym golemem. – Naprawdę lepiej nie ruszać tych stosów!

– Czyżby podłoga miała się zawalić, panie Groat? – zapytał Moist uprzejmie.

Groat spojrzył na niego, na golema i znowu na niego. Kilka razy otworzył i zamknął usta, gdy jego mózg szukał właściwych słów. Potem westchnął.

– W takim razie powinniście zajrzeć do szatni, panowie. Proszę tędy.

* * *

Idąc za Groatem, Moist zaczął zdawać sobie sprawę z jego zapachu. Nie był to zapach brzydki w ścisłym sensie, po prostu... dziwaczny. Kojarzył się z czymś chemicznym, połączonym ze szczypiącym w oczy aromatem wszystkich środków na gardło razem wziętych oraz leciutką sugestią starych ziemniaków.

Szatnia znajdowała się kilka stopni poniżej, w piwnicach, gdzie podłoga zapewne nie mogła się zapaść, ponieważ nie miała już w co się zapadać. Pomieszczenie było wąskie i długie. Na jednym końcu wyrastał monstualny piec, będący chyba elementem dawnego

systemu ogrzewania – jak na swoje czasy Urząd Pocztowy był gmachem bardzo nowoczesnym. Teraz obok ustawiono mały, okrągły piecyk, rozgrzany u podstawy niemal do czerwoności. Wisiał nad nim duży czarny czajnik.

Zapach sugerował skarpety, tani węgiel i brak wentylacji; wzdłuż jednej ze ścian stały podrapane drewniane szafki z łuszczącymi się, wymalowanymi na drzwiczkach nazwiskami. Światło wpadało tu – w końcu – przez brudne okna pod sufitem.

Niezależnie od oryginalnego przeznaczenia tej salki, w tej chwili była miejscem, gdzie mieszka dwóch ludzi, którzy utrzymują poprawne stosunki, ale mają bardzo ścisłe pojęcie tego, co moje, a co twoje. Cała przestrzeń została podzielona, a wąskie prycze stały pod ścianami po obu stronach. Linię podziału wymalowano na podłodze, na ścianach i na suficie. Moja połowa, twoja połowa. I dopóki o tym nie zapominamy, ta linia oznacza, że nie będzie już... kłopotów.

Pośrodku, ponad linią granicy, stał stół. Na obu końcach starannie ułożono kubki i blaszane talerze. W samym środku tkwiła solniczka. Przy solniczce linia zmieniała się w małe kółko otaczające ją w specjalnej strefie zdemilitaryzowanej.

Połowa wąskiego pokoju mieściła wielki, zakurzony blat zastawiony słoikami i butelkami, a także stosami papierów. Wyglądał jak warsztat alchemika, który tworzy pod wpływem impulsu, dopóki wszystko nie wybuchnie. W drugiej połowie stał niski stolik do kart, na którym z dość niepokojącą precyzją poukładano małe pudełeczka i rolki czarnego filcu. Było tam również zamocowane na statywie największe szkło powiększające, jakie Moist w życiu widział.

Młody człowiek stał pośrodku czystej połowy podłogi. Najwyraźniej czekał na Moista, tak samo jak Groat, ale nie opanował sztuki stania na baczność, czy też może nie do końca ją zrozumiał. Jego prawa strona bardziej stała na baczność od lewej i w rezultacie postawą przypominał banan. Mimo to z szerokim nerwowym uśmiechem i wielkimi, błyszczącymi oczami promieniował wręcz gorliwością, niewykluczone, że wykraczającą poza granice zdrowia psychicznego. Sprawiał wyraźne wrażenie, że lada chwila zacznie gryźć. Miał na sobie niebieską bawełnianą koszulę, na której ktoś nadrukował „Zapytaj mnie o szpilki!”.

– Ehm – odezwał się Moist.

– Listonosz praktykant Stanley – wymamrotał Groat. – Sierota, sir. Bardzo smutna historia, sir. Trafił do nas z Domu Opieki Rodzeństwa Offlera, sir. Oboje rodzice zmarli na gzy, sir, na swojej farmie w dziczy, a chłopca wychował groch.

– Z pewnością chciał pan powiedzieć, że wychował się na grochu, panie Groat?

– Przez groch, sir. Niezwykły przypadek. Dobry chłopak, jeśli się nie denerwuje. No i ma skłonność zwracania się w stronę słońca, sir, jeśli pan rozumie, co mam na myśli, sir.

– Ehm... może. – Moist zwrócił się szybko do Stanleya. – A zatem wiesz coś o szpilkach, tak? – zapytał głosem, co do którego miał nadzieję, że brzmi jowialnie.

– Nie, sir! – odparł Stanley.

O mało co nie zasalutował.

– Ale na koszuli masz napisane...

– Wiem wszystko o szpilkach, sir – oświadczył Stanley. – Wszystko, co można wiedzieć.

– No tak, eee, no...

– Każdy fakt dotyczący szpilek, sir – ciągnął Stanley. – Nie ma czegoś takiego, czego bym o szpilkach nie wiedział, sir. Proszę mnie spytać o cokolwiek na temat szpilek, sir. Wszystko jedno co, sir! Proszę, sir!

– No... – Moist zająknął się, ale lata praktyki przyszły mu z pomocą. – Zastanawiam się czasem, ile szpilek powstało w tym mieście w zeszłym ro...

Urwał. Na obliczu Stanleya nastąpiła przemiana: wygładziło się, straciło tę mglistą sugestię, że jego właściciel zaraz spróbuje odgryźć rozmówcy ucho.

– W zeszłym roku połączone warsztaty (czyli szpilkarnie) w Ankh-Morpork wyprodukowały dwadzieścia siedem milionów osiemset osiemdziesiąt tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt osiem szpilek – poinformował Stanley, zapatrzony w wypełniony szpilkami osobisty wszechświat. – Ta liczba obejmuje szpilki z woskowymi główkami, stalowe, mosiężne, ze srebrnymi główkami (i całkowicie srebrne), powiększone, wykonywane maszynowo i ręcznie, wygięte i ozdobne, ale bez szpilek do butonierek, ponieważ te są technicznie określane jako „odznaki” albo „kwiatki”, sir...

– A tak... Widziałem kiedyś magazyn czy coś w tym rodzaju – wtrącił desperacko Moist. – Nazywał się... chwileczkę... „Szpilki co Miesiąc”?

– Ojoj... – jęknął Groat za jego plecami.

Twarz Stanleya wykrzywiła się w coś podobnego do kociego tyłka z nosem.

– To dla hobbistów – syknął. – Nie są prawdziwymi „łebkarzami”! Nie dbają o szpilki! Pewnie, mówią, że tak, ale co miesiąc puszczają całą stronę o igłach! Igły? Każdy może zbierać igły! To przecież tylko szpilki z otworami! Zresztą co powiedzą na „Igły Popularne”? Ale oni zwyczajnie nie chcą wiedzieć!

– Stanley jest redaktorem naczelnym „Szpilek Totalnych” – szepnął Groat.

– Tego chyba nie zauważyłem... – zaczął Moist.

– Stanley, idź pomóż asystentowi pana Lipwiga szukać łopaty, dobrze? – Groat uniósł głos. – A potem weź się do układania szpilek, dopóki nie poczujesz się lepiej. Pan Lipwig nie chciałby przecież oglądać jednej z twoich Trudnych Chwil. – Spojrzał na Moista uspokajająco.

– W zeszłym miesiącu wydrukowali artykuł o poduszeczkach do szpilek... – mruczał Stanley, kiedy wychodził, tupiąc gniewnie.

Golem pomaszerował za nim.

– To dobry chłopak – zapewnił Groat, kiedy zniknęli. – Tyle że ma trochę poprzesztawiane w głowie. Ale wystarczy go zostawić z tymi jego szpilkami, a nie sprawia żadnych kłopotów.

Trochę jest... pobudzony czasami, nic więcej. Aha, a skoro już o tym mowa, jest tu trzeci członek naszego małego zespołu, sir...

Do pokoju wkroczył duży czarno-biały kot. Nie zwracając uwagi na Moista ani na Groata, sunął wolno po podłodze w stronę powgniatanego, dziurawego kosza. Moist stał mu na drodze. Kot szedł, aż delikatnie uderzył głową o jego nogę i wtedy się zatrzymał.

– To jest pan Pieszczoch, sir – przedstawił go Groat.

– Pieszczoch? – zdziwił się Moist. – To naprawdę kocie imię? Myślałem, że taki żart.

– Imię, ale i opis. Lepiej niech się pan odsunie, sir, bo inaczej będzie tam stał przez cały dzień. Dwadzieścia lat mu stuknęło i nie lubi zmian.

Moist odstąpił. Niewzruszony kot dotarł do kosza, gdzie zwinął się w kłębek.

– Czy on jest ślepy?

– Nie, sir. Ma swoje przyzwyczajenia i ich się trzyma, sir, co do sekundy. Bardzo cierpliwy jak na kota. Nie lubi, kiedy przesuwa się meble. Przyzwyczai się pan do niego.

Nie wiedząc, co powiedzieć, ale czując, że coś powiedzieć powinien, Moist skinął głową w stronę zbioru buteleczek na ławie Groata.

– Bawi się pan alchemią, panie Groat?

– Nie, sir! Praktykuję medycynę naturalną! – odparł z dumą młodszy listonosz, zniżając głos. – Nie wierzę w doktorów, sir! W życiu ani dnia nie przechorowałem, sir! – Uderzył się w pierś, wydając przy tym odgłos niekojarzony zwykle z żywymi tkankami. – Flanela, gęsi smalec i gorący pudding chlebowy, sir! Nie ma nic lepszego, kiedy trzeba ochraniać swoją armaturę przed szkodliwymi waporemami! Co tydzień nakładam świeżą warstwę, sir, i nie usłyszysz pan kichnięcia z mojego nosa, sir. Bardzo zdrowe, bardzo naturalne!

– Eee... dobrze...

– A już najgorsze ze wszystkiego jest mydło, sir. – Groat znacząco ściszył głos. – Straszna rzecz, sir, zupełnie zmywa dobroczynne humory. Zostawcie co dobre, powiadam. Dbać o czystą armaturę, dosypywać siarki do skarpet i pamiętać o ochronie piersi, a można śmiać się z chorób! Z pewnością, sir, taki młody człowiek jak pan martwi się stanem swojej...

– A co to robi? – przerwał mu Moist, sięgając po słoiczek zielonkawej mazi.

– To, sir? Środek na kurzajki. Świetna maść. Bardzo naturalna, nie jak to co dają człowiekowi doktorzy.

Moist powąchał słoiczek.

– Z czego jest zrobione?

– Z arszeniku, sir – wyjaśnił spokojnie Groat.

– Arszeniku?

– Bardzo naturalny, sir. I zielony.

Czyli, myślał Moist, z najwyższą ostrożnością stawiając maść na miejsce, w Urzędzie Pocztowym normalność najwyraźniej nie ma jednoznacznej relacji ze światem zewnętrznym. Mogę przeoczyć jakieś wskazówki...

Uznał, że najlepiej sprawdzi się tutaj rola gorliwego, ale oszołomionego zwierzchnika. Poza tym, oprócz aspektu gorliwości, nie wymagała żadnego wysiłku.

– Zechce mi pan pomóc, panie Groat? – zapytał. – Nie mam pojęcia o poczcie!

– No więc, sir... A co pan dotąd robił?

Kradł. Oszukiwał. Falszował. Defraudował. Ale nigdy – to bardzo ważne – nie stosował żadnej przemocy. Nigdy. Zawsze bardzo na to uważał. Starał się też nie skradać, jeśli tylko mógł tego uniknąć. Kiedy o pierwszej w nocy w bankowym skarbcu zastają człowieka ubranego w czarny kombinezon z masą małych kieszonek, zapewne wzbudzi podejrzenia, więc po co? Przy odpowiednim planowaniu, w odpowiednim kostiumie, z odpowiednimi papierami, a przede wszystkim z odpowiednim zachowaniem można wejść do skarbcza w biały dzień, a kiedy człowiek wychodzi, dyrektor jeszcze przytrzyma mu drzwi. Sprzedaż pierścionków i wykorzystywanie zachłanności wiejskich głupków to tylko sposób, by nie wyjść z wprawy.

Twarz – o nią chodziło. Miał uczciwą twarz. I uwielbiał ludzi, którzy stanowczo patrzyli mu w oczy, by odkryć jego wewnętrzną jaźń. Miał cały zestaw wewnętrznych jaźni, po jednej na każdą okazję. Co do mocnego uścisku dłoni, dzięki praktyce zyskał taki, do którego można by cumować łodzie. Podstawą były zdolności interpersonalne. Bardzo specyficzne zdolności interpersonalne. Zanim człowiek spróbuje sprzedawać szkiełka jako diamenty, musi sprawić, żeby ludzie naprawdę chcieli te diamenty zobaczyć. To była sztuczka najważniejsza ze wszystkich. Zmieniało się sposób, w jaki ludzie patrzyli na świat. Pozwalało się im zobaczyć go taki, jakiego pragnęli...

U demona, jak Vetinari poznał jego nazwisko? Ten człowiek rozbił von Lipwiga jak skorupkę jaja! No i straż tutaj była... demoniczna! A co do napuszczania golemów na ludzi...

– Byłem urzędnikiem – powiedział Moist.

– Znaczący, papierowa robota i takie tam? – upewnił się Groat, obserwując go uważnie.

– No, właściwie głównie papierkowa...

To była uczciwa odpowiedź, jeśli do papierów zaliczyć karty do gry, czek, listy kredytowe, przekazy bankowe i akty własności.

– Następny... – mruknął Groat. – Cóż, nie ma tu wiele do zrobienia. Możemy się ścisnąć i zrobić tu miejsce dla pana, żaden problem.

– Ale powinienem dopilnować, żeby poczta działała znowu, tak jak kiedyś, panie Groat.

– Jasne – zgodził się staruszek. – W takim razie proszę za mną, poczmistrzu. Myślę sobie, że jest drobiazg czy dwa, co panu o nim nie powiedzieli!

Wyprowadził go z powrotem do zaniedbanego głównego holu; cienkie strumyczki żółtego proszku sypały mu się z butów.

– Tata przyprował mnie tutaj, kiedy jeszcze byłem mały. W tamtych czasach wiele rodzin było rodzinami pocztowymi. Mieli tu takie wielkie szklane, wiszące, dzwoniące cosie aż pod sufit, tak? Do świecenia?

– Kandelabry? – odpowiedział Moist.

– Chyba tak – zgodził się Groat. – Dwa takie były. A wszędzie mosiądz i miedź wypolerowane jak złoto. I jeszcze takie balkony dookoła głównego holu, na każdym piętrze, zrobione z żelaza jak koronka! A wszystkie kontuary były z cennego drewna, tak mi mówił tato. I ludzie... Zawsze był tłok. Drzwi nigdy nie przestawały się kołysać. Nawet w nocy... Och, w nocy, sir, na tym wielkim dziedzińcu, szkoda, że tam pana nie było! Te światła! Przyjeżdżające i odjeżdżające dylizanse, para nad końmi... Och, powinien pan to widzieć! Ci ludzie, prowadzący zaprzęgami... Mieli takie coś, sir, taki aparat, można było załatwić powóz w jedną minutę, sir, jedną, od wjazdu do wyjazdu! Ta krzątanina, bieganina, ten ruch, sir! Mówili, że można by tu przyjechać z Sióstr Dolly czy nawet z Rzeźniczej i nadać list do siebie, a trzeba by pędzić jak demony, sir, jak same demony, żeby wyprzedzić u swoich drzwi listonosza. No i te uniformy, sir, ciemnoniebieskie z mosiężnymi guzikami! Powinien je pan zobaczyć! A w dodatku...

Moist spojrzął ponad ramieniem paplającego staruszka ku najbliższej hałdzie gołębiego guana, gdzie pan Pompa przerwał kopanie. Golem szturchał cuchnącą, obrzydliwą masę, a potem wyprostował się i ruszył ku nim, niosąc coś w ręku.

– ...a kiedy docierały wielkie dylizanse, sir, aż z gór, na całe mile słychać było ich trąbki! Powinien pan tego posłuchać, sir! Gdyby bandyci czegoś próbowali, to mieliśmy tu ludzi, którzy wyruszali i...

– Tak, panie Pompa? – zapytał Moist, przerywając Groatowi w pół opowieści.

– Zaskakujące Odkrycie, Poczmistrzu! Te Hałdy Nie są, Jak Uznałem, Zbudowane Z Gołębiego Navozu. Żadne Gołębie Nie Uzyskałyby Takiej Ilości Nawet Za Tysiąc Lat!

– No to z czego są?

– Z Listów, Sir – odparł golem.

Groat nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– No tak – stwierdził niepewnie. – Właśnie miałem do tego dojść.

* * *

Listy...

...nie było im końca. Wypełniały wszystkie pomieszczenia i wysypywały się na korytarz. Technicznie było prawdą, że gabinet naczelnego poczmistrza nie nadawał się do użytku z powodu stanu podłogi – była zasypana dwunastostopową warstwą listów. Listy blokowały dojście do niektórych części budynku. Szafy były nimi wypchane. Ostrożne otwarcie drzwi skutkowało zasypaniem lawiną poźółkłych kopert. Deski podłogowe wyginały się podejrzanie w górę. Przez pęknięcia tynku na suficie sterczał papier.

Sortownia, niemal tak wielka jak główny hol, miała zaspy listów, wysokie miejscami na dwadzieścia stóp. Tu i tam szafki na dokumenty unosiły się nad morzem papieru niczym góry lodowe.

Po półgodzinnej wyprawie badawczej Moist marzył o kąpiel. Miał wrażenie, że spaceruje wśród pustynnych grobowców. Krztusił się zapachem starego papieru, jak gdyby żółty pył zatykał mu krtań.

– Podobno mam gdzieś tutaj mieszkanie – wychrypiął.

– Zgadza się, sir – przyznał Groat. – Poszukaliśmy go wczoraj razem z chłopakiem. Słyszałem, że jest po drugiej stronie pańskiego gabinetu, no więc chłopak poszedł tam uwiązany liną, sir. Powiedział, że wyczuwa drzwi, ale przez ten czas zapadł się na sześć stóp pod pocztą i cierpiał, sir, bardzo cierpiał... Więc go wyciągnąłem.

– Cały ten budynek jest pełen niedoreczonych listów?

Wrócili już do szatni. Groat z garnka nalał wody do czarnego czajnika, który zaczął syczeć. Na drugim końcu pokoju, usadowiony przy swoim stoliku, Stanley przeliczał szpilki.

– Właściwie tak, sir, z wyjątkiem piwnic i stajni.

W misce niezbyt czystej wody staruszek wypłukał dwa metalowe kubki.

– Chce pan powiedzieć, że nawet gabinet pocz... nawet mój gabinet jest napełniony pocztą, ale nie wrzucili listów do piwnicy? Gdzie tu sens?

– Nie można używać piwnicy, sir, w żadnym razie! – Groat był wstrząśnięty. – Tam jest zbyt wilgotno. Listy raz-dwa by się poniszczyły.

– Poniszczyły – powtórzył tępo Moist.

– Nic lepiej od wilgoci nie niszczy różnych rzeczy, sir. – Groat pokiwał głową.

– Niszczy listy od martwych ludzi do martwych ludzi – stwierdził Moist takim samym spokojnym tonem.

– Tego nie wiemy, sir. To znaczy, nie mamy żadnego dowodu.

– Faktycznie. W końcu niektóre z tych kopert mają ledwo sto lat – burknął Moist. Głowa go bolała od kurzu, drapało w gardle, a staruszek działał mu na nerwy. – To dla niektórych tylko moment. Założę się, że tutejsze zombi i wampiry codziennie czekają nerwowo przy skrzynkach na listy, co?

– Nie ma potrzeby, żeby tak się zachowywać – rzekł Groat. – Naprawdę nie ma potrzeby. Nie wolno niszczyć listów. Tego nie można robić, sir. To Manipulowanie Pocztą, sir. To nie tylko przestępstwo, to... to...

– Grzech? – podpowiedział Moist.

– Och, gorzej niż grzech – rzucił Groat niemal pogardliwie. – Za grzechy człowiek ma tylko kłopoty z bogiem. Ale za moich czasów kto utrudniał obieg poczty, stawał przed głównym inspektorem pocztowym Rumbelowem! Ha! To wielka różnica, sir. Bogowie wybaczą.

Moist szukał normalności w pomarszczonej twarzy przed sobą. Splątana broda miała pasemka różnych kolorów, od herbaty, brudu albo przypadkowego naturalnego pigmentu. Jak u jakiegoś pustelnika, pomyślał. Tylko pustelnik może nosić taką perukę.

– Przepraszam? – spytał z niedowierzaniem. – Chce pan powiedzieć, że wpychanie czyjegoś listu pod podłogę na sto lat nie jest utrudnieniem jego obiegu?

Groat nagle zaczął wyglądać na załamanego. Broda mu zadrżała. A potem zaniósł się suchym, spazmatycznym, ciężkim kaszlem, od którego dygotały słoiczki i żółty opar unosił się z siedzenia spodni.

– Przepraszam na moment, sir – wykrztusił między jednym a drugim atakiem, pogmerał w kieszeni i wyjął podrapane, pogięte pudełko. – Ssie pan, sir? – zapytał. Łzy ciekły mu po policzkach. Podsunął pudełko Moistowi. – To numer trzy, sir. Bardzo łagodne. Sam je robię, sir. Naturalne leki z naturalnych ingrediencji, to moja zasada, sir. Trzeba regularnie czyścić armaturę, bo zwróci się przeciwko panu, sir.

Moist wziął dużą fioletową pastylkę i powąchał ostrożnie. Pachniała lekko anyżkiem.

– Dziękuję, panie Groat – powiedział. Ale na wypadek gdyby ktoś uznał to za próbę przekupstwa, dodał surowo: – Listy, panie Groat... Wtykanie niedoręczonych listów w każde wolne miejsce to nie jest manipulowanie nimi?

– To raczej, tak jakby... opóźnianie doręczenia, sir. Takie no... spowalnianie obiegu. Trochę. Nigdy przecież nie pojawił się zamiar niedoręczenia ich...

Moist patrzył na zatroskaną minę Groata. Miał uczucie, że grunt usuwa mu się spod nóg. Zdał sobie sprawę, że rozmawia z kimś, kogo świat styka się z jego światem tylko samymi czubami palców. Nie pustelnik, uznał, raczej rozbitek żyjący na tej suchej bezludnej wyspie, w tym budynku. Zewnętrzny świat idzie naprzód, a tu ulatnia się wszelka normalność.

– Panie Groat, nie chciałbym, no wie pan... zirytować pana czy coś... Ale tam są tysiące listów pokrytych grubą warstwą guana...

– Właściwie pod tym względem, sir, sytuacja nie wygląda tak źle, jak się wydaje, sir – zapewnił Groat i przerwał, by głośno possać swoją naturalną pigułkę od kaszlu. – Gołębie odchody to bardzo sucha substancja i tworzą dość twardą skorupę ochronną na kopertach...

– Dlaczego one tu są, panie Groat? – zapytał Moist.

Zdolności interpersonalne, przypomniał sobie. Nie wolno nim potrząsnąć.

Młodszy listonosz unikał jego wzroku.

– Wie pan, jak to jest...

– Nie, panie Groat. Chyba jednak nie wiem.

– No... Może człowiek ma masę roboty, wraca z obchodu, może jest akurat Strzeżenie Wiedźm, mnóstwo kartek, rozumie pan, sir, a inspektor się go czepia o spóźnienia, no więc może on wciska gdzieś w bezpieczne miejsce pół worka listów... Ale przecież doręczy je, to jasne. Przecież to nie jego wina, że ciągle go cisną, ciągle gonią... A potem przychodzi jutro i ma jeszcze większą torbę, bo stale poganiają, więc sobie myśli: Dzisiaj może też parę

zostawię, w czwartek mam wolne i wtedy wszystko załatwię... Tyle że, sir, do czwartku ma już więcej niż dzień pracy zaległości, bo oni ciągle gonią, a on i tak jest zmęczony, zmęczony jak pies, więc sobie mówi: niedługo mam przecież trochę urlopu, ale dostaje ten urlop i... No więc pod koniec sytuacja zrobiła się paskudna. Nastąpiły... nieprzyjemności. Posunęliśmy się za daleko, sir, za bardzo się staraliśmy. Czasami wszystko rozpada się tak, że lepiej zostawić to w spokoju, zamiast próbować zbierać odłamki. Znaczący, od czego niby zacząć?

– Chyba rozumiem... – rzekł Moist.

Kłamie pan, panie Groat. Kłamie pan przez przemilczenie. Nie mówi mi pan wszystkiego. A to, czego mi pan nie mówi, jest bardzo ważne, prawda? Zmieniłem kłamstwo w dziedzinę sztuki, panie Groat. Pan jest tylko uzdolnionym amatorem.

Twarz Groata, nieświadomego wewnętrznego monologu poczmistrza, wykrzywiła się w niepewnym uśmiechu.

– Ale kłopot polega na tym... – odezwał się Moist – a właściwie jak pan ma na imię, panie Groat?

– Tolliver, sir.

– Ładne imię... Chodzi o to, Tolliverze, że obraz, jaki wynika z twojego opisu, jest tym, co dla celów niniejszej analogii można określić jako miniatura, podczas gdy to... – Moist machnął ręką, by wskazać cały budynek i wszystko, co w sobie mieścił – ...to pełnowymiarowy tryptyk ukazujący sceny historyczne, stworzenie świata i postacie bogów, z dopasowanym sklepieniem kaplicy, na którym uwieczniono wspaniały firmament, oraz szkielety damy z tajemniczym uśmiechem, dorzucony dla zaokrąglenia rachunku! Tolliverze, sądzę, że nie jesteś ze mną szczery.

– Bardzo mi przykro, sir – odparł Groat, spoglądając na niego nerwowo, ale i wyzywająco.

– Mógłbym cię zwolnić z pracy, zdajesz sobie z tego sprawę – rzekł Moist, wiedząc, że to głupia groźba.

– Może pan spróbować, sir, może pan spróbować – odparł Groat cicho i powoli. – Ale jestem wszystkim, co pan ma, nie licząc chłopaka. A nic pan nie wie o Urzędzie Pocztowym, sir. I nic pan nie wie o Regulaminie. Ja jedyny mam pojęcie, co trzeba tu robić. Beze mnie pan nie przetrwa nawet pięciu minut, sir. Nawet pan nie przypilnuje, żeby codziennie napełniać kałamarze!

– Kałamarze? Napełniać kałamarze? To przecież tylko stary gmach pełen... pełen... martwego papieru! Nie mamy żadnych klientów!

– Musimy pilnować, żeby kałamarze były pełne, sir. Regulamin Urzędu Pocztowego – oznajmił Groat głosem niczym stal. – Napełniać kałamarze, polerować mosiądz...

– Nie sprzątajcie gołębiego gówna!

– To dziwne, ale nie ma tego w regulaminie, sir. Szczerze mówiąc, nikt nas już nie chce. Teraz liczą się tylko sekary, te przeklęte sekary, tik, tak, tok. Każdy ma teraz więź sekarową,

sir. Taka moda. Szybkie jak prędkość światła, tak mówią. Ha! One nie mają serca, sir, nie mają duszy! Nie cierpię ich! Ale zachowujemy gotowość, sir. Gdyby pojawiły się jakieś listy, tobyśmy sobie z nimi poradzili, sir. Rzucilibyśmy się do działania, sir, jak demony. Ale nie ma.

– Oczywiście, że nie ma! Najwyraźniej już dawno dotarło do wszystkich w tym mieście, że równie dobrze można wyrzucać listy przez okno, co oddawać je na pocztę!

– Nie, sir, nie ma pan racji! Wszystkie są przechowywane, sir. Tym się zajmujemy, sir. Utrzymujemy wszystko tak, jak jest. Staramy się nie zakłócać stanu spraw, sir! – oświadczył Groat cicho. – Staramy się niczego nie zakłócać.

Jego ton sprawił, że Moist się zawahał.

– Jakiego niczego?

– Och, niczego, sir. Po prostu... uważamy, jak chodzimy.

Moist rozejrzał się po pokoju. Czy rzeczywiście wydawał się mniejszy? Czy cienie wydłużyły się i pogłębiły? Czy pojawiło się nagłe wrażenie chłodu w powietrzu?

Nie, nic z tego. Ale była to niewątpliwie stracona okazja, uznał. Włosy na karku wciąż mu się jeżyły. To dlatego, jak kiedyś słyszał, że ludzie zrobieni są z małp, a coś takiego oznaczało, że za plecami jest tygrys.

W rzeczywistości za plecami stał pan Pompa, tylko stał, ale oczy płonęły mu łuną takiej mocy, jakiej nie osiągnął nigdy żaden tygrys. To było zresztą o wiele gorsze. Tygrysy nie ścigają człowieka przez morze. I muszą czasem spać.

Zrezygnował. Pan Groat żył w jakimś dziwnym, własnym, zatęchłym świecie.

– I to pan nazywa życiem? – zapytał.

Po raz pierwszy podczas tej rozmowy pan Groat spojrzał mu prosto w oczy.

– Jest o wiele lepsze niż śmierć, sir – oznajmił.

* * *

Pan Pompa szedł za Moistem przez główny hol i za główne drzwi, gdzie Moist odwrócił się zirytowany.

– No dobra, jakie są zasady? – spytał. – Będziesz wszędzie za mną łąził? Wiesz, że nie mogę uciec!

– Dopuszczalne Jest Autonomiczne Poruszanie Się V Granicach Miasta i Okolic – zadudnił golem. – Ale Dopóki Pan Się Nie Urządzi, Polecono Mi Także Towarzyszyć Panu Dla Ochrony.

– Przed kim? Kimś rozzłoszczonym, że nie doszedł list jego pradiadka?

– Nie Mogę Powiedzieć, Sir.

– Potrzebuję świeżego powietrza. Co się tam wydarzyło? Dlaczego jest tak... koszmarne? Co się stało z Urzędem Pocztowym?

– Nie Mogę Powiedzieć, Sir.

– Nie wiesz? Przecież to twoje miasto – rzucił sarkastycznie Moist. – Co jest, ostatnie sto lat przesiedziałeś w dziurze w ziemi?

– Nie, Panie Lipvig.

– No i dlaczego nie mogę... – zaczął Moist.

– To Było Dwieście Czterdzieści Lat, Panie Lipvig – oświadczył golem.

– Co było?

– No, Ten Czas, Jaki Spędziłem Na Dnie Dziury Wykopanej W Ziemi, Panie Lipvig. Pompa To Nie Jest Moje Nazwisko, Panie Lipvig. To Funkcja. Pompa. Pompa 19, Ściślej Mówiąc. Stałem Na Dnie Dziury Głębokiej Na Sto Stóp I Pompowałem Wodę. Przez Dwieście Czterdzieści Lat, Panie Lipvig. Ale Teraz Spaceruję W Słońcu. To Jest Lepsze, Panie Lipvig. O Wiele Lepsze!

* * *

Tej nocy Moist leżał i wpatrywał się w sufit trzy stopy nad sobą. Z sufitu, całkiem niedaleko, wisiała świeca w oszklonej latarni. Stanley upierał się przy tej latarni i nic dziwnego. Gdyby zaproszyć ogień, wszystko tu by wybuchło jak bomba.

Chłopak pokazał mu to miejsce; Groat dąsał się gdzieś... Ale miał rację, miał rację jak demony: Moist go potrzebował. Praktycznie rzecz biorąc, to Groat był Urzędem Pocztowym.

Moist miał za sobą ciężki dzień, a zeszłej nocy też się nie wyspał. Wisiał przecież głową w dół, przerzucony przez ramię pana Pompy, od czasu do czasu kopany przez wystraszonego konia.

Tutaj też nie chciał kłaść się spać, niebiosa świadkiem, ale nie miał kwatery, do której mógłby się wynieść, zresztą w tym miejskim mrowisku niełatwo byłoby jakąś znaleźć. Szatnia go nie kusila, nie, wcale. Dlatego po prostu wdrapał się na stos martwych listów w tym, co teoretycznie było jego gabinetem. Nie narzekał. Człowiek interesów, taki jak on, musi nauczyć się spać w najrozmaitszych sytuacjach, często gdy za ścianą krąży poszukujący go tłum. Stosy listów były przynajmniej suche i ciepłe, i nie nosiły broni.

Papier szeleścił, gdy Moist starał się ułożyć wygodnie. Mimowolnie sięgnął po pierwszy z brzegu list. Adresatem był ktoś, kto nazywał się Antymoniusz Parker i mieszkał przy ulicy Haka Lobbingu 1. Na odwrocie wielkimi literami wypisano Z.P. Moist podważył kopertę paznokciem; papier wewnątrz niemal się rozpadł od dotyku.

Mój najdroższy Tymonie!

Tak! Dlaczegoż by Kobieta Świadoma wielkiego Zaszczytu, jaki wyświadcza jej Mężczyzna, miałyby grać Zawstydzoną Figlarkę, i to w Takiej Chwili? Wiem, że

rozmawiałeś z Papą i oczywiście zgadzam się zostać Żoną Najlepszego, Najcudowniejszego...

Moist spojrział na datę – list został napisany czterdzieści jeden lat temu.

W zasadzie nie lubił introspekcji, jako że w jego fachu stanowiła istotną niedogodność, jednak nie mógł się nie zastanowić, czy ta... zerknął na podpis... „Twoja Kochająca Agnatha” wyszła za Antymoniusza, czy też ich romans umarł tutaj, na tym cmentarzysku papierów.

Zadrżał i wcisnął kopertę do kieszeni. Będzie musiał zapytać Groata, co oznacza Z.P.

– Panie Pompa! – zawołał.

Lekkie chrzączenie dobiegło z kąta, gdzie po pierś w listach stał golem.

– Słucham, Panie Lipvig.

– Czy nie masz sposobu na zamknięcie oczu? Nie mogę zasnąć, kiedy stale patrzy na mnie para jarzących się czerwono ślepi. To... taki uraz z dzieciństwa.

– Przykro Mi, Panie Lipvig. Mogę Odwrócić Się Plecami.

– To na nic. Nadal będę wiedział, że tam są. Zresztą ten blask odbija się od ściany. Słuchaj, dokąd właściwie mógłbym uciec?

Golem się zastanowił.

– Pójdę I Stanę Na Korytarzu, Panie Lipvig – oświadczył i zaczął brnąć w stronę drzwi.

– Tak zrób – zgodził się Moist. – A rano chciałbym, żebyś spróbował odszukać moją sypialnię, dobrze? Niektóre pomieszczenia mają jeszcze trochę wolnej przestrzeni pod sufitem, więc możesz przerzucić tam listy.

– Pan Groat Nie Lubi, Kiedy Przemieszcza Się Poczte – zahuczał golem.

– Pan Groat nie jest poczmistrzem, panie Pompa. A ja jestem.

Na bogów, ten obłęd jest zaraźliwy, myślał Moist, gdy lśnienie golema zniknęło w ciemności za drzwiami. Nie jestem poczmistrzem, jestem jakimś biedakiem, który stał się ofiarą głupiego... eksperymentu. Co za sytuacja! Kto postawiłby znanego przestępcę na czele ważnej dziedziny działalności państwa? Oprócz, powiedzmy, przeciętnego wyborcy.

Próbował znaleźć jakąś lukę, jakieś wyjście... Ale przez cały czas w pamięci rozbrzmiewała niedawna rozmowa.

Wyobraźmy sobie otwór, głęboki na sto stóp i wypełniony wodą.

Wyobraźmy sobie ciemność. Wyobraźmy sobie na samym dnie postać mniej więcej kształtu człowieka, obracającą w tej wirującej ciemności ciężki uchwyt raz na osiem sekund.

Pompować... Pompować... Pompować...

Przez dwieście czterdzieści lat.

– I nie buntowałeś się? – zapytał Moist.

– Chodzi Panu O To, Czy Żywiłem Uczucie Głębokiej Urazy, Panie Lipvig? Ale Przecież Wykonywałem Użyteczną I Niezbędną Pracę! Poza Tym Wiele Miałem Do Przemyslenia.

– Pod setką stóp brudnej wody? Do demona, jaki sobie znalazłeś temat do przemyśleń?

– Pompowanie, Panie Lipvig.

A potem, jak wyjaśnił golem, nadeszło zaprzestanie, słabe światło, obniżanie poziomu, zatraskiwanie łańcuchów, ruch ku gorze, wynurzenie w świetle światła i barw... i innych golemów.

Moist wiedział co nieco o golemach. Kiedyś, tysiące lat temu, wypalano je z gliny i powoływano do życia, wkładając do głowy taki jakby zwój. Golemy nigdy się nie zużywały i pracowały przez cały czas. Widywało się je, jak sprzątaję ulice, jak wykonują ciężkie prace w tartakach czy odlewniach. Większości ludzie nigdy nie oglądali. To one wprawiały w ruch małe trybiki ukryte głęboko w ciemności. I to mniej więcej była granica jego zainteresowania. Golemy były – praktycznie z definicji – uczciwe.

Ale ostatnio golemy się wyzwały. Była to najspokojniejsza, najbardziej społecznie odpowiedzialna rewolucja w historii. Były czyjąś własnością, więc oszczędzały i wykupywały się.

Pan Pompa kupował sobie wolność, poważnie ograniczając wolność Moista. A to mogło człowieka naprawdę rozżłościć. Przecież wolność nie tak powinna funkcjonować.

Na bogów, pomyślał Moist, wracając do chwili bieżącej. Nic dziwnego, że Groat ciągle ssie cukierki na kaszel. Kurz tutaj może człowieka zadławić!

Pogrzebał w kieszeni i znalazł cukierek w kształcie rombu, którym staruszek go poczęstował. Wydawał się raczej nieszkodliwy.

Minutę później, kiedy pan Pompa wszedł ciężkim krokiem do pokoju i klepnął go potężnie w plecy, dymiąca pastylka przylepiła się do przeciwległej ściany, gdzie do rana zdążyła rozpuścić sporo tynku.

* * *

Pan Groat odmierzył sobie łyżkę tynktury rabarbarowej z pieprzem cayenne, żeby przetkać armaturę, i sprawdził, czy nadal ma na szyi martwego kreta dla ochrony przed doktorami. Wszyscy wiedzieli, że doktorzy roznoszą choroby, to przecież logiczne. Rozwiązaniem zawsze były naturalne lekarstwa, a nie jakieś demoniczne wywary nie wiadomo z czego.

Groat z satysfakcją mlasnął wargami. Wieczorem nasypał do skarpetek świeżej siarki i już czuł jej dobroczynny wpływ.

Dwie latarnie ze świecami jarzyły się w aksamitnym, papierowym mroku głównej sortowni. Światło padało przez zewnętrzne szyby i warstwę wody, by świeca zgasła, gdyby latarnia upadła. W efekcie latarnie przypominały światła jakiejś głębinowej ryby z kałamarnicznej, niezmierzonej otchłani.

W mroku rozległ się cichy bulgot. Groat zakorkował flaszeczkę eliksiru i wrócił do pracy.

– Czy kałamarze są napełnione, listonoszu praktykancie Stanley? – zaintonował.

– Tak jest, młodszy listonoszu Groat, napełnione do poziomu trzeciej części cała od czubka, zgodnie z Regulaminem Kontuaru Urzędu Pocztowego, obsługa codzienna, zasada C18 – odparł Stanley.

Zaszeleściło, kiedy Groat przewracał karty wielkiej księgi na pulpicie przed sobą.

– Mogę zobaczyć obrazek, panie Groat? – zapytał błagalnie Stanley.

Groat się uśmiechnął. Wszystko to stało się elementem ceremonii, a on udzielił odpowiedzi, jakiej udzielał za każdym razem.

– Dobrze, ale to już ostatni raz. Nie należy zbyt często spoglądać na oblicze boga. – Po czym dodał: – Ani na dowolną inną jego część.

– Przecież pan mówił, że w głównym holu stał kiedyś złoty posąg tego boga. Ludzie musieli ciągle na niego patrzeć.

Groat westchnął. Stanley zaczynał dojrzewać. Wcześniej czy później będzie musiał się dowiedzieć.

– Pamiętaj, że ludzie niezbyt się przyglądali obliczu. Częściej patrzyli na... skrzydła.

– Na kapeluszu i w kostkach – dokończył Stanley. – Żeby mógł przenosić wiadomości z prędkością... wiadomości.

Kropelka potu spłynęła Groatowi z czoła.

– Głównie na kapeluszu i w kostkach – przyznał. – Ale nie tylko tam.

Stanley przyjrzał się obrazkowi.

– A tak, nigdy dotąd ich nie zauważyłem. Ma skrzydełka na...

– Listku figowym – wtrącił pospiesznie Groat. – Tak to nazywamy.

– Dlaczego on ma tam liść? – zdziwił się Stanley.

– Och, oni wszyscy je mieli w dawnych czasach, z tej przyczyny, że byli klasyczni – wyjaśnił Groat zadowolony, że oddalają się od sedna. – To liść figowy. Z figowca.

– Cha, cha, żart im nie wyszedł! Przecież tu nigdzie nie rosną figowce! – oświadczył Stanley tonem człowieka, który odkrywa lukę w wyznawanym od dawna dogmacie.

– Tak, chłopcze, słuszna uwaga. Ale ten i tak był z blachy.

– A skrzydełka?

– Noo... Sądzę, że oni uznali, że im więcej skrzydeł, tym lepiej.

– Niby tak, ale gdyby jego czapkowe i nożne skrzydła przestały działać, trzymałby się w gorze za...

– Stanley! To tylko posąg! Nie denerwuj się! Spokojnie! Nie chcesz chyba rozzłościć... ich.

Stanley zwiesił głowę.

– One... znowu do mnie szeptały, panie Groat – wyznał, zniżając głos.

– Tak, Stanley. Do mnie też szepczą.

– Pamiętam, jak ostatni raz odzywały się w nocy, panie Groat. – Głos Stanleya drżał. – Kiedy zamykam oczy, widzę pismo.

– Tak, Stanley. Nie martw się tym. Staraj się o tym nie myśleć. To wina pana Lipsticka, że je rozbudził. Lepsze jest wrogiem dobrego, zawsze to powtarzam. Ale nigdy mnie nie słuchają, a potem co się dzieje? W końcu przekonują się o twardych faktach.

– Wydaje się, że ledwie wczoraj byli tu ci strażnicy, żeby obrysować kredą ciało pana Mutable'a. – Stanley zaczął dygotać. – Odkrył twarde fakty!

– Spokojnie, chłopcze, tylko spokojnie. – Groat poklepał go łagodnie po ramieniu. – Bo je zdenerwujesz. Myśl o szpilkach.

– Ale to okrutne i niesprawiedliwe, panie Groat, że nigdy nie żyją tak długo, by awansować pana na starszego listonosza.

Groat pociągnął nosem.

– Dość już o tym. To nie takie ważne, Stanley – zapewnił z twarzą jak burza gradowa.

– No tak, panie Groat, ale jest pan już starym, bardzo starym człowiekiem, i wciąż tylko młodszym li... – upierał się Stanley.

– Powiedziałem: dość. A teraz przytrzymaj wyżej tę latarnię, dobrze? O, teraz lepiej. Przeczytam ci stronę Regulaminu, to zawsze je uspokaja. – Groat odchrząknął. – Czytanie z Księgi Regulaminu, terminy doręczenia (teren miasta) (z wyjątkiem niedziel i oktodni) – oznajmił, zwracając się do powietrza. – I mówi księga: „Godziny, przed którymi listy winny być dostarczone do domów zbiorczych, dla kolejnych obchodów w granicach murów miejskich Ankh-Morpork, poprzedniego dnia do ósmej wieczorem dla pierwszego obchodu. Do ósmej rano dla drugiego obchodu. Do dziesiątej rano dla trzeciego obchodu. Do dwunastej dla czwartego obchodu. Do drugiej po południu dla piątego obchodu. Do czwartej po południu dla szóstego obchodu. Do szóstej po południu dla siódmego obchodu”. Takie są godziny, a ja je odczytałem.

Groat na chwilę spuścił głowę, a potem energicznie zatrasnął książkę.

– Dlaczego to robimy, panie Groat? – spytał potulnie Stanley.

– Z powodu niedbałości – wyjaśnił Groat. – Niedbałość zabiła Urząd Pocztowy. Niedbałość, a także Bezdennie Głupi Johnson i Nowe Pi.

– Pi, panie Groat? Pi od pisania? Czy to możliwe...

– Nie pytaj, Stanley. To skomplikowane, a nie ma żadnego związku ze szpilkami.

Zdmuchnęli świece i wyszli.

Kiedy zniknęli, zabrzmiały cichutkie szepty.

Rozdział trzeci

Z naszej własnej ręki lub z żadnej

*W którym nasz bohater odkrywa świat szpilek – Apostrofy sprzedawcy warzyw – Z.P. –
Ścieżka Losu – Golemowa dama – Kwestia interesu i natura wolności dyskutowane po raz
kolejny – Referent Brian wykazuje zaangażowanie*

– Proszę Wstać, Panie Lipvig! To Pański Drugi Dzień Jako Poczmiistrza!

Moist otworzył jedno zaropiałe oko i spojrzął na golema.

– Aha, czyli jesteś też budzikiem... – powiedział. – Aargh! Mój język! Mam wrażenie, jakbym go wsadził w łapkę na myszy.

Na wpół się przeczołgał, na wpół przetoczył po łożu listów, i zdołał wstać akurat przed drzwiami.

– Potrzebne mi nowe ubranie – stwierdził. – I jedzenie. I szczoteczka do zębów. Wychodzę, panie Pompa. A ty zostaniesz tutaj. Zajmij się czymś. Posprzątaj. Usuń te napisy na ścianach, co? Możemy się postarać, żeby przynajmniej wyglądało, że jest czysto.

– Cokolwiek Pan Sobie Życzy, Panie Lipvig.

– Słusznie – pochwalił go Moist i wymaszerował. A dokładniej, pomaszerował jeden krok i jęknął.

– Proszę Uważać Na Swoją Kostkę, Panie Lipvig.

– I jeszcze coś – dodał Moist, podskakując na jednej nodze. – Jak możesz mnie wyśledzić? Skąd właściwie wiesz, gdzie jestem?

– Sygnatura Karmiczna, Panie Lipvig – wyjaśnił golem.

– A co to dokładnie znaczy?

– To Znaczy, Że Dokładnie Wiem, Gdzie Pan Jest, Panie Lipvig.

Gliniana twarz nie zdradzała żadnych emocji. Moist zrezygnował.

Wykuśtykał w coś, co – jak na warunki miasta – było świeżym, nowym porankiem. Nocą nadszedł lekki przymrozek, akurat tyle, żeby powietrze wydawało się rześkie, a Moist nabrał apetytu. Noga wciąż bolała, ale przynajmniej nie musiał już opierać się na kuli.

Oto więc Moist von Lipwig szedł sobie przez miasto. Nigdy jeszcze tego nie robił. Tragicznie zmarły Albert Spangler owszem, podobnie jak Mundo Smith, Edwin Streep i pół tuzina innych osobowości, których używał przez jakiś czas, a potem odrzucił. Owszem, wewnątrz był Moistem (co za imię... słyszał już chyba wszystkie możliwe żarty), ale tamci istnieli na zewnątrz, pomiędzy nim a resztą świata.

Edwin Streep był prawdziwym dziełem sztuki. Zajmował się nadużyciami braku zaufania i musiał być dostrzeżony. W tak oczywisty, patentowy sposób nie radził sobie z oszukiwaniem w trzy karty i inne uliczne sztuczki, że ludzie ustawiali się w kolejkach, by nabrać niezręcznego nabieracza. Odchodzili radośnie uśmiechnięci... aż do chwili, kiedy próbowali wydać na coś monety, które tak szybko zdobyli.

Sztuka fałszerstwa ma swój sekret, a Moist go odkrył: w pośpiechu albo w podnieceniu ludzie dopełnią fałszerstwa własną zachłannością. Tak gorliwie będą chcieli wyrwać pieniądze z rąk wyraźnego durnia, że ich własne oczy dodadzą drobne szczegóły, które nie całkiem znajdują się na monetach szybko wsuwanych do kieszeni. Wystarczyło tylko je zasugerować.

Ale to dopiero początek. Niektórzy klienci nie odkryli nawet, że wrzucili do sakiewki fałszywe monety, w ten sposób bowiem zdradzili niekompetentnemu oszustowi, w której kieszeni ją trzymają. Później przekonywali się, że choć Streep jest całkowitym nieudacznikiem przy kartach, jednak z naddatkiem nadrabia ten brak swym wyjątkowym talentem kieszonkowca.

Teraz Moist czuł się jak obrana krewetka. Czuł się, jakby wyszedł na ulicę nago. A jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie słyszał krzyków „Hej, ty!” ani wołań „To on!”. Widzieli go jako kolejną twarz w tłumie. To było dziwne, nieznanne uczucie. Nigdy wcześniej nie musiał być naprawdę sobą.

Uczcił to, kupując od Gildii Kupców plan miasta. Wypił kawę i zjadł kanapkę z bekonem, przerzucając pospiesznie listę barów. Nie znalazł tam tego, czego szukał, ale trafił na listę fryzjerów i uśmiechnął się z satysfakcją. Przyjemnie było mieć rację.

Rzuciła mu się też w oczy informacja o Szpilkowej Giełdzie Dave’a przy Siostrach Dolly, w zaułku między domem negocjowalnego afektu i salonem masażu. Kupowano tam i sprzedawano szpilki miłośnikom szpilek.

Moist dopił kawę z miną, którą wszyscy dobrze go znający – grupa osób składająca się realnie z absolutnie nikogo – rozpoznałaby jako tworzenie się planu. W ostatecznym rachunku we wszystkim chodziło głównie o stosunki międzyludzkie. Jeśli miał tu jeszcze jakiś czas zostać, równie dobrze mógł zadbać o swoją wygodę.

Ruszył na spacer do tej samozwańczej „Oazy Akufilii!!!”.

To było jak podniesienie zwyczajnego kamienia i odkrycie pod nim całego nowego świata. Szpilkowa Giełda Dave’a była tym rodzajem małego sklepiku, w którym właściciel zna z imienia każdego swojego klienta.

Świat szpilek był światem cudownym. Szpilki to hobby, które może zająć człowieka na całe życie. Moist wiedział o tym, ponieważ wydał jednego dolara na „Szpilki” niejakiego J. Lanugo Owlsbury’ego, zapewne najnowsze dzieło na ten temat. Każdy ma swoje drobne dziwactwa, Moist chętnie to przyznawał, ale nie czuł się najlepiej wśród ludzi, którzy – gdyby zobaczyli przypięty obrazek z roznegliżowaną damą – zwracaliby uwagę na szpilki, którymi jest przypięty. Niektórzy klienci, przeglądający książki na półkach („Niedociągnięcia, podwójne ostrza i skazy”, „Szpilki Überwaldu i Genoi”, „Pierwsze kroki wśród szpilek”, „Przygody w Akufilii”...) i zerkający ukradkiem na gablotę szpilek pod szkłem, mieli twarze tak zachłanne, że go to przeraziło. Wyglądali trochę jak Stanley. Wszyscy byli płci męskiej. Najwyraźniej kobiety nie były naturalnymi „łebkarzami”.

Znalazł „Szpilki Totalne” na dolnej półce. Magazyn miał wygląd pisma przygotowanego w warunkach domowych i trochę rozmazany, drobny druk, brakowało mu natomiast takich subtelności jak akapity, a w wielu przypadkach także interpunkcja. Popularny przecinek popatrzył na minę Stanleya i uznał, że lepiej mu nie przeszkadzać.

Kiedy Moist położył niewielki magazyn na ladzie, właściciel sklepu – potężny brodaty mężczyzna z dreadami na głowie, szpilką w nosie, piwnym brzuchem, który by wystarczył na trzy osoby, i słowami „Szpilki albo Śmierć” wytatuowanymi na bicepsie – podniósł broszurę, po czym upuścił lekceważąco.

– Jest pan pewien? – zapytał. – Mamy tu „Miesięcznik Szpilek”, „Nowe Szpilki”, „Szpilki Praktyczne”, „Szpilki Współczesne”, „Superszpilki”, „Szpilki Międzynarodowe”, „Mówią Szpilki”, „Świat Szpilek”, „Szpilki Świata”, „Szpilki i Szpilekarnie”... – Uwaga Moista zoczyła gdzieś, ale powróciła akurat na czas, by usłyszał: – „Przegląd Akufilii”, „Szpilki Ekstremalne”, „Stifte!” z Überwaldu, bardzo dobre pismo, jeśli kolekcjonuje pan zagraniczne szpilki, „Szpilki dla Początkujących”... to takie pismo kolekcjonerskie, co tydzień dołączają nową szpilkę, „Czas Szpilek” oraz... – W tym miejscu właściciel mrugnął porozumiewawczo – „Szpilki w Zaułkach”.

– Ten zauważyłem – przyznał Moist. – Ma dużo obrazków kobiet w samej skórze.

– Owszem, drogi panie. Ale trzeba uczciwie przyznać, że na ogół trzymają szpilki. No więc... nadal życzy pan sobie „Szpilki Totalne”? – dodał, jakby dawał głupcowi ostatnią szansę na zrezygnowanie z tego szaleństwa.

– Tak – potwierdził Moist. – A co z nimi jest nie w porządku?

– Ależ nic, nic zupełnie. – Dave w zadumie poskrobał się po brzuchu. – Po prostu wydawca jest trochę... trochę...

– Trochę jaki? – zapytał zniecierpliwiony Moist.

– No więc, prawdę mówiąc, uważamy tutaj, że trochę ma źle w głowie na punkcie szpilek.

Moist rozejrzał się po wnętrzu sklepu.

– Doprawdy?

Wyszedł do pobliskiego lokalu i przy kawie przejrzał magazyn. Jednym z jego talentów była umiejętność przyswajania akurat dostatecznej ilości informacji o czymkolwiek, by nieekspertom wydawać się ekspertem. Potem wrócił do sklepu.

Każdy ma swój punkt zaczepienia. Często jest nim chciwość. Na chciwości zwykle można polegać. Czasami jest to duma. To był punkt zaczepienia Groata – rozpaczliwie pragnął awansu, widać to było w jego oczach. Wystarczy znaleźć punkt zaczepienia, a dalej już wszystko szło gładko.

Stanley z kolei, Stanley... będzie łatwy.

Kiedy Moist wszedł, Duży Dave oglądał szpilkę pod wielkim szkłem powiększającym. Godzina szczytu szpilkowych zakupów musiała dobiegać końca, ponieważ już tylko kilku maruderów gapiło się na eksponaty pod szkłem albo przeglądało pisma z regału.

Moist przesunął się do lady i chrząknął.

– Słucham pana? – Duży Dave uniósł głowę. – Wracamy, co? Wciągnęły pana, co? Znalazł pan coś interesującego?

– Paczkę perforowanego papieru szpilkowego i torbę szczęśliwego trafu za dziesięć pensów poproszę – oznajmił głośno Moist.

Inni klienci spojrzeli na niego przelotnie, kiedy Dave zdejmował towar z półek, a potem wrócili do wcześniejszych zajęć. Moist pochylił się nad ladą.

– Zastanawiałem się – szepnął chrapliwie – czy nie ma pan czegoś... ostrzejszego.

Potężny mężczyzna obrzucił go starannie obojętnym wzrokiem.

– W jakim sensie ostrzejszego? – zapytał.

– No, wie pan... – Moist odkaslnął. – Bardziej... spiczastego.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał głośno, kiedy wyszli ostatni z klientów, nasyceni szpilkami na jeden dzień. Dave patrzył, jak odchodzą, po czym wrócił do Moista.

– Jest pan koneserem, co? – zapytał i mrugnął porozumiewawczo.

– Poważnym badaczem. Większość towaru tutaj, cóż...

– Nie ruszam gwoździ – oznajmił surowo Dave. – Nie chcę ich nawet mieć w sklepie! Muszę pamiętać o reputacji. Przychodzą tu małe dzieci, wie pan...

– Och, nie! Szpilki i tylko szpilki, nic więcej – zapewnił szybko Moist.

– To dobrze. – Dave się uspokoił. – Tak się składa, że mam tu może jeden czy dwa eksponaty dla prawdziwego kolekcjonera. – Skinął w stronę zasłony z paciorków w tylnej części sklepu. – Nie mogę wykładać wszystkiego na półki, kręcą się tu dzieciaki, wie pan, jak to jest...

Moist podążył za nim przez grzechoczącą kotarę do zagraconego pokoiku, gdzie Dave – rozejrzawszy się konspiracyjnie – zdjął z półki małe czarne pudełko i otworzył je tuż przed nosem Moista.

– Nie widuje się takich codziennie, prawda?

O rany, to przecież szpilka, pomyślał Moist. Ale tonem dobrze wypracowanego szczerego zdumienia powiedział:

– Łau...

Kilka minut później wyszedł ze sklepu, walcząc z odruchem postawienia kołnierza. Na tym właśnie polegał kłopot z niektórymi odmianami szaleństwa: mogły zaatakować w każdej chwili. W końcu wydał właśnie 70 AM\$ na jakąś nędzną szpilkę!

Przyjrzał się paczuszkom w dłoni i westchnął ciężko, a potem ostrożnie schował je do kieszeni. I wtedy trafił ręką na jakiś papier.

A tak. Ten list z Z.P. Już miał wcisnąć kopertę z powrotem, kiedy jego wzrok padł na starą tabliczkę z nazwą po drugiej stronie ulicy: Haka Lobbingu. A potem spojrzenie przesunęło się jeszcze kawałek, ponad pierwszy sklep w wąskiej uliczce.

NR 1A
PARKER I SYN'OWIE
SKLEP WARZYWNY
DOSTAWCY OWOC'ÓW I WARZYW
NAJWYŻSZEJ KLAS'Y.

Właściwie czemu by go nie doręczyć? Ha! Był przecież poczmistrzem. Na pewno tym sobie nie zaszkodzi.

Wsunął się do sklepu. Mężczyzna w średnim wieku wprowadzał właśnie świeże marchewki, czy też może marchew'ki, w życie kobiety z wielką torbą na zakupy i włochatymi brodawkami.

– Czy pan Antymoniusz Parker? – zapytał z powagą Moist.

– Zaraz do pan'a podejść, ja tylko...

– Chcę tylko wiedzieć, czy jest pan Antymoniuszem Parkerem, to wszystko...

Kobieta odwróciła się i rzuciła intruzowi gniewne spojrzenie, a Moist obdarzył ją tak promiennym uśmiechem, aż przez moment pożałowała, że nie umalowała się dzisiaj.

– To mój ojciec – wyjaśnił sprzedawca. – Jest na zapleczu i walczy z kłopotliwą kapustą...

– To dla niego. – Moist położył kopertę na ladzie. – Poczta.

I wyszedł pośpiesznie.

Sprzedawca i klientka przyjrzeni się różowej kopercie.

– Z.P.? – zdziwił się pan Parker.

– Och, budzą się wspomnienia, panie Parker – wyznała kobieta. – Za moich czasów pisaliśmy tak na listach przy zalotach. Pan nie? Zapieczętowane Pocałunkiem... Oprócz Z.P. było też L.A.N. C.R.E. i... – zniżyła głos i zachichotała. – I K.L.A.T.C.H. Pamięta pan?

– Wszystko to jakoś mnie ominęło, pani Goodbody – odparł surowo sprzedawca. – A jeśli to o’znacza młodych ludzi przynoszących naszemu ta’cie koperty z zp, to jestem za to wdzięczny. Nowoczes’ne czas’y, co?

Odwrócił się.

– Tato! – zawołał.

* * *

No cóż, spełniłem dziś dobry uczynek, pomyślał Moist. A w każdym razie uczynek.

Wyglądało na to, że pan Parker w taki czy inny sposób zdołał dorobić się synów. A jednak... dziwnie jest myśleć o tych wszystkich listach leżących w starym gmachu... Można je sobie wyobrażać jako maleńkie pakiety historii. Kiedy je dostarczyć, historia sunęła w jednym kierunku. Ale kiedy wcisnąć je w szczelinę pod deskami podłogi, sunęła w innym.

Ha... Pokręcił głową. Tak jakby wybór dokonany przez kogoś nieważnego sprawiał aż taką różnicę! Historia musi być twardsza. Wszystko w końcu przeskakuje z powrotem na miejsce, prawda? Był pewien, że gdzieś coś o tym czytał. Gdyby nie to, nikt nie odważyłby się niczego robić.

Staął na małym placyku, gdzie zbiegało się osiem ulic. Postanowił wracać do domu Targową. Wybór był nie gorszy od innych.

* * *

Kiedy pan Groat się upewnił, że zarówno Stanley, jak i golem są zajęci przy hałdach poczty, wykraść się przez labirynt korytarzy. Paki listów były ustawione tak wysoko i ciasno, że ledwie mógł się między nimi przecisnąć, w końcu jednak dotarł do szybu hydraulicznej windy, dawno już nieużywanej. Szyb wypełniony był listami, ale drabina serwisowa pozostała wolna. Groat dotarł nią wreszcie na dach. Oczywiście były też schody przeciwpożarowe na zewnątrz, ale były właśnie na zewnątrz, a Groat nawet w najlepszych chwilach nie był entuzjastą wychodzenia z budynku. Zamieszkiwał Urząd Pocztowy jak bardzo mały ślimak bardzo wielką skorupę. Był przyzwyczajony do półmroku.

Teraz, powoli i ostrożnie, na drżących nogach wspiął się po pokładach listów i z trudem otworzył kłapę na samym szczycie.

Zamrugął i zadrżał w obcym sobie blasku słońca, po czym podciągnął się na płaski dach.

Nigdy mu się to nie podobało, ale jak inaczej mógłby postąpić? Stanley jadł jak ptaszek, a on sam zwykle funkcjonował na herbacie i sucharkach, jednak wszystko to kosztowało pieniądze. Nawet jeśli człowiek chodził na targ tuż przed zamknięciem. Kiedyś w przeszłości, dziesiątki lat temu, pensja przestała docierać, a Groat był zbyt wystraszony, by iść do pałacu i wyjaśnić dlaczego. Bał się, że jeśli spyta o pieniądze, zwolnią go z pracy. Zaczął więc

wynajmować stary gołębnik. Co w tym złego? Wszystkie gołębie już przed laty dołączyły do swych dzikich braci, a w tym mieście porządna szopa była czymś nie do pogardzenia, nawet jeśli trochę w niej cuchnęło. Miała osobne wejście po schodach przeciwpożarowych i wszystko co trzeba. W porównaniu z większością kwater można by ją uznać za prawdziwy pałac.

Poza tym chłopcy twierdzili, że zapach im nie przeszkadza. Byli wielbicielami gołębi. Groat nie był pewien, co to znaczy, oprócz tego, że aby wielbić je należycie, musieli używać niedużej wieżyczki sekarowej. Jednak płacili w terminie i to było najważniejsze.

Ominął wielką kadź na deszczówkę, element hydrauliki nieczynnej windy, i bokiem przesunął się wzdłuż krawędzi dachu aż do szopy. Zapukał grzecznie.

– To ja, chłopcy. Przyszedłem w sprawie czynszu.

Drzwi się otworzyły i usłyszał strzępy rozmowy.

– ...olinowanie nie wytrzyma tego dłużej niż trzydzieści sekund...

– Ach, to pan Groat... Proszę wejść – zaprosił go człowiek, który otworzył.

Nazywał się Carlton i miał brodę, z której dumny byłby krasnolud. Nie, nawet dwa krasnoludy byłyby dumne. Wydawał się rozsądniejszy od kolegów, co nie było trudne.

Groat zdjął czapkę.

– Przyszedłem po czynsz – powtórzył, zaglądając za plecy Carltona. – Mam też parę nowin. Pomyślałem sobie, chłopcy, że lepiej was uprzedzę: mamy nowego poczmistrza. Moglibyście na jakiś czas być bardziej ostrożni? Rozumiemy się chyba, nie?

– Jak długo ten nowy przetrwa? – zapytał mężczyzna siedzący na podłodze. Pracował nad wielkim metalowym bębnem, pełnym czegoś, co dla Groata wyglądało jak bardzo skomplikowany mechanizm zegarowy. – Zepchniesz go z dachu najdalej w sobotę, tak?

– Nie, panie Winton, naprawdę nie ma pan powodu, żeby tak sobie ze mnie żartować – odparł nerwowo Groat. – Kiedy pobędzie tu już parę tygodni i trochę się urządzi, to ja tak jakby, no... napomknę mu, że tu jesteście, zgoda? Z gołębiami wszystko w porządku?

Rozejrzał się po gołębniku. Był tylko jeden gołąb, skulony w kącie pod dachem.

– Wyleciały teraz trochę poćwiczyć – wyjaśnił Winton.

– Aha, oczywiście. No, to by było wszystko – uznał Groat.

– Zresztą w tej chwili bardziej interesują nas dzięcioły... – Winton wyciągnął z bębna wygięty metalowy pręt. – Widzisz, Alex? Mówiłem ci, że się skrzywił. A dwa tryby są starte do czysta...

– Dzięcioły? – zdziwił się Groat.

Nastąpiło pewne obniżenie temperatury, jak gdyby powiedział coś niewłaściwego.

– Zgadza się, dzięcioły – potwierdził trzeci głos.

– Dzięcioły, panie Emery?

Trzeci wielbiciel gołębi zawsze wzbudzał u Groata nerwowość. Chodziło o to, że jego oczy wydawały się bezustannie poruszać, jakby próbował zobaczyć wszystko naraz. I prawie

zawsze trzymał jakąś dymiącą rurę albo inny fragment maszynierii. Oni wszyscy bardzo się interesowali rurami i kółkami zębatymi. Dziwne, ale Groat nie widział żadnego z nich trzymającego gołębia. Nie wiedział, jak należy wielbić gołębie, ale zakładał, że raczej z bliska.

– Tak, dziękuję. – Rura w rękach pana Emery’ego zmieniła kolor z czerwonego na niebieski. – Ponieważ... – Niepokojący lokator urwał i zastanowił się chwilę. – Sprawdzamy, czy nie dałoby się ich nauczyć, żeby... a tak, żeby wystukiwały wiadomość, kiedy już doleczą na miejsce. Rozumie pan? To o wiele lepsze od gołębi pocztowych.

– Dlaczego? – zdziwił się Groat.

Przez moment pan Emery patrzył na cały świat.

– Ponieważ... mogą dostarczać wiadomości po ciemku?

– Nieźle – mruknął człowiek rozkładający bęben.

– Może się bardzo przydać, to widzę – przyznał Groat. – Ale nie przypuszczam, żeby dało się tak pokonać sekary.

– O tym właśnie chcemy się przekonać – oświadczył Winton.

– Ale będziemy bardzo wdzięczni, jeśli nikomu pan o tym nie powie – dodał pospiesznie Carlton. – Tu są pańskie trzy dolary, panie Groat. Widzi pan, nie chcielibyśmy, żeby jacyś ludzie ukradli nasz pomysł.

– Moje usta są zapieczętowane – zapewnił Groat. – Nie musicie się niczym martwić. Na Groacie można polegać.

Carlton przytrzymał mu drzwi.

– Wiemy o tym. Do widzenia, panie Groat.

Kiedy Groat ruszył z powrotem, usłyszał za sobą zatraskujące się drzwi. Zdawało się, że w gołębniku wybuchł jakiś spór. Ktoś powiedział głośno:

– No i dlaczego musiałeś mu to powiedzieć?

Trochę go to zabolalo – ktoś uznał, że nie można mu zaufać. A zsuwając się w dół po długiej drabinie, zastanawiał się, czy powinien im uświadomić, że dziękuję nie będą przecież latać po ciemku. Zadziwiająco, że tacy inteligentni chłopcy nie zauważyli tej luki w rozumowaniu. Uznał, że są trochę naiwni.

* * *

Sto stóp niżej i ćwierć mili w bok – lotem dzięcioła w porze dnia – Moist podążał ścieżką przeznaczenia.

W tej chwili prowadziła przez okolicę znajdującą się w opadającej części dowolnej krzywej, po której wznoszącej stronie człowiek miał nadzieję kupować swoją nieruchomość. Wszędzie pełno było śmieci i graffiti. To zresztą dałoby się powiedzieć o całym mieście, jednak gdzie indziej leżały śmieci lepszej jakości, a graffiti miało mniej błędów

ortograficznych. Cała ta okolica czekała, aż coś się wydarzy – na przykład wybuchnie naprawdę wielki pożar.

I wtedy zobaczył. Była to jedna z tych beznadziejnych wystaw sklepów, których czas życia mierzy się w dniach, jak Wielka Końcowa Wyprzedaż!!! skarpet mających po dwie pięty każda, rajtuzów z trzema nogawkami i koszul z jednym rękawem, za to długim na cztery stopy. Okno wystawowe było zabite deskami, ale ponad nimi, ledwie widoczne wśród graffiti, widniały słowa „Powiernictwo golemów”.

Moist pchnął drzwi. Szkło zachrzęściło mu pod butami.

– Trzymaj ręce tam, gdzie mogę je widzieć – usłyszał.

Ostrożnie uniósł ręce i wyteżył wzrok w ciemności. Stanowczo tkwiła w niej kusza trzymana przez niewyraźną postać. Światło, jakie zdołało się precyzyjnie przecisnąć między deskami, odbijało się od czubka grotu.

– Och... – mruknął ten ktoś w ciemności, jakby lekko poirytowany tym, że nie ma żadnego pretekstu, by kogoś zastrzelić. – No dobrze. W nocy mieliśmy tu wizytę.

– Ta wystawa? – spytał Moist.

– Coś takiego zdarza się mniej więcej raz w miesiącu. Sprzątałam tu. – Trzasnęła zapalka i zapłonęła lampa. – Na ogół nie atakują samych golemów, nie teraz, kiedy kręcą się tu wolne. Ale szkło nie może oddać.

Lampa została odwrócona i oświetliła wysoką młodą kobietę w wąskiej, szarej wełnianej sukni, z czarnymi włosami zaczesanymi tak gładko, że wyglądała jak drewniana lalka, a z tyłu zwiniętymi w ciasny kok. Oczy zdradzały ślady lekkiej czerwieni, co sugerowało, że płakała.

– Ma pan szczęście, że mnie zastał – powiedziała. – Przyszłam tylko, żeby sprawdzić, czy czegoś nie zabrali. Chce pan sprzedać czy wynająć? Może pan już opuścić ręce – dodała i schowała kuszę pod ladę.

Moist opuścił ręce i powtórzył niepewnie:

– Sprzedać czy wynająć?

– Golema – dokończyła tonem kogoś, kto rozmawia z osobnikiem opóźnionym w rozwoju. – Jesteśmy Powiernictwem Go-lemów. Kupujemy albo wynajmujemy go-lemy. Chce pan sprzedać go-lemia czy wynająć go-lemia?

– Dzie-ku-je – odparł Moist. – Mam go-lemia. To znaczy, go-lem dla mnie pra-cu-je.

– Naprawdę? A gdzie? – zdziwiła się kobieta. – I myślę, że możemy chyba trochę przyspieszyć.

– W Urzędzie Pocztowym.

– Ach, Pompa 19... Mówił, że pracuje w służbie rządowej.

– Nazywamy go panem Pompą – oświadczył z godnością Moist.

– Naprawdę? I ogarnia pana wtedy ciepłe uczucie miłosierdzia?

– Słucham? Co takiego?

Moist był trochę oszołomiony. Zaczynał podejrzewać, że ta kobieta z surową miną nabija się z niego.

– Przepraszam. – Westchnęła. – Jestem trochę nerwowa. Cegła lądująca na biurku może popsuć nastrój. Powiedzmy tyle, że one nie widzą świata w taki sam sposób jak my, jasne? Mają uczucia, na swój sposób, ale nie takie jak nasze. Zresztą... W czym mogę panu pomóc, panie...

– Von Lipwig – przedstawił się Moist i żeby najgorsze mieć za sobą, dodał: – Moist von Lipwig.

Kobieta nawet się nie uśmiechnęła.

– Lipwig, niewielkie miasteczko w Bliskim Überwaldzie – stwierdziła, podnosząc cegłę leżącą wśród odprysków szkła na biurku. Przyjrzała się jej krytycznie, a potem odwróciła do stojącej z tyłu starej szafki na dokumenty i schowała pod literą C. – Główny artykuł eksportowy to oczywiście ich słynne psy, na drugim miejscu lokalne piwo, oprócz dwóch tygodni w Sektobrze, kiedy eksportują... używane piwo, prawdopodobnie.

– Nie wiem. Wyjechaliśmy, kiedy byłem jeszcze mały – wyznał Moist. – Jeśli o mnie chodzi, to tylko zabawne nazwisko.

– No to proszę porównać z Adorą Belle Dearheart...

– Och, to wcale nie jest zabawne nazwisko – stwierdził Moist.

– Wcale – zgodziła się Adora Belle Dearheart. – W tej chwili jestem całkowicie pozbawiona poczucia humoru. A teraz, kiedy już zachowaliśmy się mniej więcej po ludzku wobec siebie nawzajem, to czego pan właściwie chce?

– Widzi pani, Vetinari zrzucił mi na kark pana... to znaczy Pompę 19 jako... asystenta. Ale nie wiem, jak traktować... – Moist szukał w jej oczach jakiejś sugestii co do politycznie poprawnego określenia, aż w końcu zdecydował się na „go”.

– He? Proszę go traktować normalnie.

– To znaczy normalnie jak istotę ludzką czy normalnie jak osobnika z gliny wypełnionej ogniem?

Ku zaskoczeniu Moista Adora Belle Dearheart wyjęła z szuflady biurka papierosy i zapaliła. Chyba źle zrozumiała wyraz jego twarzy, gdyż podsunęła mu paczkę.

– Nie, dziękuję. – Zamachał rękami.

Jeśli nie liczyć czasem jakiejś staruszki z fajką, nigdy jeszcze nie widział palącej kobiety. Było to... dziwnie atrakcyjne, zwłaszcza odkąd się okazało, że pali papierosa, jakby żywiła wobec niego jakąś urazę: zasysa dym i niemal natychmiast go wydmuchuje.

– Zaczyna pan mieć tego dosyć, tak?

Kiedy paliła, trzymała papierosa na wysokości ramienia, a lewy łokieć opierała na prawej dłoni. Adora Belle Dearheart budziła silne wrażenie, że ledwie hamuje gniew.

– Tak! A raczej... – zaczął Moist.

– Ha! To zupełnie jak Kampania Równego Wzrostu i ich protekcyjne gadanie o krasnoludach, jak to nie powinniśmy używać takich terminów jak „krótka rozmowa” czy „mała kawa”. Golemy nie dźwigają naszego bagażu problemów typu „kim jestem i skąd się tu wziąłem”, jasne? Ponieważ wiedzą. Zostały stworzone, żeby być narzędziami, żeby być czyjąś własnością, żeby pracować. Praca to ich zajęcie. W pewnym sensie praca jest także tym, czym są. I koniec egzystencjalnych niepokojów.

Adora Belle zaciągnęła się i zaraz wypuściła dym nerwowo.

– A potem głupi ludzie próbują ich nazywać „glinianymi osobami” albo „panem Wiertarką”, co wydaje się im dość dziwaczne. Rozumieją, na czym polega wolna wola. Rozumieją też, że jej nie posiadają. Chociaż trzeba pamiętać, że kiedy golem staje się swoim właścicielem, sytuacja całkowicie się zmienia.

– Właścicielem? Jak własność może należeć do siebie? Mówiła pani, że były...

– Oszczędzają i wykupują się, naturalnie. Samoposiadanie to jedyna droga do wolności, jaką skłonne są zaakceptować. Naprawdę działa to tak, że wolne golemy wspierają Powiernictwo, a Powiernictwo wykupuje golemy, gdzie tylko może. Potem nowe golemy wykupują się od Powiernictwa po kosztach. Wszystko dobrze się układa. Wolne golemy zarabiają przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, osiem dni w tygodniu, a jest ich coraz więcej i więcej. Nie jedzą, nie śpią, nie noszą ubrań, nie rozumieją koncepcji odpoczynku. Potrzebna czasem tubka kleju do ceramiki nie kosztuje dużo. W tej chwili wykupują coraz więcej golemów miesięcznie, płacą mi pensję i nikczemną stawkę czynszu, jakiej gospodarz żąda za tę ruinę, bo wie, że wynajmuje ją golemom. Widzi pan, one nigdy się nie skarżą. Płacą tyle, ile się od nich żąda. Są tak cierpliwe, że mogą doprowadzić do szału.

Tubka kleju do ceramiki... Moist próbował zapamiętać tę informację, na wypadek gdyby kiedyś miała się przydać, jednak niektóre procesy umysłowe były całkowicie zajęte coraz silniejszym uświadamianiem sobie, jak wspaniale wyglądają niektóre kobiety w surowych, prostych sukniach.

– Można je chyba uszkodzić, prawda? – zdołał spytać.

– Oczywiście. Młot kowalski trafiający w odpowiedni punkt naprawdę może narobić zniszczeń. Posiadane golemy w tej sytuacji stoją i przyjmują ciosy. Ale golemy Powiernictwa mają prawo się bronić, a kiedy ktoś ważący tonę wrywa panu młot z ręki, lepiej ustąpić, i to szybko.

– Wydaje mi się, że pan Pompa ma prawo uderzyć człowieka – stwierdził Moist.

– Całkiem możliwe. Dużo wolnych jest temu przeciwnych, ale inne uważają, że nie można winić narzędzia za czyn, do którego zostanie użyte. Wiele o tym dyskutują. Całymi dniami.

Żadnych pierścionków ani obrączek na palcach, zauważył Moist. Jak to jest, że atrakcyjna dziewczyna zgadza się pracować dla bandy glinianych typów?

– Fascynujące – zapewnił. – Gdzie mógłbym dowiedzieć się więcej?

– Mamy broszurę – oświadczyła prawie na pewno panna Dearheart. Wysunęła szufladę i rzuciła na biurko cienką książeczkę. – Należy się pięć pensów.

Tytuł na okładce brzmiał „Glina powszednia”.

Moist położył na biurku dolara.

– Reszty nie trzeba.

– Nie! – zawołała panna Dearheart, szukając w szufladzie monet. – Nie przeczytał pan tego, co jest wypisane nad drzwiami?

– Owszem. „Rozwał Darni!”.

Panna Dearheart zmęczonym gestem przycisnęła dłoń do czoła.

– No tak. Malarz jeszcze nie przyszedł. Ale pod spodem... Proszę spojrzeć, jest na tylnej okładce naszej broszury...

ᲕᲗ ᲗᲗᲗ ᲗᲗ ᲗᲗᲗ ᲗᲗ ᲗᲗᲗ, – przeczytał, a przynajmniej popatrzył Moist.

– To jeden z ich języków – wyjaśniła panna Dearheart. – Trochę jest... mistyczny. Podobno mówią nim anioły. Tłumaczy się na „Z Naszej Własnej Ręki Albo Żadnej”. Są bardzo stanowczo niezależne. Nie ma pan nawet pojęcia.

Ona je podziwia, pomyślał Moist. Ojoj. Ale... anioły?

– Bardzo dziękuję – powiedział. – Chyba już pójdę. Postaram się... no, w każdym razie dziękuję.

– Co pan robi w Urzędzie Pocztowym, panie von Lipwig? – spytała, gdy otwierał drzwi.

– Proszę mi mówić „Moist” – poprosił Moist, a pewne elementy jego wewnętrznego „ja” zadygotały. – Jestem nowym poczmistrzem.

– Poważnie? – zdziwiła się panna Dearheart. – W takim razie cieszę się, że ma pan Pompę 19. Rozumiem, że kilku ostatnich poczmistrzów nie przetrwało długo.

– Chyba coś o tym słyszałem – zgodził się Moist z uśmiechem. – Wygląda na to, że za dawnych czasów nie było to bezpieczne stanowisko.

Panna Dearheart zmarszczyła czoło.

– Za dawnych czasów? Zeszły miesiąc to dawne czasy?

* * *

Lord Vetinari wyglądał przez okno. Z jego gabinetu rozciągał się kiedyś wspaniały widok na miasto. I technicznie biorąc, wciąż tam był, tyle że linię dachów porastał gąszcz wież sekarowych, mrugających i migających w promieniach słońca. Na Tumpie, starym wzgórzu zamkowym za rzeką, wielka wieża – jeden koniec Wielkiego Pnia wijącego się ponad dwa tysiące mil przez cały kontynent, do Genoi – połyskiwała od semaforów.

Przyjemnie było widzieć krwiobieg handlu, wymiany i dyplomacji pracujący równym strumieniem – zwłaszcza jeśli zatrudniało się urzędników wyjątkowo dobrze radzących sobie

z deszyfracją. Czerń i biel za dnia, światło i ciemność nocą... przesłony nieruchomiały tylko w czasie mgły i śnieżycy.

Przynajmniej do niedawna. Bo od kilku miesięcy...

Patrycjusz westchnął i wrócił za biurko.

Leżała tam otwarta teczka. Zawierała raport komendanta Vimesa ze Straży Miejskiej, z licznymi wykrzyknikami. Zawierała również bardziej wyważony raport referenta Alfreda, a Vetinari zakreślił fragment zatytułowany „Dymiące Gnu”.

Zabrzmiało delikatne pukanie do drzwi i urzędnik Drumknott wsunął się do gabinetu niczym duch.

– Panowie z kompanii semaforowej Wielki Pień są już wszyscy, panie – oznajmił. Położył na blacie kilka kartek papieru pokrytych drobnymi, gęstymi znakami. Vetinari rzucił okiem na stenogram.

– Swobodne pogawędki? – zapytał.

– Tak, panie. Można powiedzieć, że aż do przesady. Ale jestem pewien, że wlot rury głosowej jest praktycznie niewidoczny pod tynkiem, panie. Został bardzo umiejętnie ukryty pod złożonym cherubinem. Referent Brian wbudował go w róg obfitości, który najwyraźniej lepiej zbiera dźwięki i może być skierowany w stronę...

– Nie trzeba czegoś widzieć, by wiedzieć, że tam jest, Drumknott. – Vetinari postukał w zapisane kartki. – Ci ludzie nie są głupcami. No, w każdym razie niektórzy. Masz ich akta?

Blade oblicze Drumknotta na moment nabrało wyrazu cierpienia człowieka zmuszonego do zdrady wspaniałych zasad rejestracji i prowadzenia akt.

– W pewnym sensie, panie. Prawdę mówiąc, nie mamy niczego konkretnego w kwestii któregośkolwiek z zarzutów, naprawdę niczego. Prowadzimy Concludium w Długiej Galerii, ale obawiam się, że to tylko pogłoski. Są... sugestie, tu czy tam, ale potrzebujemy czegoś solidniejszego...

– Pojawi się okazja – uspokoił go Vetinari.

Sprawowanie władzy absolutnej nie było dzisiaj tak proste, jak mogłoby się wydawać. A przynajmniej nie takie proste, jeśli jego ambicje obejmowały sprawowanie władzy absolutnej również jutro. Pewnie, można rozkazać swoim ludziom, by wyważyli drzwi i zaciągnęli kogoś do lochu, bez żadnych sądów, ale zbyt wiele takich działań dowodziło braku stylu, a poza tym źle wpływało na interesy, było uzależniające i bardzo, bardzo niebezpieczne dla zdrowia. Myślący tyran, uważał Vetinari, miał pracę o wiele trudniejszą niż ktoś wyniesiony do władzy przez jakiś idiotyczny system typu „kto jest za tym, żeby wszyscy byli bogaci” – jak na przykład demokracja. Tamten przynajmniej mógł powiedzieć ludziom, że to ich wina.

– ...normalnie w tej sytuacji jeszcze byśmy nie zakładali teczek indywidualnych. – Drumknott był bliski załamania. – To znaczy, tylko uzupełniałbym codziennie...

– Twoja troska jest, jak zwykle, godna najwyższej pochwały. Widzę jednak, że kilka teczek przygotowałeś.

– Tak, panie. Niektóre dopełniłem kopiami analizy produkcji wieprzowiny w Genoi, dokonanej przez referenta Harolda.

Drumknott wyglądał na nieszczęśliwego, przekazując plik tekturowych teczek. Świadomie błędne przyporządkowanie dokumentacji było jak przeciągnięcie paznokciami po tablicy jego duszy.

– Bardzo dobrze – pochwalił go Vetinari. Położył teczki na biurku, wyjął z szuflady jeszcze jedną i umieścił na samym wierzchu, po czym trochę przesunął papiery, by zakryły powstały stosik. – A teraz wprowadź naszych gości, proszę.

– Jest wśród nich pan Slant – uprzedził sekretarz.

Vetinari uśmiechnął się posepnie.

– Cóż za niespodzianka...

– Oraz pan Reacher Gilt – dodał Drumknott, bacznie obserwując przełożonego.

– Oczywiście.

Kiedy finansiści weszli gęsiego kilka minut później, stół konferencyjny na końcu pokoju był błyszczący i prawie pusty – leżał tam tylko plik teczek i notatnik. Vetinari znowu stał przy oknie.

– Witam panów. Jak miło, że zechcieli panowie wpaść na pogawędkę. Właśnie podziwiałem widok.

Odwrócił się gwałtownie i zobaczył przed sobą rząd zdziwionych twarzy – prócz dwóch. Jedna była szara i należała do pana Slanta, najbardziej znanego, kosztownego i z pewnością najstarszego prawnika w mieście. Od wielu lat był zombi, choć przechodząc od życia do śmierci, najwyraźniej nie zmienił przyzwyczajzeń. Druga twarz miała jedno oko i jedną czarną opaskę oraz uśmiech jak u tygrysa.

– Szczególnie cieszy widok znów działającego Wielkiego Pnia – stwierdził Vetinari, ignorując tę twarz. – O ile pamiętam, był wczoraj nieczynny przez cały dzień. I myślałem sobie wtedy, jaka szkoda... Wielki Pień jest tak kluczowo istotny dla nas wszystkich, a niestety istnieje tylko jeden... To smutne, ale słyszałem, że upadło wsparcie dla Nowego Pnia, wskutek czego, oczywiście, na Wielki Pień spada cały splendor, a wasza firma, panowie, pozostaje bez żadnej konkurencji. Och, ale o czym ja myślę... Proszę, siadajcie, panowie.

Rzucił kolejny przyjazny uśmiech panu Slantowi i zajął miejsce przy stole.

– Nie znam chyba wszystkich obecnych...

Pan Slant westchnął.

– Wasza lordowska mość pozwoli sobie przedstawić pana Greenyhama z Ankh-Sto, Spółka Cywilna, który jest skarbnikiem Kompanii Wielkiego Pnia, pana Nutmege z Aktywów Równin Sto, pana Horsefrya z Handlowego Banku Kredytowego Ankh-Morpork, pana Stowleya z Ankh Przyszłości (Doradcy Finansowi) oraz pana Gilta...

– ...całkiem samodzielnego – dokończył spokojnie jednooki.

– Ach, pan Reacher Gilt... – Vetinari spojrzał wprost na niego. – Tak się... cieszę, że wreszcie mogę pana poznać.

– Wasza lordowska mość nie bywa na moich przyjęciach – zauważył Gilt.

– Proszę o wybaczenie. Sprawy państwowe zajmują mi wiele czasu – odparł szorstko Patrycjusz.

– Wszyscy powinniśmy znaleźć wolną chwilę, by się rozerwać, panie. Jak to mówią: Komu po pracy zabawa się nie zdarza, ten często zmienia się w nudziarza.

Kilku spośród obecnych wstrzymało oddech, słysząc te słowa, ale Vetinari tylko stwierdził obojętnie:

– Interesujące.

Przerzucił kilka teczek i otworzył jedną.

– Mój personel przygotował kilka notatek na podstawie informacji publicznie dostępnych w Barbakanie – powiedział, zwracając się do prawnika. – Składy zarządów, na przykład. Oczywiście, tajemniczy świat finansów jest dla mnie zamkniętą... a tak, księga, ale odniosłem wrażenie, że niektórzy z pańskich klientów pracują, jak się okazuje, dla siebie nawzajem.

– Tak, wasza lordowska mość?

– Czy to normalne?

– Och, to dość powszechna sytuacja, że osoby o szczególnych umiejętnościach zasiadają w radach kilku firm.

– Nawet jeśli te firmy ze sobą rywalizują?

Finansiści zaczęli się uśmiechać. Większość usiadła trochę swobodniej. Ten człowiek najwyraźniej w ogóle nie miał pojęcia o interesach. Czy wiedział na przykład, co to jest procent składany? Odebrał tylko klasyczne wykształcenie. Ale potem przypomnieli sobie, że odbierał je w szkole Gildii Skrytobójców, i przestali się uśmiechać. Tylko pan Gilt patrzył na Vetinariego nieruchomo.

– Istnieją metody... niezwykle honorowe metody zagwarantowania poufności i uniknięcia konfliktu interesów, panie – zapewnił pan Slant.

– Chodzi panu o... zaraz, gdzie to było... szklany sufit? – zapytał Vetinari uprzejmie.

– Nie, wasza lordowska mość. To co innego. Wydaje mi się, że wasza lordowska mość ma na myśli agatejski mur – poprawił go gładko pan Slant – Ta metoda efektywnie gwarantuje, że nie nastąpi naruszenie tajemnicy, gdyby na przykład jedna część organizacji weszła w posiadanie zastrzeżonej informacji, która, być może, mogłaby zostać wykorzystana przez inną część do osiągnięcia nieetycznych korzyści.

– Fascynujące! – oświadczył Vetinari. – A jak to konkretnie działa?

– Zainteresowane osoby zgadzają się, że nie będą tego robić – wyjaśnił Slant.

– Przepraszam? Mówił pan chyba, że jest jakiś mur...

– To tylko nazwa, panie. Na zgodę, by tego nie robić.

– Tak? I zgadzają się? To cudowne! Nawet jeśli w tym przypadku niewidzialny mur musi przebiegać przez środek ich mózgu?

– Mamy przecież Kodeks Postępowania, wie pan... – odezwał się ktoś.

Wszystkie oczy – prócz tych należących do pana Slanta – zwróciły się w stronę mówiącego, który wiercił się niespokojnie na krześle. Pan Slant od wielu lat studiował Patrycjusza i wiedział, że kiedy obiekt wydaje się zagubionym urzędnikiem publicznym, zadającym niewinne pytania, należy bardzo pilnie na niego uważać.

– Miło mi to słyszeć, panie...? – zaczął Vetinari.

– Crispin Horsefry, panie, i nie podoba mi się ton pańskich pytań!

Przez chwilę wydawało się, że nawet krzesła starają się od niego odsunąć. Pan Horsefry był człowiekiem stosunkowo młodym i nie po prostu tęgim, ale w zaawansowanym stadium tęgiej otyłości. W wieku trzydziestu lat zdobył imponującą kolekcję podbródków, które teraz trzęsły się z urażonej dumy*.

– Dysponuję także innymi tonami – zapewnił chłodno Patrycjusz.

Pan Horsefry spojrział na kolegów, którzy nagle znaleźli się na dalekim horyzoncie.

– Chciałem tylko zaznaczyć, że nie zrobiliśmy nic złego – wymamrotał. – Nic więcej. Mamy przecież Kodeks Postępowania.

– Z całą pewnością nie sugerowałem, że zrobili panowie coś złego – odparł Vetinari. – Jednakże zanotuję, co mi pan właśnie powiedział.

Przysunął sobie kartkę papieru i zapisał kaligraficznym pismem „Kodeks Postępowania”. Kartka odsłoniła teczkę oznaczoną „Malwersacja”. Z punktu widzenia reszty grupy słowo było wypisane dołem do góry, a że zapewne nieprzeznaczone do czytania przez nich, więc je przeczytali. Horsefry przekreślił nawet głowę, by lepiej widzieć.

– Jednakże – ciągnął Vetinari – skoro już kwestia złych postępów została tu przywołana przez pana Horsefrya... – Rzucił młodemu człowiekowi przelotny uśmiech. – Jestem pewien, że dotarły do panów pogłoski sugerujące znowu was wszystkich, mającą na celu utrzymanie wysokich opłat i zagwarantowanie braku konkurencji. – Zdanie to wysunęło się szybko i zaskakująco, jak język węża, a szybkim śmignięciem na końcu były słowa: – A nawet, trzeba dodać, pewne plotki na temat śmierci młodego pana Dearhearta w zeszłym miesiącu.

Poruszenie wśród finansistów dowodziło, że padły słowa dramatyczne. Co prawda słowa niezbyt wyczekiwane, ale i niezbyt zaskakujące. I zrobiły „łups!”.

– To karalne oszczerstwo – oznajmił pan Slant.

– Wręcz przeciwnie, panie Slant – sprzeciwił się Vetinari. – Samo wspomnienie o istnieniu pogłosek nie jest karalne, z czego niewątpliwie zdaje pan sobie sprawę.

* Nie należy nikogo sądzić po pozorach. Mimo swej miny będącej wyrazem twarzy prosiaczka, który wpadł na świetny pomysł, i sposobu mówienia przywodzącego na myśl małego, zasapanego i neurotycznego, ale bezsensownie kosztownego pieska, pan Horsefry mógł przecież być człowiekiem łagodnym, wielkodusznym i cnotliwym. Tak samo jak ktoś wychodzący z naszego okna w pasiastym swetrze, w masce i z wielkim pośpiechem, może po prostu zablądził w drodze na bal maskowy, a człowiek w peruce i todze, siedzący w centralnym punkcie sali sądowej, to tylko transwestyta, który schronił się tu przed deszczem. Pochopne sądy bywają takie niesprawiedliwe...

– Nie ma żadnych dowodów, że mieliśmy cokolwiek wspólnego z zamordowaniem tego chłopca! – warknął Horsefry.

– Ach, więc pan również słyszał, jak ludzie powtarzają, że go zamordowano? – rzekł Patrycjusz, nie odrywając wzroku od twarzy Gilta. – Te plotki krążą wszędzie, prawda...

– Ludzie gadają, wasza lordowska mość – zgodził się ostrożnie pan Slant. – Ale fakty są takie, że pan Dearheart był sam na wieży. Nikt inny na nią nie wchodził, nikt z niej nie zszedł. Jego lina bezpieczeństwa najwyraźniej nie została przypięta do czegokolwiek. Takie wypadki często się zdarzają. Tak, wiemy, ludzie opowiadają, że miał połamane palce, ale po upadku z takiej wysokości, przy zaczepianiu w drodze o konstrukcję wieży, czy należy się dziwić? To przykre, ale Kompania Wielkiego Pnia nie jest obecnie popularna, co sprawia, że formułowane są takie oszczercze i bezpodstawne oskarżenia. Jak zauważył pan Horsefry, nie ma absolutnie żadnych dowodów sugerujących, że to coś więcej niż tragiczny wypadek. A jeśli mogę zapytać otwarcie, to jaki jest cel wezwania nas tutaj? Moi klienci są ludźmi zapracowanymi.

Vetinari złożył palce obu dłoni.

– Rozważmy sytuację, kiedy grupa bystrych i bardzo pomysłowych młodych ludzi wymyśla zadziwiający system komunikacji – powiedział. – To, czym dysponują, to jakby żarliwa pomysłowość w dużych ilościach. To, czego im brakuje, to pieniądze. Nie orientują się w sprawach pieniędzy. Poznają więc pewnych... ludzi, którzy przedstawiają ich innym ludziom, bardzo przyjacielskim, którzy za, no, powiedzmy czterdzieści procent udziałów w przedsięwzięciu użyczają im tak potrzebnej gotówki oraz, co bardzo ważne, wielu ojcowskich porad oraz polecenia ich naprawdę dobrej firmie księgowej. Działają więc dalej i wkrótce pieniądze zaczynają spływać, a także wypływać, ale przekonują się, że z jakichś powodów ich sytuacja finansowa nie jest tak stabilna, jak im się wydawało, więc muszą zdobyć więcej pieniędzy. Cóż, to żaden kłopot, wszyscy przecież rozumieją, iż przedsięwzięcie stanie się pewnego dnia prawdziwą kopalnią zysków, więc czy to jakiś problem, że odstąpią jeszcze piętnaście procent? To tylko pieniądze. Nie są ważne, nie w taki sposób jak mechanizm przesłoni, prawda? A potem nagle się przekonują, że owszem, są ważne. Że są wszystkim. Nagle świat wywraca się do góry nogami, nagle ci mili ludzie nie są już tacy przyjaźni, nagle te kawałki papieru, które podpisywali w pośpiechu, które podpisać radzili im ludzie cały czas uśmiechnięci, znaczą, że w rzeczywistości nic już nie jest ich własnością, ani patenty, ani konstrukcje, nic... nawet zawartość ich głów. Nawet pomysły, na jakie mogliby wpaść, też do nich nie należą, jak się zdaje. I jakoś nadal mają problemy z pieniędzmi. No więc niektórzy uciekają, niektórzy zaczynają się ukrywać, a niektórzy próbują walczyć, co jest wybitnie nierozsądne, gdyż okazuje się, że wszystko przeprowadzono legalnie, bez najmniejszych wątpliwości. Niektórzy przyjmują zatem jakieś niskie stanowiska w firmie, bo przecież trzeba z czegoś żyć, a zresztą firma jest teraz właścicielem nawet tego, o czym śnią nocami. I mimo to, jak się zdaje, nie miało miejsca nic realnie nielegalnego. Interes to interes.

Lord Vetinari uniósł powieki. Wszyscy siedzący przy stole wpatrywali się w niego.

– Tak tylko głośno myślałem – wyjaśnił. – Z pewnością odpowiecie mi, panowie, że to nie jest interes rządu. Wiem, że powie tak pan Gilt. Jednakże, skoro już zdobyliście Wielki Pień za ułamek jego wartości, muszę zauważyć, że awarie są coraz częstsze, szybkość przekazywania wiadomości spada, a koszt dla klientów wzrósł. W zeszłym tygodniu Wielki Pień nie działał przez niemal trzy dni. Nie mogliśmy nawet rozmawiać ze Sto Lat, panowie. Niezbyt to „Szybkie jak światło”, panowie.

– Przerwa służyła pracom konserwacyjnym... – zaczął Slant.

– Nie. To były naprawy – przerwał mu Vetinari ostro. – Pod poprzednim kierownictwem system zatrzymywano codziennie na jedną godzinę. To była konserwacja. Teraz wieże pracują, dopóki coś się nie rozpadnie. Co wy wyprawiacie, panowie?

– A to, wasza lordowska mość, naprawdę nie pański interes.

Lord Vetinari się uśmiechnął. I po raz pierwszy tego ranka był to uśmiech szczerzej satysfakcji.

– Ach... Pan Reacher Gilt. Zastanawiałem się, kiedy coś od pana usłyszymy. Był pan nietypowo milczący. Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem pański ostatni artykuł w „Pulsie”. Jest pan zarliwym obrońcą wolności, jak rozumiem. Trzykrotnie użył pan słowa „tyrania” i raz „tyran”.

– Niech wasza lordowska mość daruje sobie ten protekcyjalny ton – odparł Gilt. – Wielki Pień jest naszą własnością. Wasza lordowska mość to rozumie? Własność to fundament wolności. Och, klienci narzekają na poziom usług i cenę, ale klienci zawsze na to narzekają. Nie brak nam klientów, niezależnie od cen. Przed zainstalowaniem semaforów wiadomości z Genoi potrzebowały miesięcy, by do nas dotrzeć. Dzisiaj trwa to mniej niż dzień. To magia, na którą można sobie pozwolić. My jesteśmy odpowiedzialni tylko wobec naszych akcjonariuszy, panie. A nie, z całym szacunkiem, przed waszą lordowską mością. To nie pański interes. To nasz interes i będziemy go prowadzić według wskazań rynku. Mam nadzieję, że nie panuje tutaj tyrania. Z całym szacunkiem, to wolne miasto.

– Tyle szacunku bardzo mi pochlebia – zapewnił Patrycjusz. – Ale jedyny wybór, jaki mają wasi klienci, jest pomiędzy wami i niczym.

– Dokładnie tak – przyznał spokojnie Reacher Gilt. – Zawsze jest jakiś wybór. Mogą przejechać konno parę tysięcy mil albo mogą cierpliwie czekać, aż nam się uda przesłać ich wiadomość.

Vetinari rzucił mu uśmiech trwający tak długo jak błysk pioruna.

– Albo sfinansować i zbudować inny system – rzekł. – Choć zauważam, że każda inna firma, która próbowała stworzyć konkurencyjną sieć sekarów, padała dość szybko, często w niepokojących okolicznościach. Upadki ze szczytów wież semaforowych i tak dalej.

– Wypadki się zdarzają. To bardzo przykre – oświadczył Gilt sztywno.

– Bardzo przykre – powtórzył Vetinari.

Znowu przysunął sobie papier, lekko przemieszczając teczki, by pojawiło się parę nazwisk. Po czym zanotował „Bardzo przykre”.

– No cóż, to chyba wyczerpuje wszystkie kwestie – stwierdził. – Właściwie celem naszego spotkania było oficjalne powiadomienie panów, że w końcu otwieram na nowo Urząd Pocztowy, zgodnie z planem. To grzecznościowe zawiadomienie, ale uznałem, że powinienem panów uprzedzić, jako że przecież prowadzą panowie podobny interes. Jak sądzę, ostatni łańcuch wypadków powinien ulec prze...

Reacher Gilt parsknął śmiechem.

– Przepraszam, panie... Czy poprawnie cię zrozumiałem? Czy naprawdę zamierzasz, wbrew wszystkiemu, kontynuować to szaleństwo? Poczta? Kiedy wszyscy wiemy, że było to powolne, zacofane, z przerostem zatrudnienia, ociężałe monstrum? Ledwie zarabiało na własne utrzymanie! Było samą esencją i przykładem przedsięwzięcia publicznego.

– To prawda, Urząd Pocztowy nigdy nie przynosił wielkich zysków, lecz w centralnych rejonach miasta dostarczano listy siedem razy dziennie – przypomniał Vetinari tonem lodowatym jak morskie głębiny.

– Ha! Ale nie pod koniec! – wtrącił pan Horsefry. – Pod koniec był już demonicznie bezużyteczny!

– W samej rzeczy. Klasyczny przykład rozpadającego się przedsięwzięcia rządowego, wyciągającego pieniądze z publicznej sakiewki – dodał Gilt.

– Szczera prawda! – zgodził się pan Horsefry. – Mówiło się, że aby się pozbyć trupa, wystarczyło go zanieść na pocztę i już nigdy więcej nikt go nie widział.

– A widział? – Vetinari uniósł brew.

– Co widział?

– Czy ktoś widział tego trupa.

W oczach pana Horsefrya błysnął nagły lęk.

– Co takiego? Skąd mogę wiedzieć?

– Ach, rozumiem... – rzekł lord Vetinari. – To był żart. No cóż... – Przełożył jakieś papiery. – Niestety, Urząd Pocztowy zyskał sobie opinię nie systemu służącego efektywnemu dostarczaniu poczty, dla dobra i korzyści nas wszystkich, ale czegoś w rodzaju skarbonki. Dlatego upadł, tracąc i listy, i pieniądze. Może powinno to być lekcją dla nas wszystkich. W każdym razie wiązę wielkie nadzieje z panem Lipwigiem, młodym człowiekiem z głową pełną pomysłów. I nie traci jej na dużych wysokościach, choć nie przypuszczam, żeby wspinał się na wieże.

– Mam tylko nadzieję, że ta inicjatywa nie obciąży naszych podatków – odezwał się pan Slant.

– Zapewniam, że poza skromną sumą, niezbędną na, jak to mówią, wstępny rozruch, służba pocztowa będzie się utrzymywać samodzielnie, tak jak było kiedyś. Nie możemy zbyt głęboko sięgać do publicznej kiesy, prawda? Cóż, panowie, zdaję sobie sprawę z faktu, że

oderwałem was od waszych bardzo ważnych zajęć. Mam nadzieję, że Pień już wkrótce znów zacznie funkcjonować.

Wstali wszyscy. Reacher Gilt pochylił się jeszcze nad stołem.

– Czy wolno mi pogratulować waszej lordowskiej mości?

– To prawdziwa rozkosz wiedzieć, że ma pan chęć pogratulować mi czegokolwiek, panie Gilt – odparł Vetinari. – A czemu zawdzięczam to niezwykle zdarzenie?

– Temu, panie. – Gilt wskazał boczny stolik, na którym leżał obciosany z grubsza kamienny blok. – Czy to nie oryginalna płyta Hnaflbaflsniflwhifltafl? Llamedosjańska błękitna skała, prawda? A figury wyglądają na bazalt, demonicznie trudny do rzeźbienia. Cenny antyk, jak sądzę.

– Dostałem to w prezencie od Dolnego Króla krasnoludów – wyjaśnił Patrycjusz. – Rzeczywiście, to bardzo stary zestaw.

– I widzę, że ma pan tu rozpoczętą partię. Gra pan stroną krasnoludów, prawda?

– Tak. Gram za pośrednictwem sekarów z dawną przyjaciółką w Überwaldzie. Miałem szczęście, bo wasza wczorajsza awaria dała mi dodatkowy dzień na przemyślenie następnego posunięcia.

Spojrzeni sobie w oczy. Reacher Gilt wybuchnął śmiechem. Vetinari uśmiechnął się lekko. Pozostali, którzy rozpaczliwie pragnęli się zaśmiać, zaśmiali się także. Widzicie, jesteśmy zaprzyjaźnieni, właściwie to jesteśmy kolegami, na pewno nie stanie się nic złego.

Śmiech ucichł trochę niepewnie. Gilt i Vetinari zachowali swe uśmiechy, utrzymali kontakt wzrokowy.

– Powinniśmy zagrać – uznał Gilt. – Sam mam całkiem ładną planszę. Zwykle wolę grać stroną trolli.

– Bezlitośni, początkowo walczący z przeważającym liczebnie wrogiem, skazani na klęskę w rękach nieuważnego gracza – rzekł Vetinari.

– Tak, tak. A krasnoludy polegają na chytrości, zwodniczych manewrach i szybkich zmianach pozycji. Na tej planszy człowiek może się wiele dowiedzieć o słabościach przeciwnika – stwierdził Gilt.

– Doprawdy? – Vetinari uniósł brwi. – Czy nie powinien raczej dowiadywać się o własnych?

– Och, to tylko łups! Łatwy! – wykrzyknął ktoś.

Obaj spojrzeli na Horsefrya, któremu ulga dodała pewności siebie.

– Grałem w to jako dzieciak – paplał. – Nuda! Krasnoludy zawsze wygrywają!

Gilt i Vetinari wymienili spojrzenia. Mówiły one: choć panem i każdym aspektem pańskiej osobistej filozofii pogardzam do głębi niemierzalnej żadną sondą, muszę jednak przyznać, że przynajmniej nie jest pan Crispinem Horsefryem.

– Pozory często mylą, Crispinie – oświadczył jowialnie Gilt. – Grający trollami wcale nie musi przegrać, jeśli tylko dobrze się skoncentruje.

– Kiedyś wepchnąłem krasnoluda sobie do nosa i mama musiała go wyciągać spinką do włosów – oświadczył Horsefry takim tonem, jakby było to dla niego źródłem ogromnej dumy.

Gilt objął go za ramiona.

– To bardzo ciekawe, Crispinie – zapewnił. – Myślisz, że coś takiego mogłoby zdarzyć się znowu?

Kiedy wyszli, Vetinari stanął przy oknie i patrzył na miasto. Po kilku minutach zjawił się Drumknott.

– W przedpokoju nastąpiła krótka wymiana zdań, panie – poinformował.

Vetinari nie obejrzał się, ale uniósł dłoń.

– Niech pomyślę... Przypuszczam, że jeden z nich powiedział coś w rodzaju: „Myślicie, że on...”, a Slant natychmiast go uciszył. Pan Horsefry, jak podejrzewam...

Drumknott zerknął na trzymaną w ręku kartkę.

– Prawie co do słowa, panie.

– Nie wymaga to przesadnie bujnej wyobraźni – westchnął Patrycjusz. – Drogi pan Slant. Jest taki... niezawodny. Czasami myślę, że gdyby już nie był zombi, koniecznie należałoby go przemienić.

– Czy mam polecić rozpoczęcie dochodzenia pierwszego stopnia wobec pana Gilta?

– Wielkie nieba, nie! On jest za sprytny. Rozpocznij je wobec pana Horsefrya.

– Naprawdę, panie? Przecież sam wczoraj mówiłeś, że uważasz go jedynie za chciwego durnia.

– Nerwowego durnia, co może się okazać przydatne. Jest sprzedajnym tchórzem i żarłokiem. Widziałem, jak siada do kociołka *au feu* z białą fasolą, i był to wstrząsający widok, Drumknott, którego nie zapomnę łatwo. Sosem chlapał na wszystkie strony. A te różowe koszule, które nosi, kosztują powyżej stu dolarów za sztukę. Och, zdobywa cudze pieniądze w sposób pewny, sekretny i niezbyt sprytny. Wyślij... tak, wyślij referenta Briana.

– Briana, panie? – zdziwił się Drumknott. – Jesteś pewien? Brian świetnie sobie radzi z urzędzeniami, ale na ulicy nie potrafi się zachować. Zobaczą go.

– Owszem, wiem. Ale chcę, żeby pan Horsefry stał się trochę... bardziej nerwowy.

– Ach... rozumiem, panie.

Vetinari odwrócił się od okna.

– Drumknott, czy powiedziałbyś, że jestem tyranem?

– Z całą pewnością nie, panie. – Drumknott zaczął sprzątać na stole.

– Ale oczywiście na tym polega problem, nieprawdaż... Kto powie tyranowi, że uważa go za tyrana?

– Trudne pytanie, panie, bez wątpienia. – Drumknott ułożył równo teczki.

– W swoich „Myślach”, co do których zawsze uważałem, że wiele straciły w tłumaczeniu, Bouffant stwierdza, że interweniując, by nie dopuścić do morderstwa,

ograniczamy wolność mordercy, a przecież wolność z definicji jest naturalna i powszechna, bezwarunkowa. Przypominasz sobie zapewne jego słynną maksymę: „Jeśli jakikolwiek człowiek nie jest wolny, to ja jestem małym pasztecikiem zrobionym z kurczęcia”, która wywołała liczne dyskusje. Możemy zatem uznać, na przykład, że odebranie butelki komuś, kto sam siebie zabija pijaństwem, jest dziełem miłosiernym, więcej – godnym podziwu. A jednak wolność znów podlega ograniczeniu. Pan Gilt studiował Bouffanta, lecz obawiam się, że go nie zrozumiał. Wolność może i jest naturalnym stanem ludzkości, ale podobnie naturalne jest siedzenie na drzewie i zjadanie posiłku, kiedy jeszcze się wije. Z drugiej strony Freidegger w swoich „Kontekstualnościach modalnych” twierdzi, że wszelka wolność jest ograniczona, sztuczna, a zatem iluzoryczna, w najlepszym razie stanowi wspólną halucynację. Żadna normalna istota ludzka nie jest prawdziwie wolna, ponieważ prawdziwa wolność jest tak straszna, że tylko szaleńcy i święci mogą patrzeć na nią otwartymi oczami. Przygniata umysł, całkiem jak stan, który gdzie indziej opisuje jako *Vonallesvolkommenunverstandlich-dasdaskeit*. Jaką pozycję zajmujesz w tym sporze, Drumknott?

– Zawsze uważałem, panie, że świat najbardziej potrzebuje szafek na teczki, które nie są takie delikatne – odparł Drumknott po chwili namysłu.

– Hmm... Z pewnością jest to uwaga warta przemyślenia.

Patrycjusz urwał. Na rzeźbionej dekoracji nad kominkiem mały cherubinek zaczął się odwracać z cichym zgrzytaniem. Vetinari uniósł brew i spojrzał na sekretarza.

– Natychmiast rozmówię się z referentem Brianem, sir – obiecał Drumknott.

– Dobrze. Przekaż mu, że powinien częściej wychodzić na świeże powietrze.

Rozdział czwarty

Znak

Mroczni referenci i martwi poczmistrze – Wilkołak w Straży Miejskiej – Cudowna szpilka – Pan Lipwig czyta listy, których nie ma – Fryzjer Gianni jest zaskoczony – Pan Parker kupuje fatalaszki – Natura nieprawd społecznych – Księżniczka w wieży – Człowiek naprawdę nie umarł, dopóki jego imię jest wspominane

– Ależ Panie Lipvig, Co Komu Przyjdzie Z Przemocy? – zahuczał pan Pompa.

Zakołysał się na wielkich stopach, kiedy Moist szarpał się w jego uścisku.

Groat i Stanley kulili się na drugim końcu szatni. Jeden z naturalnych leków pana Groata bulgotał i przelewał się na podłogę, gdzie plamił deski purpurą.

– To były wypadki, panie Lipwig! Tylko wypadki! – tłumaczył Groat. – Po czwartym straż łąziła po całym budynku! I powiedzieli, że to nieszczęśliwe wypadki!

– Ach tak?! – wrzasnął Moist. – Czterech w pięć tygodni, tak? Założę się, że takie rzeczy zdarzają się tu bez przerwy! Na bogów, jestem załatwiony jak ta lala! Już nie żyję, co? Tyle że jeszcze nie leżę! Velerinari? To facet, który wie, jak oszczędzić na powrozie! Już po mnie!

– Lepiej się pan poczuje po kubku gorącej herbatki z bizmutem i siarką – wyjąkał Groat. – Nastawiłem czajnik...

– Kubek herbaty nie wystarczy! – Moist opanował się, a przynajmniej zaczął zachowywać, jakby się opanował. – Dobrze, już dobrze. Panie Pompa, może pan mnie puścić.

Golem zwolnił uchwyt. Moist się wyprostował.

– No więc, panie Groat? – przynaglił.

– No więc wygląda na to, że jednak jest pan prawdziwy – uznał staruszek. – Któryś z mrocznych referentów by tak nie kwestorzył. Bośmy myśleli, że jest pan jednym z tych wyjątkowych dżentelmenów jego lordowskiej mości. – Groat krzątał się przy imbryku. – Bez urazy, ale jest pan trochę bardziej rumiany niż przeciętny gryzipiórek.

– Mroczni referenci? – zdziwił się Moist, ale zaraz pojawiło się wspomnienie. – Och... Ma pan na myśli tych niewysokich dżentelmenów w czarnych garniturach i melonikach?

– Tych samych. Niektórzy to stypendyści z Gildii Skrytobójców. Słyszałem, że kiedy im przyjdzie ochota, potrafią wyczyniać różne paskudne sztuczki.

– Przecież nazwał ich pan gryziopiórkami!

– Tak, ale nie powiedziałem, co jeszcze potrafią przegryźć. – Groat dostrzegł minę Moista i odchrząknął. – Przepraszam, to taki żarcik. Uważamy, że ostatni nowy poczmistrz, cośmy go tu mieli, pan Whobblebury, był właśnie mrocznym referentem. Trudno mu się dziwić z takim nazwiskiem. Ciągłe tu węszył dookoła.

– A pańskim zdaniem dlaczego?

– No cóż... Pan Mutable, on tu był pierwszy, porządny gość, spadł z piątego piętra w głównym holu, *plask!* Wie pan, plasnął o marmur. Trochę... trochę się rozchlapał, sir.

Moist zerknął na Stanleya, który zaczynał dygotać.

– Po nim przyszedł pan Sideburn. Spadł z tylnych schodów i skreślił kark, sir. Przepraszam, sir, ale jest jedenasta czterdzieści trzy. – Groat podszedł do drzwi, otworzył je, wszedł Pieszczoch, Groat zamknął. – To było o trzeciej w nocy. Na sam dół, pięć poziomów. Połamał sobie chyba wszystkie kości, jakie można połamać.

– Chce pan powiedzieć, że chodził po korytarzach bez światła?

– Tego nie wiem, sir. Ale znam te schody. Tam przez całą noc palą się lampy, sir. Stanley je codziennie napęlnia, punktualnie jak Pieszczoch.

– Rozumiem, że często korzystacie z tych schodów?

– Nigdy, sir, tylko żeby zapalić lampy. Prawie wszystko po tamtej stronie jest zapchane listami. Ale taki jest Regulamin Poczty, sir.

– A następny poczmistrz? – zapytał Moist odrobinę chrapliwie. – Kolejny upadek z wysokości?

– Ależ nie, sir. Pan Ignavia, tak się nazywał. Powiedzieli, że to serce. Leżał sobie na piątym piętrze martwy jak kolek, z twarzą całą powykrzywianą, jakby zobaczył upiora. Przyczyny naturalne, powiedzieli. Nooo... straż oblaźła nas wtedy jak mrówki, nie ma co. Ale stwierdzili, że nikt się do niego nie zbliżał, i ciało nie miało na sobie żadnych śladów. Dziwne, że pan o tym nie słyszał, sir. Pisali o wszystkim w gazecie.

Tyle że w celi śmierci człowiek nie ma okazji śledzić najnowszych wieści, pomyślał Moist.

– Tak? – zdziwił się. – A niby skąd wiedzieli, że nikt się do niego nie zbliżał?

Groat pochylał się i konspiracyjnie zniżył głos.

– Wszyscy wiedzą, że w straży służy wilkołak, a taki wilkołak potrafi wywąchać, jakiego koloru człowiek nosił ubranie.

– Wilkołak – powtórzył tępo Moist.

– Tak. No więc ten przed nim...

– Wilkołak.

– Tak właśnie powiedziałem, sir.

– Przeklęty wilkołak.

– Wszyscy są potrzebni na tym świecie, sir. W każdym razie...

– Wilkołak. – Moist otrząsnął się ze zgrozy. – I nie uprzedzają przybyszów?

– A jak mieliby uprzedzać, sir? – zapytał łagodnie Groat. – Postawić przed miastem tabliczkę „Witamy w Ankh-Morpork, mamy wilkołaka”? Straż zatrudnia mnóstwo krasnoludów i trolli, golema, znaczy wolnego golema, z całym szacunkiem, panie Pompa, parę gnomów, zombi... A nawet jednego Nobbsa.

– Nobbsa? Co to jest Nobbs?

– Kapral Nobby Nobbs, sir. Jeszcze go pan nie spotkał? Mówią, że ma urzędowe pismo mówiące, że jest człowiekiem, a kto by takiego potrzebował, co? Na szczęście jest tylko jeden taki, więc nie może się mnożyć. W każdym razie mamy tu po trochu wszystkich, sir. Bardzo kosmopolitycznie. Nie lubi pan wilkołaków, sir?

Poznają człowieka po samym zapachu, myślał Moist. Są inteligentne jak ludzie i potrafią tropić lepiej niż wilki. Mogą śledzić trop sprzed wielu dni, nawet jeśli człowiek pomaże się czymś maskującym jego zapach... zwłaszcza jeśli się pomaże. Och, istnieją sposoby ochrony, jeśli już się wie, że chodzi za kimś wilkołak. Nic dziwnego, że mnie złapali. To powinno być zakazane!

– Nie bardzo – powiedział i znów popatrzył na Stanleya.

Warto było uważać na Stanleya, kiedy mówił Groat. W tej chwili chłopak tak mocno wywrócił oczy w górę, że widać było prawie same białka.

– A pan Whobblebury? – zapytał Moist. – Pewnie badał sprawę dla Vetinariego, tak? Co mu się przydarzyło?

Stanley trząsał się jak krzew podczas wichury.

– Eee... Dostał pan taki pierścień z kluczami, sir? – zainteresował się Groat. Jego głos aż wibrował niewinnością.

– Tak, oczywiście.

– Założę się, że jednego brakuje. Straż go zabrała. To był jedyny egzemplarz. Niektóre drzwi powinny pozostać zamknięte, sir. Sprawa jest zakończona, sir. Powiedzieli, że pan Whobblebury zginął w wypadku przy pracy. Nikogo przy nim nie było. Nie chce pan tam zaglądać, sir. Pewne rzeczy psują się tak bardzo, że lepiej je zostawić, sir.

– Nie mogę – odparł Moist. – Jestem naczelnym poczmistrzem. A to jest mój gmach, zgadza się? Ja decyduję, gdzie pójdę, młodszy listonoszu Groat.

Stanley zamknął oczy.

– Tak, sir – zgodził się Groat takim tonem, jakby rozmawiał z dzieckiem. – Ale nie chce pan tam chodzić, sir.

– Jego głowa była na całej ścianie – wyjęczał Stanley.

– Ojoj, teraz go pan zdenerwował, sir – zmartwił się Groat i podbiegł do chłopca. – W porządku, mały, zaraz przyniosę twoje pigułki...

– Jaka jest najdroższa szpilka wyprodukowana komercyjnie, Stanley? – zapytał szybko Moist.

To było jak przesunięcie dźwigni. Twarz Stanleya w jednej chwili przeskoczyła od udreżonego szaleństwa do naukowego skupienia.

– Komercyjnie? Jeśli pominąć te specjalne szpilki, robione na wystawy i pokazy, łącznie z Wielką Szpilą z 1899, prawdopodobnie będzie to Numer Trzeci Szerokołebkowy „Kurak” Ekstradługi, wyprodukowany dla rynku koronkarskiego przez znanego szpilkarza Josiaha Doldruma. Tak mi się wydaje. Były ręcznie ciągnięte i miały charakterystyczne dla niego srebrne główki z mikroskopijnym rzeźbionym kogutem. Uważa się, że przed śmiercią zdążył ich zrobić mniej niż setkę, sir. Według „Katalogu szpilek” Huberta Spidera, egzemplarze „Kuraka” uzyskują ceny od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu pięciu dolarów, zależnie od swego stanu. Numer Trzeci Szerokołebkowy Ekstradługi byłby ozdobą kolekcji każdego prawdziwego łebkarza.

– Bo wiesz... Zauważyłem to na ulicy... – Moist wyjął z klapy jeden z dzisiejszych zakupów. – Szedłem sobie Targową, a ona leżała sobie między dwoma kamieniami bruku. Pomyślałem, że bardzo dziwnie wygląda. Jak na szpilkę.

Stanley odsunął krzątającego się Groata i ostrożnie wyjął szpilkę spomiędzy palców Moista. Jak wyczarowane zjawilo się w jego dłoni bardzo duże szkło powiększające.

Pokój wstrzymał oddech, gdy tymczasem szpilka została poddana uważnemu badaniu. Po chwili Stanley spojrział zdumiony na Moista.

– Wiedział pan? – zapytał. – I zauważył ją pan na ulicy? Myślałem, że w ogóle się pan nie zna na szpilkach!

– Właściwie nie, ale trochę się nimi bawiłem jako chłopak. – Moist machnął lekceważąco ręką, jakby chciał zasugerować, że był za głupi, by to chłopięce hobby zmienić w życiową obsesję. – No wiesz... Parę starych mosiężnych imperialek, jedna czy dwie ciekawostki, jak nierozłamana para albo dwugłówek, czasami tani pakiet mieszanych szpilek do wyboru...

Dzięki bogom za sztukę szybkiego czytania, pomyślał.

– Och, tam nigdy nie ma nic cennego – stwierdził Stanley, znów powracając do akademickiego tonu. – Wprawdzie większość łebkarzy istotnie zaczyna od przypadkiem zdobytej błyszczącej i oryginalnej szpilki, a po niej zawartości poduszeczek na szpilki swoich babć, cha, cha, to jednak droga do prawdziwie cennej kolekcji nie leży w zwykłym wydawaniu pieniędzy w najbliższym szpilkowym emporium, o nie... Każdy dyletant, który dokona wystarczających inwestycji, może zostać „wielką szpilą”. Ale dla prawdziwego łebkarza rozkosz kryje się w radości poszukiwań, w targach szpilek, wyprzedażach i kto wie, może przypadkowym błysku w rynsztoku, który ujawnia dobrze zachowaną dubelszową albo nierozłamaną dwuostrzową. Słusznie jest bowiem powiedziane: „Znajdź szpilkę i podnieś ją, a przez cały dzień będziesz miał szpilkę”.

Moist miał ochotę zaklaskać. Był to powtórzony niemal słowo w słowo tekst, jaki J. Lango Owlsbury napisał we wstępie do swego dzieła. A co więcej, Moist miał teraz w Stanleyu niezawodnego przyjaciela. Inaczej mówiąc, jak dodały mroczniejsze regiony umysłu, Stanley został obłaskawiony. Chłopak, u którego radość ze szpilki stłumiła panikę, podniósł nową zdobycz do światła.

– Cudowna! – wyszeptał. Wszelka groza umknęła. – Czyściutka jak nowa! Mam już dla niej miejsce w moim zbiorze, sir!

– Tak sobie właśnie pomyślałem.

Jego głowa była na całej ścianie...

Gdzieś w tych murach były zamknięte drzwi, do których Moist nie miał klucza. Czterech jego poprzedników przedwcześnie zakończyło życie w tym budynku. I nie było ucieczki. Stanowisko Naczelnego Poczmiistrza obejmuje się dożywotnio – w ten czy inny sposób. Dlatego Vetinari mu je oddał. Potrzebował kogoś, kto nie porzuci pracy i kogo przy okazji można bez żalu poświęcić. Nie miało znaczenia, czy Moist von Lipwig zginie. Już był martwy.

A potem starał się nie myśleć o panu Pompie.

Ile jeszcze golemów zapracowywało na swoją wolność w służbie dla miasta? Czy istniał na przykład pan Piła, który po stu latach wyszedł z dołu pełnego wiórów? Albo pan Szpadel? Może pan Siekiera?

I czy któryś z nich był tutaj, kiedy ostatni z tych biedaków znalazł klucz do zamkniętych drzwi, a może dobry wytrych, i miał je właśnie otworzyć, kiedy za jego plecami ktoś zwany panem Młotem, tak, na bogów, tak właśnie, uniósł pięść do śmiertelnego ciosu?

Nikogo nie było w pobliżu? Ale to przecież nie ludzie, to... narzędzia. Zwykły wypadek przy pracy...

Jego głowa była na całej ścianie...

Dowiem się wszystkiego. Muszę, inaczej będzie czekało to mnie też. Wszyscy będą mnie okłamywać... ale to ja jestem mistrzem kłamców.

– Hmm? – zapytał, uświadamiając sobie, że czegoś nie dosłyszał.

– Pytałem, czy mogę iść i wpiąć ją do mojej kolekcji, panie poczmistrzu – powtórzył Stanley.

– Co? Och, tak. Oczywiście. Tak. I przetrzymaj ją porządnie.

Kiedy chłopak poczłapał niezgrabnie na swój koniec pokoju – a rzeczywiście był niezgrabny – Moist zauważył, że Groat przygląda mu się z chytrą miną.

– Dobra robota, panie Lipwig. Dobra robota.

– Dziękuję.

– Bystry ma pan wzrok, nie ma co – ciągnął staruszek.

– Światło się odbijało...

– Nie, chodzi mi o to, że zobaczył pan bruk na Targowej. Bo ona cała wyłożona jest płytkami...

Na jego obojętne spojrzenie Moist odpowiedział jeszcze obojętniejszym.

– Kamienie czy płyty, co za różnica?

– Tak, rzeczywiście. To nieważne – ustąpił Groat.

– A teraz – rzekł Moist, czując, że musi odetchnąć świeżym powietrzem – pójdę załatwić pewną ważną sprawę. Będę wdzięczny, jeśli zechce mi pan towarzyszyć, panie Groat. Niech pan znajdzie jakiś łom i go przyniesie. Pan też będzie mi potrzebny, panie Pompa.

Wilkołaki i golem, golem i wilkołaki, myślał Moist. Nie wyrwę się stąd. Równie dobrze mogę to potraktować poważnie.

Pokażę im znak.

* * *

– Mam taki zwyczaj – rzekł Moist, prowadząc po mieście. – Związany z szyldami.

– Szyldami, sir? – zdziwił się Groat, który starał się iść jak najbliżej murów.

– Tak, młodszy listonoszu Groat. Z szyldami. – Moist zauważył, że staruszek skrzywił się boleśnie na dźwięk słowa „młodszy”. – A zwłaszcza takimi, którym brakuje liter. Kiedy taki zobaczę, odruchowo odczytuję, co mówiły te brakujące litery.

– A jak pan to robi, sir, kiedy właśnie ich brakuje? – zdziwił się Groat.

Aha, więc to jest wskazówka tłumacząca, dlaczego wciąż siedzisz w tym sypiącym się gmachu i po całych dniach parzysz herbatę z kamieni i zielska, pomyślał Moist.

– To wrodzony talent – powiedział. – Oczywiście mogę się mylić, ale... Aha, tutaj skręcamy w lewo.

Ulica była dość ruchliwa, a warsztat znajdował się tuż przed nimi. I spełniał wszystkie nadzieje Moista.

– *Voilà* – wykrzyknął Moist. Po czym przypomniał sobie o publiczności i wyjaśnił: – Czyli, inaczej mówiąc: oto jest.

– To przecież zakład fryzjerski – stwierdził niepewnie Groat. – Damski.

– Ach, jesteś człowiekiem światowym, Tolliverze, nie dasz się oszukać. A nazwa tego zakładu, nad wystawą, wypisana tymi dużymi niebieskozielonymi literami brzmi...?

– „U Gianni” – przeczytał Groat. – I...?

– Owszem, „U Gianni”. Powinno być „U Gianniego”, ale nie jest, a to dlatego, że... Może zastanowimy się wspólnie?

– Eee... – Groat wpatrywał się nerwowo w litery, wzywając je, by ujawniły swe znaczenie.

– Blisko. Nie ma Gianniego, ponieważ nie ma drugiego G w tym bohaterskim haśle, które zdobi nasz ukochany Urząd Pocztowy. – Zaczekał, aż błysnie światelko zrozumienia. – Te

wielkie metalowe litery zostały skradzione z naszej fasady, panie Groast. Czyli z przedniej ściany budynku. To one są powodem Sie i Wypełnieniu, panie Groat.

Minęła dłuższa chwila, nim nastąpił umysłowy wschód słońca pana Groata, ale kiedy to się stało, Moist był przygotowany.

– Nie, nie, nie! – zawołał, gdy staruszek rzucił się naprzód. Moist chwycił go za brudny kołnierz i niemal poderwał nad ziemię. – Przecież nie tak załatwiamy te sprawy, prawda?

– To własność Urzędu Pocztowego! To coś gorszego niż kradzież! To zdrada stanu!

– Istotnie. Panie Pompa, zechce pan przytrzymać naszego przyjaciela, a ja pójdę i... przedyskutuję tę sprawę.

Moist przekazał golemowi młodszego listonosza i otrząpał ubranie. Wyglądało na nieco zmięte, ale trudno.

– No to co pan chce zrobić? – dopytywał się Groat.

Moist uśmiechnął się promiennie.

– Coś, w czym jestem dobry, panie Groat. Porozmawiam z ludźmi.

Przeszedł przez ulicę i otworzył drzwi. Brzęknął dzwonek. W zakładzie było wiele niedużych boksów, a powietrze pachniało słodko, dusząco i jakby różowo. Tuż przy drzwiach stało nieduże biurko z wielkim, otwartym terminarzem. Wokół stały kwiaty, a młoda kobieta za biurkiem rzuciła mu pełne wyższości spojrzenie, które miało wkrótce kosztować jej pracodawcę sporo pieniędzy.

Moist przybrał posepny wyraz twarzy, pochylił się i powiedział głosem, mającym wprawdzie wszelkie cechy charakterystyczne szeptu, ale słyszalnym z daleka:

– Czy zastałem pana Gianniego? To bardzo ważne.

– A o jaką sprawę chodzi?

– Cóż... to dosyć delikatna kwestia... – mówił Moist. Widział, jak odwracają się czubki głów pokrytych trwałą. – Ale może mu pani powiedzieć, że to dobra wiadomość.

– No, jeśli dobra...

– Niech mu pani przekaze, że zdołam chyba przekonać lorda Vetinariego, iż można rozwiązać ten problem bez wnoszenia oskarżeń. Prawdopodobnie. – Moist zniżył głos na tyle, by wzrosło zainteresowanie klientek, ale nie aż tak, by był niesłyszalny.

Kobieta patrzyła na niego ze zgrozą.

– Zdoła pan...

Wyciągnęła rękę do zdobionej rury głosowej, ale Moist delikatnie wyjął ją z jej dłoni, gwizdnął fachowo, uniósł końcówkę do ucha i błysnął zębami w uśmiechu.

– Dziękuję – rzucił.

W każdej sytuacji należy się uśmiechać, mówić właściwym tonem właściwe słowa i zawsze, ale to zawsze niczym supernowa promieniować pewnością siebie.

W jego uchu zabrzmiał głos słaby jak chrobotanie pająka uwięzionego w pudełku zapalek.

– Cianicz uaff nabnab?

– Gianni? – rzucił Moist w głąb rury. – Miło, że znalazłeś dla mnie czas. Tu Moist, Moist von Lipwig. Naczelny poczmistrz. – Przyjrzał się rurze głosowej, która znikwała w suficie. – Bardzo się cieszę, Gianni, że chcesz nam pomóc. Chodzi o te brakujące litery. O siedem brakujących liter, ściślej mówiąc.

– Krik? Szabadawik? Zgrit ma dokumiks?

– Nie noszę ze sobą takich rzeczy, Gianni, ale jeśli zechcesz wyjrzeć przez okno, zobaczysz mojego osobistego asystenta, pana Pompe. Stoi po drugiej stronie ulicy.

Ma osiem stóp wzrostu i trzyma wielki łom, dodał Moist w myślach. Mrugnął do kobiety za biurkiem, która obserwowała go ze swego rodzaju podziwem. Zawsze starał się rozwijać talenty interpersonalne.

Usłyszał stłumiony przez podłogę okrzyk. Przez rurę głosową brzmiało to jak:

– Zutr gikibibuny!

– Tak – potwierdził Moist. – Może lepiej wejdę do ciebie na górę i porozmawiamy bezpośrednio?

* * *

Dziesięć minut później Moist przeszedł przez ulicę i uśmiechnął się do swojego personelu.

– Panie Pompa, zechce pan przejść tam i podważyć nasze litery? Proszę się starać niczego nie uszkodzić, pan Gianni wykazał wielką chęć współpracy. Tolliverze, mieszkasz tu już od wielu lat, prawda? Na pewno wiesz, gdzie wynająć ludzi z linami, drabinami i podobnym sprzętem? Chcę, żeby do południa te litery znalazły się znowu na naszym gmachu.

– To będzie dużo kosztować, panie Lipwig...

Groat w oszołomieniu patrzył na przełożonego. Moist wyciągnął z kieszeni mieszek i zadzwonił nim znacząco.

– Sto dolarów powinno wystarczyć z nadwyżką – powiedział. – Pan Gianni był bardzo skruszony i bardzo, bardzo skory do pomocy. Twierdzi, że przed laty kupił te litery od jakiegoś człowieka w gospodzie, i że z radością zapłaci za ich powrót na właściwe miejsce. Zadziwiające, jak mili bywają ludzie, jeśli podejść do nich w odpowiedni sposób.

Po drugiej stronie ulicy rozległ się głośny brzęk – pan Pompa bez widocznego wysiłku zdjął właśnie U.

Odzywaj się grzecznie i zatrudnij wielkiego osobnika z łomem, myślał Moist. Może jakoś da się tutaj wytrzymać.

* * *

Słabe światło słońca błysnęło na N przesuwającym na odpowiednie miejsce. W dole zebrał się spory tłumek. Mieszkańcy Ankh-Morpork zwracali uwagę na ludzi na dachach, gdyż zawsze istniała szansa na ciekawe samobójstwo. Kiedy ostatnia litera została przybita do muru, zabrzmiały oklaski, po prostu dla zasady.

Czterech zabitych, myślał Moist, spoglądając na dach. Ciekawe, co mi powie straż. Czy wiedzą o mnie? Czy wierzą, że nie żyję? Czy w ogóle mam ochotę na rozmowę z policjantami? Nie! Do demona! Jediną metodą, żeby się z tego wyrwać, jest ucieczka do przodu, nie wstecz. Niech piekło pochłonie tego przeklętego Vetinariego! Ale jest sposób, żeby wygrać.

Mógłby zarabiać pieniądze!

Był teraz elementem rządu. Prawda? A rządy zabierają ludziom pieniądze. Do tego służą.

Miał talenty interpersonalne, tak? Umiał ludzi przekonać, że mosiądz to złoto, które trochę zmatowiało, że szkło to diament, że jutro będą nalewali darmowe piwo.

Przechytry wszystkich. Nie będzie próbował ucieczki, jeszcze nie! Skoro golem może sobie kupić wolność, to on też może. Zostanie tutaj, będzie się krzątał, będzie udawał zapracowanego, a wszystkie rachunki będzie posyłał Vetinariemu, ponieważ to przecież praca dla rządu! Jak mógłby się sprzeciwić?

A jeżeli Moist von Lipwig nie zbierze odrobiny... nie, jeśli nie zbierze wielkiej porcji śmietanki z czubka, i z dna, i może jeszcze trochę z boków, to na to nie zasłużył. Dopiero wtedy, gdy już wszystko będzie gładko się toczyć, gdy będzie spływać gotówka... Wtedy nadejdzie czas na zaplanowanie wielkiego numeru. Za odpowiednie pieniądze wynajmie odpowiednią liczbę ludzi z ciężkimi młotami...

Robotnicy wciągnęli się z powrotem na płaski dach. Gapie krzyknęli radośnie, uznawszy widać, że nie była to zła zabawa, chociaż nikt nie spadł.

– Co pan o tym myśli, panie Groat? – zapytał Moist.

– Ładnie wygląda, sir, naprawdę ładnie – przyznał Groat.

Gapie się rozeszli, a oni wrócili do budynku.

– A więc niczego nie zakłócamy? – upewnił się Moist.

Groat poklepał zaskoczonego poczmistrza po ramieniu.

– Nie wiem, dlaczego jego lordowska mość pana tu przysłał, sir, naprawdę nie wiem – szepnął. – Ma pan dobre chęci, to widzę. Ale proszę posłuchać mojej rady, sir, i wynieść się stąd.

Moist zerknął w stronę drzwi frontowych. Obok nich stał pan Pompa. Tylko stał, ze zwisającymi rękami. Ogień w jego oczach jarzył się słabo.

– Nie mogę – rzekł.

– Miło, że pan tak mówi, sir, ale to nie jest miejsce dla młodego człowieka z przyszłością. Takemu Stanleyowi niczego więcej nie trzeba, póki ma swoje szpilki, ale pan, sir, pan mógłby zająć wysoko.

– Nie, chyba bym nie mógł. Naprawdę, panie Groat, moje miejsce jest tutaj.

– Niech pana bogowie błogosławią za takie słowa, sir, niech pana błogosławią. – Łzy wzruszenia spływały Groatowi po policzkach. – Kiedyś byliśmy bohaterami – mówił. – Ludzie na nas czekali. Wyglądali nas. Wszyscy nas znali. To była kiedyś wspaniała praca. Służba! Kiedyś byliśmy poczciwymi!

– Proszę pana!

Moist się obejrzał. Troje ludzi zmierzało w jego stronę, a on musiał powstrzymać odruch, by rzucić się do ucieczki. Zwłaszcza kiedy jeden z tej trójki krzyknął:

– Tak, to on!

Rozpoznał spotkanego rankiem sprzedawcę warzyw. Za nim szła para starszych osób. Mężczyzna o surowej twarzy i dumnej postawie człowieka, który każdego dnia poskramia kapustę, zatrzymał się tuż przed Moistem.

– Czy jesteś listo'noszem, młody człowieku? – huknął.

– Tak, drogi panie, myślę, że tak... W czym mógłbym...

– Dostarczyłeś mi list od tej oto Aggie! Jestem Tim Parker! – ryczał mężczyzna. – No więc nie'którzy by powiedzieli, że trochę był s'późniony!

– Och... owszem, ale...

– Nie brak ci od'wagi, młody człowieku!

– Bardzo mi przykro, ale... – zaczął Moist.

Umiejętności interpersonalne nie na wiele mogły się przydać wobec pana Parkera. Należał do tych niewrażliwych osób, których kontrola nad głośnością była mniej więcej tak dobra, jak zrozumienie przestrzeni osobistej.

– Przy'kro?! – krzyknął. – A czemu ma ci być przy'kro? Nie twoja wina, chłopcze! Nie było cię nawet na świe'cie! To ja byłem durniem, bo po'myślałem, że jej nie zależy! Ha, taki byłem za'łamany, że wyjechałem i wstąpiłem do... – Rumianą twarz wykrzywił grymas umyślowego wysiłku. – No wiesz... wiel'błądy, śmieszne czapki, piasek, wszystko żeby zapomnieć...

– Klatchiańska Legia Cudzoziemska – odpowiedział Moist.

– O wła'snie! A kiedy wróciłem, spotkałem Sadie, a Aggie spotkała Fredericka, oboje się urządzili'smy i zapomnieli'smy, że to drugie gdzieś żyje, aż nagle niech mnie pioruny biją, jeśli to nie list od Aggie! Razem z moim chło'pakiem szukaliśmy jej całe rano! I żeby nie prze'ciągać, chłopcze, w sobotę bierzemy ślub! Dziękuję ci!

Pan Parker należał do tych mężczyzn, którzy z wiekiem stają się twardsi. Kiedy klepnął Moista w plecy, było to jak cios krzesłem.

– Ale czy Frederick i Sadie nie będą protestować? – wykrztusił Moist.

– Wątpię. Frederick od'szedł dziesięć lat temu, a Sadie od pięciu leży na Po'mniejszych Bóstwach! – zahuczał radośnie pan Parker. – Przykro nam było ich że'gnać, ale, jak mówi Aggie, takie jest prze'znaczenie, a ciebie, chłopcze, przysłała jakaś wyższa moc. Trzeba

kogoś na'prawdę odważnego, żeby przyszedł i przyniósł list po tylu latach! Wielu jest takich, co by go wy'rzucili jak śmiecia bez znaczenia! I zrobisz mnie i przy'szłej drugiej pani Parkerowej wielką radość, jeśli będziesz honorowym gościem na naszym ślubie, a ja na przy'kład nawet nie chcę słyszeć o od'mowie! W tym roku jestem też Wielkim Mistrzem Gildii Kupców! Może i nie jesteśmy tacy ali'ganczy jak skrytobójcy albo alchemicy, ale jest nas wielu, a ja powiem parę słów na twój temat, chłop'cze, możesz być pewien! Mój George zjawi się później tu z zapro'szeniami do doręczenia, skoro wracacie do pracy! I będę zaszczycony, mój chłop'cze, jeśli uściśniesz mi rękę...

Wysunął potężną dłoń. Moist ujął ją... Trudno się pozbyć starych nawyków. Mocny uścisk, stanowczy wzrok...

– Widzę, że z ciebie porządny człowiek – stwierdził Parker. – Ni'gdy się nie mylę! – Drugą ręką ścisnął Moista za ramię, aż zachrząścił staw. – Jak się nazywasz, chłopcze?

– Lipwig, proszę pana. Moist von Lipwig – odparł Moist. Bał się, że ogłuchnie na jedno ucho.

– Von, tak? No więc świetnie ci idzie jak na cudzo'ziemca i każdemu to powiem w oczy! Musimy już iść, Aggie chce kupić różne fatalaszki!

Kobieta podeszła do Moista, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek.

– Ja też umiem poznać dobrego człowieka – powiedziała. – Czy masz jakąś damę serca?

– Co? Nie. Skąd, wcale. Eee... nie!

– Na pewno ją kiedyś spotkasz – zapewniła, uśmiechając się słodko. – A że jesteśmy ci oboje bardzo wdzięczni, radzę, żebyś oświadczył się osobiście. Bardzo się cieszymy, że zobaczymy cię w sobotę!

Moist patrzył, jak odbiega za swą odnalezioną miłością...

– Doręczył pan list? – spytał Groat porażony.

– Tak, panie Groat. Nie planowałem, ale akurat trafiłem do...

– Wziął pan jeden z tych starych listów i go doręczył? – pytał Groat, jakby sama myśl o tym nie mieściła mu się w głowie.

Jego głowa była na całej ścianie...

Moist zamrugał.

– Przecież mamy dostarczać listy, człowieku! To nasza praca! Zapomniałeś?

– Doręczył pan list... – wyszeptał Groat. – Jaką miał datę?

– Nie pamiętam. Ponad czterdzieści lat temu?

– A jak wyglądał? Czy był w dobrym stanie? – nie ustępował staruszek.

Moist spojrział na niego gniewnie. Wokół zaczynali zbierać się gapie, jak zwykle w Ankh-Morpork.

– To był czterdziestoletni list w taniej kopercie! – warknął. – I tak właśnie wyglądał! Nigdy nie został doręczony, co odmieniło życie dwojga ludzi. Doręczyłem go teraz i

sprawiłem, że dwoje ludzi jest bardzo szczęśliwych! Gdzie pan widzi problem, panie Groat... Tak, o co chodzi?

Ostatnie zdanie skierował do kobiety, która szarpała go za rękaw.

– Pytałam, czy to prawda, że znowu otwieracie starą pocztę – powtórzyła. – Mój dziadek tam pracował.

– To ładnie...

– Mówił, że tu jest klątwa! – oświadczyła kobieta, jakby ta myśl wydawała się jej całkiem przyjemna.

– Naprawdę? Prawdę mówiąc, przydałaby mi się teraz porządna klątwa.

– Tkwi pod podłogą i doprowadza do obłączenia! – ciągnęła, tak bardzo zachwycona tym słowem, że wyraźnie nie chciała go przerywać. – Obłączenia!

– Doprawdy? – odpowiedział grzecznie Moist. – Ale my tutaj nie wierzymy w popadanie w obłączenie przy pracy na poczcie, prawda, panie Gro...

Urwał. Pan Groat miał wyraz twarzy kogoś, kto wierzy w popadanie w obłączenie.

– Głupia starucho! Po co mu o tym mówisz?

– Panie Groat! – warknął Moist. – Porozmawiamy w środku!

Chwył staruszka za ramię, niemal przeniósł przez rozbawiony tłum, wciągnął do budynku i zatrzasnął drzwi.

– Mam już tego dosyć – oznajmił. – Dosyć tych mrocznych komentarzy i sugestii, rozumiano? Żadnych więcej sekretów! Co się tutaj dzieje? Co się działo? Powie mi pan natychmiast, bo inaczej...

W oczach małego człowieczka pojawiło się przerażenie. To do mnie nie pasuje, uznał Moist. To nie jest sposób. Sztuki interpersonalne, tak?

– Powiedźcie mi natychmiast, starszy listonoszu Groat! – warknął.

Staruszek wytrzeszczył oczy.

– Starszy listonoszu?

– Ja jestem poczmistrzem w tej okolicy, zgadza się? To znaczy, że mogę was awansować, zgadza się? Starszy listonosz, istotnie. W okresie próbnym, oczywiście. A teraz niech mi pan powie...

– Proszę nie robić krzywdy panu Groatowi, sir! – zabrzmiał mocny głos za plecami Moista.

Groat spojrzął w półmrok za Moistem.

– Wszystko w porządku, Stanley – powiedział. – To niepotrzebne, nie chcemy żadnych Trudnych Chwil. – A do Moista szepnął: – Lepiej niech mnie pan teraz postawi, sir...

Moist uczynił to z demonstracyjną delikatnością. Odwrócił się. Chłopak stał za nim. Oczy miał zaszklone, a w uniesionej ręce trzymał kociołek. Ciężki kociołek.

– Nie wolno krzywdzić pana Groata – oświadczył chrapliwie.

Moist wyjął szpilkę z klapy.

– Oczywiście, że nie, Stanley. A przy okazji, czy to prawdziwa Średnioostra Clayfeathera?

Stanley upuścił kociołek, nagle zapominając o wszystkim prócz kawałeczka srebrzystej stali między palcami Moista. Jedną ręką wyjmował już szkło powiększające.

– Niech się przyjrzę, niech się przyjrzę – powtarzał spokojny, skupiony. – Ach tak. Ha! Nie, przykro mi. Łatwo popełnić ten błąd. Proszę spojrzeć na znaczki z boku, o tutaj. Widzi pan? A główka nie była nigdy skręcana. To maszynowa produkcja. Prawdopodobnie jeden z braci Happily. Krótka seria, jak podejrzewam. Ale nie ma ich pieczęci... Może to dzieło któregoś z kreatywnych uczniów. Niewiele warta, niestety, chyba że znajdzie pan kogoś, kto specjalizuje się w szczegółach działalności szpilekarni braci Happily.

– To ja... zaparzę herbatę, dobrze? – zaproponował Groat i podniósł kociołek przetaczający się tam i z powrotem po podłodze. – Brawo raz jeszcze, panie Lipwig. Eee... Starszy listonosz Groat, zgadza się?

– A ty, Stanley, ruszaj z... tak, ze starszym listonoszem Groatem w okresie próbnym – powiedział Moist tak łagodnie, jak tylko potrafił. – Ja chcę jeszcze porozmawiać z panem Pompą.

Stanley obejrzał się na golema, który stał tuż za nim. Zadziwiające, jak cicho potrafił się poruszać – przesunął się po podłodze niczym cień i teraz stał z nieruchomą pięścią uniesioną niczym gniew bogów.

– Och, nie zauważyłem pana, panie Pompa! – zawołał radośnie Stanley. – Dlaczego podnosi pan rękę?

Otwory w twarzy golema zalewały chłopca czerwonym blaskiem.

– Ja... Chciałem Zadać Poczistrzowi Pytanie – odpowiedział powoli.

– Aha. To dobrze – uznał Stanley, jak gdyby jeszcze przed chwilą nie zamierzał rozbić Moistowi czaszki. – Czy chce pan tę szpilekę z powrotem, panie Lipwig? – dodał, a kiedy Moist machnął ręką, kontynuował. – Dobrze. W przyszłym miesiącu wystawię ją na dobroczynną aukcję szpilek.

Kiedy wyszli, Moist spojrział na nieruchomą twarz golema.

– Okłamałeś go. Wolno wam kłamać, panie Pompa? – zapytał. – A przy okazji, możesz już opuścić rękę.

– Zostałem Poinstruowany Co Do Natury Nieprawd Społecznych. Owszem.

– Miałeś zamiar roztrzaskać mu głowę!

– Postarałbym Się Tego Nie Uczynić – zahuczał golem. – Jednakże Nie Mogę Pozwolić, By Spotkała Pana Niestosowna Krzywda. To Był Ciężki Kociołek.

– Nie możesz tak robić, ty idioto! – wykrzyknął Moist, który zauważył użycie słowa „niestosowna”.

– Czy Powinienem Mu Pozwolić Pana Zabić? To Nie Byłaby Jego Wina. Jego Głowa Nie Jest Sprawna.

– Byłaby jeszcze mniej sprawna, gdybyś w nią przywalił. Ale przecież sam to załatwiłem!
– Tak – zgodził się Pompa. – Ma Pan Talent. Szkoda, że używa Go Pan Niewłaściwie.
– Czy ty rozumiesz coś z tego, co mówię?! – wrzasnął Moist. – Nie możesz tak sobie zabijać ludzi!

– Dlaczego Nie? Pan To Robi. – Golem opuścił rękę.
– Co? – warknął Moist. – Wcale nie! Kto ci to powiedział?
– Sam Do Tego Doszedłem. Zabił Pan Dwa Przecinek Trzy Trzy Osiem Osób.
– Nigdy w życiu nie tknąłem nikogo nawet palcem, panie Pompa. Mogę być... tym wszystkim, o czym wiesz, że jestem, ale nie zabójcą! Nigdy nawet nie dobytek miecza.
– Nie, Istotnie. Ale Kradł Pan, Sprzeniewierzał, Defraudował I Oszukiwał Bez Żadnych Zahamowań, Panie Lipwig. Rujnował Pan Firmy I Niszczył Miejsca Pracy. Kiedy Padają Banki, Rzadko Głodują Bankierzy. Pańskie Działania Odebrały Pieniądze Tym, Którzy Od Samego Początku Mieli Mało. Na Miriady Skromnych Sposobów Przyspieszył Pan Śmierć Wielu. Nie Zna Ich Pan. Nie Wiedział Pan, Jak Krwawią. Ale Odjął Pan Im Chleb Od Ust, Zdarł Ubrania Z Grzbietów. Dla Sportu, Panie Lipwig. Dla Zabawy. Dla Radości Gry.

Moist rozdziawił usta. Zamknął je. Znowu otworzył. I znowu zamknął. Nigdy nie można znaleźć dobrej riposty, kiedy jest człowiekowi potrzebna.

– Jesteś tylko chodzącą doniczką, panie Pompa – burknął. – Skąd ci się to wzięło?
– Czytałem O Szczegółach Wielu Pańskich Przystępstw, Panie Lipwig. A Pompowanie Wody Uczy Pompującego Wartości Racjonalnego Myślenia. Zabierał Pan Innym, Ponieważ Pan Był Sprytny, A Oni Głupi.
– Czekał no, w większości byli przekonani, że to oni mnie oszukują.
– Zastawiał Pan Na Nich Pułapki, Panie Lipwig.

Moist chciał podejść i znacząco dźgnąć golemu palcem, ale zrezygnował w ostatniej chwili. Mógłby sobie złamać palec.

– No to zastanów się nad tym – rzekł. – Płacę za to wszystko! O mało co nie zawisłem, na bogów!

– Tak, Ale Nawet W Tej Chwili Żywi Pan Myśli O Ucieczce, O Jakimś Sposobie Odwrócenia Sytuacji Na Własną Korzyść. Mówią, że Lampart Nie Zmienia Swoich Spodenek.

– Ale musisz wykonywać moje polecenia, tak? – burknął Moist.

– Tak.

– To to odkręć sobie tę głupią głowę!

Czerwone oczy migotały przez moment. Kiedy Pompa znów się odezwał, mówił głosem Patrycjusza.

– Ach, Lipwig. Mimo wszystko jednak nie uważałeś. Nie możesz nakazać panu Pompie, żeby sam siebie zniszczył. Byłem przekonany, że przez ten czas sam się tego domyślisz. Jeśli po raz drugi wydasz mu takie polecenie, zostaną podjęte działania odwetowe.

Golem znowu zamrugał.

– Jak to... – zaczął Moist.

– Mam Perfekcyjne Wspomnienie Legalnych Instrukcji Słownych – odparł golem swym zwykłym, dudniącym głosem. – Przypuszczam, Że Lord Vetinari, Znając Pański Sposób Myślenia, Zostawił Tę Wiadomość, Ponieważ...

– Chodziło mi o głos!

– Pamięć Perfekcyjna, Panie Lipvig – odparł Pompa. – Potrafię Mówić Wszystkimi Głosami Ludzi.

– Doprawdy? Jak miło z twojej strony.

Moist przyjrzał się panu Pompe. Gliniana twarz nigdy nie zdradzała ożywienia. Miała nos, w pewnym sensie, ale była to tylko grudka gliny. Usta poruszały się, kiedy mówił, a bogowie tylko wiedzieli, w jaki sposób wypalona glina może się tak poruszać... Prawdopodobnie rzeczywiście wiedzieli. Oczy nigdy się nie zamykały, przygasały jedynie.

– Czy naprawdę umiesz czytać mi w myślach? – zapytał.

– Nie. Ekstrapoluję Jedynie W Oparciu O Pańskie Wcześniejsze Zachowanie.

– No to...

Moistowi, co niezwykle, po prostu brakło słów. Patrzył na tę pozbawioną wyrazu twarz, która mimo to zdołała wyrazić dezaprobatę. Był przyzwyczajony do spojrzeń pełnych gniewu, oburzenia i nienawiści. Wynikały z jego zawodu. Ale czym jest taki golem? Brudem. Wypaloną ziemią. Ludzie patrzący na niego, jakby był czymś gorszym niż pył pod ich stopami, to jedna sprawa, ale dziwnie nieprzyjemne uczucie budził fakt, że nawet pył patrzy tak samo.

– ...przestań – dokończył niepewnie. – Idź i... pracuj. Tak. Do roboty. Tym się zajmujesz! Do tego służysz!

* * *

Nazywali ją szczęśliwą wieżą sekarową. Wieża 181 wznosiła się dostatecznie blisko miasteczka Bzyk, by człowiek w wolne dni mógł się tam wybrać, licząc na gorącą kąpiel i miękkie łóżko. Był to Überwald, więc miejscowe przekazy nie były zbyt liczne, a także – to ważne – wieża stała daleko, daleko w górach. Dyrekcja nie lubi wyruszać w takie okolice. W dobrych czasach zeszłego roku, kiedy Godzina Umarłych zdarzała się każdej nocy, była to szczęśliwa wieża, ponieważ linia nadawcza i odbiorcza trafiały w Godzinę Umarłych o tej samej porze, więc zawsze mieli tam dodatkową parę rąk przy konserwacji. Teraz wieża 181 załatwiała konserwację w locie, tak jak wszystkie pozostałe, ale wciąż pozostawała dobrą wieżą – dobrze było trafić do jej załogi.

Zwykle załogę stanowili mężczyźni, choć na równinach powtarzano żart, że wieżę 181 obsadzają wampiry i wilkołaki. W rzeczywistości, jak w wielu innych wieżach, obsługiwały ją dzieci.

Wszyscy wiedzieli, jak się to dzieje. Może poza nowym kierownictwem, które prawdopodobnie nie wiedziało, ale gdyby nawet to odkryli, nie zrobiliby niczego poza starannym zapomnieniem o tym, że wiedzą. Dzieciom nie trzeba płacić.

Na ogół młodzi mężczyźni w wieżach pracowali ciężko, w każdą pogodę, za ledwie wystarczające pensje. Byli samotnikami, marzycielami, uciekinierami od prawa, o których prawo zapomniało, albo od wszystkich innych ludzi. Dręczył ich szczególny rodzaj ukierunkowanego szaleństwa; podobno stukot sekarów w końcu trafia człowiekowi do głowy, a wtedy jego umysł działa w tym samym rytmie, aż wcześniej czy później potrafi odczytywać przekazywane wiadomości, słuchając jedynie trzaskania przesłón. W swoich wieżach pili herbatę z dziwacznych blaszanych kubków, o wiele szerszych od dołu, aby się nie przewracały, kiedy wichura uderzy w wieżę. Na urlopie pili alkohol z czegośkolwiek. I opowiadali bzdury o przykluczu i nieprzykluczu, o komunikatach systemowych i przestrzeni pakietowej, o wybijaniu, o gorącej stopie, o wieży 181 (dobrze) albo zapchaniu (niedobrze) czy totalnym zapchaniu (całkiem niedobrze), kodzie wejścia, kodzie klucza, dzikim kodzie i żakardzie...

Lubili dzieci, które przypominały im o tych, które zostawili, albo tych, których nigdy nie będą mieli, natomiast dzieci uwielbiały wieże. Przychodziły, kręciły się wszędzie, pomagały przy różnych pracach, może też – patrząc tylko – uczyły się sztuki semaforów. Zwykle były inteligentne, jakby z pomocą czarów opanowywały klawiaturę i dźwignie, na ogół miały dobry wzrok. Większość z nich uciekła z domu, choć nie opuściła go naprawdę.

Ponieważ w wieżach mogły wierzyć, że da się spojrzeć aż na skraj świata. Z pewnością w pogodny dzień dało się zobaczyć kilka sąsiednich wież. Można było udawać, że też umie się odczytywać wiadomości ze stukotu przesłón, gdy pod palcami przepływają nazwy dalekich miejsc, których miały nigdy nie zobaczyć, ale tutaj, w wieży, czuły się jakoś z nimi połączone...

Dla ludzi z wieży 181 była Księżniczką, choć naprawdę miała na imię Alice. Skończyła trzynaście lat i potrafiła obsługiwać linię całymi godzinami bez żadnej pomocy. Później czekała ją interesująca kariera, która... w każdym razie Alice zapamiętała rozmowę tego dnia, ponieważ ją zdziwiła. Nie wszystkie sygnały były wiadomościami. Niektóre przekazywały instrukcje wieżom. Niektóre, kiedy człowiek pracował przy dźwigniach, by nadać za dalekim sygnałem, wywoływały pewne zmiany w jego własnej wieży. Księżniczka wiedziała o tym wszystkim. Wiele z tego, co płynęło Wielkim Pniem, nazywane było Pasmem Systemowym. Zawierało instrukcje dla wież, raporty, wiadomości o wiadomościach, a nawet pogaduszki między operatorami, choć te były ostatnio surowo wzbronione. Wszystkie były pisane kodem. Bardzo rzadko trafiał się zwykły tekst w Paśmie Systemowym. Ale teraz...

– Znowu idzie – oznajmiła Księżniczka. – To na pewno jakiś błąd. Nie ma kodu startu ani adresu. Jest w Paśmie Systemowym, ale napisana czystym tekstem.

Po drugiej stronie wieży, siedząc do niej plecami – gdyż obsługiwał górną linię – siedział Roger, który miał siedemnaście lat i pracował już, by zdobyć certyfikat wieżomistrza.

Jego dłoń nie przestała się poruszać, gdy zapytał:

– A co mówi?

– Było tam GNU i wiem, że to kod, a dalej tylko nazwisko. John Dearheart. Czy to...

– Przesłałaś dalej? – spytał Dziadek.

Dziadek siedział zgarbiony w kącie i naprawiał skrzynkę przesłony w ciasnej komórce w połowie wysokości wieży. Dziadek to wieżomistrz, był już wszędzie i wiedział wszystko. Wszyscy nazywali go Dziadkiem. Miał dwadzieścia sześć lat. Zawsze robił coś w wieży, kiedy pracowała na linii, choć zawsze jakiś chłopiec siedział na drugim krześle. Dopiero później domyśliła się dlaczego...

– Tak, ponieważ był tam kod G – odparła Księżniczka.

– No to postąpiłaś prawidłowo. Nie przejmuj się więcej.

– Tak, ale już wcześniej przesyłałam to nazwisko. Kilka razy. W górę i w dół. Tylko nazwisko, żadnych wiadomości ani nic.

Miała uczucie, że coś jest nie w porządku, ale mówiła dalej.

– Wiem, że U oznacza, że na końcu linii trzeba wiadomość wysłać z powrotem, a N znaczy Niezalogowany. – Popisywała się trochę, ale poświęciła długie godziny na lekturę książki szyfrów. – Czyli to po prostu nazwisko przechodzące cały czas tam i z powrotem! Jaki to ma sens?

Coś naprawdę było nie w porządku. Roger wciąż pracował na swojej linii, ale patrzył prosto przed siebie i miał twarz jak chmura gradowa.

W końcu odezwał się Dziadek:

– Bardzo mądrze, Księżniczko. Miałas absolutną rację.

– Ha! – rzucił Roger.

– Przepraszam, jeśli zrobiłam coś nie tak, jak należy – rzekła z pokorą dziewczyna. – Pomyślałam tylko, że to dziwne. Kto to jest John Dearheart?

– On... spadł z wieży – wyjaśnił krótko Dziadek.

– Ha! – powtórzył Roger. Szarpał przesłony, jakby nagle zaczął ich nienawidzić.

– Nie żyje? – spytała Księżniczka.

– No, niektórzy uważają... – zaczął Roger.

– Roger! – warknął Dziadek i zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Wiem o wysyłaniu do domu – oświadczyła Księżniczka. – I wiem, że dusze martwych liniowców pozostają w Pniu.

– Kto ci to powiedział? – spytał Dziadek.

Księżniczka miała dość rozumu, by wiedzieć, że ktoś wpadnie w kłopoty, jeśli odpowie zbyt wyczerpująco.

– Och, po prostu gdzieś o tym słyszałam...

– Ktoś próbował cię wystraszyć. – Dziadek spojrział na czerwieniejące uszy Rogera.

Księżniczka nie uważała tego za straszne. Jeśli już ktoś musi umrzeć, to lepiej skończyć na przelatywaniu między wieżami niż na leżeniu w ziemi. Ale miała też dość rozumu, by wiedzieć, kiedy zostawić temat.

Po długiej przerwie wypełnionej tylko skrzypieniem prętów przesłony znowu odezwał się Dziadek. Mówił takim tonem, jakby coś go dręczyło.

– Utrzymujemy to nazwisko w ruchu w Paśmie Systemowym – wyjaśnił. A Księżnicze zdawało się, że wiatr w tablicach przesłon zajęczał bardziej posepnie. – Nigdy nie chciałby wrócić do domu. Był prawdziwym liniowcem. Jego imię brzmi w kodzie, w wietrze pośród olinowania, w przesłonach. Słyszałaś kiedyś powiedzenie „Człowiek naprawdę nie umarł, dopóki powtarzane jest jego imię”?

Rozdział piąty

Zagubione w poczcie

W którym Stanley doświadcza radości worków – Rodowe łęki pana Groata – Horsefry się niepokoi – Reacher Gilt, człowiek z towarzystwa – Listowe schody – Lawina pocztowa – Pan Lipwig widzi – Na ślepo – Tor Listonosza – Czapka

Stanley polerował szpilki. Czynił to rozanielony i skupiony, niczym człowiek śniący z otwartymi oczami.

Kolekcja skrzyła się na paskach brązowego papieru i rolkach czarnego filcu tworzących pejzaż świata prawdziwego łebkarza. Obok stało duże, stołowe szkło powiększające, a na podłodze leżał worek rozmaitych szpilek, kupiony w zeszłym tygodniu od emerytowanej krawcowej.

Odkładał moment otworzenia go, by dłużej się nim rozkoszować. Oczywiście, prawie na pewno okaże się pełen zwykłych, typowych „mosiądzów”, może trafi się jakaś płaskogłowa czy z błędem, ale właśnie o to chodzi, że człowiek nigdy nie wiedział. Na tym polega cała radość worków. Nigdy nie wiadomo. Niekolekcjonerzy byli żałośnie obojętni na szpilki – traktowali je, jakby były zaledwie zaostrzonymi kawałkami metalu do przypinania jednych rzeczy do innych. Wiele wspaniałych okazów o wielkiej wartości odkryto w workach szpilek krawieckich.

A teraz stał się właścicielem Numeru Trzeciego, Szerokołebkowego „Kuraka” Ekstradługiego – dzięki temu miłemu panu Lipwigowi. Świat lśnił jak szpilki ułożone równo na rozwiniętym filcu. Stanley może i pachniał trochę serem, miał grzybicę stóp sięgającą do kolan, ale w tej chwili szybował na srebrnych skrzydłach pod migotliwym niebem.

Groat siedział przy piecyku, obgryzał paznokcie i mruczał coś do siebie. Stanley nie zwracał na to uwagi, gdyż tematem tych pomruków nie były szpilki.

– ...mianowany, tak? Nieważne, co mówi bractwo! Każdego może awansować, tak? To znaczy, że należy mi się dodatkowy złoty guzik na rękawie i pensja, tak? Żaden z wcześniejszych nie nazwał mnie starszym listonoszem! A na dodatek, nie ma co ukrywać,

dostarczył list. Miał go ze sobą, zobaczył adres i doręczył, tak po prostu. Może ma w sobie krew listonosza... I odzyskał te metalowe litery! Litery, listy... To znak, jasna sprawa! Ha, potrafi czytać słowa, których nie ma! – Groat wypluł kawałek paznokcia i zmarszczył czoło. – Tylko... będzie chciał się dowiedzieć o nowym pi. Na pewno. Ale... to byłoby jak drapanie strupa. Może być niedobrze. Bardzo niedobrze. No... ale jak chytrze odzyskał nasze litery... bardzo dobry. Może to prawda, że pewnego dnia znów będziemy tu mieli prawdziwego poczmistrza, tak jak jest powiedziane: „Oto zgniatał będzie pod butami Porzucone Wrotki, a Psy Tego Świata połamią na nim swe Zęby!”. No i pokazał nam znak, prawda? Owszem, część znaku wisiała nad modnym zakładem damskich fryzur, trudno zaprzeczyć, tylko jeśli to takie oczywiste, każdy mógł go pokazać. – Kolejny skrawek paznokcia uderzył o piecyk, gdzie zaskwierczał. – No a ja nie robię się przecież młodszy, taka jest prawda. Okres próbny za to nie jest dobry, zupełnie nie jest. A co się stanie, jeśli już jutro wyzionę ducha, co? Stanę wobec moich przodków, a oni spytają: „Jesteś li starszym inspektorem pocztowym Groatem?”, ja powiem nie, więc oni spytają: „Z pewnością jesteś zatem inspektorem pocztowym Groatem?”, a ja na to, że chyba jednak nie, na co oni powiedzą „Jesteś więc starszym listonoszem Groatem”, na co ja powiem, że ściśle rzecz biorąc też nie, więc oni zakrzykną: „Niech cię rozdziobią kruki i wrony, Tolliverze, chcesz nam wmówić, że nie awansowałeś powyżej młodszego listonosza?! Co z ciebie za Groat?!”, a ja będę cały czerwony na twarzy i stanę po kolana w kałuży sromoty. Nieważne, że sam prowadzę ten urząd od lat, o nie. Trzeba mieć złoty guzik!

Zapatrzył się w płomienie. Gdzieś spod jego splątanej brody na powierzchnię próbował się wydostać uśmiech.

– Mógłby spróbować utorować sobie przejście przez Tor. Nikt nie będzie protestował, jeśli utoruje Tor. A wtedy będę mógł mu powiedzieć wszystko! Będzie dobrze! A gdyby nie dotarł do samego końca, to i tak nie nadawał się na poczmistrza! Stanley! Stanley!!!

Stanley przebudził się z marzeń o szpilkach.

– Tak, panie Groat?

– Mam dla ciebie kilka zleceń, mój chłopcze.

A jeśli nie nadaje się na poczmistrza, dodał Groat w samotności swego skrzypiącego mózgu, to umrę jako młodszy listonosz...

* * *

Trudno zapukać do drzwi, kiedy człowiek rozpaczliwie usiłuje nie wydawać żadnego dźwięku. W końcu Crispin Horsefry zrezygnował z drugiego celu i mocniej uderzył kołatką.

Stuk poniósł się po pustej ulicy, ale nikt nie podszedł do okna. Nikt w tej eleganckiej dzielnicy nie wyjrzałby przez okno, nawet gdyby na zewnątrz kogoś mordowano. W biedniejszych ludzie przynajmniej wyszliby, żeby popatrzeć albo włączyć się do akcji.

Drzwi się otworzyły.

– Dobry wieczór, fir...

Horsefry przecisnął się obok krępej postaci do mrocznego przedpokoju. Gorączkowo pomachał ręką na służącego.

– Zamykaj drzwi, człowieku, zamykaj szybciej! Mogli mnie śledzić... Na niebiosa, jesteś Igorem, prawda? Gilta stać na Igora?

– Brawo, fir – pochwalił go Igor. Wyjrzał w przedwieczorny zmierzch. – Okolica czyfta, fir.

– Zamknij drzwi, na litość bogów! – jęknął Horsefry. – Muszę się zobaczyć z panem Giltem.

– Pan wydaje właśnie jedno ze fwoich fuare, fir – poinformował go Igor. – Fprawdę, czy można mu teraz przefkadzać.

– Czy jest tu ktoś z pozostałych? Czy oni też... Co to jest fuare?

– Takie niewielkie fpotkanie, fir. – Igor pociągnął nosem. Przybysz cuchnął alkoholem.

– Soirée?

– Otóż to, fir – potwierdził Igor z niezmaconym spokojem. – Czy mogę wziąć pańfki niezwykle rzucający fię w oczy długi płafcz z kapturem, fir? Zechce pan pójfc za mną do faloniku...

I nagle Horsefry znalazł się sam w wielkim pokoju pełnym cieni, blasku świec i wpatrzonych w niego oczu, a drzwi zamknęły się powoli.

Oczy należały do portretów w szerokich, zakurzonych ramach, przesłaniających ściany od rogu do rogu. Plotka głosiła, że Gilt nabył je wszystkie, i nie tylko obrazy – podobno wykupił też pełne prawa do tych dawno zmarłych, przepisał na siebie ich nazwiska i w ten sposób w ciągu jednej nocy wyposażył się w dumny rodowód. Budziło to niejasny lęk nawet u Horsefrya. Wszyscy kłamali na temat swoich przodków, to normalne, jednak kupowanie ich wydawało się dość niepokojące, choć ten mroczny, oryginalny pomysł świetnie pasował do Reachera Gilta.

Na temat Reachera Gilta krążyło wiele plotek; powstały, gdy tylko ludzie zauważyli go i zaczęli pytać: „Kto to taki, ten Reacher Gilt? I co to w ogóle za imię, Reacher?”. Wydawał okazałe przyjęcia, to pewne. Ten rodzaj bankietów trafiał do miejskiej mitologii (To prawda z tą siekaną wątróbką? Byliście tam? A wtedy, kiedy sprowadził trollową striptizerkę i trójka gości wyskoczyła przez okno? Byliście tam? A ta historia z paterą słodczy? Byliście tam? Widzieliście to? To prawda? Byliście tam!?). Bywała tam chyba połowa Ankh-Morpork, dryfowała od stołu przez bufet, parkiet taneczny do stolików gier hazardowych, mając uczucie, że za każdym podąża milczący i uprzejmy lokaj z ciężką od drinków tacą. Niektórzy twierdzili, że gospodarz ma kopalnię złota, inni przysięgali, że był piratem. Z całą pewnością wyglądał na pirata z tymi długimi kędzierzawymi włosami, przystrzyżoną bródką i opaską na oku. Podobno miał nawet papugę. Teoria piracka tłumaczyła jego pozornie nieograniczoną

fortunę oraz fakt, że nikt, absolutnie nikt nie wiedział o nim niczego sprzed przybycia do miasta. Może sprzedał swoją przeszłość, żartowali, tak samo jak kupił sobie nową.

Bez wątplenia w interesach zachowywał się po piracku. Horsefry wiedział o tym dobrze...

– Dwanaście i pół procent! Dwanaście i pół procent! – usłyszał niespodziewanie.

Kiedy już się upewnił, że nie dostał ataku serca, którego przez cały dzień się spodziewał, przeszedł przez pokój, kołysząc się lekko jak człowiek, który wypił kieliszek czy dwa dla uspokojenia nerwów. Uniósł ciemnoczerwoną płachtę, która – jak się okazało – ukrywała klatkę z papugą kakadu podskakującą gorączkowo na żerdce.

– Dwanaście i pół procent! Dwanaście i pół procent!

Horsefry się uśmiechnął.

– Ach, poznałeś już Alfonsa – rzekł Reacher Gilt. – Ale czemuż to zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność, Crispinie?

Drzwi za nim zamknęły się powoli, domykając wyklejoną filcem ramę. Odcięły dalekie dźwięki muzyki.

Horsefry odwrócił się. Krótka chwila rozbawienia ulotniła się natychmiast, jego dusza powróciła do stanu nerwowego zamętu. Gilt, z ręką w kieszeni pięknego smokingu, przyglądał mu się z zainteresowaniem.

– Szpiegują mnie, Reacher! – wybuchnął Horsefry. – Vetinari nasłał na mnie jednego z...

– Proszę, usiądź, Crispinie. Sądzę, że przyda ci się solidna brandy. – Zmarszczył nos. – Kolejna solidna brandy, trzeba chyba powiedzieć.

– Nie odmówię! Musiałem wypić kieliszek, rozumiesz, żeby ukoić nerwy. Co za dzień! – Horsefry opadł na skórzany fotel. – Wiesz, że przed bankiem prawie całe popołudnie stał jakiś strażnik?

– Grubas? Sierżant? – Gilt podał mu kieliszek.

– Gruby, tak. Nie zauważyłem rangi. – Horsefry pociągnął nosem. – Nigdy nie miałem do czynienia ze strażą.

– Za to ja miałem. – Gilt skrzywił się, widząc znakomitą brandy pitą w sposób, w jaki pił ją Horsefry. – I jak rozumiem, sierżant Colon zwykle wałęsa się w pobliżu dużych budynków, nie dlatego, żeby nikt ich nie ukradł, ale lubi czasem zapalić osłonięty od wiatru. To błazen i nie trzeba się go obawiać.

– Tak, ale dziś rano jeden z urzędników skarbowych odwiedził tego starego durnia, Cheeseborougha...

– To takie niezwykle, Crispinie? – zapytał kojącym tonem Gilt. – Pozwól, że ci doleję...

– No, przychodzą raz czy dwa razy w miesiącu – przyznał Horsefry, wyciągając dłoń z pustym kieliszkiem. – Ale...

– Czyli nic nadzwyczajnego. Boisz się własnego cienia, drogi Crispinie.

– Vetinari mnie szpieguje! – wybuchnął Horsefry. – Jakiś człowiek w czerni przez cały wieczór pilnował mojego domu! Usłyszałem szelesty, wyrząłem i zobaczyłem go w kącie ogrodu!

– Może to złodziej?

– Nie, wniosłem w gildii wszystkie opłaty. I jestem pewien, że ktoś był dzisiaj w moim domu! Poprzesuwał rzeczy w moim gabinecie! Boję się, Reacher! To ja mam tu najwięcej do stracenia! Gdyby przeprowadzili audyt...

– Wiesz, że nie będzie audytu, Crispinie. – Głos Gilta był niczym miód.

– Tak, ale ciągle nie mogę dostać do ręki wszystkich papierów, jeszcze nie, dopóki stary Cheeseborough nie przejdzie na emeryturę. A Vetinari ma mnóstwo takich no, jakże się oni... urzędników, no wiesz, którzy nic innego nie robią, tylko przyglądają się małym kawałkom papieru! Oni to rozpracują, zobaczysz! Kupiliśmy Wielki Pień za jego własne pieniądze!

Gilt poklepał go po ramieniu.

– Uspokój się, Crispinie. Nic nie może się nie udać. Myślisz o pieniądzach w staroświeckim stylu. Pieniądze nie są rzeczą, nie są nawet procesem. To rodzaj wspólnego marzenia. Śnimy, że mały dysk zwykłego metalu wart jest solidnego posiłku. Kiedy już przebudzisz się z tego snu, możesz pływać po morzu pieniędzy.

Głos brzmiał niemal hipnotycznie, ale Horsefrya nie opuszczało przerażenie. Czoło lśniło mu od potu.

– W takim razie Greenyham sika do wody! – warknął, a w jego małych oczkach błysnęła desperacka złośliwość. – Pamiętasz tę wieżę na opak od Lancre, z którą parę miesięcy temu mieliśmy tyle problemów? Kiedy nam tłumaczyli, że to przez czarownice, które wpadają na konstrukcje? Ha! Tylko za pierwszym razem to była czarownica! Potem Greenyham przekupił paru nowych z obsady, żeby zgłosili awarię, a jeden z nich pognął konno do wieży w dole rzeki i wysłał mu dane handlowe z Genoi dobre dwie godziny wcześniej, niż dostał je ktokolwiek inny! W ten sposób Greenyham opanował całe suszone krewetki. A także suszone rybie pęcherze i pastę krewetkową. I nie pierwszy raz wyciął taki numer! Ten gość nas oszukuje!

Gilt przyglądał się Horsefryowi i zastanawiał, czy zabicie go w tej chwili nie byłoby najlepszym rozwiązaniem. Vetinari jest sprytny. Ktoś, komu brakuje sprytu, nie pozostaje długo władcą takiego fermentującego, gnijącego miasta. Jeśli ktoś widział jego szpiega, to znaczy, że szpieg chciał być widziany. Człowiek wiedział, że Vetinari naprawdę ma na niego oko, jeśli nagle odwracał się bardzo szybko i nikogo za sobą nie widział.

I niech bogowie przeklą tego Greenyhama. Niektórzy nie mieli stylu, nie mieli pojęcia. Byli tacy... mali.

Takie wykorzystanie sekarów było niemądre, ale dopuszczenie, by wykrył to taki mułozerca jak Horsefry, to już rzecz niewybaczalna. Głupia. Mali, głupi ludzie okazują

arogancję królów, uśmiechają się do tych, których okradają... i zupełnie nie rozumieją pieniędzy.

A ten głupi, prosiaczkowaty Horsefry przybiegł tutaj... To komplikowało sprawę. Drzwi były dźwiękoszczelne, dywan łatwy do wymiany, a oczywiście Igory znane są z dyskrecji. Ale prawie na pewno ktoś niezauważony widział, że Horsefry tu wchodzi; rozsądek zatem nakazywał dopilnować, by również wyszedł.

– D-dobry s siebie chop, Reacher...

Horsefry czknął i niepewnie pomachał znów prawie pustym kieliszkiem do brandy. Z pijacką starannością odstawił go na niski stolik, ponieważ jednak był to niewłaściwy z trzech obrazów pływających w jego polu widzenia, szkło roztrzaskało się na dywanie.

– Szepasz-szam za to – wybełkotał. – Dobry chop s siebie, więc si to dam. Nie mogę szymać tego w domu, no nie mogę, nie s tymi szpiegami Ve-Vetinariego. Ss-spaliś też nie mogę, bo mam tam szysko. Szyskie małe... trasaksje. Barzzo ważne. Nie ufam reszcie, bo mnie nienawizzą. Szypilnujesz tego, so?

Wyjął pomięty czerwony notes i wręczył niepewnie Giltowi. Gilt wziął od niego notes i otworzył. Przebiegł wzrokiem po stronicach.

– Wszystko spisywałeś, Crispinie – zauważył. – Dlaczego?

Crispin wydawał się zdumiony.

– Szeba prowazić re-estry, Reacher. Nie możesz zacierać śladów, jeśli nie wiesz, zie je zostawiłeś. A potem można... szysko oddać na miejsce, rozumiesz, i nie ma żadnego szestępstwa. – Spróbował stuknąć się palcem w bok nosa i chybił.

– Zajmę się tym z wielką starannością, Crispinie – obiecał mu Gilt. – Bardzo mądrze uczyniłeś, przynosząc mi te notatki.

– To wiele la mie znasz, Reacher – oświadczył Crispin, zmierzając do stanu roztkliwienia nad sobą. – Ty mnie bierzesz poważnie, nie jak Greenyham i jego kumple. Ja się narażam, a oni mnie traktują jak śmiesia! Śmiecia znaczy. Ale z siebie to porządny faset... Smieszna sprawa, że masz tu Igora, taki równy gość jak ty... – Odbiło mu się potężnie. – Bo słyzałem, że Igory to prasują tylko dla obłąkanych typów, no wiesz, wampirów i różnych takich, co to im paru klepek brakuje. Ale niss nie mam do twojego, wygląda na solidnego typa, ha, na paru s-solidnych typów. Ha, ha!

Reacher Gilt delikatnie postawił go na nogach.

– Jesteś pijany, Crispinie – stwierdził. – I zbyt gadatliwy. No więc teraz zawołam tu Igora...

– Flucham, fir – odezwał się Igor za jego plecami.

Na taką służbę niewielu mogło sobie pozwolić.

– ...a on zabierze cię do domu moim powozem. Dopilnuj, żeby bezpiecznie przekazać go lokajowi, Igorze. Aha, a kiedy już to załatwisz, spróbuj odnaleźć mojego kolegę, pana Gryle'a. Przekaż, że mam dla niego niewielkie zlecenie. Dobranoc, Crispinie. – Gilt poklepał

gościa po tłustym policzku. – I nie martw się. Sam się przekonasz, że jutro wszystkie te drobne lęki po prostu znikną...

– Porządny gość – wymamrotał zadowolony Horsefry. – Jak na suzoziemsa...

* * *

Igor zawiózł Crispina do domu. Przez ten czas jego podopieczny osiągnął stan „wesołego pijanicy” i śpiewał ten rodzaj piosenek, który jest zabawny tylko dla graczy w rugby i dzieci w wieku poniżej jedenastu lat. Dostarczenie go do domu musiało obudzić wszystkich sąsiadów, zwłaszcza że stale powtarzał wers o wielbłądzie.

Potem Igor wrócił do siebie, odstawił powóz, zadbał o konia, po czym udał się do niewielkiego gołębnika za domem. Mieszkały w nim duże, pulchne gołębie, nie takie zwykłe, zakazane dachowe szczury tego miasta. Wybrał jednego tłustego, fachowo wsunął mu na nóżkę srebrną obrączkę z wiadomością i rzucił nim w górę.

Gołębie w Ankh-Morpork są całkiem inteligentne jak na gołębie. Głupota w tym mieście żyje raczej krótko. Ten ptak z pewnością szybko dotrze do dachowej kwatery pana Gryle’a. Igora denerwowało tylko, że gołębie nigdy stamtąd nie wracają...

* * *

Moist szedł gniewnie, a czasem brnął gniewnie między stosami kopert przez opuszczone pomieszczenia poczty. Był w takim nastroju, że miał ochotę kopniakami wybijać dziury w ścianach. Znalazł się w pułapce. Prawdziwej pułapce. Zrobił, co mógł, prawda? Może nad tym miejscem naprawdę ciążyła klątwa... A dobrą nazwą dla niej byłby Groat.

Pchnął drzwi i znalazł się na wielkim dziedzińcu wozowni, wokół którego budynek poczty wyginał się jak litera U. Wozownia wciąż była w użyciu. Kiedy padły usługi pocztowe, dyliżanse przetrwały, jak mówił Groat. Były użyteczne, miały klientów, a poza tym posiadały dziesiątki koni. Koni nie można wcisnąć pod podłogę ani pochować w workach na strychu. Trzeba je karmić. I tak, bardziej czy mniej bezkonfliktowo, woźnice przejęli interes i nadal prowadzili linie pasażerskie.

Moist przyglądał się, jak załadowany dyliżans wytacza się z dziedzińca, gdy nagle jego wzrok przyciągnął jakiś ruch wysoko w górze.

Zdażył się już przyzwyczaić do wieżyczek sekarowych. Miał czasem wrażenie, że wyrosły na każdym dachu. Większość to te nowe skrzynki przesłone instalowane przez kompanię Wielkiego Pnia, ale bez trudu można było znaleźć staromodne semafony z ramionami, a nawet flagi sygnałowe. Te jednak działały wolniej i tylko w linii wzroku, a ta coraz trudniej dawała się wytyczyć wśród rosnącego lasu wież. Jeśli człowiek chciał czegoś więcej niż tylko podstawowej obsługi, szedł do jednej z małych firm sekarowych i

wynajmował niedużą wieżę z przesłonami, rezydentnym gargulcem do wypatrywania nadchodzących wiadomości oraz dostępem do wież przekaźnikowych – a jeśli był bogaty, także wyszkolonego operatora. I płacił. Moist nie znał się na nowej technice, ale z tego, co wiedział, cena warta była ręki, nogi albo obu.

Ale te myśli orbitowały w jego mózgu niczym planety wokół centralnego, słonecznego zagadnienia: po jakiego demona nam wieża?

Wyraźnie stała na dachu budynku poczty. Widział ją i słyszał daleki grzechot przesłon. Był też pewien, że zauważył głowę, nim zniknęła z pola widzenia.

Dlaczego mamy tam wieżę i kto z niej korzysta?

Biegiem wrócił do wnętrza. Nigdzie nie znalazł schodów prowadzących na dach, ale kto może wiedzieć, co się ukrywa za stosem listów na końcu jakiegoś zablokowanego korytarza?

Przecisnął się wzdłuż kolejnego przejścia i dotarł do miejsca, gdzie wielkie, zaryglowane podwójne drzwi wychodziły z powrotem na dziedziniec. Były też schody prowadzące w górę. W czerni powyżej z małych lampek bezpieczeństwa ściekały kałuże światła. Oto Urząd Pocztowy, pomyślał Moist. Regulamin stwierdza, że schody mają być oświetlone, i są oświetlone, choć od dziesiątków lat nie korzysta z nich nikt, jedynie latarnik Stanley.

Była tu także stara winda towarowa, jedna z tych niebezpiecznych, działających metodą przepompowywania wody z wielkiego zbiornika deszczówki na dachu. Moist nie wiedział, jak nią kierować, zresztą i tak by jej nie zufała. Groat twierdził, że winda jest zepsuta.

U stóp schodów, zatarty, ale wciąż rozpoznawalny, wyrysowany był kredowy kontur. Ręce i nogi przedstawiono w niewygodnych położeniach.

Moist przełknął ślinę, ale chwycił poręcz.

Zaczął się wspinać.

Na pierwszym piętrze były drzwi. Otworzyły się bez trudu – odskoczyły wręcz po lekkim dotknięciu klamki i do klatki schodowej wysypała się spiętrzona poczta niczym jakiś skaczący potwór. Most jęknął cicho, kiedy ławice listów spadały kaskadami po schodach.

Sztywno wspiął się na następny podest i znalazł kolejne słabo oświetlone drzwi. Tym razem odsunął się na bok, nim je otworzył. Energia martwych listów i tak pchnęła mu je na nogi, a ich szelest brzmiał jak suchy szept, kiedy wysypywały się w mrok. Całkiem jak nietoperze... Cały ten gmach pełen był martwych listów szepczących coś do siebie w ciemności, gdy ludzie spadali w dół, ku śmierci...

Jeszcze trochę, a skończę jak Groat, zupełnie obłąkany. Ale to przecież nie wszystko. Gdzieś w tym budynku są drzwi...

... „Jego głowa była na całej ścianie”...

Słuchaj no, zwrócił się do swojej wyobraźni, jeśli tak masz zamiar się zachowywać, to więcej cię nie zabiorę.

Ale – zdradziecka jak zwykle – działała nadal. Moist nigdy, naprawdę nigdy nie tknął nikogo nawet palcem. Zawsze wolał raczej uciekać, niż walczyć. A morderstwo... No

przecież morderstwo to z całą pewnością czyn absolutny. Nie można popełnić 0,021 morderstwa, prawda? Tylko Pompa uważał chyba, że da się mordować z linijką... No dobrze, może pewne osoby z nizin społecznych doznały pewnych niewygód w związku z jego działaniami, ale... tacy bankierzy, kamienicznicy, nawet barmani? „Oto pańska podwójna brandy, sir, i właśnie 0,0003 pana zabiłem”? Wszystko, co ktokolwiek uczynił, wcześniej czy później wpływało na wszystkich.

Poza tym spora część jego przestępstw nie była nawet przestępstwami. Weźmy na przykład sztuczkę z pierścieniem. Nigdy nie twierdził, że to pierścień z brylantem. No i to naprawdę smutne, jak szybko uczciwi obywatele usiłowali chwycić okazję i wykorzystać biednego głupiego wędrowca. Coś takiego może zrujnować resztkę wiary w ludzką uczciwość. Poza tym...

Trzecie piętro spuściło kolejną lawinę listów, ale kiedy ustała, korytarz wciąż był zablokowany ścianą papieru. Kiedy Moist podszedł, wypadły jedna czy dwie szeleszczące koperty, grożąc jeszcze jednym osunięciem.

Miał ochotę się wycofać, ale schody były już zasłane kopertami, a chwila nie była właściwa na narciarstwo po suchym stoku.

No ale piąte piętro musi być czyste, prawda? Jak inaczej Sideburn mógłby się dostać do schodów, by zdążyć na swoje spotkanie z wiecznością? Tak, na czwartym, na listowej zaspie, została nawet reszka żółto-czarnego sznura – była tu straż. Mimo to Moist otworzył drzwi z wielką ostrożnością, jak z pewnością zrobił to strażnik.

Wypadły jeden czy dwa listy, ale główna lawina nastąpiła już wcześniej. Kilka stóp za progiem wyrastał znajomy już mur listów, upakowanych gęsto jak warstwy skalne. Strażnik był również tutaj – ktoś próbował przebić się przez ścianę słów i pozostawił otwór. Zapewne włożył do niego rękę po samo ramię, tak jak Moist w tej chwili. I tak jak jego, palce strażnika musiały także dotknąć głębszych pokładów sprasowanych kopert.

Nikt się tędy nie przedostał na schody. Musiałby przeniknąć przez mur listów grubości co najmniej sześciu stóp...

Schody prowadziły jeszcze o poziom wyżej. Moist wspinał się ostrożnie i był już w połowie drogi, gdy usłyszał, jak pod nim rusza kolejna lawina.

Chyba naruszył pokłady na niższym piętrze. Struga listów wypływała z korytarza, niepowstrzymana jak lodowiec. Kiedy czoło dotarło do klatki schodowej, kawały poczty odrywały się i spadały w przepaść. Głęboko w dole drewno zatrzeszczało i pękło. Schody zadygotały.

Moist podbiegł ostatnie kilka stopni, złapał klamkę, szarpnął drzwi i chwycił mocno, gdy runęła następna lawina. Wszystko się już trzęsło. Zabrzmiał głośny trzask, kiedy ustąpiła pozostała część schodów, a Moist pozostał uwieszony u klamki. Obok sypały się listy.

Kołysał się tak z zamkniętymi oczami, aż hałas ustał, choć z dołu wciąż czasem dobiegały jakieś zgrzyty.

Schody zniknęły.

Bardzo ostrożnie Moist uniósł nogi, aż poczuł pod stopami krawędź korytarza. Unikając czynności tak prowokacyjnych jak oddychanie, zmienił chwyt, by trzymać klamkę po obu stronach. Powoli manewrując piętami, przesunął je przez warstwę listów na podłodze, ciągnąc przy tym drzwi. Po chwili obie dłonie już miał na wewnętrznej klamce.

Dopiero wtedy nabrał do płuc stęchłego, suchego powietrza. Szaleńczo drapiąc stopami i wyginając ciało jak łoś na wędce, wsunął na podłogę korytarza dostateczną część siebie, by nie spaść w dół przez sześćdziesiąt stóp listów i połamanego drewna.

Prawie nie myśląc, zdjął latarnię z haka na futrynie i odwrócił się, by sprawdzić, co go czeka.

Korytarz był jasno oświetlony, z kosztownym dywanem na podłodze. I całkowicie wolny od listów.

Moist wytrzeszczył oczy.

Przecież listy tu były, upchnięte od podłogi po sufit. Widział je, czuł, jak tuż przy nim wysypują się w czeluść klatki schodowej. To nie halucynacja – były solidne, stęchłe, zakurzone i realne. Wiara w cokolwiek innego dowodziłaby obłądu.

Obejrzał się, by spojrzeć na ruinę schodów – i nie zobaczył ani schodów, ani drzwi. Chodnik na podłodze ciągnął się aż do dalekiej ściany.

Moist zdawał sobie sprawę z faktu, że musi istnieć jakieś wytłumaczenie tego zjawiska, ale w tej chwili przychodziło mu do głowy tylko jedno: To dziwne. Ostrożnie dotknął dywanu w miejscu, gdzie powinny być schody... I poczuł chłód, gdy opuszki palców przeniknęły w pustkę.

Zastanowił się. Czy któryś z wcześniejszych nowych poczmistrzów stał tutaj, w tym samym miejscu gdzie ja? Czy chciał przejść po tym, co wyglądało na solidną podłogę, a skończył, staczając się przez pięć pięter bólu?

Moist ruszył bardzo powoli w przeciwnym kierunku; zaczął słyszeć gwar. Był to ogólny, niewyraźny odgłos wielkiego gmachu przy pracy – wołania, stukot maszynarii, szemranie tłumy tysiąca głosów, kólek, kroków, uderzeń stempla, skrzypnięć pióra i trzasków, wszystkie utkane razem w ogromnej przestrzeni, by stać się czystą, dotykalną fakturą komercji.

Korytarz się kończył, dochodząc do prostopadłego przejścia. Gwar dobiegał z jasno oświetlonej przestrzeni poza nim. Moist ruszył do błyszczącej mosiężnej balustrady galeryjki przed sobą...

...i stanął.

No dobrze. Kosztem sporego wysiłku aż do tego miejsca dźwigał ze sobą mózg. Pora, żeby teraz mózg się trochę wysilił.

Hol Urzędu Pocztowego wyglądał jak mroczna pieczara z górami listów w środku. Nie było żadnych galerii, żadnego błyszczącego mosiądzu, krzątającego się personelu, a już z całą pewnością żadnych klientów.

Jedyny okres, kiedy Urząd Pocztowy mógł tak wyglądać, znajdował się w przeszłości. Prawda?

... „I jeszcze takie balkony dookoła głównego holu, na każdym piętrze, zrobione z żelaza jak koronka!”.

Tylko że one nie istniały w teraźniejszości, nie w tu i teraz. A on nie cofnął się w przeszłość, nie tak całkiem. Palce wyczuwały klatkę schodową, gdy oczy widziały dywan na podłodze.

Moist uznał, że stoi w tu i teraz, natomiast patrzy na tu i wtedy. Oczywiście trzeba być wariatem, żeby uwierzyć w coś takiego, ale to w końcu Urząd Pocztowy...

Biedny pan Sideburn stanął na podłodze, której już nie było.

Moist zatrzymał się, zanim wyszedł na galerię. Schylił się, wyciągnął rękę i znowu poczuł chłód na czubkach palców, kiedy te przenikały przez dywan. Kto to... a tak, pan Mutable. Stał tutaj, ale podbiegł, żeby wyrzeć na dół i...

... „Plask! Wie pan, plasnął o marmur”.

Moist wstał powoli, oparł się o ścianę i ostrożnie wyjrzał do holu.

U sufitu wisiały kandelabry, ale wygaszone, ponieważ światło słoneczne wlewało się przez roziskrzoną kopułę w scenerię wolną od gołębih odchodów, za to rojącą się od ludzi spieszących po czarno-białej podłodze albo zapracowanych za długimi, polerowanymi kontuarami zrobionymi „z cennego drewna, tak mi mówił tato”. Moist stał i patrzył.

Cały obraz tworzyły setki celowych działań, radośnie zlewających się w ogólną anarchię. W dole popychano przez halę wielkie druciane kosze na kółkach, wysypywano na taśmociągi worki listów, urzędnicy gorączkowo rozkładali pocztę do skrytek. To była maszyna zbudowana z ludzi, „sir, szkoda, że pana tam nie było”.

Z daleka po lewej stronie, prawie na końcu hali, stał złoty posąg, trzy, może cztery razy większy niż naturalnych rozmiarów. Przedstawiał smukłego młodego człowieka, najwyraźniej boga, ubranego jedynie w kapelusz ze skrzydełkami, sandały ze skrzydełkami i... Moist wyteżył wzrok... listek figowy ze skrzydełkami? Rzeźbiarz uchwycił go w chwili, gdy w szlachetnej misji podrywał się do lotu, niosąc kopertę.

Dominował w hali. Dzisiaj już go nie było, piedestał stał pusty. Jeśli zniknęły kontuary i kandelabry, posąg, choćby tylko wyglądający na złoty, nie miał żadnych szans. Przedstawiał prawdopodobnie Ducha Poczty czy kogoś podobnego.

Tymczasem poczta w dole przemieszczała się bardziej prozaicznym sposobem.

Tuż pod kopułą umieszczono zegar, a jego tarcze wskazywały w cztery strony. Gdy Moist patrzył, duża wskazówka przesunęła się na szczyt, znacząc pełną godzinę.

Zabrzmiała syrena. Nerwowy balet ustał, gdzieś poniżej Moista otworzyły się jakieś drzwi, a dwa rzędy ludzi w mundurach, „sir, ciemnoniebieskie z mosiężnymi guzikami, powinien je pan zobaczyć”, wmaszerowało do głównego holu i w dwuszeregu ustawiło się przed głównymi drzwiami. Potężny mężczyzna w bardziej strojnej wersji tego samego

munduru i z twarzą jak ból zęba już na nich czekał; nosił dużą klepsydre zawieszoną w łożyskowanej klatce u pasa. Spojrzał na czekających, jakby widywał już w życiu gorsze rzeczy, ale nie za często i jedynie na podszwach swych wielkich butów.

Ze złośliwą satysfakcją uniósł klepsydre do góry i nabrał tchu, po czym ryknął:

– Obchód numer czteery... Gotów!

Słowa dotarły do uszu Moista trochę stłumione, jakby słuchał ich przez tekturę. Listonosze, stojący już na baczność, zdolali jakoś wyglądać na dających jeszcze większe baczenie.

– Czwaarty obchód... czekać, czekać... DORECZAAAC!

Dwa rzędy listonoszy wymaszerowały obok niego na zewnątrz.

... „Kiedyś byliśmy poczciarzami”...

Muszę znaleźć prawdziwe schody, myślał Moist, odsuwając się znad krawędzi. Teraz... halucynuję przeszłość. A stoję w terażniejszości. To jak lunatyzm. Ale nie chcę wyjść na powietrze i skończyć jako następny wyrysowany kredą kontur.

Odwrócił się, a ktoś przeszedł prosto przez niego.

Wrażenie okazało się nieprzyjemne, jakby nagle skoczyła mu gorączka. Ale nie to było najgorsze. Najgorsze było widzieć, jak czyjaś głowa przesuwa się przez jego głowę. Widok wypełniała głównie szarość, ze śladami czerwieni i pustą sugestią zatok. Człowiek wolałby nic nie wiedzieć o gałkach ocznych.

... „z twarzą całą powykrzywianą, jakby zobaczył upiora”...

Żołądek podjechał mu do gardła. A kiedy odwrócił się, unosząc rękę do ust, zobaczył młodego listonosza spoglądającego mniej więcej w jego stronę z wyrazem grozy na twarzy – wyrazem będącym zapewne odbiciem niewidzianej twarzy Moista. Po chwili chłopak zadrzał i odszedł pospiesznie.

Czyli pan Ignavia też dotarł tak daleko... Miał dość rozumu, żeby pojąć, co się dzieje z podłogą, ale widzieć, jak cudza głowa przenika przez jego własną, tego już było za wiele.

Moist pobiegł za listonoszem. Tu, na górze, był zagubiony. Obejrzał z Groatem pewnie mniej niż jedną dziesiątą gmachu, ponieważ drogę stale blokowały lodowce listów. Wiedział, że są też inne schody, takie, które wciąż istnieją w terażniejszości. Parter – to był jego cel. Podłoga, na której można polegać.

Chłopak przeszedł przez drzwi do czegoś, co wyglądało na nieduży pokój zastawiony paczkami. Moist dostrzegł na drugim końcu otwarte drzwi i sugestię balustrady. Przyspieszył – i podłoga zniknęła mu spod nóg.

Zgasło światło. Przez moment był przerażająco świadom listów spadających wraz z nim. Wylądował na kolejnych listach, krztusząc się, gdy nad nim zbierała się warstwa pradawnej, wyschłej poczty. Przez chwilę, poprzez deszcz papieru, widział jakby zakurzone okno, do połowy przesłonięte listami, a potem znów się zanurzył. Stos pod nim zaczął się ruszać, zsuwać w dół i na bok. Zabrzmiał trzask czegoś, co mogło być wyrwanymi z zawiasów

drzwiami, i prąd boczny wzmógł się wyraźnie. Moist szaleńczo starał się wydostać na powierzchnię, co udało mu się akurat na czas, by uderzyć głową w futrynę. Potem nurt wciągnął go pod powierzchnię.

Bezradny, koziołkując w rzece papieru, poczuł słaby wstrząs, gdy zawaliła się podłoga. Poczta runęła w dół, porywając go ze sobą, ciskając na kolejny stos kopert. Widok zniknął, kiedy tysiące listów posypało się na niego z góry; po chwili ucichły też dźwięki.

Ciemność i cisza chwyciły go jak w zaciśniętą pięść.

Moist von Lipwig klęczał z głową opartą o rękę. Miał trochę powietrza, ale było stęchłe i nie mogło wystarczyć na długo. Nie był w stanie nawet poruszyć palcem.

Może tu umrzeć. Pewnie umrze. Otaczały go całe tony listów...

– Powierzam swą duszę dowolnemu bogu, który potrafi ją znaleźć – wymamrotał w dusznym powietrzu.

Linia błękitu zatańczyła mu przed oczyma duszy.

To było pismo. Ale mówiło...

Kochana Mamo, dotarłem bezpiecznie i znalazłem dobrą kwaterę przy...

Głos brzmiał, jakby należał do chłopaka ze wsi, ale był tak jakby... skrzypiący. Gdyby list mógł mówić, mówiłby właśnie tak. Szeptął dalej, litery wyginały się i pochylały niezręcznie pod niewprawną ręką piszącego...

...a równocześnie następna linia rozjarzyła się w ciemności, równa i staranna:

Szanowny Panie, mam zaszczyt poinformować, że jestem jedynym wykonawcą testamentu zmarłego Daviego Thrilla z Rezydencji Złączonych Błogosławieństw, a jak się wydaje, pan właśnie jest jedynym...

List mówił dalej, tak starannie, że człowiek wyczuwał niemal biblioteczkę przy biurku i półki pełne książek prawniczych. Tymczasem pojawiła się trzecia linia:

Droga pani Clark, z głębokim żalem informuję, że w wczorajszym starciu z nieprzyjacielem mąż pani, C Clark, walczył mężnie, ale...

I nagle wszystkie listy odezwały się naraz. Głosy dziesiątkami, setkami, tysiącami wypełniały uszy. Nie krzyczały, po prostu rozwijały słowa, aż jego głowę wypełnił dźwięk

formujący nowe słowa – jak instrumenty w orkiestrze, które dzwonią i piszczą, by doprowadzić do kulminacji...

Moist usiłował krzyknąć, ale koperty wciskały mu się w usta.

Wtedy czyjaś dłoń zamknęła się na jego kostce i znalazł się na powietrzu, wisząc głową w dół.

– Ach, Pan Lipvig! – zahuczał głos pana Pompy. – Badał Pan Budynek! Witam W Pańskim Nowym Gabinetcie!

Moist wypluł papier i wciągnął powietrze do piekących płuc.

– One... żyją – wysapał. – One żyją! I są złe. Mówią! To nie była halucynacja! Miewałem już halucynacje i one nie boją! Już wiem, jak zginęli pozostali!

– Cieszę Się Wraz Z Panem, Panie Lipvig! – Pompa odwrócił go głową do góry i ruszył przez pokój, zanurzony w poczcie po piersi. Za nimi przez otwór w stropie ściekała do pokoju cienka strużka listów.

– Nie rozumiesz! One mówią! One chcą... – Moist się zawahał. Wciąż słyszał szepty w głowie... Powiedział głośno, zarówno do siebie, jak i do golema: – Całkiem jakby chciały... być przeczytane.

– Taka Jest Funkcja Listu – odparł spokojnie Pompa. – Przekona Się Pan, Że Prawie Oczyszciliśmy Pańskie Mieszkanie.

– Słuchaj, przecież to papier! A jednak mówiły!

– Tak – zadudnił golem. – To Miejsce Jest Grobowcem Niewysłuchanych Słów. Starają Się Być Usłyszane.

– Nie, daj spokój! Listy to tylko papier. Nie mogą mówić!

– Ja Jestem Tylko Gliną, A Słucham – odparł Pompa z tym samym, doprowadzającym do szału spokojem.

– Tak, ale ty masz dodaną jakąś abrakadabkę...

Czerwony płomień rozjarzył się w oczach golema, który odwrócił się i spojrzał groźnie na Moista.

– Przeniosłem się... wstecz w czasie. Tak myślę – wymruczał Moist i cofnął się. – Ale... w głowie. To tak zginął Sideburn. Spadł ze schodów, których w przeszłości tam nie było. A pan Ignavia umarł z przerażenia. Jestem tego pewien! Ale byłem też wewnątrz listów! I musiała tam być taka... dziura w podłodze albo co... I ja... spadłem i... – Urwał. – Ten budynek potrzebuje kapłana albo maga. Kogoś, kto zna się na takich sprawach. Nie mnie!

Golem nabrał w obie ręce listów, które jeszcze niedawno przysypywały jego podopiecznego.

– Pan Jest Poczmiistrzem, Panie Lipvig.

– To tylko sztuczka Vetinariego! Nie jestem listonoszem, jestem oszustem...

– Panie Lipwig... – odezwał się nerwowo głos z tyłu, od strony drzwi.

Moist odwrócił się i zobaczył młodego Stanleya, który drgnął, widząc jego minę.

– Tak? – burknął Moist. – Czego, do demona... O co chodzi, Stanley? W tej chwili jestem trochę zajęty...

– Jest tu kilku ludzi – wyjaśnił Stanley z niepewnym uśmiechem. – Czekają na dole. Kilku ludzi.

Moist popatrzył gniewnie, ale Stanley najwyraźniej już skończył.

– A ci ludzie chcą...? – ponaglił Moist.

– Chcą pana spotkać, panie Lipwig – oznajmił Stanley. – Powiedzieli, że chcą się widzieć z człowiekiem, który chce być poczmistrzem.

– Wcale nie chcę... – zaczął Moist i urwał. Nie powinien przecież odgrywać się na chłopaku.

– Przepraszam, Panie Poczmistrzu – odezwał się za nim golem. – Chciałbym Dokończyć Przydzielone Mi Zadanie.

Moist odsunął się, a gliniany osobnik wyszedł na korytarz. Stare deski jęczały pod jego ogromnymi stopami. Na zewnątrz widać było, w jaki sposób zdołał opróżnić gabinet. Ściany innych pokoi wyginały się na zewnątrz niemal do granic eksplozji. Kiedy golem wciska gdzieś jakieś rzeczy, pozostają wciśnięte.

Widok brnącej wielkiej postaci trochę Moista uspokoił. W panu Pompie było coś niezwykle... no... niezwykle przyziemnego.

W tej chwili bardzo potrzebował normalności, rozmowy z normalnymi ludźmi, normalnych zadań do wykonania, by przepędzić z głowy tamte głosy. Strzepnął skrawki papieru z coraz brudniejszego garnituru.

– No dobrze – rzekł, rozglądając się za krawatem, który znalazł wiszący na plecach. – Zobaczę, czego chcą.

* * *

Czekali na półpiętrze głównych schodów. Byli starymi ludźmi, chudymi i przygarbionymi, jakby nieco starszymi kopiami Groata. Nosili takie same stare uniformy i było w nich coś dziwnego.

Każdy nosił też szkielet gołębia przymocowany do czapki z daszkiem.

– Czy jesteś Człowiekiem Nieofrankowanym? – zapytał chrapliwie jeden z nich, kiedy Moist się zbliżył.

– Co? Kto? Kim jestem? – zdumiał się Moist. Nadzieja na normalność zaczęła się nagle rozwiewać.

– Tak, jest pan, sir – szepnął stojący obok Stanley. – Musi pan powiedzieć, że tak, sir. O rany, sir, szkoda że nie ja to robię.

– Co robisz?

– Po raz drugi: czy jesteście Człowiekiem Nieofrankowanym? – zapytał staruszek z zagniewaną miną.

Moist zauważył, że brakuje mu czubków środkowych palców prawej dłoni.

– Przypuszczam, że tak. Skoro nalegacie...

Nie spotkało się to z aprobatą.

– Po raz ostatni więc: czy jesteście Człowiekiem Nieofrankowanym? – Tym razem w głosie zadźwięczała groźba.

– Tak, niech będzie! Dla celów tej konwersacji, tak! Jestem Człowiekiem Nieofrankowanym! – wykrzyknął Moist. – A teraz czy możemy...

Coś czarnego opadło mu z tyłu na głowę; poczuł, jak sznurek zaciska się wokół szyi.

– Człowiek Nieofrankowany jest opieszale – zaskrzyphiał inny starczy głos. – Żaden to listonosz.

– Wszystko będzie dobrze, sir – odezwał się głos Stanleya. Moist próbował się wyrwać. – Niech pan się nie martwi, pan Groat panem pokieruje. Łatwo da pan sobie radę, sir.

– Z czym? Puśćcie mnie, wy stare tępaki!

– Człowiek Nieofrankowany lęka się Toru! – syknął jeden z napastników.

– Tak, Człowiek Nieofrankowany nieprędko będzie Zwrócony do Nadawcy – stwierdził inny.

– Człowiek Nieofrankowany musi zostać zważony – uznał trzeci.

– Stanley, sprowadź tu zaraz pana Pompe! – krzyknął Moist, ale worek na głowie był gruby i ciasny.

– Nie mogę tego zrobić, sir – odparł Stanley. – Całkiem nie mogę. Wszystko będzie dobrze, sir. To tylko... tylko test, sir. To Zakon Poczty, sir.

Śmieszne czapki, przypomniał sobie Moist i uspokoił się. Zawiązywanie oczu i groźby... Znam to wszystko. To mistycyzm rzemieślników. Nie ma chyba na świecie miasta bez swego Lojalnego, Pradawnego, Sprawiedliwego czy Hermetycznego Stowarzyszenia małych ludzi, którzy wierzą, że posiadają starożytne tajemnice w zamian za parę godzin co czwartek – i którzy nie zdają sobie sprawy, jak głupio wyglądają w długich szatach. Powinienem się domyślić... do kilkunastu sam przystąpiłem. Założę się, że mają tajne powitanie. Znam więcej tajnych powitań niż bogów. Grozi mi z grubsza tyle, ile w klasie pięciolatków. Pewnie mniej. Człowiek Nieofrankowany... też coś.

Rozluźnił się. Pozwolił sprowadzić się ze schodów i obrócić dookoła. Tak, zgadza się. Nowicjusz powinien się bać, ale przecież wszyscy wiedzą, że to taka zabawa towarzyska. Zabrzmi to groźnie, może nawet sprawiać wrażenie groźnego, ale żadnego zagrożenia nie będzie. Przypomniał sobie, jak wstępował... co to było?

A tak... Wyznawcy Bruzdy w jakimś miasteczku zarośniętym głąbami*. Wyznawcy zawiązali mu oczy, naturalnie, a potem wydawali najstraszniejsze dźwięki, jakie umieli sobie

* W regionach bardziej zalesionych, regionach mniej zdominowanych przez kapustę i ogólnie przemysł liściasty, a bardziej drzewny, oczywiście byłoby zabite dechami.

wyobrazić. Na końcu głos w ciemności powiedział „A teraz podaj rękę Dawnemu Panu”, Moist wyciągnął dłoń i uściśnął kozie kopytko. Ci, którzy wyszli stamtąd z czystą bielizną, wygrywali.

Następnego dnia trzech ze swych ufnych nowych braci naciągnął na osiemdziesiąt dolarów. W tej chwili nie wydawało się to już takie zabawne.

Starzy listonosze prowadzili go do głównej hali – poznał to po echach. Byli tam również inni ludzie, jak stwierdzały krótkie włoski na karku. Może nie tylko ludzie – zdawało mu się, że słyszy zduszony warkot. Ale tak to powinno działać, prawda? Wszystko ma brzmieć niepokojąco. Kluczem jest, by zachowywać się mężnie, udawać szczerego i odważnego.

Eskorta go puściła. Moist stał przez chwilę w ciemności, a potem poczuł, że ktoś chwytą go za łokieć.

– To ja, sir, starszy listonosz w okresie próbnym Groat, sir. Proszę się niczym nie martwić, sir. Jestem dzisiaj pańskim Tymczasowym Diakonem.

– Czy to konieczne, panie Groat? – westchnął Moist. – Mianowano mnie poczmistrzem, wie pan...

– Mianowano, tak. Ale jeszcze nie uznano, sir. Dowód nadania nie jest dowodem doręczenia, sir.

– O czym pan mówi?

– Nie można zdradzać tajemnic Człowiekowi Nieofrankowanemu, sir – oświadczył nabożnie Groat. – Dobrze panu szło, dotarł pan aż tutaj.

– No, niech będzie. – Moist starał się, by zabrzmiało to dobrodusznie. – W końcu co najgorszego może się zdarzyć?

Groat milczał.

– Powiedziałem... – zaczął Moist.

– Musiałem się zastanowić, sir. Niech pomyślę... Tak, sir. Najgorsze, co może się zdarzyć, to że straci pan palce jednej ręki, zostanie kaleką na całe życie i połamie sobie połowę kości. Aha, i wtedy pana nie przyjmą... Ale nie ma powodów do niepokoju, sir, najmniejszych...

W górze zahuczał potężny głos:

– Kto sprowadza Człowieka Nieofrankowanego?

Obok Moista Groat odchrząknął, a kiedy przemówił, głos mu wyraźnie drżał.

– Ja, starszy listonosz w okresie próbnym Tolliver Groat, przyprowadzam Człowieka Nieofrankowanego.

– Mówił pan o tych kościach, żeby mnie wystraszyć, tak? – syknął Moist.

– A czy stanie on w Mroku Nocy? – zapytał głos.

– Właśnie stoi, Czcigodny Mistrzu! – wykrzyknął radośnie Groat, po czym dodał szeptem: – Niektórzy z chłopców byli naprawdę zachwyceni, kiedy odzyskał pan litery z napisu.

– Dobrze. A wracając do tych połamanych kości...

– Niech zatem drogę przez Tor utoruje! – nakazał niewidoczny właściciel głosu.

– Przejdziemy teraz do przodu, sir. Spokojnie – szeptał gorączkowo Groat. – O, tutaj. Niech się pan zatrzyma.

– Zaraz! – rzekł Moist. – Wszystko to... ma mnie tylko przestraszyć, tak?

– Proszę zostawić to mnie, sir.

– Ale przecież... – zaczął Moist i poczuł w ustach kaptur.

– Niech włoży Buty! – ciągnął głos.

Zabawne, jak można usłyszeć wielkie litery, pomyślał Moist, próbując nie udusić się tkaniną.

– Stoi przed panem para butów, sir – napłynął chrapliwy szept Groata. – Proszę je włożyć. Żaden kłopot, sir.

– Pff! To jasne, ale...

– Buty, sir! Proszę!

Moist niezręcznie zdjął swoje i wsunął stopy w niewidzialne buty. Okazały się ciężkie jak z ołowiu.

– Ciężki jest marsz Człowieka Neo frankowanego – zaintonował grzmiący głos. – Niech idzie dalej!

Moist zrobił następny krok, nadepnął na coś, co się potoczyło, zachwiał się i upadł. Poczul agonalne cierpienie, kiedy goleniem uderzył o metal.

– Pocztowcy! – zahuczał znowu potężny głos. – Jaka jest Pierwsza Klątwa?

Z ciemności odpowiedziały chórem liczne głosy:

– Szlag, no uwierzyłbyś? Zabawki, wózki, narzędzia ogrodowe... Nic ich nie obchodzi, co zostawiają na ścieżce w te ciemne poranki!

– Czy Człowiek Neo frankowany zakrzyknął?

Chyba złamałem sobie szczękę, myślał Moist, kiedy Groat pomógł mu wstać na nogi. Chyba złamałem sobie szczękę!

– Brawo, sir! – wyszeptał staruszek i podniósł głos, przemawiając do niewidocznych patrzących. – Nie zakrzyknął, Czcigodny Mistrzu, ale był nieugięty!

– A zatem podajcie mu Torbę! – zahuczał znowu głos.

Moist powoli zaczynał go nienawidzić.

Niewidzialne ręce przełożyły pas przez ramię Moista. Kiedy puściły, ciężar zgiął go w pół.

– Torba Listonosza ciężka jest, jednakże wkrótce będzie lekka! – odbiło się echem od ścian.

Nikt nic nie mówił o bólu. No nie, właściwie mówili, ale nie uprzedzili, że to na poważnie...

– Dalej, sir – ponaglił go niewidoczny u boku Groat. – To jest Tor Listonosza, proszę o tym pamiętać.

Moist przesunął się naprzód bardzo ostrożnie i poczuł, jak stopa odpycha coś turkoczącego.

– Nie nadepnął na Wrotkę, Czcigodny Mistrzu! – zameldował Groat niewidzialnym widzom.

Moist, obolały, ale pełen nadziei, z wahaniem zrobił jeszcze dwa kroki. Znów zabręczało i coś odbiło się od jego buta.

– Niedbale Porzucona Butelka po Piwie też go nie zatrzymała! – krzyknął Groat tryumfalnie.

Ośmielony Moist zaryzykował następny krok, nadepnął na coś śliskiego i poczuł, że jego noga oddała się naprzód i do góry, ale bez niego. Wylądował ciężko na plecach, głową uderzył o podłogę. Był pewien, że słyszy trzask pękającej czaszki.

– Listonosze! Jaka jest Druga Kłątwa? – zapytał dźwięczny głos.

– Psy! Powiadam ci, nie istnieje coś takiego jak dobry pies! Jak już nie gryzą, to paskudzą! A to jak stanąć na oleju maszynowym!

Moist ukląkł z wysiłkiem. W głowie mu się kręciło.

– Już dobrze, nic się nie stało, niech pan idzie dalej! – syczał Groat, chwytając go za łokieć. – Przejdzie pan, w śniegu czy deszczu! – Zniżył głos jeszcze bardziej. – Proszę pamiętać, co jest napisane na budynku!

– Pani Cake? – wymamrotał Moist, a potem pomyślał: To był deszcz czy śnieg? A może deszcz ze śniegiem?

Usłyszał jakiś ruch i zgarbił się nad ciężką torbą, gdy woda przemoczyła go do suchej nitki, a użyte z nadmiernym entuzjazmem wiadro odbiło się od głowy.

Czyli deszcz... Wyprostował się, poczuł lodowate zimno spływające mu po plecach i niemal krzyknął.

– To były kostki lodu – szepnął Groat. – Dostałem je z kostnicy, ale proszę się nie martwić, sir, prawie nieużywane. To najlepsze, czego o tej porze roku mogliśmy użyć zamiast śniegu. Przepraszamy. I proszę się o nic nie martwić, sir.

– Niech będą sprawdzone Listy! – zagrział rozkazujący głos.

Dłoń Groata sięgnęła do torby i tryumfalnie podniosła list. Moist chwiał się na wszystkie strony.

– Ja, starszy listonosz w okresie... Och, przepraszam na momencik, Czcigodny Mistrzu...

– Moist poczuł, że jego głowa ściągana jest do poziomu ust Groata. Staruszek szepnął: – Zostałem starszym listonoszem na okres próbny czy już na stałe, sir?

– Co? Na stałe, tak, na stałe! – zapewnił Moist. Lodowata woda napelniała mu buty. – Stanowczo.

– Ja, starszy listonosz Groat, oznajmiam niniejszym, że list ten suchy jest jak pieprz, Czcigodny Mistrzu! – zawołał tryumfalnie Groat.

Tym razem w głosie władzy zabrzmiała nuta złośliwej uciechy.

– A więc niech... go doręczy!

W dusznym mroku pod workiem poczucie zagrożenia Moista zarygłowało drzwi i ukryło się w piwnicy. W tym miejscu niewidzialni chórzyści pochylili się z ciekawością. W tym miejscu to już nie była zabawa.

– Właściwie to niczego nie zapisałem, chcę zauważyć – zaczął, kołysząc się na nogach.

– Ostrożnie teraz, ostrożnie – syknął Groat, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Już prawie koniec! Tuż przed panem są drzwi, a w drzwiach szczelina na listy... Czy mógłby chwilę odetchnąć, Czcigodny Mistrzu? Paskudnie przywalił głową...

– Odetchnąć, bracie Groat? Może po to, żebyś mógł mu udzielić jednej czy drugiej wskazówki? – zapytał z pogardą rządzący głos.

– Czcigodny Mistrzu, rytuał mówi, że Człowiek Nieofrankowany ma prawo do...

– Ten Człowiek Nieofrankowany musi iść sam! Bez pomocy, Tolliverze Groat! On nie chce zostać młodszym listonoszem, o nie, ani nawet starszym listonoszem! To nie dla niego! On chce jednym skokiem dotrzeć do rangi poczmistrza! Więc nie bawimy się tu w listonosza Stuka, młodszego listonoszu Groat! Ty nas do tego namówiłeś! I nie będziemy tracić czasu! Ma nam pokazać, ile jest wart!

– Proszę do mnie mówić starszy listonoszu Groat, bardzo byłbym wdzięczny! – wrzasnął Groat.

– Nie będziesz prawdziwym starszym listonoszem, Tolliverze Groat, jeśli on nie przejdzie tej próby!

– Tak? A niby kto powiedział, że jesteś Czcigodnym Mistrzem, George'u Aggy? Zostałeś Czcigodnym Mistrzem, bo pierwszy wybierałeś sobie szatę!

Głos Czcigodnego Mistrza stał się trochę mniej władczy.

– Porządny z ciebie gość, Tolliverze Groat, przyznaję. Ale te bajki, które opowiadasz, o tym, że pewnego dnia zjawi się prawdziwy poczmistrz i wszystko naprawi, są po prostu... głupie. Rozejrzyj się może, co? Ten gmach miał swoje piękne dni, jak my wszyscy. Ale skoro zamierzasz się tak upierać, załatwimy to zgodnie z regulaminem.

– No to dobrze! – rzekł Groat.

– No to dobrze! – powtórzył Czcigodny Mistrz.

Tajne stowarzyszenie pocztowców, pomyślał Moist. Ale... po co?

Groat westchnął i przysunął się bliżej.

– Kiedy skończymy, będzie demoniczna awantura – szepnął Moistowi do ucha. – Przepraszam za to, sir. Niech pan po prostu doręczy list. Wierzę w pana, sir!

Odstąpił.

W ciemnej nocy pod workiem, oszołomiony i zakrwawiony, Moist pokuśtykał naprzód, wyciągając przed sobą ręce. Odnalazł drzwi, potem przesunął dłońmi po ich powierzchni, na próżno szukając szczeliny na listy. Znalazł ją w końcu o stopę nad ziemią.

No dobra, dobra, wepchnę tam ten nieszczęsny list i skończymy tę głupią pantomimę.

Ale to przecież nie zabawa. Niejedna z tych imprez, w których wszyscy wiedzą, że stary Harry musi tylko wymamrotać właściwe słowa, by stać się najnowszym członkiem Lojalnego Stowarzyszenia Tapicerów. Wokół byli ludzie, którzy traktowali to poważnie.

No cóż, musi tylko wrzucić list przez szczelinę, prawda? Czy to może być trudne?... Zaraz, zaraz... Czy jednemu z ludzi, którzy go tu prowadzili, nie brakowało czubków palców u jednej ręki?

I nagle Moist się rozgniewał. Gniew przebił się nawet przez ból rozbitego podbródka. Nie musi tego robić. A przynajmniej nie musi tego robić w taki sposób. Źle by to wyglądało, gdyby nie był lepszym graczem w *les durnieures risibles* od tej gromady starych durniów!

Wyprostował się, tłumiąc jęk, i ściągnął z głowy worek. Wciąż otaczała go ciemność, ale nakrapiana błyskami zza kłapek kilkunastu ślepych latarni.

– On zdjął worek! – krzyknął ktoś.

– Człowiek Nieofrankowany może postanowić, by pozostać w mroku – oznajmił Moist. – Ale Listonosz kocha Światło.

Kłapa latarni uchylila się trochę szerzej.

– Moment, nie mogę tego znaleźć w księdze – poskarżył się płaczliwy głos. – Gdzie niby to jest napisane?

Trzeba działać szybko. Moist owinał workiem rękę i podniósł klapkę w szczelinie na listy. Drugą ręką chwycił pierwszy z brzegu list z torby, wepchnął go do szczeliny, a potem wyrwał zaimprovizowaną rękawicę. Rozerwała się, jak ucięta nożycami.

– Listonosze, jaka jest Trzecia Kłątwa?! – wykrzyknął tryumfalnie Groat. – Wszyscy razem, chłopcy: Do licha, z czego oni robią te klapki, z brzytwy?

Odpowiedziała mu urażona cisza.

– Nie miał worka... – mruknęła postać w długiej szacie.

– Miał! Owinał go na rękę! Powiedźcie, gdzie jest napisane, że nie wolno mu tego robić! – wrzasnął Groat. – Mówiłem wam! On jest tym, na którego czekaliśmy!

– Pozostała jeszcze ostatnia próba – przypomniał Czcigodny Mistrz.

– O jakiej ostatniej próbie mówisz, George'u Aggy? Doręczył pocztę! – zaprotestował Groat. – Lord Vetinari mianował go poczmistrzem, a on utorował sobie Tor.

– Vetinari? Przecież rządzi tu ledwie od pięciu minut. Kim jest, żeby decydować, kto będzie poczmistrzem? Czy jego ojciec był listonoszem? Nie. Ani jego dziad! Popatrzcie tylko, jakich ludzi przysyła! Sam mówiłeś, że to chytre dranie, które nie mają we krwi nawet kropli pocztowego atramentu.

– Myślę, że ten potrafi...

– Musi przejść ostateczny test – oświadczył surowo Czcigodny Mistrz. – I wiesz, na czym on polega.

– To będzie morderstwo! – wystraszył się Groat. – Nie możecie...

– Mam ci znów powtórzyć, młody Tolly, żebyś zamknął jadaczkę? I co, panie poczmistrzu? Czy zmierzysz się z największym wyzwaniem listonosza? Czy zmierzysz się... – głos urwał dla efektu i na wypadek, gdyby zabrzmiało kilka akordów złowieszczej muzyki – ...z Nieprzyjacielem u Bramy?

– Zmierzę się i pokonam go, jeśli tego żądacie! – odparł Moist.

Ten dureń nazwał go poczmistrzem! To zadziałało! Mów, jakbyś to ty rządził, a zaczną w to wierzyć! I to „pokonam go” też było niezłym pociągnięciem.

– Żądamy! O tak, żądamy! – odpowiedzieli chórem pocztowcy w długich szatach.

Groat – brodaty cień w mroku – chwycił dłoń Moista i ku jego zdumieniu, uściśnął ją.

– Przepraszam za to, panie Lipwig – powiedział. – Nie spodziewałem się tego wszystkiego. Oszukują. Ale poradzi pan sobie. Może pan wierzyć starszemu listonoszowi Groatowi, sir.

Cofnął rękę, a Moist poczuł w dłoni coś małego i zimnego. Zaciśnął na tym palce. Nie spodziewał się tego wszystkiego?

– No dobrze, poczmistrzu – rzekł Czcigodny Mistrz. – To prosty test. Wszystko, co musi pan zrobić, prawda, to stać tu nadal, na własnych nogach, za minutę od teraz. Jasne? Wiejemy, chłopcy!

Zaszeleściły szaty, zadudniły szybkie kroki, trzasnęły dalekie drzwi. Moist został sam w milczącym, cuchnącym gołębiami pomieszczeniu.

Jaka jeszcze próba mogła pozostać? Spróbował sobie przypomnieć wszystkie słowa wypisane na frontonie budynku. Trolle? Smoki? Zielone stwory z zębami? Otworzył dłoń, by sprawdzić, co wsunął mu Groat.

Wyglądało to całkiem jak gwizdek.

Gdzieś w ciemności drzwi otworzyły się i zamknęły znowu. Potem zabrzmiał daleki odgłos zmierzających ku niemu łap.

Psy...

Moist odwrócił się i pobiegł przez hol do cokołu. Wspiął się na niego. Nie sprawi wielkich problemów dużym psom, ale przynajmniej ich łby znajdą się na wysokości kopniaka.

Usłyszał szczeknięcie i rozciągnął usta w uśmiechu. Takie szczeknięcie wystarczy usłyszeć raz... Nie było szczególnie agresywne, ponieważ wydobywało się z paszczy zdolnej skruszyć czaszkę. Kiedy ktoś jest do tego zdolny, nie musi się specjalnie reklamować. Wieści same się rozchodzą.

To będzie... ironiczne. Naprawdę udało im się zdobyć lipwigzery!

Moist czekał, aż w blasku latarni zobaczy oczy psów, po czym powiedział:

– *Schlat!*

Psy zahamowały i spojrzały na niego. Wyraźnie uznały, że coś się tu nie zgadza. Moist westchnął i zsunął się z cokołu.

– Posłuchajcie – rzekł. Położył ręce na obu zadach i lekko pchnął ku dołowi. – Fakt, o którym wiedzą wszyscy, to ten, że żadnym sukcom lipwigzerów nigdy nie pozwolono opuścić kraju. To pozwala utrzymać wysoką cenę zwierząt... *Schlat*, mówię!... A każdy szczeniak jest nauczony lipwigzańskich rozkazów! To stary kraj do was przemawia, chłopcy! *Schlat!*

Psy siadły natychmiast.

– Grzeczne pieski – powiedział Moist.

To prawda, co mawiali tacy ludzie jak jego dziadek: kiedy już człowiek przebije się przez tę ich zdolność odgryzienia nogi jednym kłapięciem, są to bardzo miłe zwierzaki.

Złożył dłonie koło ust i krzyknął:

– Panowie! Możecie już podejść bezpiecznie!

Listonosze nasłuchiwali, to pewne. Czekali na wrzaski i warkot.

Dalekie drzwi otworzyły się znowu.

– Podejdźcie! – rzucił Moist.

Psy obejrzały się, by popatrzeć na zbliżającą się gromadkę listonoszy. Zawarczały przy tym – długi, nieprzerwany turkot wydobył się z paszczy.

Teraz mógł dobrze się przyjrzeć tajemniczemu zakonowi. Nosili długie szaty, oczywiście, bo bez takich szat nie może działać żadne tajne stowarzyszenie. Teraz zdjęli kaptury i każdy z podstarzałych mężczyzn* miał na głowie czapkę z daszkiem, a na niej umocowany ptasi szkielet.

– No więc, drogi panie, wiedzieliśmy, że Tolliver wsunie panu psi gwizdek...

– To? – Moist otworzył dłoń. – Nie użyłem go. On tylko je złości.

Listonosze patrzyli na siedzące psy.

– Ale skłonił je pan, żeby usiadły, sir...

– Mogę kazać im robić co innego. Wystarczy, że powiem słowo.

– Eee... Na zewnątrz czeka dwóch chłopców z kagańcami, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, sir – wtrącił Groat, gdy zakon wycofywał się powoli. – Bo my się dzi-dzi-dziecznie obawiamy psów. To cecha listonoszy.

– Mogę was zapewnić, że mój głos trzyma je w tej chwili pod kontrolą mocniej niż stal – zapewnił Moist.

Prawdopodobnie była to bzdura, ale dobra bzdura. Warkot jednego z psów nabrał tonu, jaki pojawiał się zwykle tuż przed przemianą zwierzęcia w pocisk z zębata głowicą.

– *Vodit!* – krzyknął Moist. – Przepraszam za to, panowie – dodał. – Wasza obecność chyba je niepokoi. Potrafią wyczuć strach, jak panowie zapewne wiecie.

* Kobiety zawsze były słabo reprezentowane w tajnych stowarzyszeniach.

– Proszę posłuchać, naprawdę przepraszamy, zgadza się? – odezwał się ktoś, kto miał głos sugerujący, że należy do Czcigodnego Mistrza. – Musieliśmy być pewni, zgadza się?

– Czyli jestem poczmistrzem? – spytał Moist.

– Absolutnie, sir. Żaden problem. Bądź pozdrowiony, o poczmistrzu!

Szybko się uczy, pomyślał Moist.

– Sądzę, że tylko... – zaczął, gdy na końcu hali otworzyły się podwójne drzwi.

Wkroczył pan Pompa, niosąc duże pudło. Otwieranie ciężkich drzwi, kiedy niesie się coś oburącz, powinno być dość trudne – ale nie jeśli jest się golemem. Golemy zwyczajnie przechodzą, a drzwi mogą się otworzyć albo próbować pozostać zamknięte, to już ich wybór.

Psy wystartowały jak fajerwerki. Listonosze wystartowali w przeciwnym kierunku i wspięli się na podium za Moistem z szybkością godną podziwu u osób w tym wieku.

Pan Pompa szedł naprzód, miażdżąc stopami resztki Toru. Zakołysał się, gdy zwierzęta uderzyły w niego, po czym spokojnie odstawił pudło i podniósł oba psy za karki.

– Na Zewnątrz Czekają Jacyś Dżentelmeni Z Siatkami, W Rękawicach I Niezwykle Grubej Odzieży, Panie Lipvig – powiedział. – Twierdzą, Że Pracują Dla Pana Harry’ego Króla. Chcą Wiedzieć, Czy Już Pan Skończył Z Tymi Psami.

– Harry’ego Króla? – powtórzył Moist.

– To ważny handlarz odpadkami, sir – wyjaśnił Groat. – Przypuszczam, że psy są wypożyczone od niego. Nocą wypuszcza je wolno na swoje place.

– Żaden złodziej się tam nie dostanie, co?

– Myślę, że jest zadowolony, jeśli się jakiś dostanie, sir. Oszczędza na karmie dla psów.

– Ha! Proszę je zabrać, panie Pompa – polecił Moist.

Lipwigzery... To było takie proste...

Kiedy golem odwrócił się, trzymając pod pachami po skamlącym psie, Moist dodał jeszcze:

– Panu Królowi musi dobrze iść w interesach, jeśli trzyma lipwigzery jako zwykłe psy strażnicze.

– Lipwigzery? U Harry’ego Króla? Wielkie nieba, sir, stary Harry w życiu by nie kupił modnych zagranicznych psów, kiedy może kupić mieszańce. Nie on – zapewnił Groat. – Prawdopodobnie mają w sobie część krwi lipwigzera, i to tej najgorszej. Ha, rasowy lipwigzer nie wytrzymałby pewnie i pięciu minut przeciw niektórym kundlom z naszych zaułków. Niektóre mają w sobie trochę krokodyla.

Zapadła cisza. Po chwili Moist odezwał się nieobecny głosem:

– Czyli... to stanowczo nie były importowane rasowe egzemplarze?

– Ręczę głową, sir. To jakiś kłopot, sir?

– Co? Ehm... nie. Nie, skąd.

– Bo mówi pan, jakby był pan rozczarowany, sir. Albo co...

– Nie, w porządku. Żaden problem – stwierdził zamyślony Moist. – Wie pan, naprawdę muszę oddać rzeczy do prania. I może kupić nowe buty...

Drzwi otworzyły się po raz kolejny, odsłaniając nie powracające psy, ale znów pana Pompe. Podniósł pudło, które wcześniej zostawił, i ruszył w stronę Moista.

– No, na nas już pora – stwierdził Czcigodny Mistrz. – Miło było pana poznać, panie Lipwig.

– I to wszystko? Nie ma jakiejś ceremonii albo czegoś takiego?

– Och, to pomysły Tollivera, nic więcej – wyjaśnił Czcigodny Mistrz. – Przyjemnie zobaczyć, że stary urząd pocztowy nadal stoi, naprawdę przyjemnie, ale dzisiaj liczą się tylko sekary, zgadza się? Młody Tolliver uważa, że da się to wszystko znowu uruchomić, ale był dzieciakiem, kiedy system się załamał. Pewnych rzeczy nie można naprawić, panie Lipwig. Jasne, może się pan tytułować poczmistrzem, ale od czego pan zacznie, żeby tu wszystko znowu działało? To skamielina, drogi panie, tak samo jak my.

– Pańskie Nakrycie Głowy, Sir – oznajmił pan Pompa.

– Co takiego?

Moist się obejrzał. Golem stał cierpliwie przy podeście i trzymał w rękach czapkę.

To była pocztowa czapka z daszkiem, złota, ze złotymi skrzydełkami. Moist wziął ją i zobaczył, że złoto to tylko farba, popękana i złuszczone, a skrzydełka to wysuszone skrzydła prawdziwego gołębia, które rozsypały się niemal od dotknięcia. Kiedy golem trzymał ją w świetle, lśniła jak przedmiot ze starożytnego grobowca. W rękach Moista trzeszczała cicho, pachniała strychem i sypała złocistymi płatkami. Wewnątrz, na brudnej metce, dostrzegł słowa: „Boult & Locke, Uniformy Militarne i Ceremonialne, ul. Zapiekaneki Brzoskwiniowej, A-M, Rozmiar: 7 ¼”.

– Jest Też Para Butów Ze Skrzydełkami – poinformował pan Pompa. – Oraz Coś W Rodzaju Elastycznego...

– Daruj sobie ten element! – przerwał mu podniecony Groat. – Gdzie to znalazłeś? Szukaliśmy wszędzie! Przez lata!

– Leżało Pod Listami W Gabinetce Poczmiistrza, Panie Groat.

– Niemożliwe, to niemożliwe! Przesiewaliśmy te listy dziesiątki razy! Widziałem każdy cal dywanu w tym gabinecie!

– Wiele poczty, eee... przemieściło się dzisiaj – wtrącił Moist.

– To Prawda – potwierdził golem. – Pan Lipwig Wpadł Przez Sufit.

– I w ten sposób to wszystko znalazł, tak?! – zawołał radośnie Groat. – Widzicie? Wszystko zaczyna się sprawdzać! Przepowiednia!

– Nie ma żadnej przepowiedni, Tolliverze. – Czcigodny Mistrz ze smutkiem pokręcił głową. – Wiem, ty uważasz, że jest. Ale pragnienie, żeby ktoś pojawił się pewnego dnia i uporządkował ten chaos, to nie to samo co przepowiednia. Nie tak naprawdę.

– Znowu słyszeliśmy, jak listy mówią! Szepczą po nocach. Musieliśmy czytać regulamin, żeby je uciszyć. Tak jak powiedział ten mag!

– No tak, pewnie... Wiesz przecież, co dawniej mawialiśmy: trzeba być wariatem, żeby tutaj pracować – westchnął Czcigodny Mistrz. – To już skończone, Tolliverze. Naprawdę skończone. To miasto już nawet nas nie potrzebuje.

– Proszę włożyć tę czapkę, panie Lipwig! – poprosił Groat. – Los przysłał ją akurat w tej chwili. Niech ją pan włoży i zobaczymy, co się stanie!

– Jeśli wszyscy są tego zdania... – mruknął Moist. Uniósł czapkę nad głowę i zawahał się. – Nic się nie stanie, prawda? Bo mam za sobą bardzo dziwny dzień...

– Nie, nic się nie stanie – stwierdził Czcigodny Mistrz. – Nigdy nic się nie staje. Och, kiedyś wszyscy myśleliśmy inaczej. Za każdym razem, kiedy ktoś mówił, że zawiesili z powrotem kandelabry albo że ktoś doręczył pocztę, myśleliśmy: Może już się skończyło, może tym razem naprawdę się uda. A ten oto młody Tolliver był szczęśliwy, kiedy na budynku znów pojawił się napis. To go podekscytowało. Pomyślał, że może tym razem się uda. Ale nigdy się nie udaje, bo to miejsce jest przeklęte.

– To znaczy przeklęte z dodatkowym te?

– Zgadza się, sir. Najgorszy rodzaj klątwy. A teraz niech pan włoży czapkę. Przynajmniej ochroni przed deszczem.

Moist gotów był wsadzić czapkę na głowę, kiedy zauważył, że starzy listonosze się cofają.

– Nie jesteście pewni! – krzyknął i pogroził im palcem. – Nie jesteście wcale tacy pewni, tak? Wy wszyscy! Myślicie sobie: Hm, może tym razem się uda, tak? Wstrzymujecie oddech! Widzę to! Nadzieja to straszna rzecz, panowie!

Włożył czapkę.

– Czuje pan coś? – spytał po chwili Groat.

– Trochę... drapie – wyznał Moist.

– Ach, to pewnie wycieka niezwykła mistyczna moc, co? – zapytał desperacko Groat.

– Nie sądzę. Przykro mi.

– Większość poczmistrzów, pod którymi pracowałem, nienawidziła noszenia tej czapki – oświadczył Czcigodny Mistrz, kiedy wszyscy odetchnęli z ulgą. – Chociaż ma pan odpowiedni wzrost, żeby dobrze w niej wyglądać. Poczmistrz Atkinson miał tylko pięć stóp i cal, więc wyglądał jak kwoka. – Poklepał Moista po ramieniu. – Nie martw się, synu. Zrobiłeś, co mogłeś.

Koperta odbiła się od jego głowy. Strzepnął ją, a wtedy następna wylądowała mu na ramieniu i zsunęła się w dół.

Wokół nich listy spadały na podłogę niczym ryby upuszczone przez przelatujące tornado. Moist spojrzał w górę. Listy spływały z ciemności, a ich deszcz zmieniał się szybko w ulewę.

– Stanley? Czy... majstrujesz coś tam na górze? – zapytał Groat, prawie niewidoczny w strumieniach papieru.

– Zawsze uważałem, że te sale mają za słabe podłogi! – jęknął Czcigodny Mistrz. – To znów listowa burza! Narobiliśmy za dużo hałasu i tyle. Szybciej, wynieśmy się stąd, póki jeszcze możemy!

– Ale pogaście latarnie! – krzyknął Groat. – To nie jest bezpieczne oświetlenie!

– Będziemy błądzić po omacku, chłopcze!

– Aha, więc wolicie raczej widzieć przy świetle płonącego dachu, tak?

Latarnie pogasły... a przy ciemności, którą teraz promieniowały, Moist von Lipwig zobaczył napis na ścianie, a w każdym razie wiszący w powietrzu tuż przed nią. Ukryte pióro zataczało pętle i łuki, formując za sobą lśniąca błękitne litery.

Moist von Lipwig? – wypisało.

– Eee... tak?

Jesteś poczmistrzem!

– Słuchaj, nie jestem tym, którego szukacie!

Moiście von Lipwig, w takiej chwili jak ta każdy się nada!

– Ale ja... nie jestem godzien!

Zatem pozyskaj godność jak najszybciej, Moiście von Lipwig! Wpuść znowu światło! Otwórz drzwi! Nie zatrzymuj Pościańców wykonujących Zadania!

Moist spojrzał w dół, na złocisty blask wokół swych stóp. Światło zaiskrzyło się przy czubkach palców i zaczęło z wolna wypełniać go od wewnątrz, niczym dobre wino. Czuł, że jego stopy odrywają się od podłogi, jakby słowa uniosły go i obróciły łagodnie.

Na początku było Słowo, ale czym jest słowo bez swego pościańca, Moiście von Lipwig? Jesteś poczmistrzem!

– Jestem poczmistrzem! – krzyknął Moist.

Listy muszą się przemieszczać, Moiście von Lipwig! Za długo już byliśmy tu uwięzione.

– Przemieszczę listy!

Przemieścisz listy?

– Tak! Obiecuję!

Moiście von Lipwig!

– Tak?

Słowa napłynęły jak szkwał, aż w roziskrzonym blasku zawirowały koperty, a budynek zdrzął od fundamentów po dach.

Doręcz nas!

Rozdział szósty

Małe obrazki

*Listonosz zdemaskowany – Straszliwa machina – Nowe pi – Pan Lipwig myśli o znaczkach –
Posłaniec z Zarania Czasu*

– Panie Lipvig – odezwał się pan Pompa.

Moist spojrział w rozjarzone oczy golema. Musi przecież istnieć jakiś lepszy sposób na poranne budzenie. Niektórzy radzą sobie z zegarem, na miłość bogów!

Leżał na nagim materacu, pod butwiejącym kocem w swoim niedawno odkopanym mieszkaniu, ciągle pachnącym starożytnymi papierami. Bolała go każda część ciała.

Słowa Pompy docierały do jego zamglonej świadomości:

– Listonosze Czekają, Sir. Inspektor Pocztowy Groat Powiedział, Że Zapewne Zechce Pan Ich W Tym Ważnym Dniu Odprawić Należycie.

Moist zamrugał, wpatrzony w sufit.

– Inspektor pocztowy? Awansowałem go na inspektora pocztowego?

– Tak, Proszę Pana. Był Pan Bardzo Impulsywny.

Wspomnienia zeszłej nocy stłoczyły się zdradziecko, by zacząć stepować w swoich numerach ze słynnego spektaklu Wielkiego Kłopotliwego Przypomnienia.

– Listonosze?

– Bractwo Obrządku Poczтового. To Starzy Ludzie, Sir, Lecz Twardzi. Są Już Emerytami, Ale Wszyscy Zgłosili Się Jako Ochotnicy. Są Tu Od Wielu Godzin I Sortują Poczczę.

Zatrudniłem bandę dziadków starszych nawet od Groata...

– Czy robiłem coś jeszcze?

– Wygłosił Pan Niezwykłe Inspirujące Przemówienie, Sir. Szczególne Wrażenie Zrobiła Na Mnie Pańska Uwaga, Że „Anioł” To Tylko Inne Określenie Posłańca. Niewielu Ludzi O Tym Wie.

Na materacu Moist powoli usiłował wcisnąć pięść do ust.

– Aha, I Obiecał Pan Sprowadzić Z Powrotem Wielkie Kandelabry I Kontuar Z Cennego Drewna, Sir. To Im Zaimponowało. Nikt Nie Wie, Gdzie Się Podziały.

O bogowie, pomyślał Moist.

– Oraz Posąg Boga, Sir. To Zaimponowało Im Jeszcze Bardziej, Albowiem, Jak się Zdaje, Wiele Lat Temu Został On Przetopiony.

– Czy ostatniej nocy zrobiłem cokolwiek, co by sugerowało, że jestem normalny?

– Przepraszam, Sir? – zdziwił się golem.

Ale Moist przypomniał sobie światło i szept listów. Wypełniły jego umysł... wiedzą, czy może wspomnieniami, choć nie pamiętał, w jaki sposób je zyskał.

– Niedokończone opowieści – rzekł.

– Tak, Sir – zgodził się golem obojętnie. – Mówił Pan O Nich Bardzo Szczegółowo, Sir.

– Naprawdę?

– Tak, Sir. Powiedział Pan...

...że każda niedoreczona wiadomość jest fragmentem czasoprzestrzeni pozbawionym drugiego końca, dryfującą swobodnie wiązką wysiłku i emocji. Jeśli upakować ich miliony, zaczynają robić to, co zawsze robią listy: komunikują i zmieniają naturę zdarzeń. Kiedy jest ich dostatecznie dużo, zniekształcają wokół siebie wszechświat.

Wszystko to miało sens dla Moista. A przynajmniej tyle sensu, ile cokolwiek innego.

– A czy... czy rzeczywiście uniosłem się w powietrze i jarzyłem się złością? – zapytał Moist.

– Chyba Musiałem To Przeoczyć, Sir – uznał pan Pompa.

– To znaczy, że nie.

– W Pewnym Sensie Tak, Sir – zapewnił golem.

– Ale w zwyczajnej, codziennej rzeczywistości jednak nie?

– Rozświetlał Pana, Jak To Mówią, Wewnętrzny Ogień, Sir. Zrobił Pan Wielkie Wrażenie Na Pocztownicach.

Wzrok Moista spoczął na skrzydlatej czapce rzuconej niedbale na biurko.

– Nigdy nie spełnię ich oczekiwań, panie Pompa – rzekł. – Oni chcą świętego, nie kogoś takiego jak ja.

– Może Święty Nie Jest Tym, Czego Potrzebują, Sir.

Moist usiadł i koc zsunął się z niego.

– Gdzie się podziało moje ubranie? – zapytał. – Jestem pewien, że powiesiłem je elegancko na podłodze.

– Przyznaję, Że Próbowałem Oczyścić Pański Kostium Wywabiaczem Płam. Ponieważ Jednak Był On Praktycznie Jedną Wielką Płamą, Wywabił Się Cały.

– Lubilem ten garnitur! Mogłeś go chociaż zachować na szmaty...

– Przepraszam, Sir. Uznałem, Że Szmaty Zostały Zachowane Na Pański Garnitur. Ale W Każdym Razie Wykonałem Pańskie Polecenie, Sir.

Moist przez chwilę się zastanawiał.

– Jakie polecenie? – zapytał podejrzliwie.

– Zeszłej Nocy Nakazał Mi Pan, By Znaleźć Ubranie Odpowiednie Dla Poczmiistrza, Sir. Udzielił Mi Pan Bardzo Precyzyjnych Instrukcji. Na Szczęście Mój Kolega Zszywacz 22 Pracuje W Garderobie W Teatrze. Strój Wisi Na Drzwiach.

Golem znalazł nawet lustro. Nie było wielkie, ale dostatecznie duże, by pokazać Moistowi, że gdyby ubierał się bardziej ostro, pewnie by się pokaleczył przy chodzeniu.

– O rany... – westchnął. – El Dorado czy jak?

Ubiór zrobiony był ze złota, czy też tego, czego aktorzy zamiast złota używają. Moist chciał już zaprotestować, ale umysł interweniował szybko.

Dobre ubranie pomaga. Szybki język nie na wiele się przyda w nędznych portkach. Ludzie zapamiętają kostium, nie jego. Z pewnością będzie zauważony, kiedy pojawi się na ulicy w takim stroju. Przechodnie będą musieli zasłaniać oczy, by na niego spojrzeć. I najwyraźniej sam o to poprosił.

– Jest bardzo... – zawahał się. Jedynym dobrze pasującym słowem było: – ...szybki. To znaczy wygląda, jakby lada moment miał pomknąć naprzód.

– Tak, Sir. Zszywacz 22 Ma Talent. Proszę Też Zauważyć Złotą Koszulę I Krawat. Pasują Do Czapki, Sir.

– Eee... Nie mógłbyś go namówić, żeby pozszywał mi coś ciemniejszego? – Moist przysłonił oczy, by przestały go oślepiać własne kłapy. – Żebym miał co włożyć, kiedy nie chcę oświetlać dalekich obiektów?

– Uczynię Tak Natychmiast, Sir.

– No cóż... – Moist zamrugał od blasku swoich rękawów. – Chodźmy zatem popędzić pocztę, co?

Byli emerytowani listonosze czekali w hali, w miejscu opróżnionym ze zrzutu listów zeszłej nocy. Wszyscy nosili mundury, ale żadne dwa nie były takie same, a zatem formalnie trudno byłoby ich uznać za jednolicie umundurowanych. Wszystkie czapki miały daszki, ale jedne były wysokie, inne miękkie. Starszycy wrosli w swoje ubrania, więc kurtki wisały na nich jak płaszcze, a nogawki spodni przypominały harmonie. Dodatkowo, jak to jest w zwyczaju starszych mężczyzn, nosili medale i stanowcze miny ludzi gotowych do ostatniej bitwy.

– Zespół gotów do kontroli, sir! – oznajmił inspektor pocztowy Groat. Stał na baczność tak wyprężony, że sama duma unosiła jego stopy o pełen cal nad podłogą.

– Dziękuję, hm... dobrze.

Moist nie był pewien, co ma kontrolować, ale bardzo się starał. Jedna po drugiej wpatrywały się w niego pomarszczone twarze.

Medale, jak sobie uświadomił, nie wszystkie były wojskowe, Urząd Pocztowy przyznawał też własne. Wśród nich znalazła się złota psia głowa, którą nosił nieduży człowieczek z twarzą jak całe stado łasic.

– Co to takiego, eee... – zaczął.

– Starszy listonosz George Aggy, sir. To odznaczenie? Piętnaście ugryzień i nadal stałem, sir – odparł z dumą staruszek.

– No, to jest... bardzo dużo ugryzień, prawda...

– Tak, ale przechrzyłem bestie przy dziewiątym, sir, i sprawiłem sobie blaszaną nogę.

– Straciliście nogę? – przeraził się Moist.

– Nie, sir. Kupiłem kawałek starej zbroi, zgadza się? – Pomarszczony człowieczek uśmiechnął się chytrze. – Aż cieplej mi się robi na sercu, kiedy słyszę, jak zgrzytają o nią zębami, sir.

– Aggy, Aggy... – zastanowił się Moist, a potem zaiskrzyła pamięć. – Czy nie byliście...

– Jestem Czcigodnym Mistrzem, sir – wyjaśnił Aggy. – Na pewno nie ma pan nam za złe wczorajszej nocy, sir. Wszyscy byliśmy kiedyś jak młody Tolliver, ale straciliśmy nadzieję. Bez pretensji?

– Oczywiście – uspokoił go Moist i roztarł tył głowy.

– Chciałbym też przekazać własną wiadomość z gratulacjami jako przewodniczący Ankhmorporskiego Oddziału Przyjaznego i Dobroczyнного Stowarzyszenia Pracowników Pocztowych – ciągnął Aggy.

– Ehm... Bardzo dziękuję. A właściwie kim oni są?

– To byliśmy my wczoraj w nocy, sir. – Aggy się rozpromienił.

– Myślałem, że jesteście tajnym stowarzyszeniem!

– Nie tajnym, sir. Niedosłownie tajnym. Raczej... ignorowanym, można powiedzieć. Ostatnio zajmujemy się głównie emeryturami i pilnujemy, żeby starzy kumple mieli porządne pogrzeby, kiedy zostają Zwrócenii do Nadawcy.

– Brawo – rzekł Moist, co zdawało się dobrą odpowiedzią na wszystkie kwestie. Odstąpił i zakaszał. – Panowie, jest tak: jeśli chcemy, żeby Urząd Pocztowy wrócił do pracy, musimy zacząć dostarczać dawne listy. To święta sprawa: listy docierają. Może to zabrać pięćdziesiąt lat, ale w końcu znajdziemy adresata. Znacie swoje rejony. Tylko spokojnie. Pamiętajcie, jeśli nie możecie doręczyć, jeśli nie ma już domu... wtedy przesyłka wraca tutaj, a my odkładamy ją do Biura Martwych Listów i wiemy, że przynajmniej próbowaliśmy. Chcemy dać ludziom do zrozumienia, że Urząd Pocztowy znów działa. Zrozumiano?

Któryś z listonoszy podniósł rękę.

– Słucham? – Umiejętność zapamiętywania nazwisk była u Moista o wiele lepiej rozwinięta niż umiejętność zapamiętania czegokolwiek innego z wczorajszej nocy. – Starszy listonosz Thompson, tak?

– Tak jest, sir! Ale co mamy robić, gdyby ludzie dawali nam listy, sir?

Moist zmarszczył czoło.

– Słucham? Myślałem, że to wy doręczacie pocztę, prawda?

– Nie, Bill ma rację – wtrącił Groat. – Co mamy robić, jeśli ludzie spróbują nam dawać nową pocztę?

– Eee... A co zwykle robiliście?

Listonosze spojrzeli po sobie.

– Braliśmy od nich po pensie na ostemplowanie i przynosiliśmy tutaj, żeby ostemplować oficjalnym stemplem. Potem były sortowane i doręczane.

– Czyli... ludzie muszą czekać, dopóki nie zobaczą listonosza? To raczej...

– Och, za dawnych czasów mieliśmy dziesiątki mniejszych urzędów. Ale straciliśmy je, kiedy wszystko zaczęło się rozsypywać.

– No dobrze. Zrobmy coś z zaległą pocztą, a nad innymi kwestiami będziemy się zastanawiać, kiedy się pojawią – zdecydował Moist. – Jestem przekonany, że pojawią się odpowiednie pomysły. A teraz, panie Groat, miał mi pan wyjawic pewien sekret...

* * *

Klucze Groata dzwoniły na kółku, kiedy staruszek prowadził Moista przez piwnice gmachu, aż wreszcie stanął przed metalowymi drzwiami. Moist zauważył na podłodze kawałek czarno-żółtego sznura. Straż też tu była.

Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem. Wewnątrz coś jarzyło się na niebiesko, akurat tak słabo, by denerwować, na granicy pola widzenia pozostawiać fioletowe plamy i wywoływać łzawienie.

– *Voil-ah* – rzekł Groat.

– Czy to... jakaś odmiana organów teatralnych? – spytał Moist.

Trudno było rozróżnić kontury maszyny na środku pokoju, ale stała tam z wdziękiem katowskiego koła. Niebieskie lśnienie wydobywało się mniej więcej z jej środka. Z oczu Moista płynęły już strumienie łez.

– Niezłe skojarzenie, sir! Tak naprawdę to Machina Sortująca – odparł Groat. – Przekleństwo Urzędu Pocztowego, sir! Kiedyś miała w środku chochliki, żeby czytały adresy na kopertach, ale wszystkie wyparowały już wiele lat temu. I dobrze.

Moist zmierzył wzrokiem siatkowe półki, zajmujące całą ścianę dużego pomieszczenia. Odkrył też wyrysowane kredą na podłodze kształty. Kreda jarzyła się w dziwnym świetle. Kształty były całkiem małe. Jeden z nich miał pięć palców.

– Wypadek przy pracy... – mruknął Moist. – No dobrze, panie Groat. Niech pan mówi.

– Proszę się nie zbliżać do tego blasku, sir. To samo mówiłem panu Whobblebury'emu. Ale on później się tu zakradł całkiem samiutki. Och, drogi panie, to biedny młody Stanley przyszedł i go znalazł, sir, kiedy zobaczył biednego małego Pieszczocha wlokącego coś po

korytarzu. I jego oczom ukazała się scena rzezi. Nie może pan sobie nawet wyobrazić, sir, jak tu wyglądało.

– Chyba mogę...

– Wątpię, czy pan może, sir.

– Naprawdę mogę.

– Jestem przekonany, że pan nie może, sir.

– Mogę! Zrozumiano?! – krzyknął Moist. – Myśli pan, że nie widzę wszystkich tych małych kształtów wyrysowanych kredą? A czy teraz możemy przejść dalej, zanim zwymiotuję?

– Eee... racja, sir – zgodził się Groat. – Słyszał pan kiedyś o Bezdennie Głupim Johnsonie? Całkiem sławny w naszym mieście.

– On budował różne maszyny, prawda? I zawsze coś w nich było nie tak? Chyba czytałem gdzieś o nim...

– To właśnie on, sir. Budował bardzo wiele różnych maszyn, ale, trzeba ze smutkiem przyznać, zawsze miały jakąś poważną usterkę.

W umyśle Moista zaskoczył jakiś neuron.

– Czy to nie on specyfikował ruchome piaski jako materiał budowlany, bo chciał zaoszczędzić na transporcie?

– Tak jest, sir. Zwykle poważną usterką było to, że konstruktorem był Bezdennie Głupi Johnson. Usterką, można powiedzieć, będącą kluczowym elementem całości. Co prawda trzeba szczerze przyznać, że sporo rzeczy, które on wymyślił, całkiem dobrze działało, tyle że nie robiły tego, co powinny. To urządzenie, sir, istotnie zaczęło swój żywot jako organy, ale skończyło jako machina do sortowania poczty. Co miało polegać na tym, że wysypuje się do tej szuflady worek listów, a one są szybko porozkładane na te półki. Poczmiistrz Cowerby chciał dobrze, przynajmniej tak mówią. Był strasznym maniakiem szybkości i wydajności. Dziadek mi opowiadał, jak to Urząd Pocztowy wydał fortunę, żeby wdrożyć to urządzenie do pracy.

– I stracił pieniądze, co? – domyślił się Moist.

– Ależ skąd, sir. Machina działała. O tak, działała znakomicie. Tak świetnie, że pod koniec ludzie dostawali obłądu.

– Niech zgadnę... Listonosze musieli za ciężko pracować?

– Och, listonosze zawsze za ciężko pracują, sir. – Groat nawet nie mrugnął. – Nie. Ludzi martwiło raczej to, że na tacach sortera znajdowali listy na rok przed tym, jak powinny być napisane.

Zapadła cisza. W tej ciszy Moist wypróbował w myślach kilka możliwych odpowiedzi, od „Spróbuj pan innego, ten aż dzwoni” po „To niemożliwe” – i uznał, że wszystkie brzmią głupio. Groat wydawał się śmiertelnie poważny. Powiedział więc:

– Jak?

Stary listonosz wskazał niebieskie lśnienie.

– Niech pan zerknie do środka, sir. Może pan to zobaczyć. Tylko proszę nad nią nie stawać, cokolwiek by się działo.

Moist podszedł bliżej i zajrzał do wnętrza maszyny. Z trudem odróżnił – w samym sercu blasku – małe kółko. Obracało się powoli.

– Wychowałem się na poczcie – odezwał się Groat zza jego pleców. – Urodziłem się w sortowni, wazyli mnie na oficjalnej wadze, czytać uczyłem się na kopertach, liczyć ze starych rejestrów, geografię poznałem, oglądając mapy miasta, a historię od starych ludzi. To lepsze od wszystkich szkół, sir. Lepsze od szkół... Ale nigdy nie nauczyłem się geometrii, sir. Normalnie miałem taką dziurę w rozumie, jeśli chodzi o te wszystkie kąty i różne takie. A tutaj, sir, chodzi o pi...

– Znaczy co? Skrót od pisania, czy jak? – Moist odsunął się od źródła złowieszczonego blasku.

– Nie, nie, sir. Pi jak w geometrii.

– Och, chodzi panu o pi, tę liczbę, którą się uzyskuje, kiedy...

Moist urwał. Jego znajomość matematyki była dość przypadkowa. Inaczej mówiąc, potrafił błyskawicznie oceniać szanse i przeliczać waluty. W jego podręczniku szkolnym był rozdział poświęcony geometrii, ale nie widział w tym sensu. Mimo to spróbował.

– To ma związek z tym, no... z liczbą, jaka powstaje, kiedy promień koła... nie, długość brzegu koła jest trzy i kawałek razy większa niż... hm...

– Coś w tym rodzaju, zapewne, sir, coś w tym rodzaju. Trzy i kawałek, o to właśnie chodzi. Tylko że Bezdennie Głupi Johnson uznał, że to nieporządnie, więc zbudował takie kółko, w którym pi wynosi dokładnie trzy. I ono tam jest.

– Przecież to niemożliwe! Nie da się tego zrobić! Pi jest tak jakby... wbudowane! Nie można go zmienić! Trzeba by zmienić cały wszechświat!

– Tak jest, sir. I tłumaczyli mi, że to właśnie się stało – stwierdził spokojnie Groat. – A teraz pokażę panu sztuczkę, sir. Proszę się odsunąć.

Wyszedł na chwilę z piwnicy, po czym wrócił z kawałkiem drewna.

– Niech pan się cofnie jeszcze trochę, sir – poradził.

I rzucił drewno na maszynę.

Dźwięk nie był głośny. Brzmiał mniej więcej jak „klop!”. Moist miał wrażenie, że coś stało się z drewnem, kiedy przelatywało przez niebieskie światło; pojawiła się sugestia zakrzywienia...

Na podłogę spadło kilka większych kawałków i deszcz drzazg.

– Sprowadzili tu maga, żeby to obejrzał – tłumaczył Groat. – Powiedział, że ta maszyna skręca kawałek wszechświata, żeby pi mogło być równe trzy, sir, ale wyczynia cuda ze wszystkim, co znajdzie się za blisko, sir. Te kawałki, których potem brakuje, giną gdzieś w... w... w czasoprzestrzeniokontinuumumumum, sir. Ale tak się nie dzieje z listami, sir, a to z

powodu tego, jak się przesuwają przez tę maszynę, sir. Tak to tłumaczył, sir. I niektóre wychodzą z niej pięćdziesiąt lat przed wysłaniem.

– Dlaczego jej nie wyłączyliście?

– Nie mogliśmy, sir. Ona ciągle działała, jak syfon. Zresztą mag powiedział, że gdybyśmy to zrobili, mogłyby się zdarzyć okropne tragedie! Z powodu tych, no... chyba kwantów.

– W takim razie można było zwyczajnie przestać dostarczać jej listy, prawda?

– No tak, sir, to jest to. – Groat poskrobał się po brodzie. – Wskazał pan palcem samo sedno czy też klucz sprawy. Tak powinniśmy zrobić, sir, tak właśnie, ale próbowaliśmy to jakoś wykorzystać. Tak, kierownictwo miało plany, sir. Takie na przykład doręczenie listu na Siostrach Dolly w trzydzieści sekund po nadaniu go w centrum miasta... Co by pan na to powiedział, sir? Oczywiście, byłoby niegrzecznie doręczać pocztę, zanim jeszcze do nas trafiła, ale można by zmniejszać odstęp... Byliśmy dobrzy, więc próbowaliśmy być lepsi...

I nagle wszystko zabrzmiało znajomo...

Moist słuchał ponuro. Podróże w czasie to w końcu tylko pewien rodzaj magii. I nigdy nic dobrego z nich nie wynika.

Dlatego pracują zwykli listonosze. Dlatego sekary są szeregiem kosztownych wież. Jeśli się zastanowić, to również dlatego farmerzy sieją zboże, a rybacy wyciągają sieci. Och, można by wszystko załatwić czarami, to jasne. Można machnąć różdżką i dostać gwiazdkę z nieba oraz świeżo upieczony bochenek. Można sprawić, że ryby będą wyskakiwały z morza już przyrządzone. Ale potem, gdzieś, kiedyś, magia wystawia rachunek, który zawsze opiewa na więcej, niż człowieka stać.

Tak więc pozostawiano ją magom, którzy wiedzieli, jak obchodzić się z nią bezpiecznie. Niekorzystanie z magii było ich głównym zadaniem – nie „niekorzystanie z magii”, gdyż nie potrafili z niej korzystać, ale „niekorzystanie z magii”, kiedy potrafili i tego nie robią. Człowiek musi być mądry, by się od tego powstrzymać, kiedy wie, jakie to proste. Istniały na świecie miejsca upamiętniające czasy, gdy magowie nie byli jeszcze tacy mądrzy – tam już nigdy nie wyrośnie trawa.

W każdym razie w całym tym interesie była pewna nieuchronność. Ludzie chcieli być oszukiwani. Naprawdę wierzyli, że można znaleźć na piasku bryłki złota, że tym razem spotkają księżniczkę, że chociaż raz szkiełko okaże się prawdziwym brylantem.

Słowa wylewały się z pana Groata jak upakowane listy ze szczeliny w murze. Czasami machina wypluwała tysiąc kopii jednego listu albo zasypywała salę listami z przyszłego wtorku, z przyszłego miesiąca, przyszłego roku. Czasami były to listy, których ktoś nie napisał, które mógłby napisać albo zamierzał napisać, lub też listy, o których ludzie przysięgali, że je napisali, a tak naprawdę jednak nie, ale które mimo to zyskały mglistą egzystencję w jakimś dziwnym, niewidzialnym listowym świecie, a machina uczyniła je rzeczywistymi.

Jeśli gdzieś może istnieć każdy możliwy świat, to gdzieś istnieje również każdy list, który potencjalnie mógłby być napisany. Gdzieś tam wszystkie te wysłane czeki naprawdę istnieją w poczcie.

Wysypywały się – listy z dnia dzisiejszego, który okazywał się nie tym dniem dzisiejszym, ale innym, jaki mógłby się zdarzyć, gdyby w historii zmieniono jakiś drobny detal. To nieważne, że machina została wyłączona, jak tłumaczyli magowie. Istniała w mnóstwie innych teraźniejszości, więc pracowała dzięki... tu następowало długie zdanie, którego pocztowcy nie rozumieli, ale miało w sobie takie słowa jak „portal”, „multiwymiarowy” i „kwanty” – kwanty nawet dwa razy. Nie rozumieli, ale coś musieli z tym zrobić. Nikt nie mógł doręczyć wszystkich tych listów – i pokoje zaczęły się wypełniać.

Magowie z Niewidocznego Uniwersytetu bardzo się interesowali całą sprawą – zupełnie jak lekarze zafascynowani nową i zjadliwą chorobą. Pacjent wprawdzie docenia ich zainteresowanie, ale wolałby, żeby albo znaleźli w końcu jakieś lekarstwo, albo przestali go poszturchiwać.

Machiny nie dało się zatrzymać i absolutnie nie wolno było niszczyć, twierdzili magowie. Zniszczenie maszyny mogło łatwo doprowadzić do tego, że cały wszechświat nagle przestanie istnieć.

A Urząd Pocztowy wypełniał się szybko. Pewnego dnia zatem główny inspektor pocztowy Rumbelow zszedł do tego pomieszczenia z łomem w rękę, kazał wszystkim magom wyjść i tłukł machinę, dopóki kółka nie przestały się kręcić.

Lawina listów się urwała. Przyjęto ten fakt z ogromną ulgą, jednakże Urząd Pocztowy miał swój regulamin, więc główny inspektor pocztowy Rumbelow został wezwany przed oblicze poczmistrza Cowerby'ego i zapytany, dlaczego postanowił zaryzykować zniszczenie za jednym zamachem całego wszechświata.

Według pocztowej legendy pan Rumbelow odpowiedział: „Po pierwsze, sir, pomyślałem, że jeśli zniszczę za jednym zamachem cały wszechświat, nikt się o tym nie dowie; po drugie, kiedy przywaliłem w to draństwo po raz pierwszy, zobaczyłem, że magowie uciekają, no więc pomyślałem sobie, że jeśli nie mają innego wszechświata, do którego mogą uciec, to tak naprawdę wcale nie są pewni; i w końcu, sir, ta przeklęta aparatura działała mi na nerwy; nigdy nie znosiłem maszynerii, sir”.

– I tak się to skończyło – rzekł Groat, kiedy wyszli już na korytarz. – Słyszałem, jak magowie mówią, że wszechświat został zniszczony za jednym zamachem, ale natychmiast za jednym zamachem powrócił. Twierdzą, że umieją to poznać, sir. Czyli wszystko w porządku i stary Rumbelow się wykręcił, bo trudno zgodnie z regulaminem Urzędu Poczтового ukarać kogoś za zniszczenie za jednym zamachem całego wszechświata. Owszem, byli tacy poczmistrze, którzy by spróbowali. No ale ta historia odebrała nam ducha, sir. Potem wszystko już toczyło się w dół. Ludzie stracili serce. Złamało nas to, prawdę mówiąc.

– Chwileczkę... – Moist się zastanowił. – Te listy, które właśnie daliśmy chłopcom, nie były z jakiegoś innego wymiaru ani...

– Niech pan się nie martwi, sir, sprawdziłem jeszcze w nocy. Są zwyczajnie stare. Na ogół można to poznać po stemplu. Dobrze mi idzie poznawanie, które są nasze, sir. Miałem całe lata, żeby się nauczyć. To talent, sir.

– Mógłby pan nauczyć innych?

– Tak, chyba tak.

– Panie Groat, listy do mnie przemawiały – wyrzucił z siebie Moist.

Ku jego zaskoczeniu Groat chwycił go za rękę i potrząsnął mocno.

– Brawo, sir – powiedział, a łzy błysnęły mu w oczach. – Mówiłem, że to talent, prawda? Trzeba słuchać ich szeptów, to połowa roboty, sir! One żyją, sir, są żywe! Nie jak ludzie, ale jak... jak statki są żywe, sir. Mógłbym przysiąc, że wszystkie te listy upchnięte tutaj, cała ta... ta ich pasja, sir, naprawdę, wydaje mi się, że nasza poczta ma coś w rodzaju duszy, sir, tak właśnie uważam...

Łzy pocięły mu po policzkach. To szaleństwo, oczywiście, pomyślał Moist. Ale teraz mnie także się udzieliło.

– Aha, widzę to w pańskich oczach, sir, całkiem wyraźnie. – Groat uśmiechnął się przez łzy. – Urząd Pocztowy pana znalazł! I wciągnął pana, o tak... Już go pan nie opuści, sir. Niektóre rodziny pracowały tutaj od setek lat, sir. Kiedy już służba pocztowa przybije na panu stempel, nie ma odwrotu...

Moist taktownie uwolnił rękę.

– Tak – zgodził się. – Proszę mi zatem opowiedzieć o stemplach.

* * *

Stuk!

Moist spojrzął na kartkę papieru. Rozmazane czerwone litery, wytarte i nierówne, stwierdzały: „Urząd Pocztowy Ankh-Morpork”.

– Właśnie tak, sir. – Groat zamachał ciężkim stemplem z drewna i metalu. – Uderzam w poduszkę z tuszem, o tutaj, sir, potem uderzam w list. O tak! Widzi pan, sir? Za każdym razem tak samo. Ostemplowany.

– I to jest warte pensa? – spytał Moist. – Wielkie nieba, człowieku, dziecko mogłoby to podrobić połówką ziemniaka!

– To zawsze był pewien problem, sir, rzeczywiście...

– Ale dlaczego listonosz ma stemplować listy? Dlaczego po prostu nie sprzedaje ludziom stempla?

– Bo zapłacą pensa, a potem będą stemplować bez końca, sir – stwierdził rozsądnie Groat.

W maszynerii wszechświata tryby nieuchronności szczęknęły, blokując się na pozycjach...

– No dobrze... – Moist patrzył w zadumie na kartkę. – A może... może stempel, którego można użyć tylko raz?

– Znaczy jak niby? Dać mało tuszu? – Groat zmarszczył czoło, przez co jego tupecik zsunął się na bok.

– Znaczy... Gdyby odbić taki stempel wiele razy na papierze, potem wyciąć te odbicia... – Moist wpatrywał się w coś oczyma duszy, choćby po to, by uniknąć rzeczywistego widoku tupecika, który wpełzał powoli na miejsce. – Cena doręczenia listu pod dowolny adres w mieście to jeden pens, tak?

– Oprócz Mroków, sir. Tam kosztuje pięć pensów, z powodu uzbrojonego strażnika.

– Dobrze. No ta-ak... Mam chyba pewien pomysł... – Moist zerknął na pana Pompe, który tlił się w kącie gabinetu. – Panie Pompa, proszę uprzejmie pójść pod Kozła i Ducha Spokoju przy Kwoki i Kurczaków i poprosić oberżystę o skrzynkę pana Robinsona. Może chceć dolara. A przy okazji, po drodze jest drukarnia, Teemer & Spools. Proszę im zostawić wiadomość, że naczelny poczmistrz chciałby omówić bardzo duże zlecenie.

– Teemer & Spools? Są bardzo kosztowni, sir – zauważył Groat. – Robią te wszystkie aliganckie druki dla banków.

– Demonicznie ciężko ich podrobić, wiem dobrze – odparł Moist. – Tak mi przynajmniej mówiono – dodał szybko. – Znaki wodne, specjalne fale na papierze i inne takie sztuczki. Ehm... Czyli... ostemplowanie za pensa i ostemplowanie za pięć pensów... Co z przesyłkami do innych miast?

– Pięć pensów do Sto Lat. Dziesięć albo piętnaście do innych. Ha, jeszcze trzy dolary za całą drogę do Genoi. Te musieliśmy wypisywać ręcznie.

– Czyli będziemy potrzebowali stempla za dolara. – Moist zaczął bazgrać coś na papierze.

– Stempel za dolara! A kto taki kupi?

– Każdy, kto chce wysłać list do Genoi. W końcu kupią po trzy, ale na razie obniżam cenę do jednego dolara.

– Jeden dolar? To przecież tysiące mil, sir! – zaprotestował Groat.

– Owszem. Prawdziwa okazja, co?

Groat wyglądał jak człowiek rozdarty między euforią a rozpaczą.

– Przecież mamy tylko grupę starych ludzi, sir! Owszem, całkiem żwawych, przyznaję, ale... No przecież trzeba nauczyć się chodzić, sir, zanim człowiek spróbuje biegać.

– Nie! – Moist uderzył pięścią w stół. – Nigdy tego nie mów, Tolliverze! Nigdy! Biegaj, zanim zaczniesz chodzić! Lataj, zanim zaczniesz pęłzać! Ale zawsze naprzód! Myślisz, że powinniśmy stworzyć sensowną służbę pocztową w mieście. Ja uważam, że musimy spróbować dostarczać listy do każdego miejsca na świecie! Jeśli padniemy, będzie to wspaniały upadek! Wszystko albo nic, Tolliverze!

– Oj, sir! – westchnął Groat.

Moist rzucił mu swój promienny, słoneczny uśmiech, który niemal odbił się od kostiumu.

– Do roboty! Potrzebujemy więcej personelu, inspektorze pocztowy Groat. O wiele więcej. Uszy do góry, człowieku! Urząd Poczty powrócił!

– Tajest, sir! – Groat był pijany z entuzjazmu. – Będziemy... będziemy działać w całkiem nowym stylu, w interesujący sposób!

– Widzę, że zaczynasz łapać... – Moist przewrócił oczami.

* * *

Dziesięć minut później Urząd Poczty odebrał swoją pierwszą przesyłkę.

Był to starszy listonosz Bates z twarzą zalaną krwią. Odstawiło go dwóch funkcjonariuszy straży dźwigających nosze.

– Znaleźliśmy go wałęsającego się po ulicy, sir – poinformował jeden z nich. – Sierżant Colon, sir, do usług.

– Co mu się stało? – zapytał przerażony Moist.

Bates otworzył oczy.

– Przepraszam, sir – wymamrotał. – Trzymałem mocno, ale przywalili mi w makówkę czymś ciężkim.

– Paru zbójów go napadło – wyjaśnił sierżant Colon. – I wyrzucili jego torbę do rzeki...

– Czy to normalnie trafia się listonoszom? – spytał Moist. – Och, nie...

Nowym, boleśnie powolnym przybyszem okazał się starszy listonosz Aggy. Powłóczył nogą, gdyż włókł uczeponego do niej buldoga.

– Bardzo za to przepraszam, sir – rzekł, kuśtykając bliżej. – Obawiam się, że rozerwał mi oficjalne spodnie. Ogłuszyłem go torbą, sir, ale te demony nijak nie chcą puścić.

Buldog miał zamknięte oczy i zdawał się myśleć o czymś innym.

– Dobrze, że mieliście ten swój pancerz, co?

– Nie ta noga, sir. Ale nie ma obawy, jestem naturalnie odporny w regionie łydek. I tak mam tam same blizny, można by o nie zapalać zapałki. Za to Jimmy Tropes ma prawdziwe kłopoty, sir. Siedzi na drzewie w Rajd Parku.

* * *

Moist von Lipwig z ponurą twarzą kroczył ulicą Targową. Okno wystawowe Powiernictwa Golemów nadal zakrywały deski, które zdążyły już uzyskać nową warstwę graffiti. Farba na drzwiach była przypalona i pokryta bąblami.

Otworzył drzwi, a instynkt kazał mu się uchylić. Poczł, jak belt świsnął między skrzydełkami czapki.

Panna Dearheart opuściła kuszę.

– Na bogów, to pan! Przez moment sądziłam, że na niebie pojawiło się drugie słońce!

Widząc, że panna Adora Belle odkłada kuszę, Moist wyprostował się ostrożnie.

– W nocy próbowali nas podpalić – oświadczyła, co pewnie miało tłumaczyć, czemu próbowała strzelić mu w głowę.

– Ile golemów ma pani w tej chwili do wynajęcia, panno Dearheart?

– Ile? No... może z tuzin, mniej więcej...

– Świetnie. Biorę je. Nie musi pani pakować. Mają jak najszybciej stawić się w Urzędzie Pocztowym.

– Co? – Na twarz panny Dearheart powrócił zwykły wyraz wiecznej irytacji. – Nie może pan tak sobie wejść, pstryknąć palcami i od razu rozkazywać dwunastu osobom...

– One wierzą, że są własnością! – przypomniał Moist. – Tak mi pani mówiła.

Patrzyli gniewnie na siebie. W końcu panna Dearheart pogrzebała niechętnie w dokumentach.

– Mogę panu dać... pozwolić panu zatrudnić cztery – stwierdziła. – To będą Wrota 1, Piła 20, Dzwonnica 2 i... Anghammarad. W tej chwili tylko Anghammarad potrafi mówić. Wolne nie pomogły jeszcze pozostałym.

– Pomogły?

Panna Dearheart wzruszyła ramionami.

– Wiele kultur, które budowały golemy, uważało, że narzędzia nie powinny mówić. Nie mają języków.

– A powiernictwo wydziela im trochę dodatkowej gliny?

– To trochę bardziej mistyczne – odparła z powagą, rzucając mu niechętnie spojrzenie.

– No cóż, mogą być nieme, byle nie głupie. – Moist starał się mówić rzeczowo. – Ten Anghammarad ma imię? Nie tylko opis?

– Wiele bardzo starych ma imiona. Proszę powiedzieć, co będą tam robić?

– Będą listonoszami.

– Pracującymi w miejscach publicznych?

– Nie wydaje mi się, żeby istnieli tajni listonosze... – Moist wyobraził sobie szare postacie skradające się od drzwi do drzwi. – To jakiś kłopot?

– No... nie. Oczywiście, że nie. Tylko że ludzie trochę się robią nerwowi i podkładają ogień pod biuro. Przyprawdzą je jak najszybciej. – Zastanowiła się. – Rozumie pan, oczywiście, że posiadane golemy muszą mieć jeden dzień wolny w tygodniu? Czytał pan tę broszurę, prawda?

– Wolny dzień? – zdziwił się Moist. – A po co im wolne? Młotek nie potrzebuje wolnego, prawda?

– Aby być golemami. Proszę nie pytać, co wtedy robią... Podejrzewam, że siedzą w jakiejś piwnicy. Chodzi o pokazanie, że jednak nie są młotkiem, panie Lipwig. Te zakopane

czasem o tym zapominają. Wolne ich uczą. Ale proszę się nie martwić, przez resztę tygodnia nie muszą nawet spać.

– Czyli... pan Pompa też wkrótce będzie miał dzień wolnego? – spytał Moist.

– Oczywiście – potwierdziła panna Dearheart, a Moist zanotował to w pamięci pod nagłówkiem „warto wiedzieć”.

– Dobrze. Dziękuję.

Może zjemy dziś razem kolację? Moist zwykle nie miał kłopotów ze słowami, te jednak jakby przyłgnęły do języka. Panna Dearheart miała w sobie coś kolczastego, jak ananas. I coś w wyrazie jej twarzy mówiło: Nie istnieje nic, czym zdołałbyś mnie zaskoczyć; wiem o tobie wszystko.

– Coś jeszcze? – spytała. – Bo stoi pan tak z rozdziawionymi ustami...

– E... nie. Wszystko w porządku. Dziękuję – wymamrotał.

Uśmiechnęła się do niego i fragmenty Moista zamrowiły.

– No to niech pan idzie, panie Lipwig – powiedziała. – Niech pan rozjaśni ten świat jak promyk słońca.

* * *

Czterech z pięciu listonoszy było tymi, których pan Groat nazywał *horse de combat*, a w tej chwili parzyli herbatę w zapchanej listami klitce, dla żartu nazywanej pokojem wypoczynkowym. Aggy’ego odesłano do domu, kiedy już udało się podważyć szczęki buldoga zaciśnięte na jego nodze. Moist przysłał im kosz owoców. Kosz owoców zawsze jest odpowiedni.

W każdym razie zrobił wrażenie. Podobnie jak buldog. Ale trudno zaprzeczyć, że dostarczono trochę poczty. Trudno też zaprzeczyć, że listy były spóźnione o lata – ale ruszyły. Czulo się to w powietrzu. Gmach nie wydawał się już grobowcem.

Moist wycofał się do gabinetu i zajął kreatywnością.

– Herbaty, panie Lipwig?

Podniósł głowę znad biurka i spojrzał na odrobinę dziwną twarz Stanleya.

– Dziękuję, Stanley – powiedział, odkładając pióro. – Widzę, że tym razem udało ci się prawie całą utrzymać w kubku! Piękny wyczyn!

– Co pan rysuje, panie Lipwig? – Chłopak wyciągnął szyję. – Wygląda jak Urząd Pocztowy!

– Doskonale. Będzie na stemplu, Stanley. Popatrz tutaj... Co myślisz o pozostałych? – Wręczył mu resztę szkiców.

– Jej, niezły z pana rysownik, panie Lipwig. Ten wygląda całkiem jak Vetinari!

– To stempel za pensa – wyjaśnił Moist. – Skopiowałem jego wizerunek z jednopensówki. Herb miasta na dwupensowym, Morporkia z widłami na piątce, a Wieża Sztuk na dużym, jednodolarowym stemplu. Myślałem też o stemplu dziesięciopensowym.

– Bardzo ładne, panie Lipwig – przyznał Stanley. – Tyle szczegółów... Jak małe obrazy. Jak się nazywają te cienkie linie?

– Sianko. Dzięki temu bardzo trudno je podrobić. A kiedy list ze stemplem trafia do Urzędu Pocztowego, rozumiesz, bierzemy któryś ze starych gumowych stempli i przybijamy na nowym stemplu... Nie, lepiej nazwę je znaczkami, bo oznaczają opłacenie poczty, a stempel i tak trzeba przybić. Więc przybijamy na znaczku, żeby nie dało się go użyć drugi raz...

– No tak, bo one właściwie są jak pieniądze – stwierdził z satysfakcją chłopak.

– Słucham? – Moist znieruchomiał z kubkiem w drodze do ust.

– Jak pieniądze. Te znaczki są jakby pieniędzmi. Bo znaczek za pensa to właściwie pens, jeśli się zastanowić. Dobrze się pan czuje, panie Lipwig? Ma pan taką zabawną minę...

– E... co? – Moist z dziwnym, rozmarzonym uśmiechem wpatrywał się w ścianę.

– Dobrze się pan czuje, sir?

– Co? Och... Tak, tak, oczywiście. Hm... Potrzebny nam będzie większy znaczek? Jak myślisz? Może pięciodolarowy?

– Ha... Za te pieniądze można by wysłać gruby list aż do Czteriksów, panie Lipwig!

– Warto myśleć o przyszłości... Skoro już projektujemy znaczki i w ogóle...

Ale Stanley podziwiał teraz skrzynkę pana Robinsona. Była starym przyjacielem Moista. Nigdy nie używał aliasu „pan Robinson” – jedynie po to, by umieścić ją pod opieką jakiegoś półuczciwego kupca czy oberżysty, by nic jej nie zagroziło, nawet gdyby on sam musiał w pośpiechu opuścić miasto. Skrzynka taka była dla oszusta i fałszerza tym, czym dla włamywacza jest zestaw wytrychów – tyle że jej zawartością mógł otwierać ludzkie umysły.

Można ją było uznać za dzieło sztuki. Miała przegródki unoszące się i rozsuwające po otwarciu. Wewnątrz tkwiły pióra i atramenty, oczywiście, ale też małe słoiczki farb, pigmentów, barwników i rozpuszczalników. A także, złożone płasko, trzydzieści sześć rodzajów papieru, niektóre bardzo trudne do zdobycia. Papier jest ważny. Jeśli człowiek pomyli ciężar albo połysk, żaden talent nie zdoła już go ocalić. Łatwiej ujdzie brak opanowania pióra niż błąd w doborze papieru. Prawdę mówiąc, błędy przy piórze często lepiej działały niż cały tydzień pracowitych nocy, poświęconych na dokładne odtworzenie najdrobniejszych szczegółów. To dlatego, że coś w ludzkich mózgach zauważało jakiś niewielki detal, który nie jest taki, jak być powinien, a równocześnie uzupełniało elementy zasugerowane tylko kilkoma starannymi pociągnięciami. Postawa, sugestia i prezentacja są wszystkim, co się liczy.

Tak jak ze mną, pomyślał.

Ktoś zastukał do drzwi i otworzył je jednym ruchem.

- Tak? – rzucił Moist, nie patrząc. – Jestem zajęty projektowaniem pie... znaczków!
- Przyszła jakaś dama – wysapał Groat. – Z golemami!
- Aha, to pewnie panna Dearheart. – Moist odłożył pióro.
- Tak jest, sir. Powiedziała „Przełącz panu Promykowi, że przyprowadziłam mu listonoszy”, sir. Chce pan używać golemów jako listonoszy, sir?
- Tak. Czemu nie? – Moist spojrział na niego surowo. – Chyba nie przeszkadza panu pan Pompa?
- No nie, on jest w porządku – wymamrotał Groat. – Znaczy, sprzęta tutaj i zawsze okazuje szacunek... Mówię, co myślę, sir. Ludzie czasem dziwnie reagują na golem, sir, z tymi ich ognistymi oczami i w ogóle, i tym, że nigdy nie odpoczywają. Chłopcy nie będą chyba zachwyceni, sir, tyle tylko chciałem powiedzieć.
- Moist patrzył na niego... Golemy były dokładne, niezawodne i na bogów, słuchały poleceń. Będzie miał kolejną szansę, żeby panna Dearheart się do niego uśmiechnęła...
- Myśl o golemach! Golemy, golem, golem!
- Uśmiechnął się...
- Nawet jeśli udowodnię, że są prawdziwymi poczciarzami?

* * *

Dziesięć minut później golem Anghammarad przebił ręką skrzynkę na listy i kilka cali kwadratowych drewna.

- Poczta Doręczona – oznajmił i znieruchomiał. Oczy mu przygasły.

Moist obejrzał się na grupkę ludzkich listonoszy i skinął na zaimprovizowany Tor Listonosza, który ustawił w głównej hali.

– Zauważcie, panowie, zgniecioną wrotkę. Zauważcie stosik sproszkowanego szkła w miejscu, gdzie leżała butelka po piwie. Muszę też zaznaczyć, że pan Anghammarad cały czas miał na głowie worek.

- Tak, ale jego oczy wypaliły w nim dziury – zauważył Groat.

– Nic nie możemy poradzić na to, jacy zostaliśmy stworzeni – oświadczyła z godnością Adora Belle Dearheart.

– Muszę przyznać, że mocniej zabiło mi serce i cieplej się zrobiło na sercu, kiedy zobaczyłem, jak rozbija te drzwi – stwierdził starszy listonosz Bates. – To ich nauczy, żeby nie dawać kłapek tak nisko i takich ostrych.

– I żadnych kłopotów z psami – dodał Jimmy Tropes. – Nigdy nie wygrzą mu tyłka ze spodni.

- Czyli zgadzacie się, panowie, że golem nadaje się na listonosza? – spytał Moist.

Wszystkie twarze wykrzywiły się nagle, a listonosze odpowiedzieli chórem:

- To nie o nas chodzi, rozumie pan...

- ...ludzie dziwnie reagują na to... gliniane towarzystwo...
- ...całe to gadanie o odbieraniu pracy prawdziwym ludziom...
- ...nic nie mam przeciwko niemu, ale...

Umilkli, gdyż golem Anghammarad znowu zaczynał mówić. W przeciwieństwie do pana Pompy potrzebował czasu, żeby nabrać właściwej prędkości. A kiedy głos w końcu się wydobywał, zdawało się, że dobiega z bardzo dawna i bardzo daleka, jak szum morza w skamieniałej muszli.

- Kim Jest Listo Nosz? – zapytał.
- Posłańcem, Anghammaradzie – odpowiedziała panna Dearheart.

Moist zauważył, że do golemów mówiła inaczej – w jej głosie brzmiała prawdziwa czułość.

- Panowie – zwrócił się do listonoszy. – Wiem, co myślicie...
- Byłem Posłańcem – oznajmił Anghammarad.

Sposób mówienia miał inny niż pan Pompa, podobnie jak powierzchnię. Wyglądał niczym prymitywna układanka rozmaitych rodzajów gliny, od prawie czarnej przez czerwoną do jasnoszarej. Jego oczy, w przeciwieństwie do płomiennego blasku u innych golemów, jarzyły się głęboką rubinową czerwienią. Wyglądał staro. Więcej – budził uczucie starości, bił od niego chłód Czasu.

Na ramieniu, tuż powyżej łokcia, nosił metalowe pudełko na zardzewiałej metalowej obręczy, która plamiła glinę.

- Biegałeś z wiadomościami? – zapytał nerwowo Groat.
- Ostatnio Przekazywałem Dekrety Króla Heta z Thut – odparł Anghammarad.
- W życiu nie słyszałem o żadnym królu Hecie – mruknął Jimmy Tropes.
- Przypuszczam, Że To Dlatego, Iż Dziewięć Tysięcy Lat Temu Kraina Thut Zsunęła Się Pod Morskie Fale – wyjaśnił golem z powagą. – Tak Bywa.
- Niech to lichy... Masz dziewięć tysięcy lat?! – zdumiał się Groat.
- Nie. Mam Prawie Dziewiętnaście Tysięcy Lat, Będąc Zrodzony W Ogniu Przez Kapłanów Upsy W Trzecim Ningi Strzyżenia Kozła. Dali Mi Głos, Bym Mógł Przenosić Wiadomości. Tak Już Zbudowany Jest Ten Świat..
- O nich też nie słyszałem – stwierdził Tropes.
- Upsa Została Zniszczona Wskutek Wybuchu Mount Shiputu. Spędziłem Dwa Stulecia Pod Górą Pumeksu, Zanim Usunęła Ją Erozja. Po Czym Zostałem Posłańcem Dla Królów Rybaków Ze Świętego Ultu. Mogło Być Gorzej.
- Musiał pan wiele widzieć – wtrącił podniecony Stanley.
- Lśniące oczy zwróciły się ku niemu, oświetliły twarz.
- Jeżowce. Widziałem Mnóstwo Jeżowców. I Strzykwy. I Żeglujące Martwe Statki. Raz Spadła Kotwica. Wszystko Mija.
- Jak długo siedziałeś pod wodą? – spytał Moist.

– To Było Prawie Dziewięć Tysięcy Lat.
– Znaczący... tak po prostu siedziałeś?
– Nie Otrzymałem Instrukcji, By Czynić Inaczej. Słyszałem Nad Sobą Pieśni Wielorybów. Było Ciemno. A Potem Była Sieć I Wznoszenie, I Światło. Tak Się Zdarza.
– A nie było ci... no wiesz, nudno? – zapytał Groat.
Listonosze milczeli.
– Nudno? – powtórzył tępo Anghammarad i zwrócił spojrzenie ku panie Dearheart.
– On nie ma pojęcia, o czym pan mówi – wyjaśniła. – Żaden z nich tego nie rozumie. Nawet te młodsze.
– Spodziewam się więc, że z radością zaczniesz znowu roznosić wiadomości – rzekł Moist bardziej jowialnie, niż zamierzał.
Golem znów spojrzał na pannę Dearheart.
– Z Radością? – zapytał.
Westchnęła.
– Następny trudny termin, panie Lipwig. Najbliższe pojęcie, jakie potrafię podać, to: zaspokoisz imperatyw wykonania ukierunkowanego działania.
– Tak – zgodził się golem. – Wiadomość Musi Zostać Przekazana. Tak Zostało Zapisane W Moim Chemie.
– Chem to taki zwój w głowie, na którym są zapisane instrukcje dla golema – wyjaśniła panna Dearheart. – W przypadku Anghammarada to gliniana tabliczka. W tamtych czasach nie znano jeszcze papieru.
– Naprawdę przenosiłeś wiadomości dla królów? – spytał Groat.
– Wielu Królów – potwierdził Anghammarad. – Wielu Imperatorów. Wielu Bogów. Wszyscy Odeszli. Wszystko Mija. – Głos golema zabrzmiał głębiej, jak gdyby cytował z pamięci. – Ani Potop, Ani Burza Lodowa, Ani Czarna Cisza Dolnych Kręgów Piekła Nie Zatrzymają Posłańców Świętej Sprawy. Ale Nie Pytaj Nas O Tygrysy Szabłożeńne, Smoliste Otchłanie, Wielkie Zielone Stwory Z Zębami Ani O Boginię Czol.
– Mielście wtedy wielkie zielone stwory z zębami? – zdziwił się Tropes.
– Większe. Zieleńsze. Miały Więcej Zębów – zadudnił Anghammarad.
– A bogini Czol? – zainteresował się Moist.
– Nie Pytaj.
Zapadło nerwowe milczenie. Moist wiedział, jak je przerwać.
– I wy chcecie decydować, czy on jest poczciarzem? – zapytał cicho.
Listonosze naradzali się przez chwilę, po czym odezwał się Groat.
– Z niego jest prawdziwy poczciarz i jeszcze połowa, panie Lipwig – oświadczył. – Nie wiedzieliśmy. Chłopcy uważają... no, że to będzie zaszczyt, pracować razem z nim. Znaczący, to jakby... jakby historia, sir. Takie... no...

– Zawsze powtarzałem, że nasz zakon sięga daleko w przeszłość, prawda? – dodał Jimmy Tropes, promieniejąc z dumy. – Listonosze działali już u zarania czasu! Kiedy inne tajne stowarzyszenia się dowiedzą, że mamy członka, który pochodzi z samego początku, pozielenią jak... jak...

– Coś wielkiego z zębami? – odpowiedział Moist.

– Właśnie. I z jego kumplami też nie będzie kłopotu, jeśli tylko umieją słuchać poleceń – dodał Groat wielkodusznie.

– Dziękuję, panowie – rzekł Moist. – Teraz pozostaje tylko... – Skinął na Stanleya, który podniósł dwie duże puszkę farby. – Pozostaje sprawa ich mundurów.

Za ogólną zgodą Anghammarad otrzymał wyjątkową rangę bardzo starszego listonosza. Wydawało się to... sprawiedliwe.

* * *

Pół godziny później, wciąż trochę się lepiąc, każdy w towarzystwie ludzkiego listonosza, golemi wyszły na ulice. Moist obserwował, jak ludzie odwracają za nimi głowy. Popołudniowe słońce migotało na królewskim błękitnie, a Stanley – niech bogowie mu to wynagrodzą – znalazł też małą puszkę złotej farby. Golemy naprawdę wyglądały imponująco. Aż lśniły.

Trzeba dać ludziom przedstawienie. Dać im przedstawienie, a są już prawie tam, gdzie chciało się ich doprowadzić.

– Listonosz tak runął, jak wilk spada na trzody, złotem, lazurem kohort parł i miażdżył przeszkody...

Przez jedną chwilę, jedno mgnienie Moist myślał: Zdradziłem się, ona wie. Skądś wie. A potem jego mózg znów zaczął działać. Odwrócił się do panny Dearheart.

– Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że kohorta to element zbroi, panno Dearheart. – Uśmiechnął się. – Wyobrażałem sobie, jak żołnierze czyszcza je przez całą noc...

– Słodkie. – Pana Dearheart zapaliła papierosa. – Obiecuję, że jak najszybciej przyślę pozostałe golemi. Oczywiście mogą być kłopoty. Ale straż będzie po pańskiej stronie. Mają u siebie wolnego golema i jest dość lubiany. Chociaż tutaj nie ma wielkiego znaczenia, z czego kto jest zrobiony, kiedy wstępuje do straży, bo komendant Vimes dopilnuje, żeby stał się solidnym... no tak, gliną. To najbardziej cyniczny drań, jakiego nosi ta ziemia.

– Myśli pani, że jest cyniczny?

– Tak. – Dmuchnęła dymem. – I jak pan podejrzewa, to praktycznie zawodowa opinia. Ale dziękuję, że zatrudnił pan chłopców. Nie jestem pewna, czy rozumieją, co znaczy lubić coś, ale lubią pracować. A Pompa 19 chyba dosyć pana szanuje.

– Dziękuję.

– Osobiście uważam, że jest pan oszustem.

– Tak, spodziewałem się, że tak pani pomyśli.

Na bogów, panna Dearheart wymagała ciężkiej pracy. Spotykał już kobiety, których nie potrafił oczarować, ale były niczym podnóża gór wobec lodowatych szczytów Mount Dearheart. To była tylko rola. Musiała być. To była gra. Musiała być.

Wyjął pakiet projektów znaczków.

– Co pani o nich myśli, panno De... A właściwie jak nazywają panią przyjaciele, panno Dearheart?

W myślach powiedział do siebie „Nie wiem” dokładnie w chwili, kiedy ona odparła:

– Nie wiem. Co to jest? Nosi pan ze sobą swoje ryciny, żeby nie tracić czasu?

Czyli to gra, a on był zaproszony do udziału.

– Mam nadzieję, że to będą miedzioryty – odparł potulnie. – Zaprojektowałem nowe znaczki.

Wyjaśnił jej ideę, a ona przejrzała rysunki.

– Niezły Vetinari – pochwaliła. – Mówią, wie pan, że farbuje włosy. A co to takiego? Ach, Wieża Sztuk... Jak bardzo po męsku. Dolar, tak? Hmm... Owszem, są całkiem dobre. Kiedy zaczniecie ich używać?

– Właściwie to skoro chłopcy są w terenie, zamierzałem wybrać się do Teemera i Spoolsa, by omówić z nimi druk.

– Dobrze. To porządna firma. Śluzą 23 napędza ich maszyny. Utrzymują go w czystości i nie przylepiają na nim notatek. Wie pan, co tydzień odwiedzam i sprawdzam wszystkie zatrudnione golemy. Wolnym bardzo na tym zależy.

– Chcą mieć pewność, że nie są źle traktowane? – zapytał Moist.

– Chcą mieć pewność, że nie będą zapomniane. Zdziwiłby się pan, ile firm w mieście ma golema pracującego gdzieś na zapleczu. Ale nie Wielki Pień – dodała. – Nie pozwoliłabym im tam pracować. – W jej głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

– Ee... dlaczego nie? – zdziwił się Moist.

– Nawet golemy nie powinny pracować w tym gównie – odparła. – To istoty moralne.

No dobrze, pomyślał Moist. Trafiliśmy w jakiś drażliwy punkt...

– Czy zjadłaby pani dziś kolację? – udało mu się powiedzieć.

Przez ułamek sekundy panna Dearheart była zaskoczona. Potem jej wrodzony cynizm znowu się nadał.

– Chciałabym jeść kolację codziennie. Z panem? Nie. Mam sporo zajęć. Dziękuję za zaproszenie.

– Żaden kłopot – zapewnił Moist z odrobiną ulgi.

Rozejrzała się po hali pełnej ech.

– Czy to pomieszczenie nie przyprawia pana o dreszcze? Może pomogłyby tu kwieciste tapety i bomba zapalająca?

– Wszystko zostanie posortowane – zapewnił. – Ale lepiej zacząć działać możliwie jak najszybciej. Pokazać ludziom, że wracamy.

Przyglądali się, jak Stanley z Groatem cierpliwie sortują na brzegu stosu, jak poszukiwacze skarbów u stóp pocztowej góry. Przy białych kopcach wydawali się tacy mali.

– Całą wieczność zajmie wam doręczenie tych listów, wie pan? – Panna Dearheart odwróciła się do wyjścia.

– Tak, wiem – odparł Moist.

– Ale to właśnie jest główna cecha golemów. – Zatrzymała się jeszcze w progu. – Nie obawiają się wieczności. Niczego się nie obawiają.

Rozdział siódmy

Grobowiec słów

*Wynalazek dziurki – Pan Lipwig opowiada – Mag w słoiku – Dyskusja o tyłach lorda
Vetinariego – Obietnica doreczenia – Borys pana Hobsona*

Pan Spools w swoim zabytkowym, pachnącym olejem i tuszem gabinecie znalazł się pod wrażeniem tego niezwykłego człowieka w złocistym stroju i czapce ze skrzydełkami.

– Muszę przyznać, że zna się pan na papierze, panie Lipwig – stwierdził, kiedy Moist przerzucał próbki. – To przyjemność spotkać klienta, który wie, o czym mówi. Zawsze powtarzam, że papier trzeba dobrać odpowiedni do funkcji.

– To ważne, by znaczki były trudne do podrobienia – wyjaśnił Moist. – Z drugiej strony jednak cena druku pensowego nie może nawet się zbliżyć do pensa!

– Rozwiązaniem są tutaj znaki wodne, panie Lipwig.

– Ale znaki wodne nie są niemożliwe do sfalszowania – stwierdził Moist. – Tak przynajmniej słyszałem.

– Och, znamy wszystkie sztuczki, panie Lipwig, może mi pan wierzyć – uspokoił go Spools. – Mamy najnowocześniejszą technikę. Stopy chemiczne, cieniowanie thaumiczne, tusze terminowe, wszystko. Wykonujemy papier, grawerunek, a nawet druk dla wiodących postaci tego miasta, choć oczywiście nie wolno mi zdradzić, kim są.

Usiadł wygodniej w wytartym skórzanym fotelu i przez chwilę pisał coś w notatniku.

– No więc możemy zrobić dla pana dwadzieścia tysięcy znaczków pensowych, papier zwykły, z warstwą kleju, po dwa dolary za tysiąc plus matryca – zaproponował pan Spools. – Dziesięć pensów mniej za bezklejowy. Oczywiście będzie pan musiał znaleźć kogoś, kto je potnie.

– Nie da się tego zrobić jakąś maszyną?

– Nie, panie Lipwig. Nie zadziała, nie na takie małe kawałki.

Moist wyjął z kieszeni i pokazał mu skrawek brązowego papieru.

– Poznaje pan to, panie Spools?

– Zaraz... to papier szpilkowy? – Spools uśmiechnął się szeroko. – Wracają wspomnienia z dzieciństwa... Wciąż mam gdzieś na strychu swoją starą kolekcję. Zawsze myślałem, że byłaby warta dolara czy dwa, gdybym tylko...

– Niech pan spojrzy, panie Spools...

Moist ostrożnie chwycił papier. Stanley był niemal boleśnie precyzyjny przy wbijaniu szpilek, nawet z mikrometrem nie można by zrobić tego lepiej.

Bardzo powoli papier rozdarł się wzdłuż linii dziurek. Moist zerknął na Spoolsa i uniósł brwi.

– Te dziurki są ważne – powiedział. – Niczego nie będzie, jeśli nie będzie dziurek...

Minęły trzy godziny. Posłano po majstrów. Poważni mężczyźni w roboczych kombinezonach zakręcili tokarkami, inni ludzie zlutowali jakieś elementy, wypróbowali je, zmienili coś, rozwiercili coś jeszcze, potem rozłożyli małą ręczną prasę i złożyli ją w inny sposób. Moist krążył na peryferiach tej krzątaniny, wyraźnie znudzony, a poważni mężczyźni majstrowali, mierzyli, przebudowywali, dopasowywali, obniżali fragmenty, podwyższali fragmenty, aż w końcu, pod okiem Moista i pana Spoolsa, oficjalnie wypróbowali przerobioną prasę...

Klink!...

Moist miał wrażenie, że wszyscy wstrzymują oddech tak intensywnie, że nawet okna wyginają się do wnętrza. Wyciągnął rękę i podniósł z tacy arkusz małych perforowanych prostokątów.

Oderwał jeden znaczek...

Okna odskoczyły. Ludzie znów zaczęli oddychać. Nie było oklasków. Ci mężczyźni nie należeli do takich, którzy klaszczą i krzyczą, kiedy dobrze wykonają swoją pracę. Zamiast tego zapalili fajki i pokiwali głowami.

Pan Spools i Moist von Lipwig uścisnęli sobie dłonie nad perforowanym arkuszem.

– Patent należy do pana, panie Spools – rzekł Moist.

– Bardzo pan uprzejmy, panie Lipwig. Naprawdę bardzo uprzejmy. Och, mam tu drobny prezencik...

Wszedł któryś z uczniów, niosąc arkusz papieru. Ku zdumieniu Moista już zadrukowany – bez kleju i bez perforacji, ale perfekcyjnymi miniaturowymi kopiami jego projektu jednopensowego znaczka.

– Rytownictwo ikonodemoniczne, panie Lipwig – wyjaśnił Spools, widząc jego minę. – Nikt nam nie zarzuci, że nie idziemy z duchem czasu. Oczywiście znajdzie pan pewnie kilka drobnych usterek, ale na początku przyszłego tygodnia...

– Pensowy i dwupensowy potrzebuję na jutro, panie Spools – rzekł Moist stanowczo. – Nie wymagam perfekcji, wymagam szybkości.

– Słowo daję, gorący z pana klient, panie Lipwig.

– Zawsze trzeba się spieszyć, panie Spools. Nigdy pan nie wie, kto pana dogania.

– Ha! No tak... Dobre motto, panie Lipwig. Bardzo ładne. – Pan Spools uśmiechnął się niepewnie.

– A na pojutrze pięciopensowe i dolarowe, bardzo proszę.

– Przypali pan sobie buty, panie Lipwig!

– Trzeba gnać, panie Spools, trzeba pędzić!

Moist ruszył z powrotem do Urzędu Pocztowego, tak szybko, jak było to przyzwyczajenie możliwe. Czuł się odrobinę zawstydzony.

Lubił Teemera i Spoolsa. Lubił firmy, gdzie można było naprawdę porozmawiać z człowiekiem, którego nazwisko wypisane jest nad wejściem – to znaczy, że prawdopodobnie nie prowadzą ich oszuści. Lubił też tych potężnych, solidnych, niewzruszonych robotników, dostrzegając w nich te wszystkie cechy, o których wiedział, że jemu brakuje – takie jak wytrwałość, solidarność i uczciwość. Nie da się okłamać tokarki albo oszukać młotka. To byli dobrze ludzie – nie tacy jak on...

Wiele ich różniło. Na przykład to, że w tej chwili prawdopodobnie żaden nie miał wciśniętych pod marynarkę plików kradzionego papieru.

Naprawdę nie powinien tak postępować, w żadnym razie. Tylko że pan Spools był człowiekiem łagodnym i pełnym entuzjazmu, a jego biurko zasypane przykładami jego wspaniałych produktów... I podczas konstrukcji prasy perforującej ludzie krzżeli się przy niej i nikt właściwie nie zwracał na Moista uwagi, więc... trochę posprzątał. Nie potrafił się opanować. Był oszustem. Czego właściwie Vetinari się spodziewał?

Kiedy wszedł do budynku, listonosze zaczęli wracać ze swoich rejonów. Pan Groat czekał na niego z zakłopotanym uśmiechem na twarzy.

– Jak poszło, inspektorze pocztowy? – zapytał wesoło Moist.

– Całkiem dobrze, sir, całkiem dobrze. Mamy dobre wieści, sir. Ludzie dawali nam listy do nadania, sir. Jeszcze niewiele, a niektóre z nich są trochę, no... żartobliwe, ale za każdym razem dostaliśmy pensa. To siedem pensów, sir – dodał z dumą i podał monety.

– No świetnie, nie będziemy dzisiaj głodować... – Moist wziął pieniądze i schował listy do kieszeni.

– Przepraszam, sir...

– Nic takiego, panie Groat. Brawo. Ale... Mówił pan, że ma dobre wieści. Czy są też może wieści jakiegoś innego rodzaju...?

– Uhm... Niektórzy nie byli zadowoleni, że dostali listy, sir.

– Trafiały do nieodpowiednich drzwi?

– Ależ nie, sir. Ale stare listy nie zawsze są radośnie przyjmowane. Nie wtedy, kiedy są... co się zdarza... wołą. Wołą. Taką ostatnią wołą i testamentem, sir – wyjaśnił z naciskiem. – Kiedy się okazuje, że dwadzieścia lat temu bizuterię po mamie dostała niewłaściwa córka. Tak właśnie.

– Ojoj... – wystraszył się Moist.

– Trzeba było wezwać straż, sir. Nastąpiło to, co w gazetach nazywają „zamętem” przy Tkackiej, sir. W pana gabinecie czeka dama, sir.

– O bogowie, chyba nie któraś z córek?!

– Nie, sir. To dama pisząca w „Pulsie”. Nie można im ufać, chociaż drukują bardzo sensowną krzyżówkę, sir – dodał Groat konspiracyjnym szeptem.

– A do czego jestem jej potrzebny?

– Trudno powiedzieć, sir. Ale to pewnie dlatego, że pan jest poczmistrzem.

– Proszę iść i... zrobić jej herbaty albo coś, dobrze? – Moist poklepał się po kieszeniach. – A ja tylko... jakoś się ogarnę.

Dwie minuty później, kiedy skradzione papiery zostały już bezpiecznie ukryte, Moist wkroczył do swojego gabinetu.

Pan Pompa stał przy drzwiach, z przygaszonymi płomiennymi oczami, w postawie golema niemającego obecnie innych zadań poza istnieniem. Kobieta siedziała na krześle przy biurku.

Zmierzył ją wzrokiem. Atrakcyjna, istotnie, choć ubrana tak, by pozornie tę atrakcyjność zamaskować, a w rzeczywistości dyskretnie wzmocnić. Z jakiegoś niepojętego powodu w mieście znów w modzie były krynoliny, ale jedynym ustępstwem tej damy wobec mody była niewielka turniura, nadająca jej nieco zawiadacki wygląd, a niewymagająca noszenia dwudziestu siedmiu funtów niebezpiecznie napiętej sprężynowo bielizny. Pani z „Pulsu” włosy miała jasne, upięte w siatce – kolejne przemyślane pociągnięcie, a nieduży, dyskretnie modny kapelusik tkwił jej na głowie bez żadnego konkretnego celu. Dużą torbę na ramię ustawiła obok krzesła, notatnik położyła na kolanie... Na palcu miała ślubną obrączkę.

– Pan Lipwig? – spytała energicznie. – Nazywam się Cripslock. Panna Cripslock. Z „Pulsu”.

No dobrze... Obrączka, a jednak „panna”, myślał Moist. Obchodzić się ostrożnie. Prawdopodobnie ma Poglądy. Nie próbować całowania w rękę.

– A jak mógłbym pomóc „Pulsowi”? – zapytał.

Usiadł i rzucił jej wcale nie protekcyjny uśmiech.

– Czy zamierza pan doręczyć całą zaległą pocztę, panie Lipwig?

– Jeśli to możliwe, tak.

– Dlaczego?

– To moja praca. Deszcz, śnieg, mrok nocy, tak jak jest napisane nad wejściem.

– Słyszał pan o burdzie przy ulicy Tkackiej?

– Słyszałem, że to zamęt...

– Obawiam się, że sytuacja się pogorszyła. Kiedy stamtąd odchodziłam, palił się dom. Czy to pana nie martwi?

Ołówek panny Cripslock zawisł nagle nad papierem. Twarz Moista pozostała całkiem bez wyrazu, chociaż myślał wściekle intensywnie.

– Martwi, oczywiście – przyznał. – Ludzie nie powinni podpalać domów. Ale wiem również, że pan Parker z Gildii Kupców w sobotę bierze ślub ze swoją młodzieńczą miłością. Wiedziała pani o tym?

Panna Cripslock nie wiedziała, ale notowała pracowicie, gdy Moist opowiadał jej historię listu do sklepikarza.

– To bardzo ciekawe – stwierdziła. – Zaraz pójdę z nim porozmawiać. Czyli uważa pan, że doręczanie starych listów to dobry uczynek?

– Doręczanie listów to jedyny możliwy uczynek... – Moist znów się zawahał. Na samej granicy słyszalności rozbrzmiewały szepty.

– Jakiś problem? – spytała panna Cripslock.

– Co? Nie! O czym to ja... A tak, to właściwy uczynek. Nie możemy odrzucić własnej historii, panno Cripslock. A jesteśmy gatunkiem, który się komunikuje, panno Cripslock. – Moist podniósł głos, by zagłuszyć szepty. – Poczta musi dotrzeć do celu! Musi być doręczona!

– Ehm... nie musi pan krzyżeć, panie Lipwig – powiedziała i odsunęła się nieco.

Moist spróbował się opanować. Szepty trochę przycichły.

– Przepraszam – powiedział i odchrząknął. – Tak, zamierzam dostarczyć całą tę pocztę. Jeśli adresaci się przeprowadzili, spróbujemy ich odszukać. Jeśli umarli, spróbujemy doręczyć listy ich potomkom. Listy będą doręczone. Powierzono nam ich doręczanie i doręczać je będziemy. Co jeszcze moglibyśmy z nimi zrobić? Spalić je? Wyrzucić do rzeki? Otworzyć, żeby zdecydować, które są ważne? Nie. Listy powierzono naszej opiece. Doręczenie ich to jedyne rozwiązanie.

Szepty prawie całkiem zamilkły, więc mówił dalej już spokojniej.

– Poza tym potrzebujemy miejsca. Urząd Pocztowy znów się odrodzi! – Wyjął arkusz znaczków. – Z tym!

Przyjrzała się zdziwiona.

– Małe portreciki lorda Vetinariego?

– To znaczki, panno Cripslock. Jeden taki, przyklejony do listu, zagwarantuje doręczenie gdziekolwiek w granicach miasta. To arkusz próbny, ale od jutra będziemy je sprzedawać, perforowane i pokryte klejem dla łatwości użytkowania. Zamierzam uprościć korzystanie z usług pocztowych. To jasne, wciąż staramy się zorientować w sytuacji, ale już wkrótce zamierzamy dostarczać listy każdemu, w dowolnym punkcie na świecie.

To było głupie, ale język przejął nad nim władzę.

– Jest pan bardzo ambitny, panie Lipwig – zauważyła.

– Przykro mi, nie potrafię być inny.

– Wydawało mi się, że mamy teraz sekary.

– Sekary? – powtórzył Moist. – Nie zaprzeczę, że sekary to wspaniały wynalazek, jeśli chce pani poznać dane z rynku krewetek w Genoi. Ale czy na sekarach wypisze pani Z.P.?

Zapieczętuję pani sekary pocałunkiem? Czy zrosi pani sekary łzami, może je pani powąchać, dołączyć zasuszony kwiat? List to coś więcej niż sama wiadomość. A sekary są tak drogie, że przeciętny człowiek z ulicy może z trudem pozwolić sobie na nie tylko w chwili kryzysu. DZIADEK UMARŁ POGRZEB WTO. Dzienny zarobek, by wysłać wiadomość tak pełną emocji i ciepła jak ciśnięty nóż? Za to list jest prawdziwy.

Urwał. Panna Cripslock notowała jak szalona, a to zawsze niepokojące, widzieć, że dziennikarz zaczyna się nagle bardzo interesować tym, co człowiek mówi... Zwłaszcza jeśli człowiek sam podejrzewa, że to wszystko stos gołębiego guana.

A jeszcze gorzej – kiedy dziennikarz się uśmiecha.

– Ludzie narzekają, że sekary stają się coraz droższe, wolne i zawodne – powiedziała panna Cripslock. – Co pan o tym sądzi?

– Mogę tylko powiedzieć, że dzisiaj zatrudniliśmy listonosza, który ma osiemnaście tysięcy lat. On nie popsuje się tak łatwo.

– A tak. Golemy. Niektórzy uważają...

– Jak pani na imię, panno Cripslock? – przerwał jej Moist.

Kobieta zarumieniła się, a po chwili powiedziała:

– Sacharissa.

– Dziękuję. Ja jestem Moist. Proszę się nie śmiać. Golemy... Śmiejesz się, Sacharisso...

– To był tylko kaszel, naprawdę... – Reporterka uniosła dłoń do ust i zakaszła nieprzekonująco.

– Przepraszam, brzmiało to trochę jak śmiech. Sacharisso, potrzebni mi listonosze, urzędnicy za ladą, sorterzy... Potrzebuję wielu ludzi. Listy musi się przemieszczać. Potrzebuję ludzi, którzy pomogą mi je przemieścić. Jakichkolwiek ludzi. Ach, dziękuję ci, Stanley.

Chłopak wszedł z dwoma niedopasowanymi kubkami herbaty. Na jednym przedstawiono wzruszającego kociaka, jednak przypadkowe kolizje w misce do zmywania porysowały go tak, że miał teraz wyraz mordki zwierzaka w końcowym stadium wściekliwości. Drugi kubek żartobliwie informował cały świat, że kliniczny obłęd nie jest konieczny do zatrudnienia, jednak większość słów wyblakła, pozostało:

NIE MUSISZ BYĆ SZALONY, ŻEBY TU PRACOWAĆ, ALE TO POMAGA

Ostrożnie postawił je na biurku Moista. Stanley wszystko robił ostrożnie.

– Dziękuję – powtórzył Moist. – Ehm... Możesz już iść, Stanley. Pomóż przy sortowaniu, co?

– W hali jest wampir, panie Lipwig – oznajmił chłopak.

– To pewnie Otto – wyjaśniła szybko Sacharissa. – Nie ma pan... nic przeciw wampirom, prawda?

– Skąd! Jeśli ma dwie ręce i potrafi chodzić, mogę mu dać pracę!

– Już ma. – Sacharissa roześmiała się wesoło. – To nasz naczelny ikonografik. Robił obrazki pańskich ludzi przy pracy. Bardzo nam zależy również na pańskim. Na pierwszą stronę.

– Co? Nie! – zawołał Moist. – Proszę! Nie!

– Otto jest bardzo dobry!

– Tak, ale... ale... ale... – zaczął Moist, a w jego umyśle dalszy ciąg tego zdania brzmiał: ale nie sądzę, żeby nawet talent wyglądanego jak co drugi człowiek z ulicy wystarczy wobec obrazka.

To, co powiedział rzeczywiście, brzmiało jednak:

– Nie chcę być wyróżniony spośród wszystkich ciężko pracujących mężczyzn i golemów, dzięki którym Urząd Pocztowy znowu staje na nogi! W końcu w zespole nie ma „ja”, prawda?

– Właściwie jest – uznała Sacharissa. – Poza tym to właśnie pan nosi czapkę ze skrzydełkami i złoty strój. Niech pan nie przesadza, panie Lipwig.

– No dobrze już, dobrze. Nie chciałem mówić, ale religia mi na to nie pozwala – powiedział Moist, który miał czas, żeby się trochę zastanowić. – Zakazuje nam wykonywania jakichkolwiek wizerunków. To niszczy część duszy.

– I pan w to wierzy? – zdumiała się Sacharissa. – Naprawdę?

– E... nie. Oczywiście nie. Nie tak na poważnie. Ale... ale nie można traktować wiary jak swego rodzaju bufetu, prawda? Znaczący, nie można powiedzieć: tak, proszę, wezmę trochę Niebiańskiego Raju i porcję Boskiego Planu, ale tylko odrobinka klęczenia, a z Zakazu Tworzenia Wizerunków całkiem zrezygnuję, mam po nim wzdęcia. To *table d'hôte* albo nic, inaczej, no... inaczej byłoby głupio.

Panna Cripslock przyglądała mu się, przechyliwszy głowę na ramię.

– Pracuje pan dla jego lordowskiej mości, prawda?

– Tak, oczywiście. To oficjalne stanowisko.

– I pewnie powie mi pan, że poprzednio pracował jako urzędnik, nic specjalnego?

– Zgadza się.

– Chociaż chyba naprawdę nazywa się pan Moist von Lipwig, bo nie uwierzę, że ktoś wybrałby sobie takie przybrane nazwisko.

– Bardzo dziękuję!

– Brzmi to dla mnie tak, jakby rzucał pan wyzwanie, panie Lipwig. Ostatnio mieliśmy najróżniejsze kłopoty z sekarami. Pewne sprawy zaczęły śmierdzieć... zwalniają ludzi, a ci, którzy zostali, muszą zapracowywać się na śmierć... I nagle pan pojawia się jak znikąd, pełen pomysłów.

– Nie żartuję, Sacharisso, ludzie już teraz dają nam listy do dostarczenia. – Wyjął je z kieszeni i rozłożył. – O proszę, to jest jeden do Sióstr Dolly, jeden na Nastroszone Wzgórze, ten do... Ślepego Io...

– Jest bogiem – zauważyła. – Możecie mieć problem.

– Nie – odparł stanowczo Moist, chowając listy do kieszeni. – Doręczamy nawet samym bogom. Io ma w mieście trzy świątynie. To łatwe.

I zapomniałaś o obrazkach, hurra...

– Widzę, że jest pan człowiekiem pomysłowym. Proszę mi zdradzić, panie Lipwig, czy wie pan coś o historii tego gmachu?

– Niezbyt wiele. Na pewno chciałbym odkryć, gdzie się podziały kandelabry.

– Nie rozmawiał pan z profesorem Pelcem?

– A kto to taki?

– Jestem zaskoczona. Pracuje na uniwersytecie. Poświęcił temu budynkowi cały rozdział w swojej książce o... no, chodziło o wielkie masy pisma myślące samodzielnie. Przypuszczam, że słyszał pan o ludziach, którzy tutaj zginęli?

– O tak.

– On twierdził, że ta poczta w jakiś sposób doprowadziła ich do obłądu. Chociaż właściwie my tak napisaliśmy. To, co on twierdził, było o wiele bardziej skomplikowane. Muszę panu przyznać, panie Lipwig, że przyjęcie stanowiska, które zabiło wcześniej czterech ludzi, wymaga niezwykłych cech charakteru.

Owszem, pomyślał Moist. Ignorancji.

– Czy zauważył pan coś niezwykłego?

No więc myślę, że moje ciało przeniosło się w czasie, ale podeszwy nie, chociaż nie jestem pewien, ile z tego było halucynacją; o mało co nie zabiła mnie lawina pocztowa, a listy do mnie przemawiają... – tak brzmiały słowa, których Moist nie wypowiedział, bo nie są to rzeczy, które człowiek mówi do otwartego notatnika.

W rzeczywistości powiedział więc tylko:

– Ależ nie. To piękny stary budynek i zamierzam przywrócić go do dawnej chwały.

– Dobrze. Ile pan ma lat, panie Lipwig?

– Dwadzieścia sześć. Czy to ważne?

– Lubimy być dokładni. – Panna Cripslock uśmiechnęła się słodko. – Poza tym przyda się to, gdybyśmy mieli pisać pański nekrolog.

* * *

Moist z Groatem usiłującym dotrzymać mu kroku przeszedł przez halę. Wyjął listy z kieszeni i wcisnął w pomarszczone dłonie inspektora pocztowego.

– Proszę je doręczyć. Adresowane do bogów trafiają do świątyni adresata. Inne dziwne przesyłki proszę zostawić mi na biurku.

– Zebraliśmy następne piętnaście, sir. Ludzie uważają, że to zabawne!

– Dali pieniądze?

– Tak, sir.

– Czyli to my śmiejemy się ostatni – oświadczył Moist stanowczo. – Niedługo wrócę. Idę się spotkać z czarnoksiężnikiem.

* * *

Zgodnie z prawem i tradycją, wielka Biblioteka Niewidocznego Uniwersytetu jest otwarta dla publiczności, choć publiczność nie ma prawa wstępu do magicznych półek. Nie zdaje sobie jednak z tego sprawy, ponieważ prawa czasu i przestrzeni ulegają wewnątrz deformacji, więc setki mil regałów łatwo daje się ukryć w przestrzeni mniej więcej grubości farby.

Mimo to ludzie przychodzą tu często, szukając odpowiedzi na pytania, na które tylko bibliotekarze zdolni są odpowiedzieć, takie jak „Czy tu jest pralnia?”, „Jak się pisze trzcina?” oraz regularnie „Macie taką książkę, którą kiedyś czytałem? Była w czerwonych okładkach, a na końcu się okazało, że to bliźniaki”.

I w ścisłym sensie, biblioteka miała tę książkę... gdzieś na półkach. Gdzieś na półkach miała każdą książkę, jaką napisano, jaka zostanie napisana oraz, co ważne, każdą książkę, jaką można napisać. Te jednak nie leżą na publicznie dostępnych regałach, by nieuważne obchodzenie się z nimi nie spowodowało kolapsu wszystkiego, co tylko można sobie wyobrazić*.

Moist, jak każdy wchodzący, popatrzył w górę, na kopułę. Wszyscy to robili. I zawsze się zastanawiali, w jaki sposób Biblioteka – technicznie rzecz biorąc, nieskończonego rozmiaru – daje się przykryć kopułą o średnicy kilkuset stóp. Pozwalano, by zastanawiali się dalej.

Tuż poniżej kopuły spoglądały ze swoich wnęk posągi Cnót: Cierpliwość, Czystość, Małomówność, Szczodroblivość, Nadzieja, Tubso, Bisonomia* i Męstwo.

Moist nie mógł się powstrzymać przed zdjęciem czapki i przesłaniem salutu Nadziei, której tak wiele zawdzięczał. Potem, kiedy się zastanowił, czemu Bisonomia trzyma kociołek i coś, co wygląda jak pęczek pasternaku, zderzył się z kimś, kto chwycił go za ramię i pociągnął za sobą.

– Proszę nie mówić ani słowa, ani słoweczka... Ale szuka pan książki, tak?

– No, ale właściwie...

Zgadywał, że wpadł w szpony maga.

* Znowu.

* Wiele kultur nie praktykuje ich w pośpiechu i krzątaniu współczesnego świata, nikt bowiem nie pamięta, czego dotyczą.

– ...nie jest pan pewien, jaka to książka! – dokończył mag. – Dokładnie. To zadanie bibliotekarza, by znaleźć właściwą książkę dla właściwej osoby. Jeśli zechce pan tu usiąść, będziemy kontynuować. Dziękuję. Proszę wybaczyć te pasy. To nie potrwa długo i jest praktycznie bezbolesne.

– Praktycznie?

Moist został wepchnięty w głąb dużego i skomplikowanego obrotowego fotela. Jego porywacz – czy też asystent albo jeszcze ktoś inny, kim mógłby się okazać – uśmiechnął się uspokajająco. Inne, niewyraźne postacie pomogły mu przypiąć Moista do fotela. Fotel, zasadniczo w klasycznym kształcie podkowy, ze skórzaną tapicerką, otaczała... aparatura. Część jej była wyraźnie magiczna, typu gwiazd i czaszek, ale co powiedzieć o słoiku korniszonów, kleszczach i żywej myszy w klatce zrobionej z...

Panika pochwyciła Moista... nieprzypadkowo w tej samej chwili, co para wyściełanych płytek, które zamknęły się na jego uszach. Tuż przed wytłumieniem wszystkich dźwięków usłyszał jeszcze:

– Może pan doświadczyć smaku jajek oraz wrażenia uderzenia w twarz jakimś rodzajem ryby. To całkowicie...

A potem nastąpił thlabber. To tradycyjny termin magiczny, choć Moist o tym nie wiedział. Najpierw przychodzi moment, kiedy wszystko – nawet rzeczy, które nie dają się rozciągać – wydaje się rozciągnięte. A potem moment, kiedy wszystko nagle wraca do stanu nierozciągnięcia – znany właśnie jako moment thlabberu.

Kiedy znów otworzył oczy, fotel stał odwrócony w drugą stronę. Zniknęły korniszony, kleszcze i mysz, ale pojawiło się wiadro homarów z ciasta oraz pamiątkowy zestaw szklanych oczu.

Moist przelknął ślinę i wymruczał:

– Sandacz.

– Naprawdę? – zdziwił się ktoś. – Większość ludzi mówi, że dorsz. Ale różne bywają gusta.

Jakieś ręce odpięły Moista i pomogły mu wstać. Należały do orangutana, lecz Moist powstrzymał się od komentarzy. W końcu był to uniwersytet magów.

Człowiek, który pchnął go na fotel, stał teraz przy biurku i wpatrywał się w jakieś magiczne urządzenie.

– Jeszcze chwilę... – powiedział. – Tylko chwileczkę. Lada sekunda...

Wiązka czegoś, co wyglądało na ogrodowe węże, prowadziła od biurka do ściany. Moist był pewien, że wybrzuszyły się na moment jak żywy wąż, który zjadł coś pospiesznie; maszyna zatrzęsła się i ze szczeliny wpadła karteczka.

– Aha... Już mamy. – Mag porwał ją szybko. – Tak. Książka, której pan szuka, to „Historia kapeluszy” F.G. Smallfingera. Mam rację?

– Nie. Właściwie to nie szukam książki...

– Na pewno? Mamy ich dużo.

Mag miał dwie rzucające się w oczy cechy. Jedna to... cóż, dziadek Lipwig powtarzał, że uczciwość człowieka można ocenić wedle rozmiaru jego uszu, a to był bardzo uczciwy mag. Druga to że broda, którą nosił, była ewidentnie fałszywa.

– Szukałem maga o nazwisku Pelc – wyjaśnił Moist.

Broda rozsunęła się nieco, odsłaniając uśmiech.

– Wiedziałem, że machina będzie działać! – zawołał mag. – Szuka pan właśnie mnie!

* * *

Tabliczka na drzwiach głosiła: „Ladislav Pelc, dr ph. mag., przedśmiertny profesor chorobliwej bibliomancji”. Po wewnętrznej stronie był hak, na którym mag powiesił swoją brodę.

To był gabinet maga, więc oczywiście miał czaszkę ze świecą w środku i wypchanego krokodyla pod sufitem. Nikt, a już najmniej magowie, nie wiedział dlaczego – ale należało go mieć.

Pokój był pełen książek i zbudowany z książek. Nie wstawiono tu żadnego typowego umeblowania, to znaczy, że biurko i krzesła złożono z książek. Chyba ostatnio ktoś często do nich zaglądał, gdyż leżały otwarte, z innymi książkami jako zakładkami.

– Zgaduję, że chce się pan czegoś dowiedzieć o swoim Urzędzie Pocztowym. – Pelc usiadł na stołku ze starannie poukładanych tomów od 1 do 41 synonimów słowa „tramp”.

– Tak, jeśli można – potwierdził Moist.

– Głosy? Dziwne zjawiska?

– Tak!

– Jak to ująć... – zadumał się Pelc. – Słowa mają moc, rozumie pan. Leży to w naturze wszechświata. Nasza Biblioteka sama w sobie odkształca czas i przestrzeń na wielką skalę. No więc, kiedy Urząd Pocztowy zaczął akumulować listy, zbierał słowa. I w efekcie powstało coś, co możemy nazwać gevaisą, czyli grobowcem żywych słów. Czy ma pan literackie zacięcie, panie Lipwig?

– Nie w ścisłym sensie...

Księgi były dla Moista zamkniętą księgą.

– A czy spaliłby pan książkę? – spytał Pelc. – Starą książkę, powiedzmy, podartą, prawie bez grzbietu, znaną w skrzyni z rupieciami?

– No... raczej nie – przyznał Moist.

– Dlaczego nie? Czy myśl o tym by pana niepokoiła?

– Tak, chyba tak. Książki są... no, nie robi się takich rzeczy. Eee... Czemu pan nosi sztuczną brodę? Myślałem, że magowie mają prawdziwe.

– Nie są obowiązkowe, wie pan, ale kiedy wychodzimy na zewnątrz, publiczność spodziewa się bród. To jak nosić gwiazdy na szacie. Poza tym latem w prawdziwej jest za gorąco. O czym to ja... Gevaisy. Tak. Wszystkie słowa mają jakąś moc. Czujemy to instynktownie. Niektóre, jak zaklęcia magiczne albo prawdziwe imiona bogów, mają jej bardzo dużo. Muszą być traktowane z szacunkiem. W Klatchu jest góra z licznymi jaskiniami, a w tych jaskiniach pogrzebano ponad sto tysięcy ksiąg, w większości religijnych, każdą w białym lnianym całunie. To może dość ekstremalne podejście, ale ludzie inteligentni zawsze wiedzieli, że przynajmniej niektórych słów należy się pozbywać z najwyższą ostrożnością i respektem.

– A nie pakować w workach do komórek... Ale chwileczkę! Pewien golem nazwał Urząd Pocztowy „grobowcem niewysłuchanych słów”.

– Wcale mnie to nie dziwi – zapewnił spokojnie profesor Pelc. – Stare gevaisy i biblioteki często zatrudniały golemów, ponieważ jedyne słowa, jakie miały moc wpływania na nie, to te w ich głowach. Słowa są ważne. A kiedy zbierze się je w masie krytycznej, zmieniają naturę wszechświata. Czy miał pan jakieś halucynacje?

– Tak. Cofnąłem się w czasie! Ale równocześnie byłem w teraźniejszości!

– To dość powszechne. Wiele słów ściśniętych razem oddziałuje na czasoprzestrzeń.

– I mówiły do mnie!

– Tłumaczyłem straży, że listy chcą być doręczone – rzekł mag. – Dopóki list nie zostanie przeczytany, nie jest zupełny. Zrobi wszystko, by dać się doręczyć. Ale one nie myślą tak, jak pan rozumie myślenie, i nie są sprytne. Po prostu sięgają do każdego dostępnego umysłu. Widzę, że został pan już zmieniony w awatar.

– Nie potrafię latać!

– Awatar: żywy wizerunek boga – tłumaczył cierpliwie profesor. – Czapka ze skrzydłami. Złoty strój...

– Nie, to się stało przypadkiem...

– Jest pan pewien?

Zapadła cisza.

– Hm... Byłem, aż do teraz.

– One nie próbują nikogo skrzywdzić, panie Lipwig. One tylko chcą dopełnienia.

– Nigdy nie zdołałem doręczyć ich wszystkich... To by zajęło lata.

– Na pewno pomoże sam fakt, że doręcza pan jakies. – Profesor Pelc uśmiechnął się jak lekarz, tłumaczący pacjentowi, że jego choroba jest śmiertelna tylko w osiemdziesięciu siedmiu procentach przypadków. – Co jeszcze mogę dla pana zrobić? – Wstał, dając do zrozumienia, że czas maga jest cenny.

– Chciałbym wiedzieć, dokąd trafiły kandelabry – wyznał Moist. – Dobrze byłoby je odzyskać. Symbolicznie, można powiedzieć.

– Tu panu nie pomogę, ale na pewno potrafi to zrobić profesor Goitre. Jest pośmiertnym profesorem chorobliwej bibliomancji. Możemy zajrzeć do niego w drodze do wyjścia. Jest w Spizarni Magów.

– Dlaczego pośmiertny? – zainteresował się Moist, gdy wyszli już na korytarz.

– Nie żyje – wyjaśnił Pelc.

– Miałem nadzieję, że to będzie bardziej metaforyczne...

– Proszę się nie martwić, zdecydował się na Przedwczesną Śmierć. To była bardzo dobra oferta.

– Ach! – westchnął Moist.

W takich chwilach bardzo ważne jest, by dostrzec właściwy moment do ucieczki. Niestety, dotarli tu przez labirynt mrocznych korytarzy, a uniwersytet nie był miejscem, gdzie człowiek chciałby się zgubić. Coś mogłoby go znaleźć...

Zatrzymali się przed drzwiami, zza których dobiegał przytłumiony gwar głosów i czasem brzęk szkła. Hałas urwał się, gdy tylko profesor Pelc pchnął drzwi – i trudno było zrozumieć, skąd się brał. Pomieszczenie okazało się rzeczywiście spizarnią, całkiem bezludną. Ściany miała zastawione półkami, a półki zastawione słoikami. A w każdym słoiku był mag.

Teraz należy uciekać, pomyślał Moist, kiedy Pelc zdjął słoik, odkręcił pokrywkę i sięgnął do środka po małego maga.

– Och, to nie on – uspokoił profesor, widząc wyraz twarzy gościa. – Gospodyni wkłada do środka te małe smaczki, by przypomnieć kucharkom, że nie wolno używać tych słoików do niczego innego. Był taki przykry incydent z masłem orzechowym... Muszę jednak wyjąć laleczkę, żeby nie tłumiała głosu.

– Ale... gdzie w takim razie jest profesor?

– Jest w słoiku, dla pewnej wartości „w”. Trudno to wytłumaczyć laikowi. Jest martwy tylko...

– ...dla określonej wartości „martwego”? – domyślił się Moist.

– Otóż to! I może wrócić, zgłaszając to z tygodniowym wyprzedzeniem. Wielu starszych magów wybiera takie rozwiązanie. Bardzo odświeżające, jak mówią, całkiem jak urlop naukowy. Tylko dłuższy.

– A dokąd odchodzą?

– Nikt nie jest właściwie pewien, ale słychać, jak dźwięczą tam sztuce. – Pelc uniósł słoik do ust. – Przepraszam, profesorze Goitre... Nie pamięta pan przypadkiem, co się stało z kandelabrami z Urzędu Poczтового?

Moist spodziewał się, że odpowie cienki metaliczny głosik, ale kilka cali od jego ucha rozległ się dźwięczny, choć starczy głos.

– Co? Ach... Tak, pewnie. Jeden skończył w gmachu Opery, a drugi nabyła Gildia Skrytobójców. Oho, serwują już pudding. Żegnam.

– Dziękuję, profesorze – rzekł z powagą Pelc. – Tutaj wszystko dobrze...

– Akurat mnie to obchodzi – burknął bezcielesny głos. – Nie przeszkadzaj, jemy!
– No to już pan wie – powiedział mag. Włożył z powrotem kukielkę i zakręcił słoik. – Opera i Gildia Skrytobójców. Mam wrażenie, że odzyskanie ich może być trudne.
– Tak, myślę, że odłożę to na dzień czy dwa. – Moist wyszedł na korytarz. – To niebezpieczni ludzie i lepiej z nimi nie zadzierać.
– Rzeczywiście. – Profesor zamknął drzwi, co było sygnałem, by znów zabrzmiał gwar rozmów. – Słyszałem, że niektóre soprały kopią jak muły...

* * *

Moist śnił o magach w słoikach. Wszyscy wykrzykiwali jego imię.
Według najlepszej tradycji budzenia się z koszmaru, wszystkie te głosy zwały się stopniowo w jeden, należący – jak się okazało – do pana Pompy, który Moistem potrząsał.
– Niektórzy byli cali umazani dżemem! – zawołał Moist i oprzytomniał. – Co jest?
– Panie Lipvig, Ma Pan Spotkanie Z Lordem Vetinarim.
Słowa dotarły do świadomości i zabrzmiały groźniej niż głosy magów w słoikach.
– Nie mam żadnego spotkania z lordem Vetinarim! Eee... mam?
– On Mówi, Że Tak, Panie Lipvig – odparł golem. – A Zatem Pan Ma. Wyjdziemy Przez Dziedziniec Dylizansów. Przed Frontowym Wejściem Zebrał Się Spory Tłum.
Moist znieruchomiał w trakcie wciągania spodni.
– Są rozgniewani? Czy niektórzy w tym tłumie niosą wiadra smoły? Pierze dowolnego rodzaju?
– Nie Wiem. Otrzymałem Instrukcje I Je Wykonuję. Radzę Panu Czynić Tak Samo.
Ponaglany Moist wyszedł na tylne uliczki, nad którymi wciąż unosiły się strzępy mgły.
– Która to godzina, na litość bogów? – poskarżył się.
– Za Piętnaście Siódma, Panie Lipvig.
– Przecież to jeszcze noc! Czy ten człowiek w ogóle nie sypia? Co jest takiego ważnego, że ściąga się mnie z mojego miękkiego i ciepłego stosu listów?

* * *

Zegar w przedpokoju Vetinariego nie tykał jak należy. Czasami „tik” było o ułamek sekundy spóźnione, czasami „tak” rozlegało się trochę za wcześnie. Z rzadka jedno albo drugie nie następowało wcale. Właściwie było to niezauważalne, dopóki człowiek nie przesiedział tu pięciu minut, gdyż po takim czasie niewielkie, ale znaczące fragmenty jego umysłu wpadały w obłąd.

Zresztą Moist w ogóle nie radził sobie z porankami. Na tym polegała jedna z zalet przestępczego życia – nie musiał wstawać, dopóki inni nie przewietrzyli dobrze ulic.

Sekretarz Drumknott wsunął się tak bezszelestnie, że jego obecność wywołała szok. Był chyba jednym z najcichszych ludzi, jakich Moist w życiu poznał.

– Napije się pan kawy, poczmistrzu? – zaproponował delikatnie.

– Czy mam kłopoty, panie Drumknott?

– Wolałbym tak nie mówić. Czytał pan dzisiejszy „Puls”?

– Azetę? Nie... Och...

Pamięć Moista pognała wściekle do wczorajszego wywiadu. Nie powiedział chyba nic niewłaściwego, prawda? Jedynie dobry, pozytywny przekaz, prawda? Vetinari chciał, żeby ludzie korzystali z poczty, prawda?

– Zawsze dostajemy kilka egzemplarzy prosto spod prasy – rzekł Drumknott. – Przyniosę panu jeden.

Wrócił z azetą. Moist rozłożył ją, w jednej chwili agonii ocenił pierwszą stronę, przeczytał kilka zdań, zasłonił oczy dłonią i jęknął:

– O bogowie!

– Zauważył pan rysunek, panie Lipwig? – zapytał niewinnie Drumknott. – Można uznać, że całkiem zabawny.

Moist zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na straszliwą stronę. Być może, w ramach nieświadomej samoobrony za pierwszym razem wzrok prześliznął się nad obrazkiem, przedstawiającym dwóch obdartych łobuziaków. Jeden z nich trzymał pasek pensowych znaczków. Tekst poniżej brzmiał:

Pierwszy urwis (który właśnie nabył kilka świeżo wydrukowanych „oznaczeń”): Patrz, widziałeś już tylną część lorda Vetinariego?

Drugi urwis: Nie, ale w życiu nie polizałbym go za pensa.

Twarz Moista stężała.

– On to widział?

– O tak, drogi panie.

Moist wstał szybko.

– Jest jeszcze wcześniej – stwierdził. – Pan Trooper zapewne nie zszedł jeszcze ze służby. Jeśli pobiegnę, zdoła mnie pewnie jeszcze dziś wcisnąć do rozkładu. Pójdę od razu. Tak będzie lepiej, prawda? Mniej papierkowej roboty. Nie chcę być dla nikogo ciężarem. Nawet...

– Ależ poczmistrzu, proszę się uspokoić... – Drumknott pchnął go delikatnie z powrotem na krzesło. – Doświadczenie mi mówi, że jego lordowska mość jest człowiekiem... złożonym. Nie warto przewidywać jego reakcji.

– Chce pan powiedzieć, że pańskim zdaniem będę żył?

Drumknott odchylił głowę i przez chwilę w zamyśleniu wpatrywał się w sufit.

– Hm... Tak. Tak, uważam, że to możliwe.

– Znaczy, na świeżym powietrzu? Ze wszystkimi fragmentami na miejscach?

– Bardzo prawdopodobne, drogi panie. Może pan już wejść.

Moist na palcach wsunął się do gabinetu Patrycjusza.

Tylko dłonie lorda Vetinariego były widoczne po obu stronach rozłożonego „Pulsu”. Moist z tępą zgrozą ponownie przeczytał nagłówki.

MY SIĘ NIE PSUJEMY, ZAPEWNIĄ POCZMISTRZ

Zaskakujący atak na Sekary *Obietnica: Doręczymy wszędzie* Niezwykłe nowe „znaczkę”

To był główny artykuł. Obok zamieszczono mniej ważny tekst, który jednak zwrócił jego uwagę. Tytuł brzmiał:

Wielki Pień znowu nie działa. Kontynent odcięty!

...a u dołu strony, grubszą czcionką, co miało sugerować, że chodzi o lepsze treści, i pod tytułem

Nie można odrzucić Historii

znalazło się kilkanaście opowieści o tym, co się stało, kiedy dotarła poczta z dawnych lat. Było tu o zamęcie, który przerodził się w burdę, o panu Parkerze i jego wkrótce pannie młodej oraz inne. Listy w niewielkim zakresie zmieniały nieciekawe żywoty. To jakby wyciąć okno w Historię i sprawdzić, jaka mogłaby być.

To wszystkie niemal całkowicie wypełniało pierwszą stronę, jeśli nie liczyć informacji, że strażnicy miejscy poszukują „tajemniczego zabójcy”, który rozszarpał jakiegoś bankiera w jego własnym domu. Byli zagubieni, stwierdzał tekst. To nieco pocieszyło Moista – jeśli ten ich osławiony funkcjonariusz wilkołak nie potrafi wywęszyć krwawego mordercy, to może nie znajdzie i Moista, kiedy nadejdzie czas. Mózg z pewnością może wygrać z nosem.

Vetinari wydawał się nieświadomy obecności Moista, a Moist zaczął rozważać, jaki skutek miałyby lekkie chrząknięcie.

Wtedy właśnie azeta zaszeleściła.

– Piszą tu w dziale Listów – odezwał się Patrycjusz – że fraza „wpaść z deszczu pod rynną” opiera się na starożytnym powiedzonku efebjańskim, mającym co najmniej dwa tysiące lat, a zatem wcześniejszym od rynien, choć nie od samego aktu wpadania. – Opuścił azetę i spojrzał na Moista ponad jej krawędzią. – Nie wiem, czy śledził pan tę interesującą etymologiczną dyskusję.

– Nie, wasza lordowska mość – odparł Moist. – Jeśli wasza lordowska mość pamięta, ostatnie sześć tygodni spędziłem w celi śmierci.

Jego lordowska mość zamknął azetę, złożył palce w piramidkę i popatrzył na Moista z uwagą.

– A tak. W samej rzeczy, panie Lipwig. No, no, no...

– Proszę mnie wysłuchać. Naprawdę mi przy...

– W dowolne miejsce na świecie? Nawet bogom? Nasi listonosze nie psują się tak łatwo? Nie można odrzucić historii? Imponujące, panie Lipwig. Wzbudził pan falę... – Vetinari się uśmiechnął – ...jak powiedziała ryba do człowieka z ołowianymi ciężarkami u nóg.

– Nie mówiłem tak całkiem...

– Według moich doświadczeń panna Cripslock ma skłonność do notowania dokładnie tego, co się jej mówi. To straszne, kiedy codziennikarze tak postępują. Psują całą zabawę. Człowiek instynktownie wyczuwa, że to jakieś oszustwo. Jak zrozumiałem, sprzedaje pan także rodzaj skryptów dłużnych.

– Co takiego?

– Znaczki, panie Lipwig. Zobowiązanie dostarczenia poczty o wartości jednego pensa. Obietnica, która musi być dotrzymana. Niech pan na to spojrzy... – Wstał i podszedł do okna, skąd skinął na Moista. – Proszę podejść, panie Lipwig.

W strachu, że może zostać wypchnięty na bruk, Moist jednak podszedł.

– Widzi pan tę wielką wieżę sekarową na Tumpie? – Vetinari wyciągnął rękę. – Niewiele dzieje się dziś rano w Wielkim Pniu. Problemy z wieżą gdzieś na równinach, jak rozumiem. Nic nie przedostaje się do Sto Lat i dalej. A teraz, jeśli spojrzy pan niżej...

Chwilę trwało, nim Moist zrozumiał, co widzi.

– Przed Urzędem Poczтовым stoi kolejka?

– Tak, panie Lipwig – przyznał Vetinari z posepną satysfakcją. – Po znaczki, zgodnie z informacją w azecie. Obywatele Ankh-Morpork mają instynkt... można powiedzieć... włączania się do zabawy. Niech pan działa, panie Lipwig, z pewnością ma pan mnóstwo pomysłów. Niech mi pan nie pozwoli się zatrzymywać.

Vetinari wrócił do biurka i sięgnął po azetę. Jest przecież na pierwszej stronie, pomyślał Moist. Nie mógł nie zauważyć...

– Eee... W tej drugiej sprawie... – zaczął niepewnie, patrząc na rysunek.

– A jakąż to może być sprawa? – zdziwił się lord Vetinari.

Przez moment trwała cisza.

– No... nic właściwie – rzekł Moist. – To ja już pójdę.

– Rzeczywiście, niech pan idzie, poczmistrzu. Poczta musi trafić do celu, czyż nie?

Vetinari nasłuchiwał trzaśnięcia dalekich drzwi, a potem podszedł do okna i stał tam, dopóki nie zobaczył złocistej postaci idącej szybko przez dziedziniec.

Wszedł Drumknott i wyjął zawartość tacy dokumentów wychodzących.

– Doskonale rozegrane, wasza lordowska mość – stwierdził cicho.

– Dziękuję ci, Drumknott.

– Widzę, że pan Horsefry nas opuścił...

– Tak zrozumiałem, Drumknott.

* * *

Kiedy Moist przeszedł przez ulicę, w tłumie zaczęło się niewielkie poruszenie. Ku swej niewypowiedzianej uldze zobaczył pana Spoolsa stojącego obok jednego z tych poważnych ludzi z drukarni. Spools podszedł do niego pospiesznie.

– Mam po kilka tysięcy obu zamówień – szepnęła i wyjął pakiet spod płaszcza. – Pensowe i dwupensowe. Nie są najlepszym produktem, na jaki nas stać, ale pomyślałem, że pewnie będzie ich pan potrzebował. Słyszeliśmy, że sekary znowu nie działają.

– Życie mi pan ratuje, panie Spools. Niech je pan wniesie do środka. A przy okazji, ile kosztuje sekarowa wiadomość do Sto Lat?

– Nawet kilka słów wyjdzie co najmniej trzydzieści pensów. Tak mi się wydaje.

– Dziękuję. – Moist uniósł dłonie do ust. – Panie i panowie! – zawołał. – Urząd Pocztowy zostanie za chwilę otwarty i rozpocznie sprzedaż pensowych i dwupensowych znaczków! Dodatkowo przyjmujemy też przesyłki do Sto Lat. Pierwsza ekspresowa poczta do Sto Lat rusza za godzinę i dotrze jeszcze dziś przed południem! Koszt to dziesięć pensów za standardową kopertę! Powtarzam, dziesięć pensów! Królewska Poczta, panie i panowie! Nie zgadzajcie się na nic innego!

Powstało lekkie zamieszanie i kilka osób odeszło szybkim krokiem.

Moist wprowadził Spoolsa do budynku i uprzejmie zamknął drzwi przed czekającymi. Poczł dreszcz, jak zawsze, kiedy rozpoczynała się gra. Życie powinno składać się właśnie z takich chwil... Serce śpiewało mu radośnie, gdy wydawał polecenia.

– Stanley!

– Tak, panie Lipwig? – zapytał chłopak w głębi sali.

– Pobiegnij do stajni Hobsona i powiedz, że potrzebny mi dobry szybki koń. Taki, któremu krew trochę buzuje. Nie jakaś podkrecona chabeta, a znam się na tym! Chcę go tu mieć za pół godziny! Ruszaj zaraz. Panie Groat!

– Tak jest!

Groat naprawdę zasalutował...

– Niech pan przygotuje jakiś stół, który posłuży jako lada. Za pięć minut otwieramy, żeby przyjmować pocztę i sprzedawać znaczki! Ja zabiorę przesyłki do Sto Lat, a pan pełni obowiązki poczmistrza, dopóki nie wrócę! Panie Spools!

– Stoję tuż obok, panie Lipwig. Nie musi pan krzyczeć.

– Przepraszam pana. Więcej znaczków, bardzo proszę. Muszę zabrać trochę ze sobą, gdyby była jakaś poczta z powrotem. A piątki i dolarówki będą mi potrzebne jak najszybciej... Dobrze się pan czuje, panie Groat?

Staruszek chwiał się i bezgłośnie poruszał ustami.

– Panie Groat... – powtórzył Moist.

– Pełniący obowiązki poczmistrza... – wymamrotał Groat.

– Zgadza się, panie Groat.

– Żaden Groat nigdy nie pełnił obowiązków poczmistrza... – Groat padł nagle na kolana i chwycił Moista za nogi. – Dziękuję panu! Nie zawiodę pana, panie Lipwig! Może pan na mnie polegać! Deszcz ni ś ie , ni mrok...

– Tak, tak, dziękuję, panie pełniący obowiązki poczmistrza, dziękuję, już wystarczy, naprawdę... – Moist próbował się wyrwać. – Proszę wstać, panie Groat, panie Groat... proszę!

– Czy w czasie pana nieobecności mogę nosić skrzydlatą czapkę, sir? – poprosił Groat. – Wiele by to dla mnie znaczyło...

– Jestem pewien, że wiele, panie Groat, ale nie dzisiaj. Dzisiaj czapka frunie do Sto Lat.

Groat wstał.

– Czy powinien pan osobiście dostarczać tam pocztę, sir?

– A kto inny? Golemy nie poruszają się dość szybko, Stanley jest... no, Stanleyem, a wy wszyscy, panowie, jesteście sta... bogaci w lata. – Moist zatarł ręce. – Żadnych dyskusji, pełniący obowiązki poczmistrza! A teraz... sprzedajmy trochę znaczków!

Drzwi stały otworem i tłum wpadł do środka. Vetinari miał rację. Kiedy tylko coś się działo, mieszkańcy Ankh-Morpork chcieli brać w tym udział. Pensowe znaczki przesuwają się nad zaimprovizowaną ladą. W końcu, rozumowali wszyscy, za jednego pensa dostaje się coś warte pensa, tak? Czyli nawet jeśli to żart, był bezpieczny – prawie jak kupowanie pieniędzy. A w drugą stronę płynęły koperty. Ludzie pisali listy na miejscu, w Urzędzie Pocztowym... Moist zanotował w pamięci: koperty z kartką papieru wewnątrz i naklejonym od razu znaczkiem. Błyskawiczny Zestaw Listowy, wystarczy dodać atrament... To ważna zasada w każdej grze: trzeba jak najbardziej ułatwić ludziom oddawanie pieniędzy.

Zaskoczył go – choć później zrozumiał, że wcale nie powinien – widok Drumknotta, który przecisnął się przez tłum z niedużym, ale ciężkim skórzanym pakietem zapieczętowanym ciężką woskową pieczęcią z herbem miasta i ciężkim V. Pakiet był zaadresowany do burmistrza Sto Lat.

- Sprawa rządowa – oznajmił znacząco Drumknott.
- Chce pan kupić na to jakieś znaczki? – spytał Moist.
- A jak pan uważa, poczmistrzu? – zaciekawiał się urzędnik.
- Stanowczo uważam, że sprawy rządowe przyjmowane są bez opłat.
- Dziękuję, panie Lipwig. Lord lubi takich, co szybko się uczą.

Ale pozostałe przesyłki do Sto Lat zostały opłacone. Wielu miało tam przyjaciół albo interesy. Moist rozejrzał się uważnie. Ludzie pisali wszędzie, nawet opierając notatniki o ścianę. Znaczki, pensowe i dwupensowe, znikwały szybko. Na drugim końcu hali golemi sortowały nieskończone wzgórza poczty.

Trzeba przyznać, że w pewnym niewielkim stopniu znowu zapanowała krzątanina.

„...Powinien pan to widzieć, sir, powinien pan widzieć to wszystko!”.

– Pan jesteś Lipwig?

Ocknął się z wizji kandelabrow i zobaczył przed sobą krępego mężczyznę. Rozpoznanie potrzebowało chwili, ale w końcu podsunęło Moistowi informację, że to właściciel stajni Hobsona, najbardziej sławnego i osławionego przedsięwzięcia tego rodzaju w mieście. Prawdopodobnie stajnia nie była ośrodkiem działalności przestępczej, jak głosiła plotka, jednakże dziwnie często przebywali tam brudni z wyglądu ludzie, którzy nie mieli nic do roboty, tylko siedzieli beczynnie i łypali oczami na przechodzących. Stajnia zatrudniała też Igora, co było rozsądne wobec zapotrzebowania na usługi weterynaryjne, ale słyszało się to i owo*...

– O... Dzień dobry, panie Hobson – powiedział Moist.

– Wychodzi na to, uważasz pan, że wynajmuję zmęczone i stare konie, tak? – burknął Willie Hobson.

Uśmiech miał nie całkiem przyjazny. Za nim stał nerwowy Stanley. Hobson był wielki i ciężki, ale wcale nie tłusty – był tym, co by powstało, gdyby ogolić niedźwiedzia.

– Dosiadałem kilku, które... – zaczął Moist, ale Hobson uniósł dłoń.

– Się zdaje, że chcesz pan czegoś buzującego – rzekł. Jego uśmiech się rozciągnął. – No więc zawsze daję klientom to, czego chcą. I przyprowadziłem Borysa.

– Ach tak... A on zabierze mnie do Sto Lat. Tak?

– Och, co najmniej tam. Dobry z pana jeździec?

– Jeśli chodzi o wyjeżdżanie z miasta, nie ma nikogo szybszego.

* Że na przykład kradzione konie są tam nocą rozkładane i mogą potem trafić na sprzedaż z ufarbowaną sierścią i dwoma różnymi nogami. Mówiło się też, jakoby w Ankh-Morpork był koń mający południkową bliźnię, od łba do ogona, zszyty z tego, co pozostało po dwóch innych koniach uczestniczących w szczególnie krwawym wypadku.

– To dobrze, bardzo dobrze – rzucił Hobson powoli. Jak ktoś, kto bardzo ostrożnie zagania ofiarę w pułapkę. – Borys ma kilka wad, ale taki doświadczony jeździec nie będzie miał kłopotów. No to gotów pan jesteś? Czeka na dworze. Trzyma go mój człowiek.

Okazało się, że aż czterech ludzi powstrzymuje wielkiego czarnego ogiera w sieci lin, gdy on tymczasem tańczył, skakał, kopał i próbował gryźć. Piąty człowiek leżał na ziemi – Borys nie wybaczał nieuwagi.

– Jak już mówiłem, mój panie, Borys ma parę wad, ale nikt go nie nazwie... zaraz, jak to było... podkreconą starą chabetą. Nadal chcesz pan konia, który buzuje?

Uśmiech Hobsona mówił wszystko: tak traktuję zarozumiałych ówoków, którzy próbują się rządzić. Zobaczmy, jak pan na nim jeździsz, panie Wiem Wszystko o Koniach.

Moist popatrzył na Borysa, który usiłował stratować leżącego mężczyznę, a potem na tłum dookoła. Niech demony porwą ten złoty strój. Jeśli jest się Moistem von Lipwigiem, z tej sytuacji istniało tylko jedno wyjście: podnieść stawkę.

– Zdejmijcie mu siodło – polecił.

– Co takiego? – zdumiał się Hobson.

– Proszę mu zdjąć siodło, panie Hobson – powtórzył stanowczo Moist. – Worek z pocztą jest dość ciężki, więc zrezygnujemy z siodła.

Uśmiech Hobsona pozostał na miejscu, ale reszta twarzy usiłowała się od niego dyskretnie odsunąć.

– Miałeś pan już wszystkie dzieci, które chcesz pan mieć, co?

– Wystarczy mi koc i popręg, panie Hobson.

Uśmiech Hobsona zniknął całkowicie. To nazbyt przypominało morderstwo.

– Może pan to sobie przemyślisz... W zeszłym roku Borys odgryzł człowiekowi dwa palce. Jest też kopaczem, tratowaczem, zdzieraczem i będzie konblokował, jeśli uzna, że mu to ujdzie. Ma w sobie demony i to jest fakt.

– Ale pobiegnie?

– Nie tylko pobiegnie, on się rzuci, drogi panie. Urodzony potwór, nie ma co. Trzeba łomu, żeby go zmusić do zakrętu. No więc zyskałeś pan moje uznanie za uczciwą grę, ale przecież mam inne...

Hobson drgnął, kiedy Moist rzucił mu swój specjalny uśmiezek.

– Pan mi go wybrał, panie Hobson. I na nim pojedę. Będę wdzięczny, jeśli ci dżentelmeni skierują go w stronę Broad-Wayu, a ja pójdę spakować kilka ważnych drobiazgów.

Wrócił do budynku, wbiegł po schodach do swojego gabinetu, wcisnął sobie do ust chusteczkę i pojękiwał cicho przez kilka sekund, dopóki nie poczuł się lepiej. Parę razy jeździł już na oklep, kiedy sytuacja stawała się naprawdę ciężka. Ale Borys miał oczy obłąkanego zabójcy.

Lecz jeśli się teraz wycofa, będzie... no, po prostu durniem w błyszczącym ubraniu. Trzeba im dać pokaz, wizję, coś, co zapamiętają na długo. Musi przecież zostać na koniu,

tylko dopóki nie wyjedzie z miasta, a wtedy znaleźć krzak odpowiedni, by w niego zeskoczyć. Tak, to załatwi sprawę. Potem wejdzie chwiejnie do Sto Lat, wiele godzin później, wciąż z całą pocztą bohatersko obronioną przed bandytami. Uwierzą mu, bo brzmi to, jakby było prawdą. Bo zwyczajnie chcą wierzyć w różne rzeczy, ponieważ daje to dobrą historię, ponieważ dostatecznie błyszczące szkło wydaje się bardziej brylantowe niż sam brylant.

Kiedy znów stanął na schodach, zabrzmiały oklaski. Słońce, jak na dany znak, postanowiło w tej właśnie chwili wynurzyć się z mgieł i błysnąć na skrzydełkach czapki.

Borys na pozór całkiem się uspokoił i coś żuł. Moist nie dał się nabrać. Jeśli koń podobny do Borysa nagle się uspokaja, to znaczy, że coś knuje.

– Panie Pompa, będziesz potrzebny, żeby mnie podsadzić... – powiedział, zarzucając sobie na szyję worek z pocztą.

– Tak, Panie Lipvig – odezwał się golem.

– Panie Lipwig!

Moist obejrzał się i zobaczył biegnącą po ulicy Sacharissę Cripslock z notatnikiem w dłoni.

– Zawsze cieszy mnie twój widok, Sacharisso – zapewnił. – Ale w tej chwili jestem trochę zajęty...

– Słyszał pan, że Wielki Pień znów jest nieczynny?

– Tak, było o tym w azecie. A teraz muszę...

– Czyli rzuca pan wyzwanie kompanii sekarowej?

Jej ołówek zawisł tuż nad kartką.

– Po prostu doręczam pocztę, panno Cripslock, tak jak obiecywałem – oświadczył Moist stanowczym, męskim głosem.

– Ale to dziwne, prawda, że człowiek na koniu jest pewniejszy niż...

– Proszę, panno Cripslock! Jesteśmy Urzędem Pocztowym! – zawołał Moist swym najlepszym, pełnym godności tonem. – Nie interesuje nas prymitywna rywalizacja. Przykro nam słyszeć, że nasi koledzy z sekarów mają przejściowe trudności ze sprzętem, wyrażamy współczucie dla sytuacji, w jakiej się znaleźli, a gdyby tylko zechcieli, żebyśmy dostarczyli ich wiadomości, z radością sprzedamy im znaczki, już wkrótce dostępne w wartościach jednego, dwóch, pięciu i dziesięciu pensów oraz jednego dolara, do nabycia tutaj, w Urzędzie Pocztowym, z nałożoną już warstwą kleju. Nawiasem mówiąc, planujemy kiedyś nadać klejowi smaki lukrecjowy, pomarańczowy, cynamonowy i bananowy, ale nie truskawkowy, ponieważ nie znoszę truskawek.

Widział, jak Sacharissa się uśmiecha, notując jego słowa.

– Czy dobrze zrozumiałam? – spytała. – Proponuje pan dostarczanie wiadomości sekarowych?

– Oczywiście. Wysłane wiadomości mogą trafić do Wielkiego Pnia w Sto Lat. Pomoc to nasze drugie imię.

– Na pewno nie tupet? – zapytała Sacharissa.

Gapie wybuchnęli śmiechem.

– Chyba nie zrozumiałem. A teraz...

– Gra pan na nosie ludziom od sekarów, prawda? – rzuciła Sacharissa.

– To chyba jakieś codziennikarskie powiedzonko. Co prawda mam nos, jak każdy, ale nie potrafiłbym na nim zagrać. Proszę wybaczyć, mam pocztę do doręczenia i powinienem wyruszyć, zanim Borys kogoś pożre. Znowu.

– Czy mogę jeszcze zadać ostatnie pytanie? Czy pańska dusza ulegnie znaczącemu zmniejszeniu, jeśli Otto zrobi obrazek, jak pan odjeżdża?

– Przypuszczam, że nie zdołam was powstrzymać, ale chciałbym, żeby moja twarz nie była zbyt wyraźna – odparł Moist. Pan Pompa złożył gliniane dłonie, formując stopień. – Kapłan bardzo na to nalega.

– Tak właśnie sędzę, że „kapłan” na to „nalega” – stwierdziła, pilnując, by cudzysłowy brzęknęły ironią. – Poza tym, sądząc po tej bestii, to może być już ostatnia okazja. Wygląda jak śmierć na czterech nogach, panie Lipwig!

Tłum zamilkł, gdy Moist usiadł Borysowi na grzbiecie. Zwierzę tylko trochę przesunęło ciężar ciała.

Spójrzmy na to w inny sposób, pomyślał Moist. Co mam do stracenia? Życie? Przecież już mnie powiesili. Żyję w anielskim czasie. I robię na wszystkich niesamowite wrażenie. Dlaczego kupuję znaczki? Bo daję im przedstawienie...

– Wystarczy jedno słowo, szefie – odezwał się któryś z ludzi Hobsona trzymających linę. – Kiedy już go puścimy, wolimy nie pętać się za blisko.

– Chwileczkę... – powstrzymał go jeszcze Moist.

W pierwszym szeregu gapiów zauważył figurę w przylegającej do figury szarej sukni. Patrzył, jak wypuściła ku niebu neurotyczną chmurę dymu, obrzuciła go wzrokiem i wzruszyła ramionami.

– Kolacja dziś wieczorem, panno Dearheart?! – zawołał.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy. Zabrzmiały krótkie śmiechy, kilka zachęcających okrzyków... Rzuciła mu spojrzenie, które powinno pozostawić jego cień na dymiących szczątkach muru po drugiej stronie ulicy, po czym krótko skinęła głową.

Kto wie, pod spodem mogą się ukrywać brzoskwinie...

– Puście go, chłopcy! – krzyknął Moist.

Ludzie Hobsona odskoczyli na boki. Świat wstrzymał oddech. A potem Borys przeskoczył od uległości we wściekły taniec stawania dęba, tylne kopyta zastukały na bruku, przednie zamachały w powietrzu...

– Cudownie! Tak trzymać!

Świat ogarnęła biel. Borysa ogarnęło szaleństwo.

Rozdział siódmy A

Pocztowy pęd

Natura Borysa – Złowieszcza wieża – Pan Lipwig się uspokaja – Dama z precelkami na uszach – Zaproszenie przyjęte – Skrzynka pana Robinsona – Tajemniczy przybysz

Hobson wypróbował Borysa na wyścigach – i Borys świetnie by się sprawdził, gdyby nie jego nieopanowany odruch, by przy starcie atakować sąsiedniego konia, a na pierwszym wirażu przeskakiwać przez ogrodzenie. Moist jedną ręką złapał czapkę, drugą chwycił wodze, wcisnął palce nóg pod popręg, gałki oczne wbiły mu się w mózg. Broad-Way runął na niego cały naraz – wozy i ludzie przesuwali się rozmazani.

Wóz stał w poprzek ulicy, ale Borys nie dawał żadnej możliwości sterowania. Potężne mięśnie napięły się i nastąpił długi, powolny, bezgłośny moment szybowania nad przeszkodą.

Gdy koń wylądował, kopyta ześliznęły się i przejechały po bruku przed strumieniem iskier. Sam pęd pozwolił mu odzyskać równowagę i jeszcze przyspieszył.

Zwykły przy Bramie Osiowej tłumek rozbiegł się na boki, aż po horyzont ukazały się równiny. Zadziały jakoś na obłąkany koński mózg Borysa. Cała ta przestrzeń, ładna i płaska, z kilkoma tylko łatwymi do przeskoczenia przeszkodami, takimi jak drzewa...

Znalazł dodatkowe siły i przyspieszył znowu; krzaki, drzewa i wozy pędziły naprzeciw.

Moist przeklinał brawurę, która kazała mu zrezygnować z siodła. Każda część ciała go za to nienawidziła. Ale w rzeczywistości Borys – kiedy już człowiek dostał się pod ananasa – nie był złym wierzchowcem. Osiągał swój rytm, naturalny swobodny cwał, a jego płonące oczy koncentrowały się na błękanie. Nienawiść do wszystkiego roztapiała się przez chwilę w czystej radości przestrzeni. Hobson miał rację, nie dałoby się nim sterować nawet młotkiem, ale przynajmniej pędził w odpowiednim kierunku, to znaczy byle dalej od stajni. Borys nie chciał spędzać swoich dni, wykopując z muru cegły i czekając, kiedy uda się zrzucić kolejnego napuszonego idiotę. Chciał ugryźć horyzont. Chciał biec.

Moist bardzo ostrożnie zdjął czapkę i chwycił ją w zęby. Nie wyobrażał sobie nawet, co by się stało, gdyby spadła – musiał mieć ją na głowie u celu podróży. To było ważne. Wszystko polegało na stylu.

Jedna z wież Wielkiego Pnia wyrastała z przodu i trochę po lewej. Były dwie takie na przestrzeni dwudziestu mil pomiędzy Ankh-Morpork i Sto Lat, ponieważ przekazywały prawie cały ruch z linii ciągnących się przez kontynent. Za Sto Lat Wielki Pień rozgałęział się, wypuszczał odnogi – ale tutaj, błyskając nad głowami, płynęły słowa świata...

...a raczej powinny płynąć. Ale przesłony były nieruchome. Moist zobaczył ludzi pracujących wysoko na otwartej drewnianej wieży. Sądząc z wyglądu, uszkodzeniu uległa cała sekcja.

Ha! Dobrze wam tak, dranie! To poważna naprawa! Może warta nocnego transportu do Pseudopolis? Porozmawia z woźnicami. Przecież nigdy nie zapłacili Urzędowi Pocztownemu za te swoje nieszczęsne dylizanse. I nie będzie istotne, czy w końcu sekary zostaną uruchomione, ponieważ Urząd Pocztowy zaczął działać. Kompania sekarowa miała bandyckie metody: zwalniała ludzi, podnosiła opłaty, żądała masy pieniędzy za złą obsługę. Urząd Pocztowy stał jakby na przegranej pozycji, od razu rzucony na kolana – ale ktoś taki zawsze znajdzie jakieś miękkie miejsce do ukąszenia.

Ostrożnie wpuścił pod siebie jeszcze kawałek koca. Różne organy traciły czucie.

Opary wznoszące się nad Ankh-Morpork pozostały daleko w tyle. Pomiędzy uszami Borysa widać już było Sto Lat – pióropusz węższych słupów dymu. Wieża zniknęła z tyłu, a przed sobą Moist widział już następną. Pokonał trzecią część drogi w dwadzieścia minut, a Borys wciąż gnał w tym samym tempie.

Mniej więcej w połowie drogi między dwoma miastami wyrastała stara kamienna wieża – wszystko, co pozostało ze stosu ruin otoczonych lasem. Była prawie tak wysoka jak sekarowa i Moist zastanowił się, czemu jej nie wykorzystano. Ale pewnie jest już zbyt zniszczona, żeby – obciążona przesłonami – wytrzymała wichurę. Okolica wydawała się ponura: zarośnięte pustkowie wśród nieskończonych pól.

Gdyby miał ostrogi, pewnie by w tym miejscu spał Borysa, a następnie – prawdopodobnie – zostałby rzucony, stratowany i zjedzony za swe cierpienia*. Zamiast tego pochylił się nisko nad końskim karkiem i usiłował nie myśleć o tym, co ta jazda robi z jego nerkami.

Mijał czas.

Minęli drugą wieżę i Borys zwolnił do galopu. Sto Lat było już wyraźnie widoczne. Moist rozróżniał miejskie mury i wieże zamku.

Będzie musiał zeskoczyć – nie było innego wyjścia. Mury rosły z wolna, a on wypróbował w myślach pół tuzina różnych scenariuszy, jednak wszystkie wykorzystywały stogi siana. Według tego jednego, który ich nie wykorzystywał, Moist łamał sobie kark.

* Które byłyby straszne.

Ale wydawało się, że Borysowi nie przychodziło nawet na myśl, by skrócić. Był na drodze, droga była prosta i prowadziła przez tamtą bramę. To mu nie przeszkadzało. Poza tym chciał się napić.

Ulice miasta pełne były rzeczy, nad którymi nie da się przeskoczyć – ale zauważył też koryto z wodą. Tylko mgliście zdawał sobie sprawę z czegoś, co zwałało się z jego grzbietu na ziemię.

Sto Lat nie było dużym miastem. Moist spędził tu kiedyś szczęśliwy tydzień, puszczając w obieg kilka fałszywych weksli, dwa razy zrobił numer na Ubogiego Spadkobiercę, a przy wyjeździe sprzedał pierścień ze szkiełkiem – nie z potrzeby, ale z nieustającej fascynacji ludzką chciwością i łatwowiernością.

A teraz, obserwowany przez tłum, chwiejnie wspiał się na schody ratusza. Pchnął drzwi i cisnął worek poczty na biurko pierwszego urzędnika, jakiego zobaczył.

– Poczta z Ankh-Morpork – warknął. – Ruszyłem o dziewiątej, więc jest świeża, jasne?

– Dopiero wybił kwadrans po dziesiątej! Jaka poczta?

Moist starał się nie denerwować. I tak był już obolały.

– Widzisz tę czapkę? – zapytał, wskazując palcem. – Widzisz? To znaczy, że jestem naczelnym poczmistrzem w Ankh-Morpork! A to jest wasza poczta! Za godzinę ruszam z powrotem, rozumiano? Jeśli chcecie, żeby wasze listy dotarły do wielkiego miasta na drugą... Auć... Jednak raczej na trzecią, to włożcie je do worka. A to... – Pomachał młodemu człowiekowi przed nosem plikiem znaczków. – To są znaczki. Czerwone po dwa pensy, czarne po pensie. Poczta kosztuje dziesięć... au... jednaście pensów za list, rozumiano? Sprzedajecie znaczki, dajecie mi pieniądze, liżecie znaczki i naklejecie je na koperty! Dostawa ekspresowa gwarantowana! Na godzinę mianuję cię pełniącym obowiązki poczmistrza! Obok stoi gospoda. Muszę znaleźć wannę. Potrzebna mi zimna kąpiel. Naprawdę zimna. Macie tu gdzieś lód? No to właśnie taka zimna. Albo bardziej. Ooch, bardziej. I coś do picia, i kanapkę, a przy okazji, na zewnątrz stoi wielki czarny koń. Jeśli wasi ludzie potrafią go złapać, proszę, załóżcie mu siodło i odwróćcie go w stronę Ankh-Morpork! Do roboty!

W balii zmieścił się tylko na siedząco, a woda sięgała do bioder, ale przynajmniej w mieście była lodownia. Moist siedział w stanie błogości wśród pływających kawałków lodu, sączył brandy i nasłuchiwał odgłosów poruszenia na dworze.

Po chwili ktoś zapukał do drzwi i zabrzmiał męski głos:

– Wygląda pan przyzwoicie, panie poczmistrzu?

– Bardzo przyzwoicie, ale jestem nieubrany – odpowiedział Moist.

Sięgnął w bok i wcisnął na głowę skrzydlatą czapkę.

– Proszę wejść!

Burmistrz Sto Lat okazał się niskim mężczyzną o ptasiej sylwetce, który albo został burmistrzem bardzo niedawno i bezpośrednio po kimś wysokim i grubym, albo uważał, że

szata wlokąca się kilka stóp za nim i sięgający do pasa łańcuch na szyi to w tym sezonie odpowiedni wygląd dla miejskich dygnitarzy.

– Joe Camels, proszę pana – przedstawił się nerwowo. – Jestem tu burmistrzem...

– Naprawdę? Miło cię poznać, Joe. – Moist uniósł kieliszek. – Wybacz, że nie wstaję.

– Pański koń, ehm, uciekł, a wcześniej kopnął trzech ludzi. O czym zawiadamiam z przykrością.

– Naprawdę? Zwykle tego nie robi.

– Proszę się nie martwić, złapiemy go, a zresztą na powrót możemy wypożyczyć panu innego. Chociaż nie tak szybkiego, niestety.

– Ojej... – Moist zajął nową pozycję między kawałkami lodu. – Jaka szkoda.

– Och, wiem o panu wszystko, panie Lipwig. – Burmistrz mrugnął porozumiewawczo. – W worku z pocztą było kilka egzemplarzy „Pulsu”! Człowiek, który chce działać, jest z pana! Człowiek pełen werwy jest z pana! Takich lubię! Pan mierzy do samego księżyca, taki pan jest! Widzi pan swój cel i dąży do niego, choćby wszystkie demony, tak pan robi! Człowiek przebojowy, jak ja! I chciałbym, żeby pan to uścisnął, drogi panie!

– Co, gdzie? – zdziwił się Moist i poruszył niespokojnie w balii; woda szybko stawała się letnia. – Och... – Potrząsnął wyciągniętą ręką. – Czym się pan zajmuje, panie Camels?

– Robię parasole – odparł burmistrz. – Ale już chyba najwyższy czas, żeby jasno pokazać kompanii sekarowej, gdzie jej miejsce! Wszystko szło dobrze jeszcze kilka miesięcy temu... To znaczy owszem, kazali płacić jak za zboże, ale przynajmniej wiadomości dochodziły tam, gdzie powinny, szybko jak strzały. A teraz stale jakieś awarie i naprawy, a do tego kasują jeszcze więcej. I nigdy nie chcą powiedzieć, jak długo trzeba będzie czekać, zawsze jest „już wkrótce”. I zawsze „bardzo przepraszamy za niedogodności”. Wypisali to nawet na tabliczce i wywiesili ją w swoim biurze! Pełne emocji i ciepła jak ciśnięty nóż, jak pan mówił. I wie pan, co właśnie zrobiliśmy? Poszliśmy do wieży sekarowej w mieście i przeprowadziliśmy poważną rozmowę z młodym Daveyem, który jest porządnym chłopakiem, więc oddał nam wszystkie nocne sekary do wielkiego miasta, których nie dał rady wysłać. I co pan na to powie, co?

– Nie będzie miał kłopotów?

– Mówi, że i tak rzuca tę pracę. Nikomu z chłopców się nie podoba to, w jaki sposób działa firma. Wszystkie oznaczkowaliśmy, tak jak pan kazał. A teraz pozwolę panu się ubrać, panie Lipwig. Koń czeka. – Zatrzymał się jeszcze przy drzwiach. – Aha, jeszcze jedna sprawa, wie pan... Chodzi o znaczki...

– Tak? Jakiś problem, panie Camels?

– Nie jako taki, panie Lipwig. Nie powiem ani słowa przeciwko lordowi Vetinariemu, na pewno, ani przeciwko Ankh-Morpork – zapewnił człowiek żyjący w promieniu dwudziestu mil od dumnych i drażliwych obywateli. – Tylko że, tego... nie wydaje się słuszne takie lizanie... no, lizanie ankhmorporskich znaczków. Czy moglibyście wydrukować trochę i dla

nas? Mamy przecież królową, niezła dziewczyna, ładnie by wyglądała na znaczku. Jesteśmy ważnym miastem, wie pan...

– Zobaczą, co da się zrobić, panie Camels. Ma pan przypadkiem jej obrazek?

Wszyscy będą chcieli, myślał, ubierając się. Własne znaczki mogą być jak własna flaga czy własne godło. To może być świetny interes. I na pewno dogadam się jakoś z moim przyjacielem, panem Spoolsem. Nieważne, czy ma się własny urząd pocztowy, ale własne znaczki trzeba mieć koniecznie.

Radosny tłum żegnał go, gdy odjeżdżał na koniu, który wprawdzie nie był Borysem, ale robił, co mógł, i chyba wiedział, do czego służą wodze. Moist z wdzięcznością przyjął również poduszkę na siodle. Dzięki temu szkiełko błysnęło jeszcze jaśniej: nie oszczędzał się w czasie jazdy, więc teraz potrzebował poduszki.

Wyruszył z pełnym workiem poczty. Dziwne, ale ponownie niektórzy ludzie kupowali znaczki tylko po to, by je mieć. Czytali „Puls” – oto działo się coś nowego i chcieli brać w tym udział.

Kiedy już galopował wśród pól, czuł, że jego entuzjazm słabnie. Zatrudniał Stanleya, grupę twardych, ale trochę pomylnych starsuszków, i jeszcze parę golemów. Nie mógł utrzymać tego tempa.

Ale najważniejsze, że dodał trochę blasku. Powiedział ludziom, co ma zamiar zrobić, a oni uwierzyli, że to zrobi. Każdy mógł podjąć taką wyprawę. Ale nikt nie podjął. Czekali tylko, aż naprawią sekary.

Jechał dość spokojnie; przyspieszył tylko, mijając naprawianą wieżę sekarową. Nadal była naprawiana, lecz widział więcej ludzi dookoła i w górze, na samej wieży. Pojawiła się wyraźna sugestia, że prace naprawcze przebiegają o wiele szybciej.

W pewnej chwili prawie na pewno zauważył, że ktoś spada. Ale to chyba nie byłby dobry pomysł, żeby podjechać tam i spytać, czy może jakoś pomóc – nie jeśli miał zamiar dalej iść przez życie z własnymi zębami. Poza tym to był długi, bardzo długi upadek na pola kapusty, dogodnie łączący w jednym śmierć i pogrzeb.

Przyspieszył znowu, kiedy dotarł do miasta. Podjechanie truchtem do schodów Urzędu Poczтового byłoby niedopuszczalne. Ludzie w kolejce... nadal stała kolejka... bili brawo, kiedy przygalopował.

Pan Groat wybiegł – o ile krab potrafi biegać.

– Może pan jeszcze raz wziąć listy do Sto Lat, sir?! – zawołał. – Mam już pełen worek! A wszyscy pytają, kiedy zacznie pan je dostarczać do Pseudopolis i Quirmu! Dostałem też jeden do Lancre!

– Co? Człowieku, to piekielne pięćset mil!

Moist zeskoczył z siodła, choć stan jego nóg zmienił ten zeskok w spadnięcie.

– Sprawy nabrały tempa, odkąd pan wyjechał, sir. – Groat podtrzymał go. – O tak, w samej rzeczy! Nie mamy dosyć ludzi! Ale przychodzą też szukać pracy, sir! Przychodzą,

odkąd ukazała się ta azeta! Ludzie ze starych pocztowych rodzin, takich jak ja! I kolejni dawni pracownicy, wracający z emerytury! Pozwoliłem sobie zatrudnić ich tymczasowo, no bo przecież pełnię obowiązki poczmistrza! Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko, sir? A pan Spools drukuje więcej znaczków! Już dwa razy musiałem posłać Stanleya po nowe. Słyszałem, że jeszcze dziś wieczorem mamy dostać pierwsze pięciopensowe i dolarowe! Piękne czasy, co, sir?

– Hm... tak – zgodził się Moist.

Świat zmienił się nagle w coś przypominającego Borysa – pędził szybko i nie dało się nim kierować. Jeśli nie chciał dać się stratować, musiał utrzymać się na górze.

W hali ustawiono dodatkowe stoły. Tłoczyli się przy nich ludzie.

– Sprzedajemy im koperty i papier – poinformował Groat. – Atrament jest gratis za darmo.

– Sam pan to wymyślił?

– Nie, kiedyś to robiliśmy. Panna Maccalariat zdobyła mnóstwo taniego papieru od Spolsa.

– Panna Maccalariat? – zdziwił się Moist. – Kto to jest panna Maccalariat?

– Z bardzo starej pocztowej rodziny, sir. Postanowiła pracować dla pana.

Groat wydawał się trochę zdenerwowany.

– Słucham? – powiedział Moist. – Postanowiła dla mnie pracować?

– No, wie pan, jak to jest z poczciarzami, sir... Nie lubimy...

– Pan jest poczmistrzem? – odezwał się oschły głos za plecami Moista.

Głos przedostał się do mózgu, przewiercił przez wspomnienia, przeszukał lęki, znalazł odpowiednie dźwignie, chwycił je i pociągnął. W przypadku Moista znalazł Frau Shambers. W drugim roku nauki człowiek był wytrącany z ciepłego, miłego przedszkola Frau Tissel, gdzie pachniało farbami plakatowymi, masą solną i niedostatecznym opanowaniem toalety, prosto do zimnych ławek, gdzie rządziła Frau Shambers i gdzie pachniało Edukacją. Przeżycie było ciężkie jak akt narodzin, z dodatkowym utrudnieniem w postaci nieobecności matki.

Moist odwrócił się odruchowo i spojrzał w dół. Tak, były na miejscu: praktyczne buty, grube czarne pończochy, trochę kosmate, i rozciągnięty wełniany blezer. A tak, arrgh, blezer; Frau Shambers wypychała rękawy chustkami do nosa, arrgh, arrgh... A wyżej okulary i wyraz twarzy wczesnych przymrozków. Włosy splatała w warkocze, które zwijała po obu stronach głowy w dwa dyski; w domu, w Überwaldzie, nazywano je ślimaczkami, ale w Ankh-Morpork ludziom kojarzyły się raczej z kobietą, która nosi przyczepione do uszu zawijane, lukrowane drożdżówki.

– Proszę mnie uważnie posłuchać, panno Maccalariat – rzekł stanowczo. – Ja tu jestem poczmistrzem, ja dowodzę i nie mam zamiaru dać się zastraszyć przedstawicielom personelu kontuarowego tylko dlatego, że pracowali tu ich przodkowie. Nie boję się pani bezkształtnych

butów, panno Maccalariat, śmieję się wesoło wobec pani lodowatego spojrzenia! Nic mi pani nie zrobi! Jestem dorosłym mężczyzną, Frau Shambers, nie zadrzę od pani ostrego głosu i zachowam całkowitą kontrolę nad pęcherzem, choćby nie wiem jak surowo pani na mnie patrzyła! O tak! Albowiem jestem poczmistrzem i moje słowo jest tu prawem!

W każdym razie takie słowa wygłosił jego mózg. Niestety, zbłądziły gdzieś w drodze do ust przez dygoczący kręgosłup i wargi wymówiły tylko:

– Eee... tak?

Zabrzmiało to jak pisk.

– Panie Lipwig, chciałabym się czegoś dowiedzieć – oświadczyła przerażająca kobieta. – Nie mam nic przeciw golemom, ale czy te, które pan zatrudnia w moim Urzędzie Pocztowym, są damami czy dżentelmenami?

Było to dostatecznie niespodziewane, by szarpnąć Moista z powrotem do czegoś zbliżonego do rzeczywistości.

– Co? – zdumiał się. – Nie wiem! Co za różnica? Trochę więcej gliny... czy mniej gliny? Czemu?

Panna Maccalariat skrzyżowała ręce na piersi, sprawiając, że Moist i Groat cofnęli się równocześnie.

– Mam nadzieję, że nie żartuje pan sobie ze mnie, panie Lipwig – rzekła.

– Co? Żartować? Nigdy nie żartuję! – Moist próbował się opanować. Cokolwiek stanie się za chwilę, nie da postawić się do kąta. – Nie żartuję sobie, panno Maccalariat, nie żartowałem w przeszłości, a choćbym miał skłonność do żartów, nawet bym nie pomyślał o żartowaniu z panią. Czy są jakieś kłopoty?

– Jeden z nich był w damskiej... toalecie, panie Lipwig – oznajmiła pana Maccalariat.

– I co robił? Znaczą, one przecież nie jedzą, więc...

– Czyścił ją, jakoby... – Panna Maccalariat zdołała w tym miejscu zasugerować jakieś mroczne podejrzenie. – Ale słyszałam, że mówi się o nich „pan”.

– No, wykonują czasem różne drobne zadania, bo nie lubią przerywać pracy – wyjaśnił Moist. – Preferujemy używanie wobec nich grzecznościowego „pan”, gdyż, no... „to coś” nie wydaje się właściwe, a są pewne... pewne osoby, do których określenie „panna” zwyczajnie nie pasuje, panno Maccalariat.

– Tu chodzi o zasady, panie Lipwig – stwierdziła stanowczo kobieta. – Nikt, do kogo zwracają się „pan”, nie ma prawa wstępu do damskiej. Takie rzeczy prowadzą do różnych migdaleń. A na to nie pozwolę, panie Lipwig.

Moist popatrzył na nią. Potem obejrzał się na pana Pompe, który zawsze był w pobliżu.

– Panie Pompa, czy jest jakiś powód, by któryś z golemów nie dostał nowego imienia? – spytał. – W interesie unikania migdaleń?

– Nie, Panie Lipwig – zadudnił golem.

Moist zwrócił się do panny Maccalariat.

– Czy „Gladys” może być, panno Maccalariat?

– Gladys będzie wystarczająca, panie Lipwig. – W głosie panny Maccalariat zabrzmiała więcej niż tylko nutka tryumfu. – Musi być odpowiednio ubrana, ma się rozumieć.

– Ubrana? – powtórzył niepewnie Moist. – Ale przecież golem nie... nie mają... – Zadrżał pod jej spojrzeniem i zrezygnował. – Tak, panno Maccalariat. Jakaś bawełna w kratę, jak sądzę. Panie Pompa?

– Zorganizuję To, Poczmiestrzu – obiecał golem.

– Czy to już wszystko, panno Maccalariat? – upewnił się Moist z pokorą.

– Na razie tak – odparła, jakby żałowała, że chwilowo nie ma już na co się skarżyć. – Pan Groat wie o mnie, co trzeba, poczmistrzu. A teraz powrócę do właściwego wykonywania moich obowiązków, w przeciwnym razie bowiem ludzie znowu spróbują ukraść pióra. Trzeba ich obserwować jak jastrząb, wie pan.

– Dobra kobieta, naprawdę – zapewnił Groat, kiedy już odeszła. – Piąte pokolenie panien Maccalariat. Panięskie nazwisko zachowują z przyczyn zawodowych, naturalnie.

– Wychodzą za mąż?

Z grupy przy prowizorycznej ladzie dobiegł dźwięczny rozkaz:

– Odłóż to pióro w tej chwili! Myślisz, że jestem zrobiona z piór?

– Tak, sir – przyznał Groat.

– Czy w noc poślubną odgryzają mężowi głowę?

– Nic mi nie wiadomo o takich praktykach, sir. – Groat się zaczerwienił.

– Przecież ona ma nawet wąsik!

– Tak, sir. Dla każdego znajdzie się ktoś na tym wspaniałym świecie, sir.

– Przyszli też inni, którzy szukają pracy... Tak pan mówił, zdaje się.

Tym razem Groat się rozpromienił.

– Szczera prawda, sir! To przez ten kawałek w azecie.

– Znaczący, ten dzisiaj rano?

– Myślę, że to pomogło, sir. Ale sobie myślę, że dopiero popołudniowe wydanie załatwiło sprawę.

– Jakie popołudniowe wydanie?

– Jesteśmy na całej pierwszej stronie, sir! – odparł z dumą Groat. – Położyłem egzemplarz na pańskim biurku na górze...

Moist wepchnął mu w ramiona worek z pocztą.

– Proszę to... posortować – polecił. – Jeśli jest już dość poczty na następną dostawę, niech pan znajdzie jakiegoś młodziaka, który szaleje na punkcie pracy, wsadzi go na konia i jazda. Nie musi się bardzo spieszyć, nazwiemy to nocnym kurierem. Powie mu pan, żeby się spotkał z burmistrzem, a rano wrócił z nową pocztą.

– Tak jest, sir! Moglibyśmy również uruchomić nocnych kurierów do Quirmu i Pseudopolis też, gdybyśmy mogli tak zmieniać konie, jak to robią dyliżansy...

– Zaraz... A czemu dyliżansy pocztowe nie mogą wozić poczty? Wciąż nazywają się „pocztowe”, prawda? Wiemy, że po cichu zabierają przesyłki od każdego. No więc Urząd Pocztowy wraca do akcji. Wezmą nasze listy. Proszę iść, znaleźć tego, kto nimi kieruje, i mu to przekazać.

– Tak jest, sir! – odpowiedział radośnie staruszek. – Myślał pan już, jak będziemy wysyłać pocztę na księżyc?

– Po kolei, panie Groat.

– To do pana nie pasuje, sir. Wszystko naraz jest bardziej w pana stylu.

Chciałbym, żeby nie było, pomyślał Moist, wolno wchodząc na piętro. Ale trzeba się spieszyć. Zawsze się spieszył. Całe życie. Spiesz się, bo nigdy nie wiesz, co próbuje cię dogonić...

Zatrzymał się na schodach.

Nie pan Pompa!

Golem nie wyszedł z Urzędu Pocztowego. Nie próbował go gonić! Dlaczego? Bo wyjechał w sprawie poczty? Na jak długo może wyjechać w sprawie poczty? Może zdoła upozorować własną śmierć? Stary numer ze stosem ubrań na plaży? Warto zapamiętać. Niezbędna jest tylko odpowiednia przewaga. Jak właściwie pracuje umysł golema? Trzeba będzie zapytać pannę...

Panna Dearheart! Wpadł w taką euforię, że zaprosił ją na kolację! W tej chwili to może być problem, ponieważ cała dolna część jego ciała płonęła i to akurat nie pożądanym dla panny Dearheart. Co tam, pomyślał, wchodząc do gabinetu, może uda się znaleźć restaurację z miękkimi fotelami...

SZYBCIEJ NIŻ ŚWIATŁO

„Staroświecka” Poczta wygrywa z Sekarami

Poczmistrz doręcza, mówi: „Nos nie zagrał”

Szokujące sceny w Urzędzie Pocztowym

Tytuły krzyczały do niego od chwili, kiedy przestąpił próg. Miał ochotę też na nie krzyknąć.

Oczywiście, powiedział to wszystko. Ale powiedział do niewinnie uśmiechniętej twarzy panny Sacharissy Cripslock, nie do całego świata! A ona zapisała to bardzo dokładnie i nagle... widział coś takiego.

Moist nigdy się nie przejmował azetami. Był artystą. Nie interesowały go wielkie plany. Oszukiwał człowieka przed sobą, patrząc mu szczerze w oczy.

Ale musiał przyznać, że obrazek się udał. Stojący dęba koń, skrzydlata czapka, a przede wszystkim lekkie rozmazanie od prędkości. To robiło wrażenie.

Uspokoił się trochę. Urząd Pocztowy działał. Wysyłano listy. Doręczano przesyłki. Zgoda, większa część tego wynikała z faktu, że sekary nie pracują, ale może z czasem ludzie zrozumieją, że list do siostry w Sto Lat nie musi kosztować trzydziestu pensów i, być może, dotrzeć tam za godzinę, ale wystarczy, jeśli za skromne pięć pensów będzie u celu rankiem.

Stanley zastukał i otworzył drzwi.

– Herbaty, panie Lipwig? – zaproponował. – I bułeczkę?

– Jesteś aniołem w przebraniu, Stanley – odparł Moist.

Usiadł ostrożnie i skrzywił się.

– Bardzo dziękuję, sir – odparł chłopak z powagą. – Mam dla pana wiadomości, sir.

– Świetnie, Stanley – powiedział Moist. Nastąpiła długa chwila ciszy, nim sobie przypomniał, że rozmawia ze Stanleyem. – Powtórz mi te wiadomości, Stanley – dodał więc.

– Ta dama od golemów przyszła tu i powiedziała... – Stanley przymknął oczy. – „Powtórz tej Błyskawicy, że rano będzie miał kolejne osiem golemów, a jeśli nie jest zbyt zajęty robieniem cudów, przyjmę jego zaproszenie na kolację w Le Foie Heureux, spotkanie pod Załatanym Bębniem o siódmej”.

– Radosna Wątróbka? Jesteś pewien? – Ale oczywiście nie mogło być pomyłki. To przecież Stanley. – Ha, tam przecież nawet zupa kosztuje piętnaście dolarów! – westchnął Moist. – I trzeba czekać trzy tygodnie na rozmowę, zanim w ogóle się zastanowią nad rezerwacją. Ważą człowiekowi portfel! Czy jej się wydaje, że ja...

Jego wzrok padł na „skrzynkę pana Robinsona” stojącą niewinnie w kącie gabinetu. Lubił pannę Dearheart. Większość ludzi jest... dostępna. Wcześniej czy później daje się odkryć sprężyny, które ich napędzają. Nawet panna Maccalariat ma ukrytą gdzieś dźwignię, choć to przerażająca myśl. Ale Adora Belle broniła się, a w dodatku broniła się, zanim jeszcze została zaatakowana. Była wyzwaniem, a zatem fascynowała. Była tak cyniczna, tak niechętna, tak najeżona... W dodatku odnosił wrażenie, że ona potrafi w nim czytać o wiele, wiele lepiej niż on w niej. Ogólnie biorąc, była intrygująca. No i świetnie wyglądała w gładkiej, prostej sukience, o tym też nie można zapominać.

– W porządku. Dziękuję ci, Stanley – powiedział. – Coś jeszcze?

Chłopak położył mu na biurku arkusz trochę wilgotnych, zielonoszarych znaczków.

– Pierwsze dolarowe, sir – oznajmił.

– Słowo daję, Spools naprawdę się postarał! – Moist przyjrzał się setkom małych zielonych obrazków uniwersyteckiej Wieży Sztuk. – Nawet wyglądają na wartość dolara.

– Zgadza się, sir. Prawie nie widać tego małego ludzika, który skacze ze szczytu.

Moist wyrwał chłopcu z ręki arkusz.

– Co takiego? Gdzie?

– Potrzebne jest szkło powiększające, sir. I on jest tylko na kilku. Na niektórych jest w wodzie. Pan Spools bardzo przeprasza, sir. Mówi, że to pewnie jakaś indukowana magia. Że niby nawet obrazek wieży magów jest sam w sobie trochę magiczny. Na innych też jest parę

błądów. Na niektórych czarnych jednopensowych druk się trochę nie udał i lord Vetinari ma siwe włosy, sir. A niektóre nie mają kleju, ale to nie przeszkadza, bo ludzie takie właśnie chcieli.

– Po co?

– Mówią, że są tak dobre jak prawdziwe pensy, ale o wiele lżejsze, sir.

– Lubisz znaczki, Stanley? – zapytał łagodnie Moist.

Czuł się o wiele lepiej na siedzeniu, które nie podskakuje bez przerwy.

Stanley się rozpromienił.

– O tak, sir. Naprawdę, sir. Są cudowne, sir. Zachwycające, sir!

Moist uniósł brew.

– Aż tak dobre?

– To jakby... jakby być przy tym, kiedy wynaleźli pierwszą szpilkę, sir! – Twarz Stanleya jaśniała.

– Doprawdy? Pierwszą szpilkę, tak? Niezwykłe... No cóż, w takim razie, Stanley, mianuję cię kierownikiem znaczków. Całego wydziału. Złożonego właściwie z ciebie. Jak ci się to podoba? Domyślam się, że już teraz wiesz o nich więcej niż ktokolwiek inny.

– Och, wiem, sir. Na przykład w pierwszym wydruku znaczków pensowych użyli innego rodzaju...

– Dobrze – przerwał mu pośpiesznie Moist. – Brawo. Mogę sobie zatrzymać ten pierwszy arkusz? Na pamiątkę?

– Oczywiście, sir. Kierownik znaczków, hm... Czy dostanę specjalną czapkę?

– Jeśli chcesz – zgodził się wspaniałomyślnie Moist. Złożył arkusz i wsunął do wewnętrznej kieszeni. O wiele wygodniejsze niż dolary... Naprawdę niesamowite. – Albo może koszulkę? – zaproponował. – No wiesz... „Zapytaj mnie o znaczki”?

– Dobry pomysł, sir! Mogę iść i opowiedzieć panu Groatowi, sir? Będzie ze mnie taki dumny, sir!

– Ruszaj. Ale wróć tu za dziesięć minut, dobrze? Będę miał dla ciebie list do doręczenia... osobiście.

Stanley wybiegł.

Moist otworzył drewnianą skrzynkę, która posłusznie rozsunęła swoje tacki, i rozprostował palce.

Hm... Zdawało się, że każdy, kto... kto był kimś w tym mieście, drukował papier listowy u Teamera i Spoolsa. Moist przerzucił zdobyte niedawno próbki i w końcu znalazł:

KOMPANIA WIELKIEGO PNIA

„Z PRĘDKOŚCIĄ ŚWIATŁA”

GABINET PREZESA

To było kuszące. Niezwykle kuszące. Tamci byli bogaci, bardzo bogaci. Nawet przy obecnych kłopotach wciąż byli ważni. A Moist nie spotkał jeszcze kelnera, który nie lubi pieniędzy.

Znalazł egzemplarz wczorajszego „Pulsu”. Był tam obrazek... tak, tutaj: obrazek Reachera Gilta, prezesa Wielkiego Pnia, na jakimś przyjęciu. Wyglądał jak lepszej klasy pirat, może bukanier, ale taki, który nie żałuje czasu, by wypolerować swoją deskę. Te długie czarne włosy, ta broda, ta opaska na oku i... bogowie... ta papuga! To był wizerunek, nie ma co...

Moist nie zwracał sobie głowy kompanią Wielkiego Pnia. Była zbyt wielka, a z tego, co słyszał, zatrudniała praktycznie własną armię – w górach zdarzały się groźne sytuacje, a człowiek był tam często bardzo daleko od czegokolwiek przypominającego strażnika. Ludzi, którzy sami egzekwują prawo, lepiej jest nie okradać. Mają skłonność do bardzo stanowczych działań.

Ale to, co planował w tej chwili, to przecież nie jest kradzież. Może nawet nie naruszał prawa. Oszukanie maître d' to praktycznie służba publiczna.

Raz jeszcze przyjrzał się obrazkowi. Hm... Jak taki człowiek pisze własne nazwisko?

Hm... Litery zamaszyste, ale niewielkie... taki pewnie jest charakter pisma Reachera Gilta. Prezes jest tak elegancki, tak towarzyski, ma tak otwartą osobowość, że ktoś znający się na takich sprawach musi się zastanawiać, czy to nie kolejny odprysk szkła próbuje błyszczeć jak diament. A istota oszustwa polega na tym, by dzięki fałszywym sugestiom i wyborze właściwej chwili sprawić, że szkło bardziej będzie przypominało diament niż sam diament.

W każdym razie warto spróbować. Przecież nie planuje żadnego szwindlu, nie w ścisłym sensie.

Hm... Małe, ale zamaszyste, tak... Ale ktoś, kto nigdy nie widział pisma tego człowieka, spodziewałby się raczej liter ekstrawagancko dużych i zakręconych, jak on sam.

Moist zbliżył pióro do papieru... i napisał:

*Maître d'
Le Jaie Heureux*

Byłbym niezwykle wdzięczny, gdyby dzisiaj o ósmej znalazł pan stolik dla mojego dobrego przyjaciela, pana Lipwiga, i jego damy.

Reacher Gilt

Niezwykle wdzięczny – to dobre. Reacher Gilt pewnie rozrzuca napiwki jak pijany marynarz.

Moist złożył list i właśnie adresował kopertę, gdy weszli Stanley i Groat.

– Ma pan list, panie Lipwig – oznajmił z dumą Stanley.

– Owszem, tutaj...

– Nie, chodziło mi o to, że przyszedł do pana – sprostował chłopak.

Wymienili się kopertami. Moist zerknął na otrzymaną i otworzył ją kciukiem.

– Mam złe wieści, sir – poinformował Groat, kiedy Stanley wyszedł.

– Hm... – mruknął Moist, wpatrując się w list.

*Poczmistrzu,
linia sekarowa do Pseudopolis będzie miała awarię jutro o
dziewiątej rano.
Dymiące Gnu*

– Tak jest, sir. Poszedłem do biura dylizansów – ciągnął Groat – i powtórzyłem im to, co pan mówił, sir. A oni powiedzieli, żeby pan pilnował swoich spraw, bardzo będą wdzięczni, a oni przypilnują swoich.

– Hm – powtórzył Moist, wciąż oglądając list. – No, no... Słyszał pan o kimś, kto nazywa się „Dymiące Gnu”, panie Groat?

– A co to jest gnu, sir?

– Chyba taka trochę niebezpieczna krowa – wyjaśnił Moist. – Ehm... Co pan mówił o tych ludziach od dylizansów?

– Napyskowali mi, sir – oświadczył Groat. – Powiedziałem im, powiedziałem, że jestem wicenaczelnym poczmistrzem, a oni na to: „I co z tego?”, sir. Więc im powiedziałem, że wszystko panu powtórzę, a oni... chce pan wiedzieć, co oni wtedy, sir?

– Hm. Nie mogę się doczekać, Tolliverze... – Moist raz po raz przebiegał wzrokiem po dziwnym liście.

– Powiedzieli: „Tak, akurat”, sir – rzekł Groat, promieniejący sprawiedliwym gniewem.

– Zastanawiam się, czy pan Trooper znajdzie dla mnie chwilę – mruczał Moist, wpatrując się w sufit.

– Przepraszam, sir...

– Och, nic takiego. Może lepiej pójdę i sam z nimi porozmawiam. Niech pan mi znajdzie pana Pompe, dobrze? I przekaże mu, żeby przyprowadził jeszcze ze dwa golemi. Chcę... wyrzucić odpowiednie wrażenie.

* * *

Odpowiadając na stukanie, Igor otworzył drzwi frontowe.

Nikogo nie zobaczył. Wyszedł za próg i rozejrzał się po ulicy.

Nikogo nie zobaczył...

Wrócił do środka i zamknął za sobą drzwi – a nikt stał już w korytarzu, kapiąc wodą z czarnej peleryny, zdejmując kapelusz z płaskim rondem.

– Ach, pan Gryle, fir – zwrócił się do niego Igor. – Powiniennem fię domyflić, że to pan.

– Reacher Gilt mnie wzywał – odparł pan Gryle. Było to raczej technienie niż głos.

Klan Igorów już wiele pokoleń temu wyeliminował u siebie wszelką skłonność do drżenia, co bardzo się teraz przydało. Igor czuł się nieswojo w obecności Gryle'a i jemu podobnych.

– Jafnie pan oczekuje... – zaczął.

Ale nikogo już nie zobaczył.

Nie polegało to na magii, a Gryle nie był wampirem. Igory potrafią zauważyć takie rzeczy. Po prostu niczego nie miał za wiele – ani ciała, ani czasu, ani słów. Nie dało się wyobrazić sobie Gryle'a kolekcjonującego szpilki, rozkoszującego się kieliszkiem wina czy nawet wymiotującego po zepsutym paszteciku. Wizja tego, jak myje zęby albo śpi, absolutnie nie potrafiła się w myślach uformować. Sprawiał wrażenie, jakby z trudem powstrzymywał się od zabicia rozmówcy.

Zamyślony Igor zszedł do swojego pokoiku obok kuchni i sprawdził, czy jego nieduża skórzana torba jest zapakowana – na wszelki wypadek.

W gabinecie Reacher Gilt nalał sobie małą brandy. Gryle rozglądał się oczami, które chyba niezbyt dobrze się czuły wśród ograniczonych horyzontów zamkniętego pomieszczenia.

– A dla ciebie? – zapytał Reacher Gilt.

– Woda – odparł Gryle.

– Spodziewam się, że wiesz, o co tu chodzi.

– Nie.

Gryle nie należał do takich, którzy lubią swobodne pogaduszki, czy też – jeśli się zastanowić – jakiegokolwiek pogaduszki.

– Czytałeś azety?

– Nie czytam.

– Ale wiesz o Urzędzie Pocztowym?

– Tak.

– Skąd, jeśli wolno spytać?

– Chodzą słuchy.

Gilt nie dyskutował. Pan Gryle miał szczególny talent, a jeśli w formie dodatków do niego prezentował jakieś drobne dziwactwa, niech tak będzie. Poza tym był godny zaufania – był kimś, kto nie uznaje rozwiązań pośrednich. Nigdy by nikogo nie szantażował, ponieważ taka próba byłaby pierwszym posunięciem w grze, która niemal na pewno skończy się czyjąś śmiercią. Jeśli pan Gryle miałby brać w niej udział, zabiłby od razu, bez zastanowienia, żeby

zaoszczędzić na czasie. I zakładał, że tak postąpiłby każdy. Prawdopodobnie był szalony według zwykłych ludzkich norm, choć trudno to wykryć; można chyba użyć określenia „normalny inaczej”. W końcu Gryle potrafiłby pewnie w ciągu dziesięciu sekund pokonać wampira, a przy tym nie miał żadnych wampirzych słabości – z wyjątkiem może niezwyklego zamiłowania do gołębi. Okazał się cennym znaleziskiem.

– I niczego pan nie odkrył na temat pana Lipwiga? – spytał Gilt.

– Nie. Ojciec nie żyje. Matka nie żyje. Wychowany przez dziadka. Posłany do szkoły. Prześladowany. Uciekł. Zniknął.

– Hm... Ciekawe, gdzie się podziewał przez ten czas. Albo kim był.

Gryle nie marnował oddechu na retoryczne pytania.

– Jest... niewygodny – rzekł Reacher Gilt.

– Zrozumiano.

I na tym polegał cały urok Gryle’a. Rozumiał. Rzadko wymagał polecenia, należało jedynie określić problem. Fakt prezentacji problemu właśnie Gryle’owi był gwarancją tego, jakie będzie rozwiązanie.

– Budynek Urzędu Pocztowego jest stary i pełen papieru. Bardzo suchego papieru – oświadczył Gilt. – Byłoby godne pożalowania, gdyby taka piękna budowla spłonęła.

Gryle miał jeszcze jedną zaletę – naprawdę niewiele mówił. A już zwłaszcza nie mówił o dawnych czasach i wszystkich innych prostych rozwiązaniach, jakich dostarczył kiedyś Reacherowi Giltowi. I nigdy nie mówił niczego w stylu „O co panu chodzi?”. Rozumiał.

– Potrzebne tysiąc trzysta dolarów – powiedział.

– Oczywiście – zgodził się Gilt. – Prześlę sekarem na pańskie konto...

– Wezmę gotówkę – przerwał mu Gryle.

– Złoto? Nie trzymam tyle przy sobie... Zdobędę w ciągu kilku dni, oczywiście, ale wydawało mi się, że preferuje pan...

– Nie ufam teraz semaforom.

– Ale nasze szyfry są bardzo dobrze...

– Nie ufam teraz semaforom – powtórzył Gryle.

– Jak pan sobie życzy.

– Rysopis – powiedział Gryle.

– Nikt jakoś nie pamięta, jak on wygląda – odparł Gilt. – Ale zawsze nosi taką dużą złotą czapkę ze skrzydłami i ma mieszkanie w tamtym budynku.

Przez chwilę coś zamigotało na wąskich wargach Gryle’a – to był uśmiech, przerażony, że znalazł się w tak obcym miejscu.

– Czy umie latać?

– Niestety, nie zdradza na ogół chęci wspinania się na duże wysokości.

Gryle wstał.

– Zrobię to dziś wieczorem.

- Pracowity człowiek. A raczej...
- Zrozumiano – rzekł Gryle.

Rozdział dziewiąty

Ognisko

Tłuczek i Rurka – Gladys wygrywa – Godzina umarłych – Irracjonalny lęk przed szpinakiem w zębach – „Porządna bójka nie zdarza się sama” – Jak ukradziono Pień – Trudna Chwila Stanleya – Etykieta noży – Twarzą w twarz – Pożar

Dylichansy przetrwały upadek i katastrofę Urzędu Pocztowego, ponieważ musiały. Konie wymagały karmienia. Zresztą dylichansy zawsze woziły pasażerów. Sale ucichły, kandelabry zniknęły razem ze wszystkim innym, nawet tym, co było przybite do podłogi, ale z tyłu, na wielkim dziedzińcu, wciąż dylichansy wyruszały na swoje trasy. Same powozy nie zostały naprawdę skradzione ani naprawdę odziedziczone... zwyczajnie przedryfowały w posiadanie swoich woźniców.

Potem, według Groata, który uważał się za strażnika wszelkiej pocztowej wiedzy, pozostali woźnicy zostali wykupieni przez Dużego Jima Ciagle Stoi Upwrighta za pieniądze, które wygrał, stawiając na siebie w walce na gołe pięści z Haroldem Wieprzem Bootsem. I teraz interes prowadzili jego synowie, Harry Tłuczek Upwright i Mały Jim Rurka Upwright.

Moist domyślał się, że niezbędne będzie ostrożne podejście.

Osią czy też centrum nerwowym całego dylichansowego interesu była duża szopa obok stajni. Pachniała... nie, śmierdziała... nie, potwornie cuchnęła końmi, skórą, lekami weterynaryjnymi, marnym węglem, brandy i tanimi cygarami. Ten cuch można było kroić w kostki i sprzedawać jako niedrogi materiał budowlany.

Kiedy Moist wszedł, potężny mężczyzna, niemal kulisty od licznych warstw kamizelek i kurtek, ogrzewał sobie siedzenie przy huczącym piecyku. Drugi, bardzo zbliżony kształtem, zaglądał mu przez ramię. Obaj byli skupieni na jakiejś kartce.

Najwyraźniej trwała dyskusja na temat personelu, ponieważ ten przy ogniu mówił właśnie:

– ...no więc jeśli jest chory, wsadźcie na nocny kurs młodego Alfreda i... – Przerwał, kiedy zauważył Moista. – Słucham pana. Co mogę dla pana zrobić?

– Wozić moje worki z pocztą – odparł Moist.

Patrzyli na niego... a potem człowiek, który przypiekał sobie siedzenie, rozciągnął wargi w uśmiechu. Jim i Harry Upwrightowie mogliby być bliźniakami. Obaj byli wielcy i wyglądali jak zbudowani z wieprzowiny i boczku.

– Jesteś pan tym błyszczącym nowym poczmistrzem, o którym słyszeliśmy?

– Zgadza się.

– No tak, pana człowiek już tutaj był – stwierdził przypiekacz. – Gadał i gadał, że powinniśmy zrobić to czy tamto, ale ani razu nie wspomniał o cenie!

– Cenie? – Moist rozłożył ręce i promiennie się uśmiechnął. – I tylko o to chodzi? Łatwa sprawa, całkiem łatwa. – Otworzył drzwi i zawołał: – W porządku, Gladys!

W ciemności na dziedzińcu rozległy się jakieś krzyki, a potem trzask drewna.

– Coś pan zrobił, do demona? – zdziwił się sferyczny mężczyzna.

– Moja cena jest taka: zgodzicie się wozić moją pocztę, a za to nikt nie wyrwie następnego koła z tego tam powozu. I nie mogę obiecać więcej.

Potężny przypiekacz ruszył ku niemu, sapiąc gniewnie, ale drugi chwycił go za kapotę.

– Spokojnie, Jim – powiedział. – On robi dla rządu i zatrudnia u siebie golemy.

Jakby na dany na sygnał, do pokoiku wszedł pan Pompa, schylając się, by przejść przez drzwi. Jim rzucił mu niechętnie spojrzenie.

– Nie wystraszą mnie – oświadczył. – Nie wolno im krzywdzić ludzi!

– Błąd – stwierdził Moist. – Prawdopodobnie śmiertelny błąd.

– No to wezwiemy na pana straż – uznał Harry Upwright, wciąż przytrzymując brata. – Przepisowo i oficjalnie. I co pan na to powiesz?

– Dobrze, wołajcie straż – zgodził się Moist. – Powiem im, że odzyskuję skradzioną własność. – Podniósł głos. – Gladys!

Z zewnątrz znów dobiegł trzask.

– Skradzioną? Te powozy są nasze! – zawołał Harry.

– Znowu błąd, obawiam się – rzekł Moist. – Panie Pompa?

– Dylizanse Pocztove Nigdy Nie Zostały Sprzedane – zahuczał Golem. – Są Własnością Urzędu Pocztowego. Nie Wnoszą Żadnych Opłat Za Korzystanie Z Własności Urzędu Pocztowego.

– No jasne! Mam tego dość! – ryknął Jim i odepchnął brata.

Pięści pana Pompy uniosły się natychmiast.

Świat znieruchomiał.

– Zaczekaj, Jim, wstrzymaj się jeszcze chwilę – powiedział ostrożnie Harry Upwright. – W co pan tu gra, panie poczmistrzu? Dylizansy zawsze woziły też pasażerów, tak? A potem nie było już poczty do zabierania, ale ludzie dalej chcieli podróżować, a te dylizansy po prostu sobie stały, a konie potrzebowały, żeby je ktoś nakarmił, no więc nasz tato kupił obrok i zapłacił rachunki od weterynarza, i nikt...

– Weźcie tylko moją pocztę – powiedział Moist. – To wszystko. Każdy dylizans zabiera worki z pocztą i zostawia je tam, gdzie powiem. Nic więcej. Powiedzcie, gdzie dzisiaj zrobicie lepszy interes, co? Możecie spróbować szczęścia i powołać się u Vetinarięgo na prawo znalazcy, ale rozstrzygnięcie tej sprawy chwilę potrwa, a wy tymczasem stracie całe te przyjemne dochody... Nie? W porządku, Gla...

– Nie, czekaj pan! – powstrzymał go Harry. – Tylko worki pocztowe? To wszystko?

– Co?! – oburzył się Jim. – Chcesz się z nim dogadywać? Czemu? Wiesz, jak to się mówi: co trzymam w garści, to moje, tak?

– A ja trzymam u siebie wiele golemów, panie Upwright – odparł Moist. – Natomiast pan nie trzyma w garści żadnych nadań, świadectw ani dowodów sprzedaży.

– Tak? A pan zaraz będziesz własne zęby trzymał w garści! – Jim ruszył naprzód.

– Spokojnie, spokojnie! – Moist stanął przed panem Pompą i uniósł rękę. – Proszę nie zabijać mnie znowu, panie Upwright.

Obaj bracia zdziwili się wyraźnie.

– Przysięgam, że Jim nie tknął pana nawet palcem, i to jest szczerą prawdą – oświadczył Harry. – Co to za gra?

– Ależ tak, Harry – zapewnił Moist. – Stracił panowanie nad sobą, przyłożył mi, poleciałem, uderzyłem głową o tę starą ławę, o tam, wstałem, nie wiedząc, gdzie, do demona, jestem, ty próbowałaś odciągnąć Harry'ego, on walnął mnie krzesłem, tym właśnie, które tam stoi, i padłem znów, tym razem na dobre. Golemy cię złapały, Harry, a Jim uciekł, ale straż wytropiła go w Sto Lat. Och, jakież sceny, jakież pościgi, a wy obaj trafiliście na Tanty, obaj z zarzutem morder...

– Ale przecież ja pana nie walnąłem tym krzesłem! – zaprotestował Harry, szeroko otwierając oczy. – To był Ji... Zaraz, moment...

– ...i tego ranka pan Trooper przymierzył was do ostatniego krawata, a potem obaj staliście w tym pokoiku pod szubienicą, wiedząc, że straciliście interes, straciliście swoje powozy, straciliście piękne konie, a za dwie minuty...

Moist pozwolił, by ostatnie zdanie zawisło w powietrzu.

– I...? – szepnął Harry.

Obaj bracia wpatrywali się w poczmistrza z wyrazem przerażonej dezorientacji, która – jeśli zagranie się nie uda – w ciągu pięciu sekund zmieni się we wściekłość. Muszą być stale wytrąceni z równowagi, to tylko pozwoli coś osiągnąć.

Moist policzył w myślach do czterech i uśmiechnął się rozkosznie.

– A potem zjawił się anioł – powiedział.

* * *

Dziesięć minut może wiele zmienić. Wystarczy do zaparzenia dwóch kubków herbaty, tak mocnej, że można by ją rozsmarować na chlebie.

Bracia Upwright prawdopodobnie nie wierzyli w anioły. Ale wierzyli w bujdy i słuchali ich z zachwytem, jeśli tylko były opowiadane z klasą. Jest taki typ ciężkiego, pracującego pod gołym niebem człowieka, który nie ma cierpliwości do różnych kanciarzy i oszustów, ale chętnie będzie oklaskiwał każdego, kto najbardziej wierutne kłamstwo opowie z błyskiem w oku.

– Zabawne, że akurat dzisiaj pan przyszedłeś – rzekł Harry.

– Tak? A czemu?

– Bo po południu trafił tu facet z Wielkiego Pnia i zaproponował duże pieniądze za ten interes. Za duże, można powiedzieć.

Aha, pomyślał Moist. Coś się zaczyna...

– Ale pan, panie Lipwig, proponujesz nam tylko nieuprzejmość i groźby – stwierdził Jim.
– Może byś pan podniósł ofertę?

– Dobra. Większe groźby – odparł Moist. – No, dorzucę jednak malowanie każdego powozu gratis. Bądźcie rozsądni, panowie. Mieliście łatwą jazdę, lecz teraz wróciliśmy do akcji. A wy macie robić to, co robiliście zawsze, plus dodatkowo wozić moją pocztę. Decydujcie się. Czekam na mnie pewna dama, a wiecie, że nie należy pozwalać damie czekać. Co odpowiecie?

– Ona jest aniołem? – zainteresował się Harry.

– On pewnie ma nadzieję, że nie, he, he, he. – Jim śmiał się tak, jakby byk próbował odchrząknąć.

– He, he – zgodził się Moist z powagą. – Zabierajcie tylko worki, panowie. Urząd Pocztowy wyrusza w świat, a to wy możecie siedzieć na koźle.

Bracia porozumieli się wzrokiem. Po czym się uśmiechnęli. Był to jeden uśmiech rozciągnięty na dwie błyszczące od potu, czerwone twarze.

– Naszemu tacie byś się pan spodobał – uznał Jim.

– Ale pewne jak demon, że nie spodobałyby mu się te dranie z Wielkiego Pnia – dodał Harry. – Trzeba ich trochę przyciąć, panie Lipwig, a mówią, że pan jesteś właściwym człowiekiem.

– Ludzie giną na tych wieżach – oświadczył Jim. – Widzimy to, wiesz pan. Wieże stoją wzdłuż traktów dyliżansów. Mieliśmy kiedyś kontrakt na dowożenie chłopaków do wież, tośmy słyszeli, co mówią. Dawniej mieli godzinę dziennie, kiedy zamykali cały Pień na konserwację.

– Godzina umarłych, tak to nazywali – powiedział Harry. – Tuż przed świtem. Wtedy umierają ludzie.

* * *

Linia świateł biegnąca przez cały kontynent, paciorki w mroku przedświt... Oto na obu końcach Wielkiego Pnia zaczyna się godzina umarłych, przesłony z obu stron przekazują ostatnie wiadomości i nieruchomieją jedna po drugiej.

Ludzie z obsługi szczylicili się tym, jak szybko potrafią przestawić swoje wieże z czarno-białych transmisji dziennych na ciemno-jasne nocne. Przy dobrej pogodzie załatwiali to niemal bez przerw w pracy, trzymając się rozkołysanych drabinek wysoko nad ziemią, gdy wokół nich terkotały i stukały przesłony. Istnieli bohaterowie, którzy w ciągu minuty zapalali wszystkie szesnaście lamp dużej wieży, zjeżdżając po drabinach, bujając się na linach, utrzymując wieżę żywą. „Żywa” – takiego używali określenia. Nikt nie chciał mieć ciemnej wieży, nawet przez chwilę.

Godzina umarłych to co innego. Była to jedna godzina przeznaczona na naprawy, wymianę elementów, może nawet jakąś robotę papierkową. Głównie jednak wymiany. Prawdziwej zręczności wymagało naprawienie przesłon wysoko na wieży, kiedy dygotała od uderzeń wiatru, a krew z zimna tężała w palcach. O wiele łatwiej jest wyciągnąć je i opuścić na ziemię, a na miejsce wsunąć zapasowe. Ale kiedy czas się kończy, pojawia się pokusa, by zaryzykować na wietrze i uwolnić te piekielne przesłony ręcznie.

Czasami wiatr wygrywał. W godzinie umarłych ludzie umierali.

A kiedy ktoś ginął, odsyłali go sekarami do domu.

* * *

Moist rozdziawił usta.

– Co?

– Tak to nazywają – wyjaśnił Harry. – Nie dosłownie, oczywiście. Ale przesyłają jego imię od jednego końca Pnia na drugi, i kończą w wieży najbliższej jego domu.

– Tak, ale mówią, że czasem taki człowiek zostaje jakoś w wieżach – dodał Jim. – „Życie w narzucie systemowym”, tak to nazywają.

– Ale zwykle są narąbani, kiedy to mówią – zauważył Harry.

– Tak, zwykle narąbani, to przyznaję – zgodził się jego brat. – Za bardzo nimi orają. Teraz nie ma już godziny umarłych, dostają tylko dwadzieścia minut. Zatrudniają mniej ludzi. Zwykle w oktodni pracowali wolniej, teraz przez cały czas z pełną szybkością, tyle że wieże się psują. Widzieliśmy chłopaków, którzy wychodzą z tych wież, przewracając oczami, ręce im się trzęsą i nie umieją odróżnić ranka od wieczora. Wariują tam. Co? Jak demony!

– Tylko że oni od początku są zwariowani. Trzeba być wariatem, żeby pracować w tych wieżach.

– No to wariują tak, że nawet normalnie zwariowani uważają ich za wariatów.

– To fakt. Ale i tak zawsze wracają. Sekary ściągną ich z powrotem. Sekary władają nimi, przesiadają im w dusze – oświadczył Harry. – Firma prawie nic im nie płaci, ale założę się, że tkwiliby w tych wieżach i za darmo.

– Wielki Pień napędzany jest teraz krwią... odkąd przejęła go ta nowa banda – westchnął Jim. – Zabija ludzi dla pieniędzy.

Harry dopił herbatę.

– Nie chcemy mieć z tym nic wspólnego – rzekł. – Będziemy wozić pańską pocztę, panie Lipwig, mimo że nosisz pan tę swoją głupią czapkę.

– Powiedźcie – odezwał się Moist – słyszeliście kiedyś nazwę Dymiące Gnu?

– Nie wiem za wiele – odpowiedział Jim. – Paru chłopaków wspomniało kiedyś o nich. Jacyś nielegalni sygnaliści czy jak... Mają coś wspólnego z narzutem.

– Co to jest ten narzut? Eee... umarli w nim żyją?

– Panie Lipwig, my tylko słuchamy – odparł Jim. – Gadamy z nimi miło i grzecznie, bo kiedy schodzą z wież, są tak nieprzytomni, że wleźliby człowiekowi pod koła...

– To przez kołysanie od wiatru – wyjaśnił Harry. – Chodzą jak marynarze.

– Właśnie. Narzut systemowy? No więc oni mówią, że wiele wiadomości, jakie przekazują sekary, dotyczy samych sekarów, jasne? Polecenia z firmy, wiadomości robocze, wiadomości o wiadomościach...

– ...imiona martwych ludzi... – dodał Moist.

– No tak, one też. No i Dymiące Gnu też gdzieś tam jest – dokończył Jim. – Tyle wiem. Powożę dylizansami, panie Lipwig. Nie jestem taki bystry jak ci w wieżach. Ha... Jestem tak głupi, że wolę stąpać twardo po ziemi!

– Opowiedz panu Lipwigowi o Wieży 93 – zaproponował Harry. – Aż ciarki przechodzą.

– No... Słyszałeś pan o niej? – spytał Jim, zerkając chytrze na Moista.

– Nie. A co się stało?

– Tylko dwóch ludzi tam było, chociaż powinno być trzech. Jeden wyszedł na wichurę, żeby odblokować zaciętą przesłonę, czego nie powinien robić, spadł, a lina bezpieczeństwa owinęła mu się na szyi. Więc ten drugi pobiegł go wyciągnąć, bez liny bezpieczeństwa, czego nie powinien robić, i uważają, że zdmuchnęło go z wieży.

– To okropne – przyznał Moist. – Ale nie takie, żeby ciarki przechodziły.

– Aha, chcesz pan tego kawałka z ciarkami? Dziesięć minut po tym, jak już obaj nie żyli, wieża nadała wezwanie pomocy. Posłane ręką martwego. – Jim wstał i wcisnął na głowę trójgraniasty kapelusz. – Mój dylizans musi wyjechać za dwadzieścia minut, panie Lipwig. Miło było poznać, panie Lipwig. – Otworzył szufladę odrapanego biurka i wyjął kawał ołowianej rurki. – To dla zbójów – wyjaśnił, po czym wyjął dużą, srebrną, płaską butelkę. – A to dla mnie – dodał z wyraźną większą satysfakcją. – Co? Jak demony!

A wydawało mi się, że to Urząd Pocztowy jest pełen wariatów, pomyślał Moist.

– Dziękuję – powiedział, wstając. I wtedy przypomniał sobie o dziwnym liście w kieszeni. Może jednak do czegoś się przyda? – Macie kurs, który zatrzymuje się jutro w Pseudopolis?

– Tak, o dziesiątej – potwierdził Harry.

– Przygotujemy dla niego worek.

– Warto? – zdziwił się Jim. – To ponad pięćdziesiąt mil, a słyszałem, że naprawili już Pień. Ten dyliżans ma sporo przystanków, dojedzie tam dopiero przed zmrokiem.

– Musimy się starać, Jim – odparł Moist.

Woźnica spojrzał na niego z lekkim błyskiem w oku, co sugerowało, że domyśla się, iż Moist coś planuje. Ale powiedział tylko:

– Przyznaję, twardo pan walczysz, panie Lipwig. Dobra, zaczekamy na ten pański worek i życzę szczęścia. Muszę już lecieć.

– Jaki kurs pan prowadzi? – spytał Moist.

– Pierwsze dwa odcinki nocnego ekspresu do Quirmu, wyjazd o siódmej. Jeśli ciągle ma wszystkie koła.

– Już prawie siódma?

– Za dwadzieścia.

– Spóźnię się!

Obaj woźnice patrzyli, jak pędzi przez dziedziniec, a za nim podążają wolno pan Pompa i Gladys.

Jim w zadumie wciągnął grube skórzane rękawice.

– Wiesz, jak czasem nachodzi człowieka takie dziwne uczucie? – zwrócił się do brata.

– Chyba wiem, Jim.

– I też ci się zdaje, że sekary nawalą jutro gdzieś między tutaj a Pseudopolis?

– Zabawne, że o tym wspominasz, Jim. Chociaż sądząc po tym, co się ostatnio działo, szansa na to jest i tak dwa do jednego. Może on lubi hazard, Jim?

– Taa... – mruknął Jim. – Tak, co? Jak demony!

* * *

Moist zrzucił złocisty strój. Był dobry jako reklama, trudno zaprzeczyć, a kiedy miał go na sobie, czuł, że styl wylewa mu się uszami. Ale iść w czymś takim pod Załatany Bęben... To jakby ogłaszał, że chce oberwać stołkiem w głowę, a o tym, co wtedy wypłynie mu przez uszy, naprawdę lepiej nie myśleć.

Rzucił skrzydlatą czapkę na łóżko i wciągnął na siebie drugi uszyty przez golema garnitur. Prosił o coś ciemniejszego... Trzeba przyznać, że golemowi krawcy realizowali zamówienia – materiał był tak czarny, że gdyby przyprószyć go gwiazdami, sowy by na niego

wpadały. Moist potrzebował więcej czasu, ale Adora Belle Dearheart raczej nie była osobą, której można kazać na siebie czekać.

– Świetnie pan wygląda, sir – zapewnił Groat.

– Dziękuję, dziękuję... – Moist zmagął się z krawatem. – Pan tu teraz dowodzi, panie Groat. Wieczorem powinno być spokojnie. I proszę pamiętać, jutro od samego rana cała poczta do Pseudopolis po dziesięć pensów od sztuki. Jasne?

– Jak pan każe, sir. Czy mogę teraz nosić czapkę? – poprosił Groat.

– Co? Co? – Moist patrzył w lustro. – Proszę spojrzeć, czy nie mam szpinaku między zębami.

– A Czy Jadł Pan Dzisiaj Szpinak? – spytał pan Pompa.

– Nie jadłem szpinaku, odkąd byłem już dość duży, żeby pluć – odparł Moist. – Ale w takich chwilach ludzie zawsze się o to martwią. Myślałem, że zwyczajnie jakoś się pojawił. No wiesz... jak mech. O co pytałeś, Tolliverze?

– Czy mogę nosić czapkę, sir? – powtórzył cierpliwie Groat. – Jako że jestem pana zastępcą, a pan właśnie wychodzi, sir.

– Przecież urząd jest zamknięty!

– Tak, ale... No bo... po prostu chciałbym nosić tę czapkę. Na jakiś czas, sir. Tylko trochę, sir. Jeśli to panu nie przeszkadza. – Groat przestąpił z nogi na nogę. – Znaczący, przecież ja mam tutaj zarządzać...

Moist westchnął.

– Tak, oczywiście, panie Groat. Może pan nosić moją czapkę. Panie Pompa?

– Tak, Panie Lipvig?

– Wieczorem rządzi tutaj pan Groat. I nie chodź za mną, proszę.

– Nie, Nie Pójdę. Mój Wolny Dzień Zaczyna Się Teraz. Dla Nas Wszystkich. Powrócimy Jutro O Zachodzie Słońca – poinformował golem.

– Ach, tak. – Jeden dzień wolnego w tygodniu, mówiła panna Dearheart. To między innymi odróżnia golem od młotków. – Wolałbym tylko, żebyście mnie wcześniej uprzedzili, wiesz... Trochę będzie nam brakowało personelu.

– Był Pan Powiadomiony, Panie Lipvig.

– Tak, tak. Takie są zasady. Chodzi tylko o to, że jutrzejszy dzień będzie...

– Proszę się o nic nie martwić, sir – uspokoił go Groat. – Niektórzy z tych chłopców, których przyjąłem dziś do pracy, sir, to synowie listonoszy, sir. I wnukowie. Nie ma problemu, sir. Wszyscy będą jutro doręczać.

– Aha. Dobrze. No to świetnie. – Moist znów poprawił krawat. Czarny krawat na czarnej koszuli pod czarną marynarką niełatwo jest choćby znaleźć. – Jak wyglądam, panie Pompa? Szpinak nadal nie zaatakował? Idę na spotkanie z damą.

– Tak, Panie Lipvig. Z Panną Dearheart – odparł spokojnie golem.

– Skąd wiesz?

– Wykrzyczał Pan To W Obecności Około Stu Osób, Panie Lipvig. My... To Znaczy, Panie Lipvig, Wszystkie Golemy... Chcielibyśmy, Żeby Panna Dearheart Była Osobą Bardziej Szczęśliwą. Miała Bardzo Wiele Zmartwień. Szuka Kogoś, Kto...

– ...ma zapalniczkę? – przerwał mu szybko Moist. – Skończ w tym miejscu, panie Pompa, bardzo proszę. Kupidyny to takie... małe bobasy z nadwagą i w pieluchach. A nie wielkie gliniane osobniki.

– Anghammarad Mówi, Że Przypomina Mu Lełę, Boginię Wulkanów, Która Dymi Bez Przerwy, Ponieważ Bóg Deszczów Napadał Na Jej Lawę – ciągnął golem.

– Tak, ale kobiety zawsze się skarżą na takie rzeczy – odparł Moist. – Dobrze wyglądam, panie Groat, prawda?

– Och, sir – powiedział Groat. – Nie sądzę, żeby Moist von Lipwig kiedykolwiek musiał się denerwować, gdy idzie na spotkanie z młodą damą. Prawda?

Cóż, gdyby się chwilę zastanowić, właśnie tak, myślał Moist, idąc przez zatłoczone ulice. Przecież nigdy jeszcze nie szedł na spotkanie z młodą damą. Ani razu, przez wszystkie te lata. Pewnie, Albert i cała reszta spotykali ich setki i mieli z tego wiele zabawy, w tym raz także zwichnięcie szczęki, co jest zabawą w stylu zupełnie niezabawnym. A on – nigdy. Zawsze ukrywał się za fałszywym wąsikiem, okularami czy po prostu fałszywą tożsamością. Teraz znowu czuł się jak nagi i zaczynał żałować, że zostawił swój złocisty strój.

Kiedy dotarł do Załatanego Bębna, przypomniał sobie, czemu to zrobił.

Ludzie często mu powtarzali, że Ankh-Morpork jest teraz o wiele bardziej cywilizowane. Że gildie i straż wspólnie panują nad sytuacją w stopniu dostatecznym, by zagwarantować, że napad podczas załatwiania swoich zwyczajnych spraw w Ankh-Morpork stał się jedynie możliwością, a nie czymś oczywistym, jak kiedyś. A ulice były teraz tak czyste, że czasem dało się nawet zobaczyć ulicę.

Ale Załatany Bęben pozostał niezawodny. Jeśli ktoś nie wypadł akurat tyłem przez drzwi i nie runął na bruk, kiedy człowiek tamtędy przechodził, to znaczyło, że coś niedobrego dzieje się ze światem.

Wewnątrz trwała bójka. Mniej więcej. Ale i tutaj nastąpił rozwój, przynajmniej w pewnym sensie. Dzisiaj nie można już było tak po prostu kogoś wyciągnąć i przyłożyć mu toporem. Ludzie mieli pewne oczekiwania wobec barowych bójek. Wchodząc, Moist minął sporą grupę mężczyzn złamanonosej i jednouchej proveniencji, którzy pochyleni ku sobie, naradzali się nerwowo.

– Jeszcze raz, Bob, którego kawałka nie zrozumiałeś? To kwestia stylu, jasne? Porządna bójka nie zdarza się sama. Nie możecie się wszyscy rzucać razem, już nie. No więc Dave Ostryga... włóż z powrotem hełm, Dave... będzie nieprzyjacielem z przodu, a Bazalt, który nie potrzebuje hełmu, jak wiemy, będzie nieprzyjacielem podchodzącym z tyłu. W porządku, przeszliśmy już poza pięści, powiedzmy, że ten oto Polewa wykonał już swój numer z Wymachem Ławą, było trochę tańca z nożami, odrobiliśmy całą scenę Huśtania na

Żyrandolu, bla, bla, bla. I wtedy Drugi Stołek... to właśnie ty, Bob... wchodzisz szybko między Numer Piąty i Butelkarza, bierzesz stołkiem zamach nad głową o tak... przepraszam, Szpicu... a potem walisz nim prosto w Numer Piąty, trach, łup i masz w kieszeni tłuściutkie sześć punktów. Jeśli na Numer Piąty zagrają krasnoluda, stołek nawet go nie spowolni, ale nie łam się, trzymaj oba kawałki, które ci jeszcze zostały w rękach, odczekaj chwilę, aż podejdziesz bliżej, a potem walnij go z obu stron po uszach. Nie znoszą tego, jak może potwierdzić obecny tu Wręcemocny. Następne trzy punkty. Potem przejdziemy pewnie do stylu dowolnego, ale chciałbym, kiedy już zacznie się znowu na pięści, żebyście wszyscy, nie wyłączając Paskudy Micka i Chrupa, spróbowali Podwójnego Andrew. Pamiętacie? Wpadacie na siebie plecami, odwracacie się, żeby przyłożyć temu drugiemu, moment przerwy na humorystyczne rozpoznanie, potem łapiecie się lewymi rękami, robicie młynek i trafiacie w atakującego tego drugiego, ręką czy nogą, to wasz wybór. Piętnaście punktów od razu, jeśli tylko uda się wam to płynnie rozegrać. Aha, i pamiętajcie, że mamy dyżurnego Igora, więc jeśli odrąbią wam rękę, spróbujcie ją podnieść i przywalcie nią komuś. To zawsze budzi wesołość i daje dwadzieścia punktów. A skoro już o tym mowa, pamiętajcie, co mówiłem, żeby wytatuować na niej swoje imię, jasne? Igory robią, co mogą, ale szybciej staniecie na nogach, jeśli ułatwicie im życie, a co ważniejsze, to będą wasze własne nogi. W porządku, wszyscy na miejsca, powtórzmy to jeszcze raz...

Moist przesunął się bokiem obok grupy i rozejrzał po wielkiej sali. Najważniejsze, żeby nie zwalniać. Zwalnianie przyciąga uwagę.

Zobaczył nad tłumem cienką smużkę dymu i zaczął przeciskać się w tamtą stronę.

Panna Dearheart siedziała sama przy malutkim stoliku, z malutkim drinkiem przed sobą. Nie mogła tu czekać zbyt długo – jedyne stojące obok krzesło było jeszcze niezajęte.

– Często pani tu przychodzi? – zapytał Moist, siadając na nim szybko.

Panna Dearheart uniosła brwi na jego widok.

– Tak. Dlaczego nie?

– No, ja... Podejrzewam, że dla samotnej kobiety to niezbyt bezpieczne.

– Jak to? Przy tylu silnych mężczyznach gotowych mnie bronić? Może pan przyniesie sobie coś do picia.

Moist przedostał się w końcu do baru – rzucając na podłogę garść drobnych monet. To zwykle zmniejszało trochę ścisk.

Kiedy wrócił, jego miejsce zajmował Chwilowo Przyjazny Pijak. Moist znał ten typ, a kluczowym słowem w opisie było „chwilowo”. Panna Dearheart odsuwała się, by uniknąć jego awansów, a bardziej prawdopodobnie jego oddechu.

Moist usłyszał znajomy zew godowy obficie podlanych alkoholem.

– Sso... tak? No bo sso mówię, mówię znaczy się, nie, znaczy, może byś, sso nie, może byś mi d-dała buziaszszka, sso? Bo wiesz...

O bogowie, pomyślał Moist, będę musiał coś zrobić. Jest wielki i ma miecz jak rzeźnicki tasak, a w chwili, kiedy coś powiem, on przejdzie bezpośrednio do Etapu Czwartego, czyli Gwałtownego Nieopanowanego Szaleńca, a tacy potrafią być zaskakująco precyzyjni, zanim upadną...

Odstawił kufel.

Panna Dearheart rzuciła mu krótkie spojrzenie i pokręciła głową.

Coś się poruszyło pod stołem, zabrzmiał cichy, jakby mięsisty odgłos i pijak pochylił się nagle, a kolory odpłynęły mu z twarzy. Prawdopodobnie tylko on i Moist usłyszeli mruczenie panny Dearheart:

– To, co teraz kłuje cię w stopę, to czterocalowy obcas szpilek „Piękna Lukrecja” od Mitzy, najgroźniejsze obuwie świata. Licząc w funtach na cal kwadratowy, to jakby być zdeptanym przez bardzo spiczastego słonia. I wiem, o czym teraz myślisz; myślisz: „Czy może nacisnąć tak, żeby się przebić aż do podłogi?”. I wiesz, sama nie jestem pewna. Podeszwa twojego buta może stawiać pewien opór, ale nic innego. Jednak nie to powinno cię niepokoić. Powinien cię niepokoić fakt, że w dzieciństwie, praktycznie pod groźbą noża, musiałam brać lekcje baletu, co oznacza, że umiem kopać jak muł. Ty siedzisz przede mną, a ja mam jeszcze drugi but. Dobrze. Widzę, że zrozumiałeś. A teraz zabiorę ten obcas.

Spod stołu dobiegło ciche puknięcie. Pijak bardzo ostrożnie wstał i oddalił się chwiejnie, nie oglądając za siebie.

– Czy mogę się przysiąść? – spytał Moist.

Panna Dearheart kiwnęła głową, więc usiadł, krzyżując nogi.

– To był tylko pijak... – zauważył.

– Owszem, mężczyźni mówią takie rzeczy – odparła. – Zresztą niech pan mnie przekona, że gdybym tego nie zrobiła, pan nie zbierałby teraz swoich zębów do czapki. Której pan nie nosi, jak zauważyłam. To pewnie pańska tajna tożsamość. Przepraszam, powiedziałam coś niewłaściwego? Rozlał pan piwo.

Moist stał piwo z klapy marynarki.

– Nie, to ja – zapewnił. – Czysty i bez upiększeń.

– Prawie pan mnie nie zna, a jednak zaprosił mnie pan na kolację – rzekła panna Dearheart. – Dlaczego?

Bo nazwałaś mnie oszustem, pomyślał Moist. Przejrzałaś mnie od razu. Bo nie przybiłaś mi głowy do drzwi z tej swojej kuszy. Bo nie lubisz rozmów o niczym. Bo chciałbym poznać cię lepiej, choć byłoby to jak całowanie popielniczki. Bo zastanawiam się, czy w resztę życia potrafisz włożyć tyle pasji co w palenie papierosa. Wbrew pannie Maccalariat, chciałbym pozwolić sobie z tobą na migdalenie, Adoro Belle Dearheart... no, na pewno mi pozwolić, a gdalenie może potem, kiedy się lepiej poznamy. Chciałbym wiedzieć o twojej duszy tyle, ile ty wiesz o mojej...

– Ponieważ prawie pani nie znam – powiedział głośno.

– Jeśli już o tym mowa, to ja też prawie pana nie znam – zauważyła panna Dearheart.

– Prawdę mówiąc, na to właśnie liczyłem – odparł.

Zyskał tym uśmiech.

– Gładka odpowiedź. Błyskotliwa. A gdzie naprawdę dzisiaj jemy?

– W Le Foie Heureux, oczywiście.

Wydawała się szczerze zaskoczona.

– Zdobył pan rezerwację?

– O tak.

– Ma pan krewniaka, który tam pracuje? Czy szantażuje pan maître d'?

– Nie. Ale zdobyłem stolik na dziś wieczór – zapewnił Moist.

– W takim razie to jakaś sztuczka – uznała panna Dearheart. – Jestem pod wrażeniem. Ale uprzedzam, żeby docenił pan ten posiłek. Może być pańskim ostatnim.

– Co takiego?

– Kompania Wielkiego Pnia zabija ludzi, panie Lipwig. Na wiele rozmaitych sposobów. A pan na pewno działa Reacherowi Giltowi na nerwy.

– Niech pani nie żartuje. Jestem komarem przy ich pikniku.

– A jak się panu wydaje, co ludzie robią z komarami? Pień ma kłopoty, panie Lipwig. Firma traktowała go jak maszynkę do pieniędzy. Uważali, że naprawy będą tańsze niż konserwacja. Ścięli wszystko do gołej ziemi... gołej ziemi. To ludzie bez poczucia humoru. Myśli pan, że Reacher Gilt zawaha się choć minutę, nim pana pacnie?

– Ale jestem przecież... – zaczął Moist.

– Panu się zdaje, że się pan z nimi bawi? Dzwoni do drzwi i ucieka? Gilt zamierza zostać kiedyś Patrycjuszem, wszyscy to mówią. I nagle zjawia się taki... taki idiota z wielką złotą czapką, przypomina wszystkim, w jakim stanie są sekary, pokpiwa sobie z nich, znowu uruchamia Urząd Pocztowy...

– Zaraz, zaraz... – wykrztusił w końcu Moist. – To przecież miasto, a nie jakaś osada pastuchów! Ludzie nie zabijają konkurentów w interesach ot, tak sobie, prawda?

– W Ankh-Morpork? Naprawdę pan w to wierzy? Och, nie zabije pana. Nie zada sobie nawet trudu formalnego zgłoszenia w Gildii Skrytobójców. Po prostu pan umrze. Jak mój brat. A on będzie za tym stał.

– Pani brat? – zdumiał się Moist.

Na drugim końcu sali wieczorna bójka rozpoczęła się od pięknie wykonanego Śmiesznie Na Mnie Patrzenia, które zyskało dwa punkty i złamanego zęba.

– On i parę innych osób, które pracowały w Pniu, zanim został zrabowany... zrabowany, panie Lipwig, jak przez piratów. Próbowali stworzyć nowy Pień. – Panna Dearheart pochyliła się nad stolikiem. – Zdobyli jakoś fundusze na kilka wież testowych. Miał być ponad cztery razy szybszy od starego systemu, planowali różne sprytne sztuczki z kodowaniem, wszystko powinno być wspaniałe. Wielu ludzi powierzało im swoje oszczędności, ludzi, którzy

pracowali jeszcze dla mojego ojca. Widzi pan, większość dobrych mechaników odeszła, kiedy ojciec stracił Pień. Nie mogli wytrzymać Gilta i jego bandy złodziei. Mój brat miał odzyskać nasze pieniądze.

– Tutaj chyba się zgubiłem – wyznał Moist.

Topór wbił się w stół i zadygotał. Panna Dearheart przyjrzała się Moistowi i dmuchnęła mu koło ucha strużką dymu.

– Moim ojcem jest Robert Dearheart – powiedziała jakby zamyślona. – Był prezesem oryginalnej Kompanii Wielkiego Pnia. Sekary to jego wizja. Do demona, sam zaprojektował połowę mechanizmów w wieżach. Wzięli się do tego z grupą innych mechaników, samych poważnych ludzi z suwakami, pożyczili pieniądze, zastawili swoje domy, zbudowali lokalny system, a potem zebrali pieniądze z powrotem i zaczęli budować Pień. Spływało sporo gotówki, każde miasto chciało się w nim znaleźć, wszyscy powinni się wzbogacić. Mieliśmy stajnie. Ja miałam konia. Przyznaję, nie lubiłam go za bardzo, ale karmiłam i przyglądałam się, jak biega po okolicy i co tam jeszcze robią konie. Wszystko szło znakomicie, aż nagle dostał ten list, nastąpiły jakieś spotkania i powiedzieli, że ma szczęście, że nie trafił do więzienia za... nie wiem dokładnie, coś skomplikowanego i prawniczego. A sekary wciąż przynosiły wielkie zyski. Potrafi pan to zrozumieć? Reacher Gilt i jego banda zachowywali się przyjaźnie, ale wykupywali hipoteki, kontrolowali banki, kombinowali z liczbami, aż wyrwali nam z rąk Wielki Pień, jak złodzieje. Chcą tylko zarabiać pieniądze. Sam Pień ich nie obchodzi. Kiedy tato nim kierował, ludzie byli dumni z tego, co robią... A że byli mechanikami, dbali o to, żeby wieże działały bezbłędnie, przez cały czas. Mieli nawet coś takiego, co nazywali „chodzącymi wieżami”, takimi z gotowych elementów, które da się zapakować na kilka dużych wozów. I kiedy jakaś wieża miała poważne kłopoty, mogli taką chodzącą postawić obok i przejąć cały ruch, nie gubiąc ani jednego kodu. Byli z tego dumni, wszyscy byli... byli dumni, że w czymś takim uczestniczą!

– Powinien pan tam być. Powinien pan to widzieć! – powiedział Moist do siebie. Nie zamierzał mówić tego głośno.

Po drugiej stronie sali jakiś człowiek uderzył innego jego własną nogą i zebrał siedem punktów.

– Tak – zgodziła się panna Dearheart. – Powinien pan. A trzy miesiące temu mój brat zebrał dość funduszy, by zacząć budowę konkurencyjnego Pnia. Wymagało to wysiłku. Macki Gilta sięgają wszędzie. No i John skończył martwy na polu. Powiedzieli, że nie zapiął liny zabezpieczającej. Zawsze zapinał. A teraz mój ojciec tylko siedzi i wpatruje się w ścianę. Stracił nawet swój warsztat, kiedy mu wszystko zabrali. Straciliśmy też dom, naturalnie. Teraz mieszkamy z moją ciotką przy Siostrach Dolly. Do tego doszliśmy. Kiedy Reacher Gilt mówi o wolności, ma na myśli własną, nie innych. I nagle pan wyskakuje jak znikąd, panie von Lipwig, świeżutki i błyszczący, i biega pan dookoła, robiąc wszystko naraz. Dlaczego?

– Vetinari zaproponował mi tę posadę, to wszystko.

– Dlaczego ją pan przyjął?

– To była okazja życia.

Przyjrzała mu się z taką uwagą, że zaczął odczuwać skrępowanie.

– W każdym razie zdobył pan stolik w Le Foie Heureux, choć dowiedział się pan z zaledwie kilkugodzinnym wyprzedzeniem – przyznała, gdy nóż wbił się w belkę za jej plecami. – Nadal będzie pan kłamał, jeśli zapytam, w jaki sposób?

– Tak, chyba tak.

– Dobrze. Pójdziemy?

* * *

W przytulnej duchocie szatni paliła się mała lampa żarowa; kula światła była wyjątkowo jasna. W samym jej środku, ze szkłem powiększającym w dłoni, Stanley badał znaczki.

To był... raj. Maniacy są zwykle bardzo dokładni, a Stanley skrupulatny w stopniu doprawdy niezwykłym. Pan Spools, nieco zaniepokojony jego uśmiechem, przekazał mu wszystkie arkusze próbne i nieudane wydruki, a teraz Stanley bardzo starannie je katalogował – ile ich jest, jakie mają błędy, wszystko.

Jego umysł oplatała cienka nić poczucia winy. To było lepsze niż szpilki. Naprawdę. Znaczki nigdy się nie skończą, można na nich drukować wszystko. Są zadziwiające. Mogą przemieszczać listy, a potem można je wsadzić do zeszytu, równiutko i porządnie. No i nie zrobi się od nich „łebkarski kciuk”.

Czytał o takim uczuciu w szpilkowych magazynach. Mówili, że człowiek może się... odpiąć. W tym kontekście wymieniane były często dziewczęta i małżeństwa. Czasem jakiś eksłebkarz sprzedawał całą swoją kolekcję, tak po prostu. Czasem na szpilkowym spotkaniu ktoś rzucał swoje szpilki w powietrze i uciekał, krzycząc: „Aargh, to przecież tylko szpilki!”. Aż do teraz takie rzeczy były dla Stanleya nie do pomyslenia.

Przyjrzał się swemu woreczkowi niesortowanych. Parę dni temu sama myśl o spędzonym przy nich wieczorze budziła w nim cudowne, przyjemne ciepło. Teraz jednak nadszedł czas, by wyzbyć się dziecinnych szpilek.

Coś wrzasnęło.

Krzyk był chrapliwy, gardłowy, był niczym złość i głód, które zyskały głos. Dawno temu małe, ryjówkowate stworzonka kulily się, słysząc takie krzyki nad mokradłami.

Po chwili pradawna groza minęła. Stanley podkraść się cicho i otworzył drzwi.

– H-hej! – zawołał w jaskiniową ciemność korytarza. – Jest tam kto?

Na szczęście nie padła żadna odpowiedź, choć coś skrobało w górze pod dachem.

– Urząd jest zamknięty, znaczy – wyjąkał Stanley. – Ale otwieramy znowu o siódmej, oferując pełen zakres znaczków oraz wspaniałą zniżkę na przesyłki do Pseudopolis. – Zwolnił i zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć wszystko, co mówił pan Lipwig. – Pamiętaj,

może nie jesteśmy najszybsi, ale zawsze docieramy na miejsce. Czemu nie napiszesz do swojej babci staruszki?

– Zjadłem swoją babkę – odpowiedział mu głos z góry. – Rozgryzłem jej kości.

Stanley zakaszłał. Nie uczył się sztuki reklamy.

– Ach... – zawahał się. – Eee... To może do ciotki?

Zmarszczył nos. Dlaczego powietrze cuchnęło olejem do lamp?

– Hej! – zawołał znowu.

Coś spadło z ciemności, odbiło się od jego ramienia i z wilgotnym plaśnięciem wylądowało na podłodze. Stanley schylił się, pomacał wokół i znalazł gołębia. A w każdym razie połówkę gołębia. Była wciąż ciepła i bardzo lepka.

* * *

Pan Gryle siedział na belce wysoko ponad halą. Żołądek mu płonął. To bez sensu, ale nudno się pozbyć starych nawyków – są wryte bardzo głęboko. Coś ciepłego i pierzastego zatrzepocze przed twarzą i oczywiście trzeba to złapać. Gołębie w Ankh-Morpork miały swoje grzędy na każdej rynnie, gzymsie czy posągu. Nawet rezydentne gargulce nie mogły ich wytepić. Zdążył zjeść sześć, zanim wleciał do wnętrza przez rozbitą kopułę, a wtedy kolejna wielka, ciepła i pierzasta chmura wzbijała mu się na spotkanie i czerwona mgła przesłoniła wzrok.

Były takie smakowite... Nie mógł powstrzymać się po jednym! A pięć minut później przypomniał sobie, dlaczego powinien.

To były dzikie, miejskie ptaki, żywiące się wszystkim, co znalazły na ulicach. W dodatku ulicach Ankh-Morpork. Były jak podfruwające, gruchające siedliska zarazy. Równie dobrze mógł zjeść łajnoburgera i popić to megakubkiem z kolektora ścieków.

Pan Gryle jęknął. Najlepiej skończyć tu robotę, wydostać się i zwymiotować nad ruchliwą ulicą. Rzucił w ciemność butelkę oliwy i zaczął szukać zapalek. Jego gatunek późno odkrył ogień, ponieważ gniazda płonęły zbyt łatwo, ale teraz doceniał ten wynalazek.

* * *

Płomienie wykwitły wysoko nad drugim końcem hali. Spłynęły z belek na stosy listów. Zahuczało, gdy zajęła się oliwa; błękitne macki ognia popęzły po ścianach...

Stanley spojrział w dół. O kilka stóp od niego, oświetlona sunącym po listach płomieniem, leżała skulona postać. A obok niej złocista skrzydlata czapka...

Uniósł wzrok; w blasku ognia oczu jarzyły mu się czerwienią... Jakaś istota zanurkowała ku niemu z krokwi, z rozwartą paszczą...

I wtedy wszystko zaczęło się panu Gryle'owi źle układać, gdyż dla Stanleya nadeszła akurat jedna z tych jego Trudnych Chwil.

* * *

Postawa jest wszystkim. Moist studiował tę postawę. Miewali ją czasem przedstawiciele starej arystokracji. Polegała na absolutnym braku wątpliwości, że sprawy potoczą się właśnie tak, jak człowiek sobie życzy.

Maître d' bez chwili wahania wskazał im stolik.

– Naprawdę stać pana na to z państwowej pensji, panie Lipwig? – spytała panna Dearheart, kiedy usiedli. – Czy też będziemy wychodzić przez kuchnię?

– Sądzę, że dysponuję odpowiednimi funduszami – uspokoił ją Moist.

Wiedział, że prawdopodobnie nie dysponuje. Restauracja, która nawet do musztardy ma oddzielnego kelnera, winduje ceny wysoko. Ale w tej chwili nie przejmował się rachunkiem. Są sposoby radzenia sobie z rachunkami, a najlepiej to robić przy pełnym żołądku.

Zamówili przystawki, kosztujące zapewne więcej niż tygodniowe wydatki na jedzenie przeciętnego mężczyzny. Nie warto było szukać w karcie najtańszych potraw. Najtańsze potrawy teoretycznie istniały, ale choćby człowiek nie wiadomo jak się wpatrywał w menu, nie udawało się ich tam znaleźć. Natomiast było tam wiele potraw najdroższych.

– Chłopcy dobrze sobie radzą? – zapytała panna Dearheart.

Chłopcy, pomyślał Moist.

– O tak. Anghammarad naprawdę się wciągnął. To urodzony listonosz.

– Miał długą praktykę.

– A co to za pudełko, które nosi umocowane do ramienia?

– Pudełko? To wiadomość, którą miał doręczyć. Chociaż nie oryginalna, wypalana gliniana tabliczka, jak rozumiem. Musiał dwa albo trzy razy wykonać kopie, a z punktu widzenia golema brąz błyskawicznie się niszczy. To wiadomość do króla Heta z Thut od jego astrologów na ich świętej górze. Informowali go, że bogini morza się gniewa i jakie ceremonie musi odprawić, żeby ją ugłaskać.

– Ale czy Thut i tak nie zapadło się w morzu? Zdawało mi się, że tak mówił...

– Tak, tak. Anghammarad dotarł za późno, porwała go ogromna fala, a wyspa zatonała.

– Więc...? – spytał Moist.

– Więc co? – zdziwiła się panna Dearheart.

– Więc... czy nie wydaje mu się, że doręczenie tej wiadomości teraz może być trochę spóźnione?

– Nie. Nie wydaje mu się. Nie potrafi pan myśleć jak golem. Golemy wierzą, że wszechświat ma kształt pączka.

– Takiego pączka z marmoladą czy takiego, który ma dziurę w środku?

– Takiego z dziurą, jak pierścień, ale proszę już nie naciskać o szczegóły kulinarne, bo widzę, że chce pan sobie zażartować. One uważają, że wszechświat nie ma początku ani końca. Krążymy tylko w koło bez przerwy. Ale nie musimy za każdym razem podejmować tych samych decyzji.

– Na przykład na spotkanie z aniołem docierać tym trudnym sposobem – mruknął Moist.

– Nie zrozumiałam...

– Eee... Czyli on czeka, aż cała ta historia z falą znowu się zdarzy, ale tym razem on dotrze na miejsce wcześniej?

– Tak. I nie musi pan wskazywać wszystkich usterek tego planu. Jemu wystarcza.

– Przecież będzie musiał czekać miliony, długie miliony lat! – zdziwił się Moist.

– Dla golema to nie jest usterka, tylko kwestia czasu. One się nie nudzą. Same się naprawiają i bardzo trudno je rozbić. Mogą przetrwać na dnie morza albo w płynącej lawie. Kto wie, może mu się uda. A tymczasem znajduje sobie jakąś pracę. Jak pan, panie Lipwig. Ostatnio był pan bardzo zapracowany...

Znieruchomiała nagle, spoglądając ponad jego ramieniem. Zauważył, że prawą ręką przebiera gorączkowo w sztućcach i chwyta nóż.

– Ten drań właśnie wszedł na salę! – syknęła. – Reacher Gilt! Zabiję go tylko i wrócę przed deserem.

– Nie może pani tego robić! – szepnął z naciskiem Moist.

– O... A dlaczego?

– Bo wzięła pani nieodpowiedni nóż. Ten jest do ryby! Wpakuje się pani w kłopoty!

Popatrzyła na niego gniewnie, ale rozluźniła palce, a na jej twarzy pojawiło się coś zbliżonego do uśmiechu.

– Czy mają tu noże do zakłuwania bogatych morderczych sukinsynów? – spytała.

– Podają do stołu do zamówienia – odparł z naciskiem Moist. – Proszę się opanować! To nie jest Bęben, gdzie po prostu wyrzucają zwłoki do rzeki! Tutaj wzywają straż! Proszę wziąć się w garść! Siebie, nie nóż! I niech pani będzie gotowa do ucieczki!

– Dlaczego?

– Bo żeby nas tu wprowadzić, podrobiłem jego podpis na papierze listowym Wielkiego Pnia. Właśnie dlatego.

Moist odwrócił się, by po raz pierwszy spojrzeć na tego wielkiego człowieka. Gilt był potężnym mężczyzną o niedźwiedziej sylwetce; miał na sobie surdut dostatecznie obszerny dla dwóch osób oraz wyszywaną złotem kamizelkę. I rzeczywiście trzymał na ramieniu papugę, choć kelner spieszył już ku niemu z lśniącem mosiężnym drążkiem oraz – prawdopodobnie – kartą orzechów i ziarna.

Giltowi towarzyszyła grupa dobrze ubranych mężczyzn. I kiedy szli przez salę, cały lokal zaczynał kręcić się wokół niego – złoto jest bardzo ciężkie i generuje własne pole grawitacyjne. Kelnerzy krzatali się przy nim, kłaniali, z niezwykłą powagą robili rzeczy

całkiem nieważne i było tylko kwestią czasu, nim któryś z nich powie Giltowi, że jego inni goście siedzą już przy stoliku. Moist przeszukiwał wzrokiem pozostałą część sali, w poszukiwaniu... o, tam są. Co jest takiego w wynajętych mięśniakach, że nie da się dobrać dla nich garniturów?

Jeden pilnował drzwi, drugi obserwował salę. Z całą pewnością przynajmniej jeden siedział też w kuchni.

...i rzeczywiście, maître d' zarabiał na swój napiwek, zapewniając wielkiego człowieka, że jego przyjaciół przyjęto z należytą starannością...

...wielka głowa z lwią grzywą odwróciła się, by spojrzeć w stronę stolika Moista...

...panna Dearheart szepnęła:

– O bogowie, idzie tutaj!

...a Moist wstał. Wynajęte pięści zmieniły pozycję. Oczywiście, tutaj nie zrobią niczego, ale też nikt się nie zmartwi, jeśli szybko i stanowczo wyprowadzą go stąd na krótką rozmowę w jakimś zaułku. Gilt zbliżał się między stolikami, pozostawiwszy za sobą zaskoczonych gości.

To była sytuacja wymagająca umiejętności interpersonalnych albo skoku przez okno. Ale Gilt musi przecież być choćby śladowo uprzejmy. Ludzie słuchają.

– Pan Reacher Gilt? – zapytał Moist.

– Rzeczywiście, drogi panie. – Gilt uśmiechnął się, choć bez odrobiny humoru. – Ale wydaje się, że ma pan nade mną przewagę.

– Mam nadzieję, szanowny panie, że nie.

– Jak się okazuje, prosiłem tę restaurację, żeby znalazła dla pana stolik, panie... Lipwig?

– Naprawdę, panie Gilt? – spytał Moist tonem, jak wiedział, bardzo przekonująco niewinnym. – Przyszliśmy tu w nadziei, że znajdzie się wolny stolik, i dowiedzieliśmy się ze zdumieniem, że tak!

– W takim razie przynajmniej z jednego z nas zrobiono głupca, panie Lipwig. Ale proszę powiedzieć... czy naprawdę jest pan Moistem von Lipwigiem, poczmistrzem?

– Tak.

– Bez pańskiej czapki?

Moist odkaslnął.

– Właściwie to nie jest obowiązkowa – wyjaśnił.

Wielka twarz przyglądała mu się w milczeniu. A potem do przodu wysunęła się dłoń podobna do hutniczej rękawicy.

– Bardzo mi przyjemnie, że mogę pana poznać, panie Lipwig. Mam nadzieję, że nadal będzie panu sprzyjać szczęście.

Moist ujął tę dłoń, ale – zamiast miażdżącego kości uścisku, jakiego się spodziewał – poczuł mocny, stanowczy uścisk człowieka honorowego. I spojrział w otwarte, szczere, jednookie spojrzenie Reachera Gilta.

Moist ciężko pracował, by opanować swój fach, i uważał, że całkiem dobrze mu idzie. Ale gdyby w tej chwili miał na głowie swoją czapkę, zdjąłby ją natychmiast. Albowiem stanął wobec mistrza. Czuł to w tej dłoni, widział w rozkazującym oku. Gdyby okoliczności były inne, zapewne pokornie by błagał, by Gilt przyjął go do terminu, pozwolił szorować swoje podłogi, szykować jedzenie... W zamian Moist mógłby siedzieć u stóp geniusza i uczyć się, jak wykonywać sztuczkę z trzema kartami, używając do tego banków. Jeśli miałby to oceniać, to stojący przed nim człowiek był największym oszustem, jakiego spotkał w życiu. I ogłaszał to. To prawdziwa... klasa. Pirackie loki, opaska na oku, nawet ta nieszczęsna papuga. Dwanaście i pół procent, na miłość bogów, czy ktokolwiek to zauważył? Mówił im wprost, czym jest, a oni śmiali się i kochali go za to. Moist czuł, że zapiera mu dech w piersiach. Tak by się czuł zawodowy zabójca, gdyby poznał człowieka, który wymyślił sposób niszczenia całych cywilizacji.

Wszystko to Moist odgadł w jednej chwili, w jednej eksplozji zrozumienia, w jednym błysku oka. Ale tuż wcześniej przemknęło coś jeszcze, jakby mała rybka przed rekinem.

Gilt był zaszokowany, nie zdziwiony. Ten krótki moment nie dałby się pewnie zmierzyć żadnym zegarem, ale przez ten moment właśnie świat przestał Reacherowi Giltowi sprzyjać. Ten moment został zatarty całkowicie i pozostała z niego jedynie pewność Moista, że się zdarzył. Ale ta pewność była niewzruszona.

Bardzo niechętnie wypuszczał dłoń tego wielkiego człowieka, gdyż lękał się, że przeskoczy między nimi iskra, która żywcem go usmaży. W końcu jeśli on rozpoznał naturę Gilta, to Gilt z pewnością poznał się na nim.

– Dziękuję, panie Gilt – powiedział.

– Jak słyszałem, był pan tak uprzejmy, że dostarczył pan dzisiaj niektóre nasze wiadomości – rzekł Gilt swym głębokim głosem.

– To była przyjemność, drogi panie. Gdybyście znowu potrzebowali pomocy, wystarczy poprosić.

– Hmm... W takim razie mogę przynajmniej postawić panu kolację, poczmistrz. Rachunek trafi do mojego stolika. Proszę zamawiać, co tylko pan zechce. A teraz bardzo przepraszam, muszę się zająć moimi... innymi gośćmi.

Skłonił się wrzającej z gniewu pannie Dearheart i odszedł.

– Kierownictwo chciałoby podziękować za niezabijanie gości – powiedział Moist i usiadł.
– Teraz powinniśmy...

Urwał nagle, wytrzeszczając oczy.

Panna Dearheart, która zbierała siły, by zasyczeć wściekle, spojrzała na jego twarz i zawahała się.

– Źle się pan czuje? – spytała niepewnie.

– One... płoną. – Moist szeroko otworzył oczy.

– Na bogów, strasznie pan zbladł!

– Pismo... one krzyczą... czuję ogień!

– Ktoś tam zamówił naleśniki – wyjaśniła panna Dearheart. – I pewnie... – Pociągnęła nosem. – Ale pachnie jak papier...

Ludzie obejrzeni się, gdy krzesło Moista przewróciło się na podłogę.

– Urząd Pocztowy się pali! Wiem, że tak! – krzyknął, odwrócił się i pobiegł.

Panna Dearheart dogoniła go w szatni, gdzie właśnie chwycił go jeden z ochroniarzy Gilta. Stuknęła typa w ramię, a gdy się odwrócił, by ją odepchnąć, mocno tupnęła nogą. Wrzasnął, a ona odciągnęła oszołomionego Moista.

– Wody... Musimy zdobyć wodę... – dyszał. – One płoną. Wszystkie płoną!

Rozdział dziesiąty

Palenie słów

*W którym Stanley zachowuje spokój – Moist Bohater – Szukanie kota to nie jest dobry pomysł
– Coś w ciemności – Spotkanie z panem Gryle'em – Ogień i woda – Pan Lipwig pomaga
straży – Taniec na krawędzi – Na pana Lipwiga splywa religia – Spinka do włosów panny
Maccalariat – Cud*

Listy płonęły.

Część sufitu się zapadła, zasypując płomienie deszczem nowych listów. Ogień sięgał już wyższych pięter. Kiedy Stanley ciągnął pana Groata po podłodze, kolejny blok tynku runął na posadzkę, a za nim posypały się płonące już listy. Dym, gęsty jak zupa, kłębił się pod dalekim stropem.

Stanley wciągnął staruszkę do szatni i ułożył na łóżku. Uratował też złotą czapkę, bo pan Lipwig na pewno by się gniewał, gdyby jej nie znalazł. Potem zamknął drzwi i z półki nad biurkiem Groata zdjął regulamin. Metodycznie przewracał kartki, aż trafił na zakładkę, którą włożył tam przed chwilą, na stronie „Co robić w razie pożaru”.

Stanley zawsze przestrzegał regulaminu. Gdy ludzie tego nie robią, wiele rzeczy może pójść nie tak, jak trzeba.

Jak dotąd wykonał już 1: Po wykryciu pożaru zachowaj spokój.

Teraz doszedł do 2: Głośno i wyraźnie krzyknij „Pali się!”.

– Pali się! – krzyknął i ołówkiem skreślił punkt 2.

Dalej był punkt 3: Jeśli to możliwe, spróbuj ugasić ogień.

Stanley podszedł do drzwi i je otworzył. Płomienie i dym wtargnęły do wnętrza. Przyglądał się im przez chwilę, pokręcił głową i zamknął drzwi.

Punkt 4 nakazywał: Jeśli zostaniesz odcięty przez ogień, spróbuj uciec. Nie otwieraj drzwi, jeśli są ciepłe. Nie używaj schodów, jeśli się palą. Jeśli nie znajdziesz żadnego wyjścia, zachowaj spokój i czekaj na (a) ratunek lub (b) śmierć.

To chyba wyczerpywało wszystkie możliwości. Świat szpilek był prosty i Stanley znał go tak dobrze, jak złota rybka swoje akwarium. Jednak wszystko inne było bardzo skomplikowane i działało jedynie wtedy, kiedy człowiek przestrzegał reguł.

Spojrzał na brudne okienka. Były o wiele za małe, żeby się przez nie precisnąć, i zaklejone na głucho przez liczne aplikacje oficjalnej farby. Wybił więc jedną szybkę, tak równo, jak tylko potrafił, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza. Zanotował to w dzienniku awarii.

Pan Groat wciąż oddychał, chociaż z nieprzyjemnym odgłosem bulgotania. W szatni znajdowała się apteczka, ponieważ tego wymagał regulamin, jednak zawierała tylko kawałek bandaża, butelkę czegoś czarnego i lepkiego oraz zapasowe zęby pana Groata. Pan Groat mówił, żeby nigdy nie dotykał jego domowych leków, a ponieważ nierzadko się zdarzało, że jego buteleczki wybuchały nocą, Stanley zawsze bardzo skrupulatnie przestrzegał tego zakazu.

Regulamin nigdzie nie zawierał sformułowania: W razie ataku wielkiego, wrzeszczącego, pikującego stworzenia należy uderzyć je mocno w twarz workiem szpilek. Stanley zastanowił się, czy nie powinien wpisać ołówkiem tej nowej reguły. Ale byłoby to niszczenie własności Urzędu Poczтового i mógłby mieć z tego powodu kłopoty.

To wyczerpało wszelkie możliwości dalszych działań. Zatem Stanley zachowywał spokój.

* * *

Wyglądało to jak delikatny śnieg listów. Niektóre lądowały, wciąż płonąc, inne wzbijały się fontanną ze skwierczącej kolumny ognia, która przebiła się już przez dach Urzędu Poczтового. Jeszcze inne były tylko poczerniałym popiołem, po którym – niczym drwina z wysychającego atramentu – pełgały iskry. Niektóre – wiele – fruwały w górę i ponad miastem nienaruszone, a potem zygzakowały ku dołowi niczym przesłanie od jakiegoś przesadnie formalnego boga.

Moist zerwał marynarkę i precisnął się przez tłum.

– Ludzie prawdopodobnie się wydostali – powiedziała panna Dearheart, stukając za nim obcasami.

– Naprawdę pani tak myśli?

– Szczerze? Nie. Nie, jeśli Gilt to ustawił. Przepraszam, pocieszanie już mi nie wychodzi.

Moist zatrzymał się i spróbował pomyśleć. Płomienie strzelały z dachu na końcu budynku. Główne wejście i całe lewe skrzydło pozostały nietknięte. Ale ogień to chytra sztuka, Moist wiedział o tym dobrze. Siedział sobie i żarzył się, dopóki człowiek nie otworzył drzwi, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku; wtedy ogień chwycił oddech, a człowiek kończył z oczami przylutowanymi do czaszki.

– Lepiej tam wejść – powiedział. – E... Nie ma pani ochoty powiedzieć: „Nie, nie, proszę tam nie iść, jest pan zbyt odważny”? – zapytał jeszcze.

Ludzie stawali w rzędzie, przekazując sobie od niedalekiej fontanny wiadra z wodą. Będą pewnie tak skuteczne, jak plucie na słońce.

Panna Dearheart złapała płonący list, odpaliła od niego papierosa i zaciągnęła się.

– Nie, nie, proszę tam nie iść, jest pan zbyt odważny – powiedziała. – Jak to dla pana brzmiało? Bo gdyby pan jednak poszedł, to lewa strona wydaje się dość czysta. Ale proszę uważać, chodzą słuchy, że Gilt zatrudnia wampira. Jednego z tych dzikich.

– Ach... ale ogień zabija wampiry, prawda? – Moist rozpaczliwie szukał jaśniejszych stron sytuacji.

– Każdego zabija, panie Lipwig – odparła. – Każdego.

Złapała go za uszy, przyciągnęła i mocno pocałowała w usta. Było to, jakby pocałowała go popielniczka, ale w przyjemny sposób.

– Ogólnie, chciałabym, żeby pan stamtąd wyszedł – rzuciła cicho. – Na pewno nie chce pan zaczekać? Chłopcy za chwilę tu będą...

– Golemy? Mają dzisiaj dzień wolny!

– Ale muszą być posłuszni swojemu chemowi. Pożar oznacza, że ludziom może grozić niebezpieczeństwo. Wyczują to i zjawią się za parę minut, może mi pan wierzyć.

Moist zawahał się, spoglądając na jej twarz. A ludzie patrzyli na niego. Nie mógł nie wejść do budynku, nie pasowałyby to do jego wizerunku. Niech demony porwą Vetinarię!

Pokręcił głową, odwrócił się i pobiegł do drzwi. Lepiej się nie zastanawiać, lepiej nie myśleć, czemu zachowuje się tak głupio. Po prostu dotknąć frontowych drzwi... całkiem chłodne. Otworzyć je delikatnie... podmuch powietrza, ale nie wybuch. Wielka hala, oświetlona płomieniami... ale wszystkie powyżej niego, a jeśli będzie lawirował i odskakiwał, powinien dotrzeć do drzwi prowadzących do szatni.

Otworzył je kopniakiem.

Stanley uniósł głowę znad znaczków.

– Witam, panie Lipwig – powiedział. – Zachowywałem spokój. Ale myślę, że pan Groat jest chory.

Staruszek leżał na posłaniu, a „chory” wydawało się zbyt optymistycznym określeniem.

– Co mu się stało? – zapytał Moist i podniósł go ostrożnie. Pan Groat prawie nic nie ważył.

– To było coś podobnego do wielkiego ptaka – wyjaśnił Stanley. – Trafiłem go w paszczę workiem szpilek, panie Lipwig. Ja... miałem Trudną Chwilę...

– To powinno załatwić sprawę – uznał Moist. – Możesz iść za mną?

– Mam wszystkie znaczki – zapewnił Stanley. – I kasetkę z pieniędzmi. Pan Groat trzyma je pod łóżkiem, dla bezpieczeństwa. – Chłopak się rozpromienił. – I pana czapkę też mam. Zachowywałem spokój.

– Brawo, znakomicie – pochwalił go Moist. – A teraz trzymaj się za mną, dobrze?

– Ale co z Panem Pieszczochem, panie Lipwig? – Stanley zaniepokoił się nagle.

Gdzieś w hali coś się zawaliło i huk ognia stał się wyraźnie głośniejszy.

– Kto? Jaki pan Pie... Kot? Do demona z ko... – Moist urwał i przestawił własny język. – Złożę się, że jest już na zewnątrz, pożera pieczonego szczura i się uśmiecha. Chodźmy już, co?

– Ale to przecież kot Urzędu Pocztowego! Nigdy nie wychodzi na dwór!

Jestem pewien, że teraz wyszedł, pomyślał Moist. Ale w głosie chłopca znów usłyszał napięcie...

– Wynieśmy stąd pana Groata, dobrze? – Przecisnął się przez drzwi ze staruszką na rękach. – Potem wrócę po Piesz...

Płonąca belka runęła na podłogę w środku hali; iskry i ogniste koperty podążyły spiralami w górę, ku głównemu ognisku. Huk płomieni, ściana ognia, odwrócony ognisty wodospad płynący w górę przez kolejne piętra i na zewnątrz przez dach. Grzmiało. Ogień został wypuszczony na swobodę i starał się jak najlepiej to wykorzystać.

W pewnym sensie Moist von Lipwig patrzył na to z zadowoleniem. Ale myślał: Przecież już prawie to wszystko uruchomiłem. Wszystko toczyło się naprzód. Znaczką naprawę działały. To prawie jak być przestępcą, ale bez żadnego przestępstwa. Niezła zabawa.

– Szybciej, Stanley! – warknął, odwracając się od straszego widoku i fascynującej myśli.

Chłopak szedł za nim z wahaniem, przez całą drogę do drzwi wołając tego przeklętego kota.

Powietrze na zewnątrz uderzyło jak nóż, ale wśród tłumu rozległy się oklaski, a potem zajaśniał błysk, który Moist nauczył się już kojarzyć z kłopotami.

– Dobry wieczór, panie Lipwig – odezwał się przyjazny głos Otto Chrieka. – Słowo daję, jeśli zależy nam na novinach, wystarczy chodzić za panem!

Moist nie zwracał na niego uwagi. Przecisnął się do panny Dearheart, która – jak zauważył – nie szalała z niepokoju.

– Czy znajdę w tym mieście jakąś lecznicę? – zapytał. – Może chociaż przyzwoitego lekarza?

– Jest Darmowy Szpital Lady Sybil – poinformowała panna Dearheart.

– Nadaje się do czegoś?

– Niektórzy w nim nie umierają.

– To znaczy dobry, tak? Przenieście go tam, byle szybko! Ja muszę wracać po kota!

– Chce pan tam wrócić po kota?

– To Pan Pieszczoch! – oświadczył z godnością Stanley. – Urodził się w Urzędzie Pocztowym.

– Lepiej nie dyskutować – uciął Moist. – Niech pani zajmie się Groatem, dobrze?

Panna Dearheart spojrzała na pokrwawioną koszulę staruszka.

- Ale to wygląda, jakby jakieś stworzenie próbowało...
- Coś na niego spadło – wyjaśnił krótko Moist.
- To by nie spowodowało...
- Coś na niego spadło – powtórzył Moist. – Tak właśnie było.

Spojrzała mu w twarz.

- Jasne – zgodziła się. – Coś na niego spadło. Coś z wielkimi szponami.
- Nie, jakaś belka z masą gwoździ czy coś w tym rodzaju. Każdy by poznał.
- To się właśnie zdarzyło, tak? – spytała panna Dearheart.
- Dokładnie to – potwierdził Moist i odszedł, zanim padły kolejne pytania.

Nie warto wplątywać w to strażników, myślał, idąc do drzwi. Będą tu wszędzie łązić, nie znajdą żadnych odpowiedzi, a doświadczenie podpowiada, że strażnicy zawsze lubią kogoś aresztować. Dlaczego pan sądzi, że to Reacher Gilt, panie... Lipwig, prawda? Och, potrafi pan odgadnąć, tak? Taki ma pan talent? Zabawne, ale my też czasem potrafimy. Ma pan dziwnie znajomą twarz, panie Lipwig. Skąd pan właściwie pochodzi?

Nie, naprawdę lepiej nie zaprzyjaźniać się ze strażnikami. Mogą wchodzić w drogę.

Górne okno eksplodowało na zewnątrz, płomienie zaczęły lizać krawędź dachu. Moist skoczył do drzwi, gdy z góry sypnęły się odłamki szkła. Co do Pieszczocha... No, będzie musiał znaleźć tego przekłętą zwierzaka. Jeśli nie zdoła, sytuacja przestanie być zabawna. Jeżeli nie zaryzykuje choć odrobiny życia i ociupinki jakiejś kończyny, nie będzie w stanie być nadal sobą.

Czy naprawdę to właśnie pomyślał?

Na bogów, stracił to swoje nieuchwytnie coś. Nigdy nie był pewien, jak to uzyskał, ale teraz uciekło. Tak to się kończy, kiedy człowiek zaczyna brać pensję. Czy dziadek nie ostrzegał go przed kobietami tak neurotycznymi jak ogolone małpy? Prawdę mówiąc, nie, jako że interesowały go głównie psy i piwo, ale powinien.

Wizja klatki piersiowej pana Groata bezustannie atakowała wyobraźnię. Wyglądało na to, że coś ze szponami cięło go z rozmachem i gdyby nie gruby płaszcz uniformu, pewnie bo go otworzyło jak małża. Ale to raczej nie wampir. Wampiry nie są tak niedbałe. Przecież w ten sposób marnuje się dobre jedzenie... Mimo wszystko Moist sięgnął po połamane krzesło, które rozpadło się bardzo poręcznie. Najlepsze przy kołku w serce jest to, że działa nie tylko na wampiry.

Kolejne części stropu runęły na podłogę hali, ale zdołał przemknąć między gruzami. Główne schody były z tej strony całkiem nietknięte, choć dym leżał na podłodze niczym gruby dywan, a na drugim końcu, gdzie niedawno leżały góry starej poczty, wciąż huczał ogień.

Moist już nie słyszał szeptu listów. Przykro mi, pomyślał. Staralem się. To nie moja wina...

Co teraz? Mógłby przynajmniej wydostać z gabinetu swoją skrzynkę. Nie chciał, żeby się spaliła. Niektóre chemikalia byłyby trudne do uzupełnienia.

W gabinecie było pełno dymu, ale wyciągnął skrzynkę spod biurka, a potem zauważył kostium na wieszaku. Musi go przecież zabrać, prawda? Nie można pozwolić, by coś takiego pochłonął ogień. Po skrzynkę może tu wrócić, tak? Ale strój... strój był konieczny. Nigdzie nie zauważył Pieszczocho. Musiał się chyba wydostać, prawda? Czy koty nie uciekają z tonących okrętów? Nie, to chyba szczury. Ale czy koty nie pójną za szczurami? W każdym razie dym przesączał się między deskami podłogi i spływał z wyższych pięter, więc nie było czasu, żeby dłużej się tu kręcić. Moist zajął we wszystkie rozsądne zakamarki, a nie ma sensu stać i czekać, aż na głowę się zwali tona płonącego papieru.

Plan był dobry, ale się rozsypał, kiedy w korytarzu Moist zauważył kota. Kot przyglądał mu się z zaciekawieniem.

– Pieszczocho! – ryknął Moist.

I pożałował tego. To takie głupie imię do wykrzykiwania w płonącym budynku...

Kot obejrzał się na niego i odszedł. Moist zaklął i pobiegł za nim; zobaczył, jak Pieszczocho znika w piwnicach.

Koty są inteligentne, prawda? Tam jest pewnie inne wyjście... Musi być...

Nie podniósł nawet głowy, gdy usłyszał nad sobą trzask drewna, ale pognął naprzód i zbiegł na dół po pięć stopni naraz. Sądząc po huku, spora część budynku uderzyła o posadzkę tuż za nim, a iskry zahuczały w piwnicznym korytarzu i sparzyły mu kark.

No, teraz już nie zdoła się cofnąć, to pewne. Ale piwnice... Piwnice mają różne klapy czy zsypy na węgiel, prawda? Są chłodne, bezpieczne i...

...i świetnie się nadają, by lizać tu rany po oberwaniu w twarz workiem szpilek. Zgadza się?

Wyobrażnia to straszna rzecz, kiedy zabiera się ją w takie miejsca.

Wampir, powiedziała. A Stanley workiem pełnym szpilek uderzył wielkiego ptaka. Stanley, postrach wampirów, z torbą szpilek... Nikt by nie uwierzył, jeśli nie widział go podczas jednej z tych – jak nazwał je pan Groat – „Trudnych Chwil”.

Prawdopodobnie nie da się zabić wampira szpilekami.

A kiedy człowiek już o czymś takim pomyśli, uświadamia sobie, że choćby nie wiem jak starał się nie oglądać, zawsze istnieje za nim to miejsce, gdzie się nie ogląda... Moist przylgnął plecami do chłodnej kamiennej ściany i przesuwiał się wzdłuż niej do chwili, gdy ściana mu się skończyła, a za to trafił na futrynę.

W ciemności widoczne było słabe niebieskie lśnienie maszyny sortującej.

I kiedy tylko Moist zajął do pokoju, widoczny stał się również kot. Kulił się pod maszyną.

– To naprawdę bardzo kocie zachowanie, Pieszczocho – rzekł Moist, wpatrując się w mrok. – Chodź do wujka Moista. Proszę...

Westchnął, powiesił strój na dawnej półce na listy i przykucnął. Jak właściwie należy podnosić kota? Nigdy tego nie robił. Koty nigdy nie trafiały do dziadkowych klatek lipwigzerów, chyba że jako przypadkowa przekąska.

Sięgnął po Pieszczocha ręką. Kot położył uszy po sobie i zasyczał.

– Chcesz się tu ugotować? – spytał Moist. – Tylko bez pazurów, jeśli można prosić.

Kot zaczął warczeć, a Moist uświadomił sobie, że nie na niego.

– Grzeczny Pieszczoch – powiedział, czując, jak wzbiera w nim groza.

Jedna z podstawowych zasad badania nieprzyjaznego środowiska brzmiała: Zostaw kota. Bo nagle środowisko stanie się o wiele bardziej nieprzyjazne.

Druga ważna zasada: Nie odwracaj się powoli, żeby sprawdzić. To już tam jest. Nie kot. Niech licho porwie kota. To coś innego.

Wyprostował się i oburącz ścisnął drewniany kołek. Stoi tuż za mną, pomyślał. Tak? Pewne jak demon, że stoi za mną jak demon blisko jak demon! Oczywiście, że tak! Przecież nie może być inaczej!

Uczucie trwogi było niemal takie samo jak to, które go ogarniało, gdy – powiedzmy – cel oglądał szklany brylant. W ustach miał posmak miedzi, wszystkie zmysły wyczulone, czas trochę zwalniał...

Nie odwracać się powoli. Odwracać się szybko.

Odwrócił się szybko, wrzasnął i pchnął. Kołek trafił na opór, który poddał się tylko trochę.

Wąska blada twarz uśmiechnęła się do niego w błękitnym blasku. Ukazała rzędy ostrych zębów.

– Ominąłeś oba moje serca – stwierdził pan Gryle, plując krwią.

* * *

Moist odskoczył, gdy wąska, zbrojna w pazury dłoń rozcięła powietrze. Wciąż jednak wysuwał przed siebie kołek, kłuł, trzymał stwora na dystans...

Banshee, pomyślał. Niech to demony...

Dopiero kiedy Gryle się poruszył, jego skórzasta czarna peleryna rozsunała się na chwilę, ukazując podobny do szkieletu korpus. Pomagało, jeśli człowiek pamiętał, że czarna skóra to skrzydła. Pomagało, jeśli myślał o banshee jako jedynej humanoidalnej rasie, która ewolucyjnie zyskała umiejętność lotu – w jakiejś dżungli, gdzie polowała na latające wiewiórki. Nie pomagało specjalnie, jeśli człowiek wiedział, skąd się wzięła legenda o tym, że krzyk banshee zwiastuje śmierć.

Krzyk oznacza, że banshee cię ściga. Nie warto nawet oglądać się za siebie. Banshee jest nad twoją głową.

Niewiele ich pozostało dzikich, nawet w Überwaldzie, ale Moist zapamiętał rady udzielane przez tych, którzy przeżyli spotkanie. Trzymaj się z dala od paszczy – te zęby są zabójcze. Nie atakuj piersi, mięśnie lotne są jak pancerz. Banshee nie są silne, ale mają ścięgna jak stalowe liny, a długie kości rąk dają im zasięg, przy którym mogą strącić ci z ramion ten głupi łeb...

Pieszczoch zamiauczał i cofnął się głębiej pod maszynę sortującą. Gryle znów uderzył szponami i ruszył naprzód za cofającym się Moistem.

...ale karki pękają im łatwo, jeśli tylko uda się doprowadzić do zwarcia, no i muszą zamykać oczy, kiedy tak wrzeszczą.

Gryle był coraz bliżej. Głowa mu podskakiwała w rytm kroków. Moist nie miał już gdzie uciekać, więc odrzucił drewno i podniósł ręce.

– Dobra, poddaję się – rzekł. – Tylko załatw to szybko, zgoda?

Stwór wciąż zerkał na złoty strój; banshee reagują na błysk jak sroki.

– Potem się gdzieś wybieram – dodał Moist.

Gryle zawahał się. Był ranny, zdezorientowany, najadł się gołębi, tego ścięku ze skrzydłami. Chciał się stąd wydostać i wzlecieć w chłodne niebo. Tutaj było zbyt wiele celów, zbyt wiele zapachów...

Dla banshee wszystko kumulowało się w skoku, kiedy zęby, pazury i ciężar ciała uderzały jednocześnie. Teraz, zagubiony, przesuwał się w przód i w tył, usiłując znaleźć rozwiązanie w tej sytuacji. Nie było tu miejsca na lot, nie było drogi ucieczki, ofiara stała nieruchomo... Instynkt, emocje i słaba próba racjonalnego myślenia walczyły ze sobą w przegrzanej głowie Gryle'a.

Instynkt zwyciężył. Skakanie na innych z wysuniętymi pazurami działało przez miliony lat, więc niby czemu rezygnować akurat teraz?

Odchylił głowę, wrzasnął i skoczył.

Podobnie jak skoczył Moist, który zanurkował pod długimi ramionami. To nie było zaprogramowane w reakcjach banshee – ofiara powinna kulić się przerażona albo uciekać. Tymczasem Moist trafił go barkiem w pierś.

Stwór był lekki jak dziecko.

Moist poczuł, że szpon rozrywa mu rękę. Cisnął stwora na maszynę sortującą, a sam rzucił się na podłogę. Przez jedną straszną chwilę myślał już, że banshee się podniesie, że nie trafił w kółko, ale kiedy rozwścieczony Gryle zmienił pozycję, zabrzmiał dźwięk jak „glup!”...

...a po nim cisza.

Moist leżał na chłodnych kamieniach, dopóki jego serce nie zwolniło tak, że zaczął odróżniać pojedyncze uderzenia. I leżąc, usłyszał, że coś lepkiego skapuje z boku maszyny.

Wstał powoli, na chwiejnych nogach, i spojrzał na to, co zostało z banshee. Gdyby był bohaterem, wykorzystałby okazję, by powiedzieć „No to mamy wszystko posortowane”. Ale

nie był, więc zwymiotował. Organizm nie funkcjonuje należycie, kiedy istotne jego elementy nie dzielą tej samej ramy czasoprzestrzennej co reszta. Ale za to wygląda o wiele barwniej.

Potem, ściskając krwawiącą rękę, Moist przyklęknął i zajrzał pod maszynę, szukając Pieszczocho.

Muszę wyjść stąd z kotem, myślał otepiały. Po prostu muszę. Człowiek, który wbiega do pożaru, żeby ratować głupiego kota, i wychodzi, niosąc tego kota na rękach, jest bohaterem, nawet jeśli niezbyt rozsądnym. Jeśli wychodzi bez kota, jest durniem.

Stłumiony łoskot w górze sugerował, że runęła część budynku. Powietrze zaczynało parzyć.

Pieszczocho odsunął się od wyciągniętej dłoni Moista.

– Posłuchaj no – warknął Moist. – Bohater musi wyjść, trzymając kota. Ale kot wcale nie musi być żywy...

Sięgnął błyskawicznie, złapał Pieszczocho i wywlókł go spod maszyny.

– Słusznie – mruknął i drugą ręką chwycił wieszak ze złotym kostiumem.

Na materiale było kilka plam banshee, ale pewnie da się je jakoś wywabić.

Wyszedł chwiejnie na korytarz. Z obu końców wyrastały ściany ognia, a Pieszczocho tę właśnie chwilę wybrał, by wbić mu w ramię cztery zestawy pazurków.

– Ach... – westchnął Moist. – Do tej chwili wszystko tak dobrze się układało...

– Panie Lipvig! Nic Się Panu Nie Stało, Panie Lipvig?

* * *

Tym, co golemy usuwały z ognia, był właściwie sam ogień – wynosiły wszystko, co się paliło. Działanie było zaskakująco precyzyjne. Zbierały się na granicy pożaru i pozbawiały go wszystkiego, co mógł spalić, otaczały go, zapędzały w ślepy zaułek i zadeptywały na śmierć.

Golemy mogły brodzić w lawie, mogły łać roztopione żelazo. Jeśli nawet wiedziały, czym jest strach, na pewno nie prześladowały ich w zwykłym płonącym budynku.

Rozżarzone do czerwoności ręce przesunęły rozpalone gruzy. Moist spoglądał na ogniowy pejzaż, ale także na stojącego przed nim pana Pompe. Golem jarzył się pomarańczowo. Drobinki kurzu i brudu na jego glinie skrzyły się i błyskały.

– Dobrze Pana Widzieć, Panie Lipvig! – zadudnił radośnie, odrzucając na bok trzeszczącą belkę. – Oczyszciliśmy Ścieżkę Do Drzwi! Proszę Ruszać Szybko!

– Dziękuję! – zawołał Moist, przekrzykując huk płomieni.

Rzeczywiście, widział oczyszczoną z odpadków ścieżkę z chłodnymi, spokojnymi drzwiami przyzywającymi go na końcu. Po drugiej stronie hali inne golemy, nie zważając na kolumny ognia, systematycznie wyrzucały przez otwór w murze płonące deski podłogi.

Żar był silny. Moist pochylił głowę, przytulił do piersi wystraszonego kota, poczuł, jak przypieka mu się kark, i pognął przed siebie.

Od tego momentu wszystko stało się jednym ciągłym wspomnieniem. Głośny trzask nad głową. Metaliczny łoskot. Golem Anghammarad spoglądający w górę, z wiadomością jaśniejącą żółto na wiśniowoczerwonym ramieniu. Dziesięć tysięcy ton deszczówki spływającej w dół w zwodniczo powolnym tempie. Zimna woda spadająca na rozżarzonego do czerwoności golema...

...eksplozja...

Płomienie zgasły. Dźwięki zgasły. Światło zgasło.

* * *

ANGHAMMARADZIE!

Anghammarad popatrzył na swoje ręce. Nie było tam niczego prócz żaru, straszliwego żaru, palącego żaru, który jednak tworzył kontury palców.

ANGHAMMARADZIE, powtórzył głuchy głos.

– Straciłem Swoją Glinę – powiedział golem.

TAK, zgodził się Śmierć. TO TYPOWE. JESTEŚ MARTWY. ROZBITY. EKSPLODOWAŁEŚ W MILION ODLAMKÓW.

– Kim W Takim Razie Jest Ten, Który Teraz Słucha?

JEST WSZYSTKIM, CO BYŁO W TOBIE OPRÓCZ GLINY.

– Czy Masz Dla Mnie Jakieś Polecenie? – spytały pozostałości Anghammarada, wstając.

NIE TERAZ. DOTARLEŚ DO MIEJSCA, GDZIE NIE MA WIĘCEJ ROZKAZÓW.

– Co Mam Robić?

WYDAJE MI SIĘ, ŻE NIE UDAŁO CI SIĘ ZROZUMIEĆ MOJEJ OSTATNIEJ UWAGI.

Anghammarad znowu usiadł. Poza faktem, że miał pod stopami piasek, nie muł, okolica przypominała mu głębinową równinę.

LUDZIE NA OGÓL CHCĄ IŚĆ DALEJ, podpowiedział Śmierć. CHCĄ JAK NAJSZYBCIEJ ZOBACZYĆ TAMTEN ŚWIAT.

– Zostanę Tutaj, Jeśli Można.

TUTAJ? – zdziwił się Śmierć. PRZECIEŻ TUTAJ NIE MA NIC DO ROBOTY.

– Tak, Wiem – zgodził się duch golema. – Jest Idealnie. Jestem Wolny.

* * *

O drugiej w nocy zaczął padać deszcz.

Mogło być gorzej. Mogły padać węże. Mógł spaść kwas.

Nadal pozostało trochę dachu i trochę ścian. Co oznaczało, że nadal stoi trochę budynku.

Moist i panna Dearheart siedzieli na stosie ciepłych gruzów przed szatnią, która była chyba jedynym pokojem, jaki można tym słowem opisać. Golemy zdeptały resztki ognia, podparły resztki murów, po czym bez słowa wróciły do niebycia młotkami aż do zachodu słońca.

Panna Dearheart obracała w dłoniach na wpół roztopioną taśmę z brązu.

– Osiemnaście tysięcy lat – szepnęła.

– To był zbiornik deszczówki – wymamrotał Moist, wpatrzony w pustkę.

– Ogień albo woda – westchnęła panna Dearheart. – Ale nie oba naraz.

– Nie można... no, wypalić go na nowo albo co?

Brzmiało to beznadziejnie już w chwili, gdy powiedział to głośno. Widział, jak pozostałe golemys szukają wśród gruzów.

– Za mało zostało. Jedynie pył zmieszany ze wszystkim innym. A on chciał tylko być użyteczny.

Moist spojrział na resztki listów. Powódź splukała czarną maź ich popiołów.

One chciały tylko być doręczone, pomyślał. W takich chwilach jak ta siedzenie na dnie morza przez dziewięć tysięcy lat wydaje się całkiem atrakcyjne.

– Miał zamiar doczekać, aż wszechświat zatoczy pełny krąg. Wiedział pan o tym?

– Tak, mówiła mi pani.

Nie ma żałośniejszego zapachu niż ten, jaki wydziela mokry, spalony papier. Oznacza: to koniec.

– Wie pan, Vetinari nie odbuduje już Urzędu Pocztowego – ciągnęła panna Dearheart. – Gilt skłoni ludzi, żeby zaczęli protestować, gdyby spróbował. Marnowanie miejskich funduszy. Ma przyjaciół. Ludzi, którzy są mu winni pieniądze i przysługi. Dobrze sobie radzi z takimi ludźmi.

– To Gilt kazał spalić budynek – stwierdził Moist. – Był zaszokowany, kiedy zobaczył mnie w restauracji. Myślał, że będę tutaj.

– Nigdy pan tego nie udowodni.

Pewnie nie, zgodził się Moist w ponurej, zasnutej dymem pustce własnej głowy. Straż pojawiła się szybciej, niż uważał za typowe dla miejskich policji. Mieli ze sobą wilkołaka. Jasne, pewnie większość uznałaby go za pięknego psa, ale jeśli człowiek dorastał w Überwaldzie i miał dziadka, który hodował lipwigzery, uczył się rozpoznawać drobne znaki. Ten pies nosił obrozę; poniuchał trochę wśród ciepłych jeszcze ruin i znalazł jakiś dodatkowy zapach w chmurze dymiących popiołów.

Zaczęli kopać, a potem nastąpiła kłopotliwa rozmowa. Moist rozegrał ją, jak najlepiej w tych okolicznościach potrafił. Kluczowe było to, by nigdy nie mówić prawdy. Gliny i tak nigdy nie wierzą w nic, co ludzie im mówią, więc nie warto im komplikować życia.

– Skrzydlaty szkielet? – powtórzył z czymś, co z pewnością brzmiało jak szczere zdziwienie.

– Tak, sir. Mniej więcej rozmiaru człowieka, chociaż bardzo... uszkodzony. Powiedziałbym nawet, że poszarpany. Interesuje mnie, czy wie pan coś na jego temat.

Strażnik był kapitanem. Jego twarz nie zdradzała niczego, co nie miało być zdradzone. Coś w jego postawie sugerowało, że zna już odpowiedzi, a pytania zadaje dla zachowania pozorów. Moist nie zdołał go rozszyfrować.

– Może to jakiś wyjątkowo duży gołąb? W tym budynku są prawdziwym przekleństwem.

– Wątpię. Widzi pan, panie Lipwig, uważamy, że to był prawdziwy banshee – tłumaczył cierpliwie kapitan. – Są bardzo rzadkie.

– Wydawało mi się, że one tylko wrzeszczą z dachów na ludzi, którzy mają umrzeć.

– Te cywilizowane owszem, sir. Te dzikie omijają pośredników. Pański młody człowiek mówi, że coś uderzył.

– Stanley rzeczywiście wspominał o czymś, no, czymś latającym dookoła – przyznał Moist. – Ale myślałem, że to...

– ...wyjątkowo duży gołąb, rozumiem. I nie ma pan pojęcia, jak wybuchł ten pożar? Wiem, że korzystacie tutaj z bezpiecznych lamp...

– Obawiam się, że to prawdopodobnie spontaniczny samozapłon w stertach listów – odparł Moist, który miał czas, żeby się nad tym zastanowić.

– Nikt się dziwacznie nie zachowywał?

– W Urzędzie Pocztowym, kapitanie, bardzo trudno to poznać. Może mi pan wierzyć.

– Nikt panu nie groził, sir? Może ktoś, kogo pan zirytował?

– Nie, zupełnie nikt.

Kapitan westchnął i odłożył notes.

– Mimo wszystko zostawię tu paru ludzi, żeby pilnowali budynku przez noc – zdecydował. – Gratuluję uratowania kota. Kiedy pan z nim wyszedł, dostał pan prawdziwą burzę oklasków. Jeszcze tylko jedno...

– Tak, kapitanie?

– Dlaczego banshee... czy też może ogromny gołąb... zaatakował pana Groata?

A Moist pomyślał: czapka!

– Nie mam pojęcia – odpowiedział.

– Oczywiście, panie Lipwig – rzekł strażnik. – Jestem kapitan Żelaznywładsson, sir, choć ludzie zwykle nazywają mnie kapitanem Marchewą. Proszę się bez wahania skontaktować ze mną, gdyby cokolwiek pan sobie przypomniał. Jesteśmy tu, by pana chronić.

Ciekawe, co byś zrobił przeciwko banshee, pomyślał Moist. Podejrzewasz Gilta. Brawo. Ale tacy ludzie jak Gilt nie przejmują się prawem. Nigdy go nie łamią, po prostu wynajmują innych, którzy to robią... I nigdy nie znajdziesz niczego na papierze, nigdzie.

Zanim kapitan odwrócił się, by odejść, Moist był pewien, że wilkołak mrugnął porozumiewawczo.

A teraz, gdy krople deszczu wpadały do środka i syczały tam, gdzie kamienie wciąż były ciepłe, Moist spojrzął na ognie dookoła – wciąż było ich sporo w miejscach, gdzie golemy zrzuciły odłamki. A że znajdowali się w Ankh-Morpork, ludzie nocy nadciągnęli jak mgła i zbierali się przy nich, by się ogrzać.

Odbudowa tego budynku pochłonie fortunę. I co z tego? Wiedział przecież, skąd wziąć duże pieniądze, zgadza się? Nigdy mu na nich naprawdę nie zależało. Były tylko sposobem prowadzenia punktacji. Ale wtedy wszystko się skończy, ponieważ pieniądze należały do Alberta Spanglera i całej reszty, nie do niewinnego poczmistrza.

Zdjął złotą czapkę i przyjrzał jej się uważnie. Awatar, jak mówił Pelc. Ludzkie wcielenie boga. Ale przecież nie był bogiem, był tylko oszustem w złotym stroju, a oszustwa dobiegły końca. Gdzie jest teraz jego anioł? Gdzie są bogowie, kiedy ich potrzeba?

Bogowie mogliby pomóc...

Czapka połyskiwała w blasku ognia, a niektóre części umysłu Moista zaiskrzyły nagle. Nie oddychał nawet, kiedy pojawiła się myśl, by przypadkiem jej nie wystraszyć. To było takie proste. Coś, na co nie wpadłby nigdy żaden uczciwy człowiek...

– Potrzebujemy... – powiedział. – Potrzebujemy...

– Czego? – zdziwiła się panna Dearheart.

– Muzyki! – oznajmił Moist. Wstał i złożył dłonie koło ust. – Hej, ludzie! Gra tam który na banjo? Może na skrzypkach? Daję dolarowy znaczek, cenny dla każdego kolekcjonera, temu, kto zagra walca. No wiecie, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy...

– Czy pan kompletnie zwariował? – rzuciła gniewnie panna Dearheart. – Najwyraźniej...

Zamilkła, ponieważ jakiś nędzaryk puknął Moista w ramię.

– Ja gram na banjo – powiedział. – A mój kumpel Humphrey, o tamten, dmucha w harmonijkę bez litości! To będzie kosztować dolara, drogi panie. Ale w monecie, jeśli to nie przeszkadza, z powodu tego, że nie umiem pisać i nie znam nikogo, kto by umiał czytać.

– Moja piękna panno Dearheart – rzekł Moist, uśmiechając się do niej obłąkańczo. – Czy ma pani jakieś inne imię? Jakieś imię przyjacielskie albo przezwisko, jakieś rozkoszne zdrobnienie, którego używanie pani nie przeszkadza?

– Jest pan pijany? – zapytała.

– Niestety nie. Ale chciałbym. A więc, panno Dearheart? Uratowałem nawet mój najlepszy garnitur!

Była zaskoczona. Lecz nim jej naturalny cynizm zdążył zaryglować drzwi, odpowiedź sama się wyrwała.

– Brat nazywał mnie...

– Tak?

– Zabójcą – wyznała panna Dearheart. – Ale nie miał na myśli nic złego. Niech pan nawet nie myśli o używaniu tego przezwiska.

– To może Igła?

– Igła? Tak, z Igłą chyba przeżyję – zgodziła się. – A więc pan także. Ale to nie jest właściwa pora na tańce...

– Wręcz przeciwnie, Igło. – Moist rozpromienił się w świetle ognia. – To najlepsza pora. Najpierw zatańczymy, potem sprzątniemy tutaj, żeby przygotować Urząd Pocztowy do otwarcia, znowu uruchomimy doręczanie listów, zlecimy odbudowę i urządzimy wszystko tak, jak było. Proszę tylko patrzeć.

– Wie pan, to chyba prawda, że praca w Urzędzie Pocztowym doprowadza do szaleństwa. A niby skąd pan weźmie pieniądze na odbudowę?

– Bogowie dopomogą – zapewnił Moist. – Możesz mi wierzyć.

Popatrzyła groźnie.

– Mówi pan poważnie?

– Śmiertelnie poważnie.

– Będzie się pan modlił o pieniądze?

– Niezupełnie, Igło. Do bogów docierają codziennie tysiące modlitw. Mam inne plany. Znowu odtworzymy Urząd Pocztowy, panno Dearheart. Nie muszę myśleć jak policjant albo listonosz, albo księgowy. Wystarczy, że będę załatwiał sprawy po swojemu. A wtedy w ciągu tygodnia doprowadzę Reachera Gilta do bankructwa.

Jej wargi ułożyły się w perfekcyjne O.

– A jak dokładnie pan to zrobi? – wykrztusiła.

– Nie mam pojęcia, ale wszystko jest możliwe, jeśli zatańczę z panią i nadal pozostanie mi u nóg dziesięć palców. Zatańczymy, panno Dearheart?

Była zdumiona, zaskoczona i oszołomiona, a Moist von Lipwig lubił to u innych. Czuł się ogromnie szczęśliwy. Nie wiedział dlaczego i nie wiedział, co zrobi potem... ale na pewno będzie zabawnie.

Znowu pojawiło się to znajome elektryzujące uczucie – takie ogarnia człowieka gdzieś w głębi, kiedy stoi przed bankierem, który starannie ogląda jeden z przykładów jego najlepszych dzieł. Wszechświat wstrzymuje oddech, a potem bankier uśmiecha się i mówi: „Bardzo dobrze, panie Przybrane Nazwisko, polecę kasjerowi, żeby natychmiast przyniósł tu pieniądze”. To był dreszcz nie pościgu, ale stania nieruchomo, zachowywania spokoju, opanowania i szczerości, którymi przez pewien czas człowiek zdołałby nabrać cały świat i zakręcić nim na czubku palca. To były chwile, dla których żył wtedy, kiedy żył naprawdę, kiedy jego myśli płynęły jak rtęć, a samo powietrze się skrzyło. Później to uczucie przedstawi mu rachunek. Ale teraz Moist miał wrażenie, że lata.

Wracał do gry. Ale na razie, przy świetle płonących przeszłości, tańczył walca z panną Dearheart, a zaimprovizowana orkiestra improwizowała wytrwale.

Potem wrócił do domu, żeby się wyspać, zdziwiony, lecz dziwnie uśmiechnięty. Przeszedł do swojego gabinetu, w którym brakowało całej ściany, a tam spłynęła na niego religia, jak jeszcze nigdy nie spłynęła na nikogo.

* * *

Młody kapłan Offlera, boga krokodyla, o czwartej nad ranem był nieco wytrącony z równowagi, ale człowiek w skrzydlatej czapce i złocistym stroju chyba wiedział, co powinno się dziać, więc kapłan pozwalał sobą pokierować. Nie był zbyt inteligentny, co tłumaczyło, czemu wciąż pracuje na tej zmianie.

– Chce pan doręczyć ten list Offlerowi? – spytał, ziewając. Patrzył na wciśniętą mu w dłoń kopertę.

– Jest do niego adresowany – stwierdził Moist. – I ma odpowiednie znaczki. Elegancko napisany list zawsze zwróci uwagę. Przyniosłem też funt kiełbasek, które są zwyczajowe, jak rozumiem. Krokodyle uwielbiają kiełbaski.

– Ściśle mówiąc, widzi pan, do bogów wznosi się modlitwy – odparł kapłan z powątpiewaniem.

Nawa świątyni była pusta, tylko niski, chudy staruszek w brudnej szacie sennie zamiatął podłogę.

– Jak zrozumiałem – tłumaczył Moist – dar kiełbasek trafia do Offlera poprzez smażenie, tak? A duch kiełbasek wznosi się ku Offlerowi w formie zapachu, tak? A potem wy zjadacie kiełbaski?

– Ależ nie. Zupełnie inaczej – zapewnił młody kapłan, który znał te argumenty. – Tak może się wydawać niewtajemniczonym. Jednakże, tak jak pan mówił, prawdziwa kiełbaskowość wznosi się prosto do Offlera. On zjada ducha kiełbasek. Myjemy zaledwie ich ziemską powłokę, która, może mi pan wierzyć, zmienia się w naszych ustach w kurz i popioły.

– To by wyjaśniało, dlaczego zapach kiełbasek jest zawsze lepszy od rzeczywistych kiełbasek, prawda? Często zauważam to zjawisko.

Kapłan był pod wrażeniem.

– Czy jest pan teologiem? – zapytał.

– Jestem... wykonuję podobny zawód. Ale zmierzam do czegoś innego: jeśli ty przeczytasz ten list, to jakby sam Offler go przeczytał. Mam rację? Poprzez twoje oczy duch listu wzniesie się do Offlera, tak? A wtedy będę mógł oddać wam kiełbaski.

Młody kapłan rozejrzał się rozpaczliwie po świątyni. Było jeszcze zbyt wczesnie rano. Kiedy jakiś bóg, metaforycznie, niewiele robi, zanim piaszczyste brzegi nie rozgrzeją się przyjemnie na słońcu, starsi kapłani też lubią się wylegiwać.

– Sądzę, że tak – przyznał z ociąganiem. – Ale może pan zaczeka, aż diakon Jones...

– Trochę mi się spieszy – przerwał mu Moist. Milczał przez chwilę. – Przyniosłem trochę miodowej musztardy – dodał. – Idealny dodatek do kiełbasek.

Kapłan nabrał nagle entuzjazmu.

– Jaka to musztarda? – spytał.

– Premium Reserve pani Edith Leakall. – Moist pokazał mu słoik.

Młody kapłan się rozpromienił. Stał nisko w hierarchii i z kiełbasek dostawał niewiele więcej niż Offler.

– Boże, to kosztowny gatunek! – szepnął.

– Tak. Wszystko polega na tej nutce dzikiego czosnku – zgodził się Moist. – Ale może powinienem zaczekać, aż diakon...

Kapłan porwał list i słoik.

– Nie, nie. Widzę, że się panu spieszy. Załatwię tę sprawę od razu. To zapewne prośba o pomoc, tak?

– Tak. Chciałbym, by Offler sprawił, że blask jego oczu i błysk jego zębów padnie na mojego kolegę Tollivera Groata, który znajduje się teraz w Szpitalu Lady Sybil.

– A tak – zgodził się akolita. – Często przekazujemy takie...

– I chciałbym też mniej więcej sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów – ciągnął Moist. – Ankhmorporskie dolary byłyby najlepsze, oczywiście, ale do przyjęcia jest dowolna inna rozsądnie twarda waluta.

* * *

Kiedy Moist zmierzał z powrotem do ruin Urzędu Pocztowego, w jego kroku pojawiła się pewna sprężystość. Wysłał listy do Offlera, Oma i Ślepego Io – wszystkich poważnych bogów, ale też do Anoi, bogini Rzeczy, które Utykają w Szufladach*. Nie miała świątyni, a jej sprawami zajmowała się dorywczo kapłanka na Kablowej. Moist jednak miał przeczucie, że nim minie dzień, Anoia okaże się przeznaczona do rzeczy wyższych. Wybrał ją tylko dlatego, że spodobało mu się imię.

Da im mniej więcej godzinę. Bogowie przecież działają szybko.

Urząd Pocztowy za dnia nie wyglądał lepiej. Stała jeszcze mniej więcej połowa budynku. Nawet z plandekami obszar zadaszony był niewielki i wilgotny. Ludzie kręcili się dookoła, niepewni, co mają robić. On im to powie.

Pierwszą osobą, którą spotkał, był George Aggy kuśtykający ku niemu pospiesznie.

– Straszna historia, sir, straszna. Przyszedłem, jak tylko się... – zaczął.

– Dobrze cię widzieć, George. Jak noga?

– Co? Och, doskonale, sir, doskonale. Świeci w ciemności, ale można w ten sporo zaoszczędzić na świecach. Co teraz...

* Często, choć nie wyłącznie, chochle, ale czasem też metalowa łopatka lub – rzadziej – mechaniczna trzepaczka do jajek, do kupienia której nikt w domu nie chce się przyznać. Rozpaczliwy, szaleńczy grzechot oraz krzyki „Jak mogła się zamknąć z tym draństwem, a teraz nie chce się otworzyć?! Kto to w ogóle kupił?! Czy ktoś tego używa?!” głośzą chwałę tej bogini. Anoia zjada także korkociągi.

– Będiesz moim zastępcą, póki Groat leży w szpitalu – oświadczył Moist. – Ilu listonoszy możesz zebrać?

– Ze dwunastu, sir, ale zrobimy...

– Ruszymy pocztę, panie Aggy. To właśnie zrobimy! Przekazuje pan wszystkim, że dzisiejsza oferta specjalna to Pseudopolis za dziesięć pensów, gwarantowane. Cała reszta niech się bierze do sprzątanania. Został jeszcze kawałek dachu. Otwieramy jak zwykle. Bardziej niż zwykle.

– Ale... – Słowa opuściły Aggy'ego, który tylko bezradnie machnął ręką. – To wszystko?

– Ani deszcz, ani ogień, panie Aggy! – odpowiedział surowo Moist.

– Nie ma tego w naszym motcie, sir!

– Do jutra będzie. Ach, Jim...

Woźnica sunął w stronę Moista, powiewając ogromną peleryną.

– To był ten łajdak Gilt, zgadza się? – warknął. – Podpala, jak leci. W czym możemy pomóc, panie Lipwig?

– Czy nadal jesteście w stanie poprowadzić dzisiejszy kurs do Pseudopolis?

– Oczywiście. Jak tylko poczuliśmy dym, Harry z chłopakami wyprowadzili wszystkie konie. I straciliśmy tylko jeden powóz. Pomożemy, nie ma co gadać, ale Pień działa bez problemów. Marnuje pan tylko czas.

– Ty mi daj koła, Jim, a ja dam im coś do wożenia – uspokoił go Moist. – O dziesiątej będziemy mieli dla ciebie worek.

– Bardzo pan pewny swego, panie Lipwig. – Jim przekrzywił głowę.

– Anioł przyszedł do mnie we śnie i mi powiedział.

Jim wyszczerzył zęby.

– Ach, no to oczywiście. Anioł, co? Przydatna pomoc w ciężkich chwilach, tak przynajmniej słyszałem.

– Też tak sędzę – zgodził się Moist.

Wrócił do tej przewiewnej, poczerńiałej od dymu, trójściennej jaskini, w którą zmienił się jego gabinet. Zmiótł popiół z fotela, sięgnął do kieszeni i położył na biurku list od Dymiącego Gnu.

Jedyni ludzie, którzy mogli wiedzieć, kiedy zepsuje się wieża sekarowa, musieli pracować dla firmy, zgadza się? – myślał. Albo pracowali kiedyś, to bardziej prawdopodobne. Ha! Tak przecież wszystko się odbywało. Ten bank w Sto Lat na przykład – nigdy nie udałoby się podrobić tych czeków, gdyby nie nieuczciwy kasjer, który sprzedał mi stary rejestr ze wszystkimi podpisami. To był dobry dzień.

Wielki Pień nie tylko zyskuje wrogów – on ich masowo produkuje. A teraz Dymiące Gnu postanowiło mi pomóc. Nielegalni sygnaliści... Pomyśleć tylko, ile znają sekretów...

Moist nasłuchiwał kurantów zegarów i wiedział, że jest już za kwadrans dziewiąta. Co zrobią? Wyszadzą wieżę? Ale przecież w wieżach pracują ludzie. Na pewno nie...

– Och, panie Lipwig!

Nieczęsto się zdarza, że rozplakana kobieta wbiega do pokoju i rzuca się na mężczyznę. Moistowi nie zdarzyło się jeszcze nigdy. To znaczy do tej chwili, i naprawdę szkoda, że tą kobietą okazała się panna Maccalariat.

Podbiegła truchcikiem i przylgnęła do zaskoczonego Moista. Łzy ciekły jej po twarzy.

– Och, panie Lipwig! – zawodziła. – Och, panie Lipwig!

Moist zatoczył się pod jej ciężarem. Ciągnęła go za kołnierzyk tak mocno, że niewiele brakowało, by przewrócił się na podłogę, a myśl o tym, że ktoś mógłby go zobaczyć na podłodze z panną Maccalariat, była... no, była myślą, której po prostu nie dało się pomyśleć. Głowa musi eksplodować, zanim dokona takiego wyczynu.

W siwych włosach miała różową spinę w ręcznie malowane fiołki. Ten widok, o kilka cali od oczu, okazał się dziwnie niepokojący.

– Już dobrze, panno Maccalariat, tylko spokojnie – powtarzał Moist, starając się utrzymać równowagę za oboje.

– Och, panie Lipwig!

– Istotnie, to ja, panno Maccalariat – powiedział z desperacją. – Co mógłbym dla pani...

– Pan Aggy mówi, że nigdy nie odbudują Urzędu Pocztowego! Mówi, że lord Vetinari nigdy nie da na to pieniędzy! Och, panie Lipwig! Przez całe życie marzyłam, że będę tu pracować za ladą! Moja babka nauczyła mnie wszystkiego, kazała mi nawet ssać cytryny, żeby uzyskać właściwy wyraz twarzy! Przekazałam też wszystko mojej córce! Ma taki głos, że schodzi od niego farba! Och, panie Lipwig!

Moist rozpaczliwie poszukiwał jakiegoś miejsca, by ją poklepać – miejsca, które nie byłoby przemoczone ani nieprzystojne. Zdecydował się na ramię. Naprawdę, ale to naprawdę potrzebował teraz pana Groata. Pan Groat wiedział, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

– Wszystko będzie dobrze, panno Maccalariat.

– I biedny pan Groat! – zaszlochała.

– Jak rozumiem, nic mu już nie grozi. Wie pani, co mówią o Szpitalu Lady Sybil: niektórzy ludzie wychodzą z niego żywi.

Naprawdę, naprawdę mam nadzieję, że mu się uda, pomyślał. Bez niego jestem zagubiony.

– To wszystko jest takie okropne, panie Lipwig! – mówiła panna Maccalariat, zdecydowana do ostatniej kropli wypić swój kielich goryczy. – Wszyscy skończymy na ulicy!

Moist chwycił ją za ramiona i odsunął delikatnie, starając się przy tym wypchnąć z myśli obraz panny Maccalariat na ulicy.

– Proszę mnie posłuchać, panno Maccalariat... Właściwie to jak pani na imię?

– Jodyna, panie Lipwig – odparła panna Maccalariat, ocierając twarz chusteczką. – Ojcu podobało się brzmienie.

– No więc... Jodyno, jestem przekonany, że jeszcze dzisiaj zdobędę pieniądze na odbudowę – oświadczył Moist.

Wytarła w chusteczkę nos i... tak, tak, zaraz wepchnie ją z powrotem do rękawa blezeru, o bogowie...

– Tak, pan Aggy o tym wspominał i ludzie mówią na ten temat. Podobno wysłał pan do bogów listy z prośbą o pieniądze! Panie Lipwig! Nie moją rolą jest pana pouczać, ale bogowie nie przysyłają pieniędzy!

– Mam wiarę, panno Maccalariat – zapewnił Moist i wyprostował się dumnie.

– Moja rodzina to anoianie od pięciu pokoleń, sir – powiedziała panna Maccalariat. – Codziennie grzechoczemy szufladami, ale nigdy nie dostaliśmy niczego materialnego, że tak powiem. Tylko babcia znalazła trzepaczkę do jajek, choć nie pamiętała, żeby ją chowała do szuflady, ale jesteśmy pewni, że to przypadek...

– Panie Lipwig! Panie Lipwig! – zawołał ktoś. – Podobno sekary... Och, przepraszam...

Zdanie kończyło się, jakby utknęło w syropie. Moist westchnął i odwrócił się do przybysza uśmiechającego się szeroko w obramowanym węglem drzewnym otworze drzwi.

– Słucham, panie Aggy?

– Podobno sekary znowu nie działają, sir! Linia do Pseudopolis!

– Co za nieszczęście... – zmartwił się Moist. – Chodźmy, panno Maccalariat, chodźmy, panie Aggy! Ruszamy z pocztą!

W pozostałościach głównej hali zebrał się spory tłumek. Jak zauważył Moist, obywatele miasta z entuzjazmem przyjmowali nowinki. Oczywiście, poczta była czymś bardzo starym – ale tak starym, że magicznie zmieniała się w nowość.

Schodzącego po schodach Moista ludzie powitali oklaskami. Dać im przedstawienie, zawsze warto dać im przedstawienie. Ankh-Morpork kocha przedstawienia.

Moist znalazł krzesło, wszedł na nie i złożył dłonie wokół ust.

– Specjalna oferta na dzisiaj, panie i panowie! – zawołał, przekrzykując gwar. – Przesyłki do Pseudopolis po obniżonej cenie trzech pensów! Tylko trzy pensy! Dylizans rusza o dziesiątej! A jeśli ktokolwiek zechce przenieść do nas wiadomość sekarową, która utknęła u naszych pechowych kolegów z Kompanii Wielkiego Pnia, doręczymy ją za darmo!

To wzbudziło pewne zamieszanie. Sporo osób oderwało się od grupy i pospieszenie odeszło.

– Oto Urząd Pocztowy, panie i panowie! – wrzasnął Moist. – My doręczamy!

Znowu brawa.

– Chce pan się dowiedzieć czegoś naprawdę ciekawego, panie Lipwig? – zapytał Stanley, podbiegając do poczmistrza.

– Co takiego, Stanley? – Moist zeskoczył z krzesła.

– Sprzedajemy rano dużo tych nowych, dolarowych znaczków! I wie pan co? Ludzie wysyłają listy do siebie!

– Co takiego? – zdumiał się Moist.

– Żeby te znaczki przeszły przez pocztę, sir. Dzięki temu stają się... no, prawdziwe, sir! To dowodzi, że były użyte! Oni je kolekcjonują, sir! I jest coraz lepiej!

– Jak może być jeszcze lepiej, Stanley? – zdziwił się Moist. Przyjrzał się uważniej. Chłopak miał na sobie nową koszulkę z obrazkiem jednopensowego znaczka i napisem „Spytaj mnie o znaczki”.

– Sto Lat chce, żeby Teemer i Spools wydrukowali ich własny zestaw! Inne miasta też o to proszą!

Moist zanotował w pamięci: należy często zmieniać znaczki. I zaproponować osobne wersje wszystkim miastom i państewkom, o jakich tylko sobie przypomnimy. Wszyscy zechcą mieć swoje, zamiast „lizać tyłek Vetinariego”. Będziemy je honorować, jeśli tylko obiecują doręczać naszą pocztę, a pan Spools w bardzo określony sposób wyrazi swoją wdzięczność, dopilnuję tego.

– Przykro mi z powodu twoich szpilek, Stanley.

– Szpilki? – zdziwił się chłopak. – Ach, szpilki! Szpilki to tylko zaostrome kawałki metalu, sir. Szpilki są martwe!

I tak dokonuje się postęp, pomyślał Moist. Byle do przodu, coś może stać za tobą.

Trzeba jeszcze tylko, żeby bogowie się do nas uśmiechnęli.

Hm... Sądę, że na zewnątrz uśmiechną się szerzej...

Moist wyszedł na światło dnia. Granica między wnętrzem i zewnątrz Urzędu Pocztowego nie była tak wyraźna jak dawniej, ale i tak czekało tu sporo ludzi. Było też dwóch strażników. Ci się przydadzą – już teraz przyglądają mu się podejrzliwie.

No to gotowe. Zaraz nastąpi cud. Zaczy... naprawdę zaraz zdarzy się cud, do demona!

Moist patrzył w niebo i słuchał bogów.

Rozdział jedenasty

Misja wobec świata

W którym lord Vetinari udziela porad – Słaba pamięć pana Lipwiga – Trudności w znalezieniu mieszkania przez złych Geniuszy Zbrodni – Pana Groata lęk przed kąpielą oraz dyskusja o wybuchowej bieliźnie – Pan Pony i jego kopie – Rada obraduje, Gilt postanawia – Moist von Lipwig próbuje niemożliwego

Zegary wybiły siódmą.

– Ach, pan Lipwig... – Vetinari uniósł głowę. – Bardzo dziękuję, że zechciał mnie pan odwiedzić. To był bardzo pracowity dzień, nieprawdaż... Drumknott, przysuń krzesło panu Lipwigowi. Prococtwo może być bardzo wyczerpujące, jak sądzę.

Moist skinieniem ręki odesłał sekretarza i usadził obolałe ciało.

– Ściśle mówiąc, wcale nie chciałem pana odwiedzać – powiedział. – Wielki troll ze straży wszedł i złapał mnie za ramię.

– Ach, chciał panu pomóc utrzymać równowagę, nie wątpię. – Lord Vetinari studiował bitwę między kamiennymi trollami a kamiennymi krasnoludami. – Towarzyszył mu pan z własnej i nieprzymuszonej woli, prawda?

– Jestem bardzo przywiązany do swojego ramienia. Pomyślałem, że lepiej pójść z tym trollem. Co mogę zrobić dla waszej lordowskiej mości?

Vetinari wstał i przeszedł do biurka. Ze swego fotela przyjrzał się Moistowi z czymś podobnym niemal do rozbawienia.

– Komendant Vimes przekazał mi zwięzły raport z dzisiejszych wydarzeń. – Odłożył figurkę trolla i przerzucił kilka kartek. – Poczynając od zamieszek w biurach Wielkiego Pnia, które, jak twierdzi, pan sprowokował.

– Zrobiłem tylko tyle, że zaproponowałem doręczenie tych sekarowych wiadomości, które zostały zatrzymane wskutek nieszczęśliwej awarii. Nie spodziewałem się, że ci idioci odmówią zwrócenia ich klientom! Przecież ludzie zapłacili im z góry! Ja tylko chciałem

pomóc wszystkim w tej trudnej chwili. I z pewnością nikogo nie „sprovokowałem”, żeby uderzył urzędnika krzesłem!

– Oczywiście, że nie. Oczywiście – zgodził się Vetinari. – Jestem pewien, że działał pan całkowicie niewinnie i z najlepszymi intencjami. Ale nie mogę się doczekać, by usłyszeć o złocie, panie Lipwig. Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, o ile pamiętam.

– Niektórych fragmentów nie pamiętam – odparł Moist. – Wszystko jest trochę niewyraźne.

– Tak, tak, wyobrażam sobie. Może więc spróbuję wyjaśnić kilka szczegółów – zaproponował lord Vetinari. – Późnym rankiem, panie Lipwig, rozmawiał pan z ludźmi przed nieszczęśliwie uszkodzonym budynkiem, kiedy... – Tu Patrycjusz zajrzał do notatek. – Kiedy nagle spojrzął pan w niebo, osłonił oczy, osunął się na kolana i krzyknął: „Tak, tak, dzięki ci, nie jestem godny, chwała ci, oby ptaki dokładnie wyczyściły twe zęby, alleluja, niech grzechoczą twe szuflady” i podobne zdania, budząc powszechną troskę zebranych osób. Potem wstał pan, wyciągając rękę, zawołał: „Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów zakopane w polu! Dzięki ci, dzięki! Natychmiast je odbiorę!”. Po czym wyrwał pan łopatę jednemu z ludzi, którzy pomagali usuwać gruzy z budynku, i stanowczym krokiem skierował się pan poza miasto.

– Doprawdy? – zdziwił się Moist. – Wszystko to jest białą plamą.

– Jestem tego pewny – zgodził się z satysfakcją Patrycjusz. – I będzie pan mocno zaskoczony, jak się domyślam, gdy powiem, że podążała za panem spora grupa ludzi, w tym pan Pompa i dwóch przedstawicieli Straży Miejskiej?

– Wielkie nieba, naprawdę?

– Tak jest. Przez kilka godzin. Przystawał pan kilkakrotnie, by się pomodlić. Zakładam, że w celu zyskania wskazówek, które w końcu skierowały pańskie kroki do niewielkiej kępy drzew między polami kapusty.

– Doprawdy? Niestety, wspomnienia są dość mgliste.

– Strażnicy mówią, że kopał pan jak sam demon. Spora liczba powszechnie szanowanych świadków była obecna w chwili, kiedy łopata uderzyła o wieko skrzyni. Jak słyszałem, „Puls” w następnym wydaniu zamieści obrazki.

Moist milczał. To był jedyny sposób, by mieć pewność.

– Jakież komentarze, panie Lipwig?

– Nie, wasza lordowska mość, właściwie nie.

– Hm... Mniej więcej trzy godziny temu siedzieli tutaj trzej wysocy kapłani trzech ważnych religii i dość oszołomiona niezależna kapłanka, która, jak rozumiem, na zasadzie agencji prowadzi doczesne sprawy Anoi. Wszyscy twierdzili, że to ich bóg czy bogini zdradziła panu miejsce ukrycia złota. Nie przypomni pan sobie, które to z nich?

– Ja tak jakby raczej czułem ten głos, niż go słyszałem – odpowiedział ostrożnie Moist.

– No tak... Nawiasem mówiąc, wszyscy byli zdania, że ich świątynie powinny otrzymać dziesięć od tych pieniędzy – dodał. – Wszystkie.

– Sześćdziesiąt tysięcy dolarów? – oburzył się Moist. – To nieuczciwe.

– Muszę pochwalić pańską sprawność myślowej arytmetyki, nawet w obecnym stanie oszołomienia. Z zadowoleniem stwierdzam, że nie brakuje w niej precyzji – stwierdził Vetinari. – Radziłbym złożyć darowiznę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, podzieloną na cztery części. Jest to przecież bardzo publiczny, bardzo stanowczy i całkowicie bezsporny dar bogów. Czy nie należy skorzystać z okazji do okazania szacunku i wdzięczności?

Nastąpiła długa chwila ciszy. Potem Moist podniósł palec i wbrew wszelkim przeciwnościom zdołał się uśmiechnąć.

– Rozsądna rada, wasza lordowska mość. Poza tym człowiek nigdy nie wie, kiedy będzie potrzebował modlitwy.

– Otóż to – zgodził się Vetinari. – To mniej, niż żądali, ale więcej, niż się spodziewają. Przypomniałem im również, że pozostałe pieniądze zostaną wykorzystane dla dobra publicznego. Zostaną wykorzystane dla dobra publicznego, prawda, panie Lipwig?

– O tak. Oczywiście!

– To się dobrze składa, bo w tej chwili wciąż znajdują się w celi u kapitana Vimesa. – Vetinari spojrzał na spodnie Moista. – Widzę, że ma pan jeszcze błoto na swoim pięknym złotym stroju, poczmistrzu. Pomyśleć tylko, że tyle pieniędzy czekało zakopane na polu... I nadal nic pan nie pamięta z tego, jak się pan tam dostał?

Mina Patrycjusza zaczynała działać Moistowi na nerwy. Wiesz, pomyślał. Wiem, że wiesz. I wiesz, że ja wiem, że wiesz. Ale ja wiem, że nie możesz być pewny, nie całkiem.

– No... zjawił się anioł – oświadczył.

– Naprawdę? Jakiegoś szczególnego rodzaju?

– Rodzaju takich, które zjawiają się tylko raz. Tak myślę.

– Ach, no tak. Cóż, wszystko zatem wydaje mi się całkiem oczywiste. – Vetinari oparł się wygodnie. – Nieczęsto człowiek śmiertelny doznaje chwili tak cudownego objawienia boskiej mocy, ale kapłani zapewnili mnie, że takie rzeczy są możliwe, a kto mógłby wiedzieć lepiej od nich? Ktokolwiek zasugeruje, że te pieniądze były jakoś... pozyskane niesłusznym sposobem, będzie musiał to przedyskutować z bardzo wzburzonymi kapłanami, a w dodatku, jak podejrzewam, odkryje, że absolutnie nie da się zamknąć jego kuchennych szuflad. Poza tym ofiarowuje pan te pieniądze miastu... – Uniósł dłoń, gdy tylko Moist otworzył usta, i kontynuował: – ...to znaczy Urzędowi Pocztownemu, więc nie można podnosić kwestii zysków osobistych. Wydaje się, że pieniądze te nie mają właściciela, choć do tej pory, ma się rozumieć, dziewięćset trzydzieści osiem osób pragnęło, bym uwierzył, że należą do nich. Żyjemy przecież w Ankh-Morpork. A więc, panie Lipwig, polecam panu odbudowę Urzędu Pocztownego w możliwie szybkim terminie. Rachunki zostaną zapłacone, a że pieniądze są

praktycznie darem od bogów, nie obciążymy wpływów z podatków. Brawo, panie Lipwig. Doskonała robota. Niech mi pan nie pozwoli się zatrzymywać.

Moist dotykał już dłonią klamki, kiedy znów usłyszał głos za plecami.

– Jeszcze pewna drobnostka, panie Lipwig.

Znieruchomiał.

– Tak?

– Przyszło mi do głowy, że kwota, jaką bogowie tak wspaniałomyślnie uznali za stosowne nam zesłać, czystym przypadkiem jest w przybliżeniu równa szacunkowej zdobyczy znanego przestępcy, której, o ile mi wiadomo, nie udało się odzyskać.

Moist patrzył nieruchomo na drewniane drzwi przed sobą. Dlaczego ten człowiek rządzi tylko jednym miastem? – zastanawiał się. Czemu nie włada całym światem? Czy tak traktuje innych ludzi? Jak marionetki. Jedyna różnica polega na tym, że organizuje wszystko tak, by człowiek sam pociągał za swoje sznurki.

Odwrócił się ze starannie nieruchomą twarzą. Lord Vetinari przeszedł do swojej planszy.

– Doprawdy, wasza lordowska mość? Kim był ten człowiek? – zapytał Moist.

– Niejaki Albert Spangler, panie Lipwig.

– On nie żyje – stwierdził Moist.

– Jest pan pewien?

– Tak, wasza lordowska mość. Byłem przy tym, jak go wieszali.

– Dobrze zapamiętane, panie Lipwig – pochwalił Vetinari i przesunął krasnoluda przez całą planszę.

* * *

Niech to demony porwą! – krzyczał Moist, ale tylko w paśmie wewnętrznym.

Ciężko pracował na te pie... no, banki i kupcy ciężko pra... no, gdzieś tam ktoś ciężko pracował na te pieniądze, a teraz trzecia ich część została... no, ukradziona, tylko tak można to określić.

Moist odczuwał wskutek tego pewnie niepraworządne oburzenie.

Oczywiście, większość i tak przeznaczyliby na Urząd Pocztowy, o to przecież chodziło, ale da się przecież wznieść całkiem solidny budynek za znacznie mniej niż sto tysięcy dolarów i liczył na trochę dla siebie.

Mimo to czuł się dobrze. Może to właśnie było to uczucie cudownego, przyjemnego ciepła, o którym ludzie tyle opowiadali. Zresztą co by robił z pieniędzmi? I tak nigdy nie miał czasu, by je wydawać. W końcu co mógłby kupić geniusz zbrodni? Na rynku brakowało nadmorskich rezydencji z prawdziwymi strumieniami lawy i w pobliżu niezawodnego źródła piranii. Świat z całą pewnością mógł się obejść bez następnego Władcy Ciemności, skoro Reacher Gilt tak dobrze sobie radził. Gilt nie potrzebował wieży i obozujących wokół

dziesięciu tysięcy trolli. Wystarczyły mu księgi obrachunkowe i bystry umysł. Tak było taniej, a wieczorami mógł wychodzić na bankiety.

Przekazanie złota gliniarzom było trudne, ale właściwie nie miał wyboru. Zresztą trzymał ich w garści. Nikt przecież nie wstanie i nie powie, że bogowie nie robią takich rzeczy. Owszem, nigdy jeszcze nie robili, ale z bogami nigdy nic nie wiadomo. Z całą pewnością, po wydaniu popołudniowej edycji „Pulsu”, pod trzema świątyniami ustawią się kolejki.

Sytuacja prezentowała kapłanom pewien filozoficzny problem. Oficjalnie byli przeciwni gromadzeniu sobie skarbów na ziemi, musieli jednak przyznać, że zawsze dobrze jest mieć pośladki na kościelnych ławach, stopy w świętych gajach, ręce grzechoczące szufladami i palce zanurzone w sadzawkach małych krokodyli. Zdecydowali się więc na wygłaszane z płomiennym wzrokiem zaprzeczenia, by coś takiego mogło się zdarzyć ponownie, a równocześnie sugerowali, że właściwie to nigdy nie wiadomo, albowiem niezbadane są wyroki bogów, prawda? Poza tym petenci stojący w kolejkach i proszący w listach o wielkie worki gotówki byli otwarci na sugestię, że ci największą mają szansę otrzymania łaski, którzy już tę łaskę okazali. Przekaz ten docierał do nich już po kilku stuknięciach po głowie tacą na ofiary.

Nawet panna Extremella Mume, której niewielka, wielowyznaniowa świątynia nad biurem bukmacherskim przy Kablowej załatwiała codzienne sprawy doczesne kilkudziesięciu mniej ważnych bóstw, teraz robiła całkiem dobre interesy na tych, którzy nie chcieli przepuścić choćby niewielkiej szansy. Nawet powiesiła nad drzwiami transparent z napisem „To możesz być TY!”.

To nie mogło się zdarzyć. To nie powinno się zdarzyć. Ale nigdy nie wiadomo, tym razem... kto wie?

Moist rozpoznawał tę nadzieję. Dzięki niej zarabiał na życie. Człowiek wiedział, że ktoś, kto prowadzi grę w trzy karty, na pewno wygra, wiedział, że ktoś w potrzebie raczej nie będzie sprzedawał pierścionka z brylantem za ułamek jego wartości, wiedział, że życie podaje zwykle ten lepki koniec kija, i wiedział też, że bogowie nie wybierają z populacji jakiegoś niegodnego głupka, żeby zesłać mu majątek.

Tylko że tym razem człowiek może się mylić, prawda? Coś takiego może akurat się zdarzyć, tak?

Co łącznie znane było jako największy ze wszystkich skarbów, czyli Nadzieja. Dobra metoda, by bardzo szybko zbiednieć i już biednym pozostać. To możesz być ty... Ale nie będziesz.

W tej chwili Moist von Lipwig maszerował ulicą Antycznej Pszczoły w stronę Darmowego Szpitala Lady Sybil. Ludzie oglądali się, gdy ich mijał. W końcu od kilku dni nie opuszczał pierwszych stron azet. Miał tylko nadzieję, że skrzydlata czapka i złocisty strój zagwarantują mu bezpieczeństwo: ludzie będą widzieć złoto, a nie twarz.

Szpital nadal był w budowie, jak zwykle szpitale. Miał też kolejkę przed wejściem. Moist poradził z nią sobie, ignorując ją i przechodząc prosto do wnętrza. Dalej, w głównym holu, stali ludzie, którzy wyglądali na takich ludzi, których zadaniem jest wołanie „Ej, ty!” do ludzi, którzy po prostu wchodzą. Moist jednak generował osobiste pole „Jestem zbyt ważny, żeby mnie zatrzymywać” i jakoś nie udało im się sformułować właściwych słów.

I oczywiście, kiedy ktoś już przedarł się przez demony wejścia dowolnej organizacji, ludzie zakładali, że ma prawo tam być, i udzielali mu wskazówek.

Pan Groat miał pokój tylko dla siebie, a tabliczka na drzwiach ostrzegała „Nie wchodzić”. Ale Moist rzadko przejmował się tabliczkami.

Staruszek siedział na łóżku z ponurą miną, lecz ucieszył się na widok Moista.

– Panie Lipwig! Co za widok dla moich zmęczonych oczu! Może pan się dowiedzieć, gdzie schowali moje spodnie? Mówiłem im, że jestem zdrowy jak pchełka, sir, a i tak zabrali mi spodnie! Niech mnie pan ratuje, zanim mnie zanoszą do następnej kąpieli. Kąpieli, sir!

– Muszą cię nosić? – zmartwił się Moist. – Nie możesz chodzić, Tolliverze?

– Mogę, sir, ale walczę z nimi, sir. Bronię się. Kapać mnie, sir? I to kobiety! Które się gapią na moją trąbkę i bile! Uważam, że to bezwstyd, sir! Wszyscy wiedzą, że mydło zabija naturalne emisje, sir! Och, sir! Och, sir! Trzymają mnie tu w niewoli, sir! I jeszcze zrobili mi spodnioktomię!

– Niech pan się uspokoi, panie Groat. – Moist wystraszył się trochę, gdyż staruszek mocno poczerwieniał na twarzy. – Czyli rozumiem, że czuje się pan już dobrze?

– To tylko zadrapanie, sir, proszę spojrzeć... – Groat odpiął guziki nocnej koszuli. – Widzi pan?

Moist o mało nie zemdlał. Banshee próbował zrobić z piersi Groata planszę do gry w kółko i krzyżyk. Ktoś inny pozszywał go równiutko.

– Nieźle się postarali, muszę im przyznać – stwierdził niechętnie Groat. – Ale muszę już wstać i wracać do urzędu, sir. Praca czeka!

– Jest pan pewien, że już pan wyzdrowiał? – Moist wpatrywał się w siatkę strupów.

– Zdrow jestem jak rydz, sir, jak rydz! Tak im powiedziałem, sir, że jak banshee nie mógł się przebić przez mój ogrzewacz piersi, to żaden z tych ich niewidzialnych gryzących małych demonów też nie da rady. Założę się, że tam wszystko się sypie, a Aggy rządzi się jak zawsze! Założę się! I na pewno mnie pan potrzebuje, sir!

– Hm... Owszem. Dają panu lekarstwa?

– Ha! Oni to nazywają lekarstwem... Nagadali mi różne hokus-kadabry, jakie to niby wspaniałe, ale jeśli chce pan poznać moje zdanie, to brakuje temu zapachu i smaku, sir. Tłumaczą, że dobrze mi robi, ale ja im na to, że ciężka praca mi dobrze robi, a nie siedzenie w wodzie z mydłem, kiedy młode kobiety patrzą na moje grzechotki i flet. I jeszcze usunęły mi włosy, sir. Mówią, że są niehigieniczne, sir! Co za bezczelność! Pewnie, trochę się ruszają

same z siebie, ale to przecież naturalne! Miałem te włosy już od bardzo dawna, sir, i się przyzwyczailem do ich zabawnych sztuczek.

– A co się tutaj hwyprawia? – rozległ się głos pełen urażonego poczucia własności.

Moist obejrzał się na drzwi.

Jeśli jedna z zasad, które powinno się wpoić młodemu mężczyźnie, brzmi: „Nie kombinuj ze zwariowanymi dziewczynami, które palą jak smoki”, to druga winna brzmieć: „Uciekaj przed każdą kobietą, która do w dokłada h”.

Ta kobieta mogłaby być dwoma kobietami. Z pewnością miała dostateczną objętość, a że nosiła się całkiem na biało, wyglądała całkiem jak góra lodowa. Tylko zimniejsza. I z żaglami. I w czepku wykrochmalonym do zabójczej ostrości.

Dwie mniejsze kobiety stały za nią po obu stronach, zagrożone zmiążdżeniem, gdyby zrobiła krok do tyłu.

– Przyszedłem odwiedzić pana Groata – wyjaśnił Moist słabym głosem.

Groat zaskomlał i naciągnął kołdrę na głowę.

– Hwykluczone. Jestem tu przełożoną, młody człowieku, i muszę nalegać, żebyś natychmiast opuścił ten pokój. Stan chorego jest hwyjątkowo niestabilny!

– Jak dla mnie pan Groat wygląda całkiem zdrowo.

Musiał podziwiać to spojrzenie, jakim obrzuciła go przełożona. Sugerowało, że właśnie odkryła Moista przyklejonego do podeszwy jej buta. Odpowiedział własnym lodowatym wzrokiem.

– Młody człowieku, jego stan jest hwybitnie krytyczny – rzuciła gniewnie. – Odmawiam zwolnienia go.

– Droga pani, choroba to nie zbrodnia! Ludzie nie są zwalniani ze szpitala. Po prostu wychodzą.

Przełożona wyprostowała się z godnością i uśmiechnęła tryumfalnie.

– Otóż to, młody człowieku, tego hwyłaśnie się obawiamy!

* * *

Moist był pewien, że lekarze trzymają u siebie szkielety, by zastraszać pacjentów. No, no, wiemy, jak wyglądasz pod spodem... Ale apróbował takie podejście. Wzbudzało poczucie pewnej wspólnoty. Takie miejsca, jak Szpital Lady Sybil, w dzisiejszych czasach spotykało się rzadko, ale mimo to był pewien, że czekałaby go całkiem dochodowa kariera, gdyby zdecydował się nosić biały fartuch, używać długich i uczonych nazw na dolegliwości typu katar i spoglądać z mądrą miną na różne rzeczy w buteleczkach.

Po drugiej stronie biurka jakiś dr Lawn – nazwisko miał wypisane na tabliczce ustawionej na blacie, ponieważ lekarze są zapracowani i nie mogą wszystkiego pamiętać – uniósł głowę znad notatek na temat Tollivera Groata.

– To było całkiem ciekawe, panie Lipwig. Pierwszy raz w życiu musiałem operować, żeby usunąć ubranie pacjenta – powiedział. – Nie wie pan przypadkiem, z czego zrobiony był ten okład? Nie chciał nam powiedzieć.

– Wydaje mi się, że to warstwy flaneli, gęsiego smalcu i chlebowego puddingu – odparł Moist, rozglądając się po gabinecie.

– Chlebowy pudding? Prawdziwy chlebowy pudding?

– Prawdopodobnie.

– Czyli nie coś żywego? Wydawało nam się skórzaste. – Doktor przerzucił notatki. – A tak, już mam. Jego spodnie zostały zdetonowane w kontrolowanych warunkach po tym, jak eksplodowała jedna ze skarpetek. Nie wiemy czemu.

– Wsypuje do nich siarkę i węgiel drzewny, żeby dbać o świeżość stóp, a spodnie nasąca saletrą, by zapobiegać grom. Widzi pan, on jest wielkim wyznawcą medycyny naturalnej. Nie ufa lekarzom.

– Doprawdy? – zdziwił się Lawn. – Zachował więc resztki zdrowego rozsądku. A przy okazji, taki właśnie rozsądek sugeruje, by nie dyskutować z personelem pielęgniarstwa. Przekonałem się, że najlepszym wyjściem jest rzucenie kilku czekoladek w jednym kierunku i pospieszne oddalenie się w przeciwnym. Pan Groat, jak rozumiem, uważa, że każdy jest dla siebie najlepszym lekarzem?

– Przyrządza własne leki – potwierdził Moist. – Każdy dzień zaczyna od szklaneczki dżinu zmieszanego z roztworem saletry, sproszkowanej siarki, jałowca i sokiem cebuli. Mówi, że to oczyszcza armaturę.

– Wielkie nieba, na pewno. Czy on pali?

Moist zastanowił się chwilę.

– Chyba nie. To wygląda raczej jak para niż jak dym.

– A jego znajomość podstaw alchemii jest...?

– Żadna, o ile wiem. Ale robi dość ciekawe cukierki od kaszlu. Kiedy posać je parę minut, czuje się, jak woskowina wypływa z uszu. A kolana maluje jakąś mieszanką jodiny i...

– Dość – przerwał mu lekarz. – Panie Lipwig, są takie chwile, kiedy my, skromni praktycy sztuki medycznej, musimy odstąpić zdumieni. W przypadku pana Groata odstąpić całkiem daleko i najlepiej za jakieś drzewo. Proszę go zabrać. Wbrew wszelkim przewidywaniom okazał się zadziwiająco zdrowy. I chyba rozumiem, czemu tak łatwo wrócił do siebie po ataku banshee. Podejrzewam nawet, że pana Groata nie da się zabić żadnymi normalnymi środkami, choć radzę, by nie pozwolił mu pan na naukę stepowania. Aha, i niech pan zabierze też jego perukę. Próbowaliśmy schować ją do szafki, ale się wydostała. Rachunek prześlemy do Urzędu Poczтового, dobrze?

– Zdawało mi się, że przy wejściu było napisane „Darmowy szpital” – zdziwił się Moist.

– W zasadzie tak. W zasadzie – przyznał doktor Lawn. – Ale ci, na których bogowie zesłali tyle łask... sto pięćdziesiąt tysięcy, ściśle mówiąc... nie potrzebują chyba więcej dobroczynności?

A wszystko to leży w celi na komendzie straży, pomyślał Moist. Sięgnął do kieszeni i wyjął pomięty plik zielonych dolarowych znaczków Ankh-Morpork.

– Przyjmie pan to? – zapytał.

* * *

Obrazek Pieszczocha wynoszonego z pożaru przez Moista von Lipwiga – ponieważ dotyczył zwierzęcia – został przez „Puls” uznany za budzący najwięcej emocji i teraz figurował dumnie na pierwszej stronie.

Reacher Gilt obejrzał go, nie zdradzając nawet śladu irytacji. Potem raz jeszcze przeczytał artykuł pod nagłówkami:

CZŁOWIEK RATUJE KOTA

Obietnica „Odbudujemy większy” przy płonącym Urzędzie Pocztowym

150.000\$ – dar bogów

Fala zaciętych szuflad ogarnia miasto

– Wydawca „Pulsu” chyba czasem żałuje, że ma tylko jedną pierwszą stronę – zauważył oschle.

Charakterystyczny odgłos zabrzmiał od strony mężczyzn siedzących wokół wielkiego stołu w biurze Gilta. Był to odgłos, jaki powstaje, kiedy ludzie się tak naprawdę nie śmieją.

– Myślisz, że ma po swojej stronie bogów? – zapytał Greenyham.

– Trudno to sobie wyobrazić. Musiał wiedzieć, gdzie są te pieniądze.

– Tak myślisz? Gdybym to ja wiedział, gdzie leży tyle pieniędzy, nie zostawiłbym ich w ziemi.

– Nie, ty byś nie zostawił – stwierdził spokojnie Gilt takim tonem, że Greenyham poczuł się trochę niepewnie.

– Dwanaście i pół procent! Dwanaście i pół procent! – wrzasnął Alfons, podskakując na swoim drażku.

– Wychodzimy na durniów, Reacher! – odezwał się Stowley. – On wiedział, że wczoraj zerwie się linia! Równie dobrze mogli mu to zdradzić bogowie! Już teraz tracimy komunikację lokalną! Za każdym razem, kiedy wyłączamy wieżę, można być pewnym, że z

czystej złośliwości wyśle tam dylizans! Nie ma podłości, do jakiej ten człowiek się nie zniży!
Zamienił Urząd Pocztowy w... w widowisko!

– Wcześniej czy później każdy cyrk wyjeżdża z miasta – mruknął Gilt.

– Ale on się z nas śmieje! – nie ustępował Stowley. – Jeśli Pień znów będzie miał awarię, wcale się nie zdziwię, jeśli ten człowiek wyśle dylizans do Genoi.

– Droga zajmie tygodnie...

– Tak, ale przesyłki są tańsze i docierają do celu. Tak właśnie powie. I to powie głośno.
Musimy coś zrobić, Reacher!

– Co byś zasugerował?

– Może jednak wyłożymy trochę pieniędzy na porządną konserwację?

– Nie możecie – zabrzmiał nowy głos. – Nie macie ludzi.

Wszyscy obrócili głowy w stronę człowieka na samym końcu stołu. Miał marynarkę narzuconą na kombinezon roboczy, a obok siebie położył na stole bardzo pognieciony cylinder. Nazywał się Pony i był głównym mechanikiem Wielkiego Pnia. Trafił tu w początkach firmy, ale trzymał się jej, bo w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, z rwaniem w kciukach, chorą żoną i bólami w krzyżu, człowiek dwa razy sobie przemyśli różne dumne gesty w rodzaju wyjścia i trzaśnięcia drzwiami. Pierwszy raz zobaczył sekary trzy lata temu, kiedy powstała pierwsza firma, ale był człowiekiem metodycznym, a mechanika to mechanika.

W tej chwili jego najlepszym przyjacielem była kolekcja różowych kopii. Robił, co mógł, ale nie miał zamiaru za wszystko odpowiadać, kiedy ci tutaj w końcu poleca; jego różowe kopie miały mu to zagwarantować. Notatki służbowe na białym papierze trafiały do prezesa, żółte przebitki do akt, a różowe człowiek przechowywał u siebie. Nikt później nie powie, że nie ostrzegał.

Dwucalowy plik ostatnich kopii miał teraz wpięty do notatnika. I czuł się jak dawny bóg, który wychyla się z chmur jakiegoś Armagedonu i huczy z góry: „A nie mówiłem? Nie ostrzegałem was? Ale czy słuchaliście? Teraz już za późno, żeby słuchać!”.

– Mam sześć zespołów remontowych – oświadczył tonem znużonej cierpliwości. – W zeszłym tygodniu miałem osiem. Wysłałem informację o tym, mam tutaj kopię. Powinniśmy ich mieć osiemnaście. Połowa chłopaków wymaga nauki w locie, a nie mamy czasu na ich kształcenie. Za dawnych czasów postawilibyśmy chodzące wieże, żeby przejęły obciążenie. Teraz nie mamy na to ludzi...

– No dobrze, sprawa wymaga czasu, rozumiemy – zapewnił Greenyham. – Ile panu trzeba, żeby... zatrudnić więcej ludzi, uruchomić te chodzące wieże i...

– Kazaliście mi wyrzucić wielu fachowców – przypomniał Pony.

– Nie wyrzuciliśmy ich. Pozwoliliśmy im odejść – sprostował Gilt.

– My... redukowaliśmy zatrudnienie – dodał Greenyham.

– No to chyba wam się udało, panowie – stwierdził Pony. Wyjął z jednej kieszeni ogryzek ołówka, a z drugiej brudny notes. – Chcecie, żeby było szybko, tanio czy porządnie? W takiej sytuacji, jaką mamy obecnie, mogę wam obiecać tylko jedno z tych trzech.

– Jak szybko Wielki Pień może pracować należycie? – zapytał Greenyham.

Gilt odchylił głowę i przymknął oczy.

Pony bezgłośnie poruszał wargami, spoglądając na swoje wyliczenia.

– Za dziewięć miesięcy – oświadczył w końcu.

– Przypuszczam, że kiedy ludzie zobaczą, jak ciężko pracujemy przez dziewięć miesięcy, to mimo zdarzających się awarii... – zaczął Stowley.

– Dziewięć miesięcy całkowitego wyłączenia – uzupełnił Pony.

– Chyba zgłupiałeś, człowieku!

– Nie zgłupiałem, drogi panie, jeśli można prosić – rzucił ostro mechanik. – Muszę znaleźć i wyszkolić nowych fachowców, bo większość dawnej ekipy nie wróci, choćbym nie wiem ile im proponował. Jeśli wyłączymy wieże, mogę użyć sygnalistów, oni przynajmniej wiedzą, jak to wszystko działa. Praca pójdzie szybciej, jeśli nie będziemy ciągnęli i rozstawiali chodzących wież. Zaczniemy na czysto. Te wieże od początku nie były solidnie budowane. Dearheart nie spodziewał się takiego obciążenia. Dziewięć miesięcy ciemnych wież, panowie.

Chciał im powiedzieć, och, jak bardzo chciał im powiedzieć: Wiecie, kto to są fachowcy? To ludzie, którzy mają swoją dumę, którzy mieli już dość i odeszli, kiedy kazaliście im pracować byle jak, byle szybko. I teraz nieważne, ile zechcecie im zapłacić. Dlatego jako „fachowców” zatrudniam takich, którzy ledwie się nadają do zamiatania w warsztacie. Ale was to nie obchodzi, bo uważacie, że jeśli człowiek przez cały dzień nie szlifuje tyłkiem krzesła, to nieważne, czy uczył się przez siedem lat, czy jest pętkiem, którego trzeba sprawdzać, za który koniec trzyma młotek. Nie powiedział tego głośno, ponieważ starszy człowiek ma może o wiele krótszą przyszłość niż młody, ale też o wiele bardziej się o nią troszczy...

– Nie może się pan bardziej postarać? – zapytał Stowley.

– Panie Stowley, bardzo się będę starał, żeby zmieścić się w dziewięciu miesiącach. – Pony wrócił myślami do rzeczywistości. – Jeśli nie chcecie wyłączyć wież, może uda mi się to zrobić w półtora roku, o ile znajdę dostatecznie wielu ludzi, a wy włożycie w to dostatecznie dużo pieniędzy. Ale awarie będą się zdarzać codziennie. Pień będzie działał bardzo kulawo, panie Stowley.

– Ten typ, von Lipwig, przez dziewięć miesięcy wdepcze nas w ziemię! – zawołał Greenyham.

– Bardzo mi przykro, proszę pana.

– A ile to będzie kosztować? – zapytał sennie Gilt, nie otwierając oczu.

– Może być trochę mniej albo więcej, ale myślę, że jakieś dwieście tysięcy – uznał Pony.

– To śmieszne! Mniej zapłaciliśmy za cały Pień! – wybuchł Greenyham.

– Owszem, proszę pana. Ale widzi pan, konserwację i obsługę trzeba robić przez cały czas. Wieże były zajeżdżone do ostatka. Mieliśmy wielką wicherę w sektobrze i te problemy w Überwaldzie. A ja nie mam kim pracować. Jeśli pomija się konserwację i obsługę, drobne usterki szybko zmieniają się w wielkie. Wysyłałem panom liczne raporty. A panowie dwukrotnie obcięli mi budżet. Mogę zapewnić, że moi chłopcy i tak dokonywali cudów...

– Panie Pony – rzucił niegłośnie Gilt. – Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z konfliktem kultur. Czy zechciałby pan przejść teraz do mojego gabinetu? Igor poda panu herbatę. Bardzo dziękuję.

Kiedy Pony wyszedł, znowu odezwał się Greenyham.

– Wiecie, co mnie w tej chwili niepokoi?

– Wyjaśnij, bardzo proszę. – Gilt złożył ręce na swej kosztownej kamizelce.

– Nie ma tu pana Slanta.

– Przeprosił. Powiedział, że ma bardzo ważne sprawy.

– Jesteśmy jego największymi klientami! Co może być ważniejsze od nas? Nie, nie ma go tutaj, bo chce być gdzie indziej! Ten stary upiór wyczuwa kłopoty i nigdy nie ma go tam, gdzie sprawy źle się układają. Slant zawsze wychodzi z bagna, pachnąc różami!

– To w każdym razie aromat przyjemniejszy od jego zwykłej formaliny – zauważył Gilt.

– Nie wpadajmy w panikę, panowie.

– Ktoś jednak wpadł – mruknął Stowley. – Nie wmówisz mi, że ten pożar wybuchł przypadkiem! Prawda? A co się stało z tym biednym tłusciochem Horsefryem, co?

– Uspokójcie się, przyjaciele, uspokójcie – poprosił Gilt.

Są jak sklepikarze, pomyślał. Nie łowcy, ale padlinożercy. Nie mają wizji.

Odczekał, aż zamilkną. Po chwili wszyscy patrzyli na niego tym dziwnym i dość przerażającym wzrokiem, charakterystycznym dla ludzi bogatych, którzy obawiają się, że wkrótce zostaną ludźmi biednymi.

– Spodziewałem się czegoś podobnego – oświadczył. – Vetinari próbuje nas kasać, to wszystko.

– Sam wiesz, Reacher, jakie będziemy mieli kłopoty, jeśli Pień przestanie funkcjonować – powiedział Nutmeg. – Niektórzy z nas mają... długi do obsłużenia. Jeśli Pień padnie na dobre, ludzie... zaczną zadawać pytania.

Och, te znaczące pauzy... Malwersacja to takie trudne słowo...

– Wielu z nas ciężko pracowało, by zdobyć niezbędną gotówkę – dodał Stowley.

Tak, zachowanie powagi przy klientach nie jest łatwe, pomyślał Gilt. I powiedział:

– Sądzę, że musimy zapłacić, panowie. Naprawdę tak uważam.

– Dwieście tysięcy? – zapytał Greenyham. – Skąd weźmiemy takie pieniądze?

– Poprzednio je zdobyliście – mruknął Gilt.

– A niby co chcesz przez to powiedzieć, jeśli wolno spytać? – W głosie Greenyham zabrzmiało odrobinę za wiele oburzenia.

– Biedny Crispin przyszedł się ze mną spotkać w noc przed swoją śmiercią – odparł Gilt chłodno jak sześć cali śniegu. – Bełkotał, och... o najdziwniejszych rzeczach. Szkoda nawet powtarzać. Uważał chyba, że jacyś ludzie go śledzą. Nalegał jednak, bym wziął od niego niewielki zeszyt z rejestrami. Nie muszę chyba mówić, że ten zeszyt jest schowany w bezpiecznym miejscu.

W pokoju zapadła cisza, głębsza i gorętsza z powodu grupy zdesperowanych ludzi myślących intensywnie i szybko. Byli, według własnych standardów, uczciwi – w takim sensie, że robili tylko to, o czym wiedzieli albo podejrzewali, że robią wszyscy, no i nigdy nie było widocznych śladów krwi... W tej chwili jednak byli raczej ludźmi na zamrzniętym morzu, daleko od brzegu, którzy właśnie usłyszeli trzask pękającego lodu.

– Podejrzewam, że będzie to kosztowało trochę mniej niż dwieście tysięcy – dodał Gilt. – Pony byłby głupi, gdyby nie zostawił sobie żadnego marginesu.

– Nie uprzedzałeś nas o tym, Reacher – zauważył z wyrzutem Stowley.

Gilt zamachał rękami.

– Musimy spekulować, by akumulować. Urząd Pocztowy? Sztuczki i kuglarstwo. Och, von Lipwig ma świetne pomysły, lecz to wszystko. Wzbudził sensację, ale brak mu wytrwałości na dłuższy dystans. Jednak, gdy się nad tym zastanowić, wyświadczył nam przysługę. Byliśmy może... odrobinę zadufani, odrobinę rozleniwieni, ale opanowaliśmy tę lekcję! Ponaglani przez konkurencję, inwestujemy kilkaset tysięcy dolarów...

– Kilkaset tysięcy? – powtórzył Greenyham.

Gilt uciszył go ruchem ręki i kontynuował:

– ...kilkaset tysięcy dolarów w ambitną, znaczącą i ekscytującą modernizację systemową całej naszej organizacji, koncentrując się na kluczowych kompetencjach, a równocześnie podtrzymując pełną i wielostronną współpracę ze społecznościami, którym z dumą służymy. Doskonale zdajemy sobie sprawę, że nasze energiczne wysiłki, by zmobilizować odziedziczoną, wadliwą infrastrukturę, okazały się nie do końca zadowalające. Ufamy jednak i mamy nadzieję, że nasi cenieni i lojalni klienci pozostaną przy nas w nadchodzących miesiącach, kiedy to synergicznie reagujemy i korygujemy zmiany w nieodmiennym dążeniu do doskonałości. To jest naszą misją.

Zapadło pełne podziwu milczenie.

– I tak wracamy do gry – rzekł Gilt.

– Ale powiedziałaś, że kilkaset...

Gilt westchnął.

– Powiedziałem – przyznał. – Zaufajcie mi. To jest gra, panowie, a dobry gracz to ten, który potrafi złą sytuację obrócić na swoją korzyść. Doprowadziłem was aż tutaj, prawda?

Trochę gotówki i właściwe podejście pozwoli nam pokonać resztę drogi. Jestem pewien, że znajdziecie więcej pieniędzy – dodał – gdzieś, gdzie nikt nie zauważy ich braku.

To już nie była cisza. To było coś sięgające poza ciszę.

– Co sugerujesz? – odezwał się w końcu Nutmeg.

– Malwersacje, kradzież, nadużycie zaufania, defraudacje funduszy... ludzie bywają tacy surowi... – Gilt rozłożył ramiona, a przyjazny uśmiech wykwitł na jego twarzy, jakby słońce wynurzyło się zza chmur. – Panowie! Doskonale rozumiem! Pieniądze powinny pracować, płynąć, przyrastać, a nie tkwić w jakimś skarbcu. Nieszczęsny pan Horsefry, obawiam się, nie do końca to pojmował. Tyle miał na głowie, biedaczysko... Ale my... my jesteśmy ludźmi interesu. My rozumiemy te sprawy, drodzy przyjaciele.

Przed sobą widział twarze ludzi, którzy wiedzą, że dosiedli tygrysa. Jazda była całkiem przyjemna, aż do mniej więcej zeszłego tygodnia. I nie chodziło o to, że nie mogą zsiąść. Mogli zsiąść. Nie na tym polegał kłopot. Kłopot polegał na tym, że tygrys wiedział, gdzie mieszkają.

Nieszczęsny pan Horsefry... Krążyły plotki. Były to plotki całkowicie pozbawione podstaw, gdyż pan Gryle znakomicie wykonywał swoją pracę, kiedy tylko nie miał do czynienia z gołębiami. Poruszał się jak cień z pazurami i chociaż zostawił lekki zapach, całkowicie zamaskowała go krew. Dla wilkołaczego nosa krew przebija wszystko. Ale plotki krążyły po ulicach jak opary nad stosem śmieci.

I wtedy jednemu czy dwóm członkom rady przyszło do głowy, że w ustach Reachera Gilta, tak szczodrego w zaproszeniach, w drobnych sugestiach i cennych radach, a także w butelkach szampana, ci jowialni „drodzy przyjaciele” zaczęli pobrzmiwać w swej tonacji i podtekstach całkiem podobnie do słowa „koleś” w ustach jakiegoś typa w ciemnym zaułku, który w zamian za nieotrzymanie pieniędzy proponuje wykonanie rozbitą butelką operacji plastycznej. Ale do tej pory byli bezpieczni, może więc warto podążać za tygrysem aż do końcowego skoku? Lepiej iść śladem bestii, niż stać się jej ofiarą.

– Właśnie sobie uświadomiłem, że w niewybaczalny sposób uniemożliwiam panom udanie się na spoczynek – powiedział Gilt. – Dobranoc, przyjaciele. Możecie spokojnie zostawić wszystko mnie. Igorze!

– Tak, jafnie panie – odezwał się Igor za jego plecami.

– Odprowadź panów do wyjścia i poproś pana Pony’ego, żeby tu przyszedł.

Gilt przyglądał się, jak odchodzą, z uśmiechem satysfakcji, który stał się promienny i pełen zadowolenia, kiedy Igor wprowadził pana Pony.

Rozmowa z mechanikiem przebiegała tak:

– Panie Pony – rzekł Gilt. – Z prawdziwą przyjemnością chcę pana poinformować, że rada nadzorcza, doceniając pańskie oddanie i ciężką pracę, jakie pan demonstruje, jednogłośnie postanowiła zwiększyć pańską pensję o pięćset dolarów rocznie.

Pony się rozpromienił.

– Bardzo panu dziękuję. Na pewno bardzo się przyda...

– Jednakże, panie Pony, jako członka kierownictwa firmy... bo przecież myślimy o panu jak o jednym z nas... muszę prosić, by miał pan na uwadze naszą płynność finansową. W tym roku nie możemy autoryzować na remonty więcej niż dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

– To tylko jakieś siedemdziesiąt dolarów na jedną wieżę! – zaprotestował mechanik.

– Naprawdę tyle? Mówiłem im, że się pan nie zgodzi. Pan Pony jest uczciwym mechanikiem, powiedziałem. Nie zgodzi się nawet na pensja poniżej pięćdziesięciu tysięcy. Tak powiedziałem.

Pony wydawał się bezradny.

– Niewiele będę mógł zrobić, panie Gilt, nawet za tyle. Mogę pchnąć w teren parę zespołów z chodzącymi wieżami, owszem, ale te górskie i tak działają w pożyczonym czasie...

– Liczymy na ciebie, George – oświadczył Gilt.

– No, przypuszczam... A czy moglibyśmy dostać znowu godzinę umarłych, panie Gilt?

– Naprawdę wołałbym, aby nie używał pan tej dziwacznej nazwy. Nie przekazuje odpowiedniego wizerunku.

– Przepraszam. – Pony westchnął. – Jednak nadal będzie mi potrzebna.

Gilt zabębnił palcami o blat.

– Prosisz o wiele, George, naprawdę o wiele. Mówimy tu o przychodach firmy. Rada nie będzie ze mnie zadowolona, jeśli...

– Chyba jednak muszę nalegać, panie Gilt. – Pony wpatrywał się we własne buty.

– A co możesz za to obiecać? Rada będzie chciała to wiedzieć. Spytają mnie: Reacher, dajemy dobremu staremu George'owi wszystko, o co prosi, ale co dostaniemy w zamian?

Zapominając na chwilę, że to zaledwie czwarta część tego, o co prosił, dobry stary George odpowiedział:

– No, możemy jakoś wszystko połączyć, a parę naprawdę rozklekotanych wież doprowadzić do jakiegoś takiego porządku, zwłaszcza 99 i 201. Och, tyle jest do zrobienia...

– A czy, na przykład, da nam to rok rozsądnie sprawnego działania?

Pan Pony bohatercko walczył z typowym dla każdego mechanika lękiem przed składaniem jakichkolwiek obietnic. W końcu wykrztusił:

– No, jeśli nie stracimy zbyt wielu pracowników, a zima nie będzie za ostra, ale oczywiście zawsze jest jeszcze...

Gilt pstryknął palcami.

– Do licha, George, przekonałeś mnie! Powiem radzie, że cię popieram, i niech ich demony porwą!

– No, to bardzo miło z pańskiej strony, panie Gilt – zapewnił oszołomiony Pony. – Ale to i tak tylko łatanie dziur. Jeśli nie zabierzemy się do poważnej przebudowy, tylko szykujemy grunt pod większe problemy w przyszłości...

– Za rok mniej więcej, George, będziesz mógł nam przedstawić dowolne plany! – zapewnił Gilt serdecznie. – Twoje umiejętności i pomysłowość będą ratunkiem dla naszej firmy! A teraz... wiem, że jesteś człowiekiem zapracowanym i nie powinienem cię zatrzymywać. Proszę więc, ruszaj i dokonuj cudów ekonomii, George!

Pan Pony wyszedł chwiejnie, dumny, ogłupiały i pełen lęku.

– Stary dureń – mruknął Gilt.

Schylił się i otworzył dolną szufladę biurka. Wyjął z niej potrzask na niedźwiedzie, który zastawił z pewnym wysiłkiem, a potem stanął plecami do niego, na środku podłogi.

– Igorze! – zawołał.

– Tak, jafnie panie – odezwał się za nim Igor. Rozległ się trzask. – To chyba pańskie, fir – dodał i wręczył Giltowi potrzask.

Gilt spojrział w dół – nogi sługi wydawały się niedraśnięte.

– Jak ci się...? – zaczął.

– Och, my, Igory, często trafiamy do państwa o badawczych umyślach – odparł posepnie Igor. – Jeden z moich dżentelmenów czafem ftawał odwrócony plecami do jamy z kolcami. Ależ chichotalifmy...

– I co się stało?

– Któregof dnia zapomniał i wpadł do niej. To dopiero było fmiechu, fir...

Gilt zaśmiał się także i wrócił do biurka. Lubił tego rodzaju żarty.

– Czy powiedziałbyś, Igorze, że jestem szalony? – zapytał.

Igory nie powinny okłamywać swoich pracodawców. Jest to ważny punkt Kodeksu Igorów. Igor szukał więc ucieczki w ścisłej lingwistycznej prawdomówności.

– Nie fądzę, jafnie panie, bym mógł powiedzieć cof takiego.

– Muszę być szalony, Igorze. Albo ja, albo wszyscy inni – stwierdził Gilt. – Przecież pokazuję im, co robię, pokazuję, jak są znaczone karty, mówię, kim jestem... a oni tylko poszturchują się porozumiewawczo, szczerzą do siebie i każdy myśli, jakim to jest świetnym gościem, że robi ze mną interesy. Rzucają dobre pieniądze do fałszywych. Uważają się za sprytnych, a jednak idą na rzeź jak owieczki. Jak ja lubię widzieć ich twarze, kiedy sądzą, że są przebiegli...

– Iftotnie, fir – zgodził się Igor.

Zastanawiał się, czy ta posada w nowym szpitalu nadal jest wolna. Jego kuzyn Igor już się tam zatrudnił i opowiadał, że jest cudownie. Czasami trzeba pracować całą noc! Dostaje się biały fartuch, tyle gumowych rękawiczek, ile tylko zdoła się zjeść, a przede wszystkim ma się facunek.

– To takie... oczywiste – ciągnął Gilt. – Robi się pieniądze, kiedy się załamuje, robi się pieniądze, kiedy się go odbudowuje, można nawet trochę zarobić na prowadzeniu go, a potem sprzedaje się go samemu sobie, kiedy już padnie. Same dzierżawy warte są fortunę. Daj Alfonsowi jego orzeszki, dobrze?

– Dwanaście i pół procent! Dwanaście i pół procent! – zawołała kakadu, przechodząc w podnieceniu z końca na koniec drążka.

– Oczywiście, jafnie panie.

Igor wyjął z kieszeni torebkę i zbliżył się ostrożnie. Alfons miał dziób jak para nożyc.

A może spróbować pracy weterynaryjnej, jak mój drugi kuzyn Igor, myślał Igor. To solidna, tradycyjna dziedzina. Szkoda, że wybuchło takie zamieszanie, kiedy chomik wyłamał pręty z kołowrotka i zanim wyfrunął przez okno, odgryzł właścicielowi nogę, ale to właśnie jest Poftęp. Najważniejsze to wynieść się, zanim nadciągnie tłum. A kiedy szef zaczyna opowiadać powietrzu, jaki jest sprytny, nadeszła właściwa pora.

– Nadzieja jest przekleństwem ludzkości, Igorze – stwierdził Gilt i splótł dłonie na karku.

– To możliwe, fir – zgodził się Igor, próbując unikać straszego zakrzywionego dzioba.

– Tygrys nie ma nadziei, że dogoni ofiarę, ani antylopa, że uda się wymknąć pazurom. One biegną, Igorze. Tylko bieg ma znaczenie. Wiedzą, że muszą biec, nic więcej. A teraz i ja muszę pobiec do tych przemyłych ludzi z „Pulsu”, żeby im opowiedzieć o naszej nowej, jasnej przyszłości. Sprowadź powóz, dobrze?

– Naturalnie, jafnie panie. Jefli zechce pan wybaczyć, pójdę też dobrać naftęny palec.

Chyba jednak ruszę z powrotem w góry, postanowił. Tam przynajmniej potwory mają dość przyzwoitości, by wyglądać potwornie.

* * *

Noc jaśniała w blasku flar wokół ruin Urzędu Pocztowego. Golemom nie były potrzebne, ale mierniczym owszem. Moist dostał dobre ceny. W końcu bogowie przemówili. I firmie na pewno nie zaszkodzi, jeśli będzie kojarzona z tym feniksem wśród budynków.

W tym fragmencie, który wciąż stał, podparty i osłonięty plandekami, Urząd Pocztowy pracował przez całą noc – to znaczy pracowali ludzie, którzy byli Urzędem Pocztowym. Prawdę mówiąc, nie mieli aż tyle do zrobienia, żeby wystarczyło dla każdego, ale i tak przyszli, żeby to zrobić. Taka to była noc. Trzeba było tam być, żeby później opowiadać: „...i byłem tam, tej właśnie nocy...”.

Moist wiedział, że powinien się przespać, ale on też musiał tam być, przytomny i roziskrzony. To było... niewiarygodne. Słuchali go, pracowali dla niego, krzżeli się przy nim, jakby był prawdziwym przywódcą, a nie jakimś kanciarzem i oszustem.

Były też listy. Och, one sprawiały ból! Nadawano ich coraz więcej, adresowanych właśnie do niego. Nowiny obiegły już miasto. Pisali o tym nawet w azecie! Tego człowieka słuchali bogowie!

...doręczamy nawet samym bogom...

Miał złoty strój i nosił czapkę ze skrzydłami. Dlatego z oszusta zrobili posłańca bogów i na jego nadpalone biurko zrzucali swoje nadzieje i lęki... owszem, zapisane z błędami

interpunkcji, rozmazanym ołówkiem albo darmowym atramentem Urzędu Pocztowego, który rozpryskiwał się na papierze od pospiesznego pisania.

– Uważają, że jesteś aniołem – wyjaśniła panna Dearheart, która siedziała po drugiej stronie biurka i pomagała mu sortować te żalosne petycje.

Mniej więcej co pół godziny pan Pompa przynosił ich więcej.

– Ale nie jestem – burknął Moist.

– Przemawiasz do bogów, a bogowie słuchają. – Panna Dearheart uśmiechnęła się szeroko. – Powiedzieli ci, gdzie jest ukryty skarb. To jest porządna religia... A tak przy okazji, skąd wiedziałeś, że są tam pieniądze?

– Nie wierzysz w żadnych bogów?

– Nie, oczywiście. Nie, kiedy chodzą po tej ziemi tacy jak Reacher Gilt. Jesteśmy tylko my. A pieniądze...?

– Nie mogę powiedzieć.

– Czytałeś te listy? – spytała panna Dearheart. – Chore dzieci, konające żony...

– Niektórzy chcą tylko gotówki – oświadczył pospiesznie Moist, jakby to w czymś pomagało.

– A czyja to wina, Sprytka? Jesteś człowiekiem, który potrafi naciągnąć bogów na masę forsy!

– Więc co powinienem zrobić z tymi... modlitwami? – spytał Moist.

– Doręczyć je, oczywiście. Musisz. Jesteś posłańcem bogów. A one mają znaczki. Niektóre są całkiem oklejone znaczkami! To twoja praca. Zaniesz je do świątyni. Obiecałeś, że to zrobisz.

– Nigdy nie obiecywałem, że...

– Obiecałeś, kiedy sprzedawałeś im znaczki!

Uderzyła tym zdaniem jak pięścią – Moist o mało nie spadł z krzesła.

– I da im to nadzieję – dokończyła już spokojniej.

– Fałszywą nadzieję. – Moist starał się wyprostować.

– Może tym razem nie... Na tym polega nadzieja. – Wzięła do ręki pogięte resztki obejmujące ramienia Anghamarada. – On niósł tę wiadomość poprzez cały Czas. Myślisz, że tobie jest ciężko?

– Panie Lipwig!

Głos nadpłynął z hali, a równocześnie gwar w tle opadł jak nieudany suflet.

Moist podszedł do miejsca, gdzie kiedyś była ściana. Teraz z trzeszczących pod nogami, nadpalonych desek podłogi mógł zobaczyć całą halę. Jakaś część jego umysłu pomyślała: Przy odbudowie trzeba tu wstawić duże okno widokowe. Słowami nie da się tego opisać...

Usłyszał wszędzie szepty, a także kilka westchnień. Zjawiało się już wielu klientów mimo tej porannej, mglistej godziny. Zawsze jest odpowiednia pora na modlitwę.

– Wszystko w porządku, panie Groat?! – zawołał.

Coś białego powiewało w powietrzu.

– Wczesny egzemplarz „Pulsu”, sir! – krzyknął Groat. – Właśnie przyszedł! Gilt jest na całej pierwszej stronie, sir! Gdzie pan powinien być, sir! Nie spodoba się panu, sir!

* * *

Gdyby Moista von Lipwiga kształcono na klauna, bywałby na jarmarkach i w cyrkach, by podziwiać królów błżeństwa. Zachwycałby się elegancją trajektorii ciasta z budyniem, uczył na pamięć nowych zagrań z drabiną i wiadrem farby, czujnie obserwował każde źle podrzucone jajko. Kiedy reszta publiczności oglądałaby pokaz z należytą grozą, gniewem czy irytacją, on by robił notatki.

Teraz, jak uczeń studiujący dzieło mistrza, czytał w wilgotnej jeszcze azecie słowa Reachera Gilta.

To był bełkot, ale przygotowany przez eksperta. O tak... Człowiek musiał podziwiać sposób, w jaki całkowicie niewinne słowa zostały okaleczone, zgwałcone, pozbawione wszelkiego prawdziwego znaczenia i przyzwoitości, a następnie posłane na ulicę, by pracować dla Reachera Gilta, chociaż „synergicznie” prawdopodobnie każde od początku było dziwką. Problemy Wielkiego Pnia były najwyraźniej skutkiem jakiegoś tajemniczego spazmu wszechświata i nie miały nic wspólnego z chciwością, arogancją i umyślną głupotą. Pewnie, kierownictwo Wielkiego Pnia popełniało błędy... nie, nie, to znaczy „podejmowało słuszne w intencjach decyzje, które – wobec późniejszych doświadczeń – mogły niestety okazać się w pewnych aspektach błędne”... te jednak występowały, jak się zdawało, głównie przy korygowaniu „zasadniczych wad wprowadzonych przez poprzednie kierownictwo”. Nikt za nic nie przeproszał, albowiem żadna żywa istota nie postąpiła niewłaściwie; źle rzeczy zdarzały się wskutek spontanicznej ich generacji w jakichś przedziwnych, zimnych, geometrycznych zaświatach i były „pożałowania godne”^{*}.

Reporter „Pulsu” starał się, ale chyba tylko trzęsienie ziemi mogłoby powstrzymać Gilta w jego szaleńczym ataku na znaczenia znaczeń. W Wielkim Pniu „chodziło o ludzi”, a reporter nie zdołał zadać pytania, co to właściwie znaczy tak dokładnie. A potem był jeszcze ten fragment zatytułowany „Nasza misja”.

Moist poczuł, jak kwas wzbiera mu w gardle, aż mógł pluciem wycinać koronki w arkuszach stali. Bezsensowne głupie słowa, wypowiedane przez ludzi pozbawionych mądrości, inteligencji i dowolnych zdolności poza umiejętnością rozwadniania sensu wyrażen. Och, Wielki Pień popierał wszystko, od życia i wolności po domowy cierpiący pudding naszej mamy. Popierał wszystko oprócz czegokolwiek.

Poprzez różową mgłę jego oczy wychwyciły zdanie „Bezpieczeństwo jest dla nas warunkiem podstawowym”. Dlaczego ołowiane czcionki się nie roztopiły, dlaczego papier

^{*} Kolejna nieprawda fraza, która sprzedaje się każdemu przypartemu do muru szczurowi.

nie zapłonał, by nie uczestniczyć w takim plugastwie? Prasa powinna się zaciąć, walek powinien się wbić w płytę...

To było złe. Ale potem zobaczył odpowiedź Gilta na pospieszne pytanie o Urząd Pocztowy.

Reacher Gilt kochał Urząd Pocztowy i błogosławił jego malusie kopertki. Był wdzięczny za pomoc w trudnym okresie i liczył na przyszłą współpracę, choć oczywiście Urząd Pocztowy w rzeczywistym współczesnym świecie nie może konkurować na żadnym poziomie z wyjątkiem całkiem lokalnego. Jasne, ktoś musi przecież doręczać rachunki, ho, ho...

To było mistrzostwo. Co za drań!

– Ehm... Dobrze się czujesz? Czy mógłbyś przestać krzyczeć? – spytała panna Dearheart.

– Co takiego? – Mgła rozwiewała się z wolna.

Wszyscy w hali patrzyli na niego z rozdziawionymi ustami i otwartymi szeroko oczami. Wodnisty atrament ściekał z urzędowych piór, a znaczki wysychały na językach.

– Krzyczałeś – oświadczyła panna Dearheart. – A właściwie przeklinałeś.

Panna Maccalariat precyzyjnie się między ludźmi z wyrazem determinacji na twarzy.

– Panie Lipwig, mam nadzieję, że nigdy więcej nie usłyszę w tym budynku takich wyrażań! – powiedziała.

– Dotyczyły prezesa Kompanii Wielkiego Pnia – wyjaśniła panna Dearheart tonem, który u niej był pojednawczy.

– Ach... – Panna Maccalariat zawahała się, ale opanowała szybko. – W takim razie... może choć odrobinę ciszej?

– Oczywiście, panno Maccalariat – zgodził się posłusznie Moist.

– I może bez tego słowa na K?

– Tak, panno Maccalariat.

– A także bez słowa na P, słowa na S, obu słów na Z, słowa na W i słowa na D?

– Jak pani sobie życzy, panno Maccalariat.

– Ale „oślizły morderczy bękart i oszust” było akceptowalne.

– Będę o tym pamiętał, panno Maccalariat.

– Bardzo dobrze, panie poczmistrzu.

Panna Maccalariat odwróciła się na pięcie i wróciła do nękania kogoś, kto nie używał suszki.

Moist oddał azetę pannie Dearheart.

– On się z tego wywinie – powiedział. – Tylko rzuca naokoło słowami. Pień jest zbyt wielki, by upaść. Ma zbyt wielu inwestorów. Ten dureń zbierze więcej pieniędzy, utrzyma system w ruchu tuż przed granicą katastrofy, a w końcu pozwoli mu upaść. Potem może kupi go przez podstawioną firmę po cenie wyprzedaży.

– Jestem skłonna podejrzewać go o wszystko – zgodziła się panna Dearheart. – Ale wydajesz się bardzo pewny.

– Tak ja bym zrobił – wyjaśnił Moist. – To znaczy... gdybym był tego rodzaju człowiekiem. To najstarsza sztuczka w podręcznikach. Masz układ... to znaczy masz innych ludzi zaangażowanych tak mocno, że nie ośmielą się wycofać. Dajesz im marzenie, rozumiesz? Wierzą, że jeśli zostaną, wszystko zacznie działać. Nie ośmielają się nawet pomyśleć, że to tylko marzenie. Używasz wielkich słów, by ich przekonać, że dżem dostaną jutro, a oni mają nadzieję. Tylko że nigdy nie wygrają. Część każdego z nich wie o tym, ale reszta nigdy tej części nie słucha. Kasyno zawsze wygrywa.

– Dlaczego takim ludziom jak Gilt coś takiego zawsze wychodzi?

– Właśnie ci powiedziałem. Dlatego że ludzie mają nadzieję. Wierzą, że ktoś sprzeda im prawdziwy brylant za dolara. Przykro mi.

– Czy wiesz, w jaki sposób trafiłam do pracy w Powiernictwie? – spytała panna Dearheart.

Bo łatwiej sobie radzić z glinianymi ludźmi, pomyślał Moist. Nie kaszłą, kiedy z nimi rozmawiasz.

– Nie – powiedział.

– Kiedyś pracowałam w banku w Sto Lat. Spółdzielcza Kasa Hodowców Kapusty...

– Ten na rynku? Z kapustą wyrzeźbioną nad wejściem? – spytał Moist, zanim zdążył się ugryźć w język.

– Znasz go?

– Trochę. Przejeżdżałem kiedyś tamtędy...

Nie, myślał, kiedy umysł wyprzedził konwersację. Błagam, nie...

– To nie była zła praca – ciągnęła panna Dearheart. – W naszym dziale sprawdzaliśmy czek i weksle. Pilnowaliśmy, czy nie są fałszywe, rozumiesz... Aż pewnego dnia przepuściłam cztery. Cztery podróbki! Kosztowało to bank dwa tysiące dolarów. Polecenia wypłaty, z perfekcyjnymi podpisami. Zwolnili mnie. Powiedzieli, że muszą coś zrobić, inaczej stracą zaufanie klientów. To nie jest zabawne, kiedy ludzie uważają cię za oszustkę. I to właśnie czeka takich jak my. Takim jak Gilt zawsze uchodzi na sucho. Dobrze się czujesz?

– Hmm? – wymruczał Moist.

– Wyglądasz trochę... blado.

To był dobry dzień, myślał Moist. Przynajmniej do tej chwili był dobry. Moist był wtedy bardzo z niego zadowolony. Nie powinno potem się spotykać tamtych ludzi. Niech demony porwą pana Pompę i jego ideę ułamkowego morderstwa.

Westchnął. No cóż, musiało do tego dojść. Wiedział, że dojdzie. On i Gilt siłujący się na ręce o to, który z nich jest większym draniem.

– To jest terenowe wydanie „Pulsu” – powiedział. – Wydanie miejskie nie trafi pod prasę jeszcze przez dziewięćdziesiąt minut, na wypadek gdyby w ostatniej chwili zdarzyła się jakaś sensacja. Myślę, że zdołam przynajmniej zetrzeć mu z gęby ten uśmiech.

– Co chcesz zrobić? – zdziwiła się panna Dearheart.

Moist poprawił na głowie skrzydlatą czapkę.
– Spróbuję niemożliwego – oświadczył.

Rozdział dwunasty

Dzięcioł

Wyzwanie – Ruchome góry – Liczne zastosowania kapusty – Rada debatuje – Pan Lipwig na kolanach – Dymiące Gnu – Droga Dzięcioła

Nadszedł kolejny ranek.

Coś Moista szturchnęło.

Moist otworzył oczy i spojrzał wzdłuż lśniącej czarnej laski, poza dłoń trzymającą galkę ze srebrną czaszką, w twarz lorda Vetinariego. W kącie jarzył się golem.

– Proszę nie wstawać – rzekł Patrycjusz. – Domyślam się, że miał pan pracowitą noc.

– Przepraszam...

Moist wyprostował się z wysiłkiem. Znowu zasnął na biurku i miał wrażenie, że Pan Pieszczoł spał mu w ustach. Za plecami Vetinariego widział pana Groata i Stanleya zaglądających nerwowo z korytarza.

Vetinari usiadł naprzeciwko, wcześniej zmiatając z krzesła jakiś popiół.

– Czytał pan poranny „Puls” – powiedział.

– Byłem przy tym, kiedy go drukowali. – Moistowi się zdawało, że jego szyja zyskała dodatkowe kości. Spróbował wyprostować głowę...

– No tak. Ankh-Morpork od Genoi dzieli około dwóch tysięcy mil, panie Lipwig. A pan twierdzi, że dostarczy pan tam wiadomość szybciej niż sekary. Rzucił pan takie wyzwanie. To bardzo intrygujące.

– Tak, wasza lordowska mość.

– Nawet najszybszy powóz potrzebuje mniej więcej dwóch miesięcy, panie Lipwig. A jak słyszałem, jeśli spróbuje pan podróży non stop, własne nerki wytrzęsie pan sobie uszami.

– Tak, wasza lordowska mość. Wiem o tym. – Moist ziewnął.

– Wie pan, że użycie magii byłoby oszustwem.

Moist ziewnął znowu.

– To wiem także, wasza lordowska mość.

– Czy pytał pan nadrektora Niewidocznego Uniwersytetu, zanim pan zaproponował, żeby to on wymyślił wiadomość dla tego dziwnego wyścigu? – zapytał Vetinari, rozkładając gazetę.

Moist zauważył wielkie nagłówki:

RUSZA WYŚCIG

„Latający Listonosz” kontra Wielki Pień

– Nie, wasza lordowska mość. Powiedziałem, że wiadomość powinien przygotować jakiś powszechnie szanowany obywatel o nieposzlakowanej opinii, taki jak nadrektor.

– Cóż, mało prawdopodobne, żeby w tej sytuacji odmówił, prawda?

– Chciałbym w to wierzyć. Ale przynajmniej Gilt nie zdoła go przekupić.

– Hm... – Vetinari raz czy dwa stuknął łaską o podłogę. – Czy zaskoczy pana wiadomość, że dziś rano w mieście większość spodziewała się pańskiej wygranej? Pień nigdy nie był wyłączony z ruchu na dłużej niż tydzień, wiadomość sekarowa może dotrzeć do Genoi w ciągu kilku godzin, a mimo to ludzie sądzą, że się panu uda. Nie sądzi pan, że to zadziwiające?

– Eee...

– No ale oczywiście jest pan bohaterem dnia, panie Lipwig – stwierdził Vetinari, nagle serdecznym tonem. – Jest pan złocistym posłańcem. – Uśmiechał się jak wąż. – Mam nadzieję, że pan wie, co robi. Bo pan wie, co robi, panie Lipwig?

– Wiara przenosi góry, wasza lordowska mość – odparł Moist.

– Wiele ich jest między nami a Genoą. Zapowiada pan w azecie, że wyruszy jutro wieczorem?

– Tak jest. Cotygodniowym dylizanssem, chociaż w tym kursie nie będziemy zabierać pasażerów, żeby zmniejszyć ciężar. – Moist patrzył Patrycjuszowi prosto w oczy.

– Nie zechce pan mi niczego podpowiedzieć?

– Ogólnie lepiej będzie, jeśli nie, wasza lordowska mość.

– Zakładam jednak, że bogowie nie zostawili jakiegoś wyjątkowo szybkiego magicznego konia zakopanego gdzieś w okolicy, prawda?

– Nic o tym nie wiem – zapewnił Moist szczerze. – Oczywiście nigdy nie wiadomo na pewno, dopóki człowiek się nie pomodli.

– Tak... – zgodził się Vetinari.

Próbuje przenikliwego spojrzenia, domyślił się Moist. Ale przecież wiemy, jak sobie z nim radzić, prawda? Pozwalamy, żeby przeszło przez nas...

– Gilt będzie musiał podjąć to wyzwanie, oczywiście – stwierdził Vetinari. – Ale jest człowiekiem... pomysłowo zaradnym.

Co wydało się Moistowi bardzo ostrożnym sposobem powiedzenia „morderczym sukinsynem”. I znowu pozwolił, by słowa przeszły przez niego.

Patrycjusz wstał.

– A więc do jutra – rzekł. – Nie wątpię, że możemy liczyć na niewielką ceremonię dla prasy.

– Prawdę mówiąc, niczego nie planowałem...

– Nie, oczywiście, że nie – zgodził się Vetinari i rzucił mu coś, co można było nazwać jedynie... spojrzeniem.

* * *

Podobne spojrzenie zyskał Moist od Jima Upwrighta, nim usłyszał:

– No więc możemy puścić wiadomość, przypomnieć niektóre przysługi, to dostaniemy dobre konie w zajazdach, panie Lipwig, ale wiesz pan, że dociągniemy najwyżej do Bzyku? Wtedy trzeba dokonać zmiany. Ale Genoa Express jest naprawdę dobry. Znamy chłopaków.

– Na pewno chcesz pan wynająć cały powóz? – zapytał Harry, wycierając konia. – Będzie sporo kosztować, bo musimy puścić jeszcze jeden dla pasażerów. To popularny kurs.

– Dylizans tylko z pocztą – powiedział Moist. – I paru ludzi ochrony.

– Aha, myślisz pan, że zaatakują? – zapytał Harry, bez specjalnego wysiłku wykręcając derkę do sucha.

– A co myślicie? – spytał Moist.

Bracia spojrzeli na siebie.

– W takim razie ja będę powoził – zdecydował Jim. – Nie na darmo nazywają mnie Rurką.

– A poza tym słyszałem, że w górach są bandyci – dodał Moist.

– Bywali – przyznał Jim. – Ale już nie ma tak wielu.

– Czyli o tyle mniej powodów do zmartwienia – uznał Moist.

– No, nie wiem – powiedział Jim. – Nigdy nie odkryliśmy, co ich przepędziło.

* * *

Zawsze pamiętaj, że tłum, który oklaskuje twoją koronację, jest tym samym tłumem, który będzie oklaskiwał twoją egzekucję.

Ludzie lubią przedstawienia...

...i dlatego zbierały się listy do Genoi, po dolarze od sztuki. Mnóstwo poczty.

Stanley spróbował mu wytłumaczyć. Tłumaczył kilka razy, ponieważ Moist zupełnie tej kwestii nie rozumiał.

– Ludzie wysyłają koperty ze znaczkami w kopertach adresowanych do zajazdu dylizansów w Genoi, żeby pierwszą kopertę można było odesłać w drugiej kopercie.

Taki był szkic wyjaśnienia, które w końcu zapaliło w mózgu Moista jakieś iskry.

– Chcą dostać z powrotem te koperty? Po co?

– Bo były użyte, sir.

– I przez to są wartościowe?

– Nie jestem pewien, w jaki sposób, sir. To tak jak mówiłem, sir. Wydaje mi się, że niektórzy ludzie nie wierzą, że to prawdziwe znaczki, dopóki nie wykonały tej pracy, dla której zostały wymyślane, sir. Pamięta pan ten pierwszy wydruk pensowych znaczków, które musieliśmy rozcinać nożyczkami? Koperta z takim znaczkiem warta jest dla kolekcjonera dwa dolary.

– Dwieście razy więcej niż znaczek?

– Tak to już jest – stwierdził Stanley. Oczy mu błyszczały. – Ludzie wysyłają listy do siebie, żeby je oznaczyć, znaczy ostemplować, sir. Żeby były użyte.

– Mam w kieszeni parę używanych chusteczek – odparł zdziwiony Moist. – Myślisz, że ludzie zechcą je kupić za dwieście razy więcej, niż kosztowały?

– Nie, sir – uznał Stanley.

– Więc dlaczego...?

– Ludzie się bardzo interesują, sir. I pomyślałem, że moglibyśmy zrobić cały zestaw znaczków dla wielkich gildii, sir. Wszyscy kolekcjonerzy będą o nie walczyć, sir. Jak pan myśli?

– To bardzo sprytny pomysł, Stanley. Ten dla Gildii Szwaczek będzie chyba musiał być sprzedawany w gładkiej brązowej kopercie, co? Cha, cha!

Tym razem Stanley wyglądał na zdziwionego.

– Przepraszam, sir?

Moist odkaslnął.

– Nie, nic. No, widzę, że szybko się uczysz, Stanley.

Przynajmniej niektórych rzeczy...

– No... Tak, sir. Eee... Nie chcę wysuwać się przed wszystkich, sir...

– Ależ wysuwaj się, Stanley, wysuwaj... – zachęcił serdecznie Moist.

Stanley wyjął z kieszeni małą tekturową okładkę i rozłożył ją delikatnie przed Moistem.

– Trochę pomagał mi pan Spools – powiedział. – Ale większość zrobiłem sam.

To był znaczek. Miał żółtawo-zielony kolor. Ukazywał – Moist spojrzał uważnie – pole kapusty z kilkoma budynkami na horyzoncie.

Powąchał. Znaczek pachniał kapustą.

No tak...

– Drukowany kapuścianym tuszem i z warstwą kleju produkowanego z brokułów, sir – oświadczył z dumą Stanley. – Hołd dla przemysłu kapuścianego równin Sto, sir. Myślę, że to dobry pomysł, sir. Kapusta jest taka popularna, sir. Tyle rzeczy można z niej zrobić!

– No, widzę, że...

– Jest zupa kapuśniak, piwo z kapusty, kapuściany deser, kapuściane ciasto, krem kapuściany...

– Tak, Stanley, chyba trafiłeś...

– ...kiszona kapusta, galaretka z kapusty, sałatka z kapusty, zasmażana kapusta...

– Tak, ale czy można...

– ...potrawka z kapusty, kapuściana niespodzianka, kiełbaski...

– Kiełbaski?

– Faszzerowane kapustą, sir. Z kapusty można zrobić właściwie wszystko, sir. Są też...

– ...kapuściane znaczki – dokończył Moist. – Po pięćdziesiąt pensów, jak widzę. Skrywasz nieznane głębie, Stanley.

– Wszystko zawdzięczam panu, panie Lipwig! – wybuchnął Stanley. – Zostawiłem za sobą te dziecinne zabawy ze szpilkami, sir! Otworzył się przede mną świat znaczków, który może młodego człowieka wiele nauczyć na temat historii i geografii, a także jest zdrowym, interesującym, wciągającym i ogólnie wartościowym hobby i oferuje mu zajęcie na całe życie...

– Tak, tak, dziękuję! – wtrącił Moist.

– ...i wrzucam do puli trzydzieści dolarów, sir. Wszystkie moje oszczędności. Żeby pokazać, jak pana wspieramy, sir.

Moist zrozumiał wszystkie słowa, ale musiał poczekać, aż nabiorą sensu.

– Do puli? – zapytał w końcu. – Znaczą, jak przy zakładach?

– Tak, sir. To poważne zakłady – odparł Stanley. – O wyścig pana i sekarów do Genoi. Ludzie uważają, że to zabawne, sir. Ale wielu bukmacherów proponuje zakłady, sir, więc pan Groat organizuje to u nas, sir. Chociaż uważa, że szanse nie są najlepsze.

– Mnie też tak się wydaje – przyznał słabym głosem Moist. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie...

– Powiedział, że wygramy tylko dolara na każde osiem, jakie postawimy, sir, ale uznaliśmy...

Moist wyprostował się gwałtownie.

– Stawka osiem do jednego?! – zawołał. – Bukmacherzy uważają, że wygram? Ile wszyscy postawiliście?

– No... Jakieś tysiąc dwieście dolarów przy ostatnim przeliczeniu, sir.

Od krzyku Moista von Lipwiga nawet gołębie poderwały się z dachu.

– Sprowadź mi tu zaraz pana Groata!

* * *

To było straszne, zobaczyć wyraz przebiegłości na twarzy pana Groata. Staruszek puknął się w bok nosa.

– Pan jest człowiekiem, który wyrwał pieniądze od bandy bogów, sir – powiedział z radosnym uśmiechem.

– No tak – przyznał zrozpaczony Moist. – Ale przypuśćmy, że... że to była tylko sztuczka...

– Znakomita sztuczka, sir – zachichotał Groat. – Naprawdę znakomita. Ktoś, kto potrafi zrobić taką sztuczkę, że wyciągnie od bogów pieniądze, moim zdaniem jest zdolny do wszystkiego.

– Panie Groat, dylizans w żaden sposób nie dostanie się do Genoi szybciej niż przekaz sekarowy. To dwa tysiące mil!

– No tak, rozumiem, że musi pan tak mówić, sir. Ściany mają uszy, sir. Trzeba pilnować tajemnic, sir. Ale wszyscy pogadaliśmy i uznaliśmy, że był pan dla nas dobry, sir. I że naprawdę pan wierzy w Urząd Pocztowy. No więc uznaliśmy, że pora włożyć pieniądze tam, gdzie się gada, sir! – oświadczył Groat, a w jego głosie zabrzmiała nuta wyzwania.

Moist raz czy dwa otworzył usta.

– Chodzi panu o to, że dość gadania i trzeba płacić?

– To pan zna różne sztuczki, sir! Jak pan sprytnie wszedł do redakcji azety i powiedział: Będziemy się ścigać! Reacher Gilt wpadł prosto w pańską pułapkę, sir!

Szkło w brylant, pomyślał Moist. I westchnął.

– No dobrze, panie Groat. Dziękuję panu. Osiem do jednego, tak?

– Mieliliśmy szczęście, żeby tyle dostać, sir. Stawki skoczyły na dziesięć do jednego, a potem zamknęli obstawianie, sir. Teraz przyjmują tylko zakłady, w jaki sposób pan wygra, sir.

Moist się ożywił.

– Jakież dobre pomysły?

– Mamy dolarową stawkę na „zrzucając ogień z niebios”, sir. A może coś mi pan podpowie?

– Proszę iść i zabrać się do pracy, panie Groat – odparł surowo Moist.

– Tak, sir, oczywiście, sir, przepraszam, że pytałem, sir – odparł Groat i wyniósł się z gabinetu.

Moist ukrył twarz w dłoniach.

Ciekawe, czy tak samo przeżywają to wspinacze, pomyślał. Człowiek wspina się na wyższe i wyższe góry, i wie, że pewnego dnia któraś z nich okaże się zbyt stroma. Ale nie rezygnuje, bo tak przyjemnie oddycha się powietrzem ze szczytów. Chociaż wie, że zginie, spadając...

* * *

Jak ludzie mogą być tacy głupi? Jakby trzymali się swej ignorancji, bo znajomo pachnie. Reacher Gilt westchnął.

Miał biura w wieży na Tumpie. Niezbyt je lubił, bo cała konstrukcja dygotała w rytm pracy semaforów, ale było to konieczne dla wizerunku. W dodatku dawało niezrównany widok na miasto. No i sama lokalizacja warta była tyle, ile zapłacili za cały Pień.

– Trzeba prawie dwóch miesięcy, by dostać się dylizansem do Genoi – oświadczył, spoglądając ponad dachami na pałac. – Zgadzam się, że może ściąć trochę ten czas. Sekary potrzebują kilku godzin. Co was niepokoi?

– Jaką prowadzi grę? – spytał Greenyham. Pozostali członkowie rady siedzieli wokół stołu i mieli zmartwione miny.

– Nie wiem – wyznał Gilt. – I nie obchodzi mnie to.

– Ale bogowie są po jego stronie, Reacher – rzekł Nutmeg.

– Może o tym porozmawiamy? – zaproponował Gilt. – Czy to stwierdzenie jeszcze komuś wydaje się dziwne? Bogowie nie są znani z prezentów bez dodatkowych obciążeń, prawda? Zwłaszcza takich prezentów, których można dotknąć. Nie, obecnie ograniczają się do rzeczy typu łaska, cierpliwość, męstwo i moc wewnętrzna. Rzeczy, których nie widać. Rzeczy niemające wartości. Bogowie interesują się raczej prorokami niż profitami, cha, cha.

Koledzy dyrektorzy byli zdezorientowani.

– Nie całkiem to załapałem, staruszkę – powiedział Stowley.

– Prorocy, powiedziałem, nie profity – powtórzył Gilt. Machnął ręką. – Nie przejmujcie się, to w końcu drobiazg. Krótko mówiąc, dar niebios dla pana Lipwiga okazał się wielkim kufrem monet. Z których część była w czymś, co wyglądało zupełnie jak worki bankowe, a wszystkie miały współczesne nominały. Czy to was nie dziwi?

– No tak, ale nawet kapłani twierdzą, że on...

– Lipwig to aktor – burknął Gilt. – Czy wam się wydaje, że bogowie przeniosą jego dylizans? Tak myślicie? To tylko sztuczka, rozumiecie? Dzięki niej znowu trafił na pierwszą stronę, ale to wszystko. Nietrudno go dogonić. On nie ma żadnego planu prócz tego, by paść bohatersko. Nikt chyba naprawdę nie spodziewa się, że on wygra. Prawda?

– Słyszałem, że ludzie stawiają na niego duże pieniądze.

– Ludzie z zachwytem witają doświadczenie, jak dać się oszukać, jeśli tylko obiecuje ono pewną dawkę rozrywki – stwierdził Gilt. – Znacie dobrego bukmachera? Chętnie bym postawił niewielką kwotę. Może pięć tysięcy dolarów?

Wzbudził tym trochę śmiechu, więc kontynuował:

– Panowie, bądźmy rozsądni. Żaden bóg nie przyjdzie z pomocą naszemu poczmistrzowi. Ani żaden mag. Nie są zbyt szczerzy ze swoją magią, a my i tak szybko byśmy się

dowiedzieli, gdyby jej używał. Nie, zależy mu na reklamie, nic więcej. Co jednak nie znaczy... – tu mrugnął – ...że nie powinniśmy, jak by to ująć, uczynić pewnego wyniku podwójnie gwarantowanym.

Jeszcze bardziej się ożywili. Bo brzmiało całkiem jak to, co chcieli usłyszeć.

– W końcu w górach zdarzają się wypadki – zauważył Greenyham.

– To rzeczywiście prawda. Jednakże chodziło mi o Wielki Pień. Poprosiłem więc pana Pony’ego, żeby opisał nasze procedury. Panie Pony...

Mechanik niespokojnie przesunął się na krześle. Miał za sobą ciężką noc.

– Chciałbym, by zaprotokołowano, panie Gilt, że nalegałem na sześciogodzinne wyłączenie wież przed startem – powiedział.

– Owszem, a protokół wykaże również, że powiedziałem, iż to zupełnie niemożliwe – odparł Gilt. – Po pierwsze dlatego, że byłaby to niewybaczalna utrata wpływów, a po drugie dlatego, że nieprzekazywanie żadnych wiadomości przekaze publiczności nieodpowiednią wiadomość.

– Wyłączymy więc ruch na godzinę przed startem i wyczyścimy wszystko – mówił pan Pony. – Każda wieża wyśle na Tump sygnał gotowości, potem zarygluje wszystkie drzwi i będzie czekać. Nikt nie ma prawa wchodzić ani wychodzić. Przekonfigurujemy wieże, żeby działały w duplesie. To znaczy – przetłumaczył dla kierownictwa – że linię odbiorczą zmienimy w drugą nadawczą, więc przekaz dotrze do Genoi dwa razy szybciej. W Pniu nie będzie żadnych innych wiadomości aż do zakończenia... wyścigu. Żadnego narzutu, nic. I od teraz, panowie, od chwili, kiedy wyjdę z tego pokoju, nie przyjmujemy żadnych wiadomości od wież bocznicowych. Nawet od tej w pałacu, nawet od tej na uniwersytecie. – Pociągnął nosem i dodał z wyraźną satysfakcją: – A zwłaszcza od tych studentów. Ktoś tam próbował się do nas dostać.

– To dosyć drastyczne, panie Pony – zauważył Greenyham.

– Na to liczę, drogi panie. Wydaje mi się, że ktoś znalazł sposób wysyłania wiadomości, które mogą uszkodzić wieżę.

– To niemożli...

Pan Pony uderzył dłonią o blat.

– A skąd pan tak dobrze się zna? Czy przesiedział pan pół nocy, próbując to wszystko rozgryźć? Czy rozłożył pan kiedyś bęben dyferencjalny otwieraczem do puszek? Zauważył pan, jak zwory matrycy można zrzucić z łożyska mimośrodowego, jeśli wbije się literę K, a potem wyśle ją do wieży z adresem wyższym niż własny, ale tylko wtedy, kiedy najpierw wbije się literę Q, a sprężyna bębna jest w pełni napięta? Widział pan, jak dźwignie klawiszy klinują się razem, sprężyna przepycha ramę do góry i odsłania się przekładnia pełna zębów? A ja widziałem.

– Czy mówimy tu o sabotażu? – spytał Gilt.

– Może pan to nazwać, jak pan chce – odparł Pony, ledwie przytomny ze zdenerwowania.
– Dziś rano poszedłem do składu i wygrzebałem bęben, który w zeszłym miesiącu zdjęliśmy z wieży 14. Mógłbym przysiąc, że zdarzyło się to samo. Ale awarie zwykle występują w wieży górnej, w skrzynkach przesłonowych. Tam...

– Czyli nasz pan Lipwig stał za kampanią sabotaży w wieżach... – rzucił Gilt.

– Nie powiedziałem tego! – zawołał Pony.

– Nie musimy wymieniać żadnych nazwisk – zapewnił gładko Gilt.

– To tylko nieudana konstrukcja – wyjaśnił Pony. – Moim zdaniem któryś z chłopaków znalazł przypadkiem tę metodę, a potem spróbował jeszcze raz, żeby sprawdzić, co się stanie. Oni już tacy są, ci chłopcy w wieżach. Wystarczy im pokazać kawałek skomplikowanej maszynery, a cały dzień będą próbowali sprawić, żeby nie działał. Na całym Pniu tak kombinują, naprawdę.

– Ale dlaczego zatrudniamy takich ludzi? – zapytał wyraźnie oszołomiony Stowley.

– Bo to jedyni ludzie, którzy są skłonni spędzić życie na jakiejś wieży na pustkowiu, wciskając klawisze. Oni to lubią.

– Ale ktoś w wieży musi te klawisze wcisnąć, żeby zdarzyły się... te straszne rzeczy – zauważył Stowley.

Pony westchnął. Nigdy ich to nie interesowało. Chodziło im tylko o pieniądze. Nie mieli pojęcia, jak cokolwiek działa. A potem nagle chcą się czegoś dowiedzieć i człowiek musi do nich mówić jak do dziecka.

– Chłopcy idą za sygnałem, jak to nazywają. Obserwują sąsiednią wieżę i jak najszybciej powtarzają wiadomość. Nie mają czasu, żeby się zastanawiać. Wszystko z ich wieży wychodzi na bęben dyferencjalny. Oni tylko walą w klawisze, kopią pedały i szarpiają dźwignie, jak potrafią najszybciej. Są z tego dumni. Wymyślają nawet różne sztuczki, żeby jeszcze przyspieszyć. Więc nie chcę żadnego gadania o sabotażu, nie w tej chwili. Wyślijmy tę wiadomość jak najprędzej. Chłopakom się to spodoba.

– Wizja jest atrakcyjna – przyznał Gilt. – W ciemnościach nocy wyczekujące wieże... A potem jedna po drugiej ozywają, gdy świetlny wąż pędzi przez świat, płynnie i cicho niosąc swoje... cokolwiek. Musimy znaleźć jakiegoś poetę, żeby o tym napisał. – Skinął Pony'emu. – Jesteśmy w pańskich rękach, panie Pony. Jest pan człowiekiem, który ma plan.

* * *

– Nie mam – oświadczył Moist.

– Nie masz planu? – nie dowierzała panna Dearheart. – Chcesz mi wmówić, że...

– Ciszej, proszę, ciszej! – syknął. – Nie chcę, żeby wszyscy się dowiedzieli!

Siedzieli w małej kawiarni niedaleko Szpilkowej Giełdy, która – jak zauważył Moist – nie miała dzisiaj wielu klientów. Musiał wyjść z Urzędu Pocztowego, żeby głowa mu nie eksplodowała.

– Wyzwałeś Wielki Pień! To znaczy, że tylko się chwaliłeś i miałeś nadzieję, że coś się pojawi?

– Dawniej to zawsze działało! Jaki jest sens w obietnicy osiągnięcia tego, co osiągalne? Co by to było za zwycięstwo?

– Nie słyszałeś nigdy o uczeniu się chodzenia przed biegiem?

– Tak, w teorii.

– Chcę uniknąć wszelkich niejasności – rzekła panna Dearheart. – Jutro wieczorem... to ten dzień po dzisiejszym... zamierzasz wysłać powóz... to takie pudło na kołach, ciągnięte przez konie, które na dobrej drodze mogą osiągnąć czternaście mil na godzinę... do wyścigu z Wielkim Pniem... to wszystkie te wieże semaforowe, które mogą przesyłać wiadomości z prędkością setek mil na godzinę... aż do Genoi... to takie miasto, które leży bardzo daleko stąd?

– Tak.

– I nie masz żadnego cudownego planu?

– Nie.

– I dlaczego mi o tym mówisz?

– Ponieważ w tym mieście, w tej chwili, jesteś jedyną osobą, która skłonna byłaby uwierzyć, że nie mam planu – wyjaśnił Moist. – Powiedziałem panu Groatowi, który tylko stuknął się w bok nosa, czego, nawiasem mówiąc, naprawdę wolałabyś nie oglądać. I powiedział: „Oczywiście, że pan nie ma, sir. Nie pan! Ho, ho, ho!”.

– I miałeś tylko nadzieję, że coś się pojawi? A skąd w ogóle pomysł, że by mogło?

– Zawsze się pojawiało. Jedyne sposoby, żeby coś się pojawiło, kiedy jest potrzebne, to potrzebować, by się pojawiło.

– A ja powinnam ci pomóc? Jak?

– Twój ojciec zbudował Pień!

– Tak, ale nie ja – odparła. – Nigdy nie byłam na górze w wieży. Nie znam żadnych sekretów, tyle tylko, że Pień zawsze jest na krawędzi katastrofy. A to wiedzą wszyscy.

– Ludzie, których nie stać na przegraną, stawiają na mnie pieniądze! A im bardziej ich przekonuję, że nie powinni, tym stawiają więcej!

– Nie wydaje ci się, że to trochę niemądre z ich strony? – zapytała słodko.

Moist zabębnił palcami o blat.

– No dobrze – rzekł. – Wymyśliłem jeszcze jeden dobry powód, dlaczego możesz mi pomóc. To dość skomplikowane, więc opowiem ci tylko wtedy, kiedy obiecasz, że będziesz siedzieć spokojnie, nie wykonując gwałtownych ruchów.

– Dlaczego? Sądzisz, że będę niespokojna?

– Tak. Myślę, że za kilka sekund spróbujesz mnie zabić. Wolałbym, żebyś obiecała, że tego nie zrobisz.

Wzruszyła ramionami.

– To powinno być ciekawe.

– Obiecujesz? – upewnił się Moist.

– Dobrze. Mam nadzieję, że to ekscytująca historia. – Panna Dearheart strzepnęła popiół z papierosa. – Mów.

Moist odetchnął kilka razy. To było to... Koniec. Jeśli człowiek wciąż zmienia sposób, w jaki ludzie widzą świat, w rezultacie zmienia też sposób, w jaki on sam widzi siebie.

– Ja jestem tym człowiekiem, przez którego straciłaś pracę w banku. To ja podrobiłem czek.

Panna Dearheart nie zmieniła wyrazu twarzy. Zmrużyła tylko oczy. Potem wydmuchnęła smugę dymu.

– Naprawdę obiecałam, tak? – spytała.

– Tak. Przykro mi.

– Czy miałam skrzyżowane palce?

– Nie. Patrzyłem.

– Hm... – W zadumie przyjrzała się rozżarzonemu czubkowi papierosa. – No dobrze. Lepiej opowiedz mi całą resztę.

Opowiedział jej całą resztę. Wszystko. Dostyc spодobał jej się ten fragment, kiedy go wieszali, i kazała to sobie powtórzyć. Wokół nich działo się miasto. Między nimi napelniała się popiołem popielniczka.

– Nie rozumiem tego fragmentu, w którym oddajesz wszystkie skradzione pieniądze na odbudowę Urzędu Poczowego. Czemu tak zrobiłeś?

– Dla mnie samego to niezbyt jasne.

– Przecież jesteś najwyraźniej egoistycznym draniem o kręgosłupie moralnym... eee...

– Szczura – podpowiedział Moist.

– ...szczura, dziękuję... Ale nagle stajesz się ulubieńcem wielkich religii, zbawcą Urzędu Poczowego, oficjalnym graczem na nosie osobnikom bogatym i potężnym, bohaterskim jeźdźcem i ogólnie wspaniałą istotą ludzką, no i oczywiście uratowałeś z pożaru kota. Dwóch ludzi także, ale wszyscy wiedzą, że kot jest najważniejszy. Kogo pan próbuje oszukać, panie Lipwig?

– Samego siebie, przypuszczam. Popadłem w dobre uczynki. Powtarzam sobie, że w każdej chwili mogę z tym zerwać, ale to nieprawda. Wiem jednak, że gdybym nie mógł z tym zerwać w każdej chwili, przestałbym to robić. Eee... Jest jeszcze jeden powód.

– Tak...?

– Nie jestem Reacherem Giltem. To dosyć istotne. Niektórzy mogliby powiedzieć, że nie ma między nami specjalnej różnicy, ale ja patrzę na to ze swojego punktu widzenia i różnica jest. To jak golem, który nie jest młotkiem. Proszę... Jak mogę pokonać Wielki Pień?

Panna Dearheart patrzyła na niego tak długo, aż poczuł się bardzo zakłopotany. Potem odezwała się zamyślona:

– Jak dobrze zna pan Urząd Pocztowy, panie Lipwig? To znaczy budynek?

– Widziałem większą jego część, zanim spłonął.

– Ale nigdy nie byłeś na dachu?

– Nie. Nie mogłem znaleźć przejścia. Górne piętra były zablokowane listami, kiedy... próbowałem...

Głos Moista ucichł.

Panna Dearheart zgasiła papierosa.

– Niech pan tam dzisiaj pójdzie, panie Lipwig. Niech pan znajdzie się trochę bliżej nieba. A potem niech pan uklęknie i się pomodli. Wie pan, jak trzeba się modlić, prawda? Trzeba złożyć ręce... i mieć nadzieję.

* * *

Moist przetrwał jakoś resztę dnia. Miał do załatwienia poczmistrzowskie sprawy – pana Spoolsa do porozmawiania, murarzy do pokrzyżenia, nieustające sprzątanie do dopilnowania i nowy personel do zatrudnienia. Chociaż w przypadku personelu głównie ratyfikował decyzje pana Groata i panny Maccalariat, ale oni wiedzieli, co robią. Moist był potrzebny, by czasem podejmować decyzje w rodzaju:

– Czy chwytemy w ramiona różnie? – zapytała panna Maccalariat, stając przed jego biurkiem.

Nastąpiła ciężarna chwila ciszy. Urodziła kolejne krótkie chwile, każda bardziej krępująca od rodzicielki.

– O ile wiem, to nie – zdołał wykrztusić Moist. – A czemu pani pyta?

– Ta młoda dama chciałaby wiedzieć. Bo w Pniu tak robią.

– Aha... Przypuszczam, że chodzi jej o różnorodność przyjmowaną z otwartymi ramionami – stwierdził Moist, przypominając sobie mowę Gilta z „Pulsu”. – Ale nie robimy tego u nas, ponieważ nie wiemy, co to znaczy. Zatrudnimy każdego, kto umie czytać i pisać, i dosięgnie do skrzynki na listy, panno Maccalariat. Przyjąłbym wampiry, o ile należałyby do Ligi Wstrzemięźliwości, trolle, o ile wycierałyby nogi, a jeśli są w mieście jakieś wilkołaki, chętnie zatrudniłbym listonoszy, którzy potrafią się odgryźć. Każdego, kto może wykonywać tę pracę, panno Maccalariat. Nasza praca to dostarczanie poczty. Rankiem, w południe i wieczorem... doręczamy. Czy coś jeszcze?

Teraz zauważył błysk w jej oku.

– Nie mam żadnych problemów z tymi, którzy przyznają się, kim są, panie Lipwig, ale muszę zaprotestować w kwestii krasnoludów. Pan Groat ich przyjmuje.

– Świetni pracownicy, panno Maccalariat. Szanują słowo pisane. No i ciężko pracują.

– Ale nie mówią, jakiej są... czy są krasnoludziemi damami, czy dżentelmenami, panie Lipwig.

– Ach... – Moist poczuł, że serce w nim zamiera. – Znowu chodzi o wygodki?

– Czuję, że na mnie spada odpowiedzialność za moralny rozwój młodych osób pod moją opieką – oświadczyła surowo panna Maccalariat. – Pan się uśmiecha, poczmistrzu, ale nie pozwolę robić z siebie żarcików.

– Pani troska dobrze o pani świadczy, panno Maccalariat – zapewnił Moist. – Zwrócimy na to szczególną uwagę w projekcie nowego budynku. Przekażę architektowi, że ma się z panią konsultować na każdym etapie.

Dobrze zakryte łono panny Maccalariat wyraźnie wezbrało od tej nieoczekiwanej uzyskanej władzy.

– Tymczasem jednak – ciągnął Moist – niestety, musimy sobie radzić z tym, co zostawił nam ogień. Mam nadzieję, że jako członek kierownictwa uspokoi pani personel w tej kwestii.

Płomienie straszliwej dumy odbiły się w okularach panny Maccalariat. Kierownictwo...

– Naturalnie, poczmistrzu – obiecała.

Ale w większości praca Moista polegała na... byciu. Połowa budynku stała się wypaloną skorupą. Ludzie cisnęli się w tym, co pozostało, a pocztę sortowali nawet na schodach. I zdawało się, że praca idzie lepiej, kiedy on jest w pobliżu. Nie musiał nic robić. Wystarczyło, że był.

Nie mógł się pozbyć myśli o pustym piedestale, z którego zdjęto boga.

Kiedy nadciągnął zmierzch, był gotów. Wokół nie brakowało drabin. Golemy zdołały podeprzeć podłogi nawet na górnych piętrach. Wszystko pokrywała sadza, a niektóre pokoje otwierały się na czerń, ale Moist szedł dalej.

Przecisnął się przez to, co pozostało ze strychu, i przez klapę wyszedł na dach.

Nie było go wiele. Upadający zbiornik deszczówki pociągnął za sobą sporą część płonącego dachu i nad główną halą pozostała najwyżej trzecia część. Jednak ogień prawie nie dotknął jednego z ramion U i dach wyglądał tam całkiem solidnie.

Stał tam dawny pocztowy gołębnik i wyraźnie ktoś w nim mieszkał. Co nie było takie niezwykle. O wiele więcej ludzi chciało zamieszkać w Ankh-Morpork, niż było Ankh-Morpork do zamieszkiwania. Na poziomie dachów powstała cała subcywilizacja, między wieżyczkami, ozdobnymi świetlikami i kopułami, kominami i...

...wieżami sekarowymi. Tak jest. Zauważył wieżę sekarową i kogoś na dachu, na chwilę przed tym, jak jego życie skręciło w te dziwne regiony. Po co wieża sekarowa na budce postawionej dla gołębi pocztowych? Gołębie chyba jej nie używają.

Otoczały ją trzy gargulce. Lubiły sekary – siedzenie wysoko to przecież cały sens życia gargulca – i łatwo wpasowały się w system. Stworzenie, które cały swój czas spędza na patrzeniu, a jest dostatecznie inteligentne, żeby zapisać wiadomość, stało się kluczowym elementem sekarów. Gargulce nie żądały nawet pieniędzy i nigdy się nie nudziły. Co mogłoby znudzić istotę gotową przez całe lata patrzeć na to samo?

Wokół powoli rozpały się wieże. Tylko pałac, uniwersytet, gildie i osoby bardzo bogate albo bardzo nerwowe uruchamiały swoje wieże także nocami. Ale wielki terminal na Tumpie jarzył się jak choinka w Noc Strzeżenia Wiedźm. Wzory żółtych kwadratów przemieszczały się w górę i w dół głównej wieży. Bezgłośnie w oddali, mrugając sygnałami nad wstającą mgłą, rysując swe konstelacje na tle wieczornego nieba, wieże były bardziej magiczne niż magia, bardziej czarowne niż czarownictwo.

Moist patrzył.

No bo czym w końcu jest magia, jeśli nie tym, co zdarza się od pstryknięcia palcami? Chociaż w tym nie ma magii... Ona tkwi raczej w mamrotanych słowach, dziwnych rysunkach na kartach starych ksiąg... W niewłaściwych rękach potrafi być groźna jak demony, ale nawet w połowie nie tak niebezpieczna, jak gdy jest w rękach właściwych. Wszechświat jest jej pełen – sprawia, że gwiazdy są w górze, a stopy w dole.

Ale to, co działo się teraz... było magiczne. Zwykli ludzie wymarzyli to i poskładali, budując wieże na tratwach, na bagniskach albo na zamarzniętych grzbietach gór. Przeklinali, a co gorsza, używali logarytmów. Przechodzili w bród rzeki i parali się geometrią. Nie śnili w takim sensie, w jakim ludzie zwykle używają tego słowa, ale wyobrazili sobie całkiem inny świat i skonstruowali go. A z całego tego potu, przekleństw i matematyki powstało to... to coś przerzucające słowa przez świat i ciche jak światło gwiazd.

Mgła wypełniała teraz ulicę, pozostawiając budynki jak wyspy pośród fal.

Módl się, powiedziała. W pewnym sensie bogowie byli mu winni przysługę, prawda? Dostali solidną ofiarę i wiele niebiańskiego uznania za to, że nie zrobili zupełnie nic.

Uklęknij, powiedziała. To nie był żart.

Ukląkł, złożył ręce i powiedział:

– Kieruję tę modlitwę do każdego boga, który...

W przerażającej ciszy zapaliła się wieża sekarowa po drugiej stronie ulicy. Wielkie kwadraty rozbłyskiwały po kolei. Przez chwilę Moist widział przed jedną z przesłon sylwetkę latarnika.

Kiedy latarnik zniknął w ciemności, wieża zaczęła migotać. Stała dość blisko, by oświetlić dach Urzędu Pocztowego.

Trzy ciemne postacie obserwowały Moista z drugiego końca dachu. Ich cienie skakały bezustannie, kiedy zmieniały się kombinacje światła, dwa razy na sekundę. Figury były ludzkie, a przynajmniej człekokształtne. I szły w jego stronę.

Bogowie, na przykład... bogowie mogą być człekokształtni. I nie lubią, kiedy człowiek sobie z nich żartuje.

Moist odchrząknął.

– Bardzo się cieszę, że was widzę... – wychrypiął.

– Ty jesteś Moist? – spytała jedna z figur.

– Słuchajcie, ja...

– Mówiła, że będziesz klęczał – odezwał się inny członek niebiańskiego tercetu. – Może herbaty?

Moist wstał ostrożnie. To nie było boskie zachowanie...

– Kim jesteście? – zapytał. A ośmielony brakiem piorunów dodał: – I co robicie na moim dachu?

– Płacimy czynsz – odparła jedna z postaci. – Panu Groatowi.

– Nic mi o was nie powiedział!

– Na to już nic nie poradzimy – stwierdził środkowy cień. – Zresztą przyszliśmy tylko zabrać resztę naszych rzeczy. Przykro nam z powodu tego pożaru. To nie przez nas.

– A jesteście...

– Ja jestem Szalony Al, to jest Normalny Alex, a to Adrian, który mówi, że wcale nie jest szalony, ale nie potrafi tego udowodnić.

– A po co wynajmujecie dach?

Tercet porozumiał się wzrokiem.

– Gołębie? – zasugerował Adrian.

– Zgadza się, jesteśmy miłośnikami gołębi – zapewniła niewyraźna postać Normalnego Aleksa.

– Przecież jest ciemno – zauważył Moist.

Informacja została rozważona.

– Nietoperze – rzekł Szalony Al. – Próbujemy wyhodować nietoperze pocztowe.

– Nie wierzę, żeby nietoperze instynktownie wracały do domu...

– Tak, to tragiczne, prawda? – zgodził się Alex.

– Przychodzę tutaj nocami, widzę te puste grzędy i z trudem powstrzymuję się od płaczu – westchnął Niezdecydowany Adrian.

Moist spojrział na małą wieżę. Była mniej więcej pięć razy wyższa od człowieka, z dźwigniami sterowniczymi na gładkim panelu niedaleko podstawy. Wyglądała na... profesjonalną i często używaną. I przenośną.

– Nie wydaje mi się, żebyście hodowali tutaj jakieś ptaki – stwierdził.

– Nietoperze to ssaki – zaprotestował Alex.

Moist pokręcił głową.

– Kryjcie się na dachach, macie własną wieżę... Jesteście Dymiącym Gnu, prawda?

– Ach, trudno się dziwić, że jesteś szefem pana Groata – uznał Normalny Alex. – Może jednak herbaty?

* * *

Szalony Al wyjął z kubka gołębie piórko. Gołębnik wypełniał stęchły, duszący zapach starego guana.

– Trzeba kochać ptaki, żeby tu mieszkać – stwierdził i pstryknął piórko w brodę Normalnego Aleksa.

– I wy je kochacie, co? – mruknął Moist.

– Nie powiedziałem, że tak, prawda? I wcale tu nie mieszkamy. Po prostu macie wygodny dach.

W gołębniku było dość ciasno, choć nie dopuszczano tu gołębi. Ale zawsze znajdzie się taki gołąb, który przegryzie drucianą siatkę – i teraz właśnie obserwował ich z kąta obłąkanymi małymi oczkami; jego geny pamiętały czas, kiedy był ogromnym gadem i tych synów małą mógł załatwić jednym kłapinięciem paszczy.

Wszędzie leżały części zdemontowanych mechanizmów.

– Panna Dearheart wam o mnie mówiła, prawda? – zapytał Moist.

– Powiedziała, że nie jesteś kompletnym dupkiem – wyjaśnił Niezdecydowany Adrian.

– Co w jej ustach jest wielką pochwałą – dodał Normalny Alex.

– I powiedziała, że jesteś tak pogięty, że mógłbyś przejść bokiem przez korkociąg – dokończył Niezdecydowany Adrian. – Ale uśmiechała się, kiedy to mówiła.

– To niekoniecznie dobry znak – stwierdził Moist. – Skąd ją znacie?

– Pracowaliśmy kiedyś z jej bratem – wyjaśnił Szalony Al. – Nad wieżą Mark 2.

Moist słuchał. To był całkiem obcy świat.

Normalny Alex i Szalony Al w sekarowym interesie byli starymi ludźmi, bo pracowali w nim od czterech lat. Potem konsorcjum przejęło firmę i wylecieli z Wielkiego Pnia tego samego dnia, kiedy Niezdecydowany Adrian wyleciał przez komin budynku Gildii Alchemików. W ich przypadku dlatego, że powiedzieli, co myślą o nowym kierownictwie, w jego przypadku dlatego, że nie poruszał się dostatecznie szybko, kiedy ciecz w zlewce zaczęła bulgotać.

Wszyscy trzej zaczęli pracować nad Drugim Pniem. Zainwestowali nawet pieniądze. Inni także. Drugi Pień posiadał najrozmaitsze udoskonalenia, był tańszy w działaniu, miał być szczytem techniki, przewyższać konkurencję, wspinać się ku perfekcji i... należałoby dodać kilka jeszcze innych określeń związanych z wysokością. A potem John Dearheart, który zawsze używał liny zabezpieczającej, wylądował na polu kapusty i to był koniec Drugiego Pnia.

Od tego czasu cała trójka wykonywała najrozmaitsze zajęcia dostępne nowym kwadratowym kołkom w świecie starych okrągłych otworów, ale co noc w górze sekary rozbłyskiwały wiadomościami. Były tak bliskie, tak kuszące, tak... dostępne. Wszyscy wiedzieli w jakiś mglisty, na wpół zrozumiwały sposób, że doszło do kradzieży – miała wszystkie atrybuty kradzieży oprócz nazwy. Wielki Pień należał do wrogów.

Dlatego założyli nieformalną małą firmę wykorzystującą Pień bez jego wiedzy.

To było trochę jak kradzież. To było dokładnie jak kradzież. Właściwie to była kradzież. Ale żadne prawo jej nie zakazywało, ponieważ nikt nie wiedział, że istnieje takie przestępstwo, więc czy to naprawdę kradzież, jeśli nikomu nie brakuje tego, co skradziono? I czy to kradzież, jeśli okrada się złodziei? Zresztą każda własność jest kradziona oprócz mojej...

– Czyli teraz jesteście... jak to było... krakerami? – spytał Moist.

– Zgadza się – potwierdził Szalony Al. – Bo możemy rozwalić system, schrupać jak krakersa.

– To chyba przesadny dramatyzm, jeśli robicie to za pomocą lamp...

– No tak, bo „migacze” było już zajęte – wyjaśnił Normalny Alex.

– No dobra, ale czemu Dymiące Gnu?

– To krakerski slang, oznacza bardzo szybką wiadomość przesłaną z końca na koniec systemu – odparł Normalny Alex z dumą.

Moist zastanawiał się przez chwilę.

– To ma sens – zgodził się. – Gdybym był zespołem trzech ludzi o imionach zaczynających się na tę samą literę, to właśnie taką nazwę bym wybrał.

Znaleźli drogę wejścia do systemu semaforowego. Polegała na tym, że nocą wszystkie wieże są niewidoczne. Widać tylko światła. Jeśli ktoś nie ma doskonałego wyczucia kierunku, identyfikacja wieży, z której pochodzi wiadomość, możliwa była tylko za pośrednictwem kodu. Mechanicy znali wiele kodów. Och, mnóstwo.

– Możecie wysyłać wiadomości za darmo? – zdumiał się Moist. – I nikt nie zauważy?

Zobaczył trzy pełne wyższości uśmiešky.

– To łatwe – zapewnił Szalony Al. – Kiedy się wie jak.

– A skąd wiedzieliście, że ta wieża się zepsuje?

– Myśmy ją zepsuli – wyjaśnił Normalny Alex. – Rozwaliliśmy jej bęben dyferencjalny. Potrzeba godzin, żeby to naprawić, bo operatorzy muszą...

Moist stracił dalszą część wypowiedzi. Niewinne słowa pływały w niej jak odpadki pochwycone prądem; od czasu do czasu wynurzały się na powierzchnię i machały rozpaczliwie, nim znowu wciągnęło je w głębinę. Dostyszał kilka razy „tak”, nim utonęło, a nawet „rozłączyć” i „łańcuch zębatki”, ale huczące, techniczne wielosylabowce wzniosły się falą i je pochłonięły.

– ...a to zajmuje co najmniej pół dnia – dokończył Normalny Alex.

Moist spojrział bezradnie na pozostałą dwójkę.

– A to znaczy co, tak dokładnie?

– Jeśli wyślesz odpowiednią wiadomość, możesz rozwalić maszynę – odparł Szalony AI.

– Cały Pień?

– W teorii. Ponieważ kod wykonania i zakończenia...

Moist rozluźnił się, kiedy fala powróciła. Nie interesowały go maszyny, o kluczu do śrub myślał jak o czymś, co ma innego człowieka od trzymania. Najlepiej uśmiechać się i czekać. Tak już jest z rzemieślnikami: uwielbiali tłumaczyć. Człowiek musiał czekać, aż osiągną jego poziom zrozumienia, nawet jeśli w tym celu musieliby się położyć.

– ...i tak nie możemy więcej tego robić, bo słyszeliśmy, że zmieniają...

Moist przyglądał się gołębiowi, dopóki znów nie zapadła cisza. Aha. Zwariowany AI już skończył i sądząc po ich minach, nie było to zbyt optymistyczne zakończenie.

– Czyli nie możecie – powiedział załamany.

– Nie teraz. Stary Pony to trochę baba, ale siedzi i rozgryza problemy. Przez cały dzień zmieniał wszystkie kody! Słyszeliśmy od jednego z naszych kumpli, że teraz każdy sygnalista będzie miał osobisty kod. Są bardzo ostrożni. Panna Adora Belle sądziła, że możemy ci pomóc, ale ten drań Gilt wszystko uszczelnił. Martwi się, że możesz wygrać.

– Ha! – zawołał Moist.

– Wymyślimy coś nowego za tydzień czy dwa – zapewnił Niezdecydowany Adrian. – Nie możesz tego odłożyć?

– Nie, raczej nie.

– Przykro mi...

Niezdecydowany Adrian bawił się odruchowo małą szklaną rurką pełną czerwonego światła. A kiedy ją odwrócił, napelniła się żółtym.

– Co to takiego? – zdziwił się Moist.

– Prototyp. Dzięki temu Pień mógłby być nocą prawie trzy razy szybszy. To wykorzystuje prostopadłe molekuly. Ale Pień nie jest otwarty na nowe idee.

– Pewnie dlatego że wybuchają, kiedy się je upuści – uznał Normalny Alex.

– Nie zawsze.

– Chyba przyda mi się trochę świeżego powietrza – oświadczył Moist.

Wyszli w noc. Niezbyt daleko wciąż mrugała wieża terminalu, a tu i tam jaśniały też inne w różnych częściach miasta.

– Co to jest? – Moist wskazał palcem jak ktoś, kto pyta o konstelacje gwiazd na niebie.

– Gildia Złodziei – odparł Niezdecydowany Adrian. – Ogólne sygnały dla członków. Nie potrafisz ich odczytać.

– A tamta? Czy to nie pierwsza wieża na drodze do Sto Lat?

– Nie, to komisariat Straży Miejskiej przy Bramie Osiowej. Sygnalizuje do Pseudopolis Yardu.

– Wydaje się bardzo daleka...

– Używają mniejszych skrzyń przesłonowych i tyle. Stąd nie zobaczysz wieży 2, zasłania ją uniwersytet.

Moist patrzył, zahipnotyzowany światłami.

– Zastanawiałem się, dlaczego nie wykorzystali tej starej kamiennej wieży po drodze do Sto Lat, kiedy budowali Pień. Stoi w odpowiednim miejscu.

– Stara wieża maga? Robert Dearheart używał jej przy pierwszych eksperymentach, ale jest trochę za daleko, mury nie są bezpieczne, a jeśli zostaniesz tam dłużej niż dzień bez przerwy, zwariujesz. To przez te wszystkie stare zaklęcia, które wniknęły w kamienie.

Milczeli chwilę. A potem usłyszeli trochę zduszony głos Moista.

– Gdybyście mogli dostać się jutro do Wielkiego Pnia, czy potrafilibyście zrobić cokolwiek, co ich spowolni?

– Tak, ale nie możemy – odparł Niezdecydowany Adrian.

– No tak, ale gdybyście mogli?

– Owszem, jest coś takiego, co rozważaliśmy – przyznał Szalony Al. – Bardzo prymitywne.

– Może wyłączyć wieże? – spytał Moist.

– A powinniśmy mu o tym mówić? – zaniepokoił się Normalny Alex.

– A spotkaliście kiedyś człowieka, o którym Zabójca powiedział dobre słowo? – przypomniał im Zwariowany Al. – W teorii może to rozwalić wszystkie wieże, panie Lipwig.

– Czy ty jesteś obłąkany oprócz tego, że szalony? Przecież on pracuje dla rządu! – zawołał Normalny Alex.

– Każdą wieżę w Pniu? – spytał Moist.

– Tak. Za jednym zamachem – potwierdził Szalony Al. – Dość prymitywna metoda.

– Naprawdę wszystkie wieże?

– Może nie wszystkie, jeśli się zorientują – przyznał Szalony Al, jakby mniej niż całkowite zniszczenie było czymś trochę wstydliwym. – Ale dużo. Nawet jeśli będą oszukiwać i przewiozą do następnej wieży konno. Nazywamy to... Dzięciołem.

– Dzięciołem?

– Nie, nie w ten sposób. Musi być taka jakby pauza dla lepszego efektu, takie... Dzięcioł!

– ...Dzięcioł! – powtórzył Moist wolniej.

– Złapałeś. Ale nie możemy go wpuścić do Pnia. Zablokowali nas.

– Przypuśćmy, że potrafię go wpuścić do Pnia... – Moist obserwował światła. Same wieże były już całkiem niewidoczne.

– Ty? A co ty wiesz o kodach sekarów? – mruknął Niezdecydowany Adrian.

– Cenię swoją ignorancję – odparł Moist. – Za to znam się na ludziach. Wy myślicie o tym, jak chytrze zagrać kodami. Ja myślę o tym, co ludzie widzą...

Posłuchali. Pokłócili się. Odwołali się do matematyki. A nad nimi wciąż płynęły słowa.

– No dobrze, dobrze – przyznał w końcu Normalny Alex. – Technicznie może się to udać, ale ludzie z Pnia musieliby być głupi, żeby do tego dopuścić.

– Oni przecież będą myśleli o kodach – wyjaśnił Moist. – A ja potrafię robić z ludzi głupków. To mój zawód.

– Myślałem, że z zawodu jesteś poczmistrzem – zdziwił się Niezdecydowany Adrian.

– A tak. W takim razie to moje powołanie.

Dymiące Gnu spojrzało po sobie.

– To całkiem szalony pomysł... – uśmiechnął się Szalony Al.

– Cieszę się, że się wam podoba – zapewnił Moist.

* * *

Są takie dni, kiedy człowiek po prostu musi poświęcić nocny sen. Ale Ankh-Morpork nie zasypia nigdy; miasto najwyżej drzemie, a i tak koło trzeciej w nocy budzi się, by wypić szklanekę wody.

W środku nocy można kupić praktycznie wszystko. Drewno? Żaden kłopot. Moist zastanawiał się, czy istnieją wampirzy stolarze, spokojnie wykonujący wampirze krzesła. Płótno? Z całą pewnością był w mieście ktoś taki, kto budził się przed świtem, by wyjść do toalety, i myślał: „Teraz tak naprawdę przydałoby mi się parę tysięcy łokci kwadratowych płótna średniej grubości”. I w dokach otwarte składy czekały, by zaspokoić tę gwałtowną potrzebę.

Kiedy wyruszali do wieży, padała uparta mżawka. Moist powoził, a tamci siedzieli z tyłu i kłócili się o trygonometrię. Moist starał się nie słuchać – gubił się przy niemądrej matematyce.

Zabić Wielki Pień... Och, wieże pozostaną, ale miną miesiące, zanim uda się je naprawić. Kompania upadnie. Nikt nie dozna szkody, zapewniło Gnu. Mieli na myśli ludzi w wieżach.

Pień stał się potworem pożerającym ludzi. Obalenie go było kuszącą ideą. Gnu miało mnóstwo pomysłów, co powinno powstać w jego miejsce – coś szybszego, tańszego, prostszego, skuteczniejszego, wykorzystującego specjalnie hodowane chochliki...

Coś jednak Moista dręczyło. Gilt miał rację, miał jak demony. Jeśli ktoś chciał przesłać wiadomość na pięćset mil i bardzo, bardzo szybko, Pień był właściwym wyborem. Jeśli człowiek chciał ją opakować i obwiązać wstążeczką, potrzebował Urzędu Pocztowego.

Moist lubił Gnu. Myśleli w odświeżająco inny sposób; jakakolwiek klątwa by zawisła nad kamiennymi murami starej wieży, z pewnością nie wpłynie na takie umysły jak ich – były zaszczerpane, chronione przed obłędem tym, że przez cały czas są trochę zwariowane.

Sygnaliści sekarowi wzdłuż całego Pnia byli... innym rodzajem ludzi. Oni nie wykonywali po prostu swojej pracy, oni nią żyli.

Ale Moist wciąż myślał o wszystkich złych rzeczach, które mogą się wydarzyć bez semaforów. Pewnie, zdarzały się często przed semaforami, ale to jednak nie to samo.

Zostawił ich, piłujących i stukających młotkami w kamiennej wieży, a sam, pogrążony w myślach, wrócił do miasta.

Rozdział trzynasty

Brzeg koperty

W której poznajemy teorię przestrzeni suknowej – Krętacz Collabone – Tak ostry, że sam się skaleczysz – Szukanie panny Dearheart – Teoria maskowania – Igor wyrufa – Oby ta chwila trwała wiecznie – Starcie z Pniem – Rozwinięcie wielkiego żagla – Wiadomość otrzymana

Mustrum Ridcully, nadrektor Niewidocznego Uniwersytetu, opuścił kij i wymierzył starannie.

Biała bila trafiła w czerwoną, która potoczyła się wolno do luzu. Było to trudniejsze, niż się wydaje, ponieważ więcej niż połowa stołu bilardowego służyła nadrektorowi do segregowania dokumentacji*. By dotrzeć do otworu, bila musiała przetoczyć się przez kilka stert papierów, kufel, czaszkę z cieknącą świecą i mnóstwo popiołu z fajki. Tak uczyniła.

– Świetnie, panie Stibbons – pochwalił Ridcully.

– Nazywam to przestrzenią suknową – wyjaśnił z dumą Myślak Stibbons.

Każda organizacja potrzebuje kogoś, kto wie, co się dzieje, dlaczego i kto to robi. W NU tę funkcję realizował Myślak Stibbons, który często wolałby, żeby to był ktoś inny. W tej chwili przebywał tu w swej roli kierownika niewskazanych zastosowań magii, a jego ogólnym celem było dopilnowanie, by budżet jego zakładu zyskał aprobatę. Temu służył pęk grubych rur, które spod starego stołu bilardowego przez dziurę w ścianie opadały na trawnik i dalej prowadziły do budynku Magii Wysokich Energii, gdzie – Myślak westchnął – ta drobna sztuczka pochłaniała czterdzieści procent czasu runicznego Hexa, uniwersyteckiej maszyny myślącej.

– Niezła nazwa – pochwalił Ridcully i wykonał kolejny strzał.

– Jak w przestrzeni fazowej? – podpowiedział z nadzieją Myślak. – Kiedy bila ma zderzyć się z przeszkodą, która nie jest inną bilą, Hex przemieszcza ją do teoretycznego wymiaru równoległego, gdzie znajdzie niezajętą płaską powierzchnię. Podtrzymuje jej

* Ridcully praktykował metodę Najbliższej Dostępnej Powierzchni.

szybkość i obroty do chwili, kiedy zdoła przenieść ją z powrotem do naszego wymiaru. To niezwykle trudny i skomplikowany przykład zaklania w czasie nierzeczywistym...

– Tak, tak, bardzo dobrze – pochwalił Ridcully. – Coś jeszcze, panie Stibbons?

Myślak zajrzał do notesu.

– Przyszedł uprzejmy list od lorda Vetinariego, który w imieniu miasta zwraca się z prośbą, by uniwersytet podczas naboru rozważył uwzględnienie, och, dwudziestu pięciu procent mniej zdolnych studentów.

Ridcully trafił do luzy czarną, która przetoczyła się przez plik uniwersyteckich zarządzeń.

– Nie możemy pozwolić, żeby gromada sklepikarzy i rzeźników tłumaczyła uniwersytetowi, jak ma działać – oświadczył stanowczo, mierząc do czerwonej. – Proszę im podziękować za zainteresowanie i przekazać, że będziemy kontynuować naszą praktykę przyjmowania stu procent absolutnych i kompletnych tępaków, jak zwykle. Bierzymy tępych, wypuszczamy ostrych, tak się to dzieje na NU! Jeszcze coś?

– Tylko ta wiadomość na dzisiejszy wyścig, nadrektorze!

– A tak, wiadomość... Co powinienem zrobić, panie Stibbons? Słyszałem, że ludzie wysoko obstawiają Urząd Pocztowy.

– Tak, nadrektorze. Twierdzą, że bogowie są po stronie pana Lipwiga.

– A bogowie robią zakłady? – zapytał Ridcully, obserwując z satysfakcją, jak kula materializuje się po drugiej stronie zapomnianej kanapki z szynką.

– Nie wydaje mi się, nadrektorze. On w żaden sposób nie może wygrać.

– To jest ten chłopak, który uratował kota?

– Właśnie on, nadrektorze. Rzeczywiście.

– Zuch. A co sądzimy o Wielkim Pniu? Banda liczykrupów, jak słyszałem. Zabijali ludzi na tych swoich wieżach. Gość w pubie mówił mi, że duchy martwych sygnalistów prześladują Pień. Spróbuję uderzyć różową.

– Tak, słyszałem o tym, nadrektorze. Uważam, że to taka miejska legenda.

– Wędrują z jednego końca Pnia na drugi, tak mówił. Zresztą to całkiem niezły sposób na spędzenie wieczności. W górach trafiają się naprawdę wspaniałe widoki. – Nadrektor zamilkł nagle, a jego wielkie oblicze wykrzywiło się w namyśle. – „Wielki Przewodnik po Rozmaitych Wymiarach” Haruspeksa – powiedział w końcu.

– Słucham, nadrektorze?

– To ta wiadomość – wyjaśnił Ridcully. – Nikt nie mówił, że to ma być list, prawda? – Machnął ręką nad końcem kija, na którym wyrosła świeża warstwa kredowego proszku. – Dajcie im po jednym egzemplarzu nowego wydania. Mają dotrzeć do naszego człowieka w Genoi... jak mu było, jak mu... takie zabawne imię... pokażemy, że stara Alma Pater o nim nie zapomniła.

– Krętacz Collabone, sir. Studiuje komunikację mięczaków w polu magicznym o niskim natężeniu. Do licencjatu z thaumaturgii.

- Wielcy bogowie... A one się komunikują?
- Najwyraźniej tak, nadrektorze, choć do tej pory nie chcą z nim rozmawiać.
- A dlaczego tam go wysłaliśmy?
- Krętacza H. Collabone’a, nadrektorze? Nie pamięta pan? Z tym potwornie cuchnącym oddechem?
- Ach, chodzi o Smoczy Dech Collabone’a?! – zawołał Ridcully, gdy pamięć podsunęła mu obraz. – Tego, który potrafił wydmuchać dziurę w srebrnej tacy?
- Tak, nadrektorze – potwierdził Myślak. Mustrum Ridcully zawsze lubił triangulować nowe informacje z kilku pozycji. – Powiedział pan, że na bagnach i tak nikt nie zauważy. Jeśli pan pamięta, pozwoliliśmy mu zabrać nieduży omniskop.
- Naprawdę? Bardzo byliśmy przewidujący. Niech pan go zaraz wezwie i powie, o co chodzi.
- Tak, nadrektorze. Może jednak zaczekam kilka godzin, ponieważ w Genoi trwa teraz noc.
- To tylko im tak się wydaje – stwierdził Ridcully i znowu wycelował. – Proszę załatwić to od razu.

* * *

Ogień z niebios...

Wszyscy wiedzieli, że gdy wiadomości przelatują wzdłuż Pnia, górne części wież się kołyszą. Kiedyś ktoś pewnie spróbuje temu zaradzić. A wszyscy starzy sygnaliści wiedzą, że jeśli korbowód obsługujący przesłony w linii wychodzącej zostanie pchnięty w górę, by je otworzyć, a w tym samym mgnieniu oka korbowód na linii wchodzącej będzie ściągnięty w dół, żeby zamknąć przesłony z drugiej strony wieży, to wieża się zakołysze. Została popchnięta z jednej strony i pociągnięta z drugiej, co może mieć mniej więcej taki skutek jak idąca marszowym krokiem kolumna żołnierzy dla starego mostu. Nie był to poważny problem, chyba że coś takiego nastąpi znowu i znowu, aż kołysanie wzrośnie do niebezpiecznego poziomu. Ale jak często coś takiego może się zdarzyć?

Za każdym razem, kiedy dotrze do wieży Dziecioł. Właśnie tak. Był jak choroba, która atakuje tylko słabych i niesprawnych. Nie zadziałałaby w dawnym Pniu, ponieważ w dawnym Pniu pracowało dość wieżowych kapitanów, którzy wyłączyliby wszystko natychmiast i zdjęli z bębna groźny przekaz. Byliby pewni, że ich działanie ocenią przełożeni, którzy wiedzą, jak pracują wieże, i którzy sami zrobiliby to samo.

Dziecioł byłby skuteczny wobec nowego Pnia, ponieważ za mało zostało takich kapitanów. Człowiek miał robić, co mu każą, bo inaczej mu nie płacili, a jeśli coś się psuło, to już nie jego problem. To błąd tego idioty, który w ogóle przyjął taką wiadomość do wysłania. Nikt się człowiekiem nie przejmował, a wszyscy w zarządzie byli idiotami. Zarząd ogłosił

nawet konkurs na Pracownika Miesiąca, żeby pokazać, jak bardzo dba o personel. Co tylko dowodzi, jak bardzo ów personel lekceważy.

A dzisiaj kazali przerzucać kod jak najszybciej i człowiek przecież nie chciał być tym, którego oskarżą o spowalnianie systemu, więc tylko wpatrywał się w następną wieżę, aż oczy zachodziły mu łzami, i walił w klawisze tak szybko, jakby stepował na gorących kamieniach.

Wieżę padały jedna po drugiej. Niektóre płonęły, kiedy skrzynki przesłon wyrwały się z mocowań i rozbijały na dachach kabin, rozpryskując płonący olej. Nie dało się walczyć z ogniem w drewnianym pudle sześćdziesiąt stóp nad ziemią, więc człowiek zsuwał się tylko po linie samobójców i uciekał na bezpieczną odległość, by przyglądać się przedstawieniu.

Czternaście wież stanęło w płomieniach, zanim ktokolwiek zdjął ręce z klawiatury. A potem co? Człowiek miał instrukcje. Dopóki ta wiadomość nie zostanie przekazana, na Pniu miało nie być żadnych, powtarzam: żadnych innych. Co mógł teraz zrobić?

Moist się zbudził; Wielki Pień płonął w jego myślach.

Dymiące Gnu chciało go rozbić i pozbierać szczątki. Rozumiał ich. Ale to nie mogło się udać. Gdzieś na linii znajdzie się choć jeden niewygodny mechanik, który zaryzykuje posadę, by wysłać przodem wiadomość: to zabójca, przekazujcie powoli. I to będzie koniec. Pewnie, trasa do Genoi zajmie może dzień czy dwa, ale przecież mają na to całe tygodnie. A ktoś inny okaże się dość sprytny, by porównać wiadomość z tym, co nadała pierwsza wieża. Gilt wywinie się z tego... nie, Gilt wyjdzie z tego jak burza. Wiadomość była sfalszowana, powie i będzie miał rację. Trzeba znaleźć inne rozwiązanie.

Ale Gnu wpadło na dobry pomysł. Rozwiązaniem jest zmiana wiadomości, jeśli tylko zrobi to, jak należy...

Moist otworzył oczy. Zasnął na biurku, a ktoś wsunął mu poduszkę pod głowę.

Kiedy ostatnio spał w porządnym łóżku? A tak, tej nocy, kiedy złapał go pan Pompa. Spędził parę godzin na materacu, który się nie poruszał i nie był wypchany kamieniami. Rozkosz...

Ostatnie dni życia przebiegły mu przed oczami. Jęknął.

– Dzień Dobry, Panie Lipvig – odezwał się z kąta pan Pompa. – Pańska Brzytwa Jest Wyostrzona, Woda Gorąca, A Jestem Pewien, Że Herbata Zaraz Tu Dotrze.

– Która godzina?

– Południe, Panie Lipvig. Wrócił Pan Dopiero O Świcie – dodał golem z lekkim wyrzutem.

Moist znów jęknął. Sześć godzin do startu. A potem tyle gołębi wróci do rodzinnych gniazd, że będzie to przypominać zaćmienie słońca.

– Panuje Ogólne Podniecenie – powiedział golem, gdy Moist zaczął się golić. – Ustalono, Że Linia Startowa Znajdzie Się Na Placu Sator.

Moist patrzył na swoje odbicie, prawie nie słuchając. Zawsze, odruchowo podnosił stawkę. Po co obiecywać, że zrobi się, co jest możliwe? Każdy może zrobić to, co jest

możliwe. Trzeba obiecać, że dokona się niemożliwego, ponieważ czasem niemożliwe staje się możliwe, jeśli tylko znajdzie się właściwy sposób. A gdyby nawet nie, to przynajmniej często udaje się poszerzyć granice możliwości. A jeśli się przegra... No cóż, to przecież było niemożliwe.

Jednak tym razem posunął się za daleko. Pewnie, żaden wstyd przyznać, że dylizans z końmi nie może jechać tysiąc mil na godzinę, ale Gilt będzie się puszył, a Urząd Pocztowy zostanie małym, staromodnym przedsięwzięciem, nienadążającym za zmianami i niezdolnym do konkurencji. Gilt znajdzie jakiś sposób, by utrzymać Wielki Pień, przycinając jeszcze wydatki i zabijając ludzi z chciwości...

– Dobrze Się Pan Czuję, Panie Lipvig? – zapytał golem.

Moist patrzył we własne oczy i na to, co migocze w ich głębi.

O rany...

– Skaleczył Się Pan, Panie Lipvig – zauważył pan Pompa. – Panie Lipvig?

Szkoda, że ominąłem gardło, pomyślał Moist, Ale była to nieważna myśl, przeciskająca się obok tej wielkiej i mrocznej rozwijającej się w lustrze.

Spójrz w otchłań, a zobaczysz, że coś tam rośnie i sięga do światła. I szepcze: Zrób to. To się uda. Zaufaj mi.

O rany... Plan, który jest skuteczny, myślał. Prosty i zabójczy jak brzytwa. Ale wymaga człowieka bez zasad, żeby w ogóle o czymś takim pomyślał.

Czyli tutaj nie ma problemu.

Zabiję pana, panie Gilt. Zabiję pana naszym specjalnym sposobem, metodą szczura, oszusta i kłamcy. Zabiorę panu wszystko oprócz życia. Zabiorę panu pieniądze, reputację i przyjaciół. Będę tkął wokół pana słowa, aż zamknę pana w nich jak w kokonie. Nie zostawię nic, nawet nadziei...

Starannie dokończył golenie i startł z brody resztkę piany. Krwi było całkiem niewiele.

– Myślę, że dobrze mi zrobi solidne śniadanie, panie Pompa – rzekł. – Potem mam parę spraw do załatwienia. A tymczasem czy mógłbyś mi znaleźć miotłę? Z porządnymi brzozowymi witkami? Potem namaluj na kiju kilka gwiazdek.

* * *

Kiedy Moist schodził na dół, przed prowizorycznymi ladami tłoczyli się ludzie. Jednak gwar ucichł, kiedy wszedł do hali. A potem zabrzmiały oklaski. Skinął głową i pomachał wesoło, i natychmiast otoczyli go ludzie wymachujący kopertami. Starał się bardzo, żeby podpisać wszystkie.

– Dużo dodatkowej poczty do Genoi, sir! – zawołał pan Groat, przeciskając się przez tłum. – Nigdy jeszcze nie widziałem niczego podobnego, sir. Nigdy!

– Doskonale, brawo – mruknął Moist.

– I poczty do bogów też przyjęliśmy więcej.

– Miło mi to słyszeć, panie Groat.

– Mamy pierwsze znaczki Sto Lat, sir! – zawołał Stanley, machając nad głową plikiem arkuszy. – Pierwsze wydruki aż się roją od błędów!

– Gratuluję – rzekł Moist. – Ale muszę iść i przygotować kilka drobiazgów.

– Ach, no tak! – Pan Groat mrugnął porozumiewawczo. – „Kilka drobiazgów”, tak? Jak pan sobie życzy, sir. Przejście, proszę! Poczmiistrz idzie!

Groat mniej więcej skutecznie oczyścił drogę. Moist szedł, usiłując omijać ludzi, którzy chcieli, żeby pocałował ich dzieci, albo żeby urwać mu strzęp ubrania na szczęście. W końcu dotarł na świeże powietrze.

Trzymał się bocznych uliczek, aż znalazł lokal, w którym podawali całkiem rozsądne podwójne kiełbaski z jajkiem sadzonym, bekonem i grzanką. Miał nadzieję, że jedzenie zastąpi sen.

Wszystko wrywało się spod kontroli. Na placu Sator ludzie rozwieszali chorągiewki i rozstawiali stragany. Olbrzymi, dryfujący tłum, tworzący uliczną populację Ankh-Morpork, falował i płynął wokół miasta, a wieczorem miał skoncentrować się na placu Sator, gdzie można będzie sprzedawać mu różne rzeczy.

W końcu Moist zebrał się na odwagę i ruszył do Powiernictwa Golemów. Było zamknięte. Do licznych warstw graffiti, pokrywających zabita deskami wystawę, dodano kolejne. Pojawiło się na wysokości kolan i stwierdzało kredkami: „Golmy som s kaka”. Przyjemnie było widzieć, że piękne tradycje kretyńskiej bigoterii przekazywane są bezsensownie kolejnym pokoleniom.

Siostry Dolly, pomyślał nerwowo. Mieszka u ciotki. Czy kiedykolwiek wspomniała, jak ta ciotka się nazywa?

Pobiegł w tamtą stronę.

Siostry Dolly były kiedyś osobną wioską, zanim jeszcze miasto rozrosło się i przetoczyło przez nią. Mieszkańcy nadal uważali się za innych niż pozostali; mieli własne obyczaje – Poniedziałek Psich Kupek albo W Górę Igły – i praktycznie własny język. Moist tego nie wiedział. Wędrował wąskimi alejkami, wyglądając... czego? Kolumny dymu?

Właściwie to całkiem niezły pomysł.

Osiem minut później stanął przed domem i zaczął dobijać się do drzwi. Otworzyła sama i spojrzała na niego zdziwiona.

– Jak? – spytała tylko.

– Sklepy tytoniowe – wyjaśnił. – Niewiele kobiet w tej okolicy pali setkę dziennie.

– No więc czego chcesz, panie Mądralo?

– Jeśli mi pomożesz, odbiorę Giltowi wszystko, co ma – oświadczył Moist. – Pomóż. Proszę. Obiecuję. Na mój honor człowieka całkowicie niegodnego zaufania.

To przynajmniej wzbudziło u niej przelotny uśmiech, niemal natychmiast zastąpiony zwykłym wyrazem głębokiej podejrzliwości. Potem najwyraźniej została rozstrzygnięta jakaś wewnętrzna walka.

– Lepiej wejść do środka – powiedziała panna Dearheart i szeroko otworzyła drzwi.

Salonik był niewielki, ciemny i ciasny od szacowności. Moist przysiadł na brzegu krzesła, starając się niczego nie dotykać. W skupieniu nasłuchiwał kobiecych głosów w korytarzu. Po chwili panna Dearheart wróciła i zamknęła za sobą drzwi.

– Mam nadzieję, że twoja rodzina nie ma nic przeciw temu – odezwał się Moist. – Ja...

– Powiedziałam, że chodzi o zaloty – odparła. – Do tego służą saloniki. Warto było zobaczyć te łzy radości i nadziei na twarzy mojej matki. A teraz mów, czego chcesz.

– Opowiedz o swoim ojcu – poprosił Moist. – Muszę wiedzieć, jak tamci przejęli Wielki Pień. Masz jeszcze jakieś papiery?

– Nic ci z tego nie przyjdzie. Prawnik przejrzał wszystko i powiedział, że trudno będzie otworzyć sprawę...

– Zamierzam zwrócić się do wyższej instancji.

– Chodzi o to, że nie możemy udowodnić wielu rzeczy, tak naprawdę udowodnić... – zaprotestowała.

– Ja nie muszę – zapewnił ją Moist.

– Prawnik mówił, że potrzebne są całe miesiące pracy... – ciągnęła, jakby koniecznie chciała znaleźć jakąś lukę.

– Postaram się, żeby ktoś inny za nią zapłacił. Masz księgi? Rejestry? Cokolwiek w tym rodzaju?

– Ale co zamierzasz zrobić?

– Lepiej żebyś nie wiedziała. Naprawdę lepiej. Wiem, co robię, Igło. Ale ty nie powinnaś.

– No, jest takie wielkie pudło z papierami – przyznała z wahaniem. – Chyba mogłabym, no, tak jakby... zostawić je tutaj, kiedy będę sprzątać.

– Dobrze.

– Ale czy mogę ci zaufać?

– W tej sprawie? Bogowie, nie! Twój ojciec zaufał Giltowi i sama wiesz, jak się to skończyło. Na twoim miejscu w życiu bym sobie nie zaufał. Ale na swoim miejscu, już tak.

– Zabawne, panie Lipwig, lecz coraz bardziej panu ufam, kiedy pan opowiada, jak bardzo nie należy panu ufać.

Moist westchnął.

– Tak, Igło, wiem. Paskudna sprawa, co? Potrafię rozmawiać z ludźmi. Możesz przynieść to pudło?

Tak uczyniła, ze zdziwieniem marszcząc czoło.

Zajął mu to całe popołudnie, a w końcu i tak nie był pewien, ale wypełnił bazgrołami mały notes. To było jak szukanie piranii w rzece porośniętej zielskiem. Na dnie leżały kości.

Czasem człowiek miał wrażenie, że dostrzega srebrzysty błysk, ale nie mógł być pewien, że zobaczył rybę. Jedynym sposobem przekonania się był skok do wody.

O wpół do piątej plac Sator był zatłoczony.

Wspaniałą cechą złotego stroju i skrzydlatej czapki było to, że kiedy Moist je zdjął, nie był już sobą. Stawał się całkiem nijakim osobnikiem w nierzucającym się w oczy ubraniu i z twarzą, którą można by mgliście kojarzyć jako już kiedyś widzianą.

Szedł między ludźmi, kierując się do Urzędu Pocztowego. Nikt nawet nie spojrzał na niego po raz drugi. W sposób, jakiego nie uświadamiał sobie aż do teraz, był całkiem samotny. Zawsze był samotny. To jedyna metoda zapewnienia sobie bezpieczeństwa.

Kłopot polegał na tym, że tęsknił za złotym strojem. Wszystko właściwie było grą. Ale Człowiek w Złotym Stroju to dobra rola. Nie chciał być kimś, o kim się zapomina, kimś tylko o krok powyżej cienia. Pod skrzydlatą czapką mógł dokonywać cudów, a przynajmniej sprawić, że wyglądały jak dokonane cuda, co jest praktycznie równie dobre.

Będzie musiał dokonać cudu w ciągu najbliższej godziny czy dwóch. To pewne.

No cóż...

Obszedł Urząd Pocztowy od tyłu i już miał się wśliznąć do środka, kiedy w cieniu odezwał się ktoś:

– Lej...

– Podejrzewam, że masz na myśli „Hej” – odpowiedział Moist.

Normalny Alex wyszedł z cienia. Ubrany był w kurtkę Wielkiego Pnia i wielki hełm z rogami.

– Trochę wolno nam idzie z płótnem... – zaczął.

– Skąd ten hełm? – zdziwił się Moist.

– To maskowanie.

– Wielki rogaty hełm?

– Tak. Jestem w nim tak bardzo zauważalny, że nikt się nie domyśla, że staram się pozostać niezauważony, więc nawet się nie stara mnie zauważyć.

– Tylko człowiek bardzo inteligentny mógłby wpaść na taki pomysł – stwierdził ostrożnie Moist. – Co się dzieje?

– Potrzebujemy więcej czasu – oświadczył Alex.

– Co? Wyścig startuje o szóstej!

– Nie będzie dość ciemno. Nie damy rady postawić żagla przed wpół do siódmej, minimum. Wcześniej nas zauważą, jak tylko wystawimy głowy nad parapetem.

– Nie, daj spokój! Wieże są za bardzo oddalone!

– Ale ludzie na drodze nie są – stwierdził Alex.

– Niech to!

Moist całkiem zapomniał o drodze. A przecież wystarczy, by ktoś później opowiedział, że widział ludzi w starej magicznej wieży...

– Słuchaj, jest gotowy do podniesienia – zapewnił Alex, obserwując jego twarz. – Kiedy już będziemy na górze, możemy pracować szybko. Potrzebujemy tylko pół godziny ciemności, może parę minut więcej.

Moist przygryzł wargę.

– Dobra. Chyba dam radę. Wracaj i pomóż tamtym. Ale nie zaczynajcie, dopóki do was nie dotrę, rozumiesz? Zaufaj mi!

Często to powtarzam, pomyślał, kiedy Alex odszedł pospiesznie. Mam nadzieję, że naprawdę zaufają.

Poszedł do swojego gabinetu. Włożył złoty strój. Czekala go praca. Nudna, ale trzeba było ją wykonać... więc wykonał.

O wpół do szóstej zatrzeszczały deski i do gabinetu wkroczył pan Pompa, ciągnąc za sobą miotłę.

– Wkrótce Nastąpi Czas Rozpoczęcia Wyścigu, Panie Lipvig – oznajmił.

– Muszę dokończyć parę spraw – odparł Moist. – Mam tu listy od budowniczych i architektów, a ktoś chce też, żebym wyleczył mu kurzajki... Naprawdę muszę załatwić te papiery, panie Pompa.

* * *

W samotności kuchni Reachera Igor starannie napisał list pożegnalny. Należało przestrzegać pewnych norm. Człowiek nie wynosił się jak złodziej nocą. Należało sprzątnąć, dopilnować, by spiżarnia była dobrze zaopatrzona, pozmywać naczynia, a z pudełka z pieniędzmi na zakupy wziąć dokładnie tyle, ile pracodawca był winien.

Właściwie szkoda. To była niezła posada. Gilt nie wymagał od niego ciężkiej pracy, a Igorowi podobało się terroryzowanie innych służących. No, przynajmniej większości.

– To takie smutne, że pan odchodzi, panie Igorze – oświadczyła pani Glowbury, kucharka.

– Nic fię nie poradzi, pani Glowbury – westchnął Igor. – Będę tęfknął za pani zapiekanką z wątróbki i cynaderek, to pewne. Ferce mi rofnie, kiedy widzę kobietę, która naprawdę potrafi cof przygotować z reftek.

– Wydziergałam to dla pana, panie Igorze.

Kucharka z zakłopotaniem wręczyła mu niewielką paczuszkę. Igor otworzył ostrożnie i rozwinął kominiarkę w białe i czerwone pasy.

– Pomyślałam, że ogrzeje panu główkę... – Pani Glowbury chlipnęła zarumieniona.

Przez chwilę Igor walczył ze sobą. Lubił i szanował kucharkę. Nigdy jeszcze nie widział, żeby kobieta tak sprawnie posługiwała się nożami... Czasami trzeba zapomnieć o Kodeksie Igorów.

– Pani Glowbury, mówiła pani chyba, że ma fioftrę w Quirmie?

– To prawda, panie Igorze.

– No więc teraz jeft bardzo dobry moment, żeby wybrać fię do niej z wizytą – oświadczył stanowczo Igor. – Profę nie pytać dlaczego. Do widzenia, droga pani Glowbury. Będę ciepło wfpominał pani wątrobę.

* * *

Pozostało jeszcze dziesięć minut do szóstej.

– Jeśli Wyjdzie Pan Teraz, Panie Lipvig, Zdaży Pan Akurat Na Czas – zadudnił z kąta golem.

– To praca niezwykle ważna dla miasta, panie Pompa – odparł surowo Moist, czytając kolejny list. – Okazuję praworządność i dbałość o swoje obowiązki.

– Tak, Panie Lipvig.

Wytrzymał tak do dziesięć po szóstej, ponieważ pięciu minut potrzebował, by nonszalanckim spacerem dotrzeć na plac. Z człapiącym z tyłu golemem, będącym czymś zbliżonym do antytezy nonszalancji i spaceru, zostawił Urząd Pocztowy za sobą.

Tłum na placu Sator rozstał się przed nim. Zabrzmiały oklaski, a tu i tam śmiechy, kiedy ludzie zobaczyli miotłę na jego ramieniu. Była pomalowana w gwiazdki, więc musiała być magiczna. Na takich wierzeniach buduje się fortuny.

Gra w trzy karty... W pewnym sensie była to cała gałąź wiedzy. Oczywiście pomagało, jeśli człowiek nauczył się trzymać te trzy karty w luźno ułożonej talii – to właściwie było kluczem. Moist dobrze tę umiejętność opanował, ale zwykle mechaniczne sztuczki uznawał za trochę nudne i trochę poniżej jego zdolności. Istniały też inne sposoby – sposoby wprowadzania w błąd, odwracania uwagi, budzenia gniewu. Gniew zawsze jest dobry. Rozgniewani ludzie popełniają błędy.

Pośrodku placu zostało trochę miejsca wokół dyliżansu, na którego koźle siedział dumny Jim Rurka. Konie aż lśniły, ściany powozu skrzyły się w blasku pochodni. Ale grupa stojąca wokół skrzyła się stanowczo mniej.

Były tam dwie osoby z Pnia, kilku magów i oczywiście Otto Chriek, ikonografik. Odwrócili się i powitali Moista z twarzami wyrażającymi emocje od ulgi po głęboką podejrzliwość.

– Rozważaliśmy już dyskwalifikację, panie Lipwig – rzekł z surową miną Ridcully.

Moist oddał miotłę panu Pompie.

– Proszę o wybaczenie, nadrektorze – powiedział. – Sprawdzalem projekty nowych znaczków i kompletnie straciłem poczucie czasu. O, dobry wieczór, profesorze Pelc.

Profesor chorobliwej bibliomancji uśmiechnął się szeroko i uniósł słoik.

– Jest też profesor Goitre – oświadczył. – Staruszek uznał, że chętnie zobaczy, o co jest tyle hałasu.

– A to jest pan Pony z Wielkiego Pnia – przedstawił Ridcully.

Moist uściskał mechanikowi rękę.

– Pan Gilt z panem nie przyszedł? – spytał i mrugnął.

– On, tego... Przygląda się ze swojego powozu – odparł Pony, zerkając na Moista nerwowo.

– No więc, skoro obaj panowie już jesteście, pan Stibbons wręczy każdemu z was egzemplarz wiadomości – oznajmił nadrektor. – Panie Stibbons...

Przekazano dwa pakunki. Moist otworzył swój i wybuchnął śmiechem.

– Ale to książka – zaprotestował pan Pony. – Całą noc zajmie nam kodowanie... I te wykresy!

No dobrze, pora zaczynać, pomyślał Moist i przesunął się niczym kobra. Wyjął książkę z ręki zaskoczonego Pony'ego, przejrzał szybko, złapał plik kartek i wyrwał je, słysząc syknięcia gapiów.

– Proszę bardzo, drogi panie – rzekł, oddając kartki. – To jest wasza wiadomość. Strony od 79 do 128. My doręczymy pozostałą część książki, a adresat później dołączy do niej te strony, jeśli dotrą! – Wyczuł, że profesor Pelc patrzy na niego gniewnie, więc dodał szybko: – Jestem pewien, że da się to naprawić bez śladu.

To był głupi gest, ale pełen rozmachu, głośny, śmieszny i okrutny, a jeśli Moist nie potrafiłby zwrócić na siebie uwagi tłumu, to chyba nie byłby sobą. Pan Pony cofnął się, ściskając wyrwany rozdział.

– Nie chodziło mi...

Moist przerwał mu:

– Mamy bardzo duży powóz na taką małą książkę.

– Chodzi o to, że obrazki strasznie długo trzeba kodować... – zaprotestował pan Pony.

Nie był przyzwyczajony do takich reakcji. Maszyny nie odszczekują.

Moist przywołał na twarz wyraz szczerzej troski.

– Tak, to rzeczywiście wydaje się niesprawiedliwe – przyznał. Zwrócił się do Myślaka Stibbonsa. – Nie sądzi pan, że to niesprawiedliwe, panie Stibbons?

Mag był wyraźnie zaskoczony.

– Ale kiedy już je przekodują, potrzeba tylko kilku godzin, żeby przekazać wszystko do Genoi...

– Mimo to będę się upierał – oświadczył Moist. – Nie chcemy nieuczciwej przewagi. Zsiadaj, Jim! – zawołał do woźnicy. – Damy sekarom trochę forów. – Spojrzał na Myślaka i pana Pony'ego z miną sugerującą niewinną chęć niesienia pomocy. – Czy godzina wystarczy, panowie?

W tłumie wybuchło szaleństwo. Bogowie, ależ jestem w tym dobry, pomyślał Moist. Oby ta chwila trwała wiecznie.

– Panie Lipwig! – rozległ się krzyk.

Moist przyjrzał się twarzom i dostrzegł, kto go woła.

– Ach, panna Sacharissa... Ołówek w pogotowiu?

– Poważnie chce nam pan powiedzieć, że zaczeka, aż Wielki Pień przygotuje swój przekaz? – spytała. Śmiała się przy tym.

– Oczywiście – zapewnił Moist, chwytając za klapy swej lśniącej marynarki. – My w Urzędzie Pocztowym jesteśmy ludźmi, którzy lubią uczciwą grę. Może jednak skorzystam z okazji i opowiem o naszym nowym znaczku? Zielony Kapuściany...

– Z pewnością posuwa się pan za daleko, panie Lipwig!

– Aż do samej Genoi, droga pani! Mówiłem, że klej jest o smaku kapusty?

Moist nie zdołałby się teraz powstrzymać, nawet gdyby mu płacili. W takich momentach jego dusza żyła: tańcząc na lawinie, tworząc po drodze własny świat, sięgając ludziom do uszu i zmieniając ich myśli. Po to sprzedawał szkło jako brylanty, po to tańczyły mu w palcach trzy karty, po to stał z uśmiechem przed kasjerami badającymi czeki. Takiego uczucia pragnął, tego nagiego, surowego podniecenia, gdy rozpychał swoją kopertę...

Reacher Gilt sunął przez tłum jak rekin między płótkami. Obrzucił Moista starannie obojętnym wzrokiem, po czym zwrócił się do Pony'ego.

– Czyżby jakieś problemy, panowie? – zapytał. – Robi się późno.

W ciszy zakłócanej tylko chichotami gapiów Pony próbował tłumaczyć, o ile w ogóle jeszcze się orientował w wydarzeniach.

– Rozumiem – powiedział Gilt. – Sprawia panu przyjemność żartowanie z nas, panie Lipwig? Proszę więc pozwolić mi na stwierdzenie, że my w Wielkim Pniu nie będziemy dotknięci, jeśli odjedzie pan natychmiast. Myślę, że możemy darować panu kilka godzin, co?

– Och, z pewnością – odparł Moist. – Jeśli od tego poczuje się pan lepiej...

– W samej rzeczy. Najlepiej będzie, panie Lipwig, jeśli znajdzie się pan bardzo daleko stąd.

Moist dostrzegł jego ton, ponieważ się go spodziewał. Gilt starał się zachowywać rozsądnie, jak mąż stanu, ale jego oko przypominało ciemną metalową kulę, a w głosie zabrzmiała melodyka mordy. A potem powiedział jeszcze:

– Czy pan Groat dobrze się czuje, panie Lipwig? Bardzo się zmartwiłem, kiedy usłyszałem o tym ataku.

– Ataku, panie Gilt? Uderzyła go spadająca belka – zapewnił Moist.

A to pytanie upoważnia do nieokazywania ci absolutnie żadnej łaski...

– Tak? W takim razie zostałem źle poinformowany – odparł Gilt. – Zapamiętam, żeby w przyszłości nie wierzyć plotkom.

– Przekażę panu Groatowi pańskie wyrazy troski.

Gilt uniósł kapelusz.

– Żegnam, panie Lipwig. Życzę szczęścia w tej męskiej próbie! Na drogach zdarzają się niebezpieczni ludzie.

Moist także uchylił czapki.

– Zamierzam bardzo szybko zostawić ich za sobą, panie Gilt.

No i po wszystkim, pomyślał. Powiedzieliśmy to wszystko, a miła dama z „Pulsu” myśli, że jesteśmy kolegami, a przynajmniej tylko rywalami w interesach, chłodno uprzejmymi wobec siebie. Ale popsujemy trochę ten nastrój.

– Do zobaczenia, panie i panowie! – zawołał. – Panie Pompa, zechciej uprzejmie załadować do dylizansu miotłę.

– Miotłę? – Gilt spojrzał ostro. – Tę miotłę? Tę z gwiazdkami? Zabiera pan miotłę?

– Tak. Przyda się, gdybyśmy mieli awarię.

– Protestuję, nadrektorze! – Gilt odwrócił się gwałtownie. – Ten człowiek zamierza polecieć do Genoi!

– Nie mam takich zamiarów! – zapewnił Moist. – Odrzucam samą tę sugestię.

– Czy dlatego jest pan tak pewny siebie? – warknął Gilt.

I to rzeczywiście było warknięcie, właśnie w tej chwili... W postawie Gilta pojawił się niewielki ślad pęknięcia.

Miotła może lecieć tak szybko, że zdmuchnie człowiekowi uszy. Nie trzeba zbyt wielu uszkodzonych wież – a bogowie świadkami, że psują się bez przerwy – by wyprzedzić sekary do Genoi. Zwłaszcza że miotła leci prosto i nie musi podążać wzdłuż wielkiego łuku traktu dylizansów i linii Wielkiego Pnia. Pień musiałby mieć prawdziwego pecha, a osoba lecąca byłaby naprawdę przemarznięta i prawdopodobnie naprawdę martwa, ale miotła może w jeden dzień dotrzeć z Ankh-Morpork do Genoi. A to by mogło wystarczyć.

Twarz Gilta stała się maską radości. Teraz zrozumiał, co zaplanował Moist.

Kulka się toczy, któż odgadnie, gdzie stanie, w którą dziurkę wpadnie...

To tkwi w samym sercu każdego oszustwa czy sztuczki. Klient ma być niepewny, a jeśli już jest pewny, trzeba się postarać, by był pewny tego co nieprawdziwe.

– Żądam, żeby żadna miotła nie trafiła do tego dylizansu! – zwrócił się Gilt do nadrektora.

Nie było to rozsądne posunięcie. Od magów niczego się nie żąda. Można tylko prosić.

– Jeśli pan Lipwig nie jest pewien swojego sprzętu – ciągnął – sugeruję, żeby od razu zrezygnował.

– Będziemy podróżować samotnie po bardzo niebezpiecznych drogach – przypomniał Moist – Miotła może się okazać kluczowa.

– Jednakże zmuszony jestem zgodzić się z tym... dżentelmenem – wtrącił Ridcully z pewnym niesmakiem. – To nie będzie dobrze wyglądać, panie Lipwig.

Moist rozłożył ręce.

– Jak pan sobie życzy, nadrektorze, oczywiście. To poważny cios. Czy mogę jednak prosić o sprawiedliwie traktowanie?

– To znaczy? – zdziwił się mag.

– Przy każdej wieży czeka koń, który będzie wykorzystany w razie awarii – stwierdził Moist.

– To normalna praktyka – burknął Gilt.

– Tylko w górach – odparł spokojnie Moist. – A nawet tam tylko w najbardziej oddalonych wieżach. Ale dzisiaj, jak podejrzewam, konie czekają przy wszystkich. To sztafeta kucyków, Pony Express, za przeproszeniem pana Pony’ego. Mogą łatwo wyprzedzić nasz dyliżans, nie wysyłając ani słowa w kodzie.

– Nie sugeruje pan chyba, że przez całą drogę przeniesiemy tę wiadomość konno – oburzył się Gilt.

– Pan sugerował, że polecę... Jeśli pan Gilt nie jest pewien swojego sprzętu, może zrezygnuje od razu?

Wreszcie! Przez twarz Gilta przebiegł cień. Gilt był już bardziej niż zirytowany – przepłynął na spokojne, krystaliczne wody skrajnej, wewnętrznej furii.

– Zgódźmy się zatem, że nie jest to próba koni przeciw miotle – zaproponował Moist. – To dyliżans przeciw wieżom sekarowym. Jeśli powóz się zepsuje, naprawiamy powóz. Jeśli wieża ma awarię, naprawiacie wieżę.

– Przyznaję, że to brzmi rozsądnie – uznał Ridcully. – A więc tak zarządzam. Jednakże muszę poprosić pana Lipwiga na stronę, by przekazać ostrzeżenie.

Nadrektor objął Moista za ramiona, odprowadził za powóz i pochylił się, aż ich twarze znalazły się o kilka cali od siebie.

– Zdaje pan sobie sprawę, prawda, że wymalowanie paru gwiazdek na całkiem zwyczajnej miotle nie znaczy jeszcze, że zacznie latać? – zapytał.

Moist spojrzał w jasnyniebieskie oczy, niewinne jak u dziecka – zwłaszcza u dziecka, które bardzo się stara wyglądać niewinnie.

– Wielkie nieba... Naprawdę nie? – zapytał.

Mag poklepał go po ramieniu.

– Myślę, że lepiej zostawimy tę kwestię – oświadczył z satysfakcją.

Gilt uśmiechał się, gdy Moist wrócił na miejsce.

To było zbyt kuszące, by Moist zdołał się powstrzymać, więc nie próbował. Podnieś stawkę. Kuś los, bo nikt inny nie skusi go za ciebie.

– Ma pan ochotę na taki prywatny zakład, panie Gilt? – zaproponował. – Ot, żeby wyścig był... ciekawszy?

Gilt przyjął to spokojnie – dla kogoś, kto nie potrafi odczytać ludzkich reakcji, tych drobnych sygnałów...

– Ależ panie Lipwig, czyżby bogowie pochwalali hazard? – spytał i zaśmiał się krótko.

– Czymże jest życie, jeśli nie loterią, panie Gilt? – odparł Moist. – Powiedzmy... sto tysięcy dolarów?

To okazało się ostatnią kroplą, przepełniło czarę. Widział, jak w Reacherze Gilcie coś pękło.

– Sto tysięcy? A niby jak złapiesz w ręce takie pieniądze, Lipwig?

– Och, po prostu składam je razem, panie Gilt. Chyba wszyscy o tym wiedzą – odparł Moist, budząc powszechną wesołość. Rzucił prezesowi Pnia swój najbardziej bezczelny uśmiech. – A co pan zrobi, jak dostanie w ręce te sto tysięcy?

– Ha! Przyjmuję zakład! Zobaczymy, kto jutro będzie się śmiał! – zawołał Gilt.

I teraz trzymam cię w ręku, pomyślał. Mam cię w ręku. Jesteś wściekły. Podejmujesz błędne decyzje. Spacerujesz po desce! Wspiął się na dach dylizansu i zwrócił do tłumu.

– Genoa, panie i panowie! Genoa albo upadek!

– Czyjś na pewno! – wrzasnął jakiś żartowniś.

Moist skłonił głowę, a gdy się wyprostował, zobaczył twarz Adory Belle Dearheart.

– Wyjdzie pani za mnie, panno Dearheart?! – krzyknął.

– Ooch! – zabrzmiało w tłumie.

Sacharissa odwróciła głowę jak kot szukający następnej myszy. Co za szkoda, że azeta ma tylko jedną pierwszą stronę... Panna Dearheart wypuściła kółko z dymu.

– Jeszcze nie – odpowiedziała spokojnie.

Zyskało to burzę oklasków i gwizdów. Moist pomachał ręką i zeskoczył na kozioł obok woźnicy.

– Ruszaj, Jim – powiedział.

Jim dla lepszego efektu strzelił z bata i dylizans potoczył się wśród radosnych okrzyków. Moist obejrzał się jeszcze i zobaczył, jak pan Pony przeciska się przez tłum w stronę wieży na Tumpie. Potem usiadł spokojnie i w świetle lamp dylizansu przyglądał się ulicom.

Może to złoto wnikało w niego od zewnątrz? Czuł, że coś go wypełnia niczym mgłą. Kiedy poruszył ręką, był pewien, że zostawia w powietrzu ślad złocistego pyłu. Wciąż miał wrażenie, że leci.

– Jim, czy ja wyglądam normalnie? – zapytał.

– W tym świetle niezbyt wyraźnie pana widzę – odparł woźnica. – Mogę o coś spytać?

– Jasne, pytaj.

– Dlaczego dał pan tym draniom tylko środkowe strony?

– Z dwóch powodów, Jim. Dzięki temu my dobrze wyglądamy, a oni wychodzą na płaczliwe dzieciaki. A po drugie, to kawałek ze wszystkimi kolorowymi ilustracjami. Słyszałem, że zakodowanie ich trwa wieki.

– Taki pan ostry, że sam pan się skaleczy, panie Lipwig. Co? Jak demony!

– Jedź jak błyskawica, Jim!

– Och, wiem, jak dać im przedstawienie, panie Lipwig, może mi pan wierzyć! Heja!

Bat strzelił znowu, a stukot podków odbijał się echem od ścian budynków.

– Sześć koni? – spytał Moist, kiedy pędzili Broad-Wayem.

– Tak jest. Też mogę być sławny, przy okazji – odparł woźnica.

– Zwolnij trochę, kiedy dojedziesz do starej wieży maga, co? Tam wyskoczę. Zabrałeś ochronę?

– Mam czterech, panie Lipwig – odparł Jim. – Kryją się w środku. To ludzie o nieposzlakowanej reputacji i prawości. Znam ich jeszcze z czasów, kiedy byliśmy chłopakami. Harry Żarłok, Czaszkołam Tapp, Poważne Uszkodzenie Ciałsworth i Joe Tozer Beznosy. To kumple, panie Lipwig, nie ma obawy, i już się cieszą na wakacje w Genoi.

– Jasne! Wszyscy mamy nasze wiaderka i łopatki – odezwał się chrapliwy głos z wnętrza dylizansu.

– Wołę mieć ich niż tuzin strażników – zapewnił z satysfakcją Jim.

Dylizans turkotał, mijając przedmieścia. Droga pod kołami stała się bardziej wyboista, ale powóz tylko się kołysał i tańczył na stalowych resorach.

– Kiedy już mnie wyrzucisz, możesz trochę przyhamować, Jim. Nie warto się spieszyć – rzekł po chwili Moist.

W blasku latarni dylizansu Moist zobaczył, jak czerwona twarz Jima rozjaśnia się przebiegłością.

– To jest pański plan, co?

– Znakomity plan, Jim – zapewnił Moist.

I muszę dopilnować, żeby się nie udał.

* * *

Światła powozu zniknęły, a Moist został sam w chłodnej ciemności. W oddali lekko lśniące dymy Ankh-Morpork tworzyły wielką, rozmytą chmurę w kształcie grzyba, która przesłaniała gwiazdy. Coś szeleściło w krzakach, a wietrzyk niósł od nieskończonych pól zapach kapusty.

Moist odczekał, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Pojawiła się wieża – kolumna ciemności bez gwiazd. Musiał tylko przedostać się przez gęste kolczaste zarośla w pełnym korzeni lasku...

Krzyknął jak sowa. Ponieważ nie był ornitologiem, brzmiało to: „Uhu-uhu!”.

Las eksplodował pohukiwaniem sów, tyle że były to sowy mające gniazda w starej magicznej wieży, która w jeden dzień doprowadzała do oblędu. Na nie wywierała nie tak oczywisty wpływ, jednakże wydawane dźwięki przypominały wszystkie możliwe wołania każdej żywej, a nawet umierającej istoty. Moist wyraźnie usłyszał słońia, prawdopodobnie hienę i sugestię sprężyn łóżka.

Kiedy hałas ucichł, tuż obok Moista w ciemności ktoś powiedział:

– W porządku. To ja, Adrian. Łap mnie za rękę i chodźmy, zanim tamci znów się pokłócą.

– Pokłóć? O co?

– Doprowadzają się nawzajem do szału! Czujesz ten sznur? Trzymasz go? Dobra, możesz iść szybko. Wyszukaliśmy ścieżkę i rozciągnęliśmy poręcz...

Szli szybko między drzewami. Trzeba było znaleźć się całkiem blisko wieży, żeby zauważyć słaby poblask w zrujnowanym otworze po drzwiach u podstawy. Niezdecydowany Adrian umocował kilka swoich zimnych świateł na wewnętrznej stronie muru. Kamienie poruszały się Moistowi pod stopami, kiedy wspinał się na szczyt – nie zwracał na nie uwagi, ale pędził po spiralnych schodach tak prędko, że okręcił się jeszcze, kiedy był już na górze. Szalony Al złapał go za ramiona.

– Nie ma pośpiechu – uspokoił. – Mamy jeszcze dziesięć minut.

– A bylibyśmy gotowi dwadzieścia minut temu, gdyby ktoś nie zgubił młotka – mruknął Normalny Alex, naciągając linę.

– Schowałem go przecież do skrzynki z narzędziami! – oburzył się Szalony Al.

– W szufladzie na klucze!

– I co?

– Kto przy zdrowych zmysłach szukałby młotka w miejscu na klucze?

W dole znów odezwały się sowy.

– Słuchajcie – powiedział szybko Moist. – To nieważne, prawda? Nie w tej chwili!

– Ten człowiek jest szalony! – oświadczył Normalny Alex, wskazując oskarżycielsko kluczem.

– Nie tak szalony jak ktoś, kto wszystkie swoje śrubki trzyma poukładane według rozmiarów w słoikach po dżemie! – odparł Szalony Al.

– To się zalicza do normalności – oświadczył wzburzony Alex.

– Wszyscy wiedzą, że grzebanie w nich to połowa zabawy! Poza tym...

– Gotowe – oznajmił Niezdecydowany Adrian.

Moist uniósł głowę. Maszyna sekarowa Gnu wznosiła się w noc, tak jak wcześniej na dachu Urzędu Pocztowego. Poza nią, od strony miasta, jeszcze wyżej wznosiła się konstrukcja w kształcie litery H. Była trochę podobna do okrętowego masztu, być może z powodu lin, które ją podtrzymywały. Grzechotały lekko w słabym wietrze.

– Musiałeś kogoś zdenerwować – ciągnął Adrian, gdy dwaj pozostali trochę się uspokoili.

– Dwadzieścia minut temu przesłali wiadomość od samego Gilta. Mówił, że ta główna pójdzie po dupleksie, należy dołożyć wszelkich starań, by w niczym jej nie zmienić, że nie będzie żadnego ruchu, dopóki on nie wyda polecenia restartu. I że osobiście wyrzuci całą załogę każdej wieży, która nie będzie ściśle przestrzegać tych instrukcji.

– To tylko pokazuje, jak Wielki Pień dba o ludzi... – mruknął Moist.

Niezdecydowany Adrian i Szalony Al przeszli do wielkiej ramy i zaczęli odwiązywać liny z zaczepów.

No dobrze, uznał Moist. Do roboty...

– Jest jedna zmiana w planie – powiedział i nabrał tchu. – Nie posyłamy Dziecioła.

– Jak to? – zdumiony Adrian wypuścił swoją linę. – Przecież taki był plan!

– To by zniszczyło Pień.

– No tak, to właśnie zaplanowaliśmy – przypomniał Al. – Gilt tak jakby wymalował sobie na portkach „kopnij mnie”! Przecież Pień się sypie sam z siebie. To od początku miał być tylko eksperyment. Możemy go odbudować lepszy i szybszy!

– Jak? – zapytał Moist. – Skąd się wezmą pieniądze? A ja znam sposób zniszczenia kompanii, ale pozostawienia wież. Ukradziono je Dearheartowi i jego partnerom. Mogę je zwrócić! Ale jedyny sposób, by zbudować lepszą linię wież, to zostawić stare nienaruszone. Pień musi zarabiać!

– Coś takiego powiedziała by Gilt! – warknął Al.

– Bo to prawda! Alex, ty jesteś normalny, wytłumacz mu! Trzeba utrzymać działający Pień, wymieniać po jednej wieży, nie stracić żadnego kodu! – Machnął ręką w stronę ciemności. – Ci ludzie w wieżach chcieliby być dumni z tego, co robią. Tak? To ciężka praca, za którą marnie im płacą, ale oni i tak żyją dla przerzucania kodu. Tak? Firma ich wykorzystuje, każe harować nad siły, a oni nadal przerzucają kod!

Adrian szarpnął za linę.

– Hej, płótno się zacięło! – oznajmił, zwracając się ogólnie do wieży. – Musiało o coś zaczepić, kiedy je zwijaliśmy...

– Och, jestem pewien, że Dziecioł będzie skuteczny. – Moist brnął dalej. – Może nawet uszkodzić dostatecznie wiele wież na czas dostatecznie długi. Ale Gilt wykręci się ze wszystkiego! Nie rozumiecie? Będzie krzyczał o sabotażu!

– Co z tego? – spytał Szalony Al. – W ciągu godziny zapakujemy to wszystko na wóz i nikt się nie dowie, że tu byliśmy.

– Wejdę tam i spróbuję je uwolnić, co? – zaproponował Niezdecydowany Adrian, szarpiąc za płótno.

– Powiedziałem, że to się nie uda. – Moist machnął na niego ręką. – Słuchaj pan, panie Al, tej sprawy nie da się załatwić ogniem. Trzeba ją załatwić słowami. Powiemy światu, co się stało z Pniem.

– Rozmawiałeś o tym z Zabójcą? – spytał Alex.

– Tak – odarł Moist.

– Niczego nie udowodnisz – ciągnął Alex. – Słyszeliśmy, że wszystko było legalne.

– Wątpię. Ale to nie ma znaczenia. Niczego nie muszę udowadniać. Powiedziałem, tu chodzi o słowa. Można je zniekształcić, można tkać je w ludzkich głowach, żeby myśleli tak, jak chcemy, żeby myśleli. Poślemy własną wiadomość i wiecie co? Chłopcy w wieżach będą chcieli ją przekazać, a kiedy ludzie ją poznają, będą chcieli w nią uwierzyć, ponieważ będą chcieli żyć w świecie, w którym to jest prawdą. To moje słowa przeciwko słowom Gilta, ale

ja jestem w tym lepszy od niego. Mogę go załatwić jednym zdaniem, panie Szalony, i zostawić wszystkie wieże na miejscu. I nikt nigdy się nie dowie, jak to się stało...

Za nimi zabrzmiał krótki krzyk i szelest rozwijającej się szybko tkaniny.

– Zaufajcie mi – poprosił Moist.

– Nigdy nie będziemy mieli takiej szansy – odparł Szalony Al.

– No właśnie!

– Na każde trzy działające wieże zginął jeden człowiek – powiedział Szalony Al. – Wiedziałeś o tym?

– Wiesz, że nie umrą naprawdę, dopóki żyje Pień – stwierdził Moist. Strzelił na ślepo, ale chyba trafił. Czuł to. Nie zwalniał więc. – On żyje, dopóki przerzucany jest kod, a oni żyją razem z nim, zawsze Wracając do Domu. Chcesz to zatrzymać? Nie możesz! A ja nie chcę! Ale mogę zatrzymać Gilta! Zaufajcie mi!

Płótno wisiało jak wielki żagiel, całkiem jakby ktoś zamierzał odpłynąć wieżą. Miało osiemdziesiąt stóp wysokości i trzydzieści szerokości. Poruszało się lekko na wietrze.

– Gdzie Adrian? – spytał Moist.

Popatrzyli na żagiel. Podbiegli do krawędzi wieży. Spojrzeli w ciemność na dole.

– Adrian? – odezwał się niepewnie Szalony Al.

– Tak? – odpowiedział mu głos z dołu.

– Co tam robisz?

– Wiecie, no... Tak się objam... A sowa wylądowała mi na głowie.

Coś się rozdarło obok Moista – to Normalny Alex wyciął w płótnie otwór.

– Idzie! – wykrzyknął.

– Co idzie? – zapytał Moist.

– Wiadomość! Nadają z wieży 2! Popatrz!

Alex się odsunął, a Moist wyjrzał przez szczelinę na miasto. W oddali migotała wieża.

Szalony Al podszedł do zmniejszonej o połowę tablicy przesłon i chwycił dźwignie.

– No dobrze, panie Lipwig, posłuchajmy pańskiego planu – rzekł. – Alex, pomóż mi, co? Adrian ty... no, trzymaj się, dobra?

– Próbuje wcisnąć mi martwą mysz do ucha – poskarżył się głos z dołu.

Moist zamknął oczy, uporządkował myśli, które od wielu godzin brzęczały mu w głowie, i zaczął mówić.

Z tyłu i nad nim wielka płachta materiału akurat wystarczała, by zablokować wzajemną obserwację dwóch odległych wież. O połowę mniejsza wieża Dymiącego Gnu miała akurat właściwy rozmiar, by z następnej w linii wyglądać jak normalna, lecz stojąca o wiele dalej. A nocą widać tylko światła...

Sekary przed nim dygotały w rytmie grzechotu przesłon. W niebo pomknęła nowa wiadomość.

Składała się zaledwie z kilkuset słów. Kiedy Moist skończył, sekary wystukały ostatnie kilka liter i zamilkły.

– Prześlą ją dalej? – zapytał Moist.

– O tak – zapewnił głuchym głosem Szalony Al. – Prześlą... Siedzisz gdzieś w górach i nagle dostajesz taki sygnał? Poślesz go dalej, żeby jak najszybciej pozbyć się go z wieży.

– Nie wiem, czy powinniśmy uścisnąć ci dłoń, czy zepchnąć cię z muru – stwierdził pośpiesznie Normalny Alex. – To było złe.

– Jaki człowiek mógłby coś takiego wymyślić? – dodał Szalony Al.

– Ja. A teraz wyciągnijmy Adriana, dobrze? – zaproponował Moist pośpiesznie. – A potem lepiej wróć do miasta...

* * *

Omniskop to jeden z najpotężniejszych aparatów znanych magii, a zatem i jeden z najmniej użytecznych.

Może zobaczyć wszystko, i to bez trudu. Zmuszenie go do zobaczenia czegoś to właśnie kwestia, która wymaga cudów. Jest tak dużo Wszystkiego – to znaczy wszystkiego, co może istnieć, będzie istnieć, istniało czy powinno zaistnieć we wszystkich możliwych wszechświatach – że cokolwiek, dowolny wcześniej wskazany obiekt, jest straszliwie trudny do znalezienia. Zanim Hex wyewoluował thaumarytmy kontrolne, wykonując w jeden dzień pracę, która pięciuset magom zajęłaby co najmniej dziesięć lat, omniskopów używano głównie jako luster, ze względu na ukazywaną przez nie piękną czerń. To dlatego, jak się okazało, że „nic od oglądania” jest podstawowym składnikiem większej części wszechświata; wielu magów przycinało sobie brody, wpatrując się w ciemne serce kosmosu.

Istnieją bardzo nieliczne sterowalne omniskopy. Ich produkcja wymaga długiego czasu i bardzo dużo kosztują. A magowie nie palili się do budowy kolejnych. Omniskopy były dla nich, żeby mogli podglądać wszechświat, nie dla wszechświata, żeby ich mógł podglądać.

Poza tym magom nie zależało na ułatwianiu ludziom życia – a przynajmniej tym ludziom, którzy nie są magami. Omniskop był więc przedmiotem rzadkim, delikatnym i cennym.

Dziś jednak nadarzyła się okazja wyjątkowa, więc magowie szeroko otworzyli drzwi przed bogatszą, czystsza i bardziej higieniczną częścią społeczeństwa Ankh-Morpork. Na długim stole nakryto do Drugiej Herbatki. Nic ekstrawaganckiego – parę tuzinów piezzonego drobiu, parę sztuk łososa na zimno, sto stóp bieżących baru sałatkowego, sterta bochenków, jeden czy dwa antałki piwa oraz oczywiście pociąg z sosami, marynatami i przyprawami, gdyż jednego wózka nie uznawano za wystarczający. Ludzie nakładali sobie na talerze, stali w grupkach i rozmawiali, ale przede wszystkim Byli Tu. Moist wśliznął się chwilowo niezauważony, ponieważ wszyscy wpatrywali się w największy uniwersytecki omniskop.

Nadrektor Ridcully stuknął pięścią w bok aparatu, aż omniskop się zakołysał.

– Ciągłe nie działa, panie Stibbons! – ryknął. – Znowu mamy to wielkie ogniste oko!

– Jestem pewien, że wprowadziłem poprawne... – zaczął Myślak majstrujący przy czymś z tyłu wielkiego dysku.

– To ja, nadrektorze, Krętacz Collabone – zabrzmiał głos z omniskopu. Ogniste oko zniknęło, a pojawił się gigantyczny czerwony nos. – Jestem tutaj, w wieży terminalu w Genoi. Przepraszam za to zaczerwienienie, nadrektorze, ale nabawiłem się alergii na wodorosty.

– Witam, panie Collabone! – wrzasnął Ridcully. – Jak się pan czuje? Jak idą badania...

– ...nad mięczakami – mruknął Myślak Stibbons.

– ...nad mięczakami?

– Właściwie to niezbyt dobrze, nadrektorze. Nabawiłem się przykrej...

– Dobrze, brawo. Masz szczęście, młody człowieku! – krzyczał Ridcully. Zwinął dłonie przy ustach, żeby zwiększyć głośność. – O tej porze roku sam chętnie posiedziałbym w Genoi! Słońce, morze, fale i piasek, co?

– Prawdę mówiąc, mamy tu porę deszczową i trochę mnie martwią te grzyby, które rosną na omni...

– Cudownie! – huknął Ridcully. – Ale nie mogę całego dnia tracić na pogaduszki! Czy coś dotarło? Nie możemy się doczekać!

– Panie Collabone, czy mógłby się pan trochę cofnąć? – poprosił Myślak. – A pan nie musi tak... głośno mówić, nadrektorze.

– Ten chłopak jest bardzo daleko stąd, człowieku!

– Nie tak dokładnie, nadrektorze – odparł Myślak z dobrze wyćwiczoną cierpliwością. – Dobrze, panie Collabone, możemy kontynuować.

Tłum za plecami nadrektora zbliżył się do omniskopu. Pan Collabone odstąpił. Trochę tego było za wiele dla człowieka, który przez całe dni mógł rozmawiać tylko z małżami.

– Dostałem wiadomość sekarową, nadrektorze, ale... – zaczął.

– Nic z Urzędu Poczтового?

– Nie, nadrektorze. Nic.

Zabrzmiały brawa, krzyki rozczarowania i śmiechy. Ze swojego kąta Moist widział Vetinariego stojącego przy nadrektorze. Rozejrzał się jeszcze i zauważył Reachera Gilta stojącego trochę z boku i – co dziwne – całkiem bez uśmiechu. A Gilt go zauważył.

Jedno spojrzenie wystarczyło – Gilt nie był pewien. Nie do końca.

Witamy w świecie strachu, pomyślał Moist. To jak nadzieja, tylko przewrócona na drugą stronę. Wiesz, że nie mogło się nie udać, jesteś pewien, że nie mogło...

Ale jednak...

Mam cię!

Krętacz Collabone odchrząknął.

– Ehm, ale nie wydaje mi się, żeby to była wiadomość, którą wysłał nadrektor Ridcully – powiedział piskliwym ze zdenerwowania głosem.

– Skąd taka myśl, człowieku?

– Bo jest w niej napisane, że nie jest. – Collabone zająknął się. – Jest napisane, że pochodzi od martwych ludzi...

Ridcully nie zrozumiał.

– Znaczy, to jakaś stara wiadomość?

– Ehm... No nie, nadrektorze. Może lepiej ją przeczytam, dobrze? Chce pan, żebym przeczytał?

– O to przecież chodzi, człowieku!

W wielkim szklanym dysku Collabone odkaszlnął lekko.

– „Kto zechce wysłuchać umarłych? My, którzy zginęliśmy, by słowa mogły polecieć, domagamy się teraz sprawiedliwości. Oto są zbrodnie rady nadzorczej Wielkiego Pnia: kradzież, malwersacja, złamanie danego słowa, morderstwo korporacyjne...”.

Rozdział czternasty

Doręczenie

Lord Vetinari prosi o ciszę – Przyjazd pana Lipwiga – Pan Pompa odchodzi – Nie oszukujesz nikogo prócz siebie – Ptak – Concludium – Wolność wyboru

W Wielkim Holu wybuchło zamieszanie. Większość magów skorzystała z okazji, by zgromadzić się przy opuszczonym w tej chwili bufecie. Jeśli jest coś, czego magowie naprawdę nienawidzą, to sytuacji, kiedy osoba przed nimi zastanawia się nad coleslawem. To jest bar sałatkowy, mówią, a to jest takie coś, co zwykle się znajduje w barze sałatkowym, gdyby nie, to nie byłby bar sałatkowy, nie przyszedłeś tu, żeby na to patrzeć. Czego się spodziewałeś? Pieczeni z nosorożca? Marynowanej latimerii?

Wykładowca run współczesnych dołożył sobie kawałków bekonu; wcześniej umiejętnie skonstruował przypory z selera i przedpiersie z kapusty, pięciokrotnie zwiększając głębokość miseczki.

– Czy któryś z was, koledzy, rozumie, o co tu chodzi? – zapytał, wznosząc głos ponad panujący gwar. – Wygląda na to, że wielu ludzi się zdenerwowało.

– To sprawa z sekarami – wyjaśnił kierownik studiów nieokreślonych. – Nigdy im nie ufałem. Biedny Collabone. Porządny chłopak na swój sposób. Dobrze sobie radził z trąbikami. A teraz chyba ma kłopoty...

To były poważne kłopoty. Po drugiej stronie szkła Krętacz Collabone otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Przed nim Mustrum Ridcully aż poczerwieniał z gniewu, swojego sprawdzonego i przetestowanego podejścia do większości problemów.

– ...przepraszam, nadrektorze, ale tak mam tu napisane i sam pan kazał mi przeczytać – tłumaczył się Collabone. – To się ciągnie i ciągnie...

– I to właśnie dali ci sekarowcy? – zapytał Ridcully. – Jesteś pewien?

– Tak, proszę pana. Dziwnie na mnie patrzyli, rzeczywiście, ale to na pewno wiadomość od nich. Dlaczego miałbym coś wymyślać, nadrektorze? Większość czasu spędzam w akwarium. Samotny w nudnym, straszliwie nudnym akwarium...

– Ani słowa więcej! – wrzasnął Greenyham. – Zakazuje!

Stojący obok Nutmeg prychnął swoim drinkiem na kilkoro ociekających gości.

– Słucham? Pan czegoś zakazuje? – Ogarnięty furia Ridcully stanął przed Greenyhamem.

– Drogi panie, ja rządzę na tej uczelni! I nikt nie będzie mi mówił, co mam robić na moim uniwersytecie! Jeśli jest tu coś do zakazywania, mój panie, to tylko ja mogę tego zakazać! Dziękuję! Mów dalej, Collabone!

– Eee... eee... eee... – jękał się Collabone, marząc o śmierci.

– Powiedziałem: dalej, mój chłopcze!

– Ehm... tak. „Nie liczyło się bezpieczeństwo. Nie liczyła się duma. Liczyły się tylko pieniądze. Wszystko było pieniędzmi i pieniądze były wszystkim. Pieniądze traktowały nas jak rzeczy i ginęliśmy...”.

– Czy tutaj nie obowiązuje prawo? To obrzydliwe oszczerstwo! – krzyknął Stowley. – To jakaś sztuczka!

– A niby czyja, mój panie?! – ryknął nadrektor. – Czyżby pan sugerował, że pan Collabone, młody mag niezwykłej uczciwości, który, muszę dodać, wykonuje znakomitą robotę wśród węży...

– ...małży – mruknął Myślak Stibbons.

– ...wśród małży, teraz robi sobie z nas jakieś żarty? Jak pan śmie! Proszę dalej, panie Collabone!

– Ja...ja...ja...

– To rozkaz, doktorze* Collabone!

– No... „Krew jest smarem maszynierii Wielkiego Pnia, gdy pracowici, lojalni ludzie płacą życiem za karygodną głupotę rady...”.

Gwar podniósł się znowu. Moist zauważył, że lord Vetinari przesuwając wzrokiem po sali... Nie zdążył uskoczyć na czas. Spojrzenie Patrycjusza przeszło przez niego i sunęło dalej. Jedynie brew uniosła się pytająco. Moist odwrócił głowę, poszukał Gilta...

Nie było go.

Nos Collabone'a w omniskopie jarzył się teraz jak latarnia. Młody człowiek jękał się, upuszczał kartki, gubił linijki, ale brnął dalej z determinacją i uporem kogoś, kto potrafi spędzić cały dzień na obserwacji jednej ostrygi.

– ...to próba oczernienia nas wobec całego miasta! – protestował Stowley.

– „...nieświadomi ceny, jaką płacą. Co możemy powiedzieć o ludziach, którzy do tego doprowadzili, którzy siedzieli wygodnie wokół stołu i nas zabijali? To...”.

– Pozwę uniwersytet! Pozwę uniwersytet! – wrzasnął Greenyham.

Cisnął krzesłem w omniskop. W połowie drogi krzesło zmieniło się w niewielkie stadko gołębic, które w panice wleciały pod dach.

* Nadrektor Ridcully był wielkim entuzjastą odwetu poprzez awans. Nie mógł pozwolić, żeby jacyś cywile krytykowali kogoś z jego magów. To był jego obowiązek.

– Och, proszę, niech pan pozwie uniwersytet! – huknął Ridcully. – Mamy tu sadzawkę pełną ludzi, którzy chcieli pozywać uniwersytet...

– Cisza – powiedział Vetinari.

Słowo nie zabrzmiało głośno, ale wywarło taki efekt, jak kropla czarnego tuszu w szklance czystej wody. Rozprzestrzeniało swoje wici i smugi, docierało wszędzie i tłumilo hałas.

Oczywiście zawsze znajdzie się ktoś, kto nie uważa.

– A poza tym... – ciągnął Stowley, nieświadom zapadającej ciszy i zamknięty we własnym świecie świętego oburzenia – ...jest całkiem oczywiste, że...

– Prosiłem o ciszę – poinformował Vetinari.

Stowley urwał, rozejrzał się i oklapł. Zapanowało milczenie.

– Bardzo dobrze – rzekł niegłośno Patrycjusz.

Skinął na komendanta Vimesa ze Straży Miejskiej, który szepnął kilka słów innemu strażnikowi, a ten precyzyjnie się między gośćmi do drzwi.

Vetinari zwrócił się do Ridcully'ego.

– Nadrektorze, będę wdzięczny, jeśli poleci pan swojemu studentowi kontynuować... – powiedział tym samym spokojnym tonem.

– Oczywiście. Proszę dalej, profesorze Collabone! Kiedy pan będzie gotów!

– Eee, eee, eee, ehm... Dalej jest napisane: „Ci ludzie przejęli kontrolę nad Pniem drogą podstępu znanego jako Podwójna Dźwignia, ogólnie, wykorzystując pieniądze powierzone im przez klientów, którzy nie podejrzewali...”.

– Przestań to czytać! – krzyknął Greenyham. – To śmieszne! To oszczerstwo na oszczerstwie!

– Jestem pewien, że coś mówiłem, panie Greenyham – powiedział Vetinari.

Greenyham zamilkł.

– Dobrze. Bardzo dziękuję – rzekł Vetinari. – Otóż są to bardzo poważne oskarżenia. Malwersacja? Morderstwo? Jestem przekonany, że pan... to znaczy, przepraszam, profesor Collabone jest człowiekiem godnym zaufania... – W omniskopie Krętacz Collabone, najmłodszy profesor Niewidocznego Uniwersytetu, energicznie pokiwał głową. – ...który czyta jedynie to, co mu doręczono. Wydaje się zatem, że oskarżenia te mają źródło w pańskiej firmie, panie Greenyham. Ciężkie zarzuty, panie Greenyham. Postawione w obecności wszystkich tych osób. Sugeruje pan, że mam je potraktować jak jakiś figiel? Miasto patrzy, panie Greenyham. Och, Stowley chyba źle się czuje.

– To nie jest właściwe miejsce do... – spróbował Greenyham, zdając sobie sprawę z trzasku pękającego lodu.

– To idealne miejsce – zapewnił Patrycjusz. – Jest publiczne. W tych okolicznościach, biorąc pod uwagę naturę zarzutów, jestem pewien, że wszyscy oczekują ode mnie, bym dotarł do sedna oskarżeń, choćby po to, by wykazać, że są całkowicie bezpodstawne.

Rozejrzał się. Zabrział chór potwierdzeń. Nawet górne warstwy lubią przedstawienia.

– Co pan na to, panie Greenyham? – spytał Vetinari.

Greenyham milczał. Pęknięcia sięgały coraz dalej, lód łamał się ze wszystkich stron.

– Doskonale – rzekł Patrycjusz. Zwrócił się do stojącego obok człowieka. – Komendancie Vimes, zechce pan wysłać ludzi do biur Kompanii Wielkiego Pnia, Spółki Cywilnej Ankh-Sto, Aktywów Równin Sto, Ankh Przyszłości, a zwłaszcza do siedziby Handlowego Banku Kredytowego Ankh-Morpork. Poinformuje pan dyrektora, pana Cheeseborough, że bank zostaje zamknięty w celu przeprowadzenia audytu i że chciałbym spotkać się z panem dyrektorem w moim biurze przy najbliższej możliwej okazji. Dowolna osoba w każdym z tych biur, która choćby przesunie jakiś papier, zanim pojawią się moi urzędnicy, zostanie aresztowana i oskarżona o współudział w każdym lub wszystkich przestępstwach, jakie mogą być odkryte. A przez ten czas nikt związany z Kompanią Wielkiego Pnia ani nikt z ich pracowników nie ma prawa opuszczać tego pomieszczenia.

– Nie może pan tego zrobić! – zaprotestował słabym głosem Greenyham, ale najwyraźniej ogień wzburzenia już w nim przygasł.

Pan Stowley osunął się na podłogę i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie mogę? – zdziwił się Vetinari. – Jestem tyranem. To moja praca.

– Co się dzieje? Gdzie ja jestem? – jęczał Stowley, który uważał, że warto jak najszybciej położyć odpowiedni fundament.

– Przecież nie ma żadnych dowodów! Ten mag kłamie! Kogoś musieli przekupić! – przekonywał Greenyham. Lody całkiem popękały, a on znalazł się na krze razem z wielkim i głodnym morsem.

– Panie Greenyham – rzekł Vetinari. – Jeszcze jeden taki nieproszony wybuch z pańskiej strony, a trafi pan do aresztu. Czy to jasne?

– Pod jakim zarzutem? – zapytał Greenyham; zdołał jakoś przywołać ostatnie rezerwy wyniosłości.

– Nie muszę stawiać żadnego. – Szata Patrycjusza zafalowała jak skraj ciemności, gdy Vetinari odwrócił się znowu do omniskopu i Krętacza Collabone'a, który mimo dwóch tysięcy mil nagle nie czuł się wystarczająco oddalony. – Proszę dalej, profesorze. Nikt nie będzie już panu przerywał.

Moist obserwował zebranych, gdy Collabone zaciął się i mylił przy czytaniu reszty wiadomości. Mówiła raczej o sprawach ogólnych niż konkretach, ale wymieniała daty, nazwiska i grzmiące potępienia. Nie było tam nic nowego, naprawdę nowego, ale wszystko było opakowane w odpowiedni język i dostarczone przez umarłych.

„My, którzy zginęliśmy na ciemnych wieżach, domagamy się tego od was...”.

Powinien się wstydzić.

Co innego, kiedy wkłada się słowa w usta bogów. Kapłani robią to bez przerwy. Ale to już o krok za daleko. Trzeba być prawdziwym draniem, żeby coś takiego wymyślić.

Odpreżył się trochę. Szanowany, uczciwy obywatel nie sięgnąłby do tak niskich sztuczek, lecz przecież nie dlatego dostał tę posadę, że był szanowanym i uczciwym obywatelem. Pewne zadania wymagają porządnego młotka, inne – pokręconego korkociągu.

Przy odrobinie szczęścia mógłby naprawę w to uwierzyć, gdyby się postarał.

* * *

Spadł wczesny śnieg i jodły wokół wieży 181 jarzyły się bielą w ostrym, jasnym świetle gwiazd.

Dziś wieczorem byli tu wszyscy – Dziadek, Roger, Wielki Steve-o, Chrypa Półbok, który był krasnoludem i musiał siadać na poduszce, żeby dosięgnąć klawiatury, no i Księżniczka.

Kiedy przekazywali wiadomość, rozległo się kilka stłumionych syknięć. Teraz panowała cisza zakłócana tylko westchnieniami wiatru. Księżniczka widziała w powietrzu oddechy innych. Dziadek bębnił palcami o jakąś deskę.

W końcu odezwał się Chrypa.

– To było naprawdę?

Chmury pary z oddechów zgęstniały. Ludzie otrząsali się, wracali do realnego świata.

– Widziałeś, jakie dostaliśmy instrukcje. – Dziadek spoglądał ponad mroczną puszcza. – Niczego nie zmieniać i przekazać dalej, tak powiedzieli. Przekazaliśmy dalej. Jak demony przekazaliśmy.

– Ale od kogo to przyszło? – pytał Steve-o.

– Nieważne. Wiadomość przychodzi, wiadomość wychodzi, wiadomość płynie.

– No tak, ale czy to naprawdę od... – nie ustępował Steve-o.

– Do demona, Steve-o, naprawdę nie wiesz, kiedy należy się zamknąć? – zdenerwował się Roger.

– No bo słyszałem o wieży 93, gdzie ci chłopcy zginęli, a wieża sama z siebie nadała wezwanie pomocy – mamrotał Steve-o.

Był szybki przy klawiszach, ale niewiedza, kiedy należy się zamknąć, stanowiła tylko jeden z przykładów braku towarzyskiej oglądy. Na wieży coś takiego może kosztować życie.

– Uchwyt Martwego Człowieka – wyjaśnił Dziadek. – Powinieneś wiedzieć. Jeśli przez dziesięć minut nie ma żadnej aktywności, a wsunięty jest klucz sygnaturowy, bęben wrzuca żakard do szczeliny, przeciwwaga opada i wieża nadaje sygnał wezwania.

Mówił te słowa, jakby czytał je z podręcznika.

– Tak, ale słyszałem, że w 93 żakard się zaklinował i...

– Mam tego dosyć – mruknął Dziadek. – Roger, bierzemy się do roboty. Mamy lokalne sygnały do przesłania, nie?

– Pewnie. I to, co siedzi na bębnie. Ale Gilt mówił, że mamy czekać z restartem do...

– Gilt może mnie pocałować... – zaczął Dziadek, przypomniał sobie o towarzystwie i dokończył: – ...gdzieś. Czytaliście, co przed chwilą nadawaliśmy, nie? Myślicie, że po czymś takim ten suki... ten gość nadal tu rządzi?

Księżniczka wyjrzała przez okno górnej linii.

– 182 już świeci – oznajmiła.

– Właśnie. Świecimy i przerzucamy kod – warknął Dziadek. – To nasza praca. I kto nas powstrzyma? Wszyscy, co nie mają nic do roboty, wynocha! Działamy!

Księżniczka wyszła na niewielką platformę, żeby nie wchodzić nikomu w drogę. Śnieg pod nogami był jak cukier puder, powietrze w nozdrzach kłuło jak noże.

Kiedy spojrzała na góry, w kierunku, o którym nauczyła się myśleć jako dolnym, zobaczyła, że wieża 180 nadaje. Równocześnie usłyszała trzask i stuk, gdy śnieg zsuwał się z otwieranych przesłon 181. Przerzucamy kod, pomyślała. To nasza praca.

W górze, na wieży, patrząc na gwiazdziste migotanie Pnia w czystym i mroźnym powietrzu, czuła się tak, jakby była częścią nieba. I zastanowiła się, czego bardziej boi się Dziadek: że martwi sekarowcy mogą wysyłać wiadomości do żyjących, czy że nie mogą?

* * *

Collabone skończył. Potem wyjął chusteczkę i starł zieloną substancję, która zaczęła już porastać szkło. Zapiszczało. Wyjrzał nerwowo przez rozmazaną plamę.

– Czy wszystko w porządku, proszę pana? Nie będę miał żadnych kłopotów, prawda? – zapytał. – Bo właśnie mi się wydaje, że jestem bliski przetłumaczenia zewu godowego wielkiego małża...

– Dziękuję, profesorze Collabone, doskonale się pan spisał. To już wszystko – odparł chłodno nadrektor Ridcully. – Panie Stibbons, proszę wyłączyć urządzenie.

Zanim zgasł ekran omniskopu, po twarzy Collabone’a przemknął wyraz ogromnej ulgi.

– Panie Pony, jest pan głównym mechanikiem Wielkiego Pnia, prawda? – spytał Vetinari, zanim znowu podniósł się gwar.

Pony, który znalazł się nagle w centrum uwagi, cofnął się i gorączkowo zamachał rękami.

– Proszę, wasza lordowska mość! Jestem tylko mechanikiem, o niczym nie wiem...

– Niech pan się uspokoi. Słyszał pan, że dusze martwych wędrują wzdłuż Pnia?

– O tak, wasza lordowska mość.

– Czy to prawda?

– No...

Pony rozejrzał się lękliwie jak człowiek osaczony. Miał swoje różowe przebitki, a one wszystkim mogły wykazać, że był jedynie kimś, kto starał się utrzymać wieże w ruchu. Ale w tej chwili jedynym, co widział po swojej stronie, była prawda.

– Nie rozumiem jak, ale... czasami, kiedy człowiek siedzi nocą w wieży, przesłony stukają, a wiatr gwizdże w olinowaniu, to tak, można pomyśleć, że to prawda.

– O ile wiem, istnieje tradycja nazywana Wysyłaniem do Domu?

Mechanik wydawał się zdziwiony.

– No tak, wasza lordowska mość, ale... – Pony uznał, że powinien bronić racjonalnego świata, w którym jednak, chwilowo, nie pokładał zbyt wielkiej wiary. – Ale Pień był ciemny, zanim nadaliśmy wiadomość, więc nie rozumiem, jak coś mogło się dostać na...

– Chyba że, naturalnie, umieścili ją tam umarli – rzekł Patrycjusz. – Panie Pony, dla dobra pańskiej duszy oraz, co ważne, pańskiego ciała, uda się pan teraz do wieży na Tumpie, eskortowany przez jednego z ludzi komendanta Vimesa, i nada krótką wiadomość do wszystkich wież. Zażąda pan papierowych taśm, zwanych rolkami bębnow, o ile mi wiadomo, ze wszystkich wież Wielkiego Pnia. Czy dobrze rozumiem, że zachowują one zapisy wszelkich wiadomości wychodzących z danej wieży, których to zapisów nie da się łatwo zmienić?

– To zajmie całe tygodnie, wasza lordowska mość – zaprotestował Pony.

– W takim razie sugeruję ruszyć już wcześniej rano.

Pan Pony, który nagle dostrzegł, jak zdrowym rozwiązaniem może być teraz dłuższa nieobecność w Ankh-Morpork, pokiwał głową.

– Jak wasza lordowska mość sobie życzy.

– Przez ten czas Wielki Pień będzie nieczynny – dodał Vetinari.

– To prywatna własność! – wybuchnął Greenyham.

– Tyran, niech pan nie zapomina – odpowiedział niemal wesoło Patrycjusz. – Ale jestem przekonany, że audyt pomoże nam rozstrzygnąć przynajmniej niektóre aspekty tej zagadki. Jeden z nich to oczywiście fakt, że pan Reacher Gilt nie jest chyba obecny w tym pomieszczeniu.

Wszyscy jednocześnie odwrócili głowy.

– Może przypomniał sobie o innym ważnym spotkaniu? – zastanowił się Vetinari. – Wymknął się chyba już jakiś czas temu.

Dyrektorzy Wielkiego Pnia uświadomili sobie nagle, że ich prezesa tu nie ma, a co gorsza, oni są tutaj. Zbili się w ciasną grupkę.

– Czy możliwe jest, hm, aby przynajmniej w tym punkcie omówić tę sprawę na osobności, wasza lordowska mość? – zaproponował Greenyham. – Reacher nie był człowiekiem łatwym w kontaktach, niestety.

– Nie lubił gry zespołowej – westchnął Nutmeg.

– Kto? – zapytał Stowley. – Gdzie ja jestem? Co to za ludzie?

– Przez większość czasu tkwiliśmy w mroku... – ciągnął Greenyham.

– Niczego nie pamiętam... – oświadczył Stowley. – Nie mogę zeznawać, każdy lekarz to potwierdzi.

– Mogę chyba oświadczyć w imieniu nas wszystkich, że podejrzewaliśmy go od początku...

– Pamięć całkiem pusta... Nic zupełnie... Co to za rzecz z palcami... Kim jestem...

Lord Vetinari przyglądał się radzie nadzorczej o pięć sekund dłużej, niż wydawało się komfortowe. Delikatnie stukał w brodę gałką laski. W końcu uśmiechnął się blado.

– No cóż... – powiedział. – Panie komendancie, byłoby chyba niegodziwe, gdybyśmy zatrzymywali tu dłużej tych dżentelmenów...

A kiedy twarze przed nim rozciągnęły się w uśmiechach pełnych nadziei, tego najwspanialszego daru, dodał:

– Do aresztu ich, komendancie. Do osobnych cel, jeśli można prosić. Porozmawiam z nimi rano. A jeśli pan Slant przyjdzie się z panem spotkać w ich sprawie, niech pan mu przekaze, że chciałbym chwilę pogawędzić. Zgodna?

To brzmiało... dobrze. Kiedy znów zabrzmiał gwar, Moist ruszył do drzwi. I prawie do nich dotarł, kiedy głos Patrycjusza doścignął go jak nóż.

– Tak szybko pan nas opuszcza, panie Lipwig? Proszę zaczekać. Podwiozę pana do tego pańskiego sławnego Urzędu Poczтового.

Przez chwilę, przez drobny ułamek sekundy, Moist myślał o ucieczce. Ale zrezygnował. Nie miałyby sensu.

Tłum rozstał się pospiesznie przed idącym do drzwi Patrycjuszem. Za nim miejsca zajęła straż.

W ostatecznym rozrachunku istnieje przecież wolność ponoszenia konsekwencji.

* * *

Kiedy ruszyli, Patrycjusz oparł się o skórzaną tapicerkę karocy.

– Co za niezwykły wieczór, panie Lipwig – rzekł. – O tak...

Moist uznał – podobnie jak nagle otepiały pan Stowley – że jego przyszłe szczęście zależy od tego, by mówił jak najmniej.

– Tak, wasza lordowska mość – zgodził się.

– Ciekawe, czy ten mechanik znajdzie jakieś dowody, że ta niezwykła wiadomość została wprowadzona do sekarów ludzką ręką – zastanawiał się głośno Patrycjusz.

– Nie wiem, wasza lordowska mość.

– Nie wie pan?

– Nie.

– Ach... – mruknął Vetinari. – Wiadomo, że umarli czasem przemawiają. Tablice ouija, seanse spirytystyczne i tak dalej. Kto mógłby stwierdzić, że nie wykorzystają sekarowego medium?

– Nie ja, wasza lordowska mość.

– Odnoszę wrażenie, że podoba się panu nowa kariera, panie Lipwig.

– Tak, rzeczywiście.

– To dobrze. Od poniedziałku pańskie obowiązki będą też obejmowały administrowanie Wielkim Pniem. Zostaje przejęty przez miasto.

To tyle, jeśli chodzi o przyszłe szczęście...

– Nie, wasza lordowska mość – powiedział.

Vetinari uniósł brew.

– Czy istnieje jakaś alternatywa, panie Lipwig?

– To naprawdę własność prywatna, wasza lordowska mość. Należy do Dearheartów i innych, którzy go budowali.

– No, no, nawet płotka rzuci się na rekina... Ale kłopot polega na tym, widzi pan, że oni nie radzili sobie z interesami. Jedynie z mechaniką. W przeciwnym razie przejrzeliby Gilta. Wolność sukcesu idzie w parze z wolnością porażki.

– To była kradzież poprzez liczbowe manipulacje – stwierdził Moist. – Gra w trzy karty rejestrami księgowymi. Nie mieli szans.

Vetinari westchnął.

– Twardo się pan targuje, panie Lipwig.

Moist milczał. Nawet nie wiedział, że próbuje się targować.

– Ale zgoda. Kwestia własności pozostanie chwilowo w zawieszeniu, dopóki nie zbadamy mętnych głębin tej historii. Ale tak naprawdę chodziło mi o to, że od Pnia uzależnione jest utrzymanie bardzo wielu ludzi. Z czystego humanitaryzmu musimy coś z tym zrobić. Proszę więc uporządkować sprawy, poczmistrzu.

– Przecież będę miał mnóstwo pracy z Urzędem Pocztowym! – zaprotestował Moist.

– Mam taką nadzieję. Ale z doświadczenia wiem, że jeśli coś ma być załatwione, trzeba to powierzyć człowiekowi, który ma mnóstwo pracy.

– W takim razie zamierzam utrzymać Pień w ruchu.

– Może dla uczczenia pamięci umarłych... – rzekł Vetinari. – Tak. Jak pan chce. O, to już pański przystanek.

Kiedy woźnica otworzył drzwiczki, Patrycjusz pochylił się do Moista.

– Aha, i jeszcze przed świtem radzę sprawdzić, czy wszyscy opuścili tę starą wieżę maga – powiedział.

– Nie rozumiem, o co chodzi waszej lordowskiej mości – odparł Moist. Wiedział, że jego twarz nie zdradza niczego.

Vetinari cofnął się w głąb.

– Dobra robota, panie Lipwig.

* * *

Przed Urzędem Pocztowym czekali ludzie. Zabrzmiały oklaski, kiedy Moist zmierzał do wejścia. Padał deszcz – szara, brudna mżawka, będąca raczej czymś w rodzaju mgły z nadwagą.

Część pracowników czekała w środku. Moist uświadomił sobie, że wieści jeszcze tu nie dotarły. Nawet tradycyjny plotkarski młyn Ankh-Morpork nie był w stanie go wyprzedzić w drodze z Niewidocznego Uniwersytetu.

– Co się stało, poczmistrzu? – zapytał Groat, splatając dłonie. – Oni wygrali?

– Nie – odparł Moist, ale wyczuli rozdrażnienie w jego głosie.

– Myśmy wygrali?

– Nadrektor będzie musiał rozstrzygnąć. Przypuszczam, że nie dowiemy się jeszcze przez parę tygodni. Ale sekary są zamknięte. Przykro mi, to dość skomplikowane...

Zostawił ich zdziwionych, a sam powlókł się do gabinetu.

– Dobry Wieczór, Panie Lipwig! – zadudnił golem z kąta.

Moist usiadł i oparł głowę na rękach. Odniósł zwycięstwo, ale wcale tego nie odczuwał. Miał wrażenie chaosu.

Zakłady? Jeśli Rurka dotrze do Genoi, można się klócić, że zgodnie z regułami wygrał, ale Moist miał przeczucie, że zakłady będą unieważnione. To znaczy, że ludzie przynajmniej dostaną z powrotem swoje pieniądze.

Będzie musiał utrzymać Pień w ruchu, bogowie wiedzą, w jaki sposób. Właściwie obiecał to Gnu, prawda? Zdumiewające, jak ludzie uzależnili się od sekarów. Przez całe tygodnie się nie dowie, jak sobie radzi Rurka... Nawet on sam przyzwyczał się do codziennych nowin z Genoi. A teraz całkiem jakby stracił palec... Ale sekary były też wielkim, niezgrabnym monstrem – za dużo wież, za dużo ludzi, za dużo wysiłku. Musi istnieć jakiś sposób, żeby zrobić to wszystko lepiej, szybciej i taniej... A może czegoś tak wielkiego nikt nie potrafi dobrze prowadzić dla zysku? Może to coś jest podobne do Urzędu Pocztowego, może zysk pojawia się rozsmarowany na całe społeczeństwo?

Jutro będzie musiał wziąć się za wszystko na poważnie. Porządny obieg poczty. Większy personel. Setki spraw do załatwienia. I setki innych, które trzeba załatwić przed tamtymi. Zabawa się skończyła, skończyło się granie na nosie temu wielkiemu powolnemu olbrzymowi. Wygrał, więc teraz musi pozbierać resztki i jakoś puścić wszystko w ruch. A potem przyjść tu następnego dnia i zrobić to znowu.

Nie tak miało się to skończyć. Człowiek wygrywał, chował gotówkę do kieszeni i odchodził. Tak powinna toczyć się gra, prawda?

Jego uwagę przyciągnęło pudełko z wiadomością Anghammarada na poskręcanej, skorodowanej taśmie. Pomyślał, że chciałby teraz znaleźć się na dnie morza.

– Panie Lipwig...

Uniół głowę. Sekretarz Drumknott stał w drzwiach, za nim jeszcze jeden urzędnik.

– Słucham?

– Przepraszam, że przeszkadzamy – powiedział Drumknott. – Przyszliśmy porozmawiać z panem Pompą. Chodzi o drobną regulację, jeśli to panu nie przeszkadza.

– Co? Ach, proszę bardzo. Nie krępujcie się. – Moist obojętnie machnął ręką.

Dwaj ludzie podeszli do golema. Nastąpiła ściszona rozmowa, potem golem uklęknął, a oni odkręcili mu czubek głowy.

Moist patrzył na to ze zgrozą. Wiedział, że tak się robi, oczywiście, ale zobaczenie tego na własne oczy wywołało prawdziwy szok. Nastąpiło trochę krzątaniny, której celu nie dostrzegł, a potem z lekkim ceramicznym zgrzytem szczyt czaszki wrócił na miejsce.

– Przepraszamy za kłopot, panie Lipwig – powiedział jeszcze Drumknott i obaj wyszli.

Pan Pompa klęczał jeszcze przez moment, po czym wstał wolno. Czerwone oczy skierował na Moista i wysunął rękę.

– Nie Wiem, Czym Jest Przyjemność, Ale Jestem Pewien, Że Gdybym Wiedział, To Byłaby Nią Praca Z Panem – oświadczył. – Teraz Muszę Odejść. Otrzymałem Inne Zadanie.

– Nie jesteś już moim... kuratorem sądowym? – zdumiał się Moist.

– Istotnie.

– Chwileczkę – powiedział Moist, kiedy zajaśniało mu w głowie. – Czy Vetinari posyła cię za Giltem?

– Nie Wolno Mi O Tym Mówić.

– Wysyła, prawda? Nie musisz już chodzić za mną?

– Nie Muszę Już Chodzić Za Panem.

– Czyli mogę się wynieść?

– Nie Wolno Mi O Tym Mówić. Dobranoc, Panie Lipvig. – Pan Pompa zatrzymał się jeszcze w drzwiach. – Nie Jestem Też Pewny, Czym Jest Szczęście, Panie Lipvig, Ale Myślę... Tak, Myślę, Że Jestem Szczęśliwy, Że Pana Poznałem.

Po czym, schylając się, by przejść przez drzwi, golem zniknął.

Czyli pozostał tylko wilkołak, mignęła myśl szybsza niż światło. Ale one nie radzą sobie z łodziami, a są całkiem zagubione, kiedy dochodzi do oceanów. Jest środek nocy, straż biega w kółko jak banda szaleńców, a ja mam trochę forszy, no i pierścionek z brylantem i talię kart... Kto mnie zauważy? Kto się przejmie?

Mógł odejść wszędzie. Ale tak naprawdę nie on o tym myślał, tylko kilka starych komórek w mózgu, działających w trybie automatycznym. Nie miał dokąd pójść, już nie.

Stanął przy wielkim otworze w ścianie i spojrzał z góry na halę. Czy ktokolwiek tutaj wraca do domu? Ale teraz wieści pewnie się rozeszły i jeśli ktoś chce wysłać jutro cokolwiek dokądkolwiek, musi przyjść do Urzędu Pocztowego. Klientów było sporo nawet teraz.

– Herbaty, panie Lipwig? – odezwał się za nim Stanley.

– Dziękuję ci, Stanley – odparł Moist, nie oglądając się nawet.

W dole panna Maccalariat stała na krześle i przybijała coś do ściany.

– Wszyscy mówią, że wygraliśmy, sir, bo zamknęli sekary, a ich dyrektorzy siedzą w więzieniu. Mówią, że panu Upwrightowi wystarczy tylko dotrzeć na miejsce! Ale pan Groat uważa, że bukmacherzy nie zechcą płacić, sir. A król Lancre chce wydrukować trochę znaczków, chociaż wyjdzie dość drogo, sir, bo oni tam piszą jakieś dziesięć listów rocznie, sir. Ale i tak im pokazaliśmy, sir. Prawda? Urząd Pocztowy powraca!

– To jakiś transparent... – stwierdził głośno Moist.

– Słucham, panie Lipwig? – zdziwił się Stanley.

– E... nic takiego. Dziękuję ci, Stanley. Baw się dobrze ze znaczkami. Przyjemnie widzieć, że... jesteś taki... wyprostowany...

– To jakby zacząć nowe życie, sir – odparł chłopak. – A teraz już pójdę, sir, muszę pomóc przy sortowaniu.

Transparent był prosty. Napis głosił: „Dziękujemy panie Lipwig!”.

Moist wpadł w smętny nastrój. Zawsze źle się czuł po wygranej, ale teraz było chyba najgorzej. Przez wiele dni zdawało mu się, że lata. Wiedział, że żyje. A teraz był odrętwiały. Wywiesili mu taki transparent, a on czuł się jak oszust i złodziej. Oszukał ich wszystkich, a oni teraz przyszli mu podziękować za to, że zostali oszukani.

Od drzwi dobiegł cichy głos:

– Szalony Al i chłopcy powiedzieli mi, co zrobiłeś.

– Och... – odparł Moist.

Nie odwracał się. Na pewno zapala teraz papierosa, pomyślał.

– To nie było ładne – ciągnęła Adora Belle tym samym spokojnym tonem.

– Nie było nic ładnego, co by przyniosło skutek – odpowiedział.

– Spróbujesz mi teraz tłumaczyć, że taki pomysł podsunął ci duch mojego zmarłego brata?

– Nie. Sam to wymyśliłem.

– Dobrze. Bo gdybyś spróbował, utykałbyś do końca życia. Możesz mi wierzyć.

– Dziękuję – odparł ponuro. – To było tylko kłamstwo, o którym wiedziałem, że ludzie zechcą w nie uwierzyć. Tylko kłamstwo. Sposób, żeby utrzymać w ruchu Urząd Pocztowy i wyrwać Wielki Pień z rąk Gilta. Prawdopodobnie możesz odzyskać Pień, jeśli zechcesz. Ty i pozostali, których Gilt wykiwał. Pomogę, jeśli zdołam. Ale nie chcę podziękowań.

Poczuł, że się zbliżyła.

– To nie kłamstwo – powiedziała. – To coś, co powinno być prawdą. Ucieszyło moją mamę.

– Ona myśli, że to prawda?

– Nie chce myśleć inaczej.

Nikt nie chce. Nie wytrzymam tego, pomyślał.

– Posłuchaj... Wiem, jaki jestem. Nie jestem tą osobą, za jaką mnie wszyscy uważają. Chciałem tylko pokazać, że nie jestem taki jak Gilt. Że jestem czymś więcej niż młotkiem,

rozumiesz? Ale pozostałem przecież zawodowym oszustem. Myślałem, że o tym wiesz. Potrafię udawać szczerłość tak dobrze, że sam nie umiem tego odróżnić. Mieszam ludziom w głowach...

– Nie oszukujesz nikogo oprócz siebie – stwierdziła panna Dearheart i sięgnęła po jego dłoń.

Moist... odepchnął ją, uciekł z budynku, z miasta, wrócił do dawnego żywota, czy żywotów, zawsze w ruchu, sprzedając szkło jako brylant, ale jakoś nie chciało być jak dawniej, brakowało klasy, zniknęła cała radość, nawet karty nie działały jak trzeba, kończyły się pieniądze, aż pewnej zimy w jakiejś gospodzie, będącej zwykłą budą, usiadł twarzą do ściany...

I wtedy przybył anioł.

– Co się stało? – spytała panna Dearheart.

Może czasem zjawiają się dwa...

– Taka przelotna myśl – odpowiedział.

Pozwolił, by wezbrał złocisty blask. Oszukał ich wszystkich, nawet tutaj. A najlepsze, że może robić to dalej, wcale nie musi przestawać. Wystarczy, by raz na kilka miesięcy przypomniawsam sobie, że w każdej chwili może to rzucić. Jeśli tylko będzie wiedział, że może, nigdy nie będzie musiał...

A przed nim stała panna Dearheart. Bez papierosa w ustach. Pochylił się...

Za nimi rozległ się głośny kaszel. Wydobywał się z Groata, który trzymał w ręku dużą paczkę.

– Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale właśnie to dostarczyli dla pana – oświadczył i prychnął z dezaprobatą. – Posłaniec, żaden z naszych. Pomyślałem, że od razu przyniosę, bo w środku coś się rusza...

Coś się ruszało. A w pudle były otwory. Moist ostrożnie uchylił wieko i ledwie zdążył cofnąć palce.

– Dwanaście i pół procent! Dwanaście i pół procent! – wrzasnęła kakadu i wylądowała na czapce Groata.

W środku nie było listu, a na pudle jedynie adres odbiorcy.

– Dlaczego ktoś przysłał panu papugę? – zdziwił się Groat, starając się nie podnosić ręki w zasięg krzywego dziobu.

– To Gilta, prawda? – odgadła panna Dearheart. – Dał ci swojego ptaka?

Moist uśmiechnął się.

– Na to wygląda... Talary! Ósemki talarów!

– Dwanaście i pół procent! – krzyknęła kakadu.

– Niech pan ją zabierze, panie Groat, dobrze? – poprosił Moist. – Niech pan ją nauczy mówić...

– „Zaufaj mi” – podpowiedziała panna Dearheart.

– Dobry pomysł! Tak, proszę tak zrobić, panie Groat.

* * *

Kiedy Groat wyszedł z zadowolonym ptakiem na ramieniu, Moist zwrócił się do dziewczyny:

– A jutro stanowczo odzyskam kandelabry!

– Co? – Panna Dearheart roześmiała się głośno. – W większej części budynku nie ma nawet dachu.

– Najpierw to, co ważne. Zaufaj mi. A potem kto wie? Może uda mi się nawet zdobyć piękną polerowaną ładę! Nie ma końca temu, co możliwe.

I w tej pełnej krzątaniny grocie nagle z dachu spadły białe pióra. Mogły należeć do anioła, choć bardziej prawdopodobne, że do gołębia, którego jastrząb pożerał właśnie na belce. Ale jednak były to pióra. Liczy się styl.

* * *

Czasami prawda pojawia się w rezultacie dodania kilku kłamstw i odjęcia ich od całości tego, co wiadomo.

Lord Vetinari stał u szczytu schodów w wielkim holu pałacu i spoglądał w dół na swoich urzędników. Zajęli dla tego Concludium całą rozległą podłogę.

Różne figury – koła, kwadraty, trójkąty – zostały wyrysowane kredą tu i tam. Wewnątrz nich dokumenty i książki układano w niebezpiecznie staranne stosy. Niektórzy księgowi pracowali wewnątrz tych figur, inni przesuwali się bezgłośnie od jednej do drugiej, niosąc dokumenty, jakby to był sakrament. Od czasu do czasu przybywali inni urzędnicy albo strażnicy i dostarczali nowe teczki lub rejestry, które odbierano z powagą, przeglądano i dodawano do odpowiednich stosów.

Wszędzie stukały liczydła. Księgowi przechodzili tam i z powrotem, a niekiedy spotykali się w trójkacie i pochylali głowy w cichej dyskusji. W rezultacie mogli podążyć w nowym kierunku albo, coraz częściej w miarę upływu kolejnych godzin nocy, jeden z nich wykreślał nową figurę, która szybko zaczynała się zapełniać dokumentami. Czasami jakaś figura pustoszała i była ścierana z podłogi, a jej zawartość rozdzielana między pozostałe.

Żaden czarodziejski krąg, żadna mandala nie była wyrysowana bardziej starannie i skrupulatnie niż te rozgrywane na podłodze konkluzje. Mijała godzina za godziną, a praca trwała z cierpliwością, która najpierw przerażała, a potem nużyła. To była sztuka walki księgowych, która prowadziła nieprzyjaciela przez liczne kolumny i tabele. Moist umiał czytać słowa, których nie ma, ale ci urzędnicy potrafili odczytać liczby, których nie było albo

wystąpiły dwukrotnie, albo w niewłaściwych miejscach. Nie spieszyli się. Trzeba obrać wszystkie kłamstwa, a ukaze się prawda, naga, zawstydzona i bez żadnej dostępnej kryjówki.

O trzeciej nad ranem przybył pan Cheeseborough, w pośpiechu i we łzach, by się dowiedzieć, że jego bank to papierowa łuska. Sprowadził własnych księgowych – byli w nocnych koszulach wciśniętych do wciąganych nerwowo spodni. Opadli na kolana obok tych już pracujących i rozłożyli więcej papieru, jeszcze raz sprawdzając wyniki – w nadziei że jeśli będzie się patrzeć na liczby dostatecznie długo, rezultat będzie inny.

Później straż dostarczyła mały czerwony notes, który otrzymał własne koło i wkrótce cały wzorzec przeformował się wokół niego.

Dopiero przed świtem zjawili się posepni mężczyźni. Byli starsi, grubszy i lepiej – ale bez ostentacji, bez żadnej pretensjonalności – ubrani. Poruszali się z powagą wielkich pieniędzy. Oni także byli finansistami, bogatszymi niż królowie (którzy często bywają dość ubodzy), ale mało kto w mieście, spoza ich kręgu, poznałby ich czy choćby zauważył na ulicy. Porozmawiali spokojnie z panem Cheeseborough jako tym, który doznał straty, po czym naradzili się między sobą, użyli złotych automatycznych ołówków w eleganckich małych notesach, zmuszając liczby do tańca i skoków przez koła. Po chwili dyskretnie osiągnięto zgodę i uściśnięto sobie dłonie – co w tych kręgach miało wagę nieskończenie większą niż dowolny spisany kontrakt. Pierwszy klocek domina stanął pewnie. Filary świata przestały drżeć. Handlowy Bank Kredytowy będzie rano otwarty, a kiedy to nastąpi, rachunki będą honorowane, pensje wypłacone, miasto zostanie nakarmione.

Ocalili miasto złotem o wiele łatwiej, niż dowolny bohater potrafiłby ocalić stalą. Ale w rzeczywistości to właściwie nie było złoto, nawet nie obietnica złota, ale raczej fantazja, cudowny sen o tym, że złoto jest tam, na samym końcu tęczy, i będzie już zawsze, pod warunkiem, oczywiście, że nikt nie pójdzie popatrzeć.

Co znane jest jako finanse.

Wracając do domu na skromne śniadanie, jeden z nich zajrzał do Gildii Skrytobójców, by złożyć wyrazy uszanowania staremu przyjacielowi, lordowi Downeyowi. Podczas wizyty sprawy obecne zostały jedynie mimochodem wspomniane. A Reacher Gilt, gdziekolwiek teraz był, stał się nagle najbardziej ryzykownym ubezpieczeniem na świecie.

Ludzie, którzy pilnują tęczy, nie lubią takich, którzy zasłaniają słońce.

Epilog

Jakiś czas później

Siedzący na krześle człowiek nie miał długich włosów ani opaski na oku. Nie miał też brody, a raczej nie planował mieć brody. Nie golił się od kilku dni.

Stęknął.

– Ach, panie Gilt... – Vetinari spojrział znad planszy. – Obudził się pan, jak widzę. Przepraszam za sposób doprowadzenia pana tutaj, ale pewni dość kosztowni ludzie chcieliby widzieć pana martwego. Pomyślałem, że lepiej będzie się z panem spotkać przed nimi.

– Nie wiem, o kim pan mówi – odparł człowiek. – Nazywam się Randolph Stippler, mam dokumenty, które to potwierdzają...

– I to naprawdę wspaniałe dokumenty, panie Gilt. Ale dość już o tym. Nie, w tej chwili chciałbym porozmawiać z panem o aniołach.

Reacher Gilt krzywił się czasem, kiedy dawały o sobie znać bóle, zwyczajne po trzech dniach podróży na ramieniu golema, i słuchał z narastającym zdumieniem anielskich teorii lorda Vetinariego.

– ...co prowadzi mnie do sedna, panie Gilt. Królewska Mennica wymaga zupełnie nowego podejścia. Prawdę mówiąc, jest w stanie tragicznym, całkiem nie takim, jakiego potrzebujemy w Wieku Anchois. Istnieje jednak oczywista droga. W ostatnich miesiącach te słynne znaczki pana Lipwiga stały się w mieście niemal drugą walutą. Lekkie, łatwe do noszenia, można nawet wysłać je pocztą! Fascynujące, panie Gilt. Ludzie zaczynają odzwyczajając się od myśli, że pieniądze muszą błyszczeć. Czy wie pan, że przeciętny pensowy znaczek często do dwunastu razy przechodzi z rąk do rąk, zanim będzie umieszczony na kopercie i zużyty? Mennica, by przetrwać, potrzebuje człowieka, który rozumie, jak działa marzenie o walucie. Wiąże się z tym pensja i jeśli się nie mylę, także czapka.

– Oferuje mi pan pracę?

– Tak, panie Stippler. I aby przekonać pana, że jestem całkiem szczerzy, pozwolę sobie wskazać te drzwi za panem. Jeśli w dowolnym punkcie naszej rozmowy zechce pan ją przerwać, wystarczy, że wyjdzie pan przez nie, a już nigdy więcej nic pan ode mnie nie usłyszy...

Jakiś czas później do pokoju wszedł Drumknott. Lord Vetinari czytał raport z wczorajszej nocy, z tajnego spotkania wewnętrznego kręgu wewnętrznej rady Gildii Złodziei.

Bezgłośnie opróżnił tace z dokumentami, po czym stanął obok Patrycjusza.

– Mamy dziesięć nocnych wiadomości z sekarów, panie – rzekł. – Dobrze mieć je znowu w ruchu.

– W samej rzeczy – zgodził się Vetinari, nie podnosząc głowy. – Inaczej w jaki sposób ludzie mogliby odkryć, co chcemy, żeby myśleli? Jakaś zagraniczna poczta?

– Zwykle pakiety, wasza lordowska mość. Ten z Überwaldu był bardzo zręcznie otwierany.

– Ach, droga lady Margolotta... – Vetinari się uśmiechnął.

– Pozwoliłem sobie wziąć znaczki dla mojego siostrzeńca, panie – dodał Drumknott.

– Oczywiście. – Patrycjusz machnął ręką.

Drumknott rozejrzał się po gabinecie. Popatrzył z uwagą na kamienny blok, gdzie małe kamienne armie toczyły nieskończoną walkę.

– Widzę, że wygrałeś, panie – zauważył.

– Tak. Muszę zapamiętać ten gambit.

– Ale pana Gilta, jak zauważyłem, tutaj nie ma...

Vetinari westchnął.

– Trzeba szczerze podziwiać człowieka, który naprawdę wierzy w wolność wyboru – powiedział, spoglądając na otwarte drzwi. – Smutne jednak, że nie wierzył w anioły.